

The background of the cover features a tall, weathered clock tower on the left, illuminated by the warm, golden light of a sunset. The tower has a clock face with Roman numerals and decorative carvings. To the right, a dark, ornate wrought-iron gate stands against a sky filled with dramatic, colorful clouds. The scene is reflected in a body of water in the foreground.

S T E P H E N
K I N G

MARZENIA
I
KOSZMARY

STEPHEN KING

Marzenia i Koszmary

(Nightmares And Dreamscapes)

(Przełożył Michał Wroczyński)

Zamieszczone opowiadania:

Pora deszczowa

Mój śliczny kucyk

Przepraszam to nie pomyłka

Ludzie Godziny Dziesiątej

Crouch End

Dom na Maple Street

Piąta ćwiartka

Sprawa doktora

Ostatnia sprawa Umneya

Pałka niżej!

Brooklyński sierpień

Noty

Żebrak i diament

Pora deszczowa

(Rainy Season)

O wpół do piątej po południu John i Elise Grahamowie znaleźli wreszcie drogę do maleńkiej wioski leżącej, niczym ziarenko piasku w wątpliwej jakości perle, w środku okręgu Willow w stanie Maine. Osada znajdowała się niecałe osiem kilometrów od Hempstead Place, ale oni dwukrotnie skręcili w niewłaściwą stronę. Kiedy już wjechali na Main Street, byli spoceni, było im gorąco i wszystkiego mieli serdecznie dosyć. Podczas długiej jazdy z St Louis w ich fordzie przestała działać klimatyzacja, a temperatura na zewnątrz dochodziła do czterdziestu pięciu stopni. Tak ciepło nie jest - pomyślał John Graham. Dawniej mawiano, że to nie kwestia upału, ale wilgotności powietrza. Odnosił wrażenie, że mógłby wyzymać z niego krople ciepłej wody. Niebo pozostawało wprawdzie przejrzyste czyste i błękitne, ale czuło się, że w każdej chwili może zacząć padać. Kurczę blade... czuł, że już zaczęło padać.

- Tam jest ten supermarket, o którym wspominała Milly Cousins - odezwała się Elise, wskazując palcem kierunek. John chrząknął.

- Na supermarket przyszłości to on nie wygląda.

- Nie - przyznała ostrożnie Elise.

Oboje zresztą zachowywali się ostrożnie. Od dwóch lat byli małżeństwem i naprawdę się kochali, ale teraz mieli za sobą długą drogę z St Louis odbytą samochodem z zepsutym radiem i nie działającą klimatyzacją. John spodziewał się, iż tutaj, w Willow, spędzą cudowne lato (powinni, zwłaszcza że za ich pobyt płacił Uniwersytet Missouri), lecz podejrzewał, że minie co najmniej tydzień, zanim na dobre się rozlokują. Ale z powodu panującego upału awantura wisiała w powietrzu. A żadne z nich nie chciało takiego początku wakacji.

John powoli prowadził samochód po Main Street, zmierzając do sklepu spożywczego, w którym sprzedawano również artykuły gospodarstwa domowego. Po obu stronach werandy wisiały zardzewiałe szyldy przedstawiające niebieskiego orła, więc John stwierdził, że mieści się tutaj również poczta. W popołudniowym świetle sklep sprawiał wrażenie uśpionego. Pod tablicą z napisem: KANAPKI WŁOSKIE PIZZA ARTYKUŁY SPOŻYWCZE ZEZWOLENIA NA WĘDKOWANIE stało tylko stare, zdezelowane volvo, ale w porównaniu z resztą miasteczka miejsce to wydawało się wręcz tętnić życiem. W witrynie, mimo że do zmierzchu brakowało jeszcze prawie trzech godzin, z sykiem palił się neon reklamujący piwo. Bardzo istotne - pomyślał John. - Z całą pewnością właściciel, zanim umieścił tutaj ten neon, musiał całą sprawę uzgodnić z władzami stanowymi.

- Myślałam, że Maine to atrakcyjne tereny rekreacyjne - odezwała się Elise.

- Sądząc po tym, co tu widzimy, Willow leży na uboczu głównego szlaku turystycznego - odparł John.

Wyszli z samochodu i wspięli się po schodkach na werandę. Na wyplatany, bujany fotelu siedział starszy jegomość, który zmierzył ich przenikliwym spojrzeniem małych, niebieskich oczu. Robił skręta w palcach, sypiąc tytoniem na rozłożonego u jego nóg psa. Było to wielkie, płowe psisko rasy bardzo wielorasowej. Zwierzę złożyło łapy dokładnie pod biegunem fotela. Starzec nie zwracał najmniejszej uwagi na psa, zupełnie jakby nie zdawał sobie sprawy z jego obecności, ale ilekroć fotel wychylał się do przodu, biegun zatrzymywał się o milimetry od psich łap. Widok ten z niezrozumiałych względów bardzo zafascynował Elise.

- Witam panią i pana - odezwał się starzec.

- Dzień dobry - odparła Elise i przesłała mu lekki, niezobowiązujący uśmiech.

- Cześć - powiedział John. - Nazywam się...

- Pan Graham - przerwał mu pogodnie stary człowiek. - Pan i pani Grahamowie. Przyjechali państwo do Hempstead Place na wakacje. Słyszałem, że napisał pan kilka książek.

- Tak, o migracjach ludności we Francji w siedemnastym wieku - potwierdził John. - Widzę, że wieść o nas już tu dotarła.

- Dotarła - przyznał starzec. - Wie pan, jak to jest w małych miasteczkach. - Wsunął do ust papierosa, który natychmiast się rozpadł, siejąc tytoniem po udach staruszka i rozciągniętym na ziemi psie. Zwierzę nawet nie drgnęło. - Och, niezdara - mruknął starzec, odrywając z dolnej wargi bibułkę. - Żona nie pozwala mi palić. Mówi, że czytała, iż od papierosów dostaje się raka, ja zresztą też o tym czytałem.

- Przyjechaliśmy do miasteczka zrobić małe zakupy - wtrąciła Elise. - Stary dom, w którym mieszkamy, okazał się cudowny, ale spiżarnia jest pusta.

- Ayuh - mruknął starzec. - Miło mi was poznać. Nazywam się Henry Eden. - Wyciągnął w ich stronę pomarszczoną dłoń, a John nią potrząsnął. Po chwili gest powtórzyła Elise. Zrobili to bardzo delikatnie i starzec najwyraźniej ten fakt docenił. - Spodziewałem się was tutaj pół godziny temu. Musieliście gdzieś źle skręcić. Myślę, że w okolicy jest zbyt wiele dróg jak na takie małe miasteczko. - Roześmiał się głuchym, niezdrowym śmiechem, który natychmiast przeszedł w kaszel nałogowego palacza. - Ayuh, w Willow mamy wiele dróg! - dodał i ponownie się roześmiał.

John zmarszczył lekko brwi.

- Dlaczego pan się nas spodziewał? - zapytał.

- Dzwoniła Lucy Doucette z wiadomością, że koło jej domu przejechali przybysze -

wyjaśnił Eden.

Sięgnął po kapciuch z tytoniem Top, otworzył go i wyciągnął kartonik z bibułkami.

- Nie zna pani Lucy, ale ona twierdzi, że zna córkę pani bratanka.

- Czy ma pan na myśli stryjeczną babkę Milly Cou-sins? - zainteresowała się Elise.

- Tak - odrzekł Eden.

Nakładał tytoń na bibułkę, ale większość znów wylądowała na grzbiecie spoczywającego u jego stóp psa. Kiedy John Graham zaczynał już podejrzewać, że psisko jest martwe, zwierzak uniósł ogon i puścił głośnego bąka. No tak, skomplementował mnie - błysnęło Johnowi w głowie.

- W Willow wszyscy są ze wszystkimi spokrewnieni - ciągnął stery człowiek. - Lucy mieszka u stóp wzgórza. Chciałem do was telefonować, ale skoro powiedziała, że już jedziecie...

- A skąd pan wiedział, że akurat tutaj jedziemy? - zainteresował się John.

Henry Eden wzruszył ramionami, jakby zamierzał powiedzieć: A gdzie tu indziej można jechać?

- Chciał pan z nami porozmawiać? - zapytała Elise.

- Cóż, można to i tak ująć.

Poślinił bibułkę, skleił papierosa i wsunął go w usta. John obserwował starca, ciekaw, czy i ten papieros rozpadnie się jak poprzedni. Był nieco zdezorientowany; zupełnie, jakby miał do czynienia z jakąś bukoliczną wersją agenta CIA.

Skręt jakimś cudem się nie rozkleił. Do poręczy fotela przyklejony był kawałek zwęglonego papieru ściernego. Eden potarł o niego zapalkę i przyłożył płomyk do papierosa. O mały włos całego przy tym nie spalił.

- Myślę, że zechcecie spędzić tę noc poza miastem - powiedział w końcu. John zamrugnął oczyma.

- Poza miastem? Dlaczego mielibyśmy to robić? Przecież dopiero przyjechaliśmy.

- A jednak, proszę pana, moim zdaniem nie byłoby to złe rozwiązanie - rozległ się za plecami Johna czyjś głos.

Graham obejrzał się. Zobaczył wysoką kobietę o opadniętych ramionach, stojącą za zardzewiałymi, wahadłowymi drzwiami sklepu. Nad jej głową wisiała blaszana reklama ches-terfieldów: DWADZIEŚCIA PRZEPYSZNYCH PALEŃ. Kobieta pchnęła drzwi i wyszła na werandę. Miała ziemistą, zmęczoną twarz, ale w jej rysach malowała się inteligencja. W jednej ręce trzymała bochenek chleba, a w drugiej karton z sześcioma piwami Dawson's Ale.

- Jestem Laura Stanton - oświadczyła. - Miło mi państwa poznać. Nie chcemy być

niegościnni, lecz dzisiejszej nocy mamy w Willow porę deszczową.

John i Elise wymienili zdumione spojrzenia, po czym Elise popatrzyła w górę. Poza kilkoma postrzępionymi barankami zapowiadającymi piękną pogodę niebo było nieskazitelnie niebieskie.

- Wiem, jak wygląda - powiedziała pani Stanton. - Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Prawda, Henry?

- Jasne - mruknął Eden.

Zaciągnął się mocno koślawym skrzętem, a następnie cisnął niedopałek za balustradę werandy.

- Mogą państwo wyczuć wilgoć w powietrzu - dodała pani Stanton. - A to już mówi bardzo wiele, prawda, Henry?

- Ayuh - burknął Eden. - To już siedem lat. Dokładnie, co do dnia.

- Co do dnia - przytaknęła Laura Stanton. Oboje popatrzyli wyczekująco na Grahamów.

- Przepraszam - bąknęła Elise. - Nie rozumiem. Czy to jakiś miejscowy żarcik?

Tym razem Henry Eden i Laura Stanton wymienili spojrzenia, a potem jednocześnie znacząco westchnęli.

- Nie cierpię tego - oświadczyła Laura Stanton, a John Graham nie miał zielonego pojęcia, czy powiedziała to do siebie, czy do starca.

- Ale to musi się dokonać - odparł Eden.

Kobieta skinęła głową i ponownie westchnęła. Było to westchnienie kogoś, kto na chwilę zdjął z pleców ogromny ciężar i teraz ponownie musi go zarzucić na grzbiet.

- Nie zdarza się to zbyt często - stwierdziła pani Stanton. - W Willow pora deszczowa nastaje co siedem lat...

- Siedemnastego czerwca - uściślił Eden. - Pora deszczowa raz na siedem lat, siedemnastego czerwca. Tak się dzieje zawsze, nawet w lata przestępne. To tylko jedna noc, lecz nazywamy ją porą deszczową. Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem dlaczego. A ty, Lauro, wiesz?

- Nie - odparła. - I proszę, nie przerywaj mi ciągle. Henry, myślę, że zaczynasz grzybieć.

- Przepraszam, że żyję. Odwołałem właśnie karawan - odparł starzec, najwyraźniej dotknięty do żywego.

Elise popatrzyła z niepokojem na Johna. O co tym ludziom chodzi? - pytało jej spojrzenie. - A może brakuje im piątej klepki?

John nie wiedział, ale zaczął żałować, że nie pojechali po zakupy do Augusty. Przy

okazji mogliby zatrzymać się przy jakimś straganie przy drodze numer siedemnaście i przekazać małże na kolację.

- Proszę mnie posłuchać - odezwała się serdecznie pani Stanton. - Zarezerwowaliśmy dla państwa pokój w motelu Wonderview na Woolwich. Mieli wprawdzie komplet gości, ale kierownikiem jest tam mój kuzyn i dlatego na moją szczególną prośbę przygotował pokój. Możecie wrócić tu jutro i spędzić z nami całe lato. Będzie nam bardzo miło.

- Jeśli ma to być żart, to go nie rozumiem - burknął John.

- Nie, to nie żart - powiedziała i popatrzyła na Edena, który natychmiast szybko skinął głową, jakby chciał powiedzieć: No, dalej, nie wycofuj się i mów do końca. Kobieta przeniosła wzrok na Johna i Elise. Najwyraźniej wzięła się w garść, bo powiedziała: - Otóż co siedem lat Willow nawiedza deszcz ropuch. Teraz już wiecie.

- Ropuch - powtórzyła Elise odległym, zamyślonym, ja-chyba-śnie, głosem.

- Ropuch, ayuh! - potwierdził radośnie Eden.

John rozejrzał się ostrożnie, jakby szukał skądś pomocy. Ale Main Street była kompletnie wymarła. Więcej, wszystkie okiennice w okolicznych domach pozatraskiwane zostały na głucho. Po jezdni nie przejeżdżał żaden samochód. Chodnikiem nie szedł żaden przechodzień.

Możemy mieć kłopoty - pomyślał. - Jeśli wszyscy tutaj są równie stuknięci jak ta dwójka, naprawdę możemy mieć poważne kłopoty.

Nieoczekiwanie przypomniała mu się "Loteria" Shirley Jack-son, opowiadanie, które czytał, gdy był na pierwszym roku studiów.

- Niech państwo sobie nie myślą, że stoję tutaj i wygaduję głupoty, bo tak lubię - ciągnęła Laura Stanton. - Po prostu spełniamy z Henrym nasz obowiązek. Tak naprawdę ropuchy nie spadają z nieba. Czeka nas wprost ulewa ropuch.

- Chodźmy - powiedział John. Ujął Elise za łokieć, po czym przesłał starcowi i kobiecie uśmiech równie prawdziwy jak banknot sześci dolarowy. - Miło było państwa poznać.

Sprowadził Elise z werandy, zerkając ze dwa lub trzy razy przez ramię na starca oraz kobietę o oklapłych ramionach i wymizerowanej twarzy. Obawiał się całkowicie odwrócić do nich plecami.

Kobieta zrobiła krok w ich stronę, a John się potknął. O mało nie spadł ze schodów.

- Wiem, że trochę trudno w to uwierzyć - powiedziała. - Zapewne myślą państwo, że jestem trzepnięta.

- Wcale nie - odparł John.

Na twarzy pojawił mu się szeroki, nieszczerzy uśmiech, który w jego mniemaniu sięgał od ucha do ucha. Jezu słodki, dlaczego w ogóle opuszczałem St Louis? - pomyślał. Przejechał prawie dwa i pół tysiąca kilometrów samochodem z radiem do bani i schrzaniłą klimatyzacją po to tylko, żeby spotkać rolnika Jekylla i panią Hyde.

- No to w porządku - powiedziała Laura Stanton tak łagodnie i z tak osobliwie pogodnym wyrazem twarzy, że John, którego od forda dzieliły jeszcze dobre dwa metry, przystanął pod tablicą z napisem KANAPKI WŁOSKIE. - Nawet ludzie, którzy słyszeli o deszczu ropuch, żab, ptaków i innych tego typu atrakcji, nie wyobrażają sobie, co się dzieje w Willow co siedem lat. Chcę więc dać państwu dobrą radę. Jeśli mimo wszystko zamierzacie tu zostać, nie opuszczajcie w nocy domu. Jeśli zostanieie w domu, najprawdopodobniej nic się nie stanie.

- I radzę dobrze zatrzasać okiennice - dorzucił Eden.

W tej samej chwili psisko uniosło ogon i puściło kolejnego bąka, zupełnie jakby chciało tym podkreślić wagę słów swego pana.

- Cóż... tak zrobimy - odparła niepewnie Elise. John otworzył drzwi forda od strony pasażera i prawie siłą wepchnął Elise do środka.

- Na pewno - potwierdził z tym szerokim, nieszczerym uśmiechem.

- I proszę do nas jutro wrócić! - zawołał Eden, kiedy John spiesznie zajmował miejsce za kierownicą forda. - Jutro będziecie tu bezpieczni... - Urwał i po chwili dodał: - Jeśli w ogóle jeszcze będziecie.

John skinął mu ręką, włączył silnik i odjechał.

Na werandzie przez chwilę panowała cisza, a starzec i kobieta o bladej, niezdrowej cerze obserwowali niknący w perspektywie Main Street samochód. Odjeżdżał nieco szybciej, niż tu dotarł.

- Cóż, swoje zrobiliśmy - stwierdził z zadowoleniem stary człowiek.

- Tak - przyznała pani Stanton: - Ale czuję się jak dupa wołowa. Zawsze czuję się jak dupa wołowa, kiedy widzę, jak na nas patrzą. Jak patrzą na mnie.

- Cóż, ostatecznie zdarza się to tylko raz na siedem lat - mruknął starzec. - No i musi się dokonać właśnie w taki sposób, ponieważ...

- Ponieważ to część rytuału - dokończyła posepnie.

- Ayuh, część rytuału.

Pies podniósł ogon i jeszcze raz pierdnął, jakby zgadzał się z tą opinią.

Kobieta trąciła nogą zwierzę i biorąc się pod boki, oświadczyła starcowi:

- To najsmrodliwszy kundel w czterech miastach, Henry Eden!

Pies warknął, dźwignął się i zwłókł z werandy, przystając tylko na chwilę, żeby obrzucić Laurę Stanton pełnym wyrzutu spojrzeniem.

- Nic na to nie poradzi - stwierdził Eden. Kobieta westchnęła i popatrzyła na ulicę, w perspektywie której zniknął ford.

- Fatalnie - powiedziała. - Sprawiają bardzo sympatyczne wrażenie.

- Ale my nic nie możemy na to poradzić - oświadczył Henry Eden i zaczął skręcać nowego papierosa.

Tak zatem Grahamowie zakończyli dzień kolacją w budzie, gdzie serwowano małże. Znaleźli ten bar w sąsiednim miasteczku o nazwie Woolwich ("Ojczyzna malowniczego motelu Wonderview" - powiedział John, na próżno starając się wywołać uśmiech na twarzy Elise). Zajęli stół ustawiony na świeżym powietrzu pod starym, rozłożystym srebrzystym świerkiem. Buda i jej otoczenie stanowiły ostry kontrast w stosunku do Main Street w Willow. Parking prawie pełen pojazdów (większość samochodów, podobnie jak ich ford, miała tablice rejestracyjne innych stanów), wszędzie uganiała się rozwrzeszczana dzieciarnia z twarzami umorusanymi lodami, podczas gdy rodzice, oganiając się od muszek, czekali, aż z głośnika padnie numer ich zamówienia. Lokal oferował całkiem przyzwoity wybór potraw. Tak naprawdę - pomyślał John - można tu dostać wszystko, co zmieści się na patelni z wrzącym olejem.

- Nie wiem, czy wytrzymam w tym miasteczku dwa dni, a co dopiero mówić o dwóch miesiącach - oświadczyła Elise. - Ta róża, którą nam tu podarowano, ma dużo kolców, lecz ani jednego kwiatu, Johnny.

- To był tylko żart, nic więcej. Miejscowi zawsze w ten sposób dworują sobie z turystów. Ale masz rację, posunęli się trochę za daleko. Teraz zapewne tego żałują.

- Wyglądało na to, że mówią poważnie - odparła. - Będę się wstydziła tam wrócić i ponownie spojrzeć temu staruchowi w oczy.

- Tym się akurat nie przejmuj. Sądząc po jego papierosach, wszedł w wiek, w którym wszystkich spotyka po raz pierwszy w życiu. Nawet najdawniejszych przyjaciół.

Elise próbowała zachować powagę, ale nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś okrutny - stwierdziła.

- Szczery, ale na pewno nie okrutny. Nie mówię, że cierpi na chorobę Alzheimera, ale sprawia wrażenie kogoś, kto potrzebuje mapy drogowej, żeby trafić do własnej toalety.

- A gdzie się podzieli wszyscy mieszkańcy miasteczka? Osada wyglądała jak wymarła.

- Część na kolacji w klubie rolnika Grange, a część farmerskich żon siedzi w masońskiej Eastern Star i gra w karty - odparł John i przeciągnął się. Zerknął Elise do koszyczka z małżami. - Nie zjadłaś zbyt wiele, kochanie.

- Kochanie nie było głodne.

- Mówię ci, to tylko taki żart - powiedział, biorąc ją za rękę. - Rozchmurz się.

- Naprawdę... naprawdę tak uważasz?

- Naprawdę, naprawdę. Sądzę... hej, czy w Willow w stanie Maine naprawdę co siedem lat spadają z nieba ropuchy? Brzmi to jak tekst wyjęty z komicznego monologu w wykonaniu Stevena Wrighta.

Elise uśmiechnęła się blado.

- Nie spadają - poprawiła. - To ulewa ropuch.

- Podpisuję się pod niezłomną zasadą każdego wytrawnego wędkarza: jak już mam otworzyć gębę, to powiedzieć największą głupotę. Gdy jako dziecko bywałem na obozach młodzieżowych, odpowiednikiem tego była zabawa w strzelanego. Wysyłało się dzieciaka na odludzie, a potem urządzało na niego zbiorowe polowanie. Tak naprawdę niczym się to nie różni. Jeśli się głębiej nad tym zastanowisz, nie powinno cię to wcale dziwić.

- Dlaczego ma nie dziwić?

- Ludzie, którzy żyją z turystów, mają mentalność takich właśnie letnich obozowiczów.

- Ależ nic nie wskazywało na to, że tamta kobieta stroi sobie z nas żarty. Prawdę mówiąc, Johnny... ona bardzo mnie wystraszyła.

Pogodne i sympatyczne zazwyczaj rysy Johna Grahama stały się nagle twarde i ostre. Wyraz ten nie pasował do jego twarzy, ale tym razem nie był ani nieszczerzy, ani udawany.

- Wiem - warknął, zbierając ze stołu sztuce, serwetki i plastikowe koszyczki. - I muszę nas za to przeprosić. Głupota zawsze jest głupotą; to zrozumiem. Ale jeśli ktoś próbuje straszyć moją żonę... do licha, nawet mnie trochę wystraszyli... potrafię być zdecydowany. Gotowa do drogi?

- A trafisz z powrotem do domu?

Uśmiechnął się i w jednej chwili znów zaczął być sobą.

- Rozsypywałem za nami okruchy chleba.

- Jesteś taki mądry, kochanie - powiedziała wstając. Na jej twarzy znów gościł uśmiech, na widok którego Johna ogarnęła radość. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca... co dokonało cudu z jej piersiami skrytymi pod niebieską, bawełnianą koszulką... po czym odetchnęła. - Chyba wilgotność powietrza jest mniejsza.

- Jasne - odparł John, po czym niczym koszykarz wrzucił z półobrotu serwetki, sztuce

i koszycki do pojemnika na śmieci. Puścił do żony perskie oko. - I koniec z porą deszczową.

Ale kiedy skręcili w Hempstead Road, powietrze znów stało się straszliwie parne. John odnosił wrażenie, że jego podkoszulek zmienia się w lepka pajęczynę dokładnie oblepiającą mu tors i plecy. Nacierał zmierzch, lecz niebo, choć pociemniało, w dalszym ciągu było czyste. Niemniej John odnosił wrażenie, że gdyby miał przy sobie słomkę, mógłby przez nią spijać przenikającą powietrze wilgoć.

Po drodze minęli tylko jeden dom, u stóp wzgórza, na szczycie którego znajdowało się Hempstead Place. Kiedy przejeżdżali obok budynku, w jednym z okien John dostrzegł sylwetkę stojącej nieruchomo kobiety. Najwyraźniej ich obserwowała.

- To ta znajoma ciotecznej babki twojej Milly - odezwał się John. - Teraz z pewnością zadzwoni do tych pomyleńców ze sklepu z meldunkiem, że już przejechaliśmy. Zastanawiam się, czy, jeśli zatrzymamy się tu na dłużej, powyciągają te wszystkie pierdzące poduszki, śmiacze i gryziszczęki.

- Tamten pies nie potrzebował pierdzącej poduszki.

John wybuchnął śmiechem i skinął głową.

Pięć minut później skręcili na podjazd prowadzący do wynajętego dla nich domu. Alejka była fatalnie zarośnięta zielskiem i niskimi krzaczkami, więc John postanowił zrobić z tym porządek jeszcze przed nadejściem prawdziwego lata. Samo Hempstead Place było typową wiejską, wzniesioną bez jednolitego planu farmą, którą kolejne pokolenia właścicieli rozbudowywały w miarę potrzeb. Za domem stała stodoła połączona z budynkiem trzema rozpadającymi się szopami. Dwie z nich niknęły prawie całkowicie w bujnej gęstwinie letniego, wonnego wiciokrzewu.

Sprzed domu rozciągał się przepyszny widok na miasteczko, zwłaszcza w tak pogodny wieczór jak ten. John zastanawiał się przez chwilę nad tym, jak przy takiej wilgotności powietrze może być aż tak przejrzyste. Do stojącego przed autem męża dołączyła Elise. Objęli się ramionami w pasie i dłuższą chwilę kontemplowali widok łagodnych wzgórz ciągnących się w kierunku Augusty, a nadchodzący zmierzch powoli spowijał ich cieniem.

- Cudownie - mruknęła Elise.

- I posłuchaj tylko tych dźwięków - dodał John.

Około pięćdziesięciu metrów za stodołą zaczynał się podmokły teren porośnięty trzciną i wysoką trawą. Dobiegał stamtąd ogłuszający rechot żab, które Bóg z sobie tylko wiadomych względów obdarzył tak silnymi strunami głosowymi.

- No cóż, żab jest tu pod dostatkiem - zauważyła Elise.

- Ale nie ma żadnych ropuch. - Popatrzył w niebo, na którym Wenus otworzyła swe

płonące chłodem oko. - Tam, popatrz, Elise! Tam, wysoko! Chmury ropuch!

Elise zachichotała.

- "Dzisiejszego wieczoru w maleńkim miasteczku Wil-low - zaczęła deklamować - zimny front ropuch spotkał się z ciepłym frontem trytonów i w wyniku tego..." - Trąciła Johna łokciem. - Chodźmy do środka - powiedziała.

Weszli do domu. Ale w swojej prywatnej grze w "Monopol" ominęli pole "Start" i nie zainkasowali dwustu dolarów.

Natychmiast poszli do łóżka.

Mniej więcej po godzinie Elise wyrwało z rozkosznej drzemki głucho uderzenie w dach. Uniosła się na łokciu.

- Johnny, co to było?

- Huzz! - burknął, odwracając się w jej stronę.

Ropuchy - błysnęło jej w głowie i zachichotała... ale był to bardzo nerwowy chichot. Wyślizgnęła się z pościeli i podeszła do okna. Ale zanim spojrzała na ziemię, żeby sprawdzić, co to spadło, uniosła twarz ku niebu.

Było bezchmurne i rozjaśnione bezlikiem lśniących gwiazd. Spoglądała w nie jak zahipnotyzowana, ujęta ich prostą urodą.

Łup!

Jak oparzona odskoczyła od okna i popatrzyła na sufit. Cokolwiek to było, spadło na dach dokładnie nad jej głową.

- John! Johnny! Obudź się!

- Hmm... co się dzieje?

Usiadł na łóżku. Miał potargane włosy.

- Zaczęło się! - powiedziała i zachichotała piskliwie. - Deszcz żab.

- Ropuch - poprawił ją John. - Ellie, o czym ty mówisz...

Łup-łup.

Rozejrzał się, a potem spuścił nogi z łóżka.

- To śmieszne - powiedział cicho ze złością.

- O co ci...

Łup - TRZASK.

Na parterze zadzwoniły szyby.

- Cholera jasna! - warknął przez zęby i zaczął wkładać dzinsy. - Dość tego dobrego... kurwa. Dość!

Seria kolejnych, miękkich uderzeń w ściany i dach domu. Elise, nagle mocno

przestraszona, przytuliła się do męża.

- O co ci chodzi? - zapytała.

- Chodzi mi o to, że tamta wariatka i staruch, a może i kilku ich znajomych, ciskają czymś w nasz dom - wyjaśnił. - Ale zaraz zrobię z tym porządek. Może i mają w tym miasteczku zwyczaj wyczyniania brewerii przed domami letników, ale...

ŁUP! TRZASK!

- Cholera JASNA! - wrzasnął John i pobiegł do holu.

- Nie zostawiaj mnie tu samej! - zawołała Elise i podążyła jego śladem.

John zapalił światło w korytarzu, po czym pędem ruszył na parter. Łomoty i dudnienie stawały się coraz głośniejsze, coraz częstsze, coraz natarczywsze, ale Elise miała czas pomyśleć: Ilu mieszkańców miasteczka przyszło pod nasz dom? Ilu z nich robi te małe figle? I czym rzucają? Kamieniami zawiniętymi w poszewki?

John dotarł do końca schodów i wkroczył do salonu. Znajdowało się tam wielkie okno, za którym rozciągał się widok, jaki niedawno podziwiali. Szyba była wybita, a dywan pokrywały odłamki szkła. Chciał od razu podejść do okna i krzyknąć, że idzie po strzelbę, ale w tej samej chwili jego wzrok padł na pokrywające podłogę szkło. Uświadomił sobie, że jest boso. Stał bez ruchu i przez chwilę nie wiedział, co ma dalej robić. Wtedy właśnie dostrzegł leżący wśród szczątków rozbitej szyby ciemny przedmiot - kamień, którym jeden z tych skretyniałych skurwysynów wybił okno - i ogarnęła go ślepa furia. Miał właśnie podskoczyć do okna, nie bacząc na to, że jest bez butów, kiedy ujrzał, że kamień się poruszył.

To wcale nie kamień - pomyślał. - To...

- John? - dobiegł go głos Elise. Po całym domu niosły się te płaszczące łoskoty; zupełnie jakby budynek bombardowały wielkie ziarna rozmiękłego gradu. - John, co to jest?

- Ropucha - stwierdził tępo.

Ze wzrokiem wlepionym w poruszający się wśród potłuczonego szkła ciemny kształt powiedział to bardziej do siebie niż do żony.

Uniósł głowę i wyjrzał za okno. Na widok tego, co tam zobaczył, oniemiał z niedowierzania i zgrozy. Nie dostrzegł już ani wzgórz, ani nawet horyzontu... do licha, z najwyższym trudem rozróżniał stodołę, a przecież znajdowała się nie dalej niż piętnaście metrów od domu.

Wszystko zasłaniała ulewa spadających z nieba mrocznych cieni.

Przez wybite okno do domu wpadły trzy kolejne stwory. Jeden wylądował na podłodze, w niewielkiej odległości od swego drgającego kumpla. Spadł na ostre kawałki potłuczonego

szkła; z jego ciała trysnęły grube struzki ciemnego płynu.

Elise wrzasnęła.

Pozostałe dwa stwory uczepliły się zasłon, które zaczęły falować i wydymać się jakby targały nimi mocne podmuchy wiatru. Jednej ropusze udało się wyswobodzić ze splotów materiału. Natychmiast skokami ruszyła w stronę Johna.

John, dłonią, która była jak nie jego, pomacał na oślep ścianę, natrafił na kontakt i zapalił lampę.

Stwór, który skakał w jego stronę po zasłanej odłamkami szkła podłodze, był ropuchą; ale również nią nie był. Jego zielono-czarne ciało było stanowczo zbyt duże, zbyt bryłowate i pokryte guzami. Czarno-złociste oczy wybrzuszały się niczym dziwaczne jajka. Z rozwartej paszczęki sterczał cały bukiet ogromnych, ostrych jak igły zębów.

Zarechotał przeraźliwie i skoczył na Johna jak wybity sprężyną. A za nim, przez wytłuczone okno, wpadały kolejne ropuchy. Te, które uderzały bezpośrednio w podłogę, ginęły, bądź to rozdarte szkłem, bądź od impetu samego upadku. Ale wiele lądowało bezpiecznie na zasłonach, niczym na batucie, i bez szkody zląziło na parkiet.

- Wynoś się stąd! - krzyknął John do żony i kopnął ropuchę, która go zaatakowała; rzecz nie do pojęcia, a jednak prawdziwa.

Stwór wcale się nie cofnął, lecz przeciwnie, wbił przypominające igły zęby w wielki palec u jego nogi. Ból był okropny, palący, przejmujący do szpiku kości. John, niewiele myśląc, z półobrotu, najmocniej jak potrafił, kopnął w ścianę. Poczuł, że w paluchu pękła mu kość, ale przy okazji roztrzaskał i ropuchę, której posoka, jak rozbryźnięta wiatrakiem, ochlapała półkoliście boazerię. Jego palec natomiast przypominał zwariowany drogowskaz pokazujący wszystkie kierunki świata naraz.

Elise stała w progu prowadzących z korytarza drzwi jak słup soli. Z całego domu dobiegał hałas tłuczonych szyb. Kiedy skończyli się kochać, włożyła podkoszulek męża i teraz obiema

rękami ścisnęła pod szyją jego brzegi. Powietrze przewiercały odrażające rechoty.

- Wynoś się stąd, Elise! - ponownie wrzasnął John.

Odwrócił się w jej stronę i potrząsnął skrwawioną nogą. Ropucha, która go ugryzła, była wprawdzie martwa, ale ciągle wisiała u jego stopy wczepiona w nią olbrzymimi, nieprawdopodobnymi zębiskami, tkwiącymi w ranie niczym haczyki wędkarskie. Kopnął powietrze, jakby uderzał niewidzialną piłkę, i ropucha wreszcie odpadła.

Wypłowiąły dywan w salonie był już dosłownie pokryty nadymającymi się, skaczącymi cielskami. I wszystkie skakały w ich stronę.

John pobiegł do drzwi. Stopa natrafiła na ropuchę, która pękła pod ciężarem człowieka. Pięta poślizgnęła się na przypominających galaretę wnętrznościach i John o mało nie upadł. Elise puściła wreszcie brzeg podkoszulka. Wyciągnęła do męża ramiona. Zataczając się, przeszli do holu, John natychmiast zatrzasnął za nimi drzwi do salonu, miażdżąc przy okazji ropuchę, która znalazła się właśnie w progu. Drzwi rozcięły ją na pół. Przednia część stwora wykręcała się i dygotała na podłodze, czarny pysk z odrażającymi zębami otwierał się i zamykał. Wytrzeszczone, czarnozłociste ślepie gapiły się tępo na Johna i Elise.

Elise ujęła twarz w dłonie i zaczęła histerycznie wyć. John chciał ją przytulić, ale potrząsnęła głową i gwałtownie odskoczyła. Na twarz spadały jej kosmyki włosów.

Walenie ropuch w dach było paskudne, ale znacznie gorsze okazały się rechot i cmokanie, ponieważ dochodziły z wnętrza domu... z każdej jego części. John pomyślał o starcu siedzącym w bujanym fotelu na werandzie przed sklepem, przypomniał sobie jego słowa: "I radzę dobrze zatrzasnąć okiennice".

Chryste Panie, dlaczego mu nie uwierzyłem? - klął się w myślach.

I zaraz pojawiła się kolejna refleksja: Jak mógłbym mu uwierzyć? W całym moim życiu nie wydarzyło się nic takiego, co by mnie skłoniło do tego, żeby mu uwierzyć!

A przez łoskot spadających nieustannie na ziemię ropuch, przez mlaskania, kiedy rozbryzgiwały się na dachu, przebijał dużo bardziej złowieszczy dźwięk; odgłos gryzionego i rozłupywanego drewna, gdy ropuchy próbowały przegryźć drzwi i wydostać się z salonu. John usłyszał, że pod zmasowanym naporem ich ciał zawiasy zaczynają trzeszczeć.

Odwrócił się i ujrzał całe tuziny zeskakujących po głównych schodach stworów.

- Elise! - zawołał i chwycił żonę za ramię.

Ciągle wrzeszczała. I znów wyszarpnęła się z jego uścisku. Rękaw podkoszulka pękł. Przez chwilę John spoglądał tępym, nie rozumiejącym wzrokiem na strzęp materiału, który ścisnął w dłoni, po czym upuścił go na podłogę.

- Elise, do jasnej cholery!

Wrzasnęła jeszcze piskliwiej i odskoczyła do tyłu.

Pierwsze szarżujące po schodach ropuchy dotarły już na korytarz i skwapliwie posuwały się w ich stronę. Rozległ się kruchy trzask, kiedy pękło maleńkie okienko nad wejściowymi drzwiami. Prześlizgnęła się przez nie następna, spadła na dywan i leżąc na grzbiecie, świeciła różowym brzuchem w ciemne cętki i wymachiwała w powietrzu wyposażonymi w błony łapami.

John ponownie chwycił żonę, żeby nią potrząsnąć.

- Musimy zejść do piwnicy! W piwnicy będziemy bezpieczni!

- Nie! - odwrzasnęła Elise.

Jej oczy były dwoma olbrzymimi zerami i John pojął, że Elise nie odrzuca pomysłu ucieczki do piwnicy. Elise po prostu odrzuca wszystko.

Nie było czasu na miłe gesty, łagodne metody i czułe słówka. Chwyił ją za podkoszulek i powłókł korytarzem, jak policjant wlecze do radiowozu opornego aresztanta. Najbliższa złażąca ze schodów ropucha wykonała gigantyczny skok, przeleciała w powietrzu szerokim łukiem i kłapnęła paszczką pełną zębów, przypominających igły do cerowania, dokładnie w tym miejscu, gdzie przed sekundą jeszcze znajdowała się bosa pięta Elise.

W połowie holu Elise wrócił jednak zdrowy rozsądek, pojęła, o co Johnowi chodzi, i już z własnej woli pobiegła za nim. Dotarli do drzwi. John przekręcił gałkę, po czym silnie pociągnął ją do siebie. Drzwi ani drgnęły.

- Cholera! - krzyknął i znów szarpnął gałką. Nic.

- John, pośpiesz się!

Obejrzała się przez ramię. Korytarzem parło mrowie ropuch. Jak oszalałe wlażyły na siebie, przeskakiwały się, szorowały bokami o tapety we wzorek w pnące róże, przewracały się na grzbiety. Wtedy tratowały je nadciągające z tyłu zastępy kolejnych stworów. Wszystkie były uzbrojone w zębiska, posiadały złocisto-czarne oczy i pękate jak skórzane mieszki ciała.

- JOHN, PROSZĘ! PRO...

Z szeregu wyskoczyła jedna i wpiła się w lewe udo Elise, tuż nad kolaniem. Ta wrzasnęła, chwyciła stwora, wbijając palce w jego skórę, rozerwała pęcherze z ciemnym płynem. Odciągnęła go od nogi i podniósłszy, przez chwilę mu się przyglądała. Miała go tuż przed nosem. Potworek zgrzytał potępieńczo zębami niczym maleńka, lecz mordercza maszyna fabryczna. Po chwili Elise z całych sił cisnęła ropuchą. Stwór przeleciał przez korytarz i rozbryznął się na ścianie, dokładnie naprzeciwko drzwi prowadzących do kuchni. Ropucha nie spadła; pozostała na ścianie, przylepiona do niej własnymi wnętrznościami niczym klejem.

- JOHN! JEZU, JOHN!

John Graham pojął nagle, gdzie popełnił błąd, i teraz zamiast ciągnąć drzwi do siebie, pchnął je. Otworzyły się z takim impetem, że o mało się nie przewrócił i nie spadł z prowadzących do piwnicy schodów. Przez chwilę już myślał, że jego matka straciła syna. Zamłócił rękami w poszukiwaniu balustrady, zacisnął na niej palce i w tej samej chwili minęła go w pędzie Elise, o mało przy tym nie strącając go ze stopni. Zbiegała, wyjąc niczym syrena strażacka w środku nocy.

Boże drogi, spadnie - błysnęła Johnowi myśl. - Jak amen w pacierzu spadnie; spadnie, skręci sobie kark...

Ale jakoś nie spadła. Dotarła na sam dół, osunęła się na podłogę i szlochając chwyciła się za poranioną nogę.

A po stopniach do piwnicy wskakiwały ropuchy.

John odzyskał równowagę, odwrócił się i zatrzasnął drzwi na głucho. Kilka stworów znalazło się jednak po ich stronie. Staczały się po schodach i spadały między słupkami balustrady. Jeden wyskoczył prawie pionowo w górę, a John wybuchnął nieoczekiwanie dzikim śmiechem; z przeraźliwą jasnością wyobraził sobie Pana Ropucha z Ropuszego Dworu podróżującego na pogo zamiast w samochodzie. Nie przestając się śmiać, zacisnął prawą dłoń w pięść, a z chwilą gdy ropucha znalazła się w najwyższym punkcie i zamarła w bezruchu, kiedy energia jej wyskoku zrównoważyła się z siłą przyciągania ziemskiego, wyrznął ją w sam środek pulsującego brzucha. Poleciała w mrok, skąd dobiegło soczyste plosk, gdy stwór uderzył o piec.

Pomacał ręką po ścianie. Natrafił na metalowy cylinder staroświeckiej latarki z kolankowym włącznikiem. Jak tylko rozblysło światło, Elise zaczęła się ponownie drzeć. We włosy wplątała się jej ropucha, która natychmiast zarechotała, przekręciła się i ugryzła kobietę w kark. Skulony potwór przypominał zniekształcony wałek do włosów.

Elise zerwała się na równe nogi i jak oszalała zaczęła biegać po piwnicy, w jakiś magiczny sposób tylko nie wpadając na któreś z licznych pudeł, jakimi zastawione było pomieszczenie. Uderzyła w jedną z belek podpierających strop, odwróciła się do niej tyłem i dwukrotnie wyrznęła w nią karkiem. Rozległo się donośne mlaśnięcie, a następnie chlupot ciekącego czarnego płynu. Ropucha puściła włosy i stoczyła się po podkoszulku, zostawiając na nim smugi posoki.

Elise nieustannie wrzeszczała. Pobrmiewający w tym krzyku ton szaleństwa przejął Johna zimnym dreszczem. Na wpół biegnąc, na wpół wlokąc za sobą nogi, przebył schody wiodące do piwnicy i zamknął Elise w ramionach. W pierwszej chwili stawiała opór, ale szybko się poddała. Jej wrzaski powoli przechodziły w ciągły szloch.

I wtedy przez odgłosy spadających na dom i na ziemię ropuch dotarł do nich rechot żab, które wraz z nimi dostały się do piwnicy. Elise wyrwała się Johnowi z objęć. Lśniące białe gałki oczne chodziły jej w oczodołach jak oszalałe.

- Gdzie one są? - wydyszała resztką tchu. Mówiła ochrypłym szeptem; od krzyku prawie straciła głos. - John, gdzie one są?

Nie musieli się nawet rozglądać; ropuchy zlokalizowały już ofiary i zaczęły zapalczywie skakać w ich stronę.

Grahamowie cofnęli się. John dostrzegł zardzewiały szpadel oparty o ścianę. Chwycił

go i zabijał każdą ropuchę, która podlaźła na wyciągnięcie styliska. Dotarła do nich tylko jedna. Wskoczyła na stojące na ziemi pudło, a z pudła na Elise. Chwyciła ją zębami za koszulkę i kopiąc łapami zawisła między piersiami.

- Nie ruszaj się! - warknął do żony John.

Odstawił szpadel, zrobił dwa kroki i oderwał ropuchę od bluzki. W zębach potworka został strzęp materiału. Kiedy stworzenie wiło się, pulsowało i drżało w ręce Johna, z kła ciągle zwisał mu kawałek bawełny. Pokryta brodawkami skóra ropuchy była sucha, ale nieprzyjemnie ciepła i w jakiś sposób ruchliwa. John zacisnął dłonie w pięści, miażdżąc zwierzę. Spomiędzy palców pociekła mu krew i śluz.

Do piwnicy dostał się niecały tuzin ropuch; niebawem wszystkie były już martwe. John i Elise przytulili się do siebie i wsłuchiwali w dobiegający zza ścian nieustanny łoskot ulewy ropuch.

John powiódł wzrokiem po maleńkich okienkach piwnicy. Były brudne i ciemne. Nagle wyobraził sobie, jak musi wyglądać dom od zewnątrz; cały zagrzebany w wydmach wijących się, skaczących ropuch.

- Musimy zabezpieczyć okna - powiedział ochryple. - Pod ich ciężarem trzasną szyby, a wtedy to paskudztwo wleje się do środka.

- Ale czym? - zapytała szeptem Elise. - Czym mamy je zabezpieczyć?

John rozejrzał się i wskazał kilka starych i brudnych płyt dykty, które stały oparte o ścianę. Nie jest to dużo, ale zawsze coś - pomyślał.

- Tym - wyjaśnił. - Pomóż połamać mi je na kawałki.

Pracowali szybko i gorączkowo. W piwnicy były tylko cztery okienka. Niewielkie rozmiary futryn sprawiły, że szyby w nich wytrzymały dłużej niż w dużych oknach na górze. Kończyli właśnie zabijać ostatnie, kiedy do ich uszu dobiegł trzask pękającej za dyktą szyby... ale sama dykta wytrzymała.

Powlekli się znów na środek piwnicy. John mocno utykał z powodu złamanego palca.

Z góry schodów dotarł łoskot gryzionych przez ropuchy drzwi.

- Co będzie, jak je przegryzą? - szepnęła Elise.

- Nie wiem - odparł... i w tej chwili puściła kłapa od zsypu na węgiel.

Kłapa była od lat nie używana, ale teraz, choć solidna i mocna, pod olbrzymim naporem pękła, a do piwnicy z impetem wpłynął potok ropuch.

Tym razem Elise nawet nie krzyknęła; miała kompletnie zdarte struny głosowe.

Po tym, jak pękła kłapa zsypu na węgiel, Grahamom pozostało już niewiele czasu, ale dopóki się wszystko nie skończyło, John darł się za nich oboje.

Okolo północy ulewa ropuch w Willow osłabła, przechodząc w łagodną, skrzeczącą mżawkę.

O wpół do drugiej nad ranem na sosnę rosnącą obok jeziora spadła z ciemnego, rozgwieżdżonego nieba ostatnia ropucha. Zeskoczyła na ziemię i zniknęła w ciemności. Na kolejnych siedem lat nastał spokój.

Mniej więcej kwadrans po piątej na horyzoncie pojawiły się pierwsze zorze. Willow pokrywał wijący się, skaczący, drgający i hałaśliwy kobierzec. Budynki przy Main Street straciły narożniki i kąty. Wszystko było zaokrąglone, garbate i poprzekrzywiane. Znak drogowy z napisem: WITAMY W WILLOW W STANIE MAINE TO MIŁE MIEJSCE! wyglądał, jakby ktoś ze trzydzieści razy wypalił w niego z dubeltówki. Dziury porobiły naturalnie spadające z nieba ropuchy. Tablica przed sklepem spożywczym i z artykułami gospodarczymi, gdzie widniał napis: KANAPKI WŁOSKIE PIZZA ARTYKUŁY SPOŻYWCZE ZEZWOLENIA NA WĘDKOWANIE została w ogóle zerwana. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, ropuchy bawiły się niczym uczniowie przeskakujący przez plecy pochylonych kolegów. Na każdym dystrybutorze paliwa na stacji Donny's Sunoco odbywał się niewielki, ropuszy sejmik. Dwa stworzenia siedziały na powoli obracającym się stalowym ramieniu wiatrowskazu umieszczonego na dachu sklepu z kuchenkami gazowymi. Wyglądały jak zdeformowane dzieci na karuzeli.

Na jeziorze, w kilku kajakach, które spuszczone na wodę mimo tak wczesnej pory roku (w jeziorze Willow bez względu na to, czy miały tego roku spadać ropuchy, czy nie, przed czwartym lipca pluskali się tylko najbardziej zagorzali amatorzy pływania), piętrzyły się stosy ropuch, a ryby wprost oszalały od nadmiaru żarcia. Co chwila tu i tam rozlegało się dźwięczne plip! plip!, kiedy któraś rozpychająca się na kajaku ropucha spadała do wody i służyła za śniadanie zgłodniałemu łososiowi czy pstrągowi. Zarówno w samym miasteczku jak poza nim drogi - "w okolicy jest zbyt wiele dróg jak na takie małe miasteczko", jak powiedział Henry Eden - dosłownie wybrukowane zostały ropuchami. W Willow chwilowo nie było prądu, ponieważ spadające stworzenia pozrywały w wielu miejscach druty. Większość ogrodów również została zdewastowana, ale w mieście i okolicy nie znajdowało się zbyt wiele farm. Kilkanaście osób hodowało wprawdzie stosunkowo liczne stada mlecznych krów, ale na tę noc w porę wyprowadzono zwierzęta w bezpieczne miejsca. Właściciele mlecznych gospodarstw dobrze wiedzieli o porze deszczowej i nie chcieli, żeby hordy skaczących, krwiożerczych ropuch przetrzebiły im bydło. Bo cóż, do licha, powiedzieliby firmom ubezpieczeniowym?

Kiedy w Hempstead Place nastał świt, na dachu domu dostrzec było można sterty martwych ropuch. Te bestie, spadające z nieba jak bomby, zerwały większość rynien, a

podwórko było nimi zasłane. Stworzenia wskakiwały i wyskakiwały ze stodoły, kominy były ich pełne. Potworki nonszalancko skakały sobie przy kołach forda Johna Grahama i siedziały rechoczącymi ordynkami na przednim siedzeniu niczym wierni w kongregacji kościelnej czekający na rozpoczęcie mszy. Stosy ropuch, głównie już martwych, niczym zaspy zalegały pod ścianami budynku. Niektóre zaspy miały po dwa metry wysokości.

O szóstej zero pięć nad horyzontem pokazało się słońce. Kiedy uderzyły pierwsze jego promienie, ropuchy zaczęły się roztopiać.

Ich skóry jaśniały, stawały się białe, a następnie przezroczyste. Wkrótce nad ich ciałami unosił się opar przypominający zapachem bagienne wyziewy, a po ich skórach spływały strumyki wilgoci. Oczy stworów zapadały się w głąb czaszek lub wylażyły z oczodołów, w zależności od pozycji, w jakiej stworzenie leżało. Skóry pękały z trzaskiem i po jakichś dziesięciu minutach w całym Willow słychać było wystrzały, jakby otwierano szampany.

Później ropuchy zaczęły gwałtownie się rozkładać i zlewać w kałuże mlecznosinej shmeg, przypominającej męskie nasienie. Wsiąkały w dziury i szczeliny w dachu budynku Hempstead Place. Skapywały z nie oberwanych rynien niczym ropa.

Żywe ropuchy zdechły; zdechłe po prostu gniły, zamieniając się w ów biały płyn. Ciecz przez chwilę się pieniała, a następnie wsiąkała w ziemię. Z ziemi wydobywały się wąskie smużki pary i przez krótki czas wszystkie pola i tereny Willow wyglądały jak dogorywający wulkan.

Kwadrans po siódmej wszystko się skończyło. Teraz mieszkańcy miasta musieli tylko naprawić wyrządzone szkody.

Wydawało się to niewielką ceną za kolejnych siedem lat spokojnej egzystencji w tym zapomnianym prawie przez Boga i ludzi, cichym zakątku Maine.

Pięć minut po ósmej zdezelowane volvo Laury Stanton skręciło na podwórko sklepu spożywczego, w którym sprzedawano również artykuły gospodarcze. Kiedy Laura wysiadła z auta, wyglądała jeszcze bardziej i marniej niż zazwyczaj. Bo naprawdę była chora; w dalszym ciągu trzymała w ręce karton z sześcioma butelkami Dawson's Ale; z tym tylko, że obecnie były one puste.

Laura Stanton miała potężnego kaca.

Na werandę wyszedł Henry Eden, a za nim wyczłapał pies.

- Albo zabierzesz tego kundla do środka, albo ja robię w tył zwrot i już mnie tu nie ma - powiedziała stojąca na dole schodków Laura.

- On nie może powstrzymać tych bąków, Lauro.

- Ale to nie znaczy, że muszę słuchać, jak pierdzi. W każdym razie chwilowo. Głowa

mnie boli jak trzy skurwysyny i ostatnia rzecz, na którą mam dzisiejszego ranka ochotę, to wysłuchiwać, jak twój pies wygrywa dupą "Hail Columbia".

- Wejź do domu, Toby - mruknął Henry, przytrzymując otwarte drzwi.

Toby popatrzył na niego wilgotnymi oczyma, jakby chciał powiedzieć: Czy muszę? Tutaj jest ciekawiej.

- Wracaj do domu.

Toby zniknął w środku i Henry zamknął drzwi. Laura odczekała, aż usłyszy trzask zapadki zamka, i dopiero wtedy wspięła się na werandę.

- Tablica przed sklepem odpadła - poinformowała, wręczając mu karton z pustymi flaszkami.

- Nie jestem ślepy, kobieto - odparł Henry.

Nie był tego ranka w szczególnie dobrym nastroju. Podobnie zresztą jak kilku innych mieszkańców Willow. Ciężko zasnąć, słysząc nieustanny łoskot deszczu ropuch. Łaska boska, że taka noc następowała tylko raz na siedem lat. Inaczej ludzie by dostali zajoba.

- Zanieś te butelki do sklepu - powiedziała Laura. Odmruknął coś niezrozumiale.

- Co tam mamroczesz?

- Mówię, że powinniśmy byli mocniej ich przycisnąć - odparł buntowniczo Henry. - To było sympatyczne małżeństwo. Powinniśmy byli mocniej ich przycisnąć.

Mimo łupania w głowie Laura poczuła przyływ współczucia dla starca i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Taki jest rytuał - stwierdziła.

- Czasami mam ochotę pieprzyć rytuał.

- Henry!

Cofnęła gwałtownie rękę z jego ramienia. Na przekór samej sobie była wstrząśnięta.

Ostatecznie nie młodnieje - napomniała się w duchu. - Trybiki pod sufitem trochę zardzewiały.

- Nic mnie to nie obchodzi - upierał się. - Sprawiali wrażenie bardzo sympatycznych młodych ludzi. Ty uważasz tak samo i nie próbuj mi wmawiać, że tak nie jest.

- Uważam, że byli bardzo sympatyczni - zgodziła się. - Ale nic nie mogliśmy zrobić, Henry. Ostatecznie sam to wczoraj wieczorem powiedziałeś.

- Wiem - odparł i westchnął.

- Nie każemy im tu zostawać - stwierdziła Laura. - Przeciwnie. Ostrzegamy ich przed pozostaniem w mieście. Decyzja należy do nich. I zawsze postanawiają zostać. Ale to ich sprawa. To również część rytuału.

- Wiem - powtórzył. Odetchnął głęboko i skrzywił się. - Nie cierpię tego smrodu, kiedy to się kończy. Całe to przeklęte miasto cuchnie jak skwaśniałe mleko.

- W południe po zapachu nie zostanie śladu. Sam wiesz o tym najlepiej.

- Ayuh. Ale mam nadzieję, że kiedy się to powtórzy, ja już będę wachał kwiatki od dołu, Lauro. A jeśli nie, to mam przynajmniej nadzieję, że ktoś inny przejmie po mnie obowiązek spotykania tych, którzy pojawiają się tuż przed porą deszczową. Jak każdy człowiek, chcę zdać uczciwie rachunek, kiedy przyjdzie dzień zapłaty. Ale mówię ci, mężczyzna jest zmęczony ropuchami. Nawet jeśli przychodzą raz na siedem lat, mężczyzna jest zmęczony ropuchami.

- Kobieta również - powiedziała cicho.

- No cóż... - Westchnął i rozejrzał się. - Sądzę, że powinniśmy zabrać się do porządkowania tego bałaganu.

- Jasne - zgodziła się Laura. - I wiesz co, Henry? My nie tworzymy rytuału. My tylko postępujemy zgodnie z nim.

- Wiem, ale...

- I wszystko jeszcze może się zmienić. Nie wiadomo kiedy ani dlaczego. Może to była już ostatnia pora deszczowa? A może następnym razem nie pojawi się nikt spoza miasta i...

- Nie mów tak - powiedział z lękiem Henry. - Jeśli nikt się nie pojawi, ropuchy mogą nie odejść o świcie.

- Czy nie rozumiesz? - spytała Laura. - Musisz wraz ze mną przez to wszystko przejść.

- Cóż - odparł. - Ale to kawał czasu. Tak, tak. Siedem lat to kawał czasu.

- Tak.

- Byli bardzo sympatycznymi młodymi ludźmi, prawda? - Tak - powtórzyła.

- Coś okropnego - stwierdził z nutą żalu Henry, ale tym razem Laura nic nie odpowiedziała.

Po chwili Eden zapytał ją, czy pomoże mu zawiesić tablicę. Na przekór tępemu bólowi głowy Laura odparła, że zrobi to z chęcią. Nie znosiła, gdy Henry wpadał w przygnębienie, zwłaszcza wtedy, gdy przygnębiała go świadomość, że nie może o niczym decydować, na przykład o przyływach i odpływach lub o fazach księżyca.

Kiedy kończyli pracę, czuł się już odrobinę lepiej.

- Ayuh - westchnął. - Siedem lat to kawał czasu.

I tak jest zawsze - pomyślała. - Zawsze przychodzi pora deszczowa, a wraz z nią pojawiają się obcy. Zawsze we dwoje; zawsze kobieta i mężczyzna. I zawsze mówimy im, co się wydarzy, a oni nam nie wierzą, i dzieje się... co się dzieje.

- Chodź, stary dziadu - mruknęła. - Poczęstuj mnie herbatą, nim rozsadzi mi ten

cholerny łeb.

Przygotował herbatę i zanim skończyli ją pić, w całym mieście rozległ się stukot młotków i wizgot pił. Przez wychodzące na Main Street okno widzieli, jak ludzie reperują okiennice, rozmawiają ze sobą i śmieją się.

Powietrze było ciepłe i suche, niebo jasne, błękitne i lekko zamglone, a pora deszczowa w Willow minęła.

Mój śliczny kucyk

(My Pretty Pony)

Starzec siedział w drzwiach stodoły wypełnionej zapachem jabłek, huśtał się w fotelu na biegunach i strasznie chciał nie chcieć zapalić. Nie chciał palić nie z powodu zaleceń lekarza, ale dlatego, że ostatnio serce łopotało mu już nieustannie. Obserwował tego głupiego sukinsyna Osgooda, jak z twarzą opartą o pień drzewa szybko liczy, a następnie od-wraca się, zaklepuje Cliveya i wybucha śmiechem. Usta rozdziawił tak szeroko, że starzec mógł dostrzec jego bardzo już popsute zęby i przez chwilę zastanawiał się, jak oddech chłopaka musi śmierdzieć; niczym wyziew z najgłębszych zakamarków wilgotnej piwnicy. A przecież szczeniak miał dopiero jedenaście lat.

Starzec obserwował Osgooda, który zanosił się tym swoim rehotliwym, przypominającym ryk osła śmiechem. Chłopiec śmiał się tak serdecznie, że w pewnej chwili musiał zgiąć się wpół i oprzeć dłonie na kolanach. Śmiał się tak głośno, że reszta dzieciarni wychynęła ze swoich kryjówek, żeby sprawdzić, co się wydarzyło. Po chwili i pozostałe dzieci śmiały się jak szalone. Stały w promieniach porannego słońca, natrzęsając się z wnuka starca, który zapomniał już, jak bardzo chce mu się palić. Pragnął jedynie wiedzieć, czy Clivey zacznie płakać. Pojął, że ten problem obchodzi go bardziej niż jakikolwiek inny w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy. Obchodzi go nawet bardziej niż zbliżająca się do niego szybkimi krokami śmierć.

- Zaklepałeś go! - zawodziła roześmiana dzieciarnia. - Zaklepałeś, zaklepałeś, zaklepałeś go!

Clivey stał nieporuszony jak głaz na polu rolnika i czekał, aż przeminie huragan śmiechu i zacząną dalszą zabawę, w której tym razem on będzie krył, a niemiły początek odejdzie w nie-pamięć. Niebawem zabawa znów trwała na całego. Później przyszło południe i chłopcy porozchodzili się do domów. Starzec zastanawiał się, czy Clivey będzie miał apetyt. Chłopiec jednak tylko dłuwał widelcem w kartoflach i groszku, a niewielkie kawałki mięsa rzucał siedzącemu pod stołem psu. Stary człowiek obserwował to z zainteresowaniem, odpowiadał na pytania innych, ale nie przykładał większej wagi ani do ich słów, ani do swoich. Myślami krążył wokół chłopca.

Kiedy na stole zostały już tylko okruchy po cieście, starca znów naszła ochota na to, czego mu nie było wolno. Postanowił zatem uciąć sobie drzemkę. Idąc na górę, przystanął w

połowie schodów, ponieważ jego serce zaczęło przypominać wentylator, w który wpadła talia kart. Stał tak na stopniach z po-chyloną nisko głową i czekał, czy to jest już ten ostatni (wcześniej miał dwa). Kiedy palpacje minęły, ruszył na górę, w pokoju zdjął ubranie, został tylko w kalesonach i położył się na czystej, białej narzucie. Na jego kościsty tors padał prostokąt słonecznego światła przecięty trzema cieniami rzucanymi przez okienne ramy. Założył ręce pod głowę i próbując się zdrzemnąć, rozmyślał. W pewnej chwili, gdy wydało mu się, że z pokoju chłopca w końcu korytarza dobiega płacz, stwierdził w duchu: Powiniennem się tym zająć.

Spał godzinę, a kiedy wstał, obok niego leżała kobieta w halce. Zabrał swoje ubranie, włożył je w korytarzu i zszedł na dół.

Clivey siedział na schodkach i rzucał psu patyk, za którym zwierzę ganiało z większym zapalem, niż chłopiec rzucał. Pies (nie miał żadnego imienia, był po prostu psem) popatrzył na starca.

Ten skinął na chłopca i powiedział mu, żeby poszedł z nim do sadu.

Stary człowiek nazywał się George Banning. Był dziadkiem chłopca i to od niego Clive Banning nauczył się, jak ważną rzeczą jest mieć w życiu ślicznego kucyka. Każdy musi posiadać kucyka, choćby nawet miał alergię na konie. Bez ślicznego kucyka można mieć nawet sześć zegarów w każdym pokoju i tyle zegarków na każdej ręce, że nie da się unieść ramion, a i tak człowiek nie będzie wiedział, która godzina.

Instrukcję tę (George Banning nigdy nie dawał rad, a tylko instrukcje) Clive dostał tego dnia, gdy ten idiota, Alden Osgood, zaklepał go podczas zabawy w chowanego. W tamtych czasach dziadek Clive'a wyglądał starzej niż sam Bóg, co zapewne oznaczało, że miał siedemdziesiąt dwa lata. Gospodarstwo Banninga znajdowało się w stanie Nowy Jork w miasteczku Troy, które w roku sześćdziesiątym pierwszym uczyło się dopiero, jak nie być wsią.

Instrukcję Clive dostał w Sądzie Zachodnim.

Jego dziadek stał bez kurtki w zamieci, która nie była spóźnionym śniegiem, ale wczesnym kwieciami jabłoni. Płatki rozwiewał silny, ciepły wiatr. Dziadek miał na sobie roboczy kombinezon i koszulę z kołnierzykiem, co kiedyś zapewne była zielona, ale w dziesiątkach czy setkach prań zmieniła kolor na nieokreślenie oliwkowy. Z rozcięcia pod szyją wy-stawał brzeg podkoszulka (takiego z troczkami, oczywiście; w tamtych czasach produkowano już inną bieliznę, ale mężczyźni pokroju dziadka do końca pozostawali wierni podkoszulkom z trokami). Podkoszulek był czysty, choć miał kolor starej kości słoniowej, a nie biały jak kiedyś, ponieważ mottem babci, często powtarzanym i wyszytym nawet na wiszącej w salonie makatce (powieszanej tam zapewne na wypadek wyjątkowych okoliczności, gdy

kobiety nie było w domu i nie mogła udzielać owej drogocennej rady, której mądrość nakazywała jej wszem i wobec udzielać), było: "Używaj, używaj, nigdy nie zużywaj! Możesz drzeć! Możesz pracować! Ale miej albo strać!" Na długich, częściowo tylko posiwiałych włosach dziadka osiadały płatki kwiatów jabłoni i chłopiec pomyślał, że stojący pośród drzew owocowych dziadek wygląda przepięknie i imponująco.

Zauważył, że tego dnia starszerek bacznie obserwował ich zabawę w chowanego. Obserwował jego. Dziadek siedział w bujanym fotelu w wejściu do stodoły. Za każdym razem, kiedy fotel odchylał się do tyłu, skrzypiała deska w podłodze. Stary człowiek trzymał dłonie na rozłożonej na kolanach książce; siedział i bujał się otoczony aromatem siana, jabłek

i jabłeczniaka. I właśnie ta zabawa w chowanego sprawiła, iż dał Clive'owi Banningowi instrukcję na temat czasu; jak bardzo jest on podstępny i jak człowiek stale musi zachowywać czujność; kucyk jest śliczny, ale ma płochę serce. Jeśli się dobrze nie pilnuje tego ślicznego kuczka, w każdej chwili może dać susa przez płot i szukać wiatru w polu. Wtedy trzeba brać uzdę i gonić go. Może to być nawet wyprawa krótka, ale tak męcząca, że po powrocie do domu będą człowieka boleć wszystkie gnaty.

Dziadek zaczął instrukcję od stwierdzenia, że Alden Osgood Clive'a oszukiwał. Miał oprzeć głowę o pień uschłego wiąz, przez minutę nie patrzeć i liczyć do sześćdziesięciu. W tym czasie Clivey (dziadek zawsze tak na niego mówił, a chłopiec nic nie miał przeciwko temu, jakkolwiek odkąd skończył dwa-naście lat, stłukłby na kwaśne jabłko każdego, kto by go tak nazwał) i inne dzieci musiały znaleźć sobie odpowiednią kryjówkę. Kiedy Alden Osgood doliczył do sześćdziesięciu, Clivey ciągle jeszcze jej nie znalazł i został "zaklepany" w chwili, gdy próbował wślizgnąć się między skrzynki na jabłka złożone w nieładzie obok szopy, w środku której w półmroku majaczyła przypominająca narzędzie tortur prasa do wyciskania soku później przerabianego na jabłeczniak.

- Nie było to uczciwe - oświadczył dziadek. - Ale ty nie skowyczałeś ani nie marudziłeś i to było słuszne, ponieważ prawdziwy mężczyzna nigdy nie skowyczy ani nie marudzi; skowoty i marudzenie nie przystoją mężczyznom, a nawet chłopcom, którzy wiedzą lepiej, jak należy postępować i są wystarczająco odważni, żeby tak właśnie robić. Niemniej postępowanie Aldena było nieuczciwe. Mówię to teraz ja, ponieważ ty wtedy się nie poskarżyłeś.

We włosy starca wplątał się kolejny kwiat jabłoni. Jeszcze inny osiadł na wystających kościach obojczyków pod grdyką. Sprawiał wrażenie klejnotu, który jest piękny, ponieważ pewne rzeczy po prostu są piękne; i był wspaniały w swej nietrwałości. W każdej chwili zniecierpliwiony starzec mógł go strzepnąć na ziemię, gdzie płatek przyłączyłby się do tysięcy swoich całkiem anonimowych kolegów.

Clivey oświadczył dziadkowi, że Alden, zgodnie z regułami zabawy, doliczył do sześćdziesięciu, więc zupełnie nie rozumie, dlaczego dziadek próbuje mu na boku udowodnić coś innego.

Ostatecznie chłopiec przyniósł mu wstyd przez to, że nie zdołał w porę znaleźć kryjówki i dał się "zaklepać". Alden - który w chwilach złości potrafił jak dziewczyna dać komuś w twarz - musiał tylko zawołać: "Raz-dwa-trzy, Baba Jaga patrzy!", odwrócić się, zobaczyć Clive'a, a następnie poklepać pień uschniętego drzewa i wykrzyknąć: "Raz-dwa-trzy, Clive zaklepany!" A może dyskutował z dziadkiem o Aldenie tylko dlatego, żeby nie wracać na podwórko, żeby móc dłużej obserwować zamieć kwiatów jabłoni, których płatki osiadały na włosach starego człowieka, i podziwiać wspaniałe klejnoty w zagłębieniu jego szyi.

- Oczywiście, że tak - odparł dziadek. - Oczywiście, doliczył do sześćdziesięciu. Ale spójrz tylko na to, Clivey! Popatrz i wryj to sobie głęboko w pamięć.

W kombinezonie dziadka były prawdziwe kieszenie - aż pięć, licząc wielką jak u kangura kieszeń na piersi - ale na biodrach nie było żadnej - jedynie wycięcia przez które można było sięgnąć do kieszeni noszonych pod kombinezonym spodni (w tamtych czasach pomyśl, żeby pod spód nic nie wkładać, nie wydawał się niczym strasznym, a jedynie śmiesznym; oznaczał, że ktoś Ma Nie Najlepiej Pod Sufitem). Dziadek nie-odmiennie nosił pod kombinezonym niebieskie džinsy. "Żydowskie portki" - mawiał poważnie, podobnie zresztą jak inni farmerzy, których Clive znał i którzy nosili džinsy. Nazywano levisy "żydowskimi portkami" lub prościej, "żydłakami".

Otóż dziadek wsunął prawą rękę w wycięcie w kombinezonie, przez chwilę gmerał w kieszeni spodni, aż w końcu wydobył na światło dzienne zmatowiały, srebrny zegarek kieszonkowy i wsunął go w dłoń zaskoczonego chłopca. Zegarek był tak ciężki, że zdezorientowany Clive o mało nie wypuścił go z dłoni.

Popatrzył na dziadka szeroko rozwartymi, brązowymi oczyma.

- Tylko nie upuść go na ziemię - ostrzegł dziadek. - Chociaż jeśli nawet to ci się zdarzy, zegarek zapewne nie przestanie chodzić. Kilkakrotnie już wypadł mi z rąk, a raz, podczas jakiejś cholernej popijawy w Utica, ktoś na niego nadepnął. Zegarek jednak nie przestał chodzić. Ale jeśli stanie na dobre, twoja strata, nie moja, ponieważ od tej chwili zegarek należy do ciebie.

- Co?

Chłopiec chciał powiedzieć, że nie rozumie, ale poskromił język.

- Daję ci go - oświadczył dziadek. - Dawno już po-stanowiłem, że ci go zostawię, i niech

szlag trafi, jeśli wstawię go do testamentu. Za testament musiałbym zapłacić jakiemuś cholernemu prawnikowi więcej, niż ten zegarek jest wart.

- Dziadku... Ja... Jezu!

Dziadek tak długo się śmiał, że aż dostał ataku kaszlu. Kaszłał i śmiał się jednocześnie, a jego twarz nabrała koloru dojrzałej śliwki. Radość i zdumienie Clive'a przeszły w niepokój. Pamiętał, że matka, gdy tu jechali, nieustannie go napominała, że nie wolno dziadka męczyć, ponieważ jest ciężko chory. Kiedy przed dwoma dniami Clive zapytał - zapytał bardzo ostrożnie - na co choruje, George Banning odpowiedział jednym, tajemniczym słowem. Dopiero następnej nocy po rozmowie w sadzie, kiedy zapadał już w sen, ściskając w dłoni rozgrzany ciepłem jego ciała kieszonkowy zegarek, Clive nieoczekiwanie pojął, że słowo "tykawa" nie oznacza wcale jakiegoś groźnego robala, ale odnosi się do serca. Lekarz zabronił dziadkowi palić, oświadczając przy tym, że jeśli będzie próbował wykonywać jakiegokolwiek cięższe prace, na przykład odgarniać śnieg lub kopać w ogrodzie, skończy przygrywając aniołom na harfie. A chłopiec dobrze wiedział, co to znaczy.

- Jeśli tylko nie upuścisz go na ziemię, to zawsze będzie ci chodził i chodził - oświadczył dziadek, ale chłopiec był już na tyle duży, żeby wiedzieć, że zegarek i tak któregoś dnia stanie; wiedział, że zarówno ludzie jak zegarki pewnego dnia stają na zawsze.

Clive obserwował dziadka, ciekaw, czy teraz stanie, ale w końcu kaszel ustał, stary człowiek przestał się śmiać i ponownie wyprostował swą postać. Starł lewą dłonią sopelek z nosa i niedbale strzepnął go z palców.

- Jesteś cholernie zabawnym dzieciakiem, Clivey - powiedział. - Mam szesnastu wnuków i tylko dwóch traktuję jak kacze łajno. Ale ty do nich nie należysz, jakkolwiek pierwszy na liście również nie jesteś, lecz tylko ty potrafisz mnie rozśmieszyć tak, że aż mnie jaja bolą.

- Nie chcę, żeby bolały cię jaja, dziadku - odparł Clive, czym znów niebywale rozbawił dziadka, który tym razem jednak potrafił na tyle zapanować nad sobą, żeby nie zanieść się kaszlem.

- Okręć sobie ze dwa razy łańcuszek wokół dłoni, a od razu poczujesz się różnie - poradził dziadek. - A kiedy już poczujesz się różnie, łatwiej przyjdzie się skupić.

Clive zastosował się do tej rady i rzeczywiście poczuł się różnie. Zerknął na zawieszony na dłoni zegarek, zahipnotyzowany jego żywym mechanizmem, wizerunkiem słońca na cyferblacie, trzecią wskazówką, wskazówką sekundnika, zataczającą swoje własne, odrębne koła. Niemniej był to ciągle jeszcze zegarek dziadka; w to nie wątpił ani przez chwilę. I wtedy właśnie na szkiełko opadł płatek kwiatu, który natychmiast ześlizgnął się z gładkiej

powierzchni i poszybował na ziemię. Trwało to ułamek sekundy, ale w mgnieniu oka wszystko się odmieniło. Płatek kwiatu jabłoni potwierdził słowa dziadka; zegarek należał do Clive'a; należał na zawsze... a w każdym razie do chwili, kiedy jeden z nich, Clive albo zegarek, przesta-nie chodzić, nie da się go naprawić i trzeba go będzie wyrzucić.

- W porządku - powiedział dziadek. - Czy widzisz wskazówkę sekundnika chodzącą po oddzielnej tarczy?

- Tak.

- To dobrze. Nie spuszczaaj z niej oka. Kiedy dojdzie na samą górę, wrzasknij do mnie: "Naprzód". Rozumiesz? Clive skinął głową.

- Świetnie. A kiedy już będzie na górze, krzyknij i pozwól, żeby szła dalej, Gallagher.

Clive, marszcząc czoło, popatrzył na zegarek ze skupieniem matematyka, który stoi właśnie u progu odkrycia doniosłego równania. Rozumiał już, co dziadek chce mu pokazać, ale był na tyle bystry i rozgarnięty, żeby wiedzieć, że dowód taki jest sprawą czystej formalności... ale jednocześnie dziadek musiał ten dowód przeprowadzić. Stanowiło to rytuał; podobnie jak byłoby nie do pomyślenia wyjść z kościoła przed ostatnim błogosławieństwem, nawet jeśli ucichły już tony psalmów i msza na szczęście się skończyła.

Kiedy wskazówka sekundnika na swoim odrębnym, malutkim cyferblaciku zatrzymała się na dwunastce (Moja - pomyślał z zachwytem. - To jest moja wskazówka na moim zegar-ku), wrzasnął ile sił w płucach: "Naprzód!" i dziadek zaczął szybko liczyć, zupełnie jak prowadzący aukcję, który chce pozbyć się wątpliwej wartości przedmiotów po jak najwyższej cenie, zanim zahipnotyzowani kupcy zdążą obudzić się i uświadomić sobie fakt, że nie tylko już zapłacili za towar, ale zdążyli go odebrać.

- Raz-dwa-trzy, cztery-piń-szyść, dziesięć-dynaście - recytował dziadek z wypiekami na twarzy. Czerwone żyłki na nosie mówiły o tym, jak bardzo jest przejęty. Zakończył, chrapliwie, ale triumfalnie: - Pińdziesiontdziewińsześdziesiont!

Kiedy wypowiedział ostatnie słowo, wskazóweczka sekundnika w kieszonkowym zegarku przekroczyła dopiero siódmą kreskę oznaczającą trzydziestą piątą sekundę.

- I jak długo? - zapytał zdyszany dziadek, a potem potarł dłonią pierś.

Clive popatrzył na starca z nie skrywanym podziwem.

- To było szybkie liczenie, dziadku! Starzec wykonał lekceważący gest dłonią, którą przed chwilą pocierał pierś, ale jego twarz promieniała uśmiechem.

- Nawet w połowie nie liczyłem tak szybko, jak ten bachor, Osgood - oświadczył. - Słyszałem, że smarkacz doliczył do dwudziestu siedmiu, a następnie był gdzieś w rejonach czterdziestu jeden. - Dziadek wbił swe brązowe jak jesień źrenice w błękitne niczym Morze

Śródziemne oczy Clive'a. Położył sękatą dłoń na ramieniu wnuka. Rękę miał pokrytą guzami artretycznymi, ale chłopiec czuł bijącą z niej moc, jak w maszynie, która na chwilę przestała działać. - Zapamiętaj sobie jedno, Clivey. Czas nie ma nic wspólnego z tym, jak szybko liczysz.

Clive powoli skinął głową. Nic nie rozumiał, ale odnosił wrażenie, że drzemie w nim jakiś cień zrozumienia; jak cień chmury przesuwającej się powoli nad łąką.

Dziadek sięgnął do górnej kieszeni kombinezону i wyciągnął paczkę koolsów bez filtra. Najwyraźniej bez względu na chore serce wcale nie przestał palić. A jednak chłopiec wiedział, że dziadek rzucił palenie natychmiast; paczka koolsów wyraźnie mówiła, że nosił ją od bardzo dawna, że uniknęła losu innych paczek otwieranych po śniadaniu, a o trzeciej po południu, kiedy są już puste, gniecionych i wyrzucanych do rynsztoka; pogniecione kuleczki. Dziadek szperał chwilę w paczce i wyjął z niej równie mocno zmaltretowanego papierosa. Wsunął go w kącik ust, pudełko z powrotem schował do kieszeni na piersi, a następnie wydobyl skądś zapalkę, którą zapalił, pocierając z wprawą o zrogowaciały, żółty paznokieć kciuka. Clive patrzył na to z fascynacją dziecka obserwującego magika, któremu z pustych dłoni wytryska nagle fontanna kart. Rozbłysk płomyka go nie dziwił, ale zdumiewającą rzeczą było to, że zapalka nigdy nie gasła. A przecież w sadzie na wzgórzu zawsze wiał silny wiatr. Dziadek za każdym razem niespiesznie kulił dłonie, chroniąc wątlý ognik. Zapalał papierosa i machał zapalką, jakby po prostu negował istnienie wiatru. Clive bacznie przyjrzał się papierosowi i nie dostrzegł zwęglonej wyżej bibułki. Wzrok go nie mylił; dziadek przypalił papierosa od nieruchomego płomienia, jakby przypalał go od ognia świecy w zamkniętym pokoju. A to już były czary; oczywiste i proste. Dziadek wyjął spomiędzy warg papierosa i ściągając usta, jakby chciał gwizdnąć na psa lub taksówkarza, wsunął do ust kciuk i palec wskazujący. Wilgotnymi od śliny czubkami palców ścisnął szerniąłą główkę zapalki. Chłopiec nie potrzebował wyjaśnień: jedyną rzeczą, jakiej dziadek i jego znajomi obawiali się bardziej niż nagłych mrozów, był ogień. Starzec rzucił zapalkę na ziemię i zgniół ją obcasem. Kiedy uniósł twarz i ujrzał wlepiony w siebie wzrok chłopca, źle ocenił fascynację dziecka.

- Wiem, że nie powinienem palić - oświadczył - i nie chcę, żebyś kłamał; nie próbuję cię nawet do tego namawiać. Jeśli babcia zapyta wprost: "Czy ten dziadyga palił?", powiesz, że tak. Nie potrzebuję, żeby dzieciak przeze mnie kłamał. - Powiedział to bez uśmiechu, ale wyraz jego przenikliwych, szeroko rozstawionych oczu sprawił, że Clive ochoczo przystał na tę niewinną konspirację. - Ale gdyby babcia zapytała mnie wprost, czy kiedy dałem ci zegarek, użyłś imienia Zbawiciela nadaremno, odpowiem: "Nie". Powiem, żeś podziękował najładniej, jak umiałeś, i to wszystko.

Teraz z kolei Clive wybuchnął śmiechem, lecz stary mężczyzna skrzywił tylko twarz w

lekkim uśmiechu, ukazując nieliczne zęby, które mu jeszcze pozostały.

- Oczywiście, jeśli nikogo z nas nie zapyta, nie zgłosimy się na ochotnika, prawda, Clivey? To chyba w porządku?

- Tak - odparł Clive.

Nie był ładnym chłopcem, ale kiedy uśmiechnął się z pełnym zrozumieniem dla retorycznej sztuczki dziadka, był prawie piękny, w każdym razie w tej właśnie chwili, i stary człowiek rozwichrzył mu dłonią włosy.

- Dobry z ciebie chłopiec, Clivey.

- Dziękuję, proszę dziadka.

Dziadek stał nieruchomo, pogrążony w myślach. Kool spalał się nienaturalnie szybko (tytoń był suchy, toteż mimo że starzec z rzadka się zaciągał, ostry wiatr sam spalał papierosa) i Clive sądził, że stary człowiek powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia. Chłopiec bardzo tego żałował. Uwielbiał rozmowy z dziadkiem. Wszystko, o czym stary pan opowiadał, nieustannie Clive'a zdumiewało, ponieważ prawie zawsze słowa starca miały głęboki sens. Matka, ojciec, babcia, wujek Don - wszyscy oni mówili różne rzeczy, które zapewne po-winien był brać sobie do serca, ale rzadko kiedy miało to sens. Na przykład: dobrze jest, jak się dobrze postępuje. Co to znaczy?

Miał siostrę Patty o sześć lat od siebie starszą. Rozumiał ją, ale nie brał poważnie, bo większość z tego, co mówiła, było głupie. A resztę stanowiły różne drobne uszczypliwości. Najostrzejsze z nich określała mianem Pawka-Szczypawka. Oświadczyła bratu, że jeśli komuś wspomni o którejkolwiek Pawce-Szczypawce, to go zamordulizuje. Patty nieustannie mówiła o ludziach, których zamierzała zamordulizować. Ułożyła sobie nawet specjalną listę tych osób i zamierzała stworzyć organizację Spółka Akcyjna "Zabójstwo". Mogłoby to wydawać się śmieszne... dopóki człowiek dobrze się nie przyjrzał jej szczupłej, zaciętej twarzy. Kiedy zobaczył, co kryje się w tym obliczu, opuszczała go cała ochota do śmiechu. W każdym razie na pewno opuszczała Clive'a. Z Patty należało bardzo uważać - opowiadała głupoty, ale głupia wcale nie była.

"Nie chcę umawiać się na randki - oznajmiła niedawno przy kolacji. O tej porze roku chłopcy zapraszali dziewczęta do klubu z okazji Dnia Wiosny albo na studniówki do gimnazjum. - Wcale się nie martwię tym, że nigdy i z nikim nie umówię się na randkę".

I znad mięsa na ciepło z jarzynami spojrziała wyzywająco na siedzących przy stole.

Clive zerknął na nieruchomą i w jakiś sposób nawiedzoną twarz siostry majaczącą w obłoczku bijącej z talerza pary i przypomniał sobie pewne zdarzenie sprzed dwóch miesięcy, kiedy jeszcze na polach zalegał śnieg. Szedł korytarzem na piętrze na bosaka tak, że nie

usłyszała jego kroków. Drzwi do łazienki były otwarte, więc zajrzał do środka - nie miał zielonego pojęcia, że jest tam jego Odrażająca Siostrzyczka. Na widok tego, co ujrzał, stanął jak skamieniały. Gdyby Patty choć odrobinę odwróciła głowę w lewo, dostrzegłaby go.

Ale nie odwróciła. Zbyt pochłaniało ją oglądanie samej siebie. Była naga jak jedno z tych seksownych dziewczątek w dobrze zaczytanym magazynie Model Delights Foxy'ego Brannigana, u jej stóp leżał rzucony na podłogę ręcznik kąpielowy. Ale Patty bynajmniej nie była żadnym seksownym dziewczętkiem; co do tego zarówno ją jak i Clive'a upewnił jeden rzut oka. Po przyszczytanych policzkach dziewczyny płynęły łzy. Płynęły strumieniami, ale z ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Ostatecznie Clive na tyle zapanował nad sobą, że odszedł na palcach i nigdy nikomu - a zwłaszcza siostrze - nie wspomniał o tym, czego był świadkiem. Nie wiedział, czy wpadłaby w furję na wiadomość, że dziecko, jakim był jej brat, widziało ją z gołym tyłkiem, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby dowiedziała się, iż podejrzwał ją w chwili, gdy ryczała (choć było to ryczenie bezgłośnie), zamordulizowałyby go z całą pewnością.

"Uważam, że chłopcy są nudni, a ponadto większość z nich śmierdzi jak zleżały twaróg - oświadczyła pewnego wieczoru wczesną wiosną i wsunęła do ust nabity na widelec potężny kawałek pieczonej wołowiny. - Gdyby jakiś chłopak zaproponował mi randkę, roześmiałabym mu się w nos".

"Jeszcze zmienisz zdanie, Dynio" - odparł tata, żując mięso i nie podnosząc głowy nad książki, która leżała obok talerza.

Mama dawno już zwątpiła, że kiedykolwiek zdoła odzwyczaić go od czytania przy jedzeniu.

"Nie zmienię" - powiedziała Patty, a Clive wiedział, że dokładnie tak będzie.

Kiedy Patty coś mówiła, prawie zawsze mówiła to serio. Było coś, co o niej wiedział, a z czego nie zdawali sobie sprawy jego rodzice. Nie był tylko pewien, czy mówiła serio - tak bardzo serio - że zamordulizowałyby go, gdyby rozgadał wszystkim o Pawkach-Szczypawkach, ale tego wolał już nie sprawdzać. Wiedział jednak, że gdyby nawet go nie zabiła, wymyśliłaby jakiś szczególny i niemożliwy do wykrycia sposób, aby mu zdrowo dopiec. Tego był pewien. Ponadto czasami Pawki-Szczypawki wcale nie były kąśliwe; przypominały bardziej sposób, w jaki jego siostra głaskała należącego do niej małego pudła-mieszkańca, Brandy'ego. Clive zdawał sobie sprawę z tego, że robi to, ponieważ on sam jest zły, ale on z kolei miał swój sekret, którego z całą pewnością nie zamierzał jej wyjawiać: owe przypominające głaskanie psa Pawki-Szczypawki na swój sposób sprawiały mu przyjemność.

Kiedy dziadek otworzył usta, Clive w pierwszej chwili sądził, że usłyszy: "Czas wracać do domu, Clivey". A jednak starzec rzekł coś zupełnie innego.

- Jeśli chcesz, mogę ci o czymś opowiedzieć. Nie zajmie to dużo czasu. Czy chcesz to usłyszeć, Clivey?

- Tak, proszę dziadka!

- Naprawdę? - zapytał dziadek ze zdziwieniem.

- Tak, proszę dziadka.

- Czasami myślę, że powinienem cię podkraść twoim sta-rym i zatrzymać przy sobie na zawsze. Czasami wydaje mi się, że gdybym miał cię pod ręką cały czas, żyłbym zawsze, niezależnie od tego przeklętego serca.

Wyjął z ust papierosa, rzucił go na ziemię i zdeptał roboczym butem, pokręciwszy kilka razy obcasem. Na koniec przysypał niedopałek ziemią. Kiedy znów popatrzył na Clive'a, jego oczy lśniły.

- Już bardzo dawno temu przestałem udzielać innym rad - oświadczył. - Trzydzieści lat, albo i lepiej. Przestałem ich udzielać, kiedy się przekonałem, że udzielają ich tylko głupcy i tylko głupcy ich słuchają. Instrukcja... instrukcja to coś innego. Mądry człowiek daje je od czasu do czasu i mądry człowiek, nawet chłopiec, od czasu do czasu się do nich stosuje.

Clive milczał i wpatrywał się w skupieniu w dziadka.

- Istnieją trzy rodzaje czasu - oświadczył staruszek - i choć wszystkie obowiązują, to tak naprawdę obowiązuje tylko jeden. Chcesz poznać je wszystkie i zawsze potrafić je rozróżnić. Rozumiesz to?

- Nie, proszę dziadka.

Dziadek skinął głową.

- Gdybyś powiedział: "Tak, proszę dziadka", zerznąłbym ci tyłek i odprowadził do domu.

Clive popatrzył pod nogi, na smętne resztki dziadkowego papierosa. Twarz miał gorącą, zaczerwienioną, ale malowała się na niej duma.

- Kiedy człowiek jest takim małym szprotem jak ty, czas wlecze mu się jak ślimak. Dam ci przykład. Gdy nadchodzi maj, wydaje ci się, że koniec szkoły nigdy nie nastąpi, że nigdy nie nadejdzie połowa czerwca. Czyż nie jest dokładnie tak, jak mówię?

Clive pomyślał o ciężarze ostatnich dni roku szkolnego, o sennej, pachnącej kredą klasie i skinął głową.

- A kiedy nadejdzie już połowa czerwca i nauczyciel da ci cenzurkę, wydaje się z kolei, że nigdy nie nastąpi początek szkoły. Czyż nie jest dokładnie tak, jak mówię?

Clive pomyślał o długim jak autostrada szeregu dni i tak energicznie kiwnął głową, że aż coś strzeliło mu w karku.

- Jezu, to prawda!... To znaczy proszę dziadka.

Te dni. Te wszystkie dni, ciągnące się przez czerwiec i lipiec, kiedy sierpień znajduje się jeszcze niewyobrażalnie daleko za horyzontem. Tak wiele dni, tak wiele ranków, tak wiele lun-chów złożonych z kanapek z kiełbasą, musztardą, pokrojoną w talarki cebulą i ogromnych kubków mleka. A mama siedzi w salonie nad szklanką wina, która nie ma dna, i ogląda w telewizji opery mydlane. Wlokące się upalne popołudnia, kiedy od potu swędzi ostrzyżona na języka głowa, kiedy ten pot spływa po czole i policzkach, a kleks cienia wydłuża się w miarę upływu godzin, co zawsze niebywale zdumiewało chłopca. Tak wiele nie kończących się zmierzchów, kiedy pot wysycha bez śladu, zostawiając tylko, jak płyn po goleniu, zapach na policzkach i rękach; zmierzchów, kiedy w najlepsze jeszcze trwa zabawa w berka, w piratów i w podchody. Szczęk łańcucha rowerowego, który gładko zaskakuje na zęby przekładni, woń kapryfolium, stygnącego asfaltu, zielonych liści i ścinanej trawy, klaskanie kart z podobiznami baseballistów obu lig, rozkładanych na chodniku przez chłopaków, gdy z powagą i namaszczeniem wymieniają się tymi fotografiami. Transakcje zawierane w zapadającym powoli czerwcowym zmierzchu. Kres tym rozrywkom kładzie dopiero wołanie

“Cliiiiive, kolaaaaja!” Za każdym razem wołanie jednocześnie oczekiwane i zaskakujące, podobnie jak kleks cienia w południe, zmieniający się około trzeciej w znacznie dłuższy kontur uganiającego się po ulicy chłopca. Teraz, o piątej po południu, cień ten wydłużał się, tworząc sylwetkę dorosłego, choć wyjątkowo szczupłego i kościstego mężczyzny. Aksamitne wieczory przy telewizorze, suchy szelest kartek w książkach, jakie, jedną za drugą, połykał jego ojciec (zawsze było mu mało lektury; słowa, słowa, słowa; jego ojcu zawsze było mało lektury i pewnego razu nawet Clive chciał spytać tatę, jak mu się to nie nudzi, ale w ostatniej chwili stracił odwagę), matka, która ciągle wychodzi do kuchni, śledzona zaniepokojonym, gniewnym wzrokiem Patty i zaintrygowanym spojrzeniem syna, delikatne dzwonięcie napełnianej ponownie szklanki, tej, co od jedenastej przed południem nigdy nie bywała pusta (ojciec nie podnosił znad książki głowy, jakkolwiek Clive zdawał sobie sprawę z tego, że tata wszystko słyszy i o wszystkim wie, a Patty, gdy pewnego razu przyznał się jej do tego, nazwała go głupim tchórzem i przez cały dzień raczyła bardzo raniącymi Pawkami-Szczypawkami). Bzykanie komarów, które w miarę jak zachodziło słońce, coraz natarczywiej atakowały szyby w oknach. Później komenda: “Do łóżka”, nieprzyjemna, ale nieunikniona, a wszelkie argumenty tłumione były w zarodku. Szorstki pocałunek pachnącego tytoniem ojca. Pocałunek matki, miększy, słodki i cierpki jednocześnie, przesiąknięty wonią

wina. Ojciec wychodzący na kilka piw do pobliskiego baru, gdzie przy okazji obejrzy w telewizji walki wrestlingu. Patty, która tłumaczy matce, że powinna już iść spać, i matka odpowiadająca córce, że powinna pilnować swe-go nosa. Rozmowy przykre, ale kojące w swej przewidywalności. W mroku lśnią robaczki świętojańskie; odległy dźwięk klaksonu samochodowego, głuchy, jakby dobiegał z długiego mrocznego tunelu. I kolejny dzień, który pozornie tylko przypomina poprzedni. Lato. Takie właśnie było lato. I wcale nie wydawało się długie. Ono było długie.

Dziadek bacznie go obserwował, zdawał się odczytywać z niebieskich oczu wnuka nurtujące go myśli, zupełnie jakby wiedział, że chłopiec nie umie tego wszystkiego wypowiedzieć, nie potrafi wyartykułować słów oddających język jego serca. W końcu starzec skinął głową, potwierdzając to wszystko, co powiedział, a Clive się przestraszył, że stary człowiek powie nagle coś miłego, kojącego, coś bez znaczenia. Jasne, że mógł coś takiego powiedzieć. Na przykład: "Znam to wszystko, Clivey. Widzisz, sam kiedyś byłem dzieckiem".

Ale nic takiego nie powiedział i chłopiec zrozumiał, że wy-kazał wyjątkową głupotę, przez chwilę nawet podejrzewając dziadka o coś takiego. Gorzej, zdradził dziadka. Bo to był dziadek, a dziadek nigdy nie opowiadał bzdur jak inni dorośli. Zamiast mówić łagodnie, uspokajająco, zamiast używać miłych słów, starzec dodał sucho, z ostateczną pewnością sędziego wydającego surowy wyrok za popełnienie zbrodni głównej:

- Wszystko się zmienia.

Clive popatrzył w górę na jego twarz, trochę wystraszony tym pomysłem, i zachwyił się, że dziadek wygląda dziko, bo wiatr rozwiał mu włosy. Przyszła mu do głowy myśl, że dziadek wygląda jak kaznodzieja, który dobrze wie, a nie zgaduje tylko, jaki jest i jak wygląda Bóg.

- Jak to? Czas się zmienia?

- Tak. Gdy osiąga się pewien wiek, mniej więcej czternaście lat, kiedy to dwie połowy rasy ludzkiej popełniają ogromny błąd, odkrywając nawzajem swe istnienie, czas staje się prawdziwym czasem. Prawdziwy czas. Nie jest już tak długi, jak był, ani tak krótki, jak będzie. Zmienia się. Ale przez większość życia obowiązuje czas prawdziwy. Czy wiesz, o czym mówię, Clivey?

- Nie, proszę dziadka.

- A zatem wysłuchaj instrukcji: prawdziwy czas jest twoim ślicznym kucykiem. Powtórz: "Mój śliczny kucyk".

Oszołomiony, zastanawiając się, czy dziadek go nie nabiera ("robi cię w muła", jak powiedziała by wujek Don), Clive po-wtórzył to, o co prosił go dziadek. Podejrzewał, że starzec

wybuchnie śmiechem i powie: "Tym razem naprawdę zrobiłem cię w muła, Clivey". Ale stary człowiek skinął tylko poważnie głową, rozwiewając tym wszelkie obawy dziecka.

- Mój śliczny kucyk. Tych trzech słów, jeśli jesteś tak bystry, za jakiego cię mam, nie zapomnisz do końca życia. Mój śliczny kucyk. To jest cała prawda o czasie.

Dziadek wyciągnął z kieszeni pomietą paczkę papierosów, chwilę spoglądał na nią z zastanowieniem, po czym wsunął z powrotem do kombinezону.

- Odkąd skończysz czternaście lat, aż do... hmm... do sześćdziesiątki, większość czasu będzie właśnie moim-ślicznym--kucykiem. Później czas znów stanie się długi jak w okresie dzieciństwa, ale nie będzie to już dobry czas. Musisz zatem oddać całą duszę czasowi mój-śliczny-kucyk. Ale jeśli powtórzysz babci to, o czym ci teraz powiem, nazwie mnie bluźniercą i przez tydzień nie będzie mi przynosić do łóżka butelki z ciepłą wodą. Przez tydzień, a może i przez dwa.

Usta dziadka wykrzywiły się w gorzkim, grzesznym gry-masie.

- Gdybym powiedział to wielebnemu Chadbandowi, natychmiast usłyszałbym tyradę, że widzę świat w ciemnych barwach, albo tę starą głupotę, że niezbadane są wyroki Opatrzności. Ale tobie, Clivey, powiem, co myślę naprawdę. Myślę, że z Boga musi być kawał tęgiego skurwysyna, skoro sprawił, że dorosłym, kiedy bardzo cierpią, czas się wydłuża; na przykład wtedy, gdy mają potrzaskane żebra, poszarpane wnętrzności czy coś w tym rodzaju. W porównaniu z takim Bogiem przebijający szpilką na żywca muchy dzieciak jest świętym, na którego ramieniu sadowią się dzikie ptaki. Lekki stóg siana zamienia się nagle w twardą, ciężką skorupę żółwia i zastanawiam się, dlaczego Bóg w pierwszym rzędzie postanowił stworzyć żywe, myślące istoty. Skoro już chciał się na coś wysikać, dlaczego nie stworzył tylko sumaku? Co powiesz o starym, nieszczęsnym Johnnym Brinkmayerze, tym, co w zeszłym roku tak powoli umierał na raka kości?

Clive niewiele o tym wiedział, ale później, wracając do miasta, przypomniał sobie, że Johnny Brinkmayer, właściciel sklepu spożywczego, jak nazywali to jego matka i ojciec, a dziadek i babcia mówili "spółdzielni", był jedynym człowiekiem, jakie-go dziadek wieczorami odwiedzał... i jedyną osobą, jaka wieczorami odwiedzała dziadka. Podczas drugiej podróży do miasta dotarło do Clive'a, że Johnny Brinkmayer - przypominał go sobie bardzo mgliście jako mężczyznę z olbrzymią brodawką na czole, który nieustannie, gdy chodził, obciążał spódnie w kroku - musiał być jedynym, prawdziwym przyjacielem dziadka. A fakt, że ilekroć padało w rozmowie nazwisko Brinkmayera, dziadek odwracał twarz - i często skarżył się, że sklepikarz śmierdzi - jedynie umacniał Clive'a w tym przekonaniu.

Ale wszystkie te refleksje nie naszyły Clive'a wtedy, w ogrodzie, ponieważ chłopiec był

przejęty i czekał z zapartym tchem, aż ciśnięty ręką Boga piorun położy dziadka trupem. Za takie bluźnierstwo Bóg z całą pewnością powinien zesłać piorun. Nikomu nie mogło ująć bezkarnie nazwanie Boga Ojca Wszech-mogącego tęgim skurwysynem i przyrównanie Istoty, która stworzyła wszechświat, do trzecioklasisty, co nabija na szpilki żywe muchy.

Clive nerwowo odstąpił o krok od postaci w kombinezonie, bo nagle przestała być jego dziadkiem, a zmieniła się w piorunochron. W każdej chwili mógł z czystego, niebieskiego nieba strzelić grom i dziadek padłby na miejscu trupem, równie martwym jak psie łajno, a płonące jabłonie w sadzie oznajmiałyby światu o przekleństwie, jakie na niego spadło. Unoszone wiatrem płatki kwiecica jabłoni stałyby się zwęglonymi drobinami, jak gazety, które ojciec co tydzień, w niedzielne popołudnia, spalał w piecu na odpadki na tyłach ich domu.

Ale nic takiego się nie wydarzyło.

Clive czekał i stopniowo opuszczało go okropne przekonanie o karze boskiej, a gdy w pobliżu zagwizdał wesoło kos (jakby dziadek nie powiedział nic gorszego niż "pocałuj mnie w piętę"), chłopiec wiedział już, że żaden piorun nie uderzy. I w tej właśnie chwili, kiedy to sobie uświadomił, w życiu Clive'a Banninga zaszła niewielka, lecz fundamentalna zmiana. Pojął, iż wysłuchanie nie ukaranego bluźnierstwa, jakiego dopuścił się dziadek, nie zrobi z niego ani kryminalisty, ani chuligana; nie sprawi nawet, że stanie się tak zwanym "trudnym dzieckiem" (ukuty niedawno termin, który dopiero wszedł w modę). Jakkolwiek wiara Clive'a uległa niewielkiej tylko zmianie, jego nastawienie do dziadka zmieniło się zasadniczo. Dotąd słuchał tylko tego, co starzec mu mówił; teraz mu towarzyszył.

- Kiedy cierpisz, czas wlecze się w nieskończoność - mówił dziadek. - Wierz mi, Clivey... tydzień cierpienia sprawi, że najwspanialsze wakacje twego dzieciństwa wydadzą ci się tylko weekendem. Do licha, zaledwie sobotnim porankiem! Gdy pomyślę o tych siedmiu miesiącach, kiedy to Johnny leżał z tym... z tą rzeczą, która się w nim zaległa, zaległa i zżerała od środka... Jeeezu, nie powinienem o tym opowiadać dzieciakowi. Twoja babcia ma rację. Jestem głupi jak but.

Dziadek ze zmarszczonym czołem popatrzył na swoje buty i przez chwilę zbierał myśli. Kiedy uniósł wreszcie głowę, twarz miał już pogodną.

- Nieistotne. Powiedziałem, że dam ci instrukcję, a zamiast tego stoję tu i zawodzę jak zbita, bura suka. Czy wiesz, co to takiego zbita, bura suka?

Chłopiec przecząco potrząsnął głową.

- Nieważne; tym zajmiemy się następnym razem.

Oczywiście następnego razu już nie było. Następnym razem Clive ujrzał dziadka w drewnianej skrzyni i podejrzewał, że to właśnie była ta istotna część instrukcji, jaką dał mu

dziadek tamtego dnia. A fakt, że stary człowiek o tym nie wiedział, wcale nie umniejszał wagi tej instrukcji.

- Starzy ludzie są jak stare pociągi na stacji rozrządowej, Clivey. Za dużo tych cholernych pociągów. Tak więc muszą z pięć razy objeżdżać parowozownię, zanim dostaną się do środka.

- To racja, dziadku.

- Chodzi mi o to, że za każdym razem, kiedy zmierzam do jakiegoś punktu, trafiam w inne miejsce.

- Wiem, ale te inne miejsca są bardzo interesujące. Dziadek uśmiechnął się.

- Jeśli masz w sobie duszę artysty, Clivey, to duszę artysty pierwszorzędnego.

Clive odpowiedział uśmiechem i najwyraźniej mroczne wspomnienie o Johnnym Brinkamyerze opuściło dziadka. Kiedy stary człowiek ponownie się odezwał, mówił bardziej rzeczowo.

- Dobrze, zapomnijmy o tym. Ów dłużący się czas w cierpieniu jest czymś ekstra, co Bóg dodatkowo nam dorzuca. Wiesz, jak ludzie zbierają kupony dołączane do papierosów Raleigh i wymieniają je później na mosiężne barometry, które wieszają w mieszkaniach, albo na nowy zestaw noży do mięsa.

Clive skinął głową.

- No cóż, dokładnie taki sam jest właśnie czas cierpienia... z tym tylko, że kupujemy go za znacznie bardziej frajerską cenę, jak byś ty to określił. Przede wszystkim chodzi o to, że w miarę starzenia się człowieka normalny czas, czas mój-śliczny-kucyk, zmienia się w czas krótki. To tak, jakbyś był dzieckiem, tyle że odwrotnie.

- Do tyłu.

- Właśnie.

Pomyśl, że czas upływa szybciej, gdy człowiek się starzeje, był poza możliwością pojmwania chłopca, ale Clive miał dość oleju w głowie, żeby go zaakceptować. Wiedział przecież, że jeśli jedna strona huśtawki idzie w górę, druga musi opaść. Pojmował, że to, o czym opowiada mu dziadek, zasadza się na tym samym. Waga i przeciwwaga. Zgoda, to zależy, z której strony na to spojrzeć - powiedziałby ojciec chłopaka.

Dziadek ponownie wyciągnął z kangurzej kieszeni paczkę koolsów i tym razem ostrożnie wyjął z niej papierosa. Nie był to ostatni papieros w paczce, ale ostatni, jaki Clive widział w ustach dziadka. Następnie starzec schował paczkę tam, skąd ją wyciągnął. Swego ostatniego papierosa zapalił z równą łatwością jak poprzedniego. Wcale nie ignorował wiejącego na wzgórzu wiatru; po prostu zaprzeczał jego istnieniu.

- Dziadku, kiedy to się dzieje?

- Tego ci dokładnie powiedzieć nie potrafię, ale nie zdarza się to tak od razu - odparł dziadek i jak poprzednio poślinił zapałkę. - To się skrada, jak kot do wiewiórki. W końcu zaczynasz to dostrzegać. Ale kiedy już to zobaczysz, okaże się to równie ucziwe jak liczenie twego Osgooda.

- No dobrze, ale co się wtedy dzieje? Jak można to dostrzec?

Dziadek, nie wyjmując z ust papierosa, trącił go palcem, strzepując wałeczek popiołu. Zrobił to kciukiem, jak się stuka palcem w stół. Chłopiec nigdy nie zapomniał tego cichutkiego dźwięku.

- Myślę, że jest to sprawa indywidualna - wyjaśnił sta-rzec. - U mnie zaczęło się to w wieku czterdziestu lat. Nie pamiętam dobrze ilu, ale dokładnie wiem, gdzie mnie to dopadło... w sklepiku Davisa. Znasz to miejsce, prawda?

Clive skinął głową.

Ojciec, ilekroć byli u dziadków, zawsze zabierał tam jego i Patty na lody. Tata nazywał to Potrójnym Wanczetrusk, ponieważ zamówienie zawsze było takie samo: dla ojca lody waniliowe, dla Patty czekoladowe, dla Clive'a truskawkowe. I nieodmiennie ojciec siedział między nimi i czytał, a oni pochłaniali lodowato zimne słodycze. Patty miała rację twierdząc, że gdy ojciec czyta, można płatać najbardziej zwariowane figle, co zresztą miało miejsce prawie cały czas, ale kiedy już odkładał książkę i rozglądał się, należało siedzieć jak trusia i wykazywać się dobrymi manierami; w przeciwnym razie łatwo było zarobić zdrowego klapsa.

- Wstąpiłem do sklepu Davisa - powiedział dziadek, wbił wzrok w niebo i zaczął studiować chmurę, która przypominała kształtem szybko poruszającego się po wiosennym niebie żołnierza grającego na trąbce. - Chciałem twojej babci kupić lekarstwo na artretyzm. Przez cały tydzień łało i kości bolały ją jak wszyscy diabli. Natychmiast zauważyłem, że zmieniono wystrój wnętrza. Trudno zresztą było nie zauważyć. Nowe dekoracje zajęły całe boczne przejście. Wisiały tam maski, wycinanki z kartonu przedstawiające czarne koty, wiedźmy na miotłach i inne tego rodzaju rzeczy. Dostrzegłem również kartonowe dynie. Dostarczano je w opakowaniach z dołączonymi pelerynkami. Pomysł zasadzał się na tym, że dzieciak wyciągał dynię z pudełka, a jego mama miała przez całe popołudnie spokój, gdyż jej pociecha najpierw tę dynię kolorowała, a później szła się nią bawić na podwórku. Po pomalowaniu dyni można ją było zawiesić przy drzwiach domu albo, jeśli rodzina była zbyt biedna, żeby kupić dzieciakowi maskę w sklepie, lub za głupia, by pomóc mu wykonać kostium z tego, co było w domu, przyczepiało się pelerynkę do dyni i już dziecko, kiedy nadchodził wieczór Halloween, miało gotowy strój. Wiele dzieciaków chodziło w takich właśnie

przebraniach kupowanych w sklepie Davisa. No i oczywiście można tam było dostać słodycze. Obok dystrybutora z wodą sodową znajdował się kontuar z tanimi słodyczami. Pewnie go widziałeś...

Clive uśmiechnął się. Jasne, że widział.

- ...ale ten był inny. Słodycze sprzedawano nie na sztuki, ale w całych zestawach. Każda paczka zawierała landrynki, rozpuszczalną gumę do żucia, słodką, prażoną kukurydzę, puszkę z bezalkoholowym korzennym piwem i sznury lukrecji.

W pierwszej chwili pomyślałem, że staremu Davisowi - istniał inny jeszcze Davis, ojciec tego Davisa, którego znasz; to on chyba w tysiąc dziewięćset dziesiątym właśnie otworzył sklep i w tamtych latach go prowadził - poprzestawiały się w łepetynie klepki. Jasny gwint, pomyślałem, jeszcze nawet lato się nie skończyło, a on już wystawia trick-or-treat . Chciałem podejść do lady, za którą wypisywał jakieś rachunki, i powiedzieć mu na ten temat kilka słów, ale coś mnie wstrzymało, coś zawołało pod czaszką: "Zaczekaj chwileczkę George... to tobie się klepki w łepetynie poprzestawiały". I nie było to wcale dalekie od prawdy, Clivey, ponieważ lato dawno już minęło i wiedziałem o tym równie dobrze jak o tym, że teraz tu stoimy. Widzisz, chcę, żebyś to właśnie zrozumiał. Przecież ja wiedziałem.

Czyż nie poszukiwałem już w miasteczku chętnych do zbierania jabłek? Czyż nie wysłałem już do Kanady pięciuset ulotek reklamowych z formularzami zamówień? I czyż nie interesowałem się już Timem Warburtonem, facetem, który w poszukiwaniu pracy zawędrował do nas z Schenectady? Miał coś w sobie, sprawiał wrażenie uczciwego i myślałem, że będzie dobrym nadzorcą podczas zbiorów. Czyż lada dzień nie zamierzałem zaproponować mu pracy, i czyż on sam nie wiedział, że mam zamiar go zatrudnić? Przecież już nawet elegancko się ostrzygł! Powiedziałem do siebie: "George, chłopie, czy nie jesteś jeszcze trochę za młody, żeby grzybieć? Co z tego, że stary Frank wystawił słodycze na Halloween trochę wcześniej. Ale lato? Lato dawno minęło, koleś!"

Doskonale o tym wiedziałem, Clivey, ale przez sekundę - a może przez cały szereg sekund - wydawało mi się, że jest lato albo że musi jeszcze być lato, ponieważ było po prostu lato. Łapiesz, o co mi chodzi? Nie zajęło wiele czasu, żeby pojąć, że już wrzesień, ale zanim do tego doszedłem, czułem... rozumiesz, czułem... - Zmarszczył brwi, a następnie wydusił z siebie słowo, które znał, ale którego nigdy nie używał w rozmowie z innymi farmerami, żeby nikt nie powiedział (zwłaszcza jego najbliżsi koledzy rolnicy), że zadziera nosa. - Czułem się skonsternowany. To jedyne, cholerne słowo, które oddaje to, co czułem. Konsternacja. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy.

Spojrzał na chłopca, który słuchał jego słów w takim skupieniu, że nawet nie skinął

głową. Zatem dziadek kiwnął głową za obu i strącił kciukiem kolejny wałeczek popiołu. Clive zauważył, że dziadek tak był zagłębiany w myślach, że całego prawie papierosa wypalił za niego wiatr.

- Było to tak, jakbym podszedł do lustra się ogolić i ujrzał we włosach pierwszy siwy włos. Łapiesz to, Clivey?

- Tak.

- W porządku. Po tym pierwszym razie zaczęło się dziać podobnie ze wszystkimi świętami. Myślałem, że za wcześnie wystawiają towar, czasami nawet coś komuś na ten temat napomknąłem, ale raczej zachowywałem ostrożność w wypowiedaniu swych sądów, że właściciele sklepów są po prostu chciwi. To z nimi było coś nie tak, nie ze mną! Łapiesz?

- Tak.

- Zachłanny właściciel sklepu był kimś, kogo człowiek rozumiał - ciągnął dziadek. - Niektórzy nawet ich podziwiali, jakkolwiek ja do tych ludzi nigdy nie należałem. "Taki to a taki ma wprawę" - mawiano, jakby wprawa taka była czymś chwalebny. Na przykład rzeźnik Radwick, który zawsze przyciskał kciukiem wagę. Ja osobiście nigdy bym tak nie postępował, ale mogłem go zrozumieć. Lecz wygadywanie rzeczy, na podstawie których ludzie powiedzą, że z moją głową jest coś nietęgo... cóż, to już inna para kaloszy. Mogłem powiedzieć: "Na Boga, oni wyciągną bombki choinkowe i anielskie włosie jeszcze przed sianokosami", a każdy, kto by to usłyszał, powiedziałby, że to święta prawda, ale wcale to nie była święta prawda, bo kiedy dokładnie wszystko sobie prze-myślałem, Clivey, dochodziłem do wniosku, że rokrocznie wyciągają te rzeczy tuż przed świętami.

Następnie spotkała mnie kolejna przygoda. Stało się to w pięć albo siedem lat później. Wydaje mi się, że miałem wtedy około pięćdziesiątki, ale głowy nie dam. Tak czy siak, powołano mnie na sędziego przysięgłego. Chciało mi się jak psu do studni, ale poszedłem. Zastępca szeryfa zaprzysięgł mnie, zapytał, czy będę pełnił swe obowiązki zgodnie z głosem sumienia, a ja odparłem, że tak; jakbym przez całe życie po-stępował inaczej. Wtedy zastępca wyciągnął pióro i zapytał mnie o mój adres. Podałem. Następnie spytał, ile mam lat. A ja otworzyłem usta, żeby z całym przekonaniem odpowiedzieć, że mam ich trzydzieści siedem.

Dziadek zadarł głowę i roześmiał się do chmury przypominającej żołnierza. Obłoczek, który pełnił rolę trąbki, rozdał się już do rozmiarów trąbity i przepłynął z jednej strony nieba na drugą.

- Dlaczego chciałeś tak powiedzieć, dziadku? - zapytał Clive.

Myślał już, że wszystko rozumie, ale nagle znalazł się w gęstym lesie.

- Chciałem tak odpowiedzieć, bo to mi pierwsze przyszło

do głowy! Do licha! Przecież wiedziałem, że tak wcale nie jest, i zwlekałem chwilę z odpowiedzią. Nie sądzę, żeby szeryf czy ktokolwiek w sali sądowej cokolwiek zauważył, bo większość zgromadzonych sprawiała wrażenie, że śpi lub drzemie, ale nawet gdyby byli tak czujni jak ów facet, który wetknął sobie w tyłek kij od miotły należącej do wdowy Brown, nie jestem pewien, czy by to spostrzegli. Moje wahanie trwało chwilę, nie dłużej niż podwójny zamach przy chytrym rzucaniu piłki. Ale to głupstwo. Pytanie człowieka o jego wiek nie jest żadnym grzechem. Czułem się jak głupol. Skoro nie miałem trzydziestu siedmiu lat, to nie wiedziałem już, ile ich mam. Przez ułamek sekundy mogłem ich mieć równie dobrze siedem, siedemnaście albo i siedemdziesiąt siedem. Ale ostatecznie zebrałem jakoś myśli i oświadczyłem, że czterdzieści osiem czy pięćdziesiąt jeden; sam już nie pamiętam. Ale zapomnieć, ile ma się lat, nawet na chwilę... szuuul

Dziadek rzucił papierosa pod nogi, przygniótł go obcasem, po czym przystąpił do rytuału mordulizowania niedopałka i zagrzebywania go w ziemi.

- Ale to był zaledwie początek, Clivey, mój synu - rozpoczął dalszą opowieść dziadek i choć czasami wpadał w irlandzki żargon, chłopiec pomyślał: Chciałbym być twoim synem. Twoim, nie jego. - Po pierwszym razie następuje drugi raz i zanim się człowiek obejrzy, czas wchodzi na wysokie obroty, a już pędzi do przodu, jak ci faceci na autostradach, którzy tak szybko gnają w swych samochodach, że pęd ich maszyn strąca jesienią liście z rosnących przy drodze drzew.

- O co ci chodzi, dziadku?

- Najgorsze są zmiany pór roku - odparł zadumany głosem, jakby nie dosłyszał pytania wnuka. - Inna pora roku przestaje być inną porą roku. Zaledwie matka zdążyła zdjąć ze strychu ciepłe buty, rękawiczki i szaliki, a tu już nadchodzą wiosenne roztopy. Człowiek myśli, że z radością przywita czas, kiedy już te sloty miną... do diabła, ja zawsze czekałem na to z utęsknieniem... ale ostatecznie wcale się nie cieszy, gdy widzi, że nie zdążył jeszcze wyciągnąć traktora z pierwszego blocka, w którym maszyna utknęła, a tu już te pluchy dawno minęły. Później, zaledwie zdążysz włożyć słomkowy kapelusz, żeby pójść na pierwszy letni koncert orkiestry, a tu już osiki pokazują halki.

Stary człowiek popatrzył na Clive'a z ironicznie uniesioną brwią, jakby spodziewał się, że chłopiec poprosi go o bliższe wyjaśnienia. Ale Clive uśmiechnął się tylko, słysząc to porównanie. Dobrze wiedział, co to halka, ponieważ czasami jego matka chodziła w halce aż do piątej po południu, a w każdym razie do czasu powrotu ojca z podróży, podczas której sprzedawał akcesoria i naczynia kuchenne, a przy okazji, kiedy miał czas, dorabiał jako agent ubezpieczeniowy. Kiedy tylko jego ojciec wyjeżdżał w trasę, matka zasiadała do picia i czasem

piła na tyle poważnie, że nie zdążyła się ubrać aż do zachodu słońca. Kiedy w końcu się ubierała, wychodziła odwiedzić chorą przyjaciółkę, a Clive'a zostawiała pod opieką Patty. Kiedyś chłopiec powiedział do siostry: "Czy zauważyłaś, że ta przyjaciółka mamy choruje zawsze, gdy tata wyjeżdża?" Patty wybuchnęła takim śmiechem, że po policzkach popłynęły jej łzy. "Tak - powiedziała. - Zauważyłam. Wtedy zawsze bardzo ciężko choruje".

Słowa dziadka przypomniały mu, że w dniach, gdy zbliżał się już początek roku szkolnego, osiki nieco się zmieniały. Kiedy wiał wiatr, spodnie strony liści przybierały barwę najpiękniejszej halki jego matki. Srebrzysty kolor, zaskakująco smętny i zarazem pełen uroku; kolor, który oznaczał koniec czegoś, co wydawało się, iż będzie trwać zawsze.

- I wtedy - ciągnął dziadek - zaczynasz się we wszystkim gubić. Tylko trochę, nie za bardzo; nie jest to jeszcze, dzięki Bogu, zgrzybienie, jak u starego Haydena, który mieszka dalej przy naszej drodze... ale to paskudna rzecz, tak we wszystkim się gubić. Nie jest to zapomnianie. Nie, wszystko pamiętasz, tyle, że niewłaściwie umiejscawiasz. Na przykład ja byłem najgłębiej przekonany, że rękę złamałem zaraz po śmierci Billy'ego, co zginął w wypadku drogowym w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku. To również była paskudna sprawa. Rozmawiałem o tym z wielebnym Chadbandem. Billy jechał za ciężarówką wiozącą tłuczeń, jechał najwyżej czterdzieści kilometrów na godzinę. Z lory spadł kamień nie większy niż tarcza zegarka kieszonkowego, który ci podarowałem, uderzył w drogę, odbił się i wyrznął w przednią szybę naszego forda. Roztrzaskane szkło weszło Billy'emu do oczu i doktor powiedział, że gdyby nawet przeżył, byłby ślepy na jedno oko; a może straciłby oba. Ale Billy nie przeżył. Jego samochód

zjechał gwałtownie z drogi i uderzył w słup. Przewody elektryczne pękły, druty spadły na dach auta i Billy usmażył się jak seryjny zabójca na krześle elektrycznym w Sing Singu. A przecież najgorszą rzeczą, jaką zrobił w życiu, to raz, kiedyśmy uprawiali jeszcze fasolę, udawał chorego, gdy trzeba było skopać pod nią w ogrodzie grządki.

Ale odszedłem od tematu. Mówiłem o tym, jak byłem pewien, że tę przeklętą rękę złamałem po wypadku, i zaklinałem się na wszystkie świętości, iż na pogrzebie miałem już ramię w gipsie! Dopiero gdy Sarah pokazała mi najpierw rodzinną Biblię, a następnie papiery z ubezpieczalni, uwierzyłem, że to ona ma rację. Rękę złamałem całe dwa miesiące przed wypadkiem i na pogrzeb Billy'ego poszedłem już bez gipsu. Sarah nawymyślała mi od starych durniów. Wpadłem w taką wściekłość, że chciałem jej przyłożyć. Wpadłem w dziką wściekłość, ponieważ byłem zakłopotany, ale w końcu zdrowy rozsądek wziął we mnie górę i nie podniosłem na Sarah ręki. Ona z kolei była na mnie wściekła dlatego, że nie zносиła wspomnień o Billym. Był jej solą w oku.

- Boże! - powiedział Clive.

- Nie jest to miłe. Bardziej przypomina spacer po Nowym Jorku, gdzie zaczepiają cię faceci grający w trzy karty. Zakładają się z tobą, że nie odgadniesz, która karta jest czerwona. Ty jesteś pewien, że odgadniesz, ale oni tak cwano i tak choler-nie szybko przekładają te karty, że za każdym razem robią z ciebie głupka. Zaczynasz się w tym gubić, a mimo to nie jesteś w stanie niczemu zaradzić.

Starzec westchnął i rozejrzał się, jakby chciał przypomnieć sobie, gdzie są. Na twarzy pojawiła mu się taka bezradność, że chłopiec z jednej strony poczuł niesmak, a z drugiej się wystraszył. Nie chciał żywić do dziadka takich uczuć, ale nie był w stanie temu zaradzić. Zupełnie jakby stary człowiek odwinął bandaż i pokazał chłopcu wrzód, który stanowi pierwszy symptom jakiejś odrażającej choroby. Na przykład trądu.

- Wygląda na to, że wiosna zaczęła się w zeszłym tygodniu - powiedział dziadek - ale do jutra, jeśli wiatr dalej będzie wiał z taką siłą, nie zostanie już ani jeden kwiat i niech mnie pokręci, jeśli tak się właśnie nie stanie. Człowiek nie potrafi zapanować nad gonitwą myśli, gdy świat toczy się w takim tempie. Nie może zawołać: "Ej, zaczekaj chwilę, stary

idioto! Muszę się w tym wszystkim pokapować!", bo nie ma do kogo. To tak jak jazda furką bez woźnicy, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. I co ty na to, Clivey?

- No cóż - odparł chłopiec. - Masz, dziadku, rację w jednym. Wszystko to musiał wymyślić jakiś głupol.

Wcale nie chciał, aby zabrzmiało to zabawnie, ale dziadek wybuchnął takim śmiechem, że jego twarz znów nabrała niepokojąco purpurowej barwy. Tym razem starzec nie tylko pochylił się i wsparł dłonie na kolanach, ale jeszcze, żeby utrzymać równowagę, objął chłopca za szyję. Obaj z pewnością by się przewrócili, gdyby dziadek nie przestał charczeć i kaszleć, dokładnie w chwili, kiedy chłopiec nabrał już pewności, że z nabrzmiałej, purpurowej od śmiechu twarzy starca wytryśnie krew.

- Nie jesteś już takim pobożnisiem! - powiedział w końcu dziadek, prostując się. - Już nie jesteś!

- Dziadku, dobrze się czujesz? Może powinniśmy...

- Cholera jasna, wcale się dobrze nie czuję. W ciągu ostatnich dwóch lat miałem dwa zawały i jeśli przeżyję jeszcze dwa następne, fakt ten nikogo nie zdziwi bardziej niż mnie. Ale to dla rasy ludzkiej nic nowego, chłopcze. Wszystko, co chcę ci powiedzieć, to to, że czy człowiek stary, czy młody, czy szybki upływ czasu, czy powolny upływ czasu, to ten człowiek będzie kroczył prosto, jeśli tylko zachowa pamięć o kucyku. Jeśli licząc, pomiędzy każdą liczbą powiesz "mój śliczny kucyk", czas będzie tylko czasem. Jeśli tak zrobisz, utrzymasz dupka w

stajni. Nie możesz jednak bez przerwy liczyć; nie taki jest plan Boga. A mnie i tego gamonia o tłustej facjacie, Chadbanda, i tak już wtedy powiozą alejką. Ale musisz pamiętać, że to nie ty posiadasz czas, a czas ciebie. Stale idzie obok ciebie równym krokiem. Obchodzisz go tyle, co wysikana w śniegu dziura, ale to nieważne, jeśli masz tego ślicznego kucyka. Jeśli masz ślicznego kucyka, Clivey, trzymasz skubańca krótką ręką i masz gdzieś wszystkich Aldenów Osgoodów. Pochylił się w stronę Clive'a Banninga.

- Rozumiesz to?

- Nie, proszę dziadka.

- Wiem, że nie rozumiesz. Ale zapamiętasz?

- Tak, proszę dziadka.

Oczy dziadka Banninga tak długo i tak przenikliwie obserwowały chłopca, że ogarnął go niepokój i zniecierpliwienie. W końcu starzec skinął głową.

- Cóż, sądzę, że zapamiętasz. Niech mnie pokręci, jeśli myślę inaczej.

Chłopiec nic nie odpowiedział. Tak naprawdę nie przychodziła mu do głowy żadna odpowiedź.

- Dostałeś instrukcję - oświadczył dziadek.

- Skoro nie rozumiem, to nie dostałem żadnej instrukcji! - wykrzyknął Clive z takim gniewem, że sam był zaskoczony. - Nic nie dostałem!

- Chrzańcie zrozumienie - odparł spokojnie starzec.

Objął chłopca za szyję i przygarnął do siebie. Przygarnął po raz ostatni, ponieważ w miesiąc później babcia miała znaleźć dziadka w łóżku martwego jak kamień. Po prostu się obudziła i był tam dziadek, ale jego kucyk przeskoczył ogrodzenie i po-galopował na wszystkie pagórki świata.

Płochę serce, płochę serce. Śliczny, ale o płochym sercu.

- Zrozumienie i instrukcja są kuzynami, którzy nigdy nie dali sobie buzi - oświadczył dziadek tamtego dnia, kiedy stali pośród jabłoni.

- A więc jaka jest instrukcja?

- Pamięć - wyjaśnił pogodnie dziadek. - Będziesz pamiętał o kucyku?

- Tak, proszę dziadka.

- Jak ma na imię? Chłopiec chwilę milczał.

- Myślę... że czas.

- Dobrze. A jakiego jest koloru?

Tym razem chłopiec namyślał się dłużej. Otworzył swój umysł, jak irys otwiera w mroku swój kielich.

- Nie wiem - powiedział w końcu.

- Ja też nie wiem - odrzekł starzec i wypuścił chłopca z objęć. - Nie sądzę, żeby miał jakikolwiek kolor, i nie sądzę, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Ale wiesz, co się liczy?

- Tak, proszę dziadka - odparł natychmiast chłopiec. Lśniące, rozgorączkowane oko okiełznało umysł i serce chłopca niczym wędzidło.

- Jaki?

- Będzie śliczny - odparł Clive Banning z pełnym przekonaniem.

Dziadek uśmiechnął się.

- Proszę! - powiedział. - Clivey dostał niewielką instrukcję, która sprawi, że będzie mądrzejszy i bardziej błogosławiony... albo wręcz przeciwnie. Czy masz ochotę, chłopcze, na placek brzoskwiniowy?

- Tak, proszę dziadka.

- Zatem co tu jeszcze robimy? Wracajmy do domu!

Wrócili.

A Clive Banning nigdy nie zapomniał imienia, które brzmiało czas, i koloru, który nie miał żadnej barwy, i wyglądu, który nie był ani brzydki, ani ładny... a jedynie śliczny. Nie zapomniał również jego natury, która była płocha, ani tego, co powiedział dziadek w drodze powrotnej, słów, których prawie nie dosłyszał, bo porwał je wiatr: "Lepiej mieć kucyka i na nim jechać, niż nie mieć go wcale; niezależnie od tego, jakie ma serce".

Przepraszam, to nie pomyłka

(Sorry, Right Number)

AKT I

WNĘTRZE: *Ekran jaśnieje. Usta Katie Weiderman. Maksymalne zbliżenie. Katie rozmawia przez telefon. Piękny rysunek ust; w ciągu kilku następnych sekund przekonamy się, że cała jej reszta również jest nie mniej urocza.*

KATIE

Bili? Och, twierdzi, że wcale nie czuje się najlepiej, ale z nim tak jest zawsze, gdy skończy jedną książkę i musi zacząć drugą... Nie może spać, wydaje mu się, że każdy ból głowy stanowi pierwszy symptom guza mózgu... ale jak już wymyśli coś no-wego, szybko wraca do normy.

DŹWIĘK: *W tle gra telewizor.*

Odjazd kamery. Katie siedzi w kuchni w kąciku z telefonem. Ze swadą rozmawia ze swoją siostrą i odruchowo kartkuje leżące na stoliku katalogi. Należy zwrócić uwagę, że nie jest to zwyczajny telefon. Aparat posiada dwie linie. W jego obudowie znajdują się podświetlane guziki wskazujące, która linia jest zajęta. Teraz pali się tylko jedno światelko - należące do Katie. W miarę jak Katie ciągnie rozmowę, kamera oddala się i jedzie przez kuchnię, mija drzwi zwieńczone ostrym lukiem i wjeżdża do bawialni.

KATIE (jej głos stopniowo zamiera)

Och, Janie Charlton! Widziałam ją dzisiaj... tak! Wielka jak dom!...

Twarz Katie znika. Dźwięk telewizora staje się głośniejszy. W pokoju znaj-duje się troje dzieci: ośmioletni Jeff, dziesięcioletnia Connie, trzynastoletni Dennis. W telewizji idzie wiośnie "Kolo fortuny", ale nikt nie ogląda pro-gramu. Wszyscy biorą udział w najwspanialszej zabawie: Klótnia O To, Co Oglądać Później.

JEFF

Daaaj spokój! To jego pierwsza książka!

CONNIE

Jego pierwsza wielka książka.

DENNIS

Posłuchaj Jeff, będziemy jak zwykle oglądać Cheers and Wings.

Dennis mówi tak kategorycznie, jak może mówić tylko starszy brat. Wyras jego twarzy dopowiada: "Jeff, chcesz jeszcze na ten temat pogadać i prze-konać się, jaki ból zadam twemu cherlawemu ciału?"

JEFF

To może przynajmniej nagrajmy to na wideo?

CONNIE

Na wideo nagrywamy dla mamy program CNN. Powiedziała, że jeszcze chwilę porozmawia z ciocią Lois.

JEFF

Boziu, jak można nagrywać CNN? Przecież to się nigdy nie skończy!

CONNIE

Jeffie, Jeffie, Jeffie.

Jeff zrywa się z miejsca, podchodzi do okna i wygląda w ciemność. Jest mocno wytrącony z równowagi. Dennis i Connie, zgodnie z najlepszymi tradycjami starszych braci i sióstr, są tym zachwyceni.

DENNIS

Biedny Jeffie.

CONNIE

Myślę, że popełni samobójstwo.

JEFF (*odwraca się w ich stronę*)

To była jego pierwsza książka. Czy nic was to nie obchodzi?

CONNIE

Jeśli chcesz się przekonać, jaki to paskudny film, weź go sobie jutro w wypożyczalni.

JEFF

Takich filmów nie wypożyczają małym dzieciom i dobrze o tym wiesz!

CONNIE (*z rozmarzeniem*)

Zamknij się, to Yanna! Uwielbiam Yannę!

JEFF

Dennis...

DENNIS

Dlatego właśnie to lubi.

CONNIE

I nie mów "Boziu", Jeffie. Jesteś za smarkaty, żeby poza kościołem mówić o Panu Bogu.

JEFF

Nie mów do mnie "Jeffie".

DENNIS

Idź do taty i poproś, żeby nagrał ci na swoim wideo w gabinecie. I przestań już być takim namolnym, małym smarkiem.

Jeff przechodzi przez pokój. Mijając telewizor, pokazuje język Yannie White. Kiedy wchodzi do kuchni, kamera jedzie za nim.

KATIE

...więc kiedy mnie zapytał, czy u Poily test na paciorkowce wypadł pozytywnie,

musiałam mu przypomnieć, że jest w szkole przygotowującej do college'u... Boże, Lois, jak mi jej bra-kuje...

Jeff przechodzi przez kuchnię, kierując się w stronę schodów.

KATIE

Dzieciaki, czy możecie być ciszej?

JEFF (*ponuro*)

Teraz będą już cicho.

Wchodzi po schodach nieco strapiony. Katie spogląda za nim z miłością i niepokojem.

KATIE

Bez przerwy się kłóć. Poily trzymała ich trochę w ryzach, ale teraz, gdy wyjechała do szkoły... Nie wiem... może wysłanie jej do Bolton nie było najlepszym pomysłem. Czasami, kiedy dzwoni do domu, sprawia wrażenie tak nieszczęśliwej...

WNĘTRZE: *Bella Lugosi w roli Draculi. Zbliżenie. Dracula stoi w bramie swego zamku w Transylwanii. Ktoś dorysował mu śmieszny wychodzący z ust dymek, na którym napisał: „Posłuchajcie! To moje dzieci nocy! Jakąś tworzą muzykę!” Plakat umieszczony jest na drzwiach, ale my widzimy go tylko przez chwilę, kiedy Jeff otwiera te drzwi i wchodzi do gabinetu ojca.*

WNĘTRZE: *Fotografia Katie. Zbliżenie. Kamera stoi nieruchomo, a następnie powoli obraca się w prawo. Mijamy kolejne zdjęcie, tym razem Poily, córki, która wyjechała do szkoły. Jest śliczną dziewczyną w wieku mniej więcej szesnastu lat. Po Polly jest Dennis... później Connie... później Jeff. Kamera ciągle się obraca, a zarazem cofa tak, że pole widzenia się rozszerza. Widzimy Billa Weidermana, mężczyznę w wieku około czterdziestu czterech lat. Sprawia wrażenie zmęczonego. Patrzy w komputer, ale kryształowa kula jego umysłu musi krążyć gdzieś w nocnym mroku, ponieważ ekran jest pusty. Na ścianach widzimy oprawione w ramki okładki książek. Wszystkie traktują o duchach. Jedna z nich nosi tytuł “Pocałunek upióra”. Jeffna palcach podchodzi od tyłu do ojca. Dywan tłumi odgłos kroków. Bili wzdycha i naciska kilka klawiszy. W chwilę później Jeff uderza dłońmi ramiona ojca.*

JEFF

BOOGA-BOOGA!

BILL

Cześć, Jeffie.

Odwraca się z krzesłem, żeby popatrzeć na wyraźnie rozczarowanego syna.

JEFF

Jak to jest, że się nie przestraszyłeś?

BILL

Bo to ja jestem od straszenia. Uodporniłem się. Coś się stało?

JEFF

Tato, czy mogę obejrzeć pierwszą godzinę "Pocałunku upióra", a resztę nagrzesz mi na kasetę? Dennis i Connie wszystko swinią.

Bili odwraca się z krzesłem i oszołomiony spogląda na okładkę książki.

BILL

Jesteś pewien, że chcesz to obejrzeć, mistrzu? To naprawdę...

JEFF

Tak!

WNĘTRZE: Kate w kąciku z telefonem. W tym ujęciu dokładnie widzimy za jej plecami schody prowadzące na piętro i do gabinetu jej męża.

KATIE

Uważam, że Jeff potrzebuje pomocy ortodonta, ale znasz Billa...

Odzywa się druga linia. Zaczyna mrugać drugie światelko.

KATIE

Właśnie włączyła się druga linia. Bili...

W tej samej chwili widzimy za jej plecami idących w dół po schodach Billa i Jeffa.

BILL

Kochanie, gdzie mamy czyste wideokasety? U siebie w gabinecie nie mogę znaleźć ani jednej i...

KATIE (*do Billa*)

Zaczekaj!

(do Lois)

Poczekaj sekundkę przy telefonie, Lo.

Kładzie słuchawkę. Teraz oba światelka mrugają. Naciska wyżej położony świecący guzik, uruchamiając drugą linię.

KATIE

Halo, tu dom Weidermanów.

DŹWIĘK: *Rozpaczliwy szloch.*

SZLOCHAJĄCY GŁOS (*stłumiony*)

Zabierz... proszę zabierz... z-z...

KATIE

Poiły? To ty? Co się stało?

DŹWIĘK: *Szloch. Okropny, łamiący serce szloch.*

SZLOCHAJĄCY GŁOS (*stłumiony*)

Proszę... szybko...

DŹWIĘK: *Szloch... Następnie trzask! Przerwane połączenie.*

KATIE

Poiły, uspokój się! Bez względu na to, co się stało, bę...

DŹWIĘK: *Szum w słuchawce.*

Jeff podchodzi do telewizora, mając nadzieję znaleźć obok czystą kasetę.

BILL

Kto to był?

Nie patrząc na męża ani mu nie odpowiadając, Katie znów wciska dolny guzik.

KATIE

Lois? Posłuchaj, zadzwonię później. Dzwoniła Poiły, sprawiała wrażenie załamanej.... Nie... odłożyła słuchawkę... Tak. Za-dzwonię. Dzięki.

Odwiesza słuchawkę.

BILL (*zaniepokojony*)

Czy to była Poiły?

KATIE

Ryczała jak bóbr. Zabrzmiało to tak, jakby chciała powiedzieć: "Błagam, zabierzcie mnie do domu"... Wiedziałam, że ta przeklęta szkoła da jej w kość... Dlaczego dałam ci się przekonać...

Gorączkowo przerzuca leżące na niewielkim stoliku telefonicznym przedmioty. Katalogi ześlizgnęły się na podłogę obok stolka.

KATIE

Connie, czy brałaś mój notes telefoniczny?

CONNIE (*głos*)

Nie, mammo!

Bili z tylnej kieszeni spodni wyciąga podniszczony notesik i kartkuje go.

BILL

Mam. Z tym tylko...

KATIE

Wiem, ten cholerny telefon w internacie jest zawsze zajęty. Daj mi ten numer.

BILL

Kochanie, uspokój się.

KATIE

Uspokoję się, kiedy już z nią porozmawiam. Bili, ona ma szesnaście lat. Szesnastoletnie dziewczyny są skłonne do wpadania w okresowe stany depresyjne. Czasami nawet potrafią popeł... Po prostu podaj mi ten cholerny numer!

BILL

Sześćset siedemnaście, pięćset pięćdziesiąt pięć, osiemdziesiąt sześć, czterdzieści jeden.

Kiedy Katie naciska klawisze, kamera robi zbliżenie.

KATIE

No łącz, łącz... nie bądź zajęty... tylko ten jeden raz...

DŹWIĘK: Trzaski. Przerwa. Wtedy... telefon zaczyna dzwonić.

KATIE *(z zamkniętymi oczyma)*

Dzięki ci, Panie Boże.

GŁOS *(stłumiony)*

Hartshorn Hali, tu Frieda. Arnie, jeśli chcesz rozmawiać z Królową Seksu Christine, to ciągle jeszcze jest pod prysznicem.

KATIE

Czy mogłabyś poprosić do telefonu Poiły? Poiły Weiderman. Mówi Kate Weiderman.
Jej matka.

GŁOS (*stłumiony*)

O rany! Przepraszam. Myślałam... proszę poczekać, pani Weiderman.

DŹWIĘK: *Sluchawka odkładana na bok.*

GŁOS (*stłumiony, bardzo słaby*)

Poiły! Poi?... Telefon do ciebie... Twoja matka!

WNĘTRZE: *Kącik z telefonem; widać również Billa.*

BILL

No i co?

KATIE

Ktoś po nią poszedł... Mam nadzieję.

Jeff wraca z taśmą.

JEFF

Tato, znalazłem. Jak zwykle Dennis ją schował.

BILL

Zaczekaj moment, Jeff. Pooglądaj sobie chwilowo kablówkę.

JEFF

Ale...

BILL

Nie zapomnę. A teraz uciekaj.

Jeff wychodzi.

KATIE

No, chodź już, chodź już...

BILL

Uspokój się, Katie.

KATIE (*oschle*)

Gdybyś słyszał jej głos, nie mówiłbyś, żebym się uspokoiła. Brzmiało to...

POLLY (*stłumiony, wesoły głos*)

Cześć, mammo!

KATIE

Pol? Kochanie? Czy u ciebie wszystko w porządku?

POLLY (*radosny, dźwięczny głos*)

Czy u mnie wszystko w porządku? Na egzaminie z biologii dostałam "A", z literatury francuskiej "B", a Ronnie Hansen zaprosił mnie na bal dożynkowy. Jestem tak szczęśliwa, że jeśli przytrafi mi się dziś jeszcze jakaś miła rzecz, rozpęknę się jak "Hindenburg".

KATIE

To nie ty do mnie dzwoniłaś z płaczem?

Po twarzy Katie widać, jaką uzyska odpowiedź.

POLLY (*stłumiony głos*)

Ach, skądże!

KATIE

Cieszę się, że egzaminy dobrze ci poszły i randka się udała. To musiał dzwonić ktoś inny. Jeszcze do ciebie zatelefonuję, dobrze?

POLLY (*stłumiony głos*)

Jasne! Buziaki dla taty!

KATIE

Przekażę.

WNEĘTRZE: *Kącik 2 telefonem.*

BILL

Wszystko w porządku?

KATIE

W porządku. Przysięgłabym, że to dzwoniła Poiły, ale ona... ona jest w siódmym niebie.

BILL

A wiec to jakiś dowcip. Albo ktoś tak bardzo płakał, że wy-krecił zły numer... "przez lśniące kurtyny łez", jak my, starzy pismacy, lubimy mówić.

KATIE

To nie był dowcip ani pomyłka! To ktoś z mojej rodziny!

BILL

Kochanie, tego nie możesz wiedzieć.

KATIE

Nie? A gdyby zadzwonił do ciebie zapłakany Jeff, nie poznał-byś, że to on?

BILL (*poruszony*)

Cóż, może. Tak, chyba tak.

KATIE *nie słucha. Szybko naciska klawisze telefonu.*

BILL

Do kogo dzwonisz?

Katie nie odpowiada.

DŹWIĘK: *W słuchawce rozlegają się dwa sygnały. Następnie:*

GŁOS STARSZEJ KOBIETY (*stłumiony*)

Halo?

KATIE

Mama? Czy to ty... (*Pauza.*) Czy to nie ty dzwoniłaś do mnie przed chwilą?

GŁOS (*stłumiony*)

Nie, kochanie... dlaczego...?

KATIE

Och... wiesz, jakie są te telefony. Rozmawiałam z Lois i prze-gapiłam inną rozmowę.

GŁOS (*stłumiony*)

Cóż, to nie ja dzwoniłam. Kate, w La Boutiquę widziałam dziś najcudowniejszą sukienkę pod słońcem, i...

KATIE

Mamo, o sukience porozmawiamy innym razem, dobrze?

GŁOS (*stłumiony*)

Kate, dobrze się czujesz?

KATIE

Mam... Mamo, choruję na biegunkę. Muszę już kończyć. Pa!

Odkłada słuchawkę. Bili, który czeka niecierpliwie, aż Katie skończy rozmawiać, wybucha dzikim, przypominającym ryk ośła śmiechem.

BILL

Boże drogi... biegunka... Muszę to sobie zapamiętać i gdy zadzwoni do mnie mój agent... Och, Katie, to było tak...

KATIE (*prawie krzyczy*)

To nie jest wcale śmieszne!

WNĘTRZE: *Pokój z telewizorem. Jeff szamoce się z Dennisem. Przerwywają awanturę. Trójka dzieci patrzy w stronę kuchni.*

WNĘTRZE: *Kącik telefoniczny. Bili i Katie.*

KATIE

Mówię ci, że to ktoś z mojej rodziny. Mówiła takim głosem... och, nie zrozumiesz tego. Poznałam ten głos.

BILL

Ale skoro z Poily i z twoją matką wszystko w porządku...

KATIE (*z przekonaniem*)

To Dawn.

BILL

Daj spokój, kochanie, jeszcze przed minutą byłaś przekonana, że to Poily.

KATIE

To musiała być Dawn. Rozmawiałam z Lois i z mamą. Skoro u nich wszystko w porządku, to pozostaje tylko Dawn. Jest najmłodsza... Mogłam pomylić ją z Poily... A poza tym, jest z dzieckiem na tej farmie zupełnie sama.

BILL (*zaskoczony*)

Co masz na myśli, mówiąc "sama"?

KATIE

Jerry jest w Burlington! To Dawn! Coś złego przytrafiło się Dawn!

Do kuchni wchodzi zaniepokojona Connie.

CONNIE

Mamo! Czy cioci Dawn przytrafiło się coś złego?

BILL

Z tego, co wiemy, ma się dobrze. Nie martw się, laleczko. To bardzo kiepski interes kupować kłopoty, nie wiedząc nawet, czy są w sprzedaży.

Katie skończyła naciskać klawisze i słucha. Szybkie sygnały oznaczające, że linia jest zajęta. Katie odklada słuchawkę. Bili spogląda na nią pytająco. Ma uniesione brwi.

KATIE

Zajęte.

BILL

Katie, czy jesteś pewna ...

KATIE

Tylko ona została. To musiała być ona. Bili, boję się. Zawieziesz mnie do niej?

Bili sięga po słuchawkę.

BILL

Jaki jest do niej numer?

KATIE

Pięćset pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt jeden, sześćdziesiąt dziewięć.

Bili wystukuje numer. Linia ciągle zajęta. Przerywa połączenie i naciska zero.

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Centrala, słucham?

BILL

Próbuję się dodzwonić do szwagierki, ale linia jest nieustannie zajęta. Podejrzewam, że dzieje się u niej coś niedobrego. Czy byłaby pani tak uprzejma i włączyła się do tej rozmowy?

WNĘTRZE: *Drzwi do pokoju z telewizorem. W progu stoi trójka mil-czących, zaniepokojonych dzieci.*

WNĘTRZE: *Kącik telefoniczny, w nim Bili i Katie.*

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Czy mógłby pan podać swoje imię i nazwisko?

BILL

William Weiderman. Mój numer...

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Ale chyba nie ten William Weiderman, który napisał "Przekleństwo pajaków"?

BILL

Dokładnie ten. Gdyby...

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Mój Boże, po prostu uwielbiam tę książkę! Uwielbiam wszystkie pańskie książki! Ja...

BILL

Niewymownie mi miło. Ale ja i moja żona bardzo niepokoimy się o jej siostrę. Więc gdyby pani mogła...

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Naturalnie, zrobię to, o co pan prosi. Proszę o pański numer, panie Weiderman. Do protokołu. (Chichocze.) Obiecuję, że nikomu go nie prześlę!

BILL

Pięćset pięćdziesiąt pięć, czterdzieści cztery, zero osiem.

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Z jakim numerem chce pan rozmawiać?

BILL (*spogląda na Katie*)

Ummm...

KATIE

Pięćset pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt jeden, sześćdziesiąt dziewięć.

BILL

Pięćset pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt jeden, sześćdziesiąt dziewięć.

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Proszę chwileczkę zaczekać, panie Weiderman... A tak na " marginesie, "Noc bestii" również była świetna. Proszę nie odkładać słuchawki.

DŹWIĘK: *Trzaski i klekoty w słuchawce.*

KATIE

Czy ona...

BILL

Oczywiście. Po prostu...

Ostatni trzask.

OPERATORKA (*stłumiony głos*)

Przykro mi, panie Weiderman, ale linia nie jest zajęta. Po prostu z tamtej strony ktoś nie odłożył słuchawki. Zastanawiam się, czy gdybym przesłała panu mój egzemplarz "Przekleństwa pajaków"...?

Bili odkłada słuchawkę.

KATIE

Dlaczego ją odłożyłeś?

BILL

Nie mogła się włączyć do rozmowy. Telefon nie jest zajęty. Słuchawka została zdjęta z widełek.

Patrzą na siebie tępo.

PLENER: *Przed kamerą przejeżdża powoli sportowy samochód. Noc.*

WNĘTRZE: *Samochód z Billem i Katie w środku. Katie jest wystraszona. Bili, za kierownicą, również wykazuje spory niepokój.*

KATIE

Ej, Bili... powiedz, że nic się jej nie stało.

BILL

Nic się jej nie stało.

KATIE

A teraz powiedz, co naprawdę o tym myślisz.

BILL

Dzisiaj wieczorem zakradł się do mnie od tyłu Jeff i wrzasnął te swoje stare "booga-booga". Był rozczarowany, kiedy nie podskoczyłem ze strachu. Powiedziałem, że na strach jestem uodporniony. (Pauza.) Skłamałem.

KATIE

Dlaczego Jerry musiał się wyprowadzić, jeśli i tak połowę czasu spędza poza domem? Tylko ona i maleńkie dziecko. Dlaczego?

BILL

Ciii, Kate. Jesteśmy już prawie na miejscu.

KATIE

Jedź szybciej.

PLENER: *Samochód. Auto przyspiesza.*

WNĘTRZE: *Pokój z telewizorem w domu Weidermanów. Telewizor włączony na jeden z kanałów kablowych. Dzieci są w pokoju, ale nie dokazują.*

CONNIE

Dennis, czy myślisz, że cioci Dawn nic się nie stało?

DENNIS *(jest przekonany, że ciotka nie żyje, że szaleniak uciął jej głowę)*

Jasne, że nic się jej nie stało.

WNĘTRZE: *Telefon. Widok z pokoju. Aparat wisi na ścianie, lampki się nie palą, wygląda jak wąż, który ma za chwilę uderzyć. Obraz ciemnieje.*

AKT II

PLENER: *Samotna farma. Prowadzi do niej długi podjazd. W oknie salonu pali się światło. Blask z reflektorów samochodu oświetla podjazd. Auto Weidermanów podjeżdża do drzwi garażu i staje.*

WNĘTRZE: *Samochód z Billem i Katie w środku.*

KATIE

Boję się.

Bili pochyla się, sięga pod fotel i wyciąga pistolet.

BILL *(poważnie)*

Booga-booga.

KATIE (*kompletnie zaskoczona*)

Od dawna to masz?

BILL

Od roku. Nie chciałem straszyć ani ciebie, ani dzieciaków. Mam pozwolenie na broń. Chodź.

PLENER: *Bili i Katie. Wysiadają z samochodu. Katie staje z przodu auta, a Bili podchodzi do garażu i zagląda do środka.*

BILL

Samochód jest.

Kamera towarzyszy im w drodze do drzwi frontowych. Teraz słyszymy nastawiony bardzo głośno telewizor. Bili naciska dzwonek. Jego dźwięk słyszymy we wnętrzu domu. Czekają. Katie ponownie naciska dzwonek. Nikt nie otwiera drzwi. Znow naciska dzwonek, ale tym razem nie zdejmuje palca. Bili spogląda w dół.

PLENER: *Zamek widziany od strony Billa. Widnieją na nim głębokie rysy.*

PLENER: *Bili i Katie.*

BILL (*cicho*)

Ktoś w nim grzebał.

Katie spogląda na zamek i cicho piszczy. Bili naciska klamkę. Drzwi są otwarte. Dźwięk telewizora staje się głośniejszy.

BILL

Idź za mną. Jeśli coś się zacznie dziać, zwiewaj. Boże, Katie, dlaczego nie zostawiłem cię w domu!

Rusza przodem. Za nim Katie: przerażona, bliska łez.

WNĘTRZE: *Salon Dawn i Jerry'ego. Widzimy jedynie małe fragment pokoju. Telewizor gra jeszcze głośniej. Bili wchodzi do wnętrza, w ręce trzyma uniesiony pistolet. Patrzy w prawo... i nagle z jego twarzy znika napięcie. Opuszcza broń.*

KATIE (*wspina się za jego plecami na palce*)

Bili... co...

Wskazuje.

WNĘTRZE: *Salon, wielki, widziany od strony Billa i Katie. Pomieszczenie wygląda tak, jakby przetoczył się przez nie huragan... ale bałagan nie powstał w wyniku grabieży czy morderstwa. Spowodowało je normalne, zdrowe osiemnastomiesięczne dziecko. Po pracowitym dniu, kiedy obróciło w perzynę salon, dziecięczo i jego mama poczuli zmęczenie i zapadli na kanapie w drzemkę. Dawn trzyma dziecko na podatku. Na uszach ma słuchawki walkmana. Wokół leżą porzucane zabawki - przeważnie plastikowe figurki z Ulicy Sezamkowej i PlaySkool. Dziecko pościągало również większość książek z polki. Sądząc po wyglądzie, jedną nawet nadgryzło. Bili podchodzi do książki i podnosi ją z podłogi. Jest to egzemplarz „Pocahunka upiora”.*

BILL

Spotkałem wiele osób, które twierdziły, że pożerają moje książki, ale to już lekka przesada.

Najwyraźniej jest rozbawiony. Katie nie. Podchodzi do siostry, gotowa zrobić jej straszną awanturę... ale widzi, jak bardzo Dawn jest zmęczona.

WNĘTRZE: *Dawn i dziecko widziane od strony Katie. Śpią mocno, od-dychają równo, jak na obrazie Rafaela “Madonna z Dzieciątkiem”. Kamera zjeżdża w dół. Widok walkmana. Dobiegają cichutkie dźwięki muzyki w wy-konaniu zespołu Huey Lewis and the News. Najazd kamery na bardzo elegancki telefon marki Princess stojący na stoliku obok fotela. Słuchawka jest przekrzywiona. Tylko troszeczkę, ale wystarczająco, żeby przerwać połączenie i śmiertelnie wystraszyć ludzi.*

WNĘTRZE: *Katie. Wzdycha, pochyla się i ostrożnie kładzie słuchawkę na widelki. Następnie naciska w walkmanie guzik „stop”.*

WNĘTRZE: *Dawn, Bili i Katie. Kiedy cichnie muzyka, Dawn się budzi. Spogląda ze zdziwieniem na Billa i Katie.*

DAWN (*półprzutomnie*)

O... cześć.

Uświadamia sobie, że na uszach ma słuchawki walkmana i ściąga je.

BILL

Cześć, Dawn.

DAWN (*ciągle jeszcze półprzutomna*)

Powinniście poprzedzić się telefonem. Taki tu bałagan.

Uśmiecha się. Jej twarz rozjaśnia się pod wpływem uśmiechu.

KATIE

Próbowaliśmy. Operatorka w centrali oświadczyła Billowi, że masz źle odłożoną słuchawkę. Pomyślałam, że coś ci się stało. Jak ty możesz spać przy tak ryczącej muzyce?

DAWN

Mnie to odpręża. (Dostrzega w dłoni Billa pogryzioną książkę.) Och, Boże, Bili! Tak mi przykro. Justin właśnie ząbkuje i...

BILL

Niektórzy krytycy twierdzą, że moje książki tylko do tego się nadają. Nie chcę cię, moja piękna, straszyc, ale ktoś dobierał się czymś ostrym do zamka w drzwiach frontowych. Ktokolwiek by to był, otworzył te drzwi.

DAWN

A, to! To robota Jerry'ego. W zeszłym tygodniu niechcący zatrasnęłam drzwi. Jerry nie

miał przy sobie drugich kluczy. Nie było też zapasowych, które przeważnie trzymamy na górnej listwie futryny. Jerry się wściekł, ponieważ okropnie chciało mu się sikać, i złapał śrubokręt. Ale nie udało mu się sforsować zamka; jest bardzo mocny. *(Pauza.)* Zanim w końcu znalazłam swoje klucze w torebce, Jerry pobiegł w krzaki.

BILL

Skoro nikt nie wyłamał zamka, to dlaczego mogłem je po prostu otworzyć i wejść?

DAWN *(z nutą winy w głosie)*

Cóż... czasami zapominam ich zamknąć.

KATIE

Czy to ty dzwoniłaś do mnie dziś wieczorem, Dawn?

DAWN

Nie, po co miałabym dzwonić? Nie dzwoniłam zresztą do nikogo. Byłam zbyt zajęta uganianiem się za Justinem. Ciągle miał apetyt na płyn do zmiękczenia tkanin! Potem zrobił się śpiący, więc wzięłam go na kolana i pomyślałam sobie, że czekając na twój film, Bili, posłucham trochę muzyki. No i za-snęłam, a...

Na wzmiankę o filmie Bili wyraźnie się ożywia i patrzy na książkę. Następnie zerka na zegarek.

BILL

Obiecałem Jeffowi, że nagram mu ten film. Chodź, Katie, jeszcze zdążymy.

KATIE

Za chwilę.

Podnosi słuchawkę i wybija numer.

DAWN 1

Ale, ale, Bili, czy naprawdę uważasz, że to jest film dla Jeffa?

BILL

To telewizja publiczna. Usuną sceny, w których fruwią krwawe ochłapy.

DAWN (*zmieszana, lecz uprzejmie*)

Ach, tak. To dobrze.

WNĘTRZE: *Katie. Zbliżenie.*

DENNIS (*stłumionym głosem*)

Halo?

KATIE

Dzwonię, żeby powiedzieć, że u cioci Dawn wszystko jest w najlepszym porządku.

DENNIS (*stłumionym głosem*)

Och, wspaniale. Dzięki, mamó.

WNĘTRZE: Kącik telefoniczny, a w nim Dennis i pozostałe dzieci. Na ich twarzach maluje się wyraźna ulga.

DENNIS

Z ciocią Dawn wszystko w porządku.

WNĘTRZE: Samochód z Billem i Katie w środku. Przez chwilę jadą w milczeniu.

KATIE

Masz mnie za rozhisteryzowaną idiotkę, prawda?

BILL (*naprawdę zdumiony*)

Wcale nie. Też się solidnie wystraszyłem.

KATIE

I naprawdę nie jesteś na mnie wściekły?

BILL

Czuję zbyt wielką ulgę. (Śmieją się.) Jak zwykle stara, roztrzępana Dawn. Ale uwielbiam ją.

KATIE (*pochyla się w jego stronę i całuje go w policzek*)

Kocham cię. Jesteś taki słodki.

BILL

Jestem Czarnym Ludem.

KATIE

Nie oszukasz mnie, kochanie.

PLENER: *Samochód. Przejeżdża przed kamerą i obraz rozmywa się przechodząc w:*

WNĘTRZE: *Jeff w łóżku. W pokoju jest ciemno. Chłopiec przykryty pod szyję.*

JEFF

Obiecałeś nagrać do końca, pamiętasz?

Kamera powiększa kąt tak, że widzimy Billa. Siedzi na skraju łóżka.

BILL

Obiecałem.

JEFF

Najbardziej podoba mi się to miejsce, kiedy ten martwy facet rozrzyna punkowi głowę.

BILL

Cóż... zazwyczaj wycinają takie krwawe ochłapy.

JEFF

Co, tato?

BILL

Nic, nic. Kocham cię, Jeffie.

JEFF

Ja ciebie też. I Ramba.

Jeff ściska wypchanego smoka, który wcale nie ma wojowniczego wyglądu. Bili najpierw całuje smoka, a następnie Jeffa.

BILL

Dobranoc

JEFF

Dobranoc. *(Mówi to w chwili, gdy Bili sięga już do klamki.)* Cieszę się, że cioci Dawn nic się nie stało.

BILL

Ja też.

Wychodzi.

WNĘTRZE: Telewizor. Zbliżenie. Facet, który wygląda tak, jakby przed mniej więcej dwoma tygodniami zginął w wypadku samochodowym (a na dodatek leżał na słońcu), niezdarnie wydobywa się z krypty grobowej. Kamera rozszerza kąt widzenia i pokazuje również Billa, który zwalnia wiośnie klawisz uruchamiający nagrywanie w magnetowidzie.

KATIE *(głos)*

Booga-booga.

Bili rozgląda się. Kamera jeszcze bardziej poszerza kąt widzenia, pokazuje Katie wkładającą bardzo seksowną koszulę nocną.

BILL

Tobie też booga-booga. Straciłem pierwsze czterdzieści sekund po przerwie na

reklamy. Musiałem ucałować Ramba.

KATIE

Naprawdę nie jesteś na mnie zły, Bili?

Podchodzi do Katie i całuje ją.

BILL

Ani ciut-ciut.

KATIE

Mogłabym przysiąc, że był to ktoś z moich. Rozumiesz, o czym mówię? Ktoś z mojej rodziny.

BILL

Tak.

KATIE

Ciągle mam w uszach ten szloch. Tak rozpaczliwy... rozdzierający serce.

BILL

Kate, czy nigdy nie zdarzyło ci się zobaczyć kogoś na ulicy i zawołać do niego, a gdy ten ktoś się odwrócił, stwierdziłaś, że jest to zupełnie obca osoba?

KATIE

Tak, raz. W Seattle. Byłam w centrum miasta i wydawało mi się, że widzę koleżankę, z którą w college'u dzieliłam pokój. Ja... och, no tak, rozumiem, o co ci chodzi.

BILL

Jasne. Tak samo, jak można wyglądać podobnie do kogoś, tak samo można mieć podobny do czyjegoś głos.

KATIE

Ale... przecież znam swoich najbliższych. W każdym razie sądziłam tak do dzisiaj.

Kładzie mu policzek na ramieniu. Minę ma zakłopotaną.

KATIE

Byłam święcie przekonana, że to Poily...

BILL

Ponieważ bardzo się niepokoiłaś, jak poradzi sobie w nowej j szkole... ale wnioskuje z tego, co ci powiedziała przez telefon, myślę, że ma się tam jak pączek w maśle. Nie sądzisz?

KATIE

Tak... chyba tak.

BILL

Było, minęło, kochanie.

KATIE (*przyglądając mu się z uwagą*)

Wyglądasz na straszliwie zmęczonego. Pośpiesz się z tym nowym pomysłem.

KATIE

Robię, co mogę. Idziesz do łóżka?

BILL

Jak tylko skończę nagrywać Jeffowi ten film.

KATIE (*rozbawiona*)

Bili, to urządzenie zbudowali Japończycy, a oni myślą o wszystkim. Film nagra się sam.

BILL

Tak, ale dawno go już nie oglądałem i chcę...

KATIE

W porządku. Baw się dobrze. Jeszcze jakiś czas nie będę spała. (*Pauza.*) Mam dla nas kilka ciekawych pomysłów.

BILL (z uśmiechem)

Naprawdę?

KATIE

Naprawdę.

Zaczyna odchodzić, pokazując bardzo duży fragment nogi. W progu, jakby tknięta jakąś myślą, odwraca się.

KATIE

Kiedy pojawi się ta scena z głową punka...

BILL (z nutą winy)

Wiem, zredaguję to.

KATIE

Dobranoc. I jeszcze raz wielkie dzięki. Za wszystko.

Wychodzi. Bili siedzi na krześle.

WNĘTRZE: Telewizor. Zbliżenie. W samochodzie pieści się jakaś para. Nagle drzwi auta wyrywa martwy facet. Obraz rozplywa się. Pojawia się:

WNĘTRZE: Katie w łóżku. W pokoju panuje mrok. Ona śpi. Nagle... jakby się budzi.

KATIE (zaspanym głosem)

Ej, wielki chłopaku...

Maca ręką, ale druga połowa łóżka jest pusta. Kołdra równo rozłożona. Katie siada. Spogląda na:

WNĘTRZE: Zegarek na nocnym stoliku. Widok od strony Katie. Godzina druga zero trzy. Po chwili ostatnia cyferka zamienia się w czwórkę.

WNĘTRZE: *Katie. Teraz jest już w pełni rozbudzona. Dręczy ją niepokój. Wstaje, wkłada szlafrok i opuszcza sypialnię.*

WNĘTRZE: *Ekran telewizora. Zbliżenie. Ekran śnieży.*

KATIE (*głos, zbliża się*)

Bili? Kochanie? Czy wszystko w porządku? Bili? Bi...

WNĘTRZE: *Katie w gabinecie Billa. Stoi jak słup soli. Ma szeroko rozwarte oczy, w których maluje się przerażenie.*

WNĘTRZE: *Bili siedzi na krześle. Jest przechylony na bok, oczy ma zamknięte, dłoń wsuniętą pod koszulę. Dawni spala. Bili nie.*

PLENER: *Spuszczana do grobu trumna.*

PASTOR (*głos*)

Tak oto składamy doczesne szczątki Williama Weidermana do ziemi przekonani, że jego duch i jego dusza dostąpią życia wiecznego, bracia...

PLENER: *Nad grobem. Zgromadzeni wszyscy Weidermanowie. Katie i Poily mają na sobie identyczne czarne sukienki i welony, Connie czarną spódnicę i białą bluzkę, Dennis i Jeff czarne garniturki. Jeff płacze. Na pociechę ściska pod pachą smoka Rambo. Kamera kieruje się na Katie. Po policzkach Katie powoli płyną łzy. Pochyla się i zagarnia dłonią ziemię. Wrzucają do grobu.*

KATIE

Kocham cię, wielki chłopaku.

PLENER: *Jeff. Chlipie.*

PLENER: *Kamera pokazuje wnętrze grobu. Na wieku trumny rozsypana ziemia.*

PLENER: *Grób. Robotnik zagarnia ostatnią łopatę ziemi.*

ROBOTNIK

Moja żona twierdzi, że powinien być pan, mistrzu, przed tym atakiem serca napisać jeszcze ze dwie powieści. (Pauza.) Ja osobiście wolę westerny.

Robotnik odchodzi pogwizdując. Obraz rozplywa się, pojawia się:

PLENER: *Kościół. Dzień.*

KARTA TYTUŁOWA: *Pięć lat później.*

DŹWIĘK: *Marsz weselny.*

Polly, starsza o pięć lat i promieniejąca radością wchodzi w deszcz rzucanego ryżu. Jest w ślubnej sukni, obok niej kroczy świeżo poślubiony mąż. Uczestnicy ceremonii rzucają ryżem wzdłuż całej drogi. Za panem i panną młodą podążają weselni goście. Między nimi są Katie, Dennis, Connie i Jeff... wszyscy starsi o pięć lat. Katie towarzyszy Hank, jej drugi mąż. Poity odwraca się do matki.

POLLY

Dziękuję, mamó.

KATIE *(placząc)*

Och, laleczko, zawsze byłaś kochanym dzieckiem.

Obejmują się. Po chwili Polly odsuwa się od matki i patrzy na Hanka. Następuje chwila napięcia, po czym Polly przygarnia do siebie Hanka.

POLLY

Tobie też dziękuję, Hank. Przepraszam, że byłam takim upiorem...

HANK *(pogodnie)*

Nigdy nie byłaś upiorem, Poi. Dziewczyna ma tylko jednego ojca.

CONNIE

Rzuć ją! Rzuć ją!

Po chwili Polly ciska wiązanką.

PLENER: *Bukiet. Zbliżenie. Zwolniony ruch. Bukiet obraca się w powietrzu, obraca i obraca. Obraz rozplywa się, zastępuje go:*

WNĘTRZE: *Gabinet, w którym jest Katie. Noc. Na biurku ciągle stoją fotografie, ale zamiast komputera ustawiono sporą lampę, w której świetle widnieją wydruki. Wiszące na ścianach okładki książek zastąpiono zdjęciami budynków; zapewne zaprojektowanych przez Hanka. Katie spogląda na biurko. Jest zamyślona, trochę smutna.*

HANK (głos)

Idziesz do łóżka, Katie?

Katie odwraca się, a wraz z nią kamera, która powiększa kąt widzenia tak, że widzimy Hanka. Na pidżamę włożył szlafrok. Katie podchodzi do niego i z uśmiechem daje mu lekkiego kuksańca. Może dostrzegamy kilka siwych pasm w jej włosach. Przez lata, które upłynęły od śmierci Billa, straciła wiele ze swego dziewczęcego wdzięku.

KATIE

Za chwilę. Ostatecznie nie codziennie wydaje się za męża najstarszą córkę.

HANK

Wiem.

Kiedy odchodzą od biurka w kąt gabinetu, towarzyszy im kamera. Pokój wygląda tak samo jak za dawnych czasów: stolik do kawy, magnetowid, telewizor, kanapa i stary fotel klubowy Billa. Katie rozgląda się po meblach.

HANK

Ciągle za nim tęsknisz?

KATIE

Raz bardziej, raz mniej. Ty nie wiedziałaś, a Polly zapomniała.

HANK (*tagodnie*)

O czym zapomniała, laleczko?

KATIE

Polly wyszła za mąż dokładnie w piątą rocznicę śmierci Billa.

HANK (*tuli ją do siebie*)

Chodźmy lepiej do łóżka, dobrze?

KATIE

Za chwilę.

HANK

W porządku. Może jeszcze nie będę spał.

KATIE

Masz jakieś pomysły?

HANK

Może.

KATIE

To miło.

Hank całuje ją i wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Katie siada w starym fotelu Billa. Na stoliku do kawy leży pilot od telewizora, obok dodatkowy aparat telefoniczny. Katie patrzy na martwy ekran. Kamera ukazuje jej twarz. Z jednego oka spływa łza, lśni jak szafir.

KATIE

Wciąż za tobą tęsknię, wielki chłopaku. Z każdym dniem coraz bardziej. I wiesz co? To boli.

Pojedyncza łza spada. Katie sięga po pilota i naciska guzik.

WNĘTRZE: *Telewizor widziany od strony Katie. Kończy się reklama noży Ginsu. Pojawia się logo stacji Star.*

LEKTOR (*głos*)

Wracamy teraz na kanał sześćdziesiąty trzeci. Wtorkowe kino nocne... "Pocałunek upióra".

Logo rozplywa się, a jego miejsce zajmuje martwy facet, który wygląda tak, jakby przed mniej więcej dwoma tygodniami zginął w wypadku samochodowym i przez ten czas leżał na słońcu. Niezdarnie wychodzi z tej samej, starej krypty grobowej.

WNĘTRZE: *Katie. Jest strasznie zaskoczona, wręcz przerażona. Natychmiast wytacza pilotem telewizor. Ekran ciemnieje. Na twarzy Katie maluje się burza uczuć. Walczy z naporem emocji, ale zbieg okoliczności, jaki stanowi projekcja tego filmu, to o jedna rzecz za dużo w dniu, który należał do najbardziej wzruszających dni w jej życiu. Tama pęka i Katie zaczyna szlochać... straszliwy, rozdzierający serce szloch. Odkłada pilota na stojący obok fotela stolik. Przy okazji strąca na podłogę telefon.*

DŹWIĘK: *Ciągły sygnał telefonu.*

Gdy Katie spogląda na aparat, na jej lśniącej od leż twarzy pojawia się dziwny wyraz. Coś zaczyna do niej docierać... jakaś myśl? Intuicja? Trudno powiedzieć. I zapewne nie ma to znaczenia.

WNĘTRZE: *Telefon widziany od strony Katie. Kamera przechodzi na maksymalne zbliżenie... Przybliży się, aż otworki w mikrofonie wyglądają niczym czarne otchłanie.*

DŹWIĘK: *Coraz głośniejszy, ciągły sygnał telefonu. Wchodzimy w ciemność... i słyszymy:*

BILL (*głos*)

Dokąd dzwoniisz? Do kogo chcesz zadzwonić? Skoro nie jest jeszcze za późno, do kogo zadzwoniisz?

WNĘTRZE: *Katie. Twarz wygląda tak, jakby Katie wpadła w trans hipnotyczny. Katie sięga pod nogi, podnosi telefon i zaczyna na chybił trafił naciskać klawisze.*

DŹWIĘK: *Powolne przerywane sygnały w słuchawce.*

Katie ciągle sprawia wrażenie zahipnotyzowanej. Trzyma słuchawkę tak długo, aż słyszy w niej czyjś głos... słyszy po drugiej stronie własny głos.

KATIE (*głos, stłumiony*)

Halo, tu dom Weidermanów.

Katie - aktualna Katie z pasmami siwizny we włosach - szłocha, ale na jej twarzy pojawia się rozpaczliwa nadzieja. Na jakimś poziomie świadomości rozumie, że otchlanna rozpacz pozwoliła jej na swoistą telefoniczną podróż w czasie. Chce mówić, próbuje wyartykułować słowa.

KATIE (*szlochając*)

Zabierz... proszę zabierz... z-z...

WNĘTRZE: *Katie w kąciiku telefonicznym. Repryza. Jest pięć lat wcześniej. Obok niej stoi zaniepokojony Bili. Jeff pomaszerował do sąsiedniego pokoju szukać czystej taśmy.*

KATIE

Polly? Co się stało?

WNĘTRZE: *Katie w gabinecie.*

KATIE (*szlochając*)

Proszę... szybko...

DŹWIĘK: *Trzask przerwane połączenia.*

KATIE (*wrzeszczy*)

Zabierz go do szpitala! Jeśli chcesz, żeby żył, zabierz go do szpitala! Będzie miał atak serca! On...

DŹWIĘK: *Ciągłe buczenie w słuchawce. Powoli, bardzo powoli Katie odkłada słuchawkę. I nagle, po chwili, ponownie ją podnosi. Mówi głośno, nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, co robi.*

KATIE

Wykręciłam zły numer. Wykręciłam...

Gwałtowne cięcie i:

WNĘTRZE: *Bili w kąciku telefonicznym, obok niego Katie. Bili odebrał wiośnie od Katie słuchawkę i rozmawia z operatorką.*

OPERATORKA (*stłumiony głos, chichoty*)

Obiecuję, że nikomu go nie przekażę.

BILL

Pięćset pięćdziesiąt pięć...

Gwałtowne cięcie i:

WNĘTRZE: *Katie w starym fotelu Billa. Zbliżenie.*

KATIE (*kończy*)

...czterdzieści cztery, zero osiem.

WNĘTRZE: *Telefon. Zbliżenie. Katie drżącym palcem wybiera cyfry; każdemu naciśnięciu klawisza towarzyszy elektroniczny pisk: 555-4408.*

WNĘTRZE: *Katie w starym fotelu Billa. Zbliżenie. Zamyka oczy, kiedy ze słuchawki zaczynają płynąć sygnały. Na twarzy Katie maluje się bolesny wyraz, mieszanina nadziei i strachu. Jeśli tylko będzie miała jeszcze jedną szansę przekazania decydującej o życiu i śmierci wiadomości... jedną, jedyną szansę.*

KATIE (*cicho*)

Proszę... proszę...

GŁOS Z TAŚMY MAGNETOFONOWEJ (*stłumiony*)

Nie ma takiego numeru. Proszę odłożyć słuchawkę i wykręcić ponownie. Jeśli potrzebna pomoc...

Katie odkłada słuchawkę. Po policzkach spływają jej łzy. Kamera oddala się, przechyla, ukazuje telefon.

WNĘTRZE: *Kącik telefoniczny, w nim Bili i Katie. Repryza.*

BILL

A więc to jakiś dowcip. Albo ktoś tak bardzo płakał, że wykręcił zły numer... "przez lśniąca kurtyny łez", jak my, starzy pismacy, lubimy mówić.

KATIE

To nie był dowcip ani pomyłka! To ktoś z mojej rodziny.

WNĘTRZE: *Katie (współczesna) w gabinecie Billa.*

KATIE

Tak. Ktoś z mojej rodziny. Ktoś bardzo bliski. (*Pauza.*) Ja.

Nieoczekiwanie rzuca telefonem przez pokój. Zaczyna ponownie szlochać. Zakrywa twarz dłońmi. Kamera pokazuje ją przez chwilę, a następnie podąża przez pokój za:

WNĘTRZE: *Telefon. Leży na dywanie, wygląda nijako, a zarazem w jakiś sposób*

złowieszczo. Kamera przechodzi na maksymalne zbliżenie - dziurki w mikrofonie ponownie wyglądają jak czarne otchłanie. Widzimy je, a następnie wszystko zasnuwa mrok.

Ludzie Godziny Dziesiątej

(The Ten O'Clock People)

Pearson próbował krzyknąć, ale szok całkowicie odebrał mu głos i z jego gardła dobył się tylko niski, zdławiony pomruk - jęk, jaki czasami wydaje człowiek pogrążony we śnie. Zacerpnął tchu, aby ponownie spróbować wrzasnąć, lecz w tej samej chwili czyjaś dłoń chwyciła jego lewy łokieć i ścisnęła niczym obcęgi.

- To byłby błąd - powiedział głos, który pojawił się wraz z ręką. Mówił prosto w lewe ucho Pearsona zaledwie o pół tonu głośniejszy od szeptu. - Wielki błąd. Uwierz mi.

Pearson rozejrzał się. Stwór, który sprawił, że Pearson chciał - nie, musiał - krzyknąć, zniknął w banku, o dziwo przez nikogo nie nagabywany, a Pearson pojął, że pierwszy paraliż minął i jest już w stanie jako tako kręcić głową. Pod-trzymywał go przystojny, młody Murzyn w garniturze kremowej barwy. Pearson znał go wyłącznie z widzenia, ale rozpoznawał po drobnych szczegółach, tak jak zawsze rozpoznawał osoby należące do plemienia Ludzi Godziny Dziesiątej... za-pewne po takich samych, charakterystycznych szczegółach oni również go rozpoznawali.

Przystojny młody Murzyn przyglądał mu się z uwagą.

- Czy pan to też widział? - zapytał Pearson.

Mówił wysokim, natarczywym, skamlącym głosem, całkowicie niepodobnym do jego zwykle śmiałego, pełnego pewności siebie tonu.

Gdy przystojny, młody Murzyn zorientował się, że Pearson nie zamierza już swym dzikim wrzaskiem stawiać na nogi całego placu rozciągającego się przed The First Mercantile Bank of Boston, puścił jego ramię. Teraz z kolei Pearson wyciągnął rękę i chwycił młodego Murzyna za nadgarstek. Zupełnie jakby jeszcze ciągle potrzebował bezpośredniego kontaktu z innym człowiekiem. Przystojny, młody Murzyn nie cofnął ręki. Zerknął jedynie na dłoń Pearsona, po czym znów przeniósł wzrok na jego twarz.

- Pytam, czy pan też to widział? Przeróżające! Jeśli nawet był to makijaż... albo jakaś maska, którą ktoś nałożył dla kawału...

Ale nie był to ani makijaż, ani maska. Stwór w ciemnoszarym garniturze od Andre Cyra i w półbutach za pięćset dolarów podszedł do Pearsona bardzo blisko, prawie go do-tknął (Boże, nie pozwól; umysł Pearsona aż skurczył się z odrazy) i Pearson dobrze wiedział, że nie był to ani makijaż, ani maska. A to dlatego, iż ciało na olbrzymiej wypukłości, która zapewne była głową, poruszało się. Różne części tej głowy poruszały się w różnych kierunkach jak

pierścienie egzotycznego gazu otaczające którąś z planetgigantów.

- Przyjacielu - zaczął przystojny, młody Murzyn w kremowym garniturze. - Potrzebuje pan...

- Co to było? - bezceremonialnie przerwał mu Pearson. - W życiu nie widziałem czegoś podobnego! Takie coś spotkać można jedynie w... nie wiem... w jakimś upiornym cyrku... albo... albo...

Głos nie płynął mu już ze zwykłego miejsca w głowie. Od-nosił wrażenie, że dobywa się skądś ponad nim. Zupełnie jakby Pearson wpadł w jakąś głęboką dziurę w ziemi, a ów wysoki, natarczywy, piskliwy głos należał do kogoś innego, do kogoś, kto pochylony nad jamą, przemawia doń z góry.

- Posłuchaj, przyjacielu...

I było jeszcze coś. Kiedy zaledwie kilka chwil wcześniej Pearson, trzymając między palcami nie zapalonego marlboro wyszedł z banku przez obrotowe drzwi, dzień był pochmurny; wręcz wszystko wskazywało na to, że niebawem zacznie padać deszcz. Teraz jednak świat był nie tylko jaskrawy, ale przejaskrawiony. Czerwona spódniczka ślicznej blondynki stojącej pod ścianą budynku w odległości jakichś piętnastu metrów od

niego (paliła papierosa i czytała książkę w miękkiej oprawie) lśniła niczym kula ognista, żółta koszula mijającego go gazeciarza kłuła oczy jak żądło osy, a twarze ludzi były jak oblicza z ukochanych, barwnych, rozkładanych książeczek należących do jego córeczki Jenny.

I wargi... zupełnie nie czuł warg. Były zdrętwiałe jak po dużej dawce nowokainy.

Pearson odwrócił się do przystojnego młodzieńca w kremowym garniturze i powiedział:

- To śmieszne, ale za chwilę chyba zemdleję.

- Nie, wcale pan nie zemdleje - odparł młody człowiek z taką pewnością w głosie, że Pearson mu uwierzył; w każdym razie chwilowo. Murzyn ponownie chwycił go za łokieć, tym razem znacznie łagodniej. - Chodźmy tam... musi pan na chwilę usiąść.

Na rozległym placu przed bankiem znajdowały się po-rozrzucone w nieregularnych odstępach kolisty, marmurowe wysepki mniej więcej metrowej wysokości. W każdej rosła jakaś inna odmiana późnoletnich/wczesnojesiennych kwiatów. Na kamiennych krawędziach tych kwietników siedzieli Ludzie Godziny Dziesiątej. Jedni czytali, drudzy gawędzili, inni jeszcze obserwowali potok przechodniów płynący chodnikami Commercial Street, ale jednocześnie wszyscy robili to, co sprawiało, że należeli do Ludzi Godziny Dziesiątej. Pearson zresztą zszedł na dół i stanął przed bankiem, żeby robić to samo. Na marmurowej wysepce, którą wybrał nowy znajomy Pearsona, rosły astry; Pearsonowi z powodu wy-ostrzonej

percepcji wydawały się nieznośnie purpurowe. Kolisty występ był wolny, zapewne dlatego, że minęło już dziesięć minut po pełnej godzinie i ludzie zaczęli wracać do budynku.

- Niech pan siada - powiedział zachęcająco młody Murzyn w kremowym garniturze i Pearson, mimo że starał się jak mógł panować nad ciałem, raczej osunął się na kamienną krawędź kwietnika, niż na niej usiadł. W jednej chwili stał obok wykonanej z czerwonego marmuru wysepki, a w następnej już ktoś podciął mu kolana i Pearson wyładował na siedzeniu. Z impetem.

- Niech pan się pochyli - poradził młody człowiek, zajmując miejsce obok niego.

Cały czas miał pogodną minę, ale w oczach nie było niczego pogodnego; były rozbiegane i nerwowo strzelały po całym placu.

- Po co?

- Żeby krew napłynęła panu do głowy - wyjaśnił młody Murzyn. - Ale proszę zrobić to bardzo ostrożnie. Niech pan po prostu udaje, że wącha kwiaty.

- Co?

- Proszę zrobić tak, jak mówię. - W głosie młodego człowieka pojawiła się nutka zniecierpliwienia.

Pearson pochylił głowę i wziął głęboki wdech. Odkrył, że kwiaty nie pachną tak ładnie, jak na to wyglądają. Wydzielały wodnistą woń, przypominającą troszeczkę psie siuski. Ale po-czuł się odrobinę lepiej.

- Proszę zacząć wymieniać stany - polecił z kolei Murzyn.

Skrzyżował nogi, podciągnął nogawki spodni, żeby się nie pomięły, i z wewnętrznej kieszeni wyjął paczkę winstonów Pearson uświadomił sobie, że jego papierosy gdzieś zginęły: zapewne upuścił je w pierwszym szoku, gdy ujrzał potwornego stwora w drogim garniturze przecinającego zachodnią stronę placu.

- Stany - powtórzył tępo.

Młody Murzyn skinął głową, wyciągnął zapalniczkę, która była zapewne o wiele tańsza, niż na to wyglądała, i zapalił papierosa.

- Proszę zacząć od tego, w którym się znajdujemy, i po-suwać się na zachód.

- Massachusetts... Nowy Jork, tak mi się wydaje... albo Yermont, jeśli zacząć od góry... New Jersey... - Pearson wyprostował się i zaczął wyliczać z większą pewnością siebie: - Pensylwania, Wirginia Zachodnia, Ohio, Illinois...

Murzyn uniósł brwi.

- Wirginia Zachodnia? Jest pan pewien? Pearson uśmiechnął się blado.

- Jasne. Mógłbym też dotrzeć do Ohio i Illinois od zadzi. Murzyn wzruszył ramionami,

by pokazać, że niewiele go to obchodzi, i uśmiechnął się.

- Nie wygląda już pan na kogoś, kto ma zamiar zemdleć... widzę to po pańskiej twarzy... a to bardzo ważne. Zakurzy pan?

- Dzięki - odparł z wdzięcznością Pearson. Nie tyle chciał papierosa, co rozpaczliwie go potrzebował. - Miałem swoje, ale gdzieś mi zginęły. Jak się pan nazywa?

Murzyn wsunął Pearsonowi winstona w usta i pstryknął zapalniczką. Podsunął płomyk do papierosa.

- Dudley Rhinemann. Proszę mówić mi Duke.

Pearson mocno się zaciągnął papierosem i popatrzył w stronę obrotowych drzwi prowadzących do mrocznych czeluści sięgającego chmur banku.

- To wcale nie była halucynacja, prawda? - zapytał. - To, co widziałem... pan również go widział? Rhinemann skinął głową.

- Nie chciał pan, żeby się zorientował, iż go dostrzegłem? - upewnił się Pearson.

Wypowiadał słowa powoli, starając się wszystko poukładać sobie w głowie. Mówił już normalnym głosem, co sprawiało mu ogromną ulgę.

Rhinemann ponownie skinął głową.

- Ale jak mógłbym go nie widzieć? I jak on mógłby o tym nie wiedzieć?

- Czy widział pan, żeby ktoś na placu, tak jak pan, o mało nie dostał zawału? - zapytał Rhinemann. - Czy ktokolwiek wyglądał jak pan? Na przykład ja?

Pearson powoli potrząsnął głową. Teraz czuł się jeszcze bardziej wystraszony i kompletnie zagubiony.

- Błyskawicznie stanąłem między wami i nie sądzę, żeby dostrzegł pańską reakcję. Ale przez sekundę czy dwie było o włos od tego. Sprawił pan wrażenie kogoś, komu z kotleta wylazła mysz. Pracuje pan w Kasie Pożyczkowej Collateral, prawda?

- Och, tak... przepraszam, jestem Brandon Pearson.

- Ja pracuję w serwisie komputerowym. Teraz już wszystko w porządku. Pierwszy napotkany batman rzeczywiście może zrobić na człowieku takie wrażenie.

Duke Rhinemann wyciągnął dłoń i Pearson ją uściskał. Ale myślami był jeszcze przy ostatnich słowach Murzyna. "Pierwszy napotkany batman rzeczywiście może zrobić na człowieku wrażenie" - powiedział i Pearson w jednej chwili wymazał z pamięci skojarzenie, jakie przyszło mu na myśl, gdy ujrzał stwora; Zakapturzony Krzyżowiec torujący sobie drogę przez Gotham City¹ między budynkami w stylu art-deco. Pomyślał, że "batman" jest

¹ Potoczna nazwa Nowego Jorku.

określeniem dużo trafniejszym. Odkrył coś jeszcze; a może tylko ponownie to odkrył: dobrze jest natychmiast ukuć nazwę na każdą rzecz, która człowieka przerażała. Nie powoduje to, że człowiek przestaje się bać, ale przynajmniej dzięki temu strach staje się do zniesienia.

Tak więc teraz z rozmysłem dokładnie przypomniał sobie, co widział, i mruknął w duchu: To był mój pierwszy batman.

Przeszedł przez obrotowe drzwi, myśląc o jednym, o tym samym co zwykle, gdy wychodził o dziesiątej przed bank. Rozmyślał o upajającym uczuciu, jakie ogarnia człowieka, kiedy nikotyna z pierwszego papierosa zaczyna wdzierać się do płuc i mózgu. To właśnie czyniło go jednym z członków plemienia; stanowiło jego prywatną wersję rytualnych tatuaży na policzkach.

Natychmiast zauważył, że dzień stał się jeszcze bardziej mroczny niż o godzinie ósmej czterdzieści pięć, gdy pojawił się w pracy, i pomyślał: Po południu dym z naszych rakotwórczych zwitków wydmuchiwać będziemy w siąpiący deszcz; wszyscy, cały nasz klan. Ale mały deszczyk nie powstrzyma ich od tego. Ludzie Dziesiątej byli bardzo uparci i zdecydowani.

Pamiętał, że omiółł plac szybkim, prawie podświadomym spojrzeniem. Ujrzał dziewczynę w czerwonej spódnicy (i znów zastanowił się, jak zresztą zawsze to czynił, czy ktoś o tak znakomitym wyglądzie równie efektownie wyglądałby w spodniach), młodego, bebopowego odźwiernego z drugiego piętra, który w czapce nałożonej tył do przodu mył mopem podłogi w ubikacji i w barze przekąskowym, starszego mężczyznę z imponującą strzechą całkiem siwych włosów i purpurowymi plamkami na policzkach, młodą kobietę w okularach o grubych szklach, wąskiej twarzy i z drugimi, prostymi włosami. Dostrzegł innych, których sobie mgliście przypominał. Jednym z nich naturalnie był przystojny młody Murzyn w kremowym garniturze.

Gdyby dostrzegł gdzieś Timmy'ego Flandersa, to by do niego dołączył. Ponieważ jednak nigdzie go nie było, Pearson ruszył w kierunku środka placu, zamierzając przysiąść na jednej z marmurowych wysepek (dokładnie tej, na której siedział obecnie). Gdy już tam będzie, zajmie doskonałe stanowisko, z którego oceni wszelkie uroki i zalety długich nóg Ślicznotki W Czerwonej Spódnicy. Wprawdzie będzie mógł tylko sobie po-patrzeć, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. W małżeństwie powiodło mu się znakomicie, miał żonę, którą kochał, i córkę, którą uwielbiał. Nigdy nie zdradzał żony, ale kiedy zbliżył się już do czterdziestki, odkrył, że krew zaczyna się w nim burzyć jak woda w oceanie, z której lada chwila wynurzą się na powierzchnię jakieś morskie potwory. Nie wiedział, czy jakikolwiek mężczyzna zdołałby się powstrzymać przed spoglądaniem na taką czerwoną spódniczkę, i

chwilę się zastanawiał, czy jej właścicielka nosi pod spodem czarną bieliznę.

W chwili jednak gdy ruszył w stronę upatrzonego stanowiska, zza załomu budynku wyłonił się przybysz i zaczął wchodzić po wiodących na plac stopniach. Pearson dostrzegł go zaledwie kątem oka i w normalnych okolicznościach nie zwróciłby na niego uwagi. Bez reszty pochłaniał go widok czerwonej spódniczki, króciutkiej, sztywnej i czerwonej jak wóz strażacki. A jednak popatrzył w stronę nowo przybyłego, gdyż mimo że ruch dostrzegł jedynie kątem oka, a myśli miał zaprzątnięte całkiem czymś innym, zarejestrował w umyśle, że coś jest nie tak z twarzą i głową zbliżającej się postaci. Odwrócił się i popatrzył w jej kierunku, co sprawiło, że przez Bóg jeden wie ile kolejnych nocy nie będzie w stanie zmrużyć oka.

Buty były w porządku; ciemnoszary garnitur od Andre Cyra wyglądał równie solidnie i wzbudzał zaufanie jak drzwi skarbcza w podziemiach banku. A nawet jeszcze większe. Czerwony krawat wyróżniał się barwą, ale nie raził oka i nie naruszał dobrego smaku. Wszystko pasowało w każdym calu: typowy strój wysokiego urzędnika bankowego, który kroczy z godnością do pracy w poniedziałkowy poranek (kto, jeśli nie urzędnik bankowy wysokiej rangi pojawia się w pracy w po-niedziałkowy poranek dopiero o dziesiątej rano?). Kiedy jednak Pearson popatrzył na jego głowę, pomyślał, że oszalał i widzi coś, o czym z pewnością nie ma nawet wzmianki w World Book Encyclopedia.

Ale dlaczego nikt nie uciekał? - dumał teraz Pearson, gdy na tył jego głowy spadła pierwsza kropla deszczu, a następna zmoczyła białą bibułkę do połowy wypalonego papierosa, którego trzymał w ustach. Powinni byli przecież czmychać z wrzaskiem, jak robili to ludzie uciekający przed gigantycznymi robalami na filmach z lat pięćdziesiątych błysnęło mu w głowie. - Ale w takim razie... dlaczego ja nie uciekałem?

Niby prawda, ale nie to samo. Nie uciekał, ponieważ sparaliżował go strach. Ale próbował krzyżeć. Na sekundę przed tym, jak chwycił go za łokieć ów nowy znajomy, próbował krzyżeć, lecz odebrało mu głos. Batman. Mój pierwszy batman.

Nad szerokimi ramionami przybranymi w Najszykowniejszy Garnitur Służbowy Roku i nad węzłem wytwornego, czerwonego krawata firmy Sulka majaczyła olbrzymia, szarawo-brązowa głowa, nie okrągła, lecz zdeformowana jak piłka futbolowa, którą kopano przez cały letni sezon. Czarne linie, zapewne żyły, pulsowały pod powierzchnią ciemnej skóry, wijąc się chaotycznie niczym linie na mapie drogowej, a tam gdzie powinna znajdować się twarz, nie było nic (nic, co w ludzkim pojęciu przypominałoby oblicze), a jedynie jakieś bryły wybrzuszone i drgające jak nowotwory obdarzone półrozumnym życiem. Rysy miał zaledwie szczątkowe i jakby ściągnięte, oczy płaskie, czarne, idealnie okrągłe, spoglądające drapieźnie ze środka twarzy jak ślepie rekina lub opasłego owada, uszy zdeformowane, bez

małżowin. Stwór nie miał nosa, a w każdym razie Pearson nic takiego nie dostrzegł, chociaż z dwóch kolczastych kępek włosów wyrastających pod oczyma wystawały dwa wyrostki przypominające niewielkie kły słoniowe. Większą część twarzy zajmowały usta - olbrzymie, czarne, w kształcie półksiężyca i wypełnione trójkątnymi zębami. Dla stworzenia z taką paszczą - pomyślał później Pearson - pożeranie musiało stanowić przenajświętszy sakrament.

Pierwszą refleksją, jaka go naszała, gdy wpatrywał się w po-tworną zjawę - zjawę, która w kształtnej, wymanikiurowanej dłoni trzymała teczkę firmy Balley - było: To Człowiek-Słoń. Ale -jak teraz sobie uświadamiał - stwór stanowił wyłącznie zdeformowaną istotę ludzką z jakiegoś starego filmu. Duke Rhinemann był bliższy prawdy: te czarne oczy i rozwarty pysk kojarzyły się bardziej z futrzastym, piszczącym stworzeniem, które całe noce poświęca na pożeranie owadów, a w dzień śpi w mrocznych kryjówkach z głową w dół. Ale nie to sprawiło, że chciał wrzeszczeć; chciał wrzeszczeć

dopiero wtedy, gdy stworzenie w garniturze od Andre Cyra minęło go, a lśniące, owadzie ślepią potwora wlepione już były w obrotowe drzwi prowadzące do banku. Wtedy też stwór przez sekundę czy dwie był bardzo blisko Pearsona, który ujrzał dokładnie przypominające nowotwór oblicze, poruszające się w jakiś osobliwy sposób pod cętkowaną szopą twardej szczeciny wyrastającej z tej twarzy. Nie miał pojęcia, jak to mogło się dziać, ale się działo. Widział na własne oczy, osobiście obserwował ludzkie ciało pełnące wokół kluchowatych krzywizn czaszki i falujące naprzemiennymi pierścieniami wokół przypominającego końcówkę maczugi łba. Dostrzegł też makabryczną, żywą, różową substancję, o której nawet nie chciał myśleć... a jednak teraz, kiedy to sobie przypominał, odnosił wrażenie, że nie potrafi oderwać od niej myśli.

Na jego dłonie i twarz spadły kolejne krople deszczu. Siedzący obok na marmurowej krawędzi Rhinemann zaciągnął się po raz ostatni, odrzucił niedopałek i wstał.

- Chodźmy - powiedział. - Zaczyna padać.

Pearson popatrzył nań szeroko rozwartymi oczyma, a następnie przeniósł wzrok na gmach banku. Właśnie wchodziła do niego blondynka w czerwonej spódnicy, książkę trzymała pod pachą. Dokładnie za nią szła (i dosłownie macała ją wzrokiem) grupka podstarzałych bankierów, wśród których był ów mężczyzna z szopą siwych włosów.

Pearson ponownie skierował wzrok na Rhinemanna i powiedział:

- Mamy wejść do środka? Mówi pan serio? Przecież tam właśnie wszedł ten stwór!

- Wiem.

- Chce pan usłyszeć coś kompletnie szalonego? - zapytał Pearson, odrzucając papierosa.

Nie wiedział jeszcze, dokąd pójdzie, zapewne do domu, ale wiedział, dokąd z całą

pewnością nie wejdzie: do The First Mercantile Bank of Boston.

- Jasne - odparł Rhinemann. - Dlaczego nie?

- To coś do złudzenia przypominało naszego czcigodnego dyrektora naczelnego, Douglasa Keefera... dopóki nie popatrzyłem na jego głowę. Ten sam garnitur, ta sama teczka.

- I co w tym dziwnego? - odparł Rhinemann. Pearson zmierzył go niespokojnym wzrokiem.

- O co ci chodzi?

- Myślę, że zna pan już odpowiedź, ale nie wyszedł pan jeszcze z szoku. Zatem ja to powiem za pana. To rzeczywiście był Keefer.

Pearson uśmiechnął się niepewnie, ale Rhinemann zachował powagę. Chwyił Pearsona za łokieć i przyciągnął do siebie tak blisko, że ich twarze dzieliło tylko kilka centymetrów.

- Właśnie uratowałem panu życie. Czy wierzy pan w to, panie Pearson?

Pearson zastanowił się nad słowami Murzyna i pojął, że tak dokładnie jest. Obraz obcego o twarzy przypominającej pysk nietoperza, z czarnymi oczyma i strasznymi zębiskami płonął mu nieustannie w pamięci niczym czarna flara.

- Tak - powiedział. - Uratował pan.

- W porządku. Zatem proszę wyświadczyć mi tę grzeczność i wysłuchać uważnie trzech rzeczy... Wysłucha pan?

- Ja... tak, jasne.

- Po pierwsze: to był Douglas Keefer, dyrektor naczelny The First Mercantile Bank of Boston, bliski przyjaciel bur-mistrza oraz honorowy przewodniczący fundacji bostońskiego szpitala dziecięcego. Po drugie: w banku pracują jeszcze co najmniej trzy inne nietoperze, jeden z nich na pańskim piętrze. Po trzecie: musi pan tam wrócić. Jeśli naturalnie życie panu miłe.

Pearson zapomniał języka w gębie i tępo wpatrywał się w Rhinemanna. Gdyby próbował w tej chwili wyartykułować jakiegokolwiek słowo, z ust wydobyłby mu się jedynie kolejny, niezrozumiały bełkot.

Rhinemann, nie puszczając jego łokcia, pchnął Pearsona w stronę obrotowych drzwi.

- Idziemy, przyjacielu - oświadczył dziwnie łagodnym tonem. - Zaczyna padać na dobre. Jeśli będziemy tu dłużej sterczeć, zwrócimy na siebie uwagę, a ludzie na naszych stanowiskach nie mogą sobie na to pozwolić.

Pearson w pierwszej chwili ruszył posłusznie za Murzynem, ale gdy naszło go wspomnienie owych pulsujących żył na głowie stwora, cały aż zwinął się w środku. Owo

wspomnienie sprawiło, że tuż przed drzwiami zatrzymał się jak wryty. Gładkie płyty, którymi wyłożony był plac, kompletnie już mokre, odbijały drugiego Brandona Pearsona, i odbicie to ciągnęło się od stóp mężczyzny niczym innego koloru nietoperz.

- Nie... nie wiem, czy potrafię tam wejść - wydukał drżącym, urywanym głosem.

- Potrafi pan - odparł Rhinemann i zerknął na lewą dłoń Pearsona. - Widzę, że jest pan żonaty... czy ma pan dzieci?

- Jedno. Córkę. - Pearson popatrzył w stronę kularów banku.

Szyby w obrotowych drzwiach były polaryzowane i obszerne pomieszczenie wewnątrz sprawiało wrażenie spowitego mrokiem. Jak pieczara - pomyślał Pearson. - Pieczara wypełniona na wpół ślepymi nietoperzami roznoszącymi choroby.

- Czy chce pan, aby pańska żona i dzieciak przeczytali w jutrzejszych gazetach, że policja wydobyla w porcie bostońskim ich męża i tatę z podejrzanym gardłem?

Pearson popatrzył na Rhinemanna rozszerzonymi oczyma. Krople deszczu spadały mu na policzki i czoło.

- Zrobią to tak, żeby wyglądało na robotę ćpunów - ciągnął Rhinemann. - To skutkuje. To zawsze skutkuje. Oni są cwani, a ponadto mają wysoko postawionych przyjaciół. Do diabła, oni są urodzeni do zajmowania wysokich stanowisk.

- Nie rozumiem - powiedział Pearson. - Nic z tego nie rozumiem.

- Wiem, że nie - odpalił Rhinemann. - Jest pan chwilowo w opałach i to właśnie pragnę panu uświadomić. Dobrze radzę, proszę wracać do swego i przetrwać ten dzień z uśmiechem na ustach. Uśmiechaj się, mój przyjacielu, szeroko się uśmiechaj, choćbyś nie wiadomo jak paskudnie czuł się w środku... - Zawahał się i dodał: - Jeśli schrzani pan sprawę, nie daję trzech centów za pańskie życie.

Krople deszczu ściekały po młodej, gładkiej, ciemnej twarzy i do Pearsona dotarło nagle to, co dotąd nie docierało dlatego, że nie wyszedł jeszcze całkowicie z szoku: człowiek, którego miał przed sobą, był przerażony, człowiek ten ryzykował bardzo wiele, żeby uchronić Pearsona przed wejściem w pułapkę.

- Naprawdę nie mogę tu zostać ani chwili dłużej - oświadczył Rhinemann. - To niebezpieczne.

- W porządku - powiedział Pearson zdumiony tym, że ma spokojny, normalny głos. - Wracajmy do pracy.

Na twarzy Rhinemanna pojawiła się ulga.

- Mądrze. I bez względu na to, co pana dziś jeszcze spotka lub co pan zobaczy, proszę nie okazywać zdziwienia. Jasne?

- Tak - odrzekł Pearson, choć nic nie było dla niego jasne.

- Czy może pan skończyć dziś urzędowanie trochę wcześniej i wyjść z pracy około trzeciej? Pearson zastanawiał się chwilę, po czym skinął głową.

- Tak. Chyba tak.

- Świetnie. Spotkajmy się na rogu Milk Street.

- W porządku.

- Dobrze robisz, człowieku - oświadczył Rhinemann. - Wszystko się ułoży. Do zobaczenia o trzeciej.

Wszedł w obrotowe drzwi i pchnął je. Pearson wkroczył w następny przedział czując, że tam, na placu zostawił jakąś część swego umysłu... zostawił wszystko poza jednym: chęcią zapalenia następnego papierosa.

Dzień włókł się niemiłosiernie, ale wszystko było w jak najlepszym porządku aż do chwili, gdy wracał z lunchu (i po dwóch wypalonych papierosach), który zjadł w towarzystwie Tima Flandersa. Wyszli z windy na drugim piętrze i pierwsze, co Pearson ujrzał, to kolejnego batmana... z tym tylko, że tym razem batmana-kobietę. Na nogach miała szpilki z czarnej lakierowanej skóry, czarne nylonowe pończochy i niebywale elegancką, jedwabną sukienkę... od Samuela Blue - pomyślał Pearson. Wspaniały strój... dopóki nie popatrzyło się na głowę jego właścicielki, chwiejącą się niczym zmutowany słonecznik.

- Cześć, panowie - wydobył się słodki kontrast z przypominającego zajęczą wargę otworu, który był ustami.

Suzan Holding - pomyślał Pearson. - To nie może być prawda, ale tak właśnie dokładnie jest.

- Cześć, Suzy, kochanie - usłyszał własny głos i pomyślał: Jeśli się do mnie zbliży... jeśli spróbuje mnie dotknąć... będę wrzeszczał. Nie zdołam się powstrzymać, bez względu na to, co mi tamten chłopak powiedział.

- Brand, czy dobrze się czujesz? Jesteś blady.

- Dasz buziaka, a od razu wrócę do normy - odparł zdumiony spokojem, z jakim wypowiedział te słowa.

- Doskonale - odrzekła Suzanne Holding zza nietoperzej twarzy i osobliwego, ruchliwego mięsa. - Ale żadnych pocałunków z języczkiem, zanim nie poczujesz się lepiej. Tak naprawdę, to nawet nie waż się na mnie chuchać. Do środy, kiedy pojawią się ci Japończycy, nie mogę pozwolić sobie na żadną chorobę. To nie problem, słoneczko... naprawdę, uwierz mi.

- Postaram się jakoś wytrzymać.

- Dziękuję. Tim, możesz wpaść do mojego biura i rzucić okiem na dwa wyciągi

komputerowe?

Timmy Flanders objął ją w pasie, kładąc dłoń na wyszukanej, seksownej sukience od Samuela Blue i Pearson szeroko rozwartymi oczyma ujrzał, jak Tim pochyla się, po czym całuje lekko, z boku, pobrużdżoną nowotworami, porośniętą szczecinią twarz stwora. A więc to w tym miejscu Timmy widzi jej policzek - pomyślał Pearson i w jednej chwili zaczął opuszczać go cały zdrowy rozsądek, jak nasmarowany tłuszczem kabel ześlizgujący się ze szpuli wyciągarki. Gładki, wyperfumowany policzek - błysnęło Pearsonowi w głowie. - Oto co widzi... w porządku, myśli, że właśnie całuje ją w policzek. Och, mój Boże! Och, mój Boże!

- Proszę! - Timmy zgiął się w szarmanckim ukłonie przed stworem. - Jeden całus i jestem cały twój, droga pani!

Puścił do Pearsona oko i poprowadził potwora w kierunku jego biura. Kiedy mijali małą fontannę z wodą pitną, zabrał rękę z talii Suzanne Holding. Krótki, pozbawiony znaczenia taniec godowy pawia przed pawicą - gest, który przez ostatnich dziesięć lat stał się rytuałem w stosunkach panujących między kobietą-szefem a podwładnym-mężczyzną - został odegrany i teraz już jako przedstawiciele równorzędnych płci oddalali się od Pearsona, rozmawiając wyłącznie o liczbach.

Genialna analiza, Brand - pomyślał szaleńczo Pearson i odwrócił się na pięcie. - Powinieneś być zostać socjologiem. I rzeczywiście o mało nim nie został; ten właśnie kierunek wybrał sobie w college'u.

Kiedy wkroczył do swego biura, skonstatował, że lepi się od potu. Socjologia wywietrzała mu z głowy. Oczekując godziny trzeciej, zagłębił się w papierach.

Za kwadrans trzecia opuścił biuro i wsunął głowę do gabinetu Suzanne Holding. Obcy asteroid, jakim była jej głowa, pochylał się nad siwoniebieskim ekranem komputera; gdy za-pukał, popatrzyła w stronę drzwi. Skóra na jej dziwacznej twarzy nieustannie się ślizgała, czarne oczy spoglądały łakomie jak ślepiec rekina obserwujące nogi pływaka.

- Przekazałem Buzzowi Carstairsowi formularze siódemki - poinformował Pearson. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zabiorę do domu indywidualne dziewczątki. Mam to u siebie na twardym dysku.

- Próbujesz nieśmiało powiedzieć, że zamierzasz cichcem wyjść z pracy? - spytała Suzanne.

Czarne żyły na szczycie jej czaszki pulsowały obrzydliwie, guzy drgały i Pearson uświadomił sobie, że z jednego wycieka gęsta, różowawa substancja przypominająca krem do golenia wymieszany z krwią.

- Złapałaś mnie - odparł z lekkim uśmiechem.

- Dobrze - stwierdziła. - Bardzo dobrze. Cóż, orgietka, którą planujemy na czwartą, odbędzie się dziś bez ciebie.

- Dzięki, Suze - powiedział i odwrócił się.

- Brand?

Ponownie odwrócił się w jej stronę. Strach i odraza przeszły w panikę. Pearson nabrał nagle absolutnej pewności, że owe drapieżne czarne oczy przejrzały go na wylot i udający Suzanne Holding stwór za chwilę powie: "Dosyć już tej zabawy. Chodź tu i zamknij za sobą drzwi. Zobaczymy, czy smakujesz równie dobrze jak wyglądasz".

Rhinemann poczeka, po czym samotnie uda się tam, dokąd zamierza się udać. Być może - rozważał gorączkowo Pearson - domyśli się wszystkiego. Być może już był kiedyś świadkiem podobnego zdarzenia.

- Tak? - zapytał, siląc się na uśmiech.

Przez chwilę taksowała go w milczeniu wzrokiem, groteskowa bulwa jej głowy widniała nad seksowną sylwetką jego szefowej, po czym przemówiła:

- Wyglądasz już dużo, dużo lepiej.

Gębę miała lekko rozwartą, czarne oczy nieustannie gapiły się na Pearsona wzrokiem szmacianej lalki Raggedy Ann o malowanej twarzy bez wyrazu, ciśniętej pod dziecinne łódeczko, ale Pearson wiedział, że wszyscy inni widzieliby jedynie Suzanne Holding, uśmiechającą się do podwładnego uroczą i z odrobiną troski. Niekoniecznie jak matka Courage, lecz z niepokojem i wyraźnym zainteresowaniem.

- Lepiej - przyznał i doszedł do wniosku, że to zbyt słabe określenie. - Czuję się wspaniale.

- Cóż, pozostaje ci jeszcze tylko rzucić palenie.

- Próbuję - odparł z bladym uśmiechem.

Naoliwiony kabel w jego umyśle znów zaczął ześlizgiwać się ze szpuli. Pozwól już mi odejść - modlił się w duchu. - Daj mi, kurwo, odejść, zanim nie zrobię jakiejś głupoty.

- Jeśli rzucisz papierosy, natychmiast odbije się to korzystnie na twojej polisie ubezpieczeniowej - oświadczył potwór.

Z cichym, obrzydliwym młaśnięciem otworzyła się kolejna nowotworowa narośl i zaczęła z niej wyciekać owa różowawa maź.

- Tak, wiem o tym - przyznał Pearson. - Poważnie tę sprawę przemyślę, Suzanne. Obiecuję.

- Tak, tak, zrób to - powiedziała i odwróciła się do ekranu komputera.

Pearsona ogarnęło zdumienie, nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Rozmowa była

skończona.

Kiedy Pearson opuścił budynek, ciągle padało. Ludzie Godziny Dziesiątej - teraz naturalnie stali się już Ludźmi Godziny Piętnastej, ale poza tym nie zaszły w ich zachowaniu żadne istotne zmiany - stali przed budynkiem, gromadzili się jak stado owiec i robili to co zawsze. Ślicznotka W Czerwonej Spódnicy i odźwierny, który lubił nakładać czapkę tył do przodu, kryli się w podcieniach redakcji Boston Globe. Wyglądali żałośnie, byli zmoczeni, ale mimo to Pearson zazdrościł odźwiernemu. Ślicznotka W Czerwonej Spódnicy pachniała perfumami Giorgio; przekonał się o tym kilka razy, gdy jechał z nią windą. I naturalnie, kiedy się poruszała, wydawała cichy, jedwabisty szelest.

O czym ty, do licha, myślisz? - zapytał surowo samego siebie i sam sobie natychmiast odpowiedział: Myślę o tym, żeby zachować zdrowe zmysły. Pasuje?

Duke Rhinemann stał pod markizą rozpostartą nad wejściem do kwaciarni, tuż za rogiem. Miał przygarbione plecy, a w kąciuku ust papierosa. Pearson dołączył do niego. Zerknął na zegarek, po czym przeniósł wzrok na tkwiącego w ustach Murzyna winstona.

- Moja szefowa jest jednym z nich - poinformował na-tychmiast Duke'a. - Chyba że Douglas Keefer lubi przebierać się w damskie ciuchy.

Rhinemann rozejrzył się z dziwnym wyrazem twarzy, ale nic nie odpowiedział.

- Mówił pan, że jest jeszcze trzech innych. Którzy?

- Donald Fine. Prawdopodobnie pan go nie zna... pracuje w ochronie. I Carl Grosbeck.

- Carl... Przewodniczący rady? Jezu!

- Mówiłem panu - powiedział Rhinemann. - Te typki są stworzone do zajmowania wysokich stanowisk... Ej, taksówka!

Wybiegł spod markizy i machnął ręką na kasztanowo-biały pojazd, który w to deszczowe popołudnie jakimś przedziwnym zrządzeniem losu okazał się wolny. Samochód skierował się w ich stronę, rozpryskując fontanny wody z kałuż. Rhinemann zgrabnie podbiegł do taksówki, ale Pearson kompletnie przemoczył sobie buty i mankiety spodni. Jednak w tym stanie ducha, w jakim się znajdował, nawet nie zwrócił na to uwagi. Otworzył drzwi i przepuścił przodem Rhinemanna, który wślizgnął się do kabiny i skulił na fotelu. Pearson wsiadł za nim i zatrasnął drzwi.

- Do pubu Gallaghery - polecił Rhinemann. - To dokładnie naprzeciwko...

- Wiem, gdzie jest Gallagher - odparł kierowca - ale nigdzie nie pojedziemy, dopóki nie wyrzucisz, przyjacielu, tej rakotwórczej rurki. - Stuknął palcem w nalepkę na takso-metrze.

W TEJ BRYCZCE NIE PALIMY - głosił napis.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia i Rhinemann wzruszył ramionami, częściowo z

zakłopotaniem, częściowo z urazą i politowaniem, co od mniej więcej tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku było rytualnym gestem w plemienu Ludzi Godziny Dziesiątej. Następnie, bez słowa protestu, wyrzucił na deszcz ćwiartkę winstona.

Pearson zaczął opowiadać Rhinemannowi o wstrząsie, jakiego doznał, gdy otworzyły się drzwi windy i po raz pierwszy dokładnie przyjrzał się prawdziwej Suzanne Holding. Rhinemann jednak zmarszczył brwi, potrząsnął szybko głową i wskazał kciukiem kierowcę.

- Porozmawiamy później - oświadczył.

Pearson zamilkł i zajął się obserwacją zmywanych deszczem wieżowców w centrum Bostonu. Doszedł do wniosku, że jego nastrój idealnie harmonizuje z małym ruchem ulicznym, jaki panował za zalewanymi deszczem szybami taksówki. Szczególne zainteresowanie budziły w nim niewielkie grupki Ludzi Godziny Dziesiątej, które obserwował przed każdym mijanym biurowcem. Niezależnie od tego, czy stali pod jakimś zadaszeniem, czy nie, robili to samo: kulili się, stawiali kołnierze i palili, osłaniając dłońmi papierosy. Pearsonowi przyszło do głowy, że w co najmniej dziewięćdziesięciu procentach eleganckich wieżowców w śródmieściu nie ma nawet palarni, podobnie jak w banku, gdzie pracował on i Rhinemann. Później dotarło do niego (myśl ta spadła nań niczym objawienie), że Ludzie Godziny Dziesiątej tak naprawdę nie stanowią żadnego nowego plemienia, lecz jedynie niedobitki dawnego - renegatów uciekających przed nową miotłą, która próbowała wymieść stary, paskudny obyczaj za próg życia Ameryki. Jednoczącą ich cechą była niechęć czy też niemożność zaprzestania zadawania sobie śmierci; stanowili śmieci w nieustannie kurczącej się strefie cienia akceptowalności. Egzotyczna grupa społeczna, której nie był sądzony długi żywot. Podejrzewał, że do roku dwa tysiące dwudziestego, najwyżej do pięćdziesiątego, Ludzie Godziny Dziesiątej przeminą, jak przeminęły ptaki dodo.

Cholera jasna, zastanów się tylko chwilę - pomyślał. - Jesteśmy po prostu ostatnimi na świecie niepoprawnymi optymistami, to wszystko. Większość z nas nie zapina również pasów bezpieczeństwa, uwielbiamy też zasiadać na meczach baseballowych tuż za bazą domową, jeśli nawet zdjęto te cholerne siatki ochronne.

- Panie Pearson, co pana tak rozśmieszyło? - zapytał Rhinemann i Pearson uświadomił sobie, że na twarzy gościa mu szeroki uśmiech.

- Nic - odparł. - W każdym razie nic ważnego.

- Dobrze, tylko niech pan nie robi ze mnie balona.

- Czy potraktuje pan to jak robienie z pana balona, jeśli poproszę, żeby pan mówił mi Brandon?

- Chyba nie - odparł Rhinemann i przybrał taką minę, jakby rozważał propozycję. - Nie,

jeśli tylko będziesz mówił mi Duke i nie zniżymy się do tego, żeby zwracać się do siebie Per "koleś", "stary byku" albo w jakiś inny, żenujący sposób.

- Zapewniam cię, że ci to nie grozi. Chcesz się o czymś dowiedzieć?

- Jasne.

- To był najbardziej zdumiewający dzień w moim życiu. Duke Rhinemann skinął głową i stwierdził bez uśmiechu:

- A co więcej, wcale się jeszcze nie skończył.

Pearson pomyślał, że Duke specjalnie wybrał pub Gallaghery, ponieważ jak na warunki bostońskie lokal ten stanowił wyraźną anomalię. Był to raczej pseudokowbojski bar niż przytulny pub; wymarzone miejsce dla dwóch pracowników banku, którzy zamierzali w cztery oczy poważnie przedyskutować problem. Gdyby opowiedzieli o nim znajomym, ci zwątpiliby w ich zdrowe zmysły. W lokalu znajdował się najdłuższy szynkwias, jaki kiedykolwiek Pearson widział w życiu, otacza-jący rozległy kwadratowy lśniący parkiet taneczny, gdzie w takt piosenki This One's Gonna Hurt You w wykonaniu Marty Stuart i Trvisa Tritta tuliły się właśnie sennie trzy pary.

W jakimś mniejszym lokaliku bar byłby zatłoczony, ale tutaj klienci mieli tyle miejsca przy tym szynkwiasie wzbudzającym zdumienie swą długością, wyłożonym mahoniem z mosiężnymi okuciami na krawędziach, że każdy mógł znaleźć sobie odrobinę prywatności. Tak zatem Pearson i Rhinemann nie musieli siadać przy stoliku w jednej z łóż znajdujących się w mrocznej, dolnej części sali. Bardzo łatwo było wyobrazić sobie batmana, a nawet parkę batmanów, które usiadłszy (a może tylko przycupnąwszy) za przepierzeniem sąsiedniej łoży, podsłuchałyby ich rozmowę.

Chłopie, czy nie nazywa się to przypadkiem paranoją? - pomyślał Pearson. - Chyba ci już do niej bardzo blisko.

Tak, chyba blisko - dodał w duchu. Ale w tej chwili ten problem interesował go najmniej. Był po prostu zadowolony, że będzie mógł swobodnie obserwować otoczenie w czasie rozmowy... a raczej, jak podejrzewał, w czasie, kiedy będzie mówił Duke.

- Pasuje ci ten bar? - zapytał Rhinemann, a Pearson skinął głową.

Wygląda to jak jeden bar - naszła Pearsona refleksja, kiedy przechodził za Duke'em pod tablicą z napisem: PALIMY TYLKO W TEJ CZĘŚCI SALI - ale tak naprawdę są to dwa lokale... jak w latach pięćdziesiątych, kiedy to każdy bar poniżej linii Masona-Dixona stanowił właściwie dwa; jeden dla białych, drugi dla czarnych. A tutaj, jak w tamtych latach, również były to dwa bary. W części dla niepalących przed szynkwiasem stał wielki sony o ekranie prawie tak dużym jak kinowy. W nikotynowym getcie wisiał zawieszony na hakach wbitych w

ścianę stary zenith (obok niego widniał napis: TY MASZ PRAWO PROSIĆ O KREDYT, MY MAMY PRA-WO POWIEDZIEĆ WY!!!!!!LAJ!). W tej części sali było znacznie bardziej brudno; w pierwszej chwili nawet Pearson sądził, że coś mu się tylko przewidziało. Po bliższej jednak lustracji spostrzegł, że drewno kontuaru jest odrapane i wyblakłe, pełne okrągłych śladów - Upiorów Dawnych Kufli. No i naturalnie wszystko przesączał zapach zastarzałego papierosowego dymu. Pearson przysiągłby, że kiedy usiadł na barowym stolku obitym grubym materiałem, poduszka pierdnęła kurzem, jak fotele w podręcznym kinie pierdzą kawałeczkami rozsypanego przez widzów popcornu. W telewizorze o ekranie pokrytym warstwą nikotyny lektor miał twarz siną jak konający; ten sam facet występujący przed zdrową częścią widzów w drugim końcu baru sprawiał wrażenie kogoś, kto w każdej chwili jest gotów przebiec dystans czterystu czterdziestu jardów, a następnie z werwą zająć się jakąś ognistą blondynką.

Witamy w tylnej części autobusu - pomyślał Pearson spoglądając z pełnym złości rozbawieniem na swego kompana, również należącego do Ludzi Godziny Dziesiątej. - Ale i tak nie masz na co się skarżyć - ciągnął ów wewnętrzny mono-log. - Za dziesięć lat palacze w ogóle nie będą wpuszczani do lokalu.

- Papieroska? - zapytał Duke, ujawniając szczątkowy talent do czytania w umysłach innych.

Pearson popatrzył na zegarek, po czym wziął papierosa i odpalił go od tandetnej zapalniczki Duke'a. Zaciągnął się głęboko, rozkoszując się lekkim zawrotem głowy, kiedy dym wszedł mu do płuc. Oczywiście, nałóg był groźny, zapewne nawet śmiertelny; bo jak inaczej potrafiłby tak bardzo człowieka wciągnąć? Ale taka już widać kolej rzeczy, to wszystko.

- A ty? - zapytał Duke'a, gdy ten schował paczkę kieszeni.

- Zapalę później - odparł z uśmiechem Duke. - Wziąłem kilka machów, kiedy czekaliśmy na taksówkę. Ponadto muszę wyrównać dług, jaki zaciągnąłem po lunchu.

- Ograniczasz palenie?

- Tak. Zazwyczaj wtedy pozwalałam sobie na jednego, ale dzisiaj wypaliłem dwa. Wiesz, wystraszyłeś mnie jak jasna cholera.

- Sam miałem tęgiego pietra.

Zbliżył się barman, a Pearson z fascynacją obserwował, jak zgrabnie unika smug dymu unoszącego się z papierosa. Podejrzewam, że robi to całkiem podświadomie - pomyślał Brandon - ale gdybym dmuchnął mu dymem prosto w twarz, z całą pewnością wpadłby w furię i zdefasonował mi buzię.

- Czym mogę służyć, panowie?

Duke, nie pytając Pearsona o zdanie, zamówił dwa samy adamsy. Kiedy barman

odszedł zrealizować zamówienie, od-wrócił się do Brandona.

- Pij z umiarem. Nie jest to najlepszy czas, żeby się upić. Nie jest to też najlepszy czas, żeby być trzeźwym.

Pearson skinął głową, a kiedy pojawił się barman z piwami, położył na kontuarze banknot pięciodolarowy. Zaczepnął wielki łyk i zaciągnął się papierosem. Istnieją ludzie, którzy twierdzą, że papieros najlepiej smakuje po jedzeniu, ale Pearson nie zgadzał się z tą opinią. Jego zdaniem to nie jabłko sprowadziło kłopoty na głowę Ewy, ale piwo i papieros.

- Co zastosowałeś? - zapytał Duke. - Plasterek? Hipnozę? Starą, dobrą, amerykańską silną wolę? Patrząc na ciebie, myślę, że plasterek.

Jeśli miała to być próba poprawienia Pearsonowi humoru, to zupełnie chybiła celu. Pearson tego popołudnia bardzo dużo myślał o paleniu.

- Tak, plasterek - odparł. - Ale po narodzinach mojej córki wytrzymałem tylko dwa lata. Gdy po raz pierwszy spojrzałem na nią przez szybę sali porodowej, postanowiłem rzucić palenie. To głupota, jeśli ktoś, kto wypala czterdzieści do pięćdziesięciu papierosów dziennie, składa nowo narodzonej istotce ludzkiej ślub, że nie będzie palił przez osiem-naście lat.

Natychmiast się w córce zakochałem - mógł dodać, ale podejrzewał, że o tym już Duke doskonale wie.

- Nie wspominając o zobowiązaniu, że nigdy już nie zapalisz, jakie podjąłeś wobec żony - odpowiedział Duke.

_ Tak, nie wspominając o żonie - zgodził się Pearson.

_ Oraz o skłóconych braciach, bratowych, ściągających długi, podatnikach i wszystkich przyjaciółach z sądu.

Pearson wybuchnął śmiechem i kiwnął głową.

- Właśnie, załapałeś.

_ Ale to nie jest takie łatwe, jak się mówi. Gdy o czwartej nad ranem nie można zasnąć, człowiek traci wszelką godność osobistą.

Pearson skrzywił się.

- Albo kiedy trzeba wejść na górę i wykonać kilka karkołomnych fikołków przed Grosbeckiem, Keeferem, Fine'em i resztą chłopaków z rady nadzorczej. Za pierwszym razem musiałem to zrobić bez wypalenia papierosa przed wejściem... Człowieku, to było trudne jak jasny gwint.

- Ale palenie rzuciłeś zupełnie; przynajmniej na jakiś czas. Pearson popatrzył na Duke'a zdziwiony odrobinę jego wiedzą i skinął głową.

- Mniej więcej na sześć miesięcy. Ale w myślach nie rzuciłem nigdy, jeśli rozumiesz, o

co mi chodzi.

- Oczywiście, że rozumiem.

- Ostatecznie znów zacząłem popalać. Mniej więcej w dziewięćdziesiątym drugim, kiedy zaczęły krążyć opowieści o tym, że niektórzy, co noszą plasterki, a mimo to palą, umierają na zawał. Pamiętasz?

- Ba! - odparł Duke i postukał się w czoło. - Człowieku, mam tu całą kartotekę podobnych historyjek o palaczach. Palenie i choroba Alzheimerera, palenie i wysokie ciśnienie, palenie i katarakta... znasz to wszystko, prawda?

- A więc miałem wybór - odrzekł Pearson. Uśmiechnął się lekko ze zdziwieniem; uśmiechem człowieka, który wie, że postępował jak dupa wołowa i że w dalszym ciągu postępuje jak dupa wołowa, ale nie ma najmniejszego pojęcia, dlaczego tak robi. - Mogłem rzucić palenie albo rzucić plaster. Tak więc...

- Rzuciłem plaster! - dokończyli jednocześnie i wybuchnęli tak głośnym śmiechem, że siedzący w części dla niepalących klient o gładkim czole popatrzył na nich, zmarszczył brwi, po czym znów skupił uwagę na wiadomościach w telewizji kablowej.

- Życie to jeden wielki gówniany interes, prawda? - zapytał Duke, ciągle się śmiejąc i zaczął grzebać w kieszeni kremowej marynarki.

Przerwał, kiedy ujrzał wyciągniętą w swoją stronę paczkę marlboro z wystającym z niej papierosem. Wymienili spojrzenia. Duke zdziwione, Pearson pełne pewności siebie, i ponownie wybuchnęli gromkim śmiechem. Facet o gładkim czole znów popatrzył na nich, tym razem z jeszcze bardziej zmarszczonymi brwiami, ale nie zwrócili na to najmniejszej uwagi. Duke przyjął ofiarowanego papierosa i zapalił. Wszystko trwało niecałe dziesięć sekund, ale wystarczyło, żeby w tej właśnie chwili ci dwaj mężczyźni zostali przyjaciółmi.

- Palilem jak lokomotywa od piętnastego roku życia do dziewięćdziesiątego pierwszego, kiedy się ożeniłem - powiedział Duke. - Matce bardzo się nie podobał mój nałóg, ale pogodziła się z nim, zadowolona, że przynajmniej nie zażywam ani nie handluję prochami, jak to robiła połowa dzieciaków z ulicy, przy której mieszkaliśmy... wiesz, mówię o Roxbury... i zanedo nie truła. Tydzień z naszego miodowego miesiąca spędziliśmy z Wendy na Hawajach, a pierwszego dnia po powrocie dostałem od niej prezent. - Duke zaciągnął się głęboko, a następnie wypuścił nosem dwie smugi dymu. - Wynalazła to chyba w wysyłkowym kata-logu dla yuppies Sharper Image; a może w jakimś innym, nie pamiętam. Miało to taką śmieszoną nazwę, ale zapomniałem już dokładnie jaką. Ja to nazwałem po prostu Śrubami Pawłowa². Ale

² Woryg.: Pavlov's Thumbscrews. Było to średniowieczne narzędzie tortur, służące do

kochałem Wendy jak wszyscy diabli i ciągle kocham, więc potulnie przyjąłem prezent. Okazał się nie taki zły, jak myślałem. Wiesz, o jakim wynalazku mówię?

- Pewnie - odparł Pearson. - Brzęczyk. Sprawia, że między wypaleniem jednego papierosa i drugiego upływa trochę więcej czasu. Lisabeth, moja żona, kiedy była w ciąży z Jenny, bez przerwy mi o nim mówiła. I to z delikatnością spadającej z rusztowania taczki z cementem.

Duke kiwnął głową, uśmiechnął się, a kiedy mijał ich barman, wskazał palcem na puste kufle, poprosił o następną kolejkę i odwrócił się do Pearsona.

- Poza tym, że nie stosowałem plastra, lecz Śrubę Pawłowa, moja historia jest taka sama jak twoja. Dochodziłem już do punktu, gdzie maszynka wygrywała gównianą wersję Freedom Chorus, ale nałóg cały czas wypełzał na wierzch. Trudniej go zabić niż węża o dwóch sercach.

Barman przyniósł piwa. Tym razem zapłacił Duke i oświadczył:

- Muszę zadzwonić. Zajmie mi to najwyżej pięć minut.

- W porządku - powiedział Pearson.

Rozejrzał się, zobaczył, że barman ponownie wycofał się do względnie bezpiecznej części dla niepalących (związki zawodowe - pomyślał - do roku dwutysięcznego piątego wprowadzą instytucję dwóch barmanów; jednego dla palaczy, a drugiego dla niepalących) i ponownie odwrócił się do Duke'a.

- Myślałem, że mamy porozmawiać o batmanach - powiedział ściszym głosem.

Duke wbił w Pearsona spojrzenie ciemnobrązowych oczu i odparł:

- Rozmawialiśmy, człowieku. Rozmawialiśmy.

I zanim Pearson zdążył cokolwiek odrzec, Duke zniknął w mrocznych (choć prawie wcale nie było tam dymu) czeluściach pubu Gallaghery, zmierzając w stronę automatu telefonicznego.

Jego nieobecność trwała raczej dziesięć minut niż pięć i Pearson zastanawiał się właśnie, czy nie powinien pójść go poszukać, gdy jego uwagę przykuł program telewizyjny. Inny spiker mówił o kolejnej awanturze, jaką wszczął wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, sugerując w swoim przemówieniu na forum Stowarzyszenia Narodowej Edukacji, że należałoby raz jeszcze zweryfikować budżet części subsydiowanych przez rząd przedszkoli i zamknąć te, które się da.

Na ekranie pojawiły się migawki z jakiejś sali zebrań w Waszyngtonie. Kamera

ściskania kciuków skazanego.

zarejestrowała najpierw całą salę, a następnie skierowała obiektyw na podium wiceprezydenta. Pearson zacisnął na krawędzi baru palce obu rąk tak silnie, że aż mu kłykcie pobieleły. Przypomniawszy sobie wypowiedziane tego ranka na placu słowa Duke'a: "Mają wysoko postawionych przyjaciół. Do diabła, oni są urodzeni do zajmowania wysokich stanowisk".

- Nie mamy nic przeciwko amerykańskim matkom pracującym. - Na mównicy z niebieskim emblematem wiceprezydenta stał potwór o zniekształconej, nietoperzej twarzy. - Nie mamy nic przeciwko zasłużonym biedakom. Niemniej sądzimy...

Na ramieniu Pearsona spoczęła czyjaś dłoń i Brandon musiał z całych sił zagryźć wargi, żeby nie wrzasnąć. Obejrzał się i zobaczył przed sobą Duke'a. W młodym człowieku zaszła widoczna zmiana. Oczy mu błyszczały, a nad brwiami perlił się pot. Pearson pomyślał, że Duke wygląda tak, jakby wygrał w totalizatorze milion dolarów.

- Nigdy więcej nie rób mi takich kawałów - ostrzegł i wdrapujący się właśnie na barowy stół Duke zamarł w bez-ruchu. - Myślałem, że umrę na serce ze strachu.

Zaskoczony Duke popatrzył w telewizor. Na twarzy pojawił mu się wyraz zrozumienia.

- Och, Jezu, przepraszam, Brandon. Ciągle zapominam, że zacząłeś ten film oglądać od środka.

- A co z prezydentem? - zapytał Pearson. Starał się mówić spokojnym, rzeczowym tonem i prawie mu się to udało. - Myślę, że tego dupka jakoś przeżyję, ale co z prezydentem? Czy on...

- Nie - odparł Duke, zawahał się i dodał: - W każdym razie jeszcze nie.

Pearson pochylił się w jego stronę, czując, że ponownie zaczynają drętwieć mu wargi.

- Co masz na myśli mówiąc: jeszcze nie? Co się dzieje, Duke? Czym oni są? Skąd się wzięli? Co robią i czego chcą?

- Powiem ci wszystko, co wiem - odparł Duke. - Ale najpierw chcę cię prosić, żebyś dziś wieczorem poszedł ze mną na małe spotkanie. Około szóstej. Odpowiada ci ta pora?

- Czy to ma związek z batmanami?

- Naturalnie. Pearson zastanowił się.

- Zgoda. Ale przed tym zadzwonię do Lisabeth. Duke wyraźnie się zaniepokoił.

- Ale nic nie wspominaj...

- Jasne, że nie. Powiem jej, że La Belle Dame sans Merci chce przejrzeć dokładnie drogocenne wydruki, zanim pokaże je Japończykom. Lisabeth spokojnie to kupi. Wie, że Holding szaleje przed przyjazdem naszych przyjaciół z drugiej strony Pacyfiku. Pasuje?- Tak.

- Mnie też, ale czuję się trochę jak łgarz.

- Nie ma żadnego kręactwa w tym, że chcesz swoją żonę trzymać jak najdalej od

nietoperzy. Nie zamierzam wcale zabierać cię, bracie, do burdelu.

- Mam nadzieję, że nie. A teraz mów.

- W porządku. Myślę, że opowieść zacznę od twoich papierosów.

Szafa grająca, która umilkła przed kilkoma minutami, zaczęła odtwarzać jakąś kiepską wersję złotego starocia Billy'ego Raya Cyrusa Achy Breaky Heart, a Pearson gapił się w oszołomieniu na Duke'a Rhinemanna. Otworzył usta, żeby zapytać, co mają jego papierosy do ceny kawy w San Diego, ale z ust nie wydobył mu się żaden dźwięk.

Żaden.

- Rzuciłeś... znów zacząłeś popalać... ale zdawałeś sobie sprawę z tego, że jeśli nie będziesz uważać, wrócisz do punktu, w którym byłeś miesiąc lub dwa wcześniej. Mam rację?

- Tak, ale nie rozumiem...

- Zrozumiesz. Po prostu trzymaj się mnie.

Duke wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł nią czoło. Kiedy wrócił z budki telefonicznej, Pearson sądził, że Duke jest po prostu bardzo podekscytowany. I myślał tak do teraz. W tej chwili jednak uświadomił sobie coś jeszcze: że Duke był śmiertelnie wystraszony.

- W porządku.

- Ale w końcu udało ci się zawrzeć jakiś tam kompromis ze swoim nałogiem. Można to nazwać modus vivendi. Nie rzuciłeś palenia, ale zrozumiałeś, że na tym się świat nie kończy. To nie tak jak z kokainistą, który nie potrafi rzucić prochów, czy z pijaczkim, co do końca życia będzie już doił berbeluchę. Palenie to paskudny nałóg, ale jest wiele miejsca między dwie-ma czy trzema paczkami dziennie a całkowitą abstynencją.

Pearson wpatrywał się w Duke'a tak szeroko rozwartymi oczyma, aż ten się uśmiechnął.

- Wcale nie czytam ci w myślach, jak może ci się wydawać. Po prostu obaj znamy ten problem od podszewki, prawda?

- Chyba tak - odparł zamyślonym tonem Pearson. - Zapomniałem na chwilę, że obaj należymy do Ludzi Godziny Dziesiątej.

- My co?

Pearson wyjaśnił w kilku słowach, kim są Ludzie Godziny Dziesiątej. Opowiedział o ich plemiennych gestach (gorzkie spojrzenia na tabliczki z napisem PALENIE WZBRONIONE, cierpkie i pełne rezygnacji wzruszenie ramion, kiedy ktoś uprawniony mówi: "Proszę pana, proszę zgasić papierosa"), o plemiennych sakramentach (guma do żucia, lizaki, wykałaczki oraz naturalnie spray Binaca do płukania ust) i o plemiennych zaklęciach (najpowszechniejsze: "Od nowego roku kończę z tym na dobre").

Duke słuchał z przejęciem, a kiedy Pearson skończył, powiedział:

- Jezu Chryste, Brandon! Odnalazłeś Zagubione Plemię Izraela! Popaprańcy zblądzili, idąc za Joe Camelem!

Pearson wybuchnął śmiechem, narażając się na kolejne, pełne wyrzutu spojrzenie gościa o gładkim czole, siedzącego w części dla niepalących.

- Tak czy siak, pasuje - oświadczył Duke. - Chcę cię o coś zapytać... czy palisz przy dziecku?

- Skądże! - wykrzyknął Pearson.

- A przy żonie?

- Też nie... już nie.

- A kiedy ostatni raz sięgnąłeś po papierosa w restauracji?

Pearson zastanawiał się dłuższą chwilę i ze zdziwieniem uświadomił sobie, że nie pamięta. Ostatnio zawsze prosił o miejsce w części dla niepalących, nawet wtedy, gdy był sam, i odkładał zapalenie papierosa na później, kiedy już zje, zapłaci i opuści lokal. Czasy, kiedy palił między daniami, należały do odległej przeszłości.

- Ludzie Godziny Dziesiątej - odezwał się Duke, smakując te słowa. - Człowieku, podoba mi się to... podoba mi się, że mamy nazwę. Bo naprawdę czuję, że należę do szczególnego plemienia. Jest to...

Urwał gwałtownie i wyrzął przez okno. Ulicą przechodził bostoński policjant i rozmawiał z piękną kobietą. Patrzyła na niego ze słodką mieszaniną podziwu i seksapilu, całkowicie nieświadoma, że tuż przed nosem ma czarne, taksujące oczy i lśniące, trójkątne kły.

- Jezu, widzisz - mruknął niskim głosem Pearson.

- Pewnie, że widzę - odparł Duke. - To też już staje się powszechne. Coraz bardziej powszechne z każdym upływającym dniem. - Umilkł na chwilę i zajrzał do opróżnionego do połowy kufła. Wydawało się, że z ogromnym, fizycznym wysiłkiem otrząsa się z zadumy. - Bez względu na to, kim jeszcze jesteśmy - stwierdził - na pewno jesteś-my jedynymi ludźmi na tym przeklętym świecie, którzy ich widzą.

- Co, tylko palacze? - zapytał z niedowierzaniem Pearson. Rozumiał, że to Duke go tu przyprowadził, ale...

- Nie - wyjaśnił cierpliwie Duke. - Palacze ich nie widzą. Niepalący również. - Zmierzył Pearsona wzrokiem. - Widzą ich tylko tacy ludzie jak my, Brandon... ludzie, którzy nie należą do żadnej z tych grup.

- Tylko Ludzie Godziny Dziesiątej, tacy jak my.

Gdy w piętnaście minut później opuścili pub Gallaghera (Pearson zadzwonił uprzednio do żony i opowiedział jej zmyśloną historyjkę, obiecując jednocześnie, że wróci o dziesiątej),

deszcz przeszedł w delikatną mżawkę i Duke zaproponował spacer. Nie zamierzali wcale przebyć na piechotę całej drogi do Cambridge, dokąd się wybierali, ale chcieli pójść wystarczająco daleko, żeby Duke zdążył dokończyć opowieść. Ulice były prawie puste, nie musieli się cały czas czujnie rozglądać.

- Na swój dziwny sposób, jest to jak pierwszy orgazm - mówił Duke, kiedy szli otoczeni delikatną mgiełką w kierunku Charles River. - Jak raz się zdarzy, staje się już częścią twego życia. Tak samo z tym. Któregoś dnia procesy chemiczne w twoim mózgu doprowadzają do tego, że zaczynasz ich dostrzegać. Wiesz, zastanawiam się, ilu ludzi, widząc ich PO raz pierwszy, pada trupem na miejscu ze strachu. Założę się, że wielu.

Pearson popatrzył na czerwoną plamę odbitych w mokrym asfalcie Boylston Street świateł ulicznych i przypomniał sobie wstrząs, jakiego doznał na widok batmana.

- Są tak odrażający. Tacy okropni. Sposób, w jaki skóra porusza się im wokół głów... Czy ktoś jest w stanie wyrazić to słowami?

Duke pokiwał głową.

- Zgadza się, dranie są wyjątkowo wstrętne. Wraciałem właśnie do domu w Milton czerwoną linią metra, kiedy zobaczyłem pierwszego. Stał na peronie stacji Park Street. Minęliśmy go. Dobrze, że byłem w kolejce, która natychmiast odjechała, bo zacząłem wrzeszczeć.

- I co było później?

Uśmiech Duke'a przeszedł w grymas zażenowania.

- Ludzie popatrzyli na mnie, a potem szybko poodwracali głowy. Wiesz, jak to jest w mieście. Na każdym rogu spotkasz świra, który wykrzykuje o tym, że Jezus kocha plastikowe naczynia kuchenne Tupperware.

Pearson przytaknął. Dobrze znał to miasto; a raczej sądził tak do tego dnia.

- Siedzący obok rudowłosa dryblas z milionem piegów na twarzy chwycił mnie za łokieć, identycznie jak ja złapałem cię dziś rano. Nazywa się Robbie Delray. Jest malarzem pokojowym. Poznasz go dziś wieczorem w "Kate's".

- Co to takiego "Kate's"?

- Specjalistyczna księgarnia w Cambridge. Sprzedają w niej kryminały. Spotykamy się tam raz lub dwa razy w tygodniu. To dobre miejsce. I w większości dobrzy ludzie. Sam zobaczysz. Tak czy owak, Robbie chwycił mnie za łokieć i powiedział: "Wcale nie oszalałeś. Ja też go widziałem. To coś istnieje naprawdę... To batman".

- Tak - odparł Pearson, wracając myślami do porannego zdarzenia.

Przystanęli na Storow Drive, żeby przepuścić samochód cysternę, a następnie szybko

przeszli przez pełną kałużę jezdni. Pearson na chwilę osłupiał na widok wymalowanego sprayem na tył parkowej ławki ustawionej frontem do rzeki napisu: OBCY WYLĄDOWALI. ZJEDLIŚMY 2 JAKO DANIE MORSKIE.

- Miałem dużo szczęścia, że dziś rano akurat się przy mnie znalazłeś - oświadczył. - Miałem dużo szczęścia.

Duke pokiwał głową.

- Zgadza się, miałeś. Kiedy nietoperze dopieprzają facetowi, zdrowo go pieprzą. Po takiej maleńkiej hulance policja zbiera strzępy jegomościa do koszyka. Słyszałeś o takich przypadkach?

Pearson skinął głową.

— Ale nikt nie wie, że ofiary łączy wspólna cecha: ograniczyły palenie do pięciu, dziesięciu papierosów dziennie. A to już szczególnie zbyt subtelny nawet dla FBI.

- Ale dlaczego nas zabijają? - zdziwił się Pearson. - Chodzi mi o to, że jeśli ktoś chodzi i rozgaduje wokół, że jego szef jest Marsjaninem, nikt nie wzywa Gwardii Narodowej. Facia po prostu ładują do czubów.

- Daj spokój, człowieku, bądź realistą - odrzekł Duke. - Widziałeś przecież tych przyjemniaczków.

- Oni... to lubią?

- Tak, oni to lubią. Ale to stawianie wozu przed koniem. Są jak wilki, Brandon, niewidzialne wilki, które krążą w tę i w tę w tę pośrodku stada owiec. A teraz powiedz mi, czego wilki chcą od owiec poza tym, że zabijanie owiec sprawia im przyjemność?

- No... o czym ty mówisz? - Pearson zniżył głos do szeptu. - Twierdzisz, że nas zjadają?

- Pewne nasze części - odrzekł Duke. - Tak twierdził Robbie Delray tego dnia, gdy go spotkałem, i tak sądzi do dzisiaj większość z nas.

- To znaczy kto, Duke?

- Ludzie, do których cię prowadzę. Nie wszyscy będą, ale tym razem większość. Coś się szykuje. Coś dużego.

- Co?

W odpowiedzi Duke potrząsnął tylko głową i zapytał:

- Możemy już łapać taksówkę? Nie masz dosyć wilgoci?

Pearson miał dosyć wilgoci, ale nie był jeszcze gotów wsiadać do taksówki. Spacer dodał mu animuszu... nie tylko spacer. Nie sądził, że jest w stanie powiedzieć o tym Duke'owi - w każdym razie jeszcze nie teraz - ale cała sytuacja miała inny jeszcze aspekt... romantyczny. Czuł się tak, jakby trafił prosto "O jakiejś młodziwej powieści przygodowej, prawie

wyobrażał sobie siebie jako dziewiętnastowiecznego badacza i handlarza, N. C. Wyetha. Popatrzył na aureole utkane z delikatnej mgiełki wokół ciągnących się szeregiem wzdłuż Storow Drive ulicznych latarni i lekko się uśmiechnął. Szykuje się coś dużego - pomyślał. - W naszej podziemnej bazie pojawił się z dobrą wieścią agent X-9... zlokalizowaliśmy źródło szukanej przez nas nietoperzej trucizny!

- Uwierz mi na słowo. Niebawem przestaniesz tak bardzo się tym ekscytować - powiedział sucho Duke. Zaskoczony Pearson popatrzył na niego.

- Mniej więcej wtedy, kiedy wyłowię z przystani bostońskiej drugiego twojego przyjaciela, a on będzie miał tylko połowę głowy, zrozumiesz, że nie pojawi się żaden Tomek Swift, żeby pomóc ci pobilić ten cholerny płot.

- Tomek Sawyer - mruknął Pearson i otarł z twarzy krople deszczu. Czuł, że się rumieni.

- Zżerają coś, co wytwarza nasz mózg. Może enzymy, a może wchłaniają jakieś szczególne fale elektryczne. Tak przynajmniej uważa Robby. Twierdzi, że może chodzi im o składnik, który pozwala nam, niektórym z nas, ich widzieć. Uważa, że jesteśmy dla nich tym, czym dla ogrodnika pomidory, które zrywa, gdy uzna, że już dojrzały. Wychowałem się w rodzinie baptystów i lubię rozwiązania proste. Nie jestem wsiowym prostakiem, ale sądzę, że oni wysysają nam dusze.

- Naprawdę? Nabierasz mnie, czy mówisz poważnie? Duke się roześmiał, wzruszył ramionami, ale minę miał wojowniczą.

- Cholera, człowieku, sam nie wiem. Te rzeczy pojawiły się w moim życiu mniej więcej w tym samym czasie, gdy doszedłem do wniosku, że niebo jest wymysłem, a piekło ludzie tworzą sobie sami. Teraz znów mi się wszystko pochrzało. Ale to nie ma większego znaczenia. Ważne jest coś innego; ważne jest to, żebyś ani na chwilę nie zapomniał, że mają wiele powodów, żeby nas zabijać. Przede wszystkim dlatego, że się nas boją, boją się tego, co robimy, boją się, że połączymy siły, zorganizujemy opór i spróbujemy ich zniszczyć...

Urwał, zamyślił się, po czym potrząsnął głową. Sprawiał wrażenie kogoś, kto próbuje przekonać samego siebie, próbuje ponownie odpowiedzieć na pytania, które nurtują go od bardzo dawna.

_ Boją się? Nie wiem, czy dokładnie o to chodzi. Ale nie wykorzystują okazji. Ale wolą nie ryzykować. Co do tego nie ma wątpliwości. I jeszcze coś nie budzi moich wątpliwości. Nie potrafią pogodzić się z tym, że niektórzy z nas ich postrzegają. Kurwa, nienawidzą nas za to. Złapaliśmy jednego, ale to tak, jak chwywanie huraganu w butelkę...

- Złapaliście jednego?

- Naprawdę - odparł Duke, przesyłając Pearsonowi twardy, niewesoły uśmiech. -

Upolowaliśmy go na placu postojowym przy autostradzie 1-95, niedaleko Newburyport. Było nas sześciu. Dowodził mój przyjaciel Robbie. Zawlekliśmy stwora na farmę i kiedy narkotyk, który mu zaaplikowaliśmy, przestał działać, a nastąpiło to bardzo szybko, próbowaliśmy wziąć go na spytki, żeby poznać odpowiedź na kilka pytań; dokładnie tych samych, jakie ty mi zadałeś. Ręce skuliśmy mu kajdankami, nogi spętaliśmy łańcuchem, a na dodatek tak obwiązaliśmy go nylonową linką, że wyglądał jak mumia. I wiesz, co najbardziej wryło mi się w pamięć?

Pearson potrząsnął głową. Wrażenie, że trafił na karty młodzieżowej powieści awanturycznej zupełnie już go opuściło.

- Moment, kiedy się obudził - powiedział Duke. - Nie było to takie powolne dochodzenie do siebie. W jednej sekundzie był kompletnie wyłączony, w następnej już w pełni świadomy obserwował nas tymi przerażającymi ślepiami. Ślepiami nietoperza. Jak wiesz, one mają oczy. Ludzie nie zawsze zdają sobie z tego sprawę. Gadanie o tym, że są ślepe, musi być dziełem ich agentów w środkach masowego przekazu. Nie odzywał się do nas. Nie bąknął nawet słowa. Sądzę, że wiedział, iż nie opuści już tej stodoły, ale też i nie okazywał najmniejszego strachu. I tylko ta nienawiść. Jezu, ta nienawiść w jego oczach!

- Co działo się dalej?

- Kajdanki rozerwał, jakby były z bibułki. Z łańcuchem Poszło gorzej. Włożyliśmy mu długie, kowbojskie buty Long John, które można przybić do podłogi, ale jeśli idzie o nylonową linkę... cóż, zaczął ją przegryzać na ramieniu. Zębiska, sam je widziałeś, radziły sobie z nią jak szczur ze szpagatem. Gapiliśmy się na to niczym cielęta w malowane wrota. Nawet Robbie. Nie wierzyliśmy własnym oczom... a może stwór nas zahipnotyzował? Długo się później zastanawiałem, czy tak j przypadkiem nie było. Dzięki Bogu, towarzyszył nam Lester Olson. Mieliliśmy furgonetkę, Forda Econoline, którą ukradł Robbie z Moirą, i Lester dostał paranoi, że pojazd widać z szosy. Wyszedł więc, żeby sprawdzić, czy auto jest dobrze ukryte, a kiedy wrócił i zobaczył, że stwór jest już prawie wolny i ma tylko skrępowane stopy, trzykrotnie strzelił mu w łeb. Po prostu: trach-trach-trach. Duke z zadumą pokiwał głową.

- Zabił go? - upewnił się Pearson. - Po prostu: trach--trach-trach!

Znów, jak rano na placu przed bankiem, odniósł wrażenie, że głos wydobywa mu się spoza ciała i nagle naszła go straszna, lecz bardzo atrakcyjna refleksja: ludzie-nietoperze wcale nie istnieją. To tylko halucynacja, nic więcej. Niczym się to nie różni od zwidów, jakie miewają osoby, które podczas seansów narkotycznych zażywają meskalinę. A w przypadku Ludzi Godziny Dziesiątej halucynacje brały się po prostu ze zbyt małej ilości nikotyny w organizmie. Ludzie, do których prowadzi go Duke, pod wpływem tej wariackiej manii zamordowali co

najmniej jednego, Bogu ducha winnego człowieka, i gotowi są zabijać dalej. I z pewnością zabiją, jeśli będą mieli wystarczająco dużo czasu. Jeśli w porę nie ucieknie od tego oszalałego pracownika banku, sam stanie się współwinnym zbrodni. Osobiście widział już dwoje ludzi-nietoperzy... nie troje, licząc policjanta; i jeszcze czwartego batmana, wiceprezydenta. Toż to czyste szaleństwo, żeby wiceprezydent Stanów Zjednoczonych...

Kiedy popatrzył na twarz Duke'a, pojął, że ten po raz trzeci czyta mu w myślach.

- Zaczynasz się zastanawiać, czy przypadkiem wszyscy nie dostaliśmy świra. Łącznie z tobą - stwierdził Duke. - Mam rację?

- Jasne - powiedział Pearson ostrzej, niż zamierzał.

- Oni znikają - odparł po prostu Duke. - Widziałem, jak zniknął ten ze stodoły.

- Co?

- Stał się przezroczysty, zamienił się w dym i zniknął-Wiem, że brzmi to jak bredzenie wariata, ale nie potrafię opowiedzieć ci tego tak, żebyś pojął całe szaleństwo tych chwil w stodole, kiedy staliśmy i patrzyliśmy, co się wyrabia.

Początkowo sądzisz, że to nie dzieje się naprawdę, mimo że patrzysz na to własnymi oczyma. Wydaje ci się, że śniesz albo oglądasz film pełen efektów specjalnych, taki jak stare "Gwiezdne wojny". Później dociera do ciebie zmieszany za-pach kurzu, siuszków i chili. Gryzie cię w oczy, sprawia, że chce ci się rzygać. Lester wyrzygał się, a Janet przez godzinę kichała. Oświadczyła, że tak zazwyczaj działa na nią zapach krostawca i kotów, od których dostaje alergicznego łupieżu. W końcu podszedłem do krzesła, do którego był przywiązany. Zostały liny, kajdanki i ubranie. Koszula ciągle była zapięta, a krawat zawiązany. Ostrożnie, jakbym się bał, że z gaci wyskoczy mu kutas i zmiążdży mi nos, rozpiąłem spodnie, ale w środku były tylko jego slipy. Zwyczajne, białe slipy. To wszystko, ale i tak aż za dużo, ponieważ poza tym nie było nic. Powiem ci coś, bracie. Dopiero gdy zobaczysz puste ubranie, bez faceta w środku, dociera do człowieka cała dziwaczność zdarzenia.

- Zamienił się w dym i zniknął - powtórzył Pearson. - Jezu Chryste!

- Dokładnie tak. Pod sam koniec wyglądał jak to. - Wskazał wirujący wokół latarni kłęb wilgotnej mgły.

- A co stało się z... - Pearson urwał, nie wiedząc przez chwilę, jak sformułować pytanie.

- Czy ogłoszono zaginięcie? Czy oni... - I nagle wiedział już, o co naprawdę chce zapytać. - Duke, a gdzie się podział prawdziwy Douglas Keefer? I prawdziwa Suzanne Holding?

Duke potrząsnął głową.

- Nie wiem. Nie wiem nic poza tym, że na swój sposób prawdziwego Keefera widziałeś dziś rano. To samo dotyczy Suzanne Holding. Przypuszczamy, że głów, które widzimy, wcale

tam nie ma, że nasze mózgi przekładają na wizualne wyobrażenia to, czym naprawdę są nietoperze, ich serca, ich dusze.

- Spirytualna telepatia?

Duke wyszczerzył zęby.

~ Ładnie operujesz słowami, człowieku. Musisz porozmawiać z Lesterem. Jeśli idzie o ludzi-nietoperzy, jest prawie Poetą.

Imię to zabrzmiało w umyśle Pearsona niczym wielki dzwon i po chwili namysłu Brandon wiedział już dlaczego.

- Czy to taki starszy gość z szopą siwych włosów? Wygląda trochę jak podstarzały rekin giełdowy z opery mydlanej? Duke wybuchnął śmiechem.

- Tak, to Les.

Przez chwilę posuwali się w milczeniu. Po ich prawej stronie mistycznie falowała rzeka, a na drugim brzegu widzieli już światła Cambridge. Pearsonowi błysnęła myśl, że nigdy jeszcze nie widział Bostonu wyglądającego tak pięknie.

- Ludzie-nietoperze wchodzą jak mikroby, które wdychasz... - zaczął Pearson.

- Cóż, niektórzy tak to próbują tłumaczyć. Ale ja do tych osób nie należę. Posłuchaj, nie spotkasz batmana, który pracuje jako odźwierny, albo batmanki wykonującej zawód kelnerki. Oni kochają władzę i obracają się w najbliższym otoczeniu władzy. Czy słyszałeś o bakteriach, które atakują tylko bogaczy, Brandon?

- Nie.

- Ja też nie.

- A ci ludzie, z którymi mamy się spotkać... czy oni... - Pearson był lekko rozbawiony tym, o co zamierzał zapytać. Nie był to wprawdzie zupełny powrót na karty młodzieżowej powieści, ale coś podobnego. - Czy są to bojownicy ruchu oporu?

Duke zastanawiał się chwilę, po czym skinął głową i jednocześnie wzruszył ramionami. Fascynujący gest, jakby jego ciało mówiło jednocześnie "tak" i "nie".

- Jeszcze nie - odparł. - Ale po dzisiejszym spotkaniu może się nimi staną.

Zanim Pearson zdążył zapytać, co ma na myśli, Duke zoczył kolejną wolną taksówkę jadącą po drugiej stronie Storow Drive i zszedł z krawężnika, żeby ją zatrzymać. Pojazd nie-przepisowo zawrócił i przystanął przy chodniku tuż przed nimi.

W taksówce, omijając temat ludzi-nietoperzy, rozmawiali o sporcie - o oszalałych Red Soxach, zenujących w tym sezonie Patriotach i spadających w tabeli Celticach, lecz gdy wysiedli w Cambridge przed stojącym samotnie, drewnianym domem, na którym wisiał szyld ozdobiony wizerunkiem czarnego kota z wyprężonym grzbietem i z napisem: KSIĘGAR-NIA

KATE'S - KRYMINAŁY, Pearson wziął Duke'a Rhinemanna za ramię i powiedział:

- Chciałbym zadać ci jeszcze kilka pytań. Duke zerknął na zegarek.

- Nie mamy czasu, Brandon. Obawiam się, że zbyt długo szliśmy piechotą.

- A więc tylko dwa.

- Chryste Nazareński, jesteś jak ten gość w telewizji, wiesz, taki w starym, brudnym prochowcu. Poza tym wydaje mi się, że nie umiałbym ci na nie odpowiedzieć. Wiem znacznie mniej, niż ci się wydaje.

- Kiedy się to zaczęło?

- Nie wiem, a stwór, któregośmy schwytali, nie chciał nic powiedzieć. Kwiatusek nie podał nam nawet swego imienia, nazwiska, stanowiska i numeru paszportu. Robbie Delray o którym już ci wspominałem, swego pierwszego zobaczył trochę ponad pięć lat temu w Lhasa Apso na Boston Common. Twierdzi, że z każdym rokiem ich przybywa. W porównaniu z nami ciągle jest ich niewielu, ale ich liczba wzrasta... wykładnikowo?... czy to dobre słowo?

- Mam nadzieję, że nie - odparł Pearson. - W tym kontekście brzmi złowieszczo.

- Drugie pytanie, Brandon. Pośpiesz się.

- Co z innymi miastami? Czy tam też żyją nietoperze? I ludzie, którzy ich dostrzegają? Czy coś o tym wiesz?

- Nie wiem. Mogą być na całym świecie, ale jestem przekonany, że tylko w Ameryce istnieje więcej niż garstka tych, którzy ich widzą.

- Dlaczego?

- Ponieważ tylko w tym kraju ludzie mają hople na punkcie rzucania palenia... zapewne dlatego, że tylko tu ludzie wierzą, i to wierzą najgłębiej jak potrafią, że jeśli będą się odpowiednio odżywiać, jeśli będą zażywać odpowiednie witaminy, odpowiednio myśleć, będą wycierali tyłki odpowiednim papierem, będą żyli wiecznie, i na wieczność zachowają Potencję. Ale kiedy doszło już do palenia, linia frontu została Przerwana, i w wyniku tego pojawiła się hybryda. Innymi słowy, my.

- Ludzie Godziny Dziesiątej - odpowiedział z lekkim uśmiechem Pearson.

- Tak, Ludzie Godziny Dziesiątej. - Duke popatrzył nad ramieniem Pearsona. - Moira! Cześć!

Pearson nie był szczególnie zaskoczony, gdy dotarł doń zapach perfum Giorgio. Obejrzał się i ujrzał Ślicznotkę W Czerwonej Spódnicy.

- Moira Richardson, a to jest Brandon Pearson.

- Cześć - powiedział Pearson i wyciągnął rękę. - Dział Kredytów, zgadza się?

- To tak, jakby śmieciarza nazwać technikiem sanitarnym - odpowiedziała z uroczym

uśmiechem dziewczyna, a Pearson pomyślał, że jest to uśmiech, na widok którego mężczyzna, jeśli nie zachowa daleko idącej czujności, może zakochać się od pierwszego wejrzenia. - Tak naprawdę, to pracuję w dziale czeków kredytowych. Jeśli chcesz kupić, na przykład, nowe porsche, sprawdzam w rejestrach, czy jesteś człowiekiem godnym jazdy takim samochodem... w sensie finansowym, oczywiście.

- Oczywiście - odrzekł Pearson i roześmiał się.

- Cam! - zawołała. - Chodź tu do nas!

Był to odzwierny, który mył podłogę w kiblach i lubił nakładać czapkę daszkiem do tyłu. W cywilnym ubraniu wyglądał na człowieka, którego iloraz inteligencji wynosi pięćdziesiąt, a aparycją zdradzał zdumiewające podobieństwo do włoskiej urody Armanda Assante. Pearson poczuł w sercu igiełkę zawiści, ale specjalnie się nie zdziwił, kiedy chłopak objął Moirę Richardson w ponętnej, szczupłej talii i złożył przelotny pocałunek na ponętnych ustach. Następnie odzwierny wyciągnął rękę do Pearsona.

- Cameron Stevens.

- Brandon Pearson.

- Miło mi tu pana widzieć - oświadczył Stevens. - Dziś rano myślałem, że padnie pan trupem.

- Ilu z was mnie obserwowało? - zainteresował się Pearson.

Próbował odtworzyć sobie to, co działo się o dziesiątej rano na placu przed bankiem, i nieoczekiwanie pojął, że niewiele pamięta. Prawie wszystko spowijała mgła szoku, w jaki wpadł.

- Większość pracowników banku, którzy ich widzą - wtrąciła cicho Moira. - Ale to dobrze, panie Pearson...

_ Mam na imię Brandon.

Kiwnęła głową.

__ Nie robiliśmy nic, ale czekaliśmy, aż do nas dołączysz, Brandon. Chodźmy, Cam.

Spiesznie weszli po schodkach na werandę niewielkiego, drewnianego budyneczku i zniknęli w środku. Nim zamknęły się za nimi drzwi, Pearson dostrzegł bijącą ze środka smugę światła. Odwrócił się do Duke'a.

- Czy naprawdę dzieje się naprawdę? - zapytał. Duke popatrzył na niego ze współczuciem.

- Niestety tak... - Urwał i dodał: - Ale jedno jest w tym dobre.

- Naprawdę? Co takiego?

W wypełnionym mżawką mroku błysnęły białe zęby Duke'a.

- Czekaj cię pierwsze od pięciu lat zebranie, na którym będziesz mógł palić do woli. Chodźmy do środka.

Rozległy przedsionek i znajdująca się za nim księgarnia pogrążone były w mroku; światło - a wraz z nim szmer ludzkich głosów - sączyło się od strony stromych, biegnących do podziemi schodów usytuowanych po lewej stronie pomieszczenia.

- Cóż, jesteśmy na miejscu - odezwał się Duke. - Cytując Grateful Dead, była to osobliwa podróż, prawda?

- Ażebyś wiedział - przyznał Pearson. - Czy ta Kate również jest Człowiekiem Godziny Dziesiątej?

- Właścicielka? Ależ skądże. Widziałem ją tylko dwa razy, lecz odnoszę nieodparte wrażenie, że ona w ogóle nie pali. A to miejsce wynalazł Robbie. Kate wie, że należymy do Bostońskiego Towarzystwa Najtwardszych Twardzieli.

Pearson uniósł brwi.

- Powtórz, proszę?

- Niewielka grupa zagorzałych miłośników Raymonda Chandlera, Dashiella Hammetta, Rossa Macdonalda i innych Ini podobnych, którzy raz albo dwa razy na tydzień spotykają Sle, żeby dyskutować o ich twórczości. Jeśli nie czytałeś tych książek, powinieneś to zrobić. Nie zaszkodzi się zabezpieczyć. Poza tym wcale nie musi być przykre. Niektórzy z nich naprawdę pisali rewelacyjnie.

Zszedł za Duke'em po schodach - stopnie były zbyt wąskie, żeby mogli posuwać się obok siebie - i przekroczyli próg, wchodząc do jasno oświetlonej sutereny o niskiej powale. Po-mieszczenie miało długość i szerokość całego stojącego powyżej drewnianego domu. W piwnicy zgromadzono około trzydziestu składanych krzeseł, a przed ich frontem stały sztalugi zakryte niebieskim materiałem. Za sztalugami piętrzyły się kartony pochodzące z różnych wydawnictw. Pearsona rozbawił oprawiony w ramę portret zawieszony na ścianie po lewej stronie, a pod nim napis: DASHIELL HAMMETT: W HOŁDZIE NASZEMU NIEULEKŁEMU WODZOWI.

- Duke? - odezwała się kobieta po lewej stronie Pearsona. - Dzięki Bogu... już myślałam, że przytrafiło ci się coś złego.

Tę osobę Pearson również rozpoznał: poważnie wyglądająca młoda kobieta w grubych okularach i z długimi, prostymi, czarnymi włosami. Tego wieczoru wyglądała jednak mniej nobliwie. Miała na sobie obcisłe, sprane džinsy i podkoszulek z napisem "Georgetown University", pod który najwyraźniej nie włożyła stanika. Pearson pomyślał, że gdyby żona Duke'a zobaczyła, w jaki sposób ta młoda niewiasta spogląda na jej męża, wywleklaby go

zapewne z tej sutereny za uszy, nie zwracając uwagi na wszystkich ludzi-nietoperzy na świecie.

- Nic mi się nie stało, kochanie - odparł. - Przyproważyłem nowego wyznawcę naszej Świątyni Wydymania Nietoperza, to wszystko. Janet Brightwood, Brandon Pearson.

Brandon uściskał jej dłoń myśląc: A, to ty wtedy kichałaś.

- Miło mi cię poznać, Brandon - stwierdziła i popatrzyła z uśmiechem na Duke'a, który poczuł się trochę skrępowany siłą jej spojrzenia. - Czy wybierzemy się później na kawę? - zapytała.

- Cóż... zobaczymy, kochanie, dobrze?

- Dobrze - odparła z uśmiechem, który mówił, że od trzech lat jest gotowa pójść z Duke'em na kawę, ilekroć on będzie miał na to ochotę.

Co ja tu robię? - zadał sobie nagle w duchu pytanie Pearson. - To kompletne szaleństwo... jak spotkanie anonimowych alkoholików u psychiatry.

Członkowie Świątyni Wydymania Nietoperza sięgnęli po popielniczki, których stos piętrzył się na jednym z kartonów, pozajmowali miejsca i z wyraźną przyjemnością zapalili papie-rosy. Pearson wcześniej już obliczył, że jeśli nawet wszyscy usiądą zostanie kilka wolnych miejsc.

- Niebawem poznasz wszystkich - oświadczył Duke, prowadząc go do dwóch krzeseł na skraju ostatniego rzędu, daleko od miejsca, w którym Janet Brightwood zajmowała się ekspresem do kawy. Pearson nie wiedział, czy stało się to przypadkowo, czy nie. - Tu będzie ci wygodnie... uważaj tylko na kij do zamykania okien, Brandon.

Zakończona solidnym hakiem i służąca do otwierania i zamykania umieszczonych pod sufitem sutereny okien masywna tyczka stała oparta o pobieloną wapnem, ceglana ścianę. Pearson, kiedy zajmował miejsce, nieumyślnie potracił ją nogą. Duke złapał kij w ostatniej chwili, zanim metalowe okucie zdążyło zrobić komukolwiek krzywdę. Odstawił go ostrożnie, przeszedł między krzesłami i przyniósł Pearsonowi popielniczkę.

- Ty naprawdę czytasz w myślach - stwierdził z zadowoleniem Pearson i wyciągnął papierosa.

Palenie papierosa w tak dużej grupie ludzi powodowało dziwne (lecz raczej przyjemne) uczucie.

Duke również wyjął papierosa, a następnie wskazał kościstego, piegowatego mężczyznę, który stał obok sztalug. Piegus pochłonięty był rozmową z Lesterem Olsonem, tym, co w stodole Newburyport zrobił batmanowi trach-trach-trach.

- Ten rudowłosy to Robbie Delray - oświadczył Duke prawie z czcią. - Jeśli oglądasz w telewizji miniseriale, nie wpadłoby ci nigdy do głowy, że jest on Zbawcą Własnej Rasy. Ale tak

właśnie jest.

Delray skinął głową Olsonowi, poklepał go po plecach i powiedział coś, na co siwowłosa mężczyzna się roześmiał. Później Olson wrócił na swoje miejsce w środku pierwszego rzędu, a Delray podszedł do zasłoniętych sztalug.

Wszystkie krzesła zostały pozajmowane, a nawet kilka osób stało w głębi pomieszczenia, nie opodal ekspresu do kawy. Nad głową Pearsona krzyżowały się rozmowy, ożywione, nieco nerwowe, niczym kule bilardowe po mocnym uderzeniu. Pod sufitem unosiła się już warstwa błękitnego, tytoniowego dymu.

Jeżu, to półwariaci - pomyślał Pearson. - Naprawdę półwariaci. Podobna atmosfera musiała panować w londyńskich schronach w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym podczas nalotów. Odwrócił się do Duke'a.

- Z kim rozmawiałeś przez telefon? Kto ci powiedział, że szykuje się coś dużego?

- Janet - odparł Duke, nie patrząc w jego stronę.

Wyraziste brązowe oczy utkwili w Robbiego Delraya, który kiedyś ocalił go w czerwonej linii metra od utraty zdrowych zmysłów. Pearson odniósł wrażenie, że na twarzy Duke'a ma-luje się podziw i uwielbienie dla tego człowieka.

- Duke? Czy naprawdę pojawiło się dzisiaj tak dużo osób?

- Jak na nas, to tak. To najliczniejsze zebranie, w jakim brałem udział.

- Czy to dlatego jesteś tak zdenerwowany? Dlatego, że tylu was zebrało się w jednym miejscu?

- Nie - odrzekł prosto Duke. - Robbie przecież potrafi wyczuć nietoperze na odległość. On... ale cicho, zaczynamy.

Uśmiechnięty Robbie Delray uniósł ręce i rozmowy ucichły w jednej chwili. Pearson spostrzegł, że na wielu twarzach po-jawił się taki sam wyraz uwielbienia, jaki malował się na obliczu Duke'a. Wszystkie wyrażały co najmniej szacunek.

- Dziękuję, że przyszliście - powiedział cicho Delray. - Sądzę, że osiągnęliśmy to, na co niektórzy z nas czekali od czterech lub pięciu lat.

Słowa te wzbudziły spontaniczny aplauz. Delray czekał chwilę, wodząc po suterenie pełnym radości spojrzeniem. W końcu uniósł ręce, uciszając zebranych. Kiedy aplauz ucichł, Pearsona (który nie brał w nim udziału) ogarnęło nieprzyjemne uczucie niechęci do przyjaciela i mentora. Podejrzewał, że w dużym stopniu brało się to z zazdrości - teraz, gdy Delray stał przed frontem audytorium, Duke Rhinemann najwyraźniej zapomniał o obecności Pearsona - ale nie tylko. W tych uniesionych rękach, w geście "proszę o ciszę", było coś z samouwielbienia, coś z prawie nie uświadomianej, oślisłej pogardy polityka dla swych

wyborców. Och, daj spokój - zganił się w duchu. - Co ty możesz na ten temat wiedzieć!

To prawda, święta prawda - dodał w myślach, próbując wypchnąć z umysłu wstrętne podejrzenia i dać Delrayowi szansę; już choćby tylko ze względu na Duke'a.

- Zanim jednak przystąpimy do rzeczy - kontynuował Delray - chciałbym wam przedstawić nowego członka naszej grupy, Brandona Pearsona z najmroczniejszych głębin Medford. Wstań na chwilę, Brandon, niech twoi nowi znajomi zobaczą, jak wyglądasz.

Zaskoczony Pearson popatrzył na Duke'a. Ten uśmiechnął się, wzruszył ramionami, a następnie trącił go w łokieć kantem dłoni.

- No, wstawaj! Przecież oni nie gryzą.

Pearson nie był tego wcale taki pewien. Niemniej podniósł się z krzesła, twarz miał gorącą, zbyt krępowała go obecność ludzi, którzy wyciągali szyję, żeby go sobie obejrzyć. A szczególnie był świadom uśmiechu na twarzy Lestera Olsona; uśmiechu, który podobnie jak jego włosy wydawał się zbyt olśniewający, żeby nie budzić podejrzeń.

Ludzie Godziny Dziesiątej zaczęli klaskać; z tym tylko, że tym razem owacja przeznaczona była dla niego, Brandona Pearsona, pracownika bankowego średniego szczebla, namiętnego palacza. I znów zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem w jakiś tajemniczy sposób nie trafił na spotkanie anonimowych czubów-alkoholików. Kiedy ponownie zajął miejsce na krześle, policzki miał krwistoczerwone.

- Spokojnie mogłem się obyć bez tego. Dzięki - mruknął do Duke'a.

- Rozluźnij się - odparł ciągle uśmiechnięty Murzyn. - Tak jest tutaj z każdym nowym członkiem. Człowieku, przecież ci się tu chyba podoba, prawda? W końcu mamy lata dziewięć-dziesiąte.

- Zgoda, dziewięćdziesiąte, ale wcale mi się to nie podoba - odrzekł Pearson.

Serce biło mu stanowczo za mocno, a rumieńce z policzków nie chciały zejść. Czuł, że zapada się w siebie. Co to jest? - zastanawiał się. - Pali mnie całe ciało. Czy to rodzaj męskiego klimakterium? Co to, do licha, jest?

Robbie Delray pochylił się i odbył króciutką rozmowę z siedzącą obok Olsona brunetką w okularach, następnie zerknął na zegarek, podszedł do zakrytych sztalug i odwrócił się twarzą do widowni. Jego piegowata, szczerą twarz przypominała buzię chłopca, który w niedziele jest ministrantem, ale w pozostałe sześć dni tygodnia płała niewinne, psie figle: wrzuca koleżankom żaby za kołnierze, braciszкови-niemowlakowi dli kawału składa prześcieradło i inne, tego rodzaju psikusy.

- Dziękuję, przyjaciele - powiedział. - Witamy cię, Brandon, w naszym gronie.

Pearson mruknął, że jemu też jest bardzo miło, ale nie był; to prawda. Co będzie, jeśli

się okaże, że ci Ludzie Godziny Dziesiątej to banda zajadłych dupków New Age? Zapewne skończy się na tym, że zaczniesz traktować ich tak, jak traktuje większość gości zaproszonych do programu prowadzonego przez Oprah lub tych elegancko ubranych głupków z religijnego programu PTL-Club zanoszących hymny do Boga. Co wtedy?

Och, przestań - zmitygował się. - Przecież lubisz Duke'a, prawda?

Tak, lubił Duke'a i podejrzewał, że polubi też Moirę Richardson... kiedy przebiję się już przez powłokę erotycznego zafascynowania i dojrzy kryjącego się pod spodem człowieka. Niewątpliwie spotka tu wiele innych osób, które również przy-padną mu do gustu. Nie miałby nic przeciwko temu. No i przede wszystkim zapomniał, w każdym razie na chwilę, o powodach, dla których zebrali się w tej suterenie. Zapomniał o ludziach-nietoperzach. Gdy wziął pod uwagę to zagrożenie, wie-dział, że zniesie nawet towarzystwo wyznawców New Age i innych durniów. O tym był najgłębiej przekonany.

Dobrze! Doskonale! Siadaj, rozluźnij się i obserwuj rozwój wypadków!

Rozparł się na krześle, lecz skonstatował, że nie jest w stanie się odprężyć; w każdym razie nie całkowicie. Częściowo dla-tego, że został przed chwilą wciągnięty do tej grupy, a częściowo dlatego, że serdecznie nie znosił takich wymuszonych przyjaźni. Z zasady ludzi, którzy bez pozwolenia zwracali się do niego po imieniu, zbywał krótko, traktując jak przypadkowych natrętów. Częściowo też...

Och, dosyć! Jeszcze nie rozumiesz? W zaistniałej sytuacji nie masz wyboru!

Przykra myśl, ale trudno było się z nią nie zgodzić. Tego ranka, gdy przypadkowo odwrócił głowę i zrozumiał, co na-prawdę żyje w ubraniu Douglasa Keefera, przekroczył linię-Zapewne podświadomie o tym wiedział, ale dopiero teraz, wieczorem, dotarło doń, jak krytyczna była ta linia i jak niewielka jest szansa, że kiedykolwiek znów ją przekroczy, by ponownie trafić na jej bezpieczną stronę.

Nie, żadną miarą nie potrafił się odprężyć. W każdym razie jeszcze nie.

- Zanim przejdziemy do rzeczy, chciałbym wam wszystkim podziękować za gremialne stawienie się tutaj na tak lakoniczne wezwanie - oświadczył Robbie Delray. - Zdaję sobie sprawę, że czasami trudno jest tak nagle się wyrwać, nie wzbudzając podejrzeń bliskich, a czasami nawet związane z tym jest straszliwe niebezpieczeństwo. I nie sądzę, że będzie przesadą, jeśli powiem, że przeszliśmy razem bardzo dużo... wypłynęliśmy na głęboką wodę...

Jego słowa skwitował uprzejmy, stłumiony chichot słucha-czy. Większość z nich nie spuszczała wzroku z ust mówcy.

- ...a nikt nie wie lepiej ode mnie, jak trudno być jednym z tych niewielu ludzi, którzy znają prawdę. Od czasu, kiedy przed pięćmioma laty ujrzałem swego pierwszego nietoperza...

Pearsona ogarnął niepokój, doznał uczucia, jakiego się nie spodziewał po tym wieczorze: znudzenia. Pełen najdziwaczniejszych zdarzeń dzień kończy wśród grupy ludzi zgromadzonych w piwnicy księgarni na słuchaniu piegowatego malarza pokojowego, który gada w stylu przypominającym najgorsze mowy w Klubie Rotariańskim...

A jednak pozostali słuchali jego słów z nabożeństwem, a Pearson, żeby się w tym upewnić, ponownie rozejrzał się po sali. Źrenice Duke'a lśniły fascynacją. Takim wzrokiem Buddy, pies, którego Pearson miał jako dziecko, spoglądał na wyciąganą spod zlewu miskę z żarciem. Cameron Stevens i Moira Richardson siedzieli spleceni ramionami i śledzili Robbiego Delraya promiennym wzrokiem. To samo Janet Brightwood. To samo reszta małej grupy skupionej wokół ekspresu do kawy Bunn-O-Matic.

To samo każdy - myślał - z wyjątkiem mnie, Brandona Pearsona. No, koteczku, spróbuj jednak zapoznać się z programem.

A jednak nie potrafił i odnosił dziwaczne wrażenie, że Rob-bie też jest spięty. Pearson przestał ukradkowo rozglądać się PO zebranych i ponownie popatrzył na Delraya, dokładnie w chwili, kiedy ten zerkał ukradkiem na zegarek. Pearson bardzo dobrze znał ten gest, tak charakterystyczny dla Ludzi Godziny Dziesiątej. Podejrzewał, że ten człowiek odmierza czas dzielący go od następnego papierosa.

W miarę jak Delray ciągnął tę przemowę bez związku, nie-którzy ze słuchaczy również zaczęli przejawiać niejaki zniecierpliwienie. Pearson słyszał stłumione pokastywania i szuranie nóg. Ale Robbie, najwyraźniej tego nieświadom, ciągnął nie-zrażony i bez względu na to, czy był ich ukochanym przywódcą, czy nie, wszystko wskazywało na to, że tym razem odrobinę przesadził.

- ...tak więc zrobiliśmy wszystko, na co było nas stać - ciągnął. - Przyjmowaliśmy porażki najgodniej, jak potrafiliśmy, ukrywając łzy w sposób, w jaki czynią to bojownicy cichej wojny w nadziei, że kiedyś nadejdzie dzień, gdy będą mogli wyjść z cienia. My też...

...Jebut, kolejne szybkie spojrzenie na stare casio...

- ...pewnego dnia będziemy mogli podzielić się swoją wiedzą z mężczyznami i z kobietami, którzy patrzą, ale nie widzą. Zbawca Własnej Rasy? - błysnęła Pearsonowi myśl. - Jezu, obroń nas! Ten facet gada bardziej jak Jesse Helms³ trzymający w senacie przemowę, żeby grać na zwłokę.

Zerknął na Duke'a i poczuł się pokrzepiony na duchu. Rhi-nemann słuchał wprawdzie z uwagą, ale też wiercił się już na krześle i wykazywał wyraźne oznaki wychodzenia z transu.

³ Przewodniczący Senackiej Komisji do Spraw Zagranicznych. Senator z Południa.

Pearson ponownie dotknął własnej twarzy; ciągle była gorąca. Przesunął palce na tętnicę szyjną i zbadał sobie puls. Krew cały czas bardzo szybko płynęła mu w żyłach. Nie był to wcale wynik zażenowania spowodowanego tym, że musiał wstać, a inni oglądali go jak Miss Ameryki; zebrani w suterenie chwilowo całkowicie zapomnieli o jego istnieniu. Nie, chodziło o coś całkiem innego, co było chyba jeszcze bardziej niemiłe.

- ...weszliśmy w to i tkwimy w tym po uszy, poruszamy nogami, nawet jeśli nie odpowiada nam muzyka... - ciągnął monotonicznie Delray.

Tak, czuję dokładnie to samo, to, co na początku - powiedział do siebie Brand Pearson.
- Od początku obawiałem się, że trafię do grupy osób, które podlegają wspólnym, zabójczym halucynacjom.

- Nie, wcale nie - mruknął pod nosem i Duke odwrócił w jego stronę twarz.

Uniósł brwi, ale Pearson w milczeniu potrząsnął głową.

Rhinemann ponownie skierował wzrok przed siebie, skupiając uwagę na mówcy.

Tak, Pearson się bał, ale nie zamierzał włączać się do takiego dziwnego, budzącego dreszcz kultu. Być może ludzie ci - kilku z nich - zabijali, może owo interludium w stodole w Newburyport rzeczywiście miało miejsce, ale tego wieczoru nic nie wskazywało na to, żeby zebrani w piwnicy mieli w sobie dość energii, aby dopuszczać się tak desperackich czynów. Tutaj siedzieli zwyczajni yuppies, obserwowani przez Dashiella Hammetta z portretu. Pearson wyczuwał jedynie jakieś senne półzainteresowanie, na tyle jeszcze silne, że zebrani potrafili skupić częściowo uwagę i nie zasnąć albo nie wstać i nie opuścić suterenu.

- Robbie, do rzeczy! - zawołała z końca sali jakaś bratnia dusza Pearsona.

Rozległy się nerwowe śmiechy.

Robbie Delray popatrzył zirytowany w kierunku, skąd dobiegł głos, uśmiechnął się i ponownie zerknął na zegarek.

- No tak, w porządku - odparł. - Przyznaję, że trochę mnie poniosło. Lester, czy możesz mi pomóc?

Lester wstał z krzesła. Obaj mężczyźni zniknęli za stertą kartonów i po chwili pojawili się, dźwigając na pasach wielki skórzany kufer.

- Dzięki, Les - powiedział Robbie.

Lester kiwnął głową i wrócił na swoje krzesło.

- Co tam jest? - szepnął Pearson Duke'owi do ucha. Duke potrząsnął głową. Jego twarz wyrażała zdumienie i lekki niepokój... ale zapewne nie taki, jaki ogarniał Pearsona.

- W porządku, do rzeczy - oświadczył Delray. - Podejrzewam, że trochę pomarudziłem, ale dla mnie jest to chwila historyczna. Zaczynamy przedstawienie.

Przez chwilę dla efektu milczał, a następnie zerwał ze sztalug niebieski materiał. Widzowie pochylili się na składanych krzesłach, przygotowani na to, że ujrzą coś zdumiewającego, a nadeptnie ponownie opadli na oparcia. Rozległ się powszechny jęk zawodu. Na sztalugach zawieszono czarno-białą fotografię czegoś, co wyglądało na opuszczony magazyn. Zdjęcie było na tyle powiększone, że oko ludzkie z łatwością rozróżniało porozrzucane na rampach załadowczych śmieci, papiery i prezerwatywy, a na ścianach wymalowane sprayami sentencje i mądrości życiowe. Największy napis głosił: PRAWO REWOLUCJI GRRRLS. Pośród zgromadzonych dało się słyszeć szepty i pomruki.

- Przed pięcioma tygodniami - odezwał się dobitnie Robbie - Lester, Kendra i ja wytropiliśmy w tym opuszczonym magazynie w okolicach Revere przy Clark Bay dwa batmany.

Ciemnowłosa kobieta w okrągłych okularach bez oprawki, siedząca obok Lestera Olsona, rozejrzała się z dumą... a Pearson mógł przysiąc, że przy okazji szybko spojrzała na zegarek.

- Dokładnie w tym miejscu... - Robbie stuknął palcem w fotografię, wskazując jedną z ramp - ...wyszło im na spotkanie pięć innych batmanów, w tym dwie kobiety. Weszli do środka. Od tamtego czasu sześć czy siedem osób spośród nas na przemian stało tam na czatach. Ustaliliśmy...

Pearson popatrzył w stronę Duke'a, na którego obliczu malowało się zdumienie i uraza. Rhinemann miał dosłownie wytatuowane na czole pytanie: DLACZEGO NIE WYBRANO MNIE?

- ...że jest to miejsce zebrań nietoperzy mieszkających na obszarze objętym siecią bostońskiego metra...

Bostońskie Nietoperze - pomyślał Pearson. - Idealna nazwa dla drużyny baseballowej⁴. I znów opadły go wątpliwości. Czy to ja tu siedzę i wysłuchuję tych bredni? Czy to naprawdę jestem ja?

Myśli tej, jakby pod wpływem wątpliwości, które go na chwilę ogarnęły, towarzyszyło wspomnienie Delraya, gdy ogłaszał, że Nieulękli Łowcy Nietoperzy mają nowego rekruta, Brandona Pearsona z najmroczniejszych głębin Medford.

Odrzucił się do Duke'a i znów szepnął mu w ucho:

⁴ W oryg.: The Boston Bats. Gra słów. Bats znaczy zarówno "nie-toperze" jak "pije baseballowe".

- Czy kiedy rozmawiałeś u Gallaghera przez telefon z Ja-net, wspominałeś, że mnie ze sobą przyprowadzisz?

Duke zmierzył go zniecierpliwionym spojrzeniem mówiąc czy-nie-widzisz-że-słucham. W jego oczach ciągle paliła się uraza.

- Naturalnie.

- Czy mówiłeś jej, że pochodzę z Medford?

- Nie - odparł Duke. - Niby skąd mogłem wiedzieć, że jesteś z Medford. Ale daj mi posłuchać, Brand. Duke odwrócił głowę.

- Naliczyliśmy ponad trzydzieści pięć pojazdów, w większości luksusowych samochodów i limuzyn, należących do odwiedzających ten opustoszały, stojący na odludziu magazyn - ciągnął Delray. Zamilkł, czekając, aż zebrani przyswoją sobie jego słowa i znów zerknął na zegarek. - Wiele z tych aut widzieliśmy tam z dziesięć albo i dwanaście razy. Nietoperze z całą pewnością gratulowały sobie, że znalazły tak dobre, leżące na uboczu miejsce zebrań czy też spotkań towarzyskich, ale ja osobiście sędzę, że niebawem przekonają się, że same zapędziły się w kozi róg. Ponieważ... przepraszam na chwilę...

Odwrócił się i zaczął coś szeptem uradzać z Lesterem Olsonem. Dołączyła do nich kobieta imieniem Kendra i wodziła głową od jednego do drugiego, jakby oglądała rozgrywkę ping-ponga. Zebrani obserwowali tę niemą scenę z oszołomieniem i zakłopotaniem.

Pearson dobrze wiedział, co czują. "Coś dużego" - obiecał Duke i każda z zebranych osób została również o tym przy wejściu zapewniona. "Coś dużego" okazało się jedną, czarno-białą fotografią opuszczonego magazynu tonącego w morzu śmieci, podartych gałganów i zużytych prezerwatyw. Co, do jasnej cholery, jest w tym zdjęciu nie tak?

Coś istotnego znajduje się w skrzyni - pomyślał Pearson. - A tak swoją drogą, skąd Piegus wiedział, że pochodzę z Medford? Chciałem o tym powiedzieć dopiero po jego przemówieniu, kiedy wszyscy zaczną mnie wypytywać.

Poprzednie emocje - rumieńce, bijące jak oszalałe serce, a przede wszystkim straszliwa chęć na kolejnego papierosa - opadły go z jeszcze większą siłą. Przypominało to ataki niepokoju, jakie miewał w czasach studenckich. O co w tym chodzi? Skoro to nie strach, to co?

Och, ależ to jest właśnie strach... - Ale nie jest to lęk jedyne go człowieka przy zdrowych zmysłach, który trafił do przeładowanego pacjentami domu wariatów. Wiesz, że nietoperze istnieją naprawdę. Nie jesteś wariatem; ani ty, ani Duke, ani Moira, ani Cam Stevens czy Janet Brightwood. Ale jednocześnie z tą fotografią jest coś nie w porządku... bardzo nie w porządku. I myślę, że to on, Robbie Delray, malarz pokojowy i Zbawca Własnej Rasy... Wiedział, skąd pochodzę. Zadzwoiła do niego Brightwood i powiadomiła, że Duke przyprowadzi kogoś z

banku, kogoś, kto nazywa się Brandon Pearson. Wtedy Robbie mnie sprawdził. Po co? I w jaki sposób?

Pod czaszką zadudniły mu nagle słowa Duke'a Rhinemanna: "Oni są cwani... mają wysoko postawionych przyjaciół. Do diabła, oni są urodzeni do zajmowania wysokich stanowisk".

Jeśli ma się przyjaciół piastujących wysokie godności, każdego można bardzo szybko sprawdzić, prawda? Osoby na wysokich stanowiskach znają hasła dające dostęp do wszystkich sieci komputerowych, do wszystkich kartotek, numery najważniejszych opracowań statystycznych...

Pearson drgnął na krześle jak człowiek wyrwany z koszmarne snu. Odruchowo szarpnął nogą i potracił kij do otwierania okien, który zaczął się osuwać. Jednocześnie szepczący w przedniej części pomieszczenia zgodnie kiwnęli głowami i skończyli naradę.

- Les? - zapytał Delray. - Czy ty i Kendra zechcecie jeszcze raz mi pomóc?

Pearson złapał tyczkę, zanim ta zdążyła się przewrócić i rozbić komuś głowę - a nawet czaszkę - ciężkim, metalowym okuciem. Chwycił kij i zamierzał odstawić go pod ścianę, kiedy w oknie piwnicy dostrzegł zagładającą do środka upiorną twarz goblina. Czarne oczy, jak oczy lalki Raggedy Ann ciśniętej pod łóżko, wlepione były w szeroko rozwarte, niebieskie źrenice Pearsona. Pasy mięsa obracały się niczym pierścienie atmosferyczne wokół planet zwanych przez astronomów gazowymi gigantami. Czarne węże żył pod bryłowatą, gołą czaszką. W rozwartej gębie połyskiwały zęby.

- Po prostu pomóżcie mi oderwać taśmy z tego cholernego pudła - wyjaśnił Delreay znajdujący się gdzieś po drugiej stronie galaktyki. - Są lepkie jak cholera - dodał z przyjacielskim chichotem.

Jeśli chodzi o Brandona Pearsona, w jednej chwili jakby cofnął się w czasie do porannych zdarzeń. Znów chciał wrzasnąć, ale znów nie potrafił wydobyć z siebie głosu i z gardła wyszedł mu tylko niski zdławiony pomruk; jęk, jaki wydaje czasem człowiek pogrążony w głębokim śnie.

Chaotyczne przemówienie.

Bezsensowna fotografia.

Nieustanne zerkanie na zegarek.

"Czy to dlatego jesteś tak zdenerwowany? Dlatego, że tyłu was zebrało się w jednym miejscu?" - zapytał wcześniej Du-ke^, a ten odpowiedział z uśmiechem: "Nie, Robbie przecież potrafi wyczuć nietoperze na odległość".

Tym razem nie było nikogo, kto by go powstrzymał, i tym razem druga próba

wydobycia z siebie głosu zakończyła się całkowitym sukcesem.

- TO WSZYSTKO ZOSTAŁO UKARTOWANE! - wrzasnął Pearson, zrywając się na równe nogi. - TO WSZYSTKO ZOSTAŁO UKARTOWANE! MUSIMY STĄD UCIEKAĆ!

Wyciągnęły się w jego kierunku głowy zaintrygowanych ludzi... tylko trzy twarze nie odwróciły się w jego stronę. Twarze należące do Delraya, Olsona i ciemnowłosej kobiety o imieniu Kendra. Rozerwali taśmy i otworzyli kufer. Ich oblicza wyrażały szok i poczucie winy... ale nie było śladu zdziwienia. Tej emocji właśnie brakowało na ich twarzach.

- Siadaj, człowieku! - syknął Duke. - Chyba postradałeś roz...

Na górze trzasnęły głośno jakieś drzwi. Rozległ się głuchy tupot butów.

- Co się tam dzieje? - zapytała Duke'a Janet Brightwood. Oczy miała rozszerzone strachem. - O czym on mówi?

- UCIEKAJMY! - ryknął Pearson. - WYPIERDALAJMY STĄD! GADAŁ TAK, ŻEBY ZYSKAĆ NA CZASIE! TO PUŁAPKA!

Drzwi na górze wąskich schodów rozwarły się z łoskotem i z cienia doszedł najbardziej odrażający dźwięk, jaki Pearson w życiu słyszał. Przypominało to odgłos hordy bulterierów, między które wrzucono żywe dziecko.

- Kto to? - krzyknęła Janet. - Kto jest na górze? Ale wyraz jej twarzy wyraźnie wskazywał, że dobrze wie, kto jest na górze. Co jest tam na górze?

- Uspokójcie się! - krzyknął Robbie Delray do zmieszanych ludzi, z których większość siedziała jeszcze na składanych krzesłach. - Obiecali nam amnestię! Słyszycie mnie? Czy rozumiecie, co do was mówię? Solennie przyrzekli mi, że...

W tej samej chwili pękło z trzaskiem okno do piwnicy; okno znajdujące się po lewej stronie w stosunku do tego, w którym Pearson ujrzał nietoperza twarz. Na otumanionych mężczyzn i kobiety siedzących w pierwszym rzędzie posypał się deszcz szklanych odłamków. Przez wybitą szybę wślizgnęło się ramię w rękawie marynarki od Armaniego i chwyciło Moirę Richardson za włosy. Ta wrzasnęła i z całych sił uderzyła w trzymającą ją dłoń... która wcale nie była dłonią, lecz łapą zakończoną długimi, chitynowymi szponami.

Pearson bez namysłu chwycił drąg do otwierania okien, runął w tamtą stronę i wbił hak w pulsującą nietoperza twarz, która majaczyła w wybitym oknie. Żelazo zagłębiło się w oko stworu. Na wyciągnięte ręce Brandona pociekła gęsta, przypominająca atrament ciecz. Batman wydał ochrypy, dziki skrzek - nie zabrzmiało to wcale jak ryk bólu, choć Pearson miał taką nadzieję - i upadł do tyłu, zniknął w zamglonym deszczem mroku, wyrывая z rąk Pearsona tyczkę. Zanim stworzenie pogrzyżyło się w cieniu, Brandon ujrzał, że z guzowatej skóry zaczyna unosić się biały dym, a w nozdrza uderzył go (kurz siuśki chili) bardzo nieprzyjemny zapach.

Cam Stevens chwycił Moirę w ramiona i popatrzył na Pearsona zszokowanym, pełnym niedowierzania wzrokiem. Wokół ludzie mieli takie same tępe, puste spojrzenia. Sprawiali wrażenie stada saren uwięzionych w snopie blasku bijącego z czołowych reflektorów nadjeżdżającej ciężarówki.

Na moje oko nie wyglądają na bojowników ruchu oporu - pomyślał Pearson. - Wyglądają raczej jak stado owiec zapędzonych do zagrody... a baran, skurwysyn-Judasz, który je tam wprowadził, stoi przed nimi w towarzystwie swych pomagierów.

Dobiegające z parteru dzikie wrzaski zbliżały się, ale nie tak szybko, jak się spodziewał tego Pearson. W tej chwili przypomniał sobie jednak, jak wąskie są schody - tak wąskie, że nie mieściły się na nich obok siebie dwie osoby i za to Pearson był wdzięczny losowi. Chwycił Duke'a za krawat, szarpnął mocno, podrywając Murzyna z krzesła i postawił na nogi.

_ Chodź - powiedział. - Zjeżdżamy stąd. Czy jest tu jakieś boczne wyjście?

_ N-nie... wiem - bąknął Duke, pocierając powoli, mocno skroń, jak człowiek, którego męczy straszny ból głowy. - To zrobił Robbie? Robbie? To niemożliwe, człowieku... niemożliwe, prawda?

Zajrzał Pearsonowi w oczy żałośnie i głęboko.

- Obawiam się, że możliwe, Duke. Chodź.

Brandon, ciągnąc Duke'a za krawat, postąpił dwa kroki do przodu i stanął w przejściu między rzędami krzesel. Delray, Olson i Kendra siedzieli na skrzyni, a w rękach lśniła im przypominająca pistolety maszynowe broń z zabawnie wyglądającymi, metalowymi, pajęczymi kolbami. Pearson znał uzi jedynie z kina i z telewizji, ale podejrzewał, że tą właśnie bronią dysponuje siedząca na kufrze trójka zdrajców. Uzi lub coś podobnego, nieważne, ale z pewnością była to broń.

- Stójcie! - polecił Duke'owi i Pearsonowi Delray. Próbował się uśmiechnąć, lecz na twarzy pojawił mu się grymas skazanego na śmierć więźnia stojącego pod murem. - Zostańcie, gdzie jesteście.

Ale Duke ruszył przejściem; Pearson za nim. Inni powstawali już z miejsc i przepychali się do przodu, nerwowo zerkając za siebie w stronę przejścia wiodącego do schodów. Ich wzrok wyraźnie mówił, że boją się broni, ale jeszcze większy lęk budzą w nich dobiegające z parteru hałasy.

- Człowieku, dlaczego? - zapytał Duke i Pearson skonstatował, że Murzyn jest bliski łez. Wyciągnął przed siebie ręce, dłonie miał odwrócone wewnętrzną stroną do góry. - Dlaczego nas sprzedałeś?

- Zatrzymaj się, Duke. Ostrzegam - powiedział Lester Olson miodowym głosem.

- Reszta też niech zostanie tam, gdzie jest - warknęła Kendra.

Jej głos ani trochę nie brzmiał miódowo. Strzelała gorączkowo oczyma na wszystkie strony.

- Nigdy nie mielibyśmy szansy - zwrócił się Delray do Duke'a. W jego głosie pojawiły się błagalne nutki. - Wpa-dli na nasz trop, w każdej chwili mogli nas zgarnąć, ale

10 - Marzenia i koszmary 2

zapropowowali układ. Rozumiesz? Nie sprzedałem was. Nigdy bym was nie sprzedał. To oni do mnie przyszli.

Powiedział z żarem, jakby namiętność ta naprawdę coś dla niego znaczyła, ale rozbiegany wzrok mówił coś innego. Zupełnie jak gdyby siedział w nim jakiś inny Robbie Delray, lepszy Robbie Delray, ktoś, kto próbuje gorączkowo odciąć się od tak haniebnej zdrady.

- TY PIEPRZONY ŁGARZU! - zaskrzeczał Duke Rhinemann przerywanym z bólu, rozpaczą i wściekłości głosem.

Skoczył na człowieka, któremu zawdzięczał zdrowe zmysły i który zapewne uratował mu życie w czerwonej linii metra... i wtedy zaczęło się zamieszanie.

Pearson nie był w stanie wszystkiego dostrzec; zobaczył tylko trochę, ale wystarczająco dużo. Ujrzał, jak Robbie Delray się waha, przesuwając broń w bok, jakby zamierzał tylko przyłożyć Duke'owi kolbę, a nie strzelać. Ujrzał, jak Lester Olson, który zanim stracił odwagę i zdecydował się pójść na ugodę, w stodole w Newburyport zrobił batmanowi trach-trach-trach, przykładając metalową kolbę swego karabinu do sprzączki pasa i naciskając spust. Pearson dostrzegł krótki, błękitny jęzor ognia w otworach chłodniczych broni, usłyszał ochryple hack!hack!hack!hack! i zrozumiał, że tak właśnie w rzeczywistym świecie brzmią wystrzały broni automatycznej. Usłyszał, że coś niewidzialnego pruje powietrze na centymetr od jego twarzy; brzmiało to jak sapnięcie ducha. Zobaczył, że Duke pada z impetem do tyłu, a na białej koszuli i kremowym garniturze rozbryzguje się krew. Zobaczył, że mężczyzna, który stał bezpośrednio za Duke'em, osuwa się na kolana, przykładając do oczu dłoń, a pomiędzy palców zaczyna ściekać mu krew.

Ktoś - może Janet Brightwood - na samym początku zebrania zamknął drzwi wiodące na schody. Teraz drzwi te rozwarły się z trzaskiem i do środka wpadły dwa batmany w mundurach bostońskiej policji. W ich przerośniętych, dziwacznie ruchliwych głowach majaczyły niewielkie, ściągnięte twarze.

- Amnestia! - wrzasnął Robbie Delray. Piegi na jego twarzy pałały niczym pochodnie, a skóra była szarobiała, jak popiół. - Amnestia! Obiecano nam amnestię, jeśli zostaniemy na

miejscach i podniesiemy ręce!

Kilkanaście osób, głównie te, które skupiły się w pobliżu ekspresu do kawy, choć posłusznie uniosło ręce, nieustannie cofało się przed umundurowanymi batmanami. Jeden z nietoperzy z basowym chrumknięciem wyciągnął ramię i chwycił któregoś mężczyznę za koszulę na piersiach. Przyciągnął go do siebie i zanim Pearson pojął, co się święci, stwór wydarł ofierze gałki oczne. Potwór przez chwilę spoglądał na galaretowatą substancję na swej dziwacznej, zniekształconej dłoni, po czym wepchnął śluzowate ochłapy do ust.

Przez drzwi wpadły dwa kolejne batmany i zaczęły rozglądać się swymi czarnymi, lśniąco-czarnymi ślepiami. Drugi policjant-nietoperz wyrwał z kabury służbowy pistolet i trzykrotnie, na oślep, wystrzelił w tłum.

- Nie! - Pearson usłyszał wrzask Delraya. - Nie, obiecaliście!

Janet Brightwood chwyciła ekspres do kawy, uniosła go nad głowę i cisnęła w jednego z nowo przybyłych. Rozległ się stłumiony, metaliczny dźwięk i wrząca kawa oblała stwora od stóp do głów. Tym razem w jego skrzeku słyhać było prawdziwy ból. Jeden z policjantów-nietoperzy wyciągnął ramię w stronę Janet, ale ta się uchyliła, próbowała uciec, potknęła się... i nagle zniknęła, zgubiła się w ogarniętym paniką tłumie, który ruszył.

Okna zaczęły po kolei pękać, a Pearson usłyszał w oddali zbliżający się ryk syren. Ujrzał, że nietoperze zbiły się w dwie grupy i pobiegły po obu stronach ustawionych rzędami krzeseł, zdecydowane zapędzić nieprzytomnych ze strachu Ludzi Godziny Dziesiątej na teren składowy piwnicy, za przewrócone w tej chwili sztalugi.

Olson cisnął broń, chwycił Kendrę za rękę i pociągnął ją w tamtą stronę. Przez wybite okno błyskawicznie wsunęła się do nietoperza ręka, chwyciła za teatralnie białe włosy i uniosła krztuszącego się, gulgoczącego Olsona. W oknie pojawiła się druga dłoń i kciukiem z dziesięciocentymetrowej długości szponem rozerżnęła mu gardło, zalewając wszystko szkarłatem.

Czasy, gdy uciszałeś batmany w stodołach na wybrzeżu, minęły, przyjacielu - pomyślał rzewnie Pearson. Znów odwrócił się w stronę kartonów z książkami. Między przewróconymi sztalugami a otwartym kufrem stał Delray, w ręku trzymał karabin, wzrok miał pusty. Kiedy Pearson wyrwał mu z dłoni broń, Robbie nie stawiał oporu.

- Obiecali amnestię - powiedział. - Obiecali.

- Naprawdę sądziłeś, że tak wyglądającym stworom można ufać? - zapytał Pearson i z całych sił wyrzwał metalową lufą w sam środek twarzy Delraya.

Usłyszał, jak coś z głośnym trzaskiem pęka - zapewne nos Robby'ego - i bezmyślny barbarzyńca, który nagle odezwał się w jego duszy pracownika banku, zarechotał z dzikiej

radości.

Pearson ruszył do przodu, zygzakami wymijając pudła, które poodrzucali już na bok inni ludzie uciekający tędy wcześniej. Natychmiast jednak zatrzymał się, gdy sprzed budynku dotarł do niego łoskot kanonady. Huk wystrzałów... krzyki... wrzask triumfu.

Pearson odwrócił się na pięcie i ujrzał stojących między składanymi krzesłami Cama Stevensa i Moirę Richardson. Trzymali się za ręce, na twarzach zakrzepło im osłupienie i Pearson pomyślał: Tak samo musieli wyglądać Jaś i Małgosia, kiedy wydostali się z chatki na kurzej nóżce. Potem pochylił się, podniósł karabiny Kendry i Olsona i wręczył je stojącej nieruchomo parze.

Przez tylne drzwi wbiegły do sutereny dwa kolejne nietoperze. Posuwały się niedbałym krokiem, jakby realizowały z góry ustalony plan... który zresztą, zdaniem Pearsona, ułożyły. Akcja przeniosła się teraz na tyły domu... to tam, zapewne, nie tutaj zorganizowano właściwą zagrodę. Ale nietoperze nie tylko zaganiały do niej ludzi, lecz robiły z nimi coś dużo, dużo gorszego.

- Teraz - powiedział do Cama i Moiry Pearson. - Wykończmy skurwysynów.

Batmany na końcu pomieszczenia zbyt późno uświadomiły sobie, że kilku uciekinierów postanowiło walczyć. Jeden z nich odwrócił się na pięcie, zapewne żeby uciec, wpadł na trzeciego, który właśnie pojawił się w drzwiach i poślizgnęli się na rozlanej kawie. Oba potwory upadły. Pearson otworzył ogień do tego, który stał. Pistolet maszynowy rozgdakał się tym w jakiś sposób rozczarowującym hacklhacklhack! i nietoperza cisnęło do tyłu. Rozwarł swą obcą paszczę, uniosła się z niego chmura cuchnącej mgły... Pearson pomyślał, że stworzy umierają w taki sposób, jakby rzeczywiście były jedynie złudzeniem.

Cam i Moira zrozumieli, o co chodzi, i otworzyli ogień do pozostałych nietoperzy, miażdżąc je morderczą nawałą pocisków, które ze straszliwą siłą rzucały stworzy na ścianę. Osunęły się na posadzkę i zaczęły wysączać się z ubrań eteryczną mgłą, która zdaniem Pearsona śmierdziała tak samo jak astry na marmurowych kwietnikach-wysepkach przed bankiem.

- Chodźcie - zakomunikował Pearson. - Jeśli teraz spróbujemy uciec, mamy jeszcze szansę.

- Ale... - zaczął Cameron.

Rozejrzał się. Najwyraźniej opuszczało go odrętwienie. To dobrze. Pearson zdawał sobie sprawę, że muszą wykazać maksymalny spryt i zdecydowanie, jeśli chcą się z tego wy-dostać.

- Nieważne, Cam - powiedziała Moira. Też się rozejrzała i spostrzegła, że są sami. W

piwnicy nie było ani ludzi, ani nietoperzy. Wszyscy wybiegli z budynku. - Chodźmy. Wydaje mi się, że najlepszą drogą ucieczki będą drzwi, którymi się tu dostaliśmy.

- Tak - zgodził się Pearson. - Ale bardzo krótko.

Rzucił ostatnie spojrzenie na Duke'a, który leżał na ziemi. Na twarzy zakrzepł mu wyraz bolesnego osłupienia. Pearson żałował, że nie ma czasu zamknąć Duke'owi oczu.

- Idziemy - powiedział i ruszyli do drzwi.

Zanim dotarli do prowadzących na werandę - i na Cambridge Avenue - drzwi, dobiegająca z tyłu domu strzelanina powoli cichła. Ile osób zginęło? - zastanowił się Pearson, a pierwsza odpowiedź, jaka mu się nasunęła - wszyscy - była przerażająca, lecz najbardziej prawdopodobna. Podejrzał, że jedna czy dwie osoby mogły się wymknąć obławie; ale z pewnością nie więcej. To była doskonała pułapka, zastawiona cicho i sprawnie... podczas gdy Robbie Delray mełł ozorem, grał na zwłokę i spoglądał na zegarek... zapewne czekając na jakiś sygnał, który Pearson uprzedził.

Gdybym się opamiętał trochę wcześniej, Duke być może byś żył - pomyślał gorzko. - To zapewne prawda, ale gdyby babcia miała wąsy, to by była dziadkiem. Nie było czasu na jałowe żale i obwinianie się.

Na werandzie trzymał wartę jeden z policjantów-nietoperzy, ale stał odwrócony w stronę ulicy. Prawdopodobnie czuwał nad tym, żeby nikt niepowołany się nie wtrącał. Pearson podkraść się do niego i powiedział:

- Ej, ty wstrętna dupo z pasami mięsa... chcesz zajarać?

Nietoperz odwrócił się.

Pearson odstrzelił mu głowę.

Tuż po pierwszej w nocy troje ludzi - dwóch mężczyzn i kobieta w podartych rajstopach i brudnej czerwonej spódnicy - biegło wzdłuż ruszającego sprzed rampy załadowniczej na South Station pociągu towarowego. Młodszy mężczyzna z łatwością wskoczył w otwarte, kwadratowe drzwi wagonu, odwrócił się i wyciągnął rękę do kobiety.

Zachwiała się i krzyknęła, gdy złamał się jej wysoki obcas. Pearson chwycił ją w pasie (poczuł przebijający lekko przez woń potu i strachu zapach giorgio), biegł chwilę obok niej, a następnie krzyknął, żeby skakała. Kiedy to zrobiła, chwycił ją za biodra i pchnął ku wyciągniętym rękóm Camerona Stevensa. Ten złapał Moirę za ramiona i ostrym szarpnięciem wciągnął do wagonu.

Pearson, który aż ugiął się pod jej ciężarem, ujrzał teraz niedaleko w przodzie płot ogradzający rampę kolejową. Pociąg prześlizgiwał się w wyrwie w siatce, ale Pearson już by się w niej nie zmieścił. Jeśli nie wskoczy do wagonu, i to nie wskoczy szybko, zostanie na

rampie.

Cam wychylił się z drzwi, dostrzegł parkan i znów wyciągnął rękę.

- Wskakuj! - krzyknął. - Dasz radę! Ale Pearson nie mógł sobie poradzić - miał za sobą zbyt wiele dwupaczkowych dni, a w tej chwili czuł w nogach i w płucach dwie dodatkowe paczki papierosów. Biegł po zdradliwym, pełnym odpadków tłuczniu rozsypanym obol torów, prześcigając czasami wlokący się pociąg, wyciąga ramiona, prostował palce, próbował pochwycić wyciągnięt

150

\v jego stronę rękę, a parkan był coraz bliżej. Teraz już Pearson mógł dostrzec wpleciony w połyskliwą siatkę kolczasty drut.

Szeroko otworzyły mu się oczy duszy i ujrzał żonę siedzącą w fotelu w salonie. Miała opuchniętą od płaczu twarz i zaczerwienione oczy. Ujrzał ją, jak mówi dwóm policjantom, że zaginął jej mąż. Zobaczył też stosik rozkładanych, barwnych książeczek Jenny na stojącym obok Lisabeth niskim stoliku. Czy to naprawdę działo się w tej chwili? Tak; w takiej formie lub innej; tak, o tym był przekonany. A Lisabeth, która w życiu nie zapaliła papierosa, nie widziała czarnych oczu i ust ze sterzącymi kłami pod młodymi twarzami policjantów siedzących naprzeciwko niej na kanapie. Nie widziała ciekących narośli ani czarnych pulsujących linii krzyżujących się na ich gołych czaszkach.

Nie wie. Nie widzi.

Dzięki ci, Boże, za jej ślepotę - pomyślał Pearson. - I tak niech już zostanie na zawsze.

Zbliżył się jeszcze bardziej do ciemnego, długiego potwora. Jadący na zachód pociąg towarowy linii Conrail, krzesał stalowymi, obracającymi się powoli kołami spiralne pęki pomarańczowych iskier.

- Szybciej! - zaskowyczała Moira i wyciągając rękę, mocniej wychyliła się z wagonu. - Brandon, błagam... jeszcze troszeczkę!

- Szybciej, gamoło! - wrzasnął Cam. - Przed sobą masz ten pierdzielony płot!

Nie dam rady - pomyślał Pearson. - Szybciej już nie mogę, nic nie obchodzi mnie płot, nic już mnie nie obchodzi. Chcę po prostu umrzeć. Po prostu zasnąć.

Pomyślał o Duke'u i trochę przyśpieszył. Duke był za młody, by wiedzieć, że czasami ludzie tracą ducha i sprzedają się, że czasami robi to nawet ktoś, kogo stawia się na cokole; ale był wystarczająco dojrzały, żeby chwycić za łokieć Branda Pearsona i uchronić przed samobójstwem, jakim byłby krzyk. Duke z pewnością nie chciałby, aby Brandon pozostał na tej głupiej boczniczy kolejowej.

Pearson podjął ostatni wysiłek i pognał jeszcze szybciej ku wyciągniętym rękom, kątem

oka dostrzegł pędzący już prosto na niego parkan i chwycił wyciągnięte palce Cama. Skoczył, poczuł, że Moira mocno chwyta go pod pachę i po chwili został wciągnięty do środka. Prawą stopę postawił na podłodze wagonu na ułamek sekundy przed tym, jak kolczasty drut miał go rozerwać, a pociąg rozwlec wzdłuż torów.

- Wszyscy na kartach przygodowej powieści dla młodzieży ilustrowanej przez N. C. Wyetha! - sapnął.

- Co? - zapytała Moira. - Co mówisz? Odwrócił się i popatrzył na nich przez spadające mu na oczy włosy. Opierał się na łokciach i ciężko dyszał.

- Nieważne. Czy ktoś ma papierosa? Umrę, jeśli nie zapalę.

Gapili się w niego przez chwilę jak sroki w gnat, następnie popatrzyli po sobie i jednocześnie ryknęli dzikim śmiechem. Pearson pomyślał, że jednak naprawdę są w sobie zakochani.

Zataczali się ze śmiechu na podłodze wagonu, a Pearson usiadł i zaczął systematycznie przeszukiwać kieszenie brudnej, podartej marynarki.

— Aaaa - powiedział, gdy w drugiej z kolei namacał zna-jomy kształt. Wyciągnął pogniecioną paczkę i uniósł ją triumfalnie. - Zwycięstwo!

Wagon towarowy toczył się na wschód przez Massachusetts, a w otwartych drzwiach, w mroku, żarzyły się trzy maleńkie czerwone ogniki. W tydzień później byli już w Omaha, gdzie przez całe przedpołudnie włóczyli się po śródmiejskich ulicach, obserwując ludzi, którzy mimo padającego deszczu przerwę na kawę spędzali pod gołym niebem. Wypatrywali Ludzi Godziny Dziesiątej. Polowali na członków Zaginionego Szczepu, tego, który wywedrował za Joe Camelem.

W listopadzie było ich już dwudziestu i spotykali się na tyłach opuszczonego magazynu w La Yista.

Na początku następnego roku urządzili pierwszy wypad za rzekę, do miasteczka Council Bluffs, gdzie zabili trzydziestu bardzo zaskoczonych bankierów-nietoperzy i dyrektorów-nie-toperzy. Nie było to dużo, ale Brand Pearson zrozumiał, że zabijanie nietoperzy ma przynajmniej jedną cechę wspólną z ograniczaniem palenia; można to było zacząć, kiedy się chciało i gdzie się chciało.

Crouch End

(Crouch End)

Kiedy kobieta wreszcie sobie poszła, wybiło prawie wpół do trzeciej w nocy. Ciągająca się przed posterunkiem policji na Crouch End Tottenham Lane przypominała nieruchomą rzekę. Londyn pogrążony był we śnie... ale Londyn nigdy nie zapada w głęboki sen, a sny miewa niespokojne...

Policjant Yetter zamknął kajet, który zapisał prawie do końca, notując dziwną, gorączkową opowieść Amerykanki. Spojrzał na maszynę do pisania i stos czystych formularzy na stojącej obok półce.

- W dziennym świetle będzie to brzmieć jeszcze bardziej wariacko - stwierdził.

Policjant Farnham, który popijał coca-colę i od dłuższego już czasu się nie odzywał, nagle się odezwał.

- Ona była Amerykanką, prawda? - spytał, jakby ten fakt miał wytłumaczyć większość tego, co opowiedziała.

- Wepchniemy to do archiwum - zgodził się Yetter i rozejrzał się za papierosem. - Ale ciekaw jestem... Farnham roześmiał się.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że wierzysz w choć jedno jej słowo? Śmiało! Słucham!

- Czy coś mówiłem? Nic. A ty jesteś teraz tutaj.

Farnham lekko zeszywniał. Miał dwadzieścia siedem lat i nie było jego winą ani to, że przeniesiono go na ten posterunek z leżącego bardziej na północ Muswell Hill, ani też to, że cała kariera zawodowa dwukrotnie prawie starszego od niego Yette-ra przebiegła w tym cichym zakątku Londynu, na Crouch End.

- Jestem - odparł. - Ale, z całym szacunkiem, potrafię jeszcze odróżnić ziarno od plew. Czy nie...

- Lepiej poczęstuj mnie fajką, kolego - odparł Yetter, spoglądając nań z lekkim rozbawieniem. - O, dzięki, dobry z ciebie chłopak.

Zapalił papierosa zapalką, którą wyjął z pudełka ozdobionego rysunkiem jasnoczerwonej lokomotywy. Machnięciem ręki zgasił płomyk i wrzucił wypalone drewnisko do popielniczki Farnhama. Popatrzył na kolegę przez obłok dymu. Już dawno stracił swój chłopięcy wygląd i wdzięk. Twarz Yettera pożłobiona była głębokimi zmarszczkami, a nos stanowił mapę popękanych naczynek krwionośnych; codziennie wieczorem lubił sobie wypić sześć butelek piwa Harp.

- A zatem uważasz, że Crouch End jest takim spokojnym i cichym miejscem?

Farnham wzruszył ramionami. Tak naprawdę uważał, że Crouch End jest ogromną, ziewającą gębą leżącą na peryferiach Londynu; jego młodszy brat z całą pewnością nazwałby tę dzielnicę Nudopatia.

- Cóż - ciągnął Yetter. - Wiem, że tak uważasz. O jedenastej wieczorem wszystko tu już smacznie śpi. Ale widziałem na Crouch End wiele dziwnych rzeczy. Gdybyś spędził tu połowę tego czasu co ja, również byś w to uwierzył. Na przestrzeni tych sześciu czy ośmiu spokojniutkich ulic dzieje się więcej dziwnych rzeczy niż w całym Londynie. Wiem, że brzmi to zabawnie, ale mówię prawdę. Te rzeczy mnie przerażają. Dlatego piję tyle piwa, bo po nim nie boję się tak bardzo. Przypatrz się kiedyś sierżantowi Gordonowi, Farnham, i zadaj sobie pytanie, dlaczego w wieku czterdziestu lat jest kompletnie siwy. A gdybyś zobaczył Petty'ego... ale jego już nie zobaczysz, prawda? Petty popełnił samobójstwo latem siedemdziesiątego szóstego roku. Nasze gorące lato. Było to... - Yetter starannie szukał odpowiednich słów. - Było to okropne lato. Straszne. Wielu z nas się obawiało, że mogą się tu przedrzeć.

- Kto mógł się przedrzeć? - zapytał Farnham.

Czuł, że kąciki ust wykrzywia mu pogardliwy, obelżywy uśmiezek, wiedział, że nie jest to uprzejme, ale nie potrafił nad sobą zapanować. Na swój sposób Yetter bredził tak samo, jak Amerykanka. Zresztą zawsze był trochę dziwny. Zapewne pijaczek.

Spostrzegł, że Yetter oddaje mu uśmiech.

_ Uważasz mnie za starą końską dupę - stwierdził.

_ Wcale nie, wcale nie - zaprotestował Farnham i jęknął w duchu.

_ Jesteś dobrym chłopcem - stwierdził Yetter. - Jak już osiągniesz mój wiek, nie będziesz siedział za biurkiem i przewracał papierów na takim posterunku jak ten. Będziesz pracował w normalnej policji. Będziesz, prawda? Marzysz o tym.

_ Tak - przyznał Farnham.

Była to prawda. Marzył o tym. Zamierzał wstąpić do akademii, mimo że Sheila chciała, aby porzucił pracę w policji i zajął się czymś innym; na przykład zatrudnił się u Forda przy taśmie na linii montażowej. Na myśl o pracy z robotami aż coś ścisnęło go w brzuchu.

- Tak też myślałem - oświadczył Yetter, gniotąc niedopałek w popielniczkę. - Masz to we krwi, prawda? Możesz wysoko zajść i nie skończysz w takim nudnym miejscu jak to, na starym Crouch End. Ale nie wiesz o wszystkim. Crouch End jest dziwne. Powinieneś od czasu do czasu postudiować nasze archiwa, Farnham. Och, naturalnie, znajdziesz tam masę zwyczajnych przypadków... chłopcy i dziewczęta uciekający z domu, żeby przystać do hipisów, punków czy jak tam sami siebie dzisiaj nazywają... zaginieni mężowie (gdy widzisz ich żony, zazwyczaj rozumiesz, dlaczego zaginęli)... podpalenia, których sprawców nie wykryto... kradzieże kieszonkowe... wiele innych spraw. Ale między nimi jest wystarczająca liczba historii mrozących krew w żyłach. Wiele takich, że człowiekowi robi się niedobrze.

- Naprawdę? Yetter skinął głową.

- Niektóre do złudzenia przypominają historię, jaką opowiedziała nam ta nieszczęsna amerykańska dziewczyna. Nigdy już nie zobaczy swego męża; masz na to moje słowo honoru.

- Popatrzył na Farnhama i wzruszył ramionami. - Możesz mi wierzyć albo nie. Pakujemy je wszystkie do jednej kartoteki. Nazywamy to kartoteką spraw bieżących, ponieważ brzmi to ładniej niż archiwum, czyli kartoteka-pocałuj-nas--w-dupę. Przestuduj ją, Farnham. Przestuduj.

Farnham nic nie odpowiedział, ale postanowił "przestudiować" ją w wolnej chwili. Myśl, że istnieje cały szereg takich

historii, jaką opowiedziała im Amerykanka, była... niepokojąca.

- Czasami... - powiedział Yetter i podkradł Farnhamowi kolejnego silk cutsa - ...rozmyślałam o Wymiarach.

- O Wymiarach?

- Tak, synu, o Wymiarach. O Wymiarach zawsze piszą twórcy science fiction, prawda?

Czy czytujesz science fiction, Farnham?

- Nie - odrzekł młody Farnham. Zawsze uważał, że ten gatunek literatury stanowi wyrafinowaną formę robienia z ludzi głupków.

- A co powiesz o Lovecraftie? Jego utworów też nie czytałeś?

- Nawet o nim nie słyszałem - przyznał się Farnham.

Tak naprawdę ostatnią książką fantastyczną, jaką czytał dla zabicia czasu, był niewielki pastisz pochodzący jeszcze z czasów wiktoriańskich i zatytułowany Two Gentlemen in Silk Knickers.

- Cóż, ten facet, Lovecraft, zawsze pisał o Wymiarach - stwierdził Yetter, sięgając po pudełko zapalek z wymalowaną lokomotywką. - Wymiary są bardzo blisko nas. I są pełne tych nieśmiertelnych potworów, na sam widok których ludzie tracą zdrowe zmysły. Oczywiście, to fikcja. Ale gdy coś takiego rzeczywiście przytrafia się komuś, poważnie się zastanawiam, czy to naprawdę jedynie fikcja. Nachodzą mnie wtedy myśli, przeważnie cichą, spokojną nocą, taką jak teraz, że cały nasz świat, wszystko, co wydaje się nam tak miłe, normalne i zwykłe, jest jak wielka skórzana piłka napompowana powietrzem. I że miejscami skóra jest prawie całkiem przetarta. Tam bariery są cieńsze. Rozumiesz, o czym mówię?

- Tak - mruknął Farnham i pomyślał: A może powinienes dać mi buzi, Yetter. Zawsze, gdy błądzę myślami gdzieś indziej, marzę o buziaku.

- A później kombinuję: Może Crouch End jest właśnie jednym z takich miejsc? Głupie, ale tak dokładnie sobie myślę. Być może to wyłącznie kwestia bujnej wyobraźni. Matka zawsze mi mówiła, że cierpię na przerost fantazji.

- Naprawdę?

- Tak. I wiesz, o czym jeszcze myślę?

- Nie. Nie mam zielonego pojęcia.

- Highgate jest prawie w porządku; to właśnie myślę. Tam powłoka oddzielająca nas od Wymiarów jest tak samo gruba jak w Muswell Hill. Ale weź, na przykład, takie Archway i Finsbury Park. Te dzielnice również przylegają do Crouch End. W obu mam przyjaciół. Wiedzą, że interesuję się pewnymi sprawami, które wydają się kompletnie nieracjonalne. Pewne zwariowane historie, jakie im opowiadają ludzie... no cóż... ludzie, którzy nie mają najmniejszego powodu opowiadać takich bredni. Czy zastanowiłeś się, Farnham, nad tym, po co ta kobieta miałaby opowiadać nam tak niestworzoną historię, gdyby nie była ona prawdziwa?

- No cóż...

Yetter zapalił zapalke i popatrzył przez płomyk na Farnhama.

- Piękna, młoda, dwudziestosześcioletnia kobieta, w hotelu dwoje dzieci, jej mąż jest młodym, dobrze prosperującym prawnikiem w Milwaukee czy gdzieś tam. Co chciała zyskać na tym, że przyszła tu i wyrecytowała nam historię, jaką spotkać można jedynie w filmach o detektywie Hammerze?

- Nie wiem - odparł sztywno Farnham. - Ale zapewne istnieje jakieś wythi...

- Tak więc myślę sobie - przerwał mu Yetter - że jeśli są takie "cienkie punkty", nasz musi zaczynać się w Archway i Finsbury Park... ale najcieniej jest tutaj, w Crouch End. I mówię sobie: Czy nie nadejdzie w końcu taki dzień, kiedy skóra oddzielająca nas od tego, co znajduje się po jej drugiej stronie... ostatecznie się przetrze? Czy nie będzie to dzień, kiedy się okaże, że wszystko to, o czym mówiła nam ta kobieta, nie wyczerpuje prawdy nawet w połowie?

Farnham milczał. Był już najgłębiej przekonany, że policjant Yetter wierzy również w chiromancję, frenologię i w Różo-

krzyżowców.

- Poczytaj archiwa - poradził Yetter, wstając z krzesła. Kiedy przyłożył dłonie do pleców i się przeciągnął, rozległ się ^ichy trzask. - Idę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. \ Wyszedł. Farnham popatrzył za nim z mieszaniną rozbawienia i złości. Yetter ma fioła, to jasne jak słońce. I kopci jak parowóz. A w tym nowym, wspaniałym świecie socjalizmu papierosy i opieka społeczna wcale tanie nie są. Sięgnął po notes Yettera i ponownie zaczął czytać to, co opowiedziała dziewczyna.

Później, oczywiście, przejrzy archiwum.

Zrobi to po prostu dla jaja.

Dziewczyna - czy też młoda kobieta, jeśli chce się być grzecznym i dokładnym (a wiele wskazuje na to, że tacy są wszyscy współcześni Amerykanie) - wpadła na posterunek jak burza piętnaście po dziesiątej poprzedniego wieczoru. Włosy opadały jej na twarz mokrymi strąkami, oczy miała wybałuszone. Wlokła za sobą na pasku torebkę.

- Lonnie - powiedziała. - Proszę, musicie odnaleźć Lon-niego.

- Doskonale, proszę pani, zrobimy, co w naszej mocy - odparł Yetter. - Ale najpierw musi nam pani powiedzieć, kim jest Lonnie.

- On nie żyje - wyjaśniła młoda kobieta. - Wiem, że nie żyje.

Wybuchnęła płaczem, który szybko przeszedł w śmiech, a właściwie w rechot. Cisnęła przed siebie torebkę. Najwyraźniej wpadła w histerię.

W tę noc z piątku na sobotę posterunek był jak wymarły. Sierżant Raymond wysłuchiwał z niezwykłym wprost spokojem opowieści Pakistanki o tym, jak na Hillfield Avenue jakiś wytatuowany bandzior ze strzechą na niebiesko ufarbowanych włosów wyrwał

jej torebkę. Yetter zauważył, że do pomieszczenia wsunął się Farnham, który zamienił właśnie wiszący w korytarzu plakat (CZY MASZ W SERCU MIEJSCE DLA NIE CHCIANYCH DZIECI?) na inny (SZEŚĆ RAD, JAK BEZPIECZNIE JEŹDZIĆ NOCĄ NA ROWERZE).

Yetter skinął na niego ręką, a sierżant Raymond, słysząc na wpół histeryczny wrzask Amerykanki, obejrzał się w ich stronę. Raymond lubił kieszonkowcom łamać palce jak sucharki ("Ach, daj spokój, kolego - odpowiadał, kiedy go proszono, aby jakoś uzasadnić tę wyjątkowo mało legalną procedurę. - Pięćdziesiąt milionów żółtków nie może się mylić"), ale nie radził sobie zupełnie z rozhisteryzowanymi kobietami. - Lonnie! - zaskrzeczała. - Och, oni mają Lonniego! Pakistanka odwróciła się w stronę Amerykanki, taksowała ją przez chwilę spokojnym wzrokiem, po czym znów odwróciła się do sierżanta Raymonda i podjęła opowieść o tym, jak wyrwano jej torebkę.

- Panno... - zaczął policjant Farnham.

- Co tu się wyprawia? - szepnęła.

Zaczęła dyszeć. Farnham spostrzegł niewielkie zadrapanie na jej lewym policzku. Była śliczną babką z uroczyimi cyckami - drobnymi, ale sterczącymi - i z wielką strzechą kasztanowych włosów. Ciuchy miała stosunkowo drogie. W jednym bucie brakowało jej obcasa.

- Co tu się wyprawia? - powtórzyła. - Potwory...

Pakistanka ponownie na nią popatrzyła... i uśmiechnęła się. Miała popsute zęby. Uśmiech ten jednak zniknął prawie natychmiast, jak za sprawą magicznej sztuczki. Ponownie odwróciła się do Raymonda, który podał jej formularz protokołu kradzieży.

- Poczęstujemy panią kawą i przejdziemy do pokoju numer trzy - oświadczył Yetter. - Napije się pani kawy, słoneczko, prawda?

- Lonnie - szepnęła. - Wiem, że nie żyje.

- Proszę pójść ze starym, dobrym Tedem Yetterem i wszystko w mig załatwimy - powiedział Yetter i pomógł jej wstać z krzesła.

Kiedy objął ją w pasie i wyprowadzał z pokoju, ciągle lamentowała i mamrotała coś niewyraźnie pod nosem. Kroki stawiała niepewnie, ponieważ w jednym pantoflu brakowało jej obcasa.

Farnham nalał do kubka kawę i zaniósł naczynie do pomalowanego na biało, kwadratowego pokoju, w którym znajdował się odrapany stół, cztery krzesła i chłodziarka do pitnej wody.

- Proszę, słoneczko - powiedział. - To ci dobrze zrobi. Z cukrem, czy bez?

- Nie chcę pić - odparła. - Nie mogłabym...

I sięgnęła po kubek, souvenir, który dawno temu dostali od kogoś z Blackpool, jakby

chciała ogrzać sobie nim dłonie. Ręce fatalnie jej się trzęsły i Farnham chciał już poradzić, żeby odstawiła naczynie, zanim obleje się gorącą kawą.

- Nie mogłabym - powtórzyła i ciągle trzymając kubek w obu dłoniach, upiła łyk; kubek dzierżyła tak, jak dziecko trzyma faskę z rosołem.

Kiedy na nich popatrzyła, miała również wzrok dziecka - szczery, zmęczony, błagalny... i w jakiś sposób podobny do spojrzenia osaczonego zwierzęcia. Wyglądała tak, jakby to, co ją spotkało, odebrało jej całą dorosłość; jakby jakaś niewidzialna ręka wychyliła się z nieba i zabrała jej dwadzieścia lat, zostawiając w pokoju przesłuchań na posterunku w Crouch End dziecko w amerykańskim ubraniu dla dorosłych.

- Lonnie. Potwory... - powiedziała. - Czy mi pomożecie? Na Boga, czy mi pomożecie? Może jeszcze żyje. Może... Jestem amerykańską obywatelką! - wrzasnęła nagle i jakby powiedziała coś bardzo nieprzyzwoitego, wybuchnęła płaczem.

Yetter poklepał ją po ramieniu.

- Słoneczko, myślę, że pomożemy ci odnaleźć Lonniego. To twój mąż, prawda? Nie przestając chlipać, kiwnęła głową.

- Danny i Norma są w hotelu... z opiekunką... mają iść spać... czekają, aż wróci, żeby pocałować je na dobranoc...

- Proszę się na chwilę uspokoić i powiedzieć dokładnie, co się wydarzyło...

- I gdzie - dodał Farnham, a Yetter obrzucił go szybkim spojrzeniem spod zmarszczonych brwi.

- No właśnie! - krzyknęła. - Nie wiem gdzie. Nie jestem nawet pewna, co się wydarzyło, poza tym, że było to s-str--straszne!

Yetter wyciągnął notatnik.

- Jak się pani nazywa, słoneczko?

- Doris Freeman. Mój mąż nazywa się Leonard Freeman. Zatrzymaliśmy się w hotelu Inter Continental. Jesteśmy obywatelami amerykańskimi.

Tym razem przyznanie się do amerykańskiego obywatelstwa jakby trochę ją uspokoiło. Upiła łyk kawy i odstawiła kubek. Farnham zauważył, że ma bardzo zaczerwienione dłonie. Poczujesz to później, moja droga - pomyślał.

Yetter z mozołem zapisywał wszystko w notatniku. Przelotnie popatrzył na policjanta Farnhama.

- Są państwo na wakacjach? - zapytał.

- Tak... dwa tygodnie tutaj i tydzień w Hiszpanii. Planowaliśmy zatrzymać się w Barcelonie... ale to przecież nie po-

może w odnalezieniu Lonniego! Dlaczego zadaje mi pan te głupie pytania?

_ Próbuje po prostu ustalić wszystkie okoliczności, pani Freeman - wyjaśnił Farnham. Odruchowo obaj starali się mówić cichym, uspokajającym tonem. - Proszę opowiedzieć nam dokładnie, co się wydarzyło. Proszę powiedzieć to własnymi słowami.

- Dlaczego w Londynie tak trudno złapać taksówkę? - zapytała nieoczekiwanie.

Farnham kompletnie stracił głowę i nie wiedział, co na to odrzec, ale Yetter zareagował w taki sposób, jakby pytanie należało do tematu.

- Trudno powiedzieć. Częściowo za sprawą turystów. Mieli państwo kłopoty z dotarciem na Crouch End?

- Tak - odparła. - Wyszliśmy z hotelu do księgarni Hatchardsa. To na Haymarket, prawda?

- Blisko - zgodził się Yetter. - Wspaniała, ogromna księgarnia, prawda, kochanie?

- Jak wyszliśmy z hotelu, nie było najmniejszych kłopotów z taksówką. Stał ich cały sznur. Ale kiedy wychodziliśmy od Hatchardsa, nie było żadnej. W końcu jakaś się zatrzymała i Lonnie powiedział kierowcy, że chcemy dostać się na Crouch End, lecz on tylko roześmiał się nam w nos.

- Och, taksiarze, gdy chodzi o kursy na przedmieścia, potrafią być wyjątkowymi sukinkotami, jeśli wybaczy mi pani to określenie - wtrącił Farnham.

- Nie zgodził się nawet, gdy obiecaliśmy mu funta napiwku - poinformowała Doris Freeman, a w jej głosie rozległ się ton prawdziwie amerykańskiego zdumienia. - Czekaliśmy jeszcze blisko pół godziny, zanim trafiliśmy na taksówkarza, który zgodził się nas zabrać. Była mniej więcej siedemnasta trzydzieści, może za kwadrans szósta. I wtedy Lonnie stwierdził, że zgubił adres...

Ponownie chwyciła kubek z kawą.

- A do kogo państwo jechali? - zapytał Yetter.

- Do znajomego mego męża. Prawnik, nazywa się John Squales. Mój mąż wprowadził nigdy się z nim osobiście nie spotkał, ale ich firmy utrzymywały ze sobą... - wykonała nieokreślony ruch ręką.

- Kontakty?

- Tak, chyba tak. Kiedy pan Squales się dowiedział, że zamierzamy w czasie wakacji odwiedzić Londyn, zaprosił nas do siebie na kolację. Lonnie prowadził z nim korespondencję, ale adres miał zapisany na kartce, którą trzymał w biurze! Kiedy wsiedliśmy do taksówki, Lonnie spostrzegł, że zgubił gdzieś tę kartkę. Pamiętał tylko, że jego znajomy mieszka na

Crouch End. - Popatrzyła na nich poważnym wzrokiem. - Crouch End... paskudna nazwa⁵.

- I co wtedy państwo zrobili? - zapytał Yetter.

Zaczęła mówić. Kiedy skończyła, wypła prawie całą kawę, a policjant Yetter wypełnił kilkanaście kartek swego notatnika kwadratowym, rozwlekłym pismem.

Lonnie Freeman, potężnie zbudowany mężczyzna, który siedział przygarbiony w mrocznym wnętrzu czarnej taksówki i pochylał się do przodu tak, żeby móc rozmawiać z kierowcą, zdumiał Doris, kiedy ta ujrzała go po raz pierwszy podczas meczu koszykówki, gdy oboje byli na ostatnim roku studiów. Siedział na ławce zawodników, kolana miał prawie przy uszach, ogromne dłonie z grubymi nadgarstkami zwieszały mu się luźno między łydkami. Wtedy miał na sobie spodenki koszykarskie, a na szyi ręcznik. Teraz ubrany był w garnitur z krawatem. Nie grał w zbyt wielu meczach - pomyślała czule - ponieważ nie prezentował szczególnej klasy sportowej i nieustannie gubił adresy.

Taksjarsz z pobłażliwością wysłuchał historii o zgubionym adresie. Był to starszy mężczyzna ubrany w nieskazitelnie czysty, cienki letni garnitur i stanowił antytezę niechlujnych taksówkarzy z Nowego Jorku. Lekki zgrzyt stanowił jedynie kraciasty kaszkiet, jakkolwiek był całkiem akceptowalny; dodawał kierowcy sporo zawadiackiego uroku. Za oknami taksówki po Haymarket sunął nieprzerwany sznur pojazdów. Afisz na pobliskim teatrze zapowiadał przedstawienie "Duch w operze", które najwidoczniej zamierzano tam już zawsze wystawiać.

- Dobra, powiem coś panu, szefie - odezwał się taksjarsz. - Zawiozę was na Crouch End, zatrzymamy się pr. pierwszej budce telefonicznej i sprawdzisz pan w książce telefonicznej adres tego waszego znajomego. A wtedy odstawię was pod same drzwi.

- Cudownie - ucieszyła się szczerze Doris.

Byli w Londynie dopiero sześć dni, ale ona nie przypominała sobie miejsca, gdzie ludzie byliby tak uczynni, sympatyczni i cywilizowani jak w tym mieście.

- Dzięki - odparł Lonnie, rozpierając się w fotelu. Objął Doris i dodał z uśmiechem: - Widzisz? I już po kłopotcie.

- Ale nie dzięki tobie - zakpiła i lekko szturchnęła go w zębra.

- Co racja, to racja - przyznał taksjarsz. - No to dalej, na Crouch End!

Zbliżał się koniec sierpnia. Nieustanny, gorący wiatr toczył po ulicach śmieci i targał

⁵ * Crouch oznacza również chorobę zwaną dławiec (błonica krtani a end m.in. zgon, śmierć.

kurtkami mężczyzn i spódnicami kobiet wracających z pracy do domu. Słońce przygrzewało jeszcze mocno, ale gdy pojawiało się między budynkami, Doris widziała, że zaczyna już powoli nabierać czerwonej barwy. Taksówkarz nucił coś pod nosem. Doris odprężyła się w objęciach Lonniego. Przez ostatnie sześć dni miała męża dla siebie częściej niż normalnie w ciągu całego roku i z zadowoleniem stwierdziła, że bardzo jej się to podoba. Nigdy dotąd nie wyjeżdżała z Ameryki, toteż teraz nieustannie musiała sobie przypominać, że jest w Anglii, i że czeka ją jeszcze Barcelona.

Słońce skryło się właśnie za wysokie budynki, a ona prawie natychmiast straciła orientację. To ta jadąca przez Londyn taksówka - pomyślała. Miasto stanowiło istny labirynt, rozległe mrowisko pełne rozmaitych Road, Mew, Hill, Close (a nawet Inn) i zupełnie nie rozumiała, jak mieszkańcy miasta mogli się w nim nie gubić. Gdy dzień wcześniej podzieliła się tą refleksją z mężem, ten odparł, że wszyscy tutaj poruszają się bardzo ostrożnie... czy nie zauważyła, że w każdej taksówce pod tablicą rozdzielczą znajduje się umieszczony tam dyskretnie szczegółowy plan Londynu, London Streetfinder!

Była to najdłuższa jazda taksówką, jaką odbyli w życiu. Zostawili za sobą modne dzielnice (choć mieli nieodparte uczucie, że krążą w kółko). Minęli rejony zabudowane monolitycznymi, piętrzącymi się nad nimi budynkami, które sprawiały wrażenie całkowicie wymarłych (nie - poprawiła się później podczas rozmowy z Yetterem i Farnhamem w małym, pomalowanym na biało pokoju: widziała jakiegoś chłopczyka, który siedział na krawężniku i pstrykał zapalkami), następnie przebyli rejon niewielkich, raczej nędznych sklepików i straganów warzywno-owocowych, a potem nagle - nic dziwnego, że jazda przez Londyn mogła tak przybyszom zamieszać w głowie - znów znaleźli się w eleganckiej dzielnicy.

- Był tam nawet McDonald's - oświadczyła Yetterowi i Farnhamowi Doris tonem, jakim zazwyczaj mówi się o Sfinksie i Wiszących Ogrodach.

- Naprawdę? - zainteresował się Yetter ze stosownym zdziwieniem i szacunkiem.

Kobieta odzyskała już w dużym stopniu pamięć, a on chciał utrzymać ją w tym nastroju aż do chwili, kiedy powie im wszystko, co wie.

Zostawili za sobą elegancką dzielnicę, której serce stanowił McDonald's. Przez chwilę posuwali się okolicą zabudowaną niskimi domkami, gdzie spostrzegli, że wiszące nisko nad horyzontem słońce stanowi już wielką, pomarańczową kulę zalewającą ulice dziwnym światłem. W jego blasku wszyscy przechodnie wyglądali tak, jakby lada chwila mieli stanąć w płomieniach.

- I wtedy wszystko zaczęło się zmieniać - oświadczyła Doris.

Głos jej się załamał, dłonie ponownie zaczęły drżeć. Yetter pochylił się czujnie.

- Zmieniać? Jak? W jaki sposób wszystko zaczęło się zmieniać, pani Freeman?

Powiedziała, że mijali właśnie kiosk z gazetami, a na wywieszanej nad nim tablicy z najważniejszymi wiadomościami dostrzegli napis: SZEŚĆDZIESIĄT OSÓB ZAGINĘŁO PODCZAS HORRORU W METRZE.

- Lonnie, spójrz na to!

- Na co? - Odwrócił się, ale sklep z gazetami został już za nimi.

- Tam było napisane: "Sześćdziesiąt osób zginęło podczas horroru w metrze". Czy metro to to samo co kolej podziemna?

- Tak... potocznie rura. Czy to wykoleiły się wagony?

- Nie wiem. - Pochyliła się do szofera. - Panie kierowco, czy słyszał pan coś o tej katastrofie? Czy to kolizja w kolei podziemnej?

- Zderzenie, proszę pani. Ale nic więcej mi o tym nie wiadomo.

- Czy ma pan radio?

.- Mam, ale nie w samochodzie.

- Lonnie?

- Hmmm?

Lonnie jednak stracił już zainteresowanie wypadkiem. Znow przetrząsał kieszenie (a ponieważ był w trzyczęściowym garniturze, miał ich wiele do sprawdzenia), podejmując kolejną próbę odnalezienia kartki z adresem Johna Squalesa.

Doris ciągle miała w pamięci wypisaną kredą na tablicy ogłoszeniowej wiadomość. Powinno być: SZEŚĆDZIESIĄT OSÓB ZGINĘŁO PODCZAS HORRORU W RURZE; tak właśnie powinno być napisane. Ale... SZEŚĆDZIESIĄT OSÓB ZAGINĘŁO PODCZAS HORRORU W METRZE? Słowa te budziły w niej niepokój. Napis głosił "zginęło", tak jak w dawnych czasach mówiło się o marynarzach, którzy utonęli w morzu, a nie "zginęło".

HORROR W METRZE.

Bardzo się to jej nie podobało. Przywodziło na myśl cmentarze, kanały, białe, flakowate, odrażające stwory, które wyrają⁶ się nagle z tunelu metra, chwytają ramionami (zapewne są to macki) nieszczęsnych pasażerów stojących na peronach i wloką ich w mrok...

Skęcili w prawo. Na rogu stały zaparkowane trzy motocykle, a obok nich gawędzili trzej chłopcy w skórach. Spoglądali przez chwilę na taksówkę. Promienie zachodzącego słońca padały im na twarze pod takim kątem, iż wydawało się, że motocykliści nie mają ludzkich

⁶ Podejrzewam że ma być tu wyraz "wylaniają", ale tak jest umieszczone w oryginale, więc tego nie zmieniłem (przyp. skanującego)

głów. Przez ułamek sekundy Doris miała straszną pewność, że nad skórzanymi kurtkami, na karkach chłopaków siedzą smukłe głowy szczurów, które czarnymi oczyma śledzą przejeżdżające auto. W chwilę później światło zmieniło odrobinę kąt padania i Doris zrozumiała swój błąd. Przy motorach stało trzech młodych ludzi, paliło papierosy, a za plecami mieli angielski odpowiednik amerykańskiego sklepiku ze słodyczami.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył Lonnie, wskazując Palcem za okno.

Mijali właśnie tabliczkę z napisem "Crouch Hill Road". Otoczyły ich, niczym leciwe, czcigodne matrony, stare kamienice, spoglądające na nich z góry ślepyimi oczyma okien. Tu i ówdzie dostrzec było można śmigające na rowerach i hulajnogach dzieciaki. Jakaś dwójka próbowała bez powodzenia jeździć na deskorolkach. Przed domami siedzieli ojcowie, którzy wrócili już z pracy, kurzyli papierosy, gawędzili i obserwowali dzieciarnię. Widok był kojąco normalny.

Taksówka zatrzymała się przed posepnie wyglądającą restauracją z małym napisem na szybie: PROWADZIMY WYSZYNK. Pośrodku witryny widniał dużo większy napis informujący, że zakład prowadzi sprzedaż potraw z curry na wynos. Na wewnętrznej części werandy, za wielką taflą szkła drzemał gigantyczny, bury kot. Obok restauracji znajdowała się budka telefoniczna.

- Tutaj, szefie - poinformował kierowca taksówki. - Znajdź pan adres swego kumpla i natychmiast tam jedziemy.

- Doskonale - odparł Lonnie i wysiadł z samochodu. Doris rozsiadła się wygodnie w fotelu, ale po chwili i ona postanowiła rozprostować nogi. Na ulicy nieustannie wiał gorący wiatr. Owinął jej spódnicę wokół kolan, a następnie przykleił do łydki stare opakowanie po lodach. Z grymasem niesmaku odrzuciła papier. Kiedy uniosła głowę, ujrzała przed sobą za szybą wielkiego, burego kocura. Łypnął na nią nie-odgadnienie swym jedynym okiem. Połowę pyska miał obdartą ze skóry w jakiejś dawnej kociej bójce. Pozostała mu różowa-wa, pofałdowana blizna pokryta tkanką, zaćmione kataraktą ślepie i kilka kłaków futra. Zwierzę bezgłośnie miauknęło za szybą. Poczowała obrzydzenie. Podeszła do budki telefonicznej i zajrzała do środka przez jedną z brudnych szybek. Lonnie pokazał jej kółko utworzone z kciuka i palca wskazującego, a potem puścił perskie oko. Wrzucił do otworu automatu dziesięciopensówkę i zaczął z kimś rozmawiać. Roześmiał się, ale przez szybki do Doris nie dotarł dźwięk. Podobnie jak miauknięcie kota. Obejrzała się w stronę restauracji, lecz okno werandy było puste. W panującym wewnątrz półmroku dostrzegła stoliki z ustawionymi na nich do góry nogami krzesłami i jakiegoś starszego jegomościa, który zamiatiał podłogę. Gdy znów popatrzyła w stronę budki, zobaczyła, że Lonnie coś zapisuje. Następnie schował pióro, a w ręce trzymał kartkę.

Doris widziała zanotowany adres. Mąż powiedział do mikrofonu jeszcze kilka słów, odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki, pomachał triumfalnie kartką.

- W porządku, ma... - Popatrzył nad jej ramieniem i zmarszczył brwi. - Gdzie się podziała ta cholerna gablota?

Doris odwróciła się. Taksówka zniknęła. Krawężnik, przy którym stała, był pusty, a wiatr porywał leniwie z rynsztoka kilka papierów. Po przeciwnej stronie ulicy przystanęło objętych ramionami dwoje dzieci i chichotało. Doris spostrzegła, że jedno z nich ma zdeformowaną dłoń. Palce przypominały szpony. Błysnęło jej w głowie, że powinna się tym zająć opieka społeczna. Dzieci po drugiej stronie jezdni, widząc, że obserwuje je obca kobieta, ponownie padły sobie w objęcia i znów zachichotały.

- Nie wiem - powiedziała.

Czuła się zdezorientowana i trochę otumaniona. Upał, wiejący nieustannie monotony wiatr, światło prawie jak na malowidle...

- Która to była godzina? - zapytał nagle Farnham.

- Nie wiem - odparła Doris Freeman wystraszona naraz własną opowieścią. - Około szóstej. Może dwadzieścia po.

- Rozumiem, proszę mówić dalej - powiedział Farnham, wiedząc doskonale, że w sierpniu o tej godzinie słońce nie mogło jeszcze zachodzić.

Słońce chowało się za horyzont dopiero dobrze po siódmej.

- Co on zrobił? - zapytał Lonnie, ciągle się rozglądając. Zupełnie jakby się spodziewał, że jego złość sprawi, iż taksówka wróci. - Tak po prostu wziął i odjechał?

- Może, gdy dawałeś mi z budki znaki, pomyślał, że to jemu sygnalizujesz, że jest wolny - odrzekła Doris, podnosząc rękę i robiąc kółko z kciuka i wskazującego palca; dokładnie takie samo, jak zrobił to w budce Lonnie.

- Mógłbym machać i machać, skoro na liczniku miał nie zapłacone dwadzieścia pięć funtów - burknął Lonnie i podszedł do skraju chodnika. Po drugiej stronie jezdni dwójka dzieciaków wciąż chichotała. - Ej! - zawołał. - Dzieci!

- Pan jest Amerykaninem? - odkrzyknął chłopiec ze szponiastą dłonią.

- Tak - odrzekł z uśmiechem Lonnie. - Widzieliście tu taksówkę? Widzieliście, jak odjeżdżała?

Dwoje dzieci przez chwilę zastanawiało się nad pytaniem. Jedno z nich okazało się dziewczynką w wieku mniej więcej pięciu lat. Miała niechlujnie zaplecione, brązowe warkoczyki sterczące w przeciwne strony. Podeszła do krawężnika po swojej stronie ulicy, z uśmiechem przyłożyła dłonie do ust i nie przestając się uśmiechać, wrzasnęła:

- Spieprzaj, Joe! Lonniemu opadła szczeka.

- Proszę pana! Proszę pana! Proszę pana! - zaczął z kolei wydzierać się chłopak, salutując swą kaleką dłonią.

Po chwili oboje odwrócili się na pięcie i odbiegli. Zniknęli za najbliższym rogiem, zostawiając za sobą echo śmiechu.

Kompletnie oszołomiony Lonnie popatrzył na Doris.

- Podejrzewam, że niektóre dzieci z Crouch End nie przepadają za Amerykanami - powiedziała nieprzekonująco. Rozejrzała się nerwowo. Ulica była pusta.

- Cóż, dziecino, wygląda na to, że udamy się tam na piechotę - powiedział Lonnie, obejmując Doris ramieniem.

- Nie jestem pewna, czy mam na to ochotę. Te dzieciaki mogły pobiec po starszych braci.

- Roześmiała się, żeby pokazać, że miał to być wyłącznie żart.

Niemniej śmiech zabrzmiał nienaturalnie piskliwie.

Atmosfera wieczoru stawała się osobliwie surrealistyczna. Bardzo się to Doris nie podobało. Chciała już tylko wrócić do hotelu.

- Nie mamy większego wyboru - odparł. - Jakoś nie ciągną tą ulicą sznury taksówek.

- Lonnie, dlaczego ten taksówkarz nas tu zostawił? Sprawiał bardzo sympatyczne wrażenie.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Ale John dokładnie mi wytłumaczył, jak się dostać do jego domu. Mieszka na uliczce Brass End, która jest maleńkim, ślepym zaułkiem. Powiedział, że nie ma jej nawet na planie Londynu. - Rozmawiając, oddalali się od budki telefonicznej, restauracji, w której sprzedawano na wynos potrawy z curry, i od pustego obecnie krawężnika. Znów posuwali się w górę Crouch Hill Road. -

Musimy skręcić w prawo w Hillfield Avenue, w połowie tej ulicy w lewo, a następnie w pierwszą w prawo... a może w lewo? Nieważne, musimy skręcić w Petrie Street. Druga uliczka w lewo to Brass End.

- I ty to wszystko zapamiętałeś?

- Występuję jako główny świadek - odparł dziarsko i Doris się roześmiała. Lonnie zawsze potrafił rozładować napiętą atmosferę.

Na ścianie w korytarzu posterunku na Crouch End wisiał plan dzielnicy, znacznie bardziej szczegółowy od planów w London Streetfinder. Farnham zbliżył się do mapy i trzymając ręce w kieszeniach, zaczął ją z uwagą studiować. Na posterunku panowała cisza i spokój. Yetter jeszcze nie wrócił z przechadzki - Farnham miał nadzieję, że przeczyści sobie omroczone wiedźmami mózgi - a Raymond dawno już skończył z Pakistanką, której ukradziono

torebkę.

Farnham przyłożył palec do punktu, gdzie taksówkarz najprawdopodobniej zostawił swoich pasażerów (jeśli w ogóle można było wierzyć choć w jedno słowo tej Amerykanki). Droga do domu ich znajomego była prosta. Crouch Hill Road do Hillfield Avenue, następnie w lewo na Yickers Lane, skąd znów w lewo na Petrie Street, od której odchodziła Brass End. W zaułku tym stało nie więcej niż sześć czy osiem domów. Około półtora kilometra wędrówki. Na takim odcinku nawet Amerykanie nie powinni byli zabłądzić.

- Raymond! - zawołał. - Jesteś tam jeszcze? Pojawił się sierżant. Był już gotów do wyjścia i wkładał cienką, popelinową kurtkę.

- Jestem, ale już wychodzę, moja ty miłości bez brody.

- Daj spokój - odparł Farnham, ale się roześmiał.

Raymond trochę go przerażał. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego nawiedzoną gębę, żeby pojąć, że stoi trochę zbyt blisko płotu oddzielającego dobrego człowieka od łotra. Na jego twarzy, od lewego kącika ust prawie aż do grdyki, ciągnęła się wielka, gruba blizna. Raymond zaklinał się, że to robota złodzieja kieszonkowego, który kiedyś o mało nie poderżnął mu gardła butelką z utraconym denkiem. Zaklinał się też, iż dlatego właśnie łamie im palce. Zdaniem Farnhama jednak była to bzdura. Osobiście uważał, że Raymond łamie złodziejaszkom palce dlatego, że lubi szczęk pękających kości; zwłaszcza w kły. kciach.

- Masz fajkę? - zapytał Raymond. Farnham westchnął, podał mu papierosa, a kiedy sierżant go zapalał, spytał:

- Czy na Crouch Hill Road jest jakiś lokal, w którym serwują curry?

- O niczym takim nie słyszałem, moja ty największa miłości - odrzekł Raymond.

- Tak myślałem.

- Masz jakiś problem, kochanie?

- Nie - odparł Farnham trochę za ostro.

Pamiętał zlepięte włosy i wytrzeszczone oczy Doris Freeman.

Pod koniec Crouch Hill Road Doris i Lonnie Freemanowie skręcili w Hillfield Avenue, wzdłuż której ciągnęły się okazałe, miło wyglądające domy; jak muszelki - pomyślała - w których urządzono mieszkania i salony.

- Jak dotąd wszystko się zgadza - oświadczył Lonnie.

- Tak, wszystko się... - zaczęła i w tej samej chwili dotarł do nich cichy jęk,

Oboje przystanęli. Jęk dobiegł z prawej strony, z okolonego wysokim żywopłotem podwórka. Lonnie ruszył w tamtą stronę, ale żona chwyciła go za ramię.

- Lonnie, nie!

- Dlaczego nie? - zapytał. - Przecież tam ktoś jest ranny.

Targana strachem Doris ruszyła za mężem. Żywopłot był wysoki, ale cienki. Lonnie bez trudu rozgarnął krzaki, za którymi znajdował się niewielki, kwadratowy trawnik okolony kwiatami. Trawa była niezwykle zielona. Pośrodku zieleńca czerniała dymiąca plama - tak to w każdym razie wyglądało na pierwszy rzut oka. Kiedy Doris wychyliła się i zerknęła zza pleców Lonniego - mężczyzna był za wysoki, żeby mogła spojrzeć ponad jego ramieniem - zobaczyła, że jest to jama przypominająca kształtem człowieka. Z dołu unosiły się smużki dymu.

SZEŚĆDZIESIĄT OSÓB ZAGINĘŁO PODCZAS HORRORU W METRZE - pomyślała nieoczekiwanie.

Jęki dochodziły z jamy i Lonnie zaczął przedzierać się przez zarośla.

- Lonnie - powiedziała Doris. - Proszę, nie!

- Przecież tam ktoś jest ranny - powtórzył i z szelestem przedarł się przez chaszczę.

Obserwowała, jak zbliża się do dołu, ale krzaki wyprostowały się nagle, zasłaniając jej widok, i mogła jedynie patrzeć na niewyraźny zarys sylwetki męża podchodzącego do dziury w ziemi. Próbowwała przedrzeć się za nim, ale gałęzie krzaków były twarde i klujące, a ona miała na sobie cienką bluzkę z krótkimi rękawami.

- Lonnie! - zawołała nagle bardzo wystraszona. - Lonnie, wracaj!

- Za chwileczkę, kochanie!

Znad żywopłotu dom spoglądał na nią beznamiętnie oczyma okien.

Jęki nie ustawały, ale teraz były niższe, bardziej gardłowe, na swój sposób rozradowane. Czyż Lonnie tego nie słyszy?

- Ej, jest tam ktoś? - usłyszała wołanie Lonniego. - Czy ktoś... ej! Jezu!

Lonnie zaczął wrzeszczeć.

Nigdy dotąd nie słyszała, żeby Lonnie krzyczał, i teraz na dźwięk jego głosu zmiękły pod nią kolana. Rozejrzała się gorączkowo po żywopłocie, szukając w nim jakiejś wyrwy, ale przed sobą miała tylko zbitą ścianę zarośli. Przed oczyma zawirowały jej obrazy: motocykliści ze szczurzymi głowami, kot z mięsem zamiast pyska, chłopiec ze szponiastą dłonią.

Lonnie! - próbowała krzyknąć, ale z ust nie wydobył się jej żaden dźwięk.

Dobiegły ją odgłosy szamotaniny. Jęki ucichły, a ich miejsce zajęły jakieś lepkie, wilgotne, mlaszczące hałasy. I nagle przez gęste gałęzie porośnięte przykurzonymi liśćmi przeleciał Lonnie; zupełnie jakby ktoś popchnął go z przerażającą siłą. Lewy rękaw marynarki miał rozdarty, pokrywały go strużki czarnej substancji, dymiącej podobnie jak dziura w trawniku.

- Doris, uciekajmy!

- Lonnie, co...

- Uciekajmy! - Twarz miał białą jak twaróg. Doris rozejrzała się dziko za policjantem. Za kimkolwiek. Ale Hillfield Avenue stanowiła część jakiegoś ogromnego, wymarłego miasta. Kiedy znów spojrzała na żywoplot, dostrzegła, że coś się za nim rusza, coś, co było czarniejsze niż sama czerń. Mroczny kształt barwy hebanu stanowiący antytezę światła. To coś mlaskało.

W chwilę później zaczęły szeleścić gałęzie żywoplotu. Patrzyła na zarośla jak zahipnotyzowana. Mogłaby tak stać całą wieczność (oświadczyła to Yetterowi i Farnhamowi) i gdyby nie Lonnie, który chwycił ją brutalnie za ramię i wrzasnął na nią - właśnie tak, Lonnie, który nigdy nawet nie podniósł głosu na dzieci, ryknął na nią - to zapewne stałaby tam do teraz. Stała albo... Zaczęli uciekać.

Dokąd? - chciał wiedzieć Farnham, ale ona nie wiedziała. Wiedziała tylko, że Lonnie był kompletnie rozbity, w stanie histerycznej paniki... wiedziała tylko to. Zaciśnął palce na jej nadgarstku jak kajdanki i oddalali się pędem od górującego nad żywoplotem domu oraz dymiącej jamy w trawniku. Wiedziała tylko to. Resztę stanowił wyłącznie szereg mglistych impresji.

Początkowo biegło im się bardzo ciężko, później ucieczka stała się łatwiejsza, ponieważ ulica schodziła ze wzgórza. Skręcili. I jeszcze raz skręcili. Szare domy z wysokimi werandami i zamkniętymi zielonymi okiennicami gapiły się na nich niczym ślepi emeryci. Pamiętała, że Lonnie, nie zwalnając, ściągnął poplamioną czarną mazią marynarkę i odrzucił ją. W końcu dotarli do jakiejś szerszej ulicy.

- Zatrzymaj się - sapnęła. - Zatrzymaj się. Ja już nie mogę!

Wolną ręką dotknęła boku, który przeszywał jej ostry ból, jakby ktoś wbijał tam rozpaloną igłę.

Przystanęli. Wydostali się z terenów zabudowanych willami i stali na rogu Crouch Lane i Norris Road. Drogowskaz po drugiej stronie Norris Road mówił, że od Slaughter Town dzielą ich dwa kilometry.

- Town? - zasugerował Yetter.

- Nie - odparła Doris Freeman. - Slaughter Town; z "e" w środku.

Raymond zdusił papierosa, którego wyżebrał od Farnhama.

- Znikam - oznajmił, po czym obrzucił Farnhama baczynym spojrzeniem. - Moja kruszynka powinna bardziej o siebie dbać. Ma pod oczętami wielkie sińce. Czy nie rosną ci włosy na łapkach, dziecinko?

Wybuchnął gromkim śmiechem.

- Czy słyszałeś o ulicy Crouch Lane? - zapytał Farnham.

- Masz chyba na myśli Crouch Hill Road.

- Nie, mam na myśli Crouch Lane.

- Nigdy o takiej nie słyszałem.

- A o Norris Road?

- Odchodzi taka od High Street w Basingstoke...

- Nie, tutaj.

- Nie, tutaj, kruszynko, takiej ulicy nie ma. Z powodów, których nie rozumiał - kobieta musiała być na bańce - Farnham wypytywał dalej.

- A co powiesz o nazwie Slaughter Towner?

- Towner, mówisz? Nie Town?

- Tak, Towner.

- Nigdy o takim miejscu nie słyszałem, ale gdybym nawet słyszał, omijałbym je szerokim łukiem.

- Dlaczego?

- Ponieważ w prastarym języku druidzkim słowo "towner" lub "town" oznaczało miejsce składania rytualnych ofiar. Innymi słowy wrywano tam ludziom wątroby i ślepią.

Powiedziawszy to, Raymond zapiął kurtkę i wymknął się z posterunku.

Farnham popatrzył za nim z niepokojem. Zrobił sobie ze mnie jajo - powiedział w duchu. - Co taki twardy gliniarz jak Sid Raymond może wiedzieć o druidach, skoro zapomniał nawet jak idzie "Ojciec nasz".

Racja.

Ale choć zdobył ten strzęp informacji, nie zmieniało to wcale faktu, że tamta kobieta była...

- Chyba wariuję - oświadczył Lonnie i roześmiał się niepewnie.

Gdy Doris wcześniej spojrzała na zegarek, dochodziła za kwadrans ósma. Światło zmieniło się z czysto pomarańczowego na zawiesiście i mrocznie czerwone. Jego promienie odbijały się od witryn sklepów na Norris Road i widniejąca w perspektywie ulicy kościelna wieża sprawiała wrażenie zbryzganej krwią. Samo słońce przypominało stojącą nad horyzontem spłaszczoną kulę.

Dom na Maple Street

(The House on Maple Street)

Chociaż miała tylko pięć lat i była najmłodsza z czwórki dzieciaków Bradburych, Melissa miała bardzo bystry wzrok. Nic zatem dziwnego, że to ona pierwsza, gdy rodzina Bradburych wróciła z letnich wakacji w Anglii, zauważyła, że z domem na Maple Street stało się coś dziwnego.

Natychmiast pobiegła do swego starszego brata, Briana. Oświadczyła mu, iż na górze, na drugim piętrze, coś jest nie tak. Dodała, że mu to pokaże, ale jeśli przysięgnie, iż nikomu o tym nie powie. Wiedząc, że Lissa boi się ich ojczyma, Brian dał uroczyste słowo honoru; Tata Lew nie znoślił, gdy którekolwiek z dzieciaków Bradburych "wymyślało głupoty" (tak to zawsze nazywał), a znakomicie się orientował, iż największą smykałkę do tego przejawia właśnie Melissa. Lissa, która nie była ani głupia, ani ślepa, doskonale zdawała sobie sprawę z uprzedzeń Lewa i bardzo na niego uważała. Zresztą wszystkie dzieciaki Bradburych bardzo uważały na drugiego męża ich matki.

Zapewne nowina Lissy nie stanowiła żadnej rewelacji, ale Brian cieszył się z powrotu do domu i chciał sprawić przyjemność swej malutkiej siostrzyczce (był starszy od niej o całe dwa lata). W każdym razie w tej chwili, burcząc tylko coś pod nosem i tylko raz pociągając ją złośliwie za warkoczyki, które nazwał kiedyś "hamulcami bezpieczeństwa", poszedł z Lissą na korytarz na drugim piętrze.

Na palcach minęli drzwi gabinetu Lewa - gabinet był jak dotąd jedynym wykończonym pokojem w domu - gdyż ojczym, mrużąc coś gniewnie, wyciągał z bagaży swoje notatniki i papiery. Kiedy dzieci dotarły do końca korytarza, Brian zastanawiał się właśnie nad tym, co pokażą wieczorem w telewizji. Wyczekiwał niecierpliwie chwili, gdy zasiądzie wreszcie przed telewizorem, aby do woli naoglądać się programów na dobrej, starej amerykańskiej kablówce, ponieważ przez ostatnie trzy miesiące skazany był jedynie na BBC i ITV.

Gdy jednak spojrzął przez ramię swej małej siostrzyczki na to, co mu wskazała palcem, z głowy Briana Bradbury'ego w jednej chwili wywietrzała wszelka myśl o telewizji.

- A teraz przysięgnij jeszcze raz - szepnęła Melissa. - Niech umrę, jeśli komuś o tym powiem, czy to Tacie Lewowi czy komukolwiek.

- Niech umrę - odparł Brian, wytrzeszczając oczy.

Działo się to pół godziny wcześniej, niż powiedział o tym swej starszej siostrze, Laurie, która rozpakowywała się w swoim pokoju.

Laurie, jak każda jedenastolatka, była szalenie zazdrosna o swój pokój i robiła Brianowi piekielne awantury, ilekroć wchodził do niej bez pukania; nawet jeśli była kompletnie ubrana.

- Przepraszam - oświadczył Brian. - Muszę ci coś pokazać. To bardzo dziwne.

- Co i gdzie? - zapytała, wkładając obojętnie ubrania do szuflad, zupełnie jakby niewiele ją obchodziło to, co mały, głupkowaty siedmiolatek ma jej do pokazania.

Zupełnie jakby w ogóle nie miał jej nic ciekawego do pokazania.

Ale Brian wiedział dobrze, kiedy jego siostra udaje, a kiedy nie. Widział, że tym razem jest naprawdę bardzo zaintrygowana.

- Na górze. Na drugim piętrze. Na końcu korytarza, za gabinetem Taty Lewa.

Laurie zmarszczyła nos jak zawsze, kiedy Brian lub Lissa mówili tak o ojczymie. Ona i Trent pamiętali prawdziwego ojca i wcale się im nowy nie podobał. Mówili na niego po prostu Lew. A to z kolei najwyraźniej bardzo nie podobało sir Lewowi Evansowi. Tak naprawdę uważał za impertynencję to, że Laurie i Trent tak właśnie zwracają się do człowieka, z którym aktualnie (hmmm!) sypia ich matka.

- Nie chce mi się tam iść - stwierdziła Laurie. - Odkąd wróciliśmy do domu, jest w parszywym nastroju. Trent twierdzi że tać będzie aż do chwili, gdy zacznie się szkoła i Lew wpadnie w stare koleiny.

Drzwi do jego gabinetu są zamknięte, a my pójdziemy na palcach. Nawet się nie domyśla, że Lissa i ja byli w korytarzu na drugim piętrze. __ Byliśmy - poprawiła chłopca starsza siostra.

- Zgoda. Byliśmy. Ale przecież nic nam nie grozi. Drzwi są zamknięte, a on jak zwykle gada do siebie.

- Nie cierpię, kiedy to robi - stwierdziła ponuro Laurie - Nasz prawdziwy ojciec nigdy do siebie nie gadał i nie zamykał się na klucz w swoim pokoju.

- Cóż, nie sądzę, żeby zamknął się na klucz - odparł Brian - ale jeśli się boisz, że akurat wyjdzie z gabinetu, kiedy tam będziemy, to weź pustą walizkę i w razie czego powiemy, że musimy odstawić ją do szafy, w której trzymamy wszystkie inne.

- A cóż to zobaczyliście za cudo? - zapytała Laurie, biorąc się pod boki.

- Pokażę ci - powiedział żarliwie Brian - ale musisz przysiąc na imię mamy i na własną śmierć, że nikomu nie powiesz.... - Urwał, pomyślał chwilę i dodał: - A już na pewno nie wspominaj o tym Lissie, ponieważ złożyłem jej przysięgę.

Laurie nastawiła uszu. Rewelacje Briana zapewne okażą się wielkim nic, ale miała już serdecznie dosyć układania ubrań w szufladach. Zdumiewało ją, ile ciuchów mogło zebrać się zaledwie przez trzy miesiące.

- W porządku, przysięgam.

Zabrali ze sobą dwie puste walizki, jedną Laurie, a drugą Brian, lecz ostrożność okazała się zbędna. Ojczym nie wyjrzał z gabinetu, a sądząc po dochodzących zza zamkniętych drzwi odgłosach, był rozsierdzony i w podłym nastroju. Dzieci słyszały jego ciężkie kroki, mamrotanie, stukot otwieranych i zamykanych szuflad. Spod drzwi dobywał się też znajomy zapach, który Laurie przypominał zawsze smród tłących się skarpet lekkoatlety. Lew palił fajkę.

Laurie, gdy mijali drzwi gabinetu, wysunęła koniuszek języka- spuściła oczy i pocierała ucho.

W chwilę później, kiedy popatrzyła na miejsce, które Liss pokazała Brianowi, a teraz on pokazał jej, Lew kompletni! wywietrzył jej z głowy; podobnie jak Brianowi cudowne rzeczy w telewizji, które miał obejrzeć wieczorem.

- Co to jest? - zapytała szeptem. - Boziu, co to znaczy?

- Nie wiem - odparł Brian. - Ale pamiętaj, że przysięgałaś, Laurie, na imię mamy.

- Tak, tak, ale...

- Przysięgnij jeszcze raz! - upierał się Brian, któremu bardzo nie spodobał się wyraz jej oczu.

Był to wzrok, który mówił sam za siebie, i chłopiec doszedł do wniosku, że powinien się jeszcze raz upewnić.

- Dobrze, dobrze, przysięgam na imię mamy - mruknęła niedbale Laurie. - Zadowolony? Ale, Brian, to...

- "Niech umrę", nie zapomnij o tej części.

- Och, Brian, czy musisz być taki dokładnicki!

- Nieważne. Powiedz: "Niech umrę".

- Niech umrę, niech umrę, w porządku? - odparła Laurie. - Bri, dlaczego musisz być zawsze tak dokładnicki?

- Nie wiem - odparł z uśmiechem, którego nienawidziła. - Ale jestem zadowolony.

Mogłaby go udusić... ale przysięga była przysięgą, zwłaszcza złożona na życie własnej matki, i Laurie wytrzymała godzinę, zanim poszła do Trenta. Wymogła na nim przysięgę, że nikomu nie powie, a jej pewność, że słowa dotrzyma, była całkiem uzasadniona. Trent liczył sobie prawie czternaście lat i jako najstarszy nie miał już komu dalej przekazać wieści... chyba że dorosłym. A skoro ich matka dostała migreny i poszła do łóżka, pozostał jedynie Lew. A to już było tak, jakby nie miał komu wypaplać sekretu.

Dwójka najstarszych dzieci Bradburych nie musiała tym razem dla kamuflażu dźwigać

pustych walizek. Ojczym był na dole i słuchał nagranych na wideo wykładów jakiegoś Brytyjczyka na temat Normanów i Anglosasów (na uczelni Lew specjalizował się w Normanach i Anglosasach), zjadając przy tym swoją ulubioną popołudniową przekąskę: kanapkę z ketchupem, którą popijał szklanką mleka.

Trent zatrzymał się przy końcu korytarza i popatrzył na to, co poprzednio widziała reszta jego rodzeństwa. Stał tak bardzo długo.

- Co to takiego, Trent? - zapytała w końcu Laurie.

Nie wpadło jej nawet na myśl, że Trent może nie wiedzieć. Trent wiedział wszystko. Popatrzyła więc na brata z niedowierzaniem, kiedy ten powoli pokręcił głową.

— Nie wiem - powiedział, zaglądając do pęknięcia. - Chyba jakiś metal. Przydałaby się latarka. - Wsunął rękę do szczeliny i popukał palcem, a Laurie na ten widok ogarnął niepokój, toteż dziewczynka poczuła wielką ulgę, kiedy Trent wyciągnął wreszcie palec ze szpary. - Tak, to jest metal.

- Ale czy powinien tam być? - dociekała Laurie. - To znaczy, czy był tam wcześniej?

— Nie - odrzekł Trent. - Pamiętam, jak zmieniali w ścianach płyty gipsowe. Tuż po tym, kiedy mama za niego wyszła. Poza drewnianymi listwami nic nie było.

- Jakimi listwami?

- Takie wąskie deski - wyjaśnił Trent. - Biegną między płytami gipsowymi a zewnętrzną ścianą domu. - Trent wyciągnął rękę, wsunął ją w pęknięcie i jeszcze raz dotknął matowobiałego metalu. Szpara w najgrubszym miejscu miała około dziesięciu centymetrów długości i około dwóch i pół centymetra szerokości. - Założyli też izolację - dodał, w zamyśleniu zmarszczył czoło, po czym wsunął rękę do tylnych kieszeni spranych dżinsów. - Pamiętam. Takie różowe kulki przypominające pańską skórę.

- Więc gdzie się podziała ta izolacja? Nie widzę w środku nic różowego.

- Ja też nie widzę - odparł Trent. - Ale przecież włożono tam izolację. Pamiętam. - Badał wzrokiem dziesięciocentymetrowej długości pęknięcie. - Ten metal w ścianie to coś nowego. Ciekaw jestem, ile go tam jest i jak daleko się ciągnie. Czy tylko tu, na drugim piętrze, czy też...

- Co: czy też? - Laurie popatrzyła na niego okrągłymi ze zdumienia oczyma. Zaczynał ogarniać ją strach.

- Czy też rozciąga się we wszystkich ścianach domu - dokończył zamyślonym głosem Trent.

Nazajutrz po południu, po szkole, Trent zwołał zebranie Pozostałej trójki młodych Bradburych. Zaczęło się trochę nieprzyjemnie, ponieważ Lissa oskarżyła Briana o złamanie jak to określiła, "twojej uroczystej przysięgi", a mocno zmieszany Brian oskarżył Laurie, że ta,

mówiąc o wszystkim Tren-towi, naraziła na niebezpieczeństwo duszę matki. Jakkolwiek niezupełnie wiedział, co to takiego ta dusza (Bradbury'owie należeli do unitarian), był święcie przekonany, że Laurie skazała matkę na piekło.

- No cóż, Brian - odezwała się Laurie - będziesz musiał wziąć trochę winy na siebie. Chodzi mi o to, że to ty wplątałeś w to imię matki. Powinieneś kazać mi przysiąc na imię Lewa. On spokojnie może iść do piekła.

Lissa, która była malutka i prostoduszna, nie chciała nikogo posyłać do piekła, więc temat, na jaki zesłała rozmowa, sprawił, że zaczęła płakać.

- Cicho bądźcie - zarządził Trent i tak długo tulił do siebie Lissę, aż ta się uspokoiła. - Co się stało, to się nie odstanie, ale uważam, że sprawa przybrała najlepszy obrót.

- Naprawdę tak uważasz? - zapytał Brian.

Kiedy Trent twierdzi, że wszystko jest w porządku, Brian walczyłby za brata do upadłego i nie śmiałyby podważać jego opinii, ale przecież Laurie przysięgła na imię mamy.

- Coś tak dziwnego jak to należy dokładnie zbadać, ale jeśli będziecie się kłócić, co jest słuszne, a co nie, nigdy tego nie zrobimy.

Trent popatrzył znacząco na ścienny zegar wiszący w jego pokoju, gdzie wszyscy się zgromadzili. Było dwadzieścia po trzeciej. Nie musiał nic mówić. Tego ranka ich matka przygotowała Lewowi śniadanie - dwa jajka na miękko, grzanka. z żytniego chleba i marmolada stanowiły jego tradycyjny poranny posiłek - po czym wróciła do łóżka, w którym już pozostała. Cierpiała na straszliwe migreny i czasami spędzała w łóżku dwa lub trzy dni pod rząd, skarżąc się na swój bezbronny, oszołomiony mózg (miała często kompletny zamęt w głowie). Później dolegliwości mijały na miesiąc.

Nie miała zwyczaju odwiedzać dzieci, gdy były na drugim piętrze, i sprawdzać, co robią, ale "Tata Lew"... o, to całkiem inna para kaloszy. W swym gabinecie znajdującym się tuż obok owej osobliwej szczeliny na pewno zwróciłby na nie uwagę i zainteresowałby się ich poczynaniami. Tak zatem badanie ściany należało przeprowadzić pod jego nieobecność. I tego też względu Trent tak znacząco popatrzył na zegar.

Rodzina wróciła do Stanów na dziesięć dni przed rozpoczęciem zajęć na uczelni i Lew nie mógł już wytrzymać bez uniwersytetu. Zawsze ilekroć oddalał się od niego na odległość większą niż dwadzieścia kilometrów, czuł się jak wyjęta z wody ryba. Tego dnia wyszedł z domu wczesnym popołudniem, niosąc w ręku teczkę, w której miał cały plik notatek i papierów zgromadzonych w różnych interesujących pod względem historycznym miejscach w Anglii. Oświadczył, iż uporządkuje te dokumenty i włączy do archiwum, ale Trent był najgłębiej przekonany, że tylko wepchnie je do jednej z szuflad biurka w swoim gabinecie, a następnie

uda się do klubu na Wydziale Historii na kawę i plotki z kumplami... Chociaż Trent odkrył, iż jeśli ktoś jest wykładowcą na uniwersytecie i ma "kumpli", inni mają go za głupka. To są "koledzy". Tak więc Lew wyszedł i to było dobre, ale teraz, w każdej chwili dzielącej ich od godziny siedemnastej, mógł pojawić się w domu, a to już by było niedobre. Niemniej ciągle pozostawało im trochę czasu i Trent był zdecydowany przerwać sprzeczkę, kto na kogo przysięgał.

- Posłuchajcie - powiedział i z zadowoleniem stwierdził, że naprawdę go słuchają, zapominając w obliczu podniecającego śledztwa o animozjach i wzajemnym obwinianiu się. Ogromne wrażenie wywarł również na nich fakt, że Trent nie potrafił wytłumaczyć, czym jest to, co pokazała mu Laurie. Cała trójka dzieliła, przynajmniej do pewnego stopnia, prostą wiarę Briana w Trenta. Jeśli Trent jest czymś zaskoczony, jeśli Trent uważa, że coś jest dziwne, a na dodatek sam jest zdumiony, to oni uważali dokładnie tak samo.

- Trent, powiedz nam, co mamy robić - odezwała się w imieniu całej trójki Laurie. - Po prostu nam powiedz.

- W porządku - odparł Trent. - Potrzebujemy kilku rzeczy. Zacerpnął tchu i zaczął je wyliczać.

Kiedy już zebrawali się przy pęknięciu w ścianie na końcu korytarza na drugim piętrze, Trent podniósł Lisę, żeby i ona mogła zajrzeć do środka. Dziecko przyświecało sobie latarką matki, która używała jej zaglądając im do uszu, oczu i nosów kiedy któreś z nich zachorowało. Wszyscy widzieli metal. Nie błyszczał na tyle, żeby odbijać światło, ale lśnił matowym jedwabistym blaskiem. "Stal - zdecydował Trent. - Stal albo jakiś inny stop".

- Co to takiego stop? - zainteresował się Brian.

Trent potrząsnął głową. Sam dobrze nie wiedział, czym jest stop. Odwrócił się do Laurie i poprosił, żeby podała mu świderek.

Brian i Lissa wymienili niespokojne spojrzenia, gdy Laurie przekazywała bratu narzędzie. Pochodziło z mieszczącego się w piwnicy warsztatu, który był ostatnim miejscem w domu, gdzie jeszcze niepodzielnie panował duch ich ojca. Tata Lew, od czasu gdy poślubił Catherine Bradbury, pojawił się tam najwyżej ze dwanaście razy. Młodsze dzieci wiedziały o tym równie dobrze jak Trent i Laurie, więc nie obawiały się, że Tata Lew zauważy zniknięcie ręcznej wiertarki. Bały się tylko tego, że dostrzeże dziury w ścianie w pobliżu swego gabinetu. Choć żadne z nich nie wyraziło swych obaw na głos, to jednak Trent wyczytał je w ich twarzach.

- Popatrzcie - powiedział, odbierając od siostry wiertarkę. - To nazywa się wiertłem

nakłuwającym. Widzicie, jakie jest cieniutkie? A ponieważ zamierzamy wiercić tylko pod obrazkami, nie sądzę, żebyśmy musieli się czegokolwiek obawiać.

Na ścianie korytarza na drugim piętrze wisiał z tuzin oprawionych w ramki reprodukcji. Połowa znajdowała się już po drugiej stronie gabinetu, w pobliżu szafy, w której trzymano puste walizki. Większość rycin stanowiły bardzo stare (i przeważnie mało interesujące) widoczki Titusville, miasteczka, gdzie mieszkali Bradbury'owie.

- Nigdy nawet na nie nie spojrzysz, nie mówiąc już o zaglądaniu pod spód - zgodziła się Laurie.

Brian dotknął palcem czubka wiertła i skinął głową. Obserwująca go Lissa również dotknęła ostrza i również skinęła głową. Jeśli Laurie twierdzi, że wszystko jest w porządku, to zapewne jest w porządku. Jeśli to samo powiedział Trent, prawie na pewno jest w porządku. Jeśli stwierdzili to oboje, nie było najmniejszych wątpliwości.

Laurie zdjęła ze ściany obrazek wiszący najbliżej szczeliny i przekazała go Brianowi. Trent zaczął borować, a pozostała trójka rodzeństwa obserwowała, otaczając brata ciasnym pierścieniem, jak zawodnicy pola dodający otuchy i odwagi miotaczowi w szczególnie ważnym momencie meczu baseballowego.

Wiertło łatwo weszło w ścianę, a dziurka była dokładnie tak maleńka, jak obiecywał Trent. Ciemniejszy kwadrat na spłowiałej tapecie w miejscu, gdzie wisiał obrazek, także budził otuchę. Oznaczał, że od bardzo dawna nikt nie potrudził się nawet, żeby zdjąć rycinę przedstawiającą budynek biblioteki publicznej w Titusville i wytrzeć pod nią kurz.

Po dwunastym przekręceniu rączki wiertarki Trent przestał borować i kręcąc korbką w przeciwną stronę, wyjął wiertło ze ściany.

- Dlaczego przestałeś? - zapytał Brian.

- Trafiłem na coś twardego.

- Metal? - chciała wiedzieć Lissa.

- Tak sądzę. Na pewno nie jest to drewno. Zobaczmy. - Zaświecił latarką, wyciągnął szyję, przez chwilę wykręcał głowę w różne strony, próbując dostrzec cokolwiek w dziurce, aż w końcu zdecydowanie potrząsnął czupryną. - Mam za dużą głowę. Dajcie tu Lissę.

Laurie i Trent podnieśli siostrzyczkę, a Brian wręczył jej latarkę-ołówek. Lissa przez chwilę zaglądała w maleńki otworek.

- To samo, co w pęknięciu, które odkryłam - oznajmiła.

- W porządku - powiedział Trent. - Następny obrazek.

W drugim otworze wiertło też natrafiło na metal podobnie w trzecim. W czwartym - tuż obok drzwi do gabinetu Lewa - weszło całe i Trent musiał je w końcu wyciągnąć. Tym razem,

kiedy podnieśli Lissę, dziewczynka dostrzegła w środku "coś różowego".

- Taaa, izolacja - stwierdził Trent, zwracając się do Laurie. - Mówiłem ci o niej. Spróbujmy po drugiej stronie korytarza.

We wschodniej ścianie przedpokoju musieli wywiercić dziurki aż pod czterema obrazkami, zanim wiertło trafiło na drewnianą listwę i różową substancję... i wtedy właśnie dotarł do nich chrapliwy warkot skręcającego w podjazd przed do-starego porsche Lewa.

Brian, do którego należało odwieszanie obrazków - do haczyka mógł sięgnąć tylko wspinając się na palce - wypuścił z rąk rycinę, ale Laurie złapała ją za ramkę w chwili kiedy oprawiony obrazek miał już wyrznąć o podłogę. Dziewczynka zaczęła tak okropnie dygotać, że musiała natychmiast przekazać obrazek Trentowi, ponieważ sama by go nie utrzymała.

- Ty zawieś - powiedziała, zwracając pobladałą twarz w stronę starszego brata. - Na samą myśl o tym, co robię, mogłabym potłuc ten obrazek. Naprawdę go upuszczę.

Trent odwiesił na miejsce widoczek przedstawiający jadący przez City Park powóz konny i natychmiast zauważył, że powiesił go odrobinę krzywo. Wyciągnął rękę, żeby to poprawić, ale nie dotknąwszy nawet ramki, cofnął dłoń. Siostry i brat uważali go wprawdzie za boga, lecz Trent był wystarczająco rozbawiony, by wiedzieć, że jest tylko dzieckiem. Ale nawet dziecko - choćby to było dziecko z połową mózgu - wie, że kiedy sprawy zaczynają układać się źle, najlepiej zostawić je własnemu biegowi! Gdyby coś jeszcze sknocił, obrazek z całą pewnością spadłby na podłogę i się potłukł.

- Uciekajcie! - szepnął. - Wracajcie na dół! Do pokoju telewizyjnego! Na dole trzasnęły drzwi i do domu wkroczył Lew.

- Ale on wisi krzywo! - zaprotestowała Lissa. - Trent, nie można...

- Nieważne! - przerwała jej Laurie. - Róbcie, co mówi Trent!

Laurie i Trent popatrzyli na siebie szeroko rozwartymi oczyma. Jeśli Lew poszedł do kuchni przegryźć coś przed kolacją, to wszystko w porządku. Jeśli nie, spotka na schodach Lissę i Briana. Jeden rzut oka powie mu, że coś się dzieje. Dwójka młodszych Bradburych potrafiła utrzymać język za zębami, ale mieli wszystko wypisane na twarzach.

Brian i Lisa szybko zbiegli po schodach.

Trent i Laurie szli wolno i nadśluchiwali. Nastąpiła dramatyczna chwila, kiedy słychać było tylko ich kroki na schodach, a ciszę przerwał dobiegający z kuchni wrzask Lewa:

- NIE MOŻECIE ZACHOWYWAĆ SIĘ CISZEJ? WASZA MATKA ŚPI!

Jeśli twój krzyk jej nie obudzi - pomyślała Laurie - to nic jej nie obudzi.

Tego samego dnia, późnym wieczorem, kiedy Trent już zasypiał, wślizgnęła się do jego pokoju Laurie i usiadła na łóżku obok brata.

- Nie lubisz go, ale to jeszcze nie wszystko - stwierdziła.

- Koo-goo? - burknął Trent, ostrożnie otwierając oczy. - Lewa - wyjaśniła cicho. - Przecież wiesz, o kim mówię, Trent.

- Tak - stwierdził. - Masz rację. Nie lubię go.

- A na dodatek się go boisz, prawda?

Po dłuższej chwili milczenia Trent powiedział:

- Tak, trochę.

- Tylko trochę?

- Może trochę więcej niż trochę - przyznał.

Puścił do siostry oko, mając nadzieję, że ją tym roześmiesz, ale Laurie spoglądała nań poważnie i Trent dał za wygraną. Nie była w nastroju do żartów; w każdym razie nie tego wieczoru.

- Dlaczego? Czy myślisz, że mógłby nas skrzywdzić?

Lew często krzyczał, ale nigdy nie podniósł na nich ręki. Nie - uświadomiła sobie nagle Laurie. - Nie, to nieprawda. Kiedyś, gdy Brian wszedł do gabinetu ojczyma bez pukania, Lew przetrzepał mu tyłek. Przetrzepał tęgo. Brian starał się powstrzymywać łzy, ale w końcu wybuchnął płaczem. Mama też płakała, lecz nie próbowała powstrzymywać Lewa. Później jednak musiała mu coś na ten temat powiedzieć, bo Laurie słyszała, że Lew na nią krzyczy.

Było to normalne lanie, a nie zwykle skarcenie dziecka. Z drugiej strony Brian, jeśli tak sobie umyślił, potrafił być naprawdę nieznośny.

Czy tak właśnie umyślił sobie tamtego wieczoru? Laurie dopiero teraz zaczęła się nad tym zastanawiać. A może Lew przetrzepał jej bratu tyłek za jakiś inny dziecięcy figiel? Nie wiedziała i nagle naszła ją nieprzyjemna myśl, że Piotruś Pan nuał rację, nie chcąc nigdy zostać dorosłym. Nie była pewna, czy sama tego chce. Wiedziała jedno: wiedziała, kto w tym domu naprawdę jest nieznośny.

Przypomniała sobie, że Trent nie odpowiedział na jej pytanie i dała starszemu bratu szturchańca.

- Mowę ci odebrało? /

- Właśnie myślę - odparł. - To nie takie proste, prawda?

- Prawda, nieproste - przyznała poważnie. - Wiem. Dała mu czas do namysłu.

- Ba! - powiedział w końcu, zakładając za głowę splecione dłonie. - Nie sądzę, Szprotko. - Nie znosiła, jak tak do niej mówił, ale tego wieczoru postanowiła nie reagować. Nie przypominała sobie, żeby Trent kiedykolwiek tak poważnie z nią rozmawiał. - Nie sądzę, żeby wyrządził nam krzywdę... ale może to zrobić. - Oparł się z kolei na łokciu i popatrzył na Laurie

jeszcze poważniej. - Myślę jednak, że krzywdzi mamę, i wydaje mi się, że z każdym dniem jest gorzej.

- A jej jest przykro, prawda? - Dziewczyńce zachciało się nagle płakać. Dlaczego dorośli są czasami tak głupi i nie dostrzegają rzeczy oczywistych nawet dla dzieci? Aż ma się ochotę ich kopnąć. - Przede wszystkim wcale nie chciała jechać do Anglii... poza tym sposób, w jaki czasem na nią krzyczy...

- I nie zapominaj o bólach głowy - wtrącił bezbarwnym tonem Trent. - Tych, o których on mówi, że mama w siebie wmawia. Tak, jest jej przykro, zgadza się.

- Czy kiedyś... no, wiesz...

- Czy się z nim rozwiedzie?

- Tak - odparła z ulgą.

Nie była pewna, czy zdoła wykrztusić z siebie to słowo. Z drugiej jednak strony na tyle kochała matkę, że mogła zadawać sobie to pytanie.

- Nie - odparł Trent. - Nie mama.

- A więc nic nie możemy zrobić - powiedziała Laurie i westchnęła.

- Naprawdę? - odparł Trent tak cicho, że z najwyższym trudem go dosłyszała.

Przez następne półtora tygodnia wywiercili wiele dziurek w miejscach, gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć: pod plakatami wiszącymi w ich pokojach, za lodówką w spiżarni (wcisnął się tam z wiertarką Brian), w ściennych szafach na parterze. Trent wyborował nawet otwór w jadalni, wysoko, w mrocznym kącie, dokąd nigdy nie docierało pełne światło. Zrobił to z drabinki malarskiej, którą przytrzymała Laurie.

Ale nigdzie na metal nie natrafili.

I dzieci chwilowo o całej sprawie zapomniały.

Pewnego dnia, mniej więcej w miesiąc po tym, jak Lew zaczął pracować w pełnym wymiarze godzin, do Trenta przyszedł Brian i powiadomił brata, że na drugim piętrze pojawiło się w ścianie kolejne pęknięcie, a w środku znów jest metal. Trent i Lissa natychmiast tam się udali. Laurie nie wróciła jeszcze ze szkoły, bo miała próbę orkiestry.

Ich matka, podobnie jak wtedy, gdy natknęli się na pierwszą szparę, cierpiała na ból głowy. Humor Lewa, od kiedy rozpoczęły się zajęcia na uczelni, wyraźnie się poprawił (dokładnie jak przewidywali Trent i Laurie), lecz poprzedniego wieczoru zrobił matce piekielną awanturę. Chodziło o przyjęcie, jakie zamierzał wydać dla swoich kolegów z Wydziału Historycznego. Jeśli istniało coś, czego dawna pani Bradbury najserdeczniej nie znosiła i czego najbardziej się bała, to była to rola gospodyni na tego rodzaju bankietach. Ale Lew się uparł, a ona musiała w końcu ustąpić. Teraz leżała w zaciemnionym pokoju z

wilgotnym ręcznikiem na oczach i z butelką Fiorinalu na nocnym stoliku, a Lew zapewne, klepiąc kolegów po plecach, rozdawał im zaproszenia w wydzielonej świetlicy.

Nowa szczelina pojawiła się po zachodniej stronie korytarza, między drzwiami do gabinetu a schodami.

- Czy jesteś pewien, że widziałeś metal? - zapytał Trent. - Przecież już sprawdzaliśmy tę stronę, Bri.

- Sam zobacz - odparł Brian i Trent to sprawdził.

Nie potrzebował nawet latarki. Ta szczelina była szersza i połyskiwał w niej metal.

Po długich oględzinach Trent oświadczył rodzeństwu, że musi natychmiast iść do sklepu z artykułami gospodarczymi.

- Po co? - zapytała Lissa.

- Kupić trochę gipsu. Nie chcę, żeby Lew zauważył to pęknięcie... - Zawahał się, a po chwili dodał: - Nie chcę zwłaszcza, żeby zobaczył, że pod spodem jest metal.

Lissa zmarszczyła czoło.

— Dlaczego, Trent?

Ale Trent sam dobrze nie wiedział dlaczego. W każdym razie jeszcze nie wtedy.

Znów rozpoczęli wiercenie i tym razem natrafili na metal we wszystkich ścianach na drugim piętrze, łącznie ze ścianami gabinetu Lewa. Trent zakradł się tam pewnego popołudnia gdy ojczym był na uczelni, a matka wyszła zrobić zakupy na przyjęcie.

Dawna pani Bradbury była w ostatnich dniach blada i wyczerpana - zauważyła to nawet Lissa - ale ilekroć któreś z dzieci pytało ją, czy dobrze się czuje, jej twarz rozjaśniał wprawiający w zmieszanie, przesadnie promienny uśmiech, a matka, rumieniąc się, odpowiadała, że nigdy jeszcze nie czuła się lepiej. Laurie, która potrafiła być bardzo szczerą, oświadczyła matce, że wygląda wyjątkowo mizernie i jest stanowczo za chuda. "Och, wręcz przeciwnie - odparła Catherine. - Lew twierdzi, że w Londynie zamieniłam się w kulkę; to przez te wszystkie popołudniowe herbatki z ciastem. Teraz chcę po prostu odzyskać dawną figurę, to wszystko".

Laurie wiedziała swoje, ale nawet ona nie śmiała oświadczyć matce prosto w oczy, że kłamie. Gdyby poszli do niej całą czwórką i postawili sprawę otwarcie, matka wyznałaby im całą prawdę. Lecz tego nie myślał proponować nawet Trent.

Nad biurkiem w gabinecie Lewa wisiał oprawiony w ramkę jeden z uniwersyteckich dyplomów. Kiedy reszta dzieci, chociaż ze strachu robiło im się niedobrze, tłoczyła się pod drzwiami, Trent zdjął z gwoźdźca dyplom i wywiercił w ścianie małą dziurkę. Na głębokości pięciu centymetrów wiertło trafiło na metal.

Trent, zważając na to, żeby dyplom wisiał prościutko, pieczołowicie odwiesił go na miejsce i opuścił pokój.

Lissa na jego widok poczuła taką ulgę, że aż się popłakała. Po chwili zawtórował jej Brian. Najwyraźniej zgniewało go to, ale nie potrafił zapanować nad swymi emocjami. Nawet Laurie toczyła ze sobą walkę, żeby się nie rozbeczeć.

Wywiercili otworki na schodach prowadzących na pierwsze piętro. Tam też natknęli się na metal. Metal sięgał do połowy korytarza na pierwszym piętrze i było go więcej bliżej frontu domu. Znajdował się też we wszystkich ścianach pokoju Bria-na ale u Laurie tkwił tylko w jednej ścianie.

- To nie skończyło jeszcze rosnąć - stwierdziła ponuro Laurie. Trent popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Co?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, na Briana spłynęło olśnienie.

- Sprawdź podłogę, Trent! - powiedział. - Zobacz, czy w niej również jest metal.

Trent zastanawiał się chwilę, po czym wzruszył ramionami i wywiercił otwór w podłodze pokoju Laurie. Wiertło bez oporu weszło w drewno, ale kiedy chłopiec odsunął dywanik w nogach własnego łóżka i zaczął tam borować, szybko natknął się na stal... albo coś twardego, bez względu na to, co-by-to--było.

Na usilne prośby Lissy wlaźł na taboret i mrużąc oczy, zrobił dziurkę w suficie.

- Jebut! - oświadczył po chwili. - Metal. Ale dajmy już na dzisiaj spokój.

Tylko Laurie zauważyła, jak bardzo Trent jest zaniepokojony.

Tego wieczoru, po zgaszeniu świateł, Trent pojawił się w pokoju Laurie, a ona nie próbowała nawet udawać, że śpi. Bo tak naprawdę żadne z nich przez ostatnie dwa tygodnie dobrze nie spało.

- O co ci chodziło? - wyszeptał Trent, siadając na skraju łóżka.

- Nie wiem, o czym mówisz? - odpowiedziała pytaniem Laurie i oparła się na łokciu.

- Powiedziałaś, że to w twoim pokoju nie skończyło jeszcze rosnąć. Co naprawdę chciałaś powiedzieć?

- Och, daj spokój, Trent... przecież nie jesteś tępak.

- Nie, nie jestem - przyznał bez zrozumiałstwa. - Ale Może chcę to po prostu usłyszeć od ciebie, Szprotko.

- Jak jeszcze raz mnie tak nazwiesz, nie dowiesz się niczego.

- W porządku. Laurie, Laurie. Zadowolona? ~~ Tak. Tym metalem obrasta cały dom... - Urwała. - Nie, to nie tak. To wyrasta spod domu.

- To też nie tak.

Laurie przez chwilę milczała, po czym westchnęła.

- W porządku - zgodziła się. - To rośnie w domu. To coś wkrada się do domu. Czy tak dobrze, panie/Bystry?

- Wkrada się do domu... - Trent siedział na skraju łóżka pogrążony w milczeniu, spoglądał na plakat Chrissie Hynde i najwyraźniej smakował w myślach określenie, którego użyła jego siostra. - Tak, bardzo dobrze.

- Jak byś tego nie nazwał, to zachowuje się tak, jakby żyło.

Trent skinął głową. Sam już wcześniej o tym myślał. Nie miał najmniejszego pojęcia, w jaki sposób metal może żyć, ale nie potrafił znaleźć innego wytłumaczenia; w każdym razie w tej chwili.

- Ale nie to jest najgorsze.

- A co?

- Że to się wkrada. - Laurie wlepiła w brata wielkie, poważne oczy, w których malował się strach. - To mi się właśnie najbardziej nie podoba. Nie wiem, gdzie się to zaczęło ani co to jest, i w sumie niewiele mnie to obchodzi. Ale to się wkrada.

Zanurzyła palce w gęste, jasnoblond włosy i odgarnęła je ze skroni. Był to nerwowy, podświadomy gest, lecz Trenta naszło bolesne wspomnienie ojca, który również był jasnym blondynem.

- Odnoszę wrażenie, że coś się wydarzy, Trent. Tylko nie wiem co. Ale to jest jak nocny koszmar, z którego nie można się wyrwać. Czy ty również czasami tak czujesz?

- Czasami. Ale wiem, że coś się wydarzy. Może nawet wiem co.

Laurie, jak rażona prądem, usiadła wyprostowana w łóżku i chwyciła go za rękę.

- Wiesz? Co? Co takiego?

- Nie jestem jeszcze pewien - odrzekł Trent i wstał. - Wydaje mi się, że wiem, ale na razie nie powiem ci co. Muszę się jeszcze porozglądać.

- Jeśli zrobimy w ścianach więcej dziur, cała chałupa może się zawalić.

- Nie mówię o borowaniu. Powiedziałem: porozglądać.

- Porozglądać za czym?

- Za czymś, czego tu jeszcze nie ma... co jeszcze nie wyrosło. Ale kiedy już wyrośnie, nie sądzę, żeby mogło się ukryć.

- Trent, powiedz!

- Jeszcze nie teraz - odparł i pocałował ją lekko w policzek. - Poza tym ciekawość to pierwszy stopień do piekła, Szprotko.

- Nie cierpię cię! - krzyknęła cicho i naciągnęła kołdrę na głowę.

Ale rozmowa z Trentem ją uspokoiła. Laurie poczuła się lepiej i po raz pierwszy od tygodnia zapadła w zdrowy, mocny sen.

To, czego szukał, Trent znalazł dwa dni przed przyjęciem. Jako najstarszy z całej czwórki powinien był zauważyć, że matka wygląda coraz gorzej, że ma zapadnięte policzki, a jej skóra, tak dotąd blada, przybrała paskudny, żółtawy odcień. Powinien też być zauważyć, że coraz częściej pociera skronie i gwałtownie, prawie panicznie, zaprzecza temu, iż ma migrenę, która tak naprawdę dręczyła ją już od ponad tygodnia.

A jednak tego nie spostrzegł. Zanadto pochłaniało go rozglądanie się.

W ciągu czterech czy pięciu dni dzielących jego wieczorną rozmowę z Laurie od ostatecznego odkrycia co najmniej trzy razy przejrzał każdą szafę w wielkim, starym domu; z pięć albo sześć razy zajrzał pod podłogę w pokoju znajdującym się bezpośrednio nad gabinetem Lewa, z tuzin razy myszkował w rozległej piwnicy.

I właśnie tam natknął się na to, czego poszukiwał.

Nie znaczy to, że nie odkrył w innych miejscach różnych dziwnych rzeczy. Przeciwnie, znalazł. Natknął się na kawałek rury z nierdzewnej stali, sterczący z sufitu ściennej szafy na pierwszym piętrze. Zakrzywiony metalowy fragment jakiegoś zbrojenia w boku szafy na pustej walizki na drugim piętrze. Fragment był gładki i ciemnoszary, dopóki Trent go nie dotknął. Kiedy to uczynił, zbrojenie rozbłysło przymglonym różowym blaskiem, a do uszu chłopca dotarł z głębi ściany lekki, lecz intensywny szum. Trent szarpnął rękę do tyłu, jakby metal był gorący (w pierwszej chwili instalacja przybrała barwę rozpalonej spirali w maszynie elektrycznej; chłopak mógł przysiąc, że naprawdę poczuł żar). Ale gdy cofnął dłoń, metal natychmiast zszarzał, a szum ucichł.

Dzień wcześniej na strychu, w ciemnym kącie, gdzie dach dochodził do samej podłogi, zauważył pajęczynę utkaną z cieniutkich przeplatających się kabelków. Łaził właśnie po strychu na czworaka, spocony i uświniony kurzem jak nieboskie stworzenie, gdy ujrzał owo zdumiewające zjawisko. Zamarł w bezruchu i spoglądał przez opadającą mu na oczy czuprynę, jak kabelki rozwijają się dosłownie z niczego (tak to w każdym razie wyglądało), stykają się, skręcają tak ściśle, jakby się nawzajem przenikały, i suną aż do podłogi, w którą natychmiast zaczynają się wkręcać i zakotwiczać, rozsiewając wokół malutkie obłoczki kurzu. Wyglądało na to, że tworzą rodzaj giętkiej, bardzo mocnej siatki ochronnej, zdolnej utrzymać dom w całości na wypadek straszliwych wstrząsów i uderzeń.

Ale jakich wstrząsów?

Jakich uderzeń?

I znów Trent pomyślał, że wie. Sam pomysł wprost nie mieścił się w głowie, ale chłopiec sądził, że wie, o co w tym wszystkim chodzi.

W północnej części piwnicy, z dala od warsztatu i pieca, znajdowała się niewielka wnęka. Ich prawdziwy ojciec nazywał to miejsce "winiarnią" i choć zawsze nastawiał tylko ze dwa tuziny butelek bałagana (ich mama, ilekroć słyszała to słowo, zaczynała chichotać), to starannie przechowywał je na zrobionych własnoręcznie krzyżakowych stojakach.

Lew zachodził tu jeszcze rzadziej niż do warsztatu; w ogóle nie pijał wina. Ich mama, która z tatą często wysączała szklaneczkę albo dwie, później też już nie piła wina. Trent pamiętał, jaki smutek pojawił się jej na twarzy, gdy pewnego razu Brian zapytał, dlaczego już nie siada przed kominkiem ze szklanką bałagana.

"Lew nie toleruje picia - wyjaśniła synkowi. - Twierdzi że alkohol to wyłącznie proteza".

Na drzwiach do winiarni wisiała kłódka, ale tylko po to, żeby drzwi same się nie otwierały i nie napływało do środka bijące z pieca ciepło. Obok drzwi wisiał kluczyk, lecz Trent go nie potrzebował. Po pierwszej wizycie w tej części piwnicy kłódkę zostawił otwartą, a nikt się nie pojawił, żeby ją zatrzaskać. Chłopiec wiedział, że od dawna nikt tam nie zachodził.

Nie był wcale zdziwiony, kiedy dotarłszy do wejścia, poczuł silny zapach wina. Stanowiło to kolejny dowód na to, co on i Laurie już wiedzieli: w całym domu bezszelestnie zachodziły zmiany. Pchnął drewniane drzwi i choć widok tego, co za nimi zobaczył, go przeraził, to szczególnie nie zaskoczył.

Przez dwie ściany winiarni przebiły się metalowe konstrukcje, przewracając krzyżakowe stojaki z przegródkami w kształcie rombów, w których przechowywane były butelki z winem. Na podłodze leżały potłuczone flaszki bollingera, mondavii i battiglii. Podobnie jak kabelki pod podłogą na strychu, to, co się tu tworzyło, rosło - używając wyrażenia Laurie - i nie zakończyło jeszcze tego procesu. Wszystko wirowało połyskliwym światłem, które raziło Trenta w oczy, wywołując mdłości.

Ale nie było tutaj kabelków ani pozakrzywianych zbrojeń. To, co rosło w zapomnianej winiarni jego prawdziwego ojca, przypominało bardziej szafki, konsolety i tablice rozdzielcze. Na oczach Trenta niewyraźne kształty wyginały się niczym głowy rozwścieczonych węży, zmieniały się w metal i nabierały wyrazistości, przekształcając się w tarcze instrumentów, dźwignie oraz tablice rozdzielcze. Chłopiec dostrzegł też kilkanaście indykatorów, a kiedy na nie popatrzył, zaczęły mrugać.

Owemu aktowi tworzenia towarzyszył niski dźwięk przypominający szept.

Trent ostrożnie wszedł do niewielkiej wnęki. Kątem oka dostrzegł wyjątkowo jaskrawe,

czerwone światełko; a raczej całą ich serię. Kiedy już znalazł się w środku, kichnął. Przepychające się przez stary beton maszyny i konsolety wzbijały tumany kurzu.

Światelka, które zwróciły jego uwagę, były cyframi. Znajdowały się pod szkłem w metalowej konstrukcji, jaka kręcąc się, wychynęła z konsolety. Ten nowy gadżet przypominał wyglądem fotel, ale nikt nie czułby się na nim wygodnie. W każdym razie nikt, kto posiada ludzkie kształty - pomyślał Trent, a po plecach przebiegł mu lekki dreszcz.

Szklana płytką znajdowała się w poręczy zdeformowanego fotela... jeśli to w ogóle był fotel. A cyferki zwróciły uwagę chłopca dlatego, że się zmieniały.

72:34:18

przeszło w:

72:34:17,

a to w:

72:34:16.

Trent zerknął na swój zegarek z sekundnikiem. Instrument potwierdził tylko to, co dostrzegły wcześniej oczy chłopca Fotel mógł być albo mógł nie być fotelem, ale cyferki pod szkłem z całą pewnością pokazywały wskazania zegara cyf. rowego. Zegara, który się cofał. Mówiąc precyzyjnie, zegara, który odliczał czas. Co się stanie, gdy cyfry zmienią się z

00:00:01

na 00:00:00

co nastąpi za jakieś trzy dni, licząc od tego popołudnia?

Trent był najświęciej przekonany, że wie, co się wtedy wydarzy. Każdy amerykański chłopak wie, że przy odliczaniu, gdy na zegarze pojawią się same zera, nastąpi albo eksplozja, albo start.

Trent pomyślał, że jest tu zbyt wiele sprzętu, zbyt wiele urządzeń, żeby miała to być eksplozja.

Pomyślał, że podczas ich pobytu w Anglii coś dostało się do domu. Zapewne jakiś zarodnik, który dryfował w przestrzeni kosmicznej przez miliardy lat, zanim został pochwycony przez ziemskie pole grawitacyjne, spłynął atmosferą niczym puszek dmuchawca i w końcu wpadł do komina domu w Titusville w stanie Indiana.

Do domu Bradburych w Titusville, w stanie Indiana.

Oczywiście, mogło to być coś zupełnie innego, ale zdaniem Trenta pomysł z zarodnikiem pasował idealnie i choć chłopiec był najstarszy z dzieciaków Bradburych, to pozostawał zarazem wystarczająco młody, żeby móc smacznie zasnąć po zjedzeniu pizzy pepperoni o dziewiątej wieczorem, a także bez zastrzeżeń wierzyć we własne obserwacje i

intuicję. No i ostatecznie, nie miało to żadnego znaczenia, prawda? Znaczenie miało to, co się wydarzyło.

I to, oczywiście, co miało się wydarzyć.

Tak więc teraz, gdy Trent opuścił winiarnię, nie tylko dokładnie zatrzasnął kłódkę, ale na dodatek zabrał ze sobą kluczyk.

Na przyjęciu wydziałowym w domu Lewa wydarzyło się coś okropnego. Stało się to za kwadrans dziewiąta, zaledwie w czterdzieści pięć minut po przybyciu pierwszych gości. Trent z Laurie słyszeli później, jak Lew krzyczał na ich matkę, że jedynym względem, jaki mu okazała, było to, iż wcześniej zademonstrowała swą głupotę. Gdyby odczekała do dziesiątej, po salonie, jadalni, kuchni i tylnym saloniku krążyłoby już z pięćdziesięciu albo i więcej gości.

- Co się z tobą, do cholery ciężkiej, dzieje? - usłyszeli Trent i Laurie strofującego ich matkę Lewa i kiedy Trent poczuł, że w jego dłoń, niczym maleńka, zmarznięta myszka, wsuwa się ręka Laurie, uściśnął mocno jej palce. - Wyobrażasz sobie, co ludzie o tym powiedzą? Sama najlepiej wiesz, jakimi plotkarzami są pracownicy mego wydziału! Catherine, to naprawdę była scena wyjęta z Three Stooges.

Odpowiedzią matki był cichy, bezradny szloch i przez chwilę Trent czuł do niej straszliwą, palącą nienawiść. Przede wszystkim z tego powodu, że wyszła za Lewa. Czyż nie zasłużyła sobie na to, co ją spotkało, skoro była taka głupia?

Natychmiast jednak się zawstydził, wypchnął z umysłu tę myśl, po czym odwrócił się do Laurie. Przeraziły go łzy, które ujrzał na policzkach siostry, a bezbrzeżny smutek w jej oczach sprawił, że serce zaczęło mu się kroić.

- Nie ma co, wspaniałe przyjęcie - szepnęła, ocierając kantami dłoni policzki.

- Zgadza się, Szprotko - powiedział i przytulił ją do siebie tak, że mogła bezgłośnie płakać z twarzą wtuloną w jego ramię. - Trafi na pierwsze miejsce mojej listy największych wydarzeń roku.

Wydawało się, że Catherine Evans (która nigdy w życiu nie pragnęła bardziej ponownie zostać panią Bradbury) wszystkich w domu okłamała. Straszliwa migrena trzymała ją w swych szponach nie przez ostatni dzień czy dwa, ale pełne dwa tygodnie. W tym czasie prawie nic nie jadła i schudła siedem kilogramów. Częstowała właśnie kanapkami Stephena Krutchmera, dziekana Wydziału Historycznego, oraz jego żonę, kiedy nagle z jej twarzy zeszły wszystkie kolory, cały świat odpłynął i Catherine Evans runęła bezwładnie do przodu, wysypując całą tacę wieprzowiny po chińsku zawijanej w naleśniki na przód kupionej specjalnie z okazji tego przyjęcia, bardzo drogiej sukni od Normy Kamali, którą miała na sobie pani Krutchmer.

Gdy Brian i Lissa, którzy, podobnie jak reszta ich rodzeństwa, dostali od Taty Lewa

kategoryczny zakaz opuszczania piętra domu podczas przyjęcia, usłyszeli krzyki wystraszonych gości, po cichutku przekradli się w pidżamach na schody, żeby zobaczyć, co się dzieje.

“Pracownicy uniwersytetu nie lubią, jak podczas przyjęcia dzieci pętają im się pod nogami - wyjaśnił szorstko tego popołudnia Lew. - Budzą w nich mieszane uczucia”.

Kiedy dzieci ujrzały leżącą na podłodze matkę, a wokół niej wianuszek klęczących uniwersyteckich gości (pani Krutchmer między nimi nie było; pobiegła do kuchni zmyć suknię zimną wodą, zanim sos zostawi na niej trwałe plamy), zapomniały o kategorycznym poleceniu ojczyma i ruszyły biegiem po schodach. Lissa płakała, oszołomiony Brian wrzeszczał. Lissa kopnęła niechcący w nerkę dziekana Wydziału Studiów Azjatyckich. Brianowi, który był o dwa lata starszy i ważył piętnaście kilogramów więcej, udało się jeszcze lepiej. Zwalił z nóg występującego gościnnie w tym semestrze wykładowcę, pulchną panienkę w różowej sukience i wytwornych czółenkach o podwiniętych noskach. Panienska wtoczyła się do kominka. Siedziała tam oszołomiona, otoczona kłębami szaroczarnego popiołu.

- Mamo! Mamusiu! - wrzasnął Brian, potrząsając dawną panią Catherine Bradbury. - Mamusiu! Obudź się! Pani Evans poruszyła się z jękiem.

- Natychmiast marsz na górę - powiedział lodowato Lew. - Oboje.

Kiedy dzieci kompletnie nie zwróciły uwagi na jego słowa, położył dłoń na ramieniu dziewczynki i tak mocno je ścisnął, że Lissa zapiszczała z bólu. Popatrzył na nią, twarz miał kredowo białą i tylko na policzkach pojawiły mu się czerwone placki, jakby wymalował je tandetną szminką.

- Ja się tym zajmę - wycedził przez zęby, które zacisnął tak mocno, że z trudem wypowiadał słowa. - Wracaj natychmiast z bratem na górę i...

- Nie dotykaj jej, sukinsynu - rozległ się wyraźny głos Trenta.

Lew, a z nim wszyscy goście, którzy pojawili się na przyjęciu na tyle wcześnie, żeby być świadkami tego zajmującego widowiska, odwrócili się w kierunku drzwi salonu. W progu stali obok siebie Trent i Laurie. Trent był równie blady jak jego ojczym, ale twarz miał spokojną i nieruchomą. Pośród gości znajdowało się kilka osób - niezbyt wiele - które znały pierwszego męża Catherine Evans i później zgodnie przyznawały, że podobieństwo Trenta do ojca jest wręcz zdumiewające. Ludzie ci oświadczyli, że w pierwszej chwili odnieśli wrażenie, iż to sam Bili Bradbury wstał z grobu, by stanąć twarzą w twarz ze swym poirytowanym następcą.

- Chcę, żebyście poszli na górę - oświadczył Lew. - Cała czwórka. Nie dzieje się tu nic takiego, czym moglibyście się niepokoić. Zupełnie nic.

W pokoju pojawiła się pani Krutchmer. Prząd sukni od Normy Kamali miała wilgotny, ale na kreacji nie było znać żadnych trwałych śladów niemilej przygody.

- Nie dotykaj Lissy - ponownie odezwał się Trent.

- I odczep się od naszej mamy - dodała Laurie.

Pani Evans usiadła na podłodze, przycisnęła ręce do skroni i rozglądała się po salonie oszołomionym wzrokiem. Ból głowy minął niczym spuszczone z balonu powietrze i jakkolwiek była zdezorientowana oraz przeraźliwie osłabiona, to przynajmniej dręcząca ją od czternastu dni migrena minęła bez śladu. Catherine zdawała sobie sprawę, iż zrobiła coś strasznego, coś, co wprowadziło Lewa w zakłopotanie, zapewne nawet sprowadziło na niego hańbę, ale w tej chwili zbyt wdzięczna była losowi za to, że ból minął, aby się tym przejmować. Na wstyd przyjdzie czas później. Obecnie pragnęła jedynie pójść na górę - pójść bardzo powoli - i się położyć.

- Czeka was za to surowa kara - przerwał martwą ciszę, jaka zapadła w salonie, Lew, spoglądając groźnie na pasierbów i pasierbice. Wodził po nich wzrokiem, jakby oceniał naturę i rozmiary zbrodni, jakich się każde z nich dopuściło. Gdy jego wzrok padł na Lissie, dziewczynka zaczęła płakać. - Przepraszam za skandaliczne zachowanie dzieci - oświadczył pod adresem gości. - Podejrzewam, że moja żona zanadto je rozpuściła. Potrzebują po prostu dobrej, angielskiej opiekunki...

~ Nie bądź baranem, Lew - odezwała się pani Krutchmer. Mówiła bardzo głośno, ale niezbyt melodyjnie, a jej głos przypominał trochę ryk osła. Brian drgnął, przytulił się do siostry i też wybuchnął płaczem. - Twoja żona zemdląca, a dzieci bardzo się tym przejęły, to wszystko.

- Dokładnie - dodała wykładowczyni, dźwigając z kominka swe stosunkowo masywne ciało. Jej różowa sukienka była zabrudzona na szaro, na twarzy kobiety widniały ślady kopciucha. Jedynie buty o absurdalnie, choć w sposób przyciągający uwagę zawiniętych czubkach, pozostały czyste. Wykładowczyni najwyraźniej nie przejęła się przygodą. - Dzieci powinny troszczyć się o swoje matki. Podobnie jak mężowie o żony.

Mówiąc to, popatrzyła znacząco na Lewa Evansa, ale ten nawet nie spojrział w jej stronę. Śledził Trenta i Laurie, którzy pomagali matce wejść po schodach. Za nimi, niczym honorowa gwardia, postępował Brian i Lissa.

Przyjęcie trwało dalej. Wydarzenie zostało w większym lub mniejszym stopniu zapomniane, jak to zwykle bywa z nieprzyjemnymi incydentami na przyjęciach wydziałowych. Pani Evans (odkąd mąż powiadomił ją, że ma zamiar je wydać, sypiała najwyżej po trzy godziny na dobę) zasnęła od razu, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, ale dzieci słyszały dochodzący z dołu jowialny, donośny głos Lewa, który zajmował się gośćmi bez pomocy pani

domu. Trent podejrzewał nawet, że ojczym jest w gruncie rzeczy rad z takiego obrotu sprawy; przynajmniej nie musiał troszczyć się o swą płochliwą i wystraszoną jak myszka żonę.

Ani razu nie poszedł na górę sprawdzić, czy czegoś jej nie potrzeba.

Ani razu. Ani razu do końca przyjęcia. Kiedy już wyszedł ostatni gość, Lew wspiął się ciężko po schodach, obudził żonę i kazał jej wstać... co też zrobiła, jak zwykle we wszystkim mu posłuszna od dnia, w którym popełniła ogromny błąd, przysięgając przed pastorem wierność małżeńską, a Lewowi ślubując posłuszeństwo.

Następnie wsunął głowę do pokoju Trenta i zmierzył dzieci surowym spojrzeniem.

- Wiedziałem, że wszyscy tu będziecie - oświadczył z lekkim, pełnym samozadowolenia kiwnięciem głowy. - Jak zwykle konspiracja. Ale nie zapominajcie, że jutro czeka was kara. Tak, naprawdę. Jutro. A teraz chcę, żebyście wrócili do łóżek i to sobie przemyśleli. No, marsz do swoich pokoi. I żadnego mi tu skradania się. Ani Lissa, ani Brian nie mieli najmniejszego zamiaru nigdzie się "skradać"; dzieci były zbyt zmęczone i wyprane z wszelkich uczuć, żeby zająć się czymkolwiek innym, jak tylko pójściem do łóżek i próbować natychmiast zapaść w sen. Ale Laurie, na przekór "Tacie Lewowi", wróciła do pokoju Trenta, gdzie wraz z bratem w pełnym przerażenia milczeniu nasłuchiwała, jak ojczym łaje ich matkę za to, że śmiała zemdleć na jego przyjęciu... a matka tylko cicho płakała. Nie powiedziała nic na swoją obronę, nie odparła żadnego ze stawianych jej zarzutów.

- Och, Trent, co my teraz zrobimy? - zapytała Laurie stłumionym głosem, wtulając twarz w ramię brata. Trent zachował kamienną twarz, choć była ona niezwykle blada.

- Co zrobimy? - zapytał. - Cóż, nic nie będziemy robili, Szprotko.

- Musimy coś zrobić! Trent! Musimy! Musimy jej pomóc!

- Nie, wcale nie musimy - odparł chłopiec. Na jego ustach pojawił się nikły, ale w jakiś sposób straszny uśmiezek. - Zrobi to za nas dom. - Popatrzył na zegarek i przez chwilę coś w myślach przeliczał. - Jutro po południu, mniej więcej o trzeciej czterdzieści, wszystko zrobi za nas dom.

Rano nie spotkała ich kara. Lew Evans myślał wyłącznie o swym seminarium na temat konsekwencji podboju normńskiego, które to zajęcia zaczynał na uczelni o ósmej. Ani Trenta, ani Laurie specjalnie to nie zaskoczyło, ale oboje w równym stopniu dziękowali za to losowi. Lew oświadczył tylko, że wieczorem wezwie każde z dzieci oddzielnie do gabinetu i każdemu "wkroi kilka zdrowych pasów". Po rzuceniu tej złowieszczej groźby wymaszerował z domu z wysoko uniesioną głową, ściskając mocno w prawej ręce teczkę. Kiedy jego porsche jechało z warkotem ulicą, matka jeszcze spała.

Dwoje młodszych dzieci stało w kuchni, obejmowało się ramionami i patrzyło na

Laurie jak na ilustrację z bajki braci Grimm. Lissa płakała. Brian, jak dotąd, trzymał się dzielnie, choć górna warga mu drżała, twarz miał bladą, a pod oczyma czerwone obwódki.

- Dostaniemy lanie - powiedział do Trenta. - On bardzo mocno bije.

- Nie - odparł Trent, a dzieci popatrzyły na niego tyleż z nadzieją, co z powątpiewaniem. Lew obiecał im baty i nawet Trent nie uniknie tego bolesnego upokorzenia.

- Ależ Trent... - zaczęła Lissa.

- Posłuchajcie mnie - odezwał się najstarszy brat, przyciągając stojące przy stole krzesło i siadając na-nim twarzą do rodzeństwa. - Posłuchajcie mnie uważnie i zapamiętajcie każde słowo. To bardzo ważne, więc żadne z was nie może niczego popsuć.

Dzieci spoglądały na niego wielkimi, zielononiebieskimi oczyma.

- Chcę, żebyście natychmiast po szkole wrócili prosto do domu... ale tylko do najbliższego rogu; do rogu Mapie i Wal-nut. Rozumiecie?

- T-t-t-aak - odparła niepewnie Lissa. - Ale dlaczego, Trent?

- Nieważne - odparł. Oczy chłopca, również niebieskozielone, lśniły, ale Laurie pomyślała, że nie jest to lśnienie pogodne; pomyślała, że w źrenicach Trenta czai się groźba. - Po prostu tam czekajcie. Czekajcie przy skrzynce pocztowej. Musicie tam być o trzeciej, najpóźniej o trzeciej piętnaście. Rozumiecie?

- Tak - odpowiedział za oboje Brian. - Rozumiemy.

- Ja z Laurie albo już tam będziemy, albo pojawimy się zaraz po was.

- Ale jak my to zrobimy, Trent? - zapytała Laurie. - Przecież do trzeciej nawet nie wyjdziemy ze szkoły. Poza tym ja mam próbę orkiestry, a sama jazda autobusem...

- My dziś nie idziemy do szkoły - odrzekł Trent.

- Nie? - zapytała zapędzona w kozi róg Laurie. Lissa była przerażona.

- Trent! - powiedziała. - Nie możecie tego zrobić! To jest... to jest... ryzyko!

- Jeśli chodzi o czas, też ryzykujemy - odrzekł ponuro Trent. - A teraz wynocha do szkoły. Tylko pamiętajcie, róg Maple i Walnut o trzeciej, najpóźniej o trzeciej piętnaście. I niezależnie od tego, co się będzie działo, nie wracajcie do domu. - Popatrzył na Briana i Lissę tak groźnie, że przerażone, oszołomione dzieci jeszcze mocniej przytuliły się do siebie, jakby szukając w sobie otuchy. Nawet Laurie wyglądała na wystraszoną. - Czekajcie na nas, ale nie wściecie się wracać do domu - przykazał jeszcze raz Trent. - Za skarby świata.

Kiedy już małe dzieci opuściły dom, Laurie chwyciła brata za koszulę i stanowczo zażądała wyjaśnień.

- To musi mieć coś wspólnego z tym, co rośnie w domu. Wiem, że tak jest, ale jeśli chcesz, żebym poszła na wagary i pomogła ci, musisz mi o wszystkim powiedzieć, Trencie

Bradbury.

- Uspokój się, wszystko ci powiem - odrzekł Trent i delikatnie wyswobodził się z mocnego uścisku siostry. - Tylko zachowuj się cicho. Nie chcę, żebyś zbudziła mamę. Ona posłałaby nas szkoły, a do tego nie wolno dopuścić.

- Dobrze, więc o co chodzi? Mów!

- Chodźmy na dół. Chcę ci coś pokazać. Zaprowadził ją do piwnicy, do winiarni.

Trent nie był do końca pewien, czy Laurie zgodzi się zrobić z nim to, co on umyślił - była to straszliwa... no cóż, straszliwa ostateczność - ale siostra nie stawiała żadnych sprzeciwów. Gdyby chodziło tylko o sprawę samego lania, jakie obiecał im Tata Lew, na pewno by Trentowi nie pomogła. Ale widok leżącej bez przytomności na podłodze w salonie matki wywarł na niej tak samo piorunujące wrażenie jak na Trencie oziębła reakcja ich ojczyma.

- Tak - stwierdziła ponuro Laurie. - Myślę, że musimy to zrobić.

Patrzyła na cyferki mrugające na poręczy fotela.

07:49:21

Winiarnia nie była już winiarnią. Oczywiście, mocno pachniało w niej winem, a na podłodze walało się zielone szkło z potłuczonych butelek i resztki rozbitego stojaka, który zrobił ich ojciec, ale teraz ta część piwnicy wyglądała jak zrodzona w umyśle szaleńca wizja sterowni gwiazdolotu "Enterprise". Wskazówki na tarczach wahały się i wirowały. Cyfrowe wskaźniki mrugały, zmieniały się, znów mrugały. Światła płonęły i gasły.

- Tak - zgodził się Trent. - Też sądzę, że musimy. Sukinsyn... tak na nią wrzeszczeć!

- Trent, nie mów tak.

- To kretyn! Skurwysyn! Kawał kutasa!

Ale tak naprawdę tymi brzydkimi wyrazami określał po prostu rodzaj odlatującego ze świstem cmentarza; i oboje świetnie o tym wiedzieli. Trent, spoglądając na to skupisko obcych instrumentów, czuł niepokój i wątpliwości. Przypominał sobie książkę, którą, gdy był jeszcze dzieckiem, czytywał mu ojciec. Było tam opowiadanie Mercera Mayera o Trollusku Pożeraczu Znaczków. Stwór ten wsadził do koperty pocztowej małą dziewczynkę i zaadresował: "Do Tego, Kto Na Tę Przesyłkę Czeką". Czyż nie zamierzali uczynić tego samego z Lewem Evansem?

- Jeśli czegoś nie zrobimy, on ją w końcu zabije - powiedziała cicho Laurie.

- Co? - Tak szybko odwrócił głowę w jej stronę, że aż coś boleśnie chrupnęło mu w karku.

Lecz Laurie na niego nie patrzyła. Spoglądała na czerwone cyferki odmierzające czas. Odbijały się w szklach jej okularów, w których zawsze chodziła do szkoły. Dziewczynka stała

jak zahipnotyzowana, nieświadoma tego, że Trent ją obserwuje; nieświadoma zapewne nawet jego obecności.

- Nie robi tego celowo - dodała. - Może nawet będzie mu przykro. W każdym razie przez jakiś czas. Myślę, że on ją naprawdę kocha, ale kocha na swój sposób, ona jego zresztą też... Wiesz... również na swój sposób. Ale z mamą będzie coraz gorzej i gorzej. Będzie cały czas chorować, aż w końcu... pewnego dnia...

Urwała i zerknęła na Trenta. Wyraz jej twarzy bardziej przeraził chłopca niż cokolwiek innego w ich dziwnym, zmieniającym się, nawiedzonym domu.

- Powiedz mi, Trent - poprosiła Laurie, chwytając brata za ramię. Rękę miała zimną jak lód. - Powiedz mi, jak to zrobimy.

Poszli razem na drugie piętro, do gabinetu Lewa. Trent był zdecydowany nawet splądrować pomieszczenie, ale znaleźli klucz w górnej szufladzie biurka. Był wsunięty starannie w kopertę z napisem GABINET, wypisanym drobnym, wyraźnym, w jakiś sposób przywodzącym na myśl hemoroidy pismem. Trent wsunął kopertę do kieszeni. Opuścili dom, gdy z pierwszego piętra dobiegł właśnie szum prysznic, oznaczający, że ich matka wstała.

Cały dzień spędzili w parku. Jakkolwiek żadne nie chciało się do tego przyznać, był to najdłuższy dzień w ich życiu. Dwukrotnie dostrzegli przejeżdżający patrol policji i musieli ukryć się w szaletach. Nie mogli pozwolić sobie na to, żeby przyłapano ich na wagarach i z hukiem odstawiono do szkoły.

O wpół do trzeciej Trent wręczył Laurie dwudziestopięciocentówkę i ruszyli do budki telefonicznej po wschodniej stronie parku.

- Czy muszę to robić? - zapytała. - Śmiertelnie ją wystraszę. Zwłaszcza po przejściach wczorajszego wieczoru.

- Chcesz, żeby była w domu, gdy stanie się, co ma się stać? - odparł pytaniem Trent i Laurie bez dalszych protestów wrzuciła do otworu monetę.

Telefon dzwonił i dzwonił. Dzwonił tak długo, że zaczęli już podejrzewać, że matka wyszła. To mogło się okazać dobre, ale mogło również okazać się złe. Z całą pewnością było bardzo denerwujące. Jeśli wyszła z domu, istniała wielka szansa, że jednak wróci przed...

- Trent, myślę, że jej nie ma...

- Halo? - rozległ się w słuchawce zaspany głos matki.

- O, cześć mamó - powiedziała Laurie. - Myślałam już, że cię nie ma.

- Wróciłam do łóżka - odparła i roześmiała się z lekkim zakłopotaniem. - Nie mogę się wyspać. Poza tym kiedy śpię, nie muszę rozmyślać, jak okropnie się zachowałam wczoraj wieczorem...

- Och, mammo, wcale nie zachowałaś się okropnie. Przecież gdy ludzie mdleją, nie robią tego umyślnie...

- Laurie, dlaczego dzwonisz? Czy wszystko w porządku?

- Jasne, mammo... cóż...

Trent dał siostrze kuksańca w żebra. Mocnego kuksańca. Laurie, która się przygarbiła (tak naprawdę sprawiała takie wrażenie, jakby zaczęła maleć), natychmiast wyprostowała plecy.

- Miałam wypadek na sali gimnastycznej. Taki... no, wiesz, niewielki. Nie jest źle.

- Co sobie zrobiłaś? Chryste, chyba nie dzwonisz ze szpitala?

- Pewnie, że nie - odparła pośpiesznie Laurie. - po prostu wykręciłam sobie nogę w kolanie. Pani Kitt prosi, żebyś przyjechała i zabrała mnie wcześniej ze szkoły. Nie wiem czy zdołam o własnych siłach dotrzeć do domu. To bardzo boli!

— Natychmiast po ciebie jadę. Jak najmniej się ruszaj, kochanie. Mogłaś zerwać sobie jakieś wiązadło. Czy jest przy tobie pielęgniarka?

- Teraz już nie. Nie martw się, mammo. Będę uważać.

- A byłaś w gabinecie lekarskim?

- Tak - odparła Laurie.

Twarz miała czerwoną jak sterowana radiem kolejka Briana.

- Przyjadę po ciebie.

- Dzięki, mammo. Pa.

Odwiesiła słuchawkę i popatrzyła na Trenta. Zaczerpnęła głęboko tchu, a potem ciężko westchnęła.

- To było okropne - stwierdziła bliska łez. Trent mocno przytulił siostrę.

- Doskonale się sprawiłaś - pochwalił. - Sam bym tego lepiej nie zrobił, Szpro... Laurie. Nie jestem pewien, czyby mi uwierzyła.

- Zastanawiam się, czy mnie jeszcze kiedykolwiek uwierzy - odrzekła z goryczą Laurie.

- Uwierzy - pocieszył ją Trent. - Chodźmy.

Przeszli na zachodnią stronę parku, skąd mogli obserwować Walnut Street. Pochłodziło, zrobiło się ciemniej, nad głowami gromadziły się burzowe chmury, wiał przenikliwy wiatr. Czekali pięć minut, które ciągnęły się w nieskończoność, aż w końcu mignęło im subaru ich matki, jadące bardzo szybko w kierunku Greendowne Middle School, do której chodzili Trent i Laurie... dokąd poszlibyśmy i dzisiaj, gdybyśmy nie wybrali się na wagary - pomyślała Laurie.

- Naprawdę pognała - zauważył Trent. - Myślę, że nie spowoduje wypadku ani nic się

jej złego nie stanie.

- Za późno na żale. Chodź - powiedziała Laurie, wzięła Trenta za ramię i pociągnęła z powrotem do budki telefonicznej. - Teraz ty dzwoń do Lewa, szczęściarzu.

Wrzucił do automatu kolejną dwudziestopięciocentówkę, przeczytał z wyjętej z portfelika kartki numer sekretariatu

\Wydziahi Historycznego i zaczął naciskać klawisze. Ostatniej nocy prawie nie zmrzął oka, ale teraz, kiedy wprawili już wszystko w ruch, był chłodny i spokojny... tak naprawdę chłodniejszy niż zamrażalnik w lodówce. Zerknął na zegarek. Za kwadrans trzecia. Jeszcze niecała godzina. Po zachodniej stronie nieba przetoczył się daleki grzmot. _ Tu Wydział Historii - rozległ się w słuchawce kobiecy głos. - Dzień dobry. Mówi Trent Bradbury, chciałbym prosić mego ojczyma, Lewisa Evansa.

- Profesor Evans prowadzi w tej chwili zajęcia - odparła sekretarka. - Ale skończy je za...

_ Wiem, ma wykład ze współczesnej historii Anglii, który potrwa do wpół do czwartej. Ale muszę z nim porozmawiać teraz. To nagły wypadek. Dotyczy jego żony. - Znacząca, skalkulowana przerwa. - Mojej mamy.

W słuchawce zapadła długa cisza i Trent poczuł zawrót głowy. Zupełnie jakby kobieta po drugiej stronie linii zamierzała odmówić jego prośbie lub po prostu go zbyć, bez względu na to, czy jest to nagły wypadek, czy nie. A tego plan nie przewidywał.

- Ma zajęcia w Oglethorpe. To tuż obok - powiedziała w końcu. - Osobiście dostarczę mu wiadomość. Zadzwoń do domu, jak tylko...

- Nie, poczekam przy telefonie - odparł Trent.

- Ale...

- Czy mogłaby pani nie robić ze mnie głupka i poprosić go do aparatu? - zapytał Trent, nadając głosowi zimne, szorstkie brzmienie.

Przyszło mu to z łatwością.

- No dobrze - odparła sekretarka. Trudno powiedzieć, czy bardziej zła, czy zaniepokojona. - Jeśli tylko powiesz mi, o co chodzi...

- Nie, nie powiem - oświadczył Trent. Ze słuchawki dobiegło pełne oburzenia i urazy parsknięcie, po czym zapadła cisza.

- I co? - zapytała Laurie, przestępując z nogi na nogę jak ktoś, kto koniecznie musi iść do ubikacji.

- Czekam. Mają go przywołać.

— A jeśli nie podejdzie? Trent wzruszył ramionami.

- Wtedy będziemy ugotowani. Ale podejdzie. Poczekaj a sama się o tym przekonasz.

Chciał mieć taką pewność, z jaką to mówił, ale mógł tylko głęboko wierzyć, że wszystko się uda. Musiało się udać.

- Zostawiliśmy to na ostatnią chwilę.

Trent przytaknął. Musieli zostawić to na ostatnią chwilę i Laurie wiedziała dlaczego. Drzwi do gabinetu wykonane zostały z grubego drewna dębowego, bardzo twardego, ale dzieci nic nie wiedziały o zasadzie działania zamka. Trent chciał mieć pewność, że Lew nie zdąży się z nimi uporać.

- A co będzie, jeśli jadąc do domu, zobaczy czekających na rogu Briana i Lissie?

- Jeśli przyjedzie wściekły, a uważam, że tak właśnie będzie, to ich nie zauważy. Staną pod podcieniami, a twarze zasłonią daszkami szkolnych czapeczek.

- Dlaczego nie podchodzi do tego cholernego telefonu? - zapytała Laurie, spoglądając na zegarek.

- Podejdzie - uspokoił siostrę Trent i w tej samej chwili w słuchawce rozległ się głos ich ojczyma.

- Halo?

- Tu Trent. Lew, mama jest w twoim gabinecie. Musiał jej wrócić ból głowy, bo znów zemdląła. Nie mogę jej ocucić. Lepiej natychmiast wracaj do domu.

Trenta nie zaskoczyło pierwsze pytanie ojczyma. Tak naprawdę, na tym właśnie zasadzał się cały plan. A mimo to chłopcu pobiełały z gniewu zaciśnięte na słuchawce palce.

- W moim gabinecie? W moim gabinecie? Cóż ona, do diabła, tam robiła?

Mimo ogarniającej go wściekłości Trent nadał głosowi spokojne brzmienie.

- Chyba sprzątała - odparł, po czym rzucił ostateczną przynętę na kogoś, kto nieporównywalnie więcej dbał o swoją pracę niż o żonę. - Wszystkie papiery są porzucane na podłodze.

- Natychmiast wracam - warknął Lew i dodał: - Jeśli jakieś okna są pootwierane, to, na Boga, natychmiast je zamknij. Nadchodzi burza.

I bez słowa odłożył słuchawkę.

- No i co? - zapytała Laurie, gdy Trent odwiesił mikrofon.

- Już jedzie - odparł jej brat i roześmiał się złowieszczo. - Sukinsyn był tak poruszony, że nie zapytał nawet, dlaczego o tej porze jestem w domu, a nie w szkole. Chodź.

Pobiegli na skrzyżowanie Mapie i Walnut. Niebo zrobiło się już bardzo ciemne i przetaczał się po nim niemal nieustanny grzmot piorunów. Kiedy dotarli do niebieskiej skrzynki pocztowej na rogu, zaczęły się zapalać kolejno po dwie latarnie, stojące wzdłuż ulicy

aż do szczytu wzniesienia.

Lissy i Briana jeszcze nie było.

- Chcę iść z tobą, Trent - oświadczyła Laurie, ale jej mina wyraźnie mówiła, że dziewczynka kłamie.

Twarz miała bardzo bladą, oczy nienaturalnie wielkie, wypełnione łzami, których nie potrafiła ukryć.

- W żadnym wypadku - odparł Trent. - Poczekasz tu na Briana i Lissę.

Na dźwięk imion młodszego rodzeństwa Laurie odwróciła się i spojrzała w perspektywę Walnut Street. Dostrzegła zbliżającą się spiesznie dwójkę dzieci, w rękach trzymały pojemniczki na drugie śniadanie. Wprawdzie z tej odległości Laurie nie mogła jeszcze rozróżnić ich twarzy, lecz była święcie przekonana, że to Lissa i Brian.

Powiedziała o tym Trentowi.

- Dobrze. Pójdziecie we trójkę pod dom pani Redland, tam ukryjecie się za żywopłotem i poczekacie, aż minie was Lew. Wtedy ty wyjdiesz na ulicę; ale nie idź do domu ani im na to nie pozwól. Czekać na mnie przed domem.

- Boję się, Trent - wyznała, a po policzkach popłynęły jej łzy.

- Ja też, Szprotko - stwierdził starszy brat i szybko pocałował ją w czoło. - Ale niedługo wszystko już będzie za nami.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, chłopak pobiegł w stronę domu Bradburych na Maple Street. W biegu popatrzył na zegarek. Było dwanaście po trzeciej.

W domu panował bezruch i upał, co bardzo wystraszyło Trenta. Było tak, jakby po wszystkich kątach rozsypano proch strzelniczy, a jacyś ludzie, których nie widział, czekali tylko, żeby włączyć niewidzialne zapalniki. Wyobraził sobie zegar^w winiarni odliczający nieubłaganie czas.

Ów zegar wskazywał teraz

00:19:06.

A jeśli Lew się spóźni?

Nie było czasu na jałowe spekulacje.

Trent galopem wbiegł na drugie piętro. Otaczało go nieruchome, łatwo zapalne powietrze. Chłopiec odnosił wrażenie, że cały dom się wierci, nabiera życia, w miarę jak odliczanie zbliża się do końca. Próbował się przekonywać, że to tylko gra wyobraźni, ale jakaś część jego umysłu wiedziała, że to nie fantazja.

Wszedł do gabinetu Lewa, otworzył na chybił trafił dwie czy trzy szafki z dokumentami oraz kilka szuflad w biurku i po całym pokoju porozrzucił papiery, jakie w nich znalazł. Zajęło

mu to tylko kilka chwil, ale gdy kończył, usłyszał odgłos silnika nadjeżdżającego ulicą porsche. Tym razem maszyna nie warczała; Lew wprowadził ją na takie obroty, że ryczała.

Trent opuścił gabinet i skrył się w zalegającym korytarz na drugim piętrze cieniu, tam, gdzie wyborowali pierwsze otwory. Zdawało się, że od tamtej chwili minęły wieki. Wsunął rękę do kieszeni po klucz, ale kieszeń była pusta. Znalazł w niej tylko jakiś stary, pomięty talon na lunch.

Musiałem zgubić klucz, kiedy biegłem ulicą - błysnęła mu myśl. - Musiał wyślizgnąć mi się z kieszeni.

Stał w bezruchu, spocony ze strachu, a porsche z piskiem opon wjeżdżało na podjazd. Po chwili ryk silnika umilkł. Drzwi samochodu się otworzyły, a następnie zamknęły z trzaskiem. Odgłos kroków podbiegającego do tylnych drzwi domu Lewa. Rozległ się głośny niczym eksplozja pocisku artyleryjskiego huk pioruna, mrok korytarza rozjaśniła niebieska poświata błyskawicy, a gdzieś głęboko w domu ruszył potężny motor, wydał niskie, stłumione warknięcie i z cichym szumem podjął pracę.

Jezu, drogi Jezu, co ja teraz zrobię? - zakołatało Trentowi pod czaszką. - Co MOGĘ zrobić? Jest większy ode mnie! Jeśli spróbuję przyłożyć mu czymś w głowę, on...

Wsunął lewą dłoń do drugiej kieszeni i myśl natychmiast się urwała, kiedy dotknął staroświeckiej, metalowej główki klucza z wypilowanymi ząbkami. Zapewne w którymś momencie długiego oczekiwania w parku bezwiednie przełożył klucz z jednej kieszeni do drugiej.

Dysząc ciężko - serce galopowało mu już nie tylko w piersi, ale i w żołądku, i w gardle - Trent przekradł się do szafy z walizkami, wszedł do środka i prawie całkowicie zaciągnął za sobą harmonijkowe drzwi.

Lew wielkimi susami sadił po schodach i najgłośniej jak potrafił wykrzykiwał imię żony. Trent zobaczył, że ojczym mija szafę, w której chłopiec się ukrył. Włosy Lewa stały dęba (przez całą drogę musiał przeciągać po nich palcami), krawat miał przekrzywiony, na wysokim, inteligentnym czole perliły się krople potu, oczy z wściekłości zwężyły mu się do wąziutkich szparek.

- Catherine! - wrzasnął jeszcze raz i pobiegł korytarzem do gabinetu.

Nie zdążył dotrzeć do drzwi, kiedy z szafy na walizy wynurzył się Trent i bezszelestnie ruszył jego śladem. Miał tylko jedną szansę. Jeśli nie trafi kluczem w dziurkę... jeśli zamek po pierwszym obrocie nie zaskoczy...

Jeżeli wydarzy się któraś z tych rzeczy, będą z nim walczył - miał czas pomyśleć Trent. - Jeśli nie wyślę go samego, to, do jasnej cholery, zabiorę go ze sobą.

Pchnął drzwi i zamknął je z takim hukiem, że ze szczelin między zawiasami posypał się kurz. W ułamku sekundy dostrzegł jeszcze zdumioną twarz Lewa. W mgnieniu oka wsunął klucz w dziurkę. Przekręcił go i zanim Lew zdążył rzucić się na drzwi, zapadka w środku zaskoczyła.

- Ej! - ryknął Lew. - Ej, ty mały skurwysynu! Co wyprawiasz? Gdzie Catherine? Wypuść mnie stąd!

Gałka obracała się bezskutecznie w lewo i w prawo. Później znieruchomiła, a na drzwi spadł grad potężnych uderzeń.

- Trencie Bradbury, natychmiast mnie stąd wypuść! W przeciwnym razie spuszcę ci takie baty, o jakich ci się nie śniło w twoim cholernym życiu!

Trent powoli się cofał, aż w końcu trafił plecami na przeciwległą ścianę korytarza. Ciężko łapał powietrze. Klucz od gabinetu, który odruchowo wyciągnął z dziurki, wysunął mu się z Palców i upadł między stopy chłopca na wyłożoną spłowiałym linoleum podłogę korytarza. Teraz, gdy Trent dopiął swego przyszła reakcja. Obraz świata zafalował, jakby dzieciak znalazł się nagle pod wodą i musiał toczyć ze sobą walkę, żeby nie stracić przytomności. Dopiero kiedy Lew został zamknięty na głucho w gabinecie, kiedy matkę podstępem wywabili z domu, a pozostałe dzieci bezpiecznie czekały pod przerośniętym cisowym żywopłotem pani Redland, Trent uświadomił sobie że cały czas nie wierzył w to, iż jego plan wypali. Jeśli "Tata Lew" był zaskoczony tym, że zamknięto go w gabinecie, to zdumienie Trenta przechodziło wszelkie wyobrażenia.

- WYPUŚĆ MNIE STĄD, DO CHOLERY!

- Wypuszcę cię za kwadrans czwarta Lew - powiedział Trent niepewnym, drżącym głosem i z gardła wydobył mu się cichy chichot. - Wypuszcę cię za kwadrans czwarta pod warunkiem, że jeszcze tu będziesz.

Wtedy z dołu dobiegło go wołanie:

- Trent? Trent, wszystko w porządku? Dobry Boże, to Laurie.

- Co z tobą, Trent? I Lissa!

- Ej, Trent! Wszystko w porządku?

I Brian.

Trent zerknął na zegarek, by z przerażeniem spostrzec, że jest już 3:31... cyferki przeskoczyły na 3:32. A jeśli zegarek się późni?

- Wynoście się! - wrzasnął na nich i runął korytarzem w stronę schodów. - Wynoście się z tego domu!

Korytarz na drugim piętrze rozciągał się przed nim jak toffi; im szybciej biegł, tym

dłuższa pozostawała przed nim przestrzeń do przebycia. Lew bombardował drzwi pięściami i kłął jak szewc; grzmot pioruna; a gdzieś z trzewi domu dobiegł jeszcze bardziej przerażający łomot budzącej się do życia maszynerii.

Trent dotarł w końcu do schodów i zaczął nimi zbiegać. Tak mocno wychylił do przodu tułów, że o mało nie upadł. Między pierwszym i drugim piętrem znajdował się podest, na którym schody zakręcały i dalej spadały w dół do miejsca, gdzie czekał jego brat i dwie siostry. Wszyscy spoglądali w górę.

- Uciekajcie! - znów wrzasnął, zagarniając dzieci ramionami, popychając je w stronę otwartych drzwi i czającej się za nimi ciemności burzy. - Szybko!

- Trent, co się dzieje? - zapytał Brian. - Co się dzieje z domem? Cały się trzęsie!

Tak było naprawdę. Podłoga wpadła w wibrację, od której drżały Trentowi gałki oczne. Na głowy posypał się pył gipsowy.

__ Nie ma czasu! Uciekajmy! Szybko! Laurie, pomóż mi!

Trent porwał Briana na rękę. Laurie chwyciła pod pachy Lissę i chwiejnie ruszyła z nią w stronę drzwi.

Uderzył piorun. Niebo przecięła błyskawica. Szepczący dotąd wiatr odezwał się z rykiem smoka.

Trent czuł, jak pod budynkiem zaczyna się trzęsienie ziemi. Kiedy z Brianem w ramionach wybiegał z domu, dostrzegł elektryczne, niebieskie światło, które buchnęło przez wąskie piwniczne okna i było tak oślepiające, że przez następną prawie godzinę migały mu przed oczyma powidoki (później pomyślał, iż miał wiele szczęścia, że nie ośleplł). Na trawnik padły niemal materialne snopy blasku. Usłyszał brzęk pękającego szkła. A w tej samej chwili, kiedy przekraczał próg, poczuł, że cały dom zaczyna mu się podnosić pod stopami.

Zeskoczył z frontowych stopni i chwycił Laurie za rękę. Zataczając się, chwiejnie ruszyli w stronę ulicy, na którą wraz z burzą napływał prawie nocny mrok.

Na chodniku odwrócili się i zaczęli obserwować dom.

Budynek na Maple Street jakby się rozpadał. Nie był już prosty i masywny; wydawało się, że płąsa jak postać na pogo na rysunkowym filmie. Odbiegały od niego olbrzymie szczeliny, nie tylko w betonowym podjeździe, ale i w samej ziemi otaczającej dom. Trawnik rozpadł się na przypominające kształtem duże kawały ciasta kępy trawy. Pod zielenią pojawiły się czarne, naprężone korzenie, a cały dziedziniec przed domem wybrzuszył się jak bąbel, jakby chciał zatrzymać budynek, który stał tam od tak dawna.

Trent popatrzył na drugie piętro, gdzie w gabinecie Lewa wciąż paliło się światło. Wydawało mu się, że dobiegł stamtąd - dobiegał cały czas - brzęk tłuczonego szkła, ale złożył

to na karb wyobraźni. Jak mógł cokolwiek słyszeć w takim łośkocie? Dopiero rok później Laurie wyznała mu, że jest całkiem pewna, iż słyszała dziki wrzask ojczyma.

Fundamenty zaczęły się kruszyć, później pękać, aż w końcu Podały się z hukiem pocisku mózdzierzowego. Wytrysnął spod nich jasny, zimny, niebieski ogień. Dzieci zasłoniły oczy i cofnęły się jeszcze bardziej. Silniki grzmiały. Ziemia wznosiła się i wznosiła, próbując rozpaczliwie powstrzymać dom... a następnie opadła. W jednej chwili budynek znalazł się trzydzieści centymetrów nad powierzchnią i stanął na słupie jasnoblękitnego ognia.

Był to wspaniały odlot.

Chorągiewka na szczycie dachu wirowała jak szalona.

Dom najpierw wznosił się pomalutku, później zaczął nabierać szybkości. I nagle z grzmotem wyrwał w górę na oślepiającym, błękitnym słupie płomienia. Frontowe drzwi z impetem otwierały się i zamykały.

- Moje zabawki! - zawołał Brian, zaczął beczeć, a Trent wybuchnął dzikim śmiechem.

Dom wznosił się na wysokość jakichś trzydziestu metrów, zamarł na chwilę w idealnej równowadze, jakby przygotowywał się do dalszego skoku, i nagle wyrwał w górę, prosto w skłębioną nawałnicę czarnych jak w nocy chmur.

Zniknął.

Na ziemię, niczym liście, spłynęły dwa gonty.

- Uważaj, Trent! - wrzasnęła Laurie po sekundzie czy dwóch i tak mocno go popchnęła, że chłopak wywinął kozła.

W miejsce, gdzie przed chwilą stał Trent, grzmotnęła o ziemię podbita grubą gumą wycieraczka leżąca zazwyczaj przed progiem ich domu. Widniał na niej napis: WITAMY.

Trent popatrzył na Laurie, a Laurie na Trenta.

- Gdyby spadła na ciebie, rozkwasiłaby ci głowę jak wszyscy diabli - powiedziała dziewczynka. - Tak więc nigdy już nie nazywaj mnie Szprotką, Trent.

Przez kilka sekund spoglądał na nią poważnie, po czym zaczął chichotać. Po chwili chichotała już i Laurie. Na końcu dołączyła do nich dwójka najmłodszych. Brian i Laurie chwycili Trenta za ręce, pomogli mu dźwignąć się z ziemi, a potem stanęli obok siebie i zaczęli patrzeć w dymiącą dziurę w środku trawnika, gdzie jeszcze niedawno mieściła się piwnica. Z sąsiednich domów wychodzili ludzie, ale dzieciaki Bradburych nie zwróciły na nich uwagi. Tak naprawdę, mówiąc ściśle, dzieciaki Bradburych nie dostrzegły nawet ich istnienia.

- Bomba! - powiedział z szacunkiem Brian. - Nasz dom wystartował, Trent.

- Tak - zgodził się Trent.

— Może tam, dokąd zmierza, żyją ludzie, którzy zechcą dowiedzieć się czegoś

interesującego o Normanach i Anglosasach - zauważyła Lissa.

Trent objął Laurie ramieniem i oboje wybuchnęli ni to śmiechem, ni to krzykiem zgrozy... W tej samej chwili deszcz lunął jak z cebra.

Podszedł do nich mieszkający po drugiej stronie ulicy pan Slattery. Nie miał na głowie zbyt wielu włosów, a te, które mu pozostały, natychmiast przylgnęły do lśniącej czaszki grubymi, małymi kępkami.

- Co się stało? - zawołał, przekrzykując huk piorunów, które znów nieustannie przetaczały się po niebie. - Co się tutaj stało? Trent puścił siostrę i popatrzył na pana Slattery'ego.

- Prawdziwa Przygoda Kosmiczna - wyjaśnił poważnie, co pobudziło dzieci do jeszcze większego śmiechu.

Pan Slattery popatrzył niepewnie, ze strachem na pustą jamę po piwnicy, zdecydował, że przezorność jest jednak lepsza od bohaterstwa, i wycofał się na swoją stronę ulicy. Jakkolwiek z nieba ciągle lały się strugi wody, nie zaprosił dzieci Bradburych do siebie. Ale ich to nic nie obchodziło. Usiadły na krawężniku, Trent i Laurie w środku, a Brian z Lissą po ich obu stronach.

Laurie pochyliła się do ucha Trenta.

- Jesteśmy wolni - szepnęła.

- Jeszcze lepiej - odparł. - Ona jest wolna.

Następnie objął całą trójkę ramionami - musiał je w tym celu tego wyciągnąć - i siedzieli na krawężniku w lejącym deszczu czekając, aż ich mama wróci do domu.

Piąta ćwiartka

(The Fifth Quarter)

Zaparkowałem grata tuż za rogiem najbliższej przecznicy od domu Keenana i przez chwilę bez ruchu siedziałem w ciemnościach. Później przekręciłem kluczyk w stacyjce i wysiadłem z auta. Kiedy zatrzaskałem drzwi, usłyszałem, jak na jezdnię sypią się z wahaczy płatki rdzy. Tak dłużej być nie mogło.

Spoczywająca w kaburze pod pachą czterdziestkapiątka, która niegdyś należała do Barneya, uciskała mi klatkę piersiową niczym pięść, ale bardzo mnie to cieszyło. Dodawała posmaku ironii całej tej zwariowanej sprawie. A może nawet była w tym jakaś sprawiedliwość.

Dom Keenana stanowił architektoniczne brzydactwo zajmujące ponad sto metrów kwadratowych powierzchni. W konstrukcji budynku wykorzystano wszystkie możliwe kąty i stromizny dachów, a całość otaczał żelazny parkan. Jak się spodziewałem, Keenan bramę zostawił otwartą. Wcześniej widziałem go przez okno w salonie, gdzie rozmawiał z kimś przez telefon. Odnosiłem nieodparte wrażenie, że rozmawia z Jaggerem albo z Sierżantem. Zapewne z Sierżantem. Koniec oczekiwania; ta noc należała do mnie.

Zbliżyłem się do podjazdu i stanąwszy tuż obok gęstych zarośli, nasłuchiwałem, czy nie dobiegają jakieś podejrzone dźwięki, które przebiłyby się przez zawrodozenie styczniowego wiatru. Nic nie usłyszałem. Był to piątkowy wieczór, więc mieszkająca na stałe u Keenana pokojówka miała zapewne wychodne i zabawiała się wesoło w czyjejs garsonierze. Nikogo w domu; tylko ten skurwysyn Keenan. Keenan czekający na Sierżanta. Czekający na mnie, choć o tym jeszcze nie wiedział

Garaż również stał otworem, więc wślizgnąłem się do środka. Majaczył tam hebanowym cieniem impala Keenana. Szarpnąłem klamkę tylnych drzwi. Samochód był otwarty. Keenan nie został stworzony na łajdaka - naszła mnie nieoczekiwane refleksja. - Jest stanowczo zbyt ufny i beztrojski.

Wślizgnąłem się do auta, rozsiadłem w fotelu i czekałem.

Teraz wiatr przynosił leciutkie dźwięki muzyki jazzowej; bardzo spokojnej, bardzo dobrej. Zapewne Milesa Davisa. Keenan słuchał Milesa Davisa, a w wymanikiurowanej dłoni trzymał szklankę dżinu z musującym tonikiem. Bardzo miło z jego strony.

Było to długie oczekiwanie. Wskazówki mego zegarka przesunęły się z godziny dwudziestej trzydzieści na dwudziestą pierwszą dziesiątą. Bardzo dużo czasu do rozmyślań, głównie o Barneyu. Rozmyślałem o nim wbrew własnej woli. Myślałem o tym, jak wyglądał na

tamtej niewielkiej łodzi, gdy gapił się na mnie i krakał coś bez sensu. Dryfował od dwóch dni i wyglądał jak gotowany homar. Pośrodku tułowia, w miejscu, gdzie został postrzelony, miał czarne plamy zakrzepłej krwi.

Robił, co mógł, żeby dopłynąć do domku letniskowego, ale tylko ślepemu szczęściu zawdzięczał, że w końcu tam dotarł. Dzięki szczęściu tam dotarł i dzięki szczęściu zdołał jeszcze przez chwilę mówić. Miałem całą garść pigułek nasennych na wypadek, gdyby nie mógł. Nie chciałem, żeby cierpiał. Chyba żeby istniały ku temu ważne przyczyny. Istniały. Miał mi do przekazania całą historię, rewelacyjną historię i prawie całą mi opowiedział.

Gdy już nie żył, wróciłem na łódź i zabrałem jego czterdziestkępiątkę. Znajdowała się w niewielkim schowku na rufie w wodoszczelnym woreczku. Później odholowałem łódź Barneya na głęboką wodę i tam ją zatopiłem. Gdybym miał umieścić epitafium, wybrałbym jakieś mówiące o tym, że na całym świecie frajerzy rodzą się co minutę. Mógłbym się założyć, że większość z nich to całkiem sympatyczni goście; tacy właśnie jak Barney. Zamiast umieszczania epitafium postanowiłem jednak odszukać ludzi, którzy go dorwali. Upłynęło sześć miesięcy, zanim dotarłem do Keenana i upewniłem się, że brał w tym udział również Sierżant; a przynajmniej w większym lub mniejszym stopniu maczał w tym palce. Ale taki już ze mnie uparty gość. No i proszę, siedziałem teraz w tym samochodzie.

Gdy o dziesiątej dwadzieścia na ciągnący się łukiem podjazd padł blask reflektorów, położyłem się na podłodze impali. Przybysz wjechał do garażu i zaparkował samochód obok auta Keenana. Sądząc po szumie motoru, był to jeden z tych starych modeli volkswagenów. Niewielki silnik zamilkł i do moich uszu dotarło ciche pochrumkiwanie Sierżanta, kiedy niezdarnie gramolił się ze swego małego samochodu. Na werandzie zapaliło się światło i usłyszałem trzask otwieranych drzwi.

Keenan:

- Spóźniłeś się! Wejdz i zrób sobie coś do picia. Sierżant:

- Może być szkocka.

Uprzednio opuściłem w impali szybę. Teraz więc wysunąłem przez okno czterdziestkępiątkę Barneya i trzymając kolbę w obu dłoniach powiedziałem:

- Nie ruszaj się.

Sierżant znajdował się w połowie prowadzących na werandę schodków. Keenan, serdeczny gospodarz, stanął na ich skraju i spoglądał na gościa, czekając, aż ten wejdzie po stopniach, żeby ze słowami "ty pierwszy" wprowadzić go do domu. Ich sylwetki rysowały się wyraźnie na tle bijącego z domu światła. Wątpiłem, czy w zalegającym mroku byli w stanie mnie do-strzec, ale mogli dostrzec broń. Była to bardzo duża spluwa.

- Kim, do diabła, jesteś? - zapytał Keenan.

- Jerry Tarkanian - odparłem. - Rusz się tylko, a zrobię w tobie taką dziurę, że będzie można przez nią oglądać telewizję.

- Gadasz jak śmieć - powiedział Sierżant, ale się nie ruszył.

- Po prostu stój, gdzie stoisz. Niczym innym nie musisz się przejmować.

Otworzyłem tylne drzwi impali i ostrożnie wysiadłem z samo-chodu. Sierżant gapił się na mnie przez ramię; widziałem lśnienie jego małych oczu. Rękę wsuwał chyłkiem pod klapę dwu-rzędowej marynarki modelu rok tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci.

- Och, proszę - powiedziałem. - Dawaj w górę te swoje Pieprzone łapska, gnoju.

Sierżant wznosił ręce nad głowę. Keenan swoje już trzymał w górze od dobrej chwili.

- Złazcie z werandy - poleciłem. - Obaj.

Zeszli, a ja wreszcie w pełnym świetle mogłem się przypatrzeć ich twarzom. Keenan był wyraźnie wystraszony, ale Sierżant sprawiał takie wrażenie, jakby słuchał wykładu zeń lub instrukcji naprawy motocykla. To on prawdopodobnie dziabnął Barneya.

- Twarzami do ściany i ręce do góry - rozkazałem. - Obaj. Keenan:

- Jeśli chodzi ci o pieniądze...

Roześmiałem się.

- Cóż, zamierzałem na początku zaproponować wam kup-no plastikowych naczyń kuchennych Tupperware i sprzedać wam całą masę tego fajansu. Widzę jednak, że przejrzelście na wylot moje zamiary. Tak, chodzi mi o forszę. Dokładnie o czterysta osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Zakopanych na niewielkiej wysepce Carmen's Folly, niedaleko Bar Harbor.

Keenan podskoczył, jakby ktoś go postrzelił, ale w jak wykutym w betonie obliczu Sierżanta nie drgnął ani jeden mięsień. Odwrócił się do muru i oparł wyciągnięte dłonie o ścianę, przenosząc ciężar ciała na ramiona. Keenan niechętnie zrobił to samo. Najpierw ich przeiskalem. Znalazłem tylko małą, głupią trzydziestkędwójkę z ośmiocentymetrową lufą. Taką broń można przyłożyć facetowi do głowy, a mimo to po naciśnięciu cyngla chybić. Odrzuciłem pistolet za siebie. Usłyszałem, że spadł na któryś samochód. Sierżant był czysty... a ja z ulgą się od niego odsunąłem.

- Teraz wejdziemy do domu. Ty pierwszy, Keenan, Sierżant w środku, ja na końcu. I bez żadnych figli, dobrze?

Posuwając się gęsiego, wspięliśmy się po stopniach i weszliśmy do kuchni. Było to jedno z tych sterylnych, wyjałowionych pomieszczeń, obficie chromowanych i wyłożonych terakotą. Wyglądają jak wyplute przez łono masowej produkcji gdzieś na Midwest, a

zaprojektowane przez jakichś szczerych dupków-metodystów o aparycji mister Goodwrencha i pachnących wytwornym tytoniem Cherry Blend. Bardzo wątpię, czy kuchnia ta wymagała kiedykolwiek czegoś tak prozaicznie wulgarnego jak sprzątanie. Keenan zapewne zamykał po prostu drzwi i raz na tydzień włączał ukryte gdzieś zraszarki.

Przeprowadziłem ich przez kuchnię do salonu stanowiącego kolejną ucztę dla oczu. Najwyraźniej było to dzieło jakiegoś dekoratora-pederasty, który z pewnością nigdy nie robił słodkich oczu do Ernesta Hemingwaya. Znajdował się tam wyłożony kamiennymi płytami kominek, prawie tak wielki jak winda, stolik bufetowy z drewna tekowego, zawieszony nad nim na ścianie rogi łosia oraz barek na kółkach, wsunięty pod stojak z karabinami, które gospodarz dostawał w charakterze nagród. Aparatura stereo wyłączyła się sama.

Wskazałem bronią kanapę.

- Po przeciwnych stronach - poleciłem.

Usiedli, Keenan po prawej, Sierżant po lewej. Sierżant, kiedy już zajął miejsce, sprawiał wrażenie jeszcze większego i masywniejszego, niż był w rzeczywistości. Pod króciutko obciętych włosami biegła paskudna, głęboka blizna. Oceniałem jego wagę na jakieś sto pięć, sto dziesięć kilogramów i zastanawiałem się, jak człowiek o posturze i fizycznym wyglądzie Mike'a Tysona mógł zostać posiadaczem volkswagena.

Przeciągnąłem fotel klubowy po dywanie koloru lotnych piasków i postawiłem go naprzeciwko nich, na wysokości środka kanapy. Usiadłem, czterdziestkę oparłem na udzie. Keenan patrzył na nią jak ptak na węża. Sierżant nato-miast spoglądał na mnie tak, jakby to on był wężem, a ja ptakiem.

- I co teraz? - zapytał.

- Pogadamy sobie o mapach i pieniądzach - odrzekłem.

- Nie wiem, o czym gadasz - stwierdził Sierżant. - Wiem natomiast, że mali chłopcy nie powinni bawić się bronią.

- Jak leci Cappy'emu MacFarlandowi? - zapytałem obojętnie.

Sierżant nawet nie drgnął, ale Keenanowi nerwy puściły zupełnie.

- On wie. On wie! - wyrzucał z siebie słowa niczym pociski.

- Zamknij się! - warknął Sierżant. - Zamknij swój cholerny ryj!

Keenan jęknął cicho. To była część scenariusza, jakiego nie przewidywał w najkoszmarniejszych snach. Uśmiechnąłem się.

- On ma rację, Sierżancie - powiedziałem. - Wiem. Wiem prawie wszystko.

- Kim jesteś?

- Nikim, kogo byś znał. Przyjacielem Barneya.

- Jakiego Barneya? - zapytał obojętnie Sierżant. - Barneya Google z maś-maś-maślanymi ślepkami?

- On nie był martwy, Sierżancie. Nie do końca martwy.

Sierżant odwrócił powoli głowę w kierunku Keenana i prze-słał mu mordercze spojrzenie. Ten zadrżał, a potem otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

- Nic nie mów - burknął Sierżant. - Ani jednego pieprzonego słowa. Skręć ci kark jak kurczakowi, jeśli piśniesz choć słówko.

Z cichym kłapnięciem Keenan zamknął usta.

Sierżant znów popatrzył na mnie.

- Co znaczy: "wiem prawie wszystko"?

- Wszystko z wyjątkiem kilku drobnych szczegółów. Wiem o opancerzonym samochodzie. O wyspie. Cappym MacFarlandzie. Wiem, jak ty, Keenan i pewien skurwiel nazwiskiem Jagger zabiliście Barneya. I o mapie. O niej też wiem.

- To nie było tak, jak ci powiedział. Chciał nas wykołować.

- Nie był w stanie was wykołować - odparłem. - Był jedynie kozłem ofiarnym, który umiał prowadzić samochód.

Sierżant wzruszył ramionami; przypominało to niewielkie trzęsienie ziemi.

- W porządku. Jesteś tępak, na jakiego wyglądasz.

- Już w zeszłym roku w marcu wiedziałem, że Barney w coś wdepnął. Nie wiedziałem tylko w co. Pewnego wieczoru pojawił się ze spluwą. Z tą spluwą. W jaki sposób go poznałeś?

- Przez wspólnego znajomego... przez kogoś, kto razem z nim siedział. Potrzebowaliśmy kierowcy, który zna wschodnie Maine i okolicę Bar Harbor. Keenan i ja spotkaliśmy się z nim, po czym wyniszczyliśmy całą sprawę. Z ochotą wszedł w ten interes.

- Siedziałem z nim w celi w Shank - odparłem. - Lubiłem go. Barneya nie dawało się nie lubić. Był trochę tępawy, ale w sumie dobry dzieciak. Bardziej potrzebował opiekuna niż współnika.

_ George'a i Lenniego - zakpił Sierżant.

_ Miło wiedzieć, że czas spędzany za kratkami poświęciłeś na szlifowanie pomysłu, który przyszedł ci do głowy, serduszko - zauważyłem. - Myśmy planowali bank w Lewiston. Ale Barney nie mógł czekać, aż dopracuję wszystkie szczegóły planu. No i teraz leży pod ziemią.

- Jezu, jakie to smutne - mruknął Sierżant. - Czuję, że serce topi się we mnie jak wosk.

Uniosłem pistolet i wycelowałem w niego. Przez sekundę czy dwie on był ptakiem, a ja wężem.

- Jeszcze jeden dowcipas i wpakuję ci kulę w brzuch. Wierzysz mi na słowo?

Jego język wysunął się błyskawicznie i polizał dolną wargę, po czym zniknął. Sierżant skinął głową. Keenan siedział jak zmrożony. Sprawiał wrażenie, że najchętniej zacząłby rzygać, ale się boi.

- Powiedział mi, że to duża rzecz i duża stawka - pod-jąłem. - Ale nic więcej nie udało mi się z niego wyciągnąć. Odleciał trzeciego kwietnia. Dwa dni później czterech chłopców, tuż za Carmel, napadło na pancerny samochód przewożący forszę z Portland do Bangor. Trzech strażników zginęło. W gazetach pisano, że rabusie sforsowali dwie blokady drogo-we, które założyła policja. Jechali podrasowanym plymouthem, rocznik siedemdziesiąt osiem. Barney miał taki właśnie samo-chód i zamierzał przysposobić go do autorodeo. Mogę się założyć, że Keenan wyłożył pieniądze na zaliczkę po to, żeby Barney przerobił plymoutha na coś lepszego i znacznie szybszego.

Spojrzałem w jego stronę. Twarz Keenana przybrała barwę białego sera.

- Szóstego maja dostałem pocztówkę ze stemplem poczty w Bar Harbor, ale to o niczym nie świadczy. Znajdują się tam tuziny maleńkich wysepek, z których listy przechodzą właśnie przez Bar Harbor. Krąży między nimi stateczek pocztowy i odbiera przesyłki. Na kartce było napisane: "Mama i reszta rodziny w porządku, sklep prosperuje dobrze. Do zobaczenia w lipcu". Kartkę podpisało drugim imieniem Barneya. Dzierżawiłem domek letniskowy na wybrzeżu, ponieważ Barney uważał, że może się kiedyś przydać. Przyszedł i minął lipiec, ale Barneya nie było.

- Musiał mieć jakąś dobrą kryjówkę, prawda, dzieciaku? - powiedział Sierżant.

Byłem przekonany, że za wszelką cenę chciał pokazać, że wcale się mnie nie boi.

Popatrzyłem na niego nieobecny wzrokiem.

- Pojawił się na początku sierpnia. I to dzięki twemu koleśowi Keenanowi, który zapomniał, że na pokładzie łodzi znajduje się automatyczna pompa zębowa. Myślałeś, że łajba bardzo szybko zatonie, prawda, Keenan? Poza tym byłeś święcie przekonany, że on jest już martwy. Na Frenchman's Point codziennie rozpinałem żółty koc. Widoczny z odległości kilku kilometrów. Łatwy do zauważenia. Ale Barney i tak miał wiele szczęście.

- Za dużo szczęścia - prawie wypluł z siebie Sierżant.

- Zastanawia mnie jedna rzecz. Czy on wiedział przed robotą, że pieniądze będą nowe, a ich numery seryjne zarejestrowane? Czy wiedział, że przez najbliższe trzy czy cztery lata nie sprzedacie tej forsy nawet handlarzom waluty na Bahamach?

- Wiedział - zagrzmiął Sierżant, a ja, ku swemu zdumieniu, odkryłem, że mu wierzę. - Nikt nie zamierzał tej forsy wyrzucić na śmietnik. O tym też dobrze wiedział. Podejrzewam, że

liczył, iż robota w Lewiston, o której mu wspomniałeś, zapewni mu kasę, ale bez względu na to, na co liczył albo nie liczył, znał stawkę i oświadczył, że taki układ mu odpowiada. Chryste, dlaczego nie? Musieliśmy tylko odczekać, powiedzmy, dziesięć lat, wrócić i podzielić się szmałem. Cóż znaczyło dziesięć lat dla takiego dzieciaka jak Barney? Cholera, miałby dopiero trzydzieści pięć, a ja sześćdziesiąt jeden.

- A co z Cappym MacFarlandem? Czy Barney wiedział również o nim?

- Tak. To Cappy zaproponował nam pomoc. Dobry człowiek. Fachura. W zeszłym roku wykryto u niego raka. Nieuleczalnego. A miał u mnie dług wdzięczności.

- Tak więc we czwórkę wybraliście się na wysepkę Cappy'ego - odparłem. - Maleńką, nie znaną Carmen's Folly. Cappy zakopał tam pieniądze i sporządził mapę.

- To z kolei był pomysł Jaggera - wyznał Sierżant. - Nie chcieliśmy dzielić trefnych pieniędzy... mogły się okazać zbyt kuszące. Ale nie chcieliśmy też zostawiać łupu w jednych rękach. Cappy MacFarland stanowił idealne rozwiązanie.

- Powiedz mi o mapie.

- Wiedziałem, że w końcu do tego dojdziemy - odparł Sierżant z chłodnym uśmiechem.

- Nic mu nie mów! - wykrzyknął ochryple Keenan.

Sierżant odwrócił się w jego stronę i przesłał mu spojrzenie, które mogłoby przepalić kraty.

_ Zamknij się. Nie mogę kłamać i nie mogę się bronić, nie tracąc punktów. A wszystko przez ciebie. Wiesz, Keenan, jaką mam nadzieję? Mam nadzieję, że nie doczekasz nowego wieku.

- W liście jest twoje nazwisko! - wykrzyknął dziko Keenan - Jeśli coś złego mi się przytrafi, twoje nazwisko jest w liście!

- Cappy sporządził wyśmienitą mapę - oświadczył Sierżant, zupełnie jakby Keenan nie istniał. - W Joliet bardzo dobrze opanował zasady kartografii. Mapę pociął na ćwiartki. Po jednej dla każdego. Mieliśmy się spotkać po pięciu latach, czwartego lipca, i zastanowić się, czy czekać kolejne pięć lat, czy też złożyć kawałki mapy od razu. Ale wyniknął jeden kłopot.

- Tak - powiedziałem. - Podejrzewam, że chodziło o to, jak je złożyć.

- Jeśli ma ci to poprawić humor, powiem, że wszystko to wykombinował sobie Keenan. Nie wiem, czy Barney o tym wiedział, czy nie, ale tak było. Gdy Jagger i ja opuszczaliśmy łódź Cappy'ego, Barney cieszył się jak najlepszym zdrowiem.

- Ty cholerny łgarzu! - zaskrzeczał Keenan.

- A kto w swoim ściennym sejfie trzyma dwa kawałki mapy? - zapytał Sierżant. - Czy to nie ty, mój drogi? Znowu przeniósł spojrzenie na mnie.

- Ale w dalszym ciągu wszystko jest w porządku. Połowa mapy nie wystarczy, żeby położyć łapę na forsie. I co, mam tu niby siedzieć i przekonywać cię, że wolę cztery osoby do podziału od trzech? Nawet gdyby to była prawda, i tak byś w nią nie uwierzył. Domyślasz się już, co wydarzyło się później? Dzwoni Keenan. Mówi, że powinniśmy pogadać. Spodziewałem się tego. I wygląda na to, że ty również.

Skinąłem głową. Keenana było łatwiej namierzyć niż Sierżanta - żył z większym rozmachem. Podejrzywałem, że mógłbym prześledzić całą dotychczasową drogę Sierżanta, ale byłem najgłębiej przekonany, że to niepotrzebne. Banda złodziei stanowiła niezłe stadko ptaszków... a ptaszki mają to do siebie, że lubią odfrunąć, zwłaszcza gdy jeden z nich jest takim sępem jak Keenan.

- Oczywiście - ciągnął Sierżant - poradził mi, żebym nie kombinował niczego, co mogłoby mu wyrządzić krzywdę. Oświadczył, że się zabezpieczył i złożył u swego prawnika list z adnotacją: "otworzyć-w-razie-mojej-śmierci", w którym podał moje imię i nazwisko. Jego pomysł zasadzał się na tym, że jeśli we dwójkę złożymy trzy części mapy, zapewne zdołamy ustalić, gdzie Cappy zakopał pieniądze.

- I we dwójkę równo podzielić się łupem - podpowiedziałem.

Sierżant skinął głową. Oblicze Keenana przypominało księżyc pławiący się gdzieś wysoko w stratosferze strachu.

- Gdzie jest sejf? - zapytałem go.

Keenan nie odpowiedział.

Dokonałem pewnej operacji czterdziestkąpiątką. Było to dobre kopyto. Lubilem je. Uniosłem broń obiema rękami i przestrzeliłem Keenanowi przedramię tuż pod łokciem. Sierżant nawet nie drgnął. Keenan zwałił się z kanapy, skulił na podłodze i trzymając się za rękę, wył.

- Sejf - powtórzyłem. Keenan nie przestawał wyc.

- Przestrzelę ci kolano - obiecałem. - Nie znam tego z własnego doświadczenia, ale słyszałem, że boli jak oszalały skurwysyn.

- Reprodukacja - wystękał. - Van Gogh. Ale nie będziesz już do mnie strzelać?

Popatrzył na mnie, krzywiąc się strachliwie. Wskazałem na Sierżanta pistoletem.

- Stań twarzą do ściany.

Sierżant wstał i stanął, jak kazałem. Ręce zwiesił luźno wzdłuż tułowia.

- Teraz ty - zwróciłem się do Keenana. - Otwieraj sejf.

- Wykrwawię się na śmierć - jęknął. Pochyliłem się nad nim i szturchnąłem go lufą czterdziestkąpiątki w policzek, rozcinając skórę.

- Już krwawisz - powiedziałem. - Otwieraj sejf albo będziesz krwawił jeszcze bardziej. Keenan dźwignął się z podłogi i chlapał, przyciskając do siebie postrzeloną rękę. Zdrową zdjął z haków obraz. Pod spodem widniał szary, biurowy sejf. Keenan popatrzył na mnie z przerażeniem i zaczął kręcić tarczą. Dwa razy się po-mylił i musiał zaczynać operację od początku. Za trzecim razem sejf stanął otworem. W środku były jakieś dokumenty i dwie paczki banknotów. Wsunął do sejfu rękę, pogrzebał i wyciągnął dwa kwadratowe kawałki papieru o bokach długości mniej więcej ośmiu centymetrów każdy.

Przysięgam, nie zamierzałem go zabić. Zamierzałem go tylko zwięzać i zostawić. Był zupełnie nieszkodliwy. Pokojówka po powrocie z imprezy w garsonierze, czy gdzie tam pojechała swym małym dodge coltem, znalazłaby go w salonie, a sam Keenan przez tydzień nie odważyłby się wychylić nosa z domu. Lecz było dokładnie tak, jak mówił Sierżant. Keenan miał dwa kawałki mapy. A jeden z nich nosił ślady krwi.

Ponownie do niego strzeliłem, ale tym razem już nie w ramię. Osunął się na ziemię jak pusty worek na brudną bieliznę.

Sierżant znów nawet nie drgnął.

- Nie wstawiałem ci kitów. To Keenan wykończył twego kumpla. Obaj byli amatorami. A amatorzy to głupcy.

Nie odpowiedziałem. Spojrzałem na dwa kwadratowe kawałki papieru, po czym wsunąłem je do kieszeni. Na żadnym z nich nie było znaczka X.

- Co teraz? - zapytał Sierżant.

- Pojedziemy do ciebie.

- A skąd wiesz, że mam w domu kawałek mapy?

- Nie wiem. Może to telepatia. Poza tym, jeśli nie trzymasz go w domu, pojedziemy tam, gdzie go schowałeś. Mnie się nigdzie nie śpieszy.

- Masz na wszystko odpowiedź, prawda?

- Idziemy.

Wróciliśmy do garażu. Usiadłem na tylnym siedzeniu volkswagena, po przeciwnej stronie kierowcy. Rozmiary samochodu i postura Sierżanta zabezpieczały mnie przed jakimkolwiek numerem z jego strony. Odwrócenie się w ciasnym samochodzie zajęłoby mu dobrą chwilę.

W dwie minuty później byliśmy już na szosie.

Zaczął padać śnieg; wielkie, mokre płatki, które lepiły się do przedniej szyby, a na jezdni natychmiast się topiły. Zrobiło się ślisko, ale na szczęście na ulicy panował bardzo mały ruch.

Po półgodzinnej jeździe drogą numer 10 Sierżant skręcił w boczną drogę. Po kwadransie wjechaliśmy na zryty koleina-mi, gruntowy trakt, po którego obu stronach rosły obsypane śniegiem sosny. Trzy kilometry dalej skręciliśmy na zaśmiecony podjazd.

W wąskiej smudze światła rzucanego przez reflektory volkswagena dostrzegłem nędzny, drewniany barak z połatanym dachem i wykrzywioną anteną telewizyjną. W rowie po lewej stronie podjazdu stał przysypany śniegiem ford. W głębi zobaczyłem jakąś przybudówkę i stos starych opon. Kryjówka Hernanda.

- Witaj w Bally's East - oświadczył Sierżant i wyłączył silnik.

- Jeśli się okaże, że to jakiś podstęp, zabiję cię. Wypełniał sobą trzy czwarte przodu samochodu.

- Wiem o tym - odparł.

- Wsiadaj.

Przepchnął się do drzwi.

- Otwieraj - powiedziałem. - A potem się nie ruszaj.

Otworzył drzwi i siedział bez ruchu. Ja też się nie ruszałem. Obaj przez jakieś dwie minuty się nie ruszaliśmy. Nic się nie wydarzyło. Jedynym poruszającym się stworzeniem była gruba, siwa wiewiórka, która wyszła na środek podwórza, żeby przekląć nas w lingua rodenta.

- W porządku - powiedziałem. - Prowadź do domu.

Ależ panował tam śmietnik. Jedna sześćdziesięciowatowa żarówka rzucała ponury blask na całe pomieszczenie, pozostawiając po kątach cienie przypominające zagłodzone nietoperze. Wszędzie walały się rzucone w nieładzie gazety. Na obwisłym sznurku suszyły się ubrania. W rogu stał zabytkowy telewizor marki Zenith. W przeciwnym wisiał poobijany zlew i stała masywna wanna na nóżkach w kształcie szponiastych łap, pokryta plamami rdzy. Obok niej oparto strzelbę myśliwską. Śmierdziało przepoconymi skarpetkami, bździnami i chili.

- Trudno się tu żyje - stwierdził Sierżant. W tym punkcie mógłbym z nim polemizować, ale mi się nie chciało.

- Gdzie masz swój kawałek mapy?

- W sypialni.

- Przynieś go.

- Chwileczkę. - Odwrócił się powoli w moją stronę, a jego jak wykuta w betonie twarz jeszcze stwardniała. - Najpierw daj mi słowo, że kiedy ci już to oddam, to mnie nie zabijesz.

_ A jak mnie zmusisz do dotrzymania słowa?

_ Kurwa, nie wiem. Podejrzewam, że muszę się krzepić nadzieją, że nie tylko dla forsy zrobiłeś taką aferę. Jeśli chodziło ci również o Barneya... żeby wyrównać za niego dług... to

swego dopiąłeś. Keenan go sprzątnął i teraz Keenan jest martwy. Jeśli chcesz łupu, też w porządku. Może trzy czwarte mapy wystarczy. Na mojej części jest wielki znaczek X. Ale nie oddam ci swej ćwiartki, jeśli nie obiecasz, że i ja coś na tym zyskam. Życie.

- A skąd mogę wiedzieć, że nie pójdziesz później moim śladem?

- Ależ pójdę, synku - odparł cicho Sierżant. Wybuchnąłem śmiechem.

- W porządku. Dorzucisz jeszcze adres Jaggera, a masz moje słowo. I dotrzymam go. Sierżant powoli pokręcił głową.

- Koleś, nie radzę ci zadzierać z Jaggerem. On cię zje z butami.

Uniosłem czterdziestkępiątkę, którą przedtem trochę opuściłem.

- W porządku. Jest w Coleman, w Massachusetts. W zimowym domku myśliwskim. Wybrał się tam na narty. Tyle ci wystarczy?

- Tak. A teraz idź po swój kawałek mapy.

Znow obrzucił mnie baczny spojrzeniem, skinął głową i wszedł do sypialni.

Jeszcze więcej kolonialnego uroku. Brudny materac na podłodze, na nim postrzępione książki, a na ścianach fotografie kobiet, które miały na sobie jedynie warstewkę oleju Wesson Oil. Jedno spojrzenie na sypialnię sprawiłoby, że znanej z telewizyjnej dociekliwości doktor Ruth eksplodowałaby głowa.

Sierżant się nie wahał. Podniósł stojącą na nocnym stoliku lampę i odkręcił jej podstawę. Jego ćwiartka mapy była schludnie zwinięta i wsunięta do środka. Bez słowa wyciągnął w moją stronę skrawek papieru.

- Rzuć go - zachęciłem. Uśmiechnął się blado.

- Co, boisz się o swój wątlutki karczek?

- Wiem, że mi się to opłaca. Rzuć mi mapę. Cisnął zwitek papieru w moją stronę.

- Łatwo przyszło, łatwo poszło - oświadczył.

- Zamierzam dotrzymać słowa - powiedziałem. - Uważaj się za szczęściarza. Wracaj do tamtego pokoju. W jego źrenicach pojawił się zimny blask.

- Co chcesz zrobić?

- Upewnić się, że przez jakiś czas nie opuścisz tej chałupy. Ruszaj się.

Przeszliśmy do głównego pomieszczenia; sztywna, mała parada, w której brały udział dwie osoby. Sierżant stanął pod nie osłoniętą żarówką, plecami do mnie, ramiona miał pochylone. Wiedział, że tuż przy jego karku trzymam muszkę pistoletu. Podnosiłem właśnie broń, żeby trzasnąć go w czachę, kiedy zgasło światło.

Chatę wypełnił czarny jak smoła mrok

Rzuciłem się w prawo; Sierżant zniknął niczym powiew chłodnego wiatru. Usłyszałem

głuche tąpnięcie i szelest gazet, kiedy rzucił się plackiem na podłogę. Zapadła cisza. Kompletna, dzwoniąca w uszach cisza.

Czekałem, aż wzrok oswoi mi się z zalegającymi ciemnościami, ale gdy mogłem już cokolwiek zobaczyć, nie na wiele mi się to przydało. Pokój był niczym mauzoleum z tysiącem majaczących w mroku nagrobków. A Sierżant wiedział o każdym z nich.

Dobrze znałem Sierżanta, zdawałem sobie sprawę, z jakiego zrobiony jest materiału. W Wietnamie służył w zielonych beretach w stopniu sierżanta i nikogo nie obchodziło jego prawdziwe imię i nazwisko. Był po prostu Sierżantem - wielkim twardzielem o morderczych skłonnościach.

Teraz krył się gdzieś w ciemnościach i w każdej chwili mógł uderzyć. Znał to pomieszczenie jak własną kieszeń, bo nie docierał do mnie żaden dźwięk; żadne skrzypnięcie deski w podłodze czy szelest przesuwanych stóp. Ale czułem, że jest coraz bliżej, że zachodzi mnie z lewej albo z prawej. Mógł też wykombinować jakąś sztuczkę i zaatakować od przodu.

Zaciśniętą na kolbie dłoń miałem bardzo spoconą i wiele wysiłku mnie kosztowało, by zapanować nad sobą i nie zacząć strzelać na oślep. Dobrze wiedziałem, że mam w kieszeni trzy czwarte najpyszniejszego tortu. Nie zastanawiałem się, dlaczego zgasło światło. A w każdym razie aż do chwili, gdy przez okno wpadł do środka snop silnego blasku z latarki. Przypadkowo prosto na Sierżanta, który zamarł w bezruchu w półprzysiadzie, dwa metry ode mnie, po lewej stronie. W świetle latarki jego oczy zalśniły zielono. Jak ślepia kota.

W prawej ręce trzymał otwartą brzytwę i nagle przypomniałem sobie sposób, w jaki ukradkiem sięgał do kłapy marynarki w garażu Keenana.

Sierżant, patrząc prosto w promień latarki, powiedział tylko jedno słowo:

- Jagger?

Nie wiem, który z nas trafił go pierwszy. Od strony latarki zagrzemiał huk pistoletu dużego kalibru, ale ja też nacisnąłem dwukrotnie spust swej czterdziestkipiątki. Zupełnie odruchowo. Sierżanta cisnęło na ścianę z takim impetem, że zerwało mu but.

Światło zgasło.

Strzeliłem w okno, ale jedynie wyłukłem szybę. Leżąc na boku w ciemnościach, uświadomiłem sobie, że nie tylko ja czekałem w pobliżu, aż w Keenanie weźmie górę chciwość. Czekał na to również Jagger. I jakkolwiek w samochodzie miałem jeszcze dwanaście naboí, to w pistolecie pozostał mi już tylko jeden.

“Koleś, nie radzę ci zadzierać z Jaggerem - powiedział Sierżant. - On cię zje z butami”.

Miałem już w głowie każdy szczegół pokoju. Podniosłem się z podłogi i nisko pochylony przeskoczyłem nad rozciągniętym ciałem Sierżanta, po czym skryłem się w kącie.

Wszedłem do wanny - obserwowałem pokój nad samą jej krawędzią. Żadnych dźwięków, głucha cisza. Dno wanny było szorstkie, pełne piasku i brudu. Czekałem.

Minęło jakieś pięć minut. Wydawały się pięcioma godzinami.

Znów pojawiło się światło. Tym razem w oknie sypialni. Wpadło do głównego pokoju przez drzwi, a ja pochyliłem szybko głowę. Blask omiół pokój i zgasł.

I dalej cisza. Długa, ogłuszająca cisza. Na brudnym dnie porcelanowej wanny ujrzałem wszystko. Rozpaczliwie krzywiącego się Keenana. Barneya z dziurą tuż obok pępka, usmarowaną zakrzepłą krwią. Sierżanta stojącego w bezruchu w świetle latarki i fachowo trzymającego brzytwę między kciukiem a palcem wskazującym. Jaggera; mroczny cień bez twarzy. I siebie. Piątą ćwiartkę.

Nagle tuż za drzwiami rozległ się cichy, łagodny, prawie kobiecy głos, ale nie było w nim cienia emocji. Brzmiał groźnie i stanowczo jak wszyscy diabli.

- Ej, śliczny.

Milczałem. Nie dostał mego numeru. Musiał jeszcze trochę pokręcić tarczą. Kiedy głos rozległ się ponownie, dochodził zza okna.

- Zamierzam cię zabić, śliczny. Pojawiłem się tu, żeby ich pozabijać, ale ty uwinąłeś się z tym bardzo gracko.

Cisza. Najwidoczniej znów się przemieszczał. Kiedy się odezwał, głos dochodził z okna tuż nad moją głową; tego, które znajdowało się nad wanną. Serce podeszło mi do gardła. Jeśli zapali latarkę...

- Niepotrzebne mi piąte koło - powiedział Jagger. - Wybacz.

Nie słyszałem, kiedy znów zmienił miejsce. Tym razem głos dotarł od strony drzwi.

- Mam przy sobie swoją ćwiartkę mapy. Chcesz tu podejść i ją sobie wziąć?

Naszła mnie straszna chęć odkaszlnąć, ale zapanowałem nad sobą.

- Chodź tu, śliczny, i weź ją sobie. - Teraz już głos brzmiał szyderczo. - Weź całutki torcik. Chodź i weź go sobie.

Ale ja nie potrzebowałem jego ćwiartki i podejrzewam, że on o tym doskonale wiedział. Miałem w ręku wszystkie żetony. Teraz już mogłem znaleźć pieniądze. Jagger, ze swoją pojedynczą ćwiartką, nie miał najmniejszych szans.

Tym razem cisza trwała naprawdę długo. Pół godziny, godzinę, całą wieczność. Wieczność do kwadratu. Zaczynało mi cierpnąć ciało. Wiatr wiał z taką siłą, że słychać było tylko jego zawodzenie i łoskot bijących w ściany domu tumanów śniegu. Panowało przenikliwe zimno. Opuszki palców też już powoli drętwiały.

I wtedy, około wpół do drugiej, dotarło do mnie upiorne szuranie, jakby z ciemności

nadciągało stado szcurów. Wstrzymałem oddech. Jagger w jakiś sposób dostał się do domu. Stał pośrodku pokoju...

I nagle mnie oświeciło. Rigor mortis. To ono sprawiało, że Sierżant po raz ostatni się poruszył. To wszystko. Odrobinę się rozluźniłem.

W tej samej chwili rozwarły się drzwi i do środka wskoczył Jagger. Upiorny, spowity opończą białego śniegu, wysoki, rozluźniony, wiotki. Oczekałem, aż wejdzie do łazienki, i zrobiłem mu pociskiem dziurę w głowie. W króciutkim rozbłysku broni spostrzegłem, że przedziurawiłem stracha na wróble; pozbawionego twarzy, przybranego w podarte portki i koszulę farmera. Zrobiona z jutowego materiału głowa spadła na podłogę z szyi wykonanej z kija od miotły. I wtedy Jagger otworzył do mnie ogień.

Miał pistolet półautomatyczny i wewnątrz wanny czułem się jak w wielkich, wydrążonych cymbałach. Rozprysnęła się porcelanowa polewa, zasypywała ściany i biła mnie w twarz. Posypały się drzazgi, spadła gorąca, rykoszetująca kula.

Jagger ruszył, nie chcąc dać mi najmniejszej szansy. Zamierzał mnie zabić w tej wannie jak rybę w beczce. Nie mogłem nawet unieść głowy.

Uratował mnie Sierżant. Jagger potknął się o jego ogromną martwą stopę i pocisk zamiast w moją głowę trafił w podłogę. A ja już byłem na kolanach. Wyobrażając sobie, że jestem Rogerem Clemensem, wzniosłem nad jego głowę wielką czterdziestkępiątkę Barneya.

Choć wyrząłem go w łepetynę, nie zdołałem powstrzymać jego szarży. Przeskoczyłem przez krawędź wanny, aby go chwycić, i Jagger dwukrotnie we mnie wystrzelił.

Niewyraźna postać cofnęła się o krok i przyciskając dłoń do ucha, w które uderzyłem ją pistoletem, skierowała w moją stronę celownik. Jagger przestrelił mi nadgarstek. Drugi pocisk drasnął mnie w kark. I wtedy jakimś cudem Jagger ponownie potknął się o stopy Sierżanta i upadł do tyłu. Ponownie wznosił broń, ale tym razem trafił w sufit. To była jego ostatnia szansa. Kopniakiem wytrąciłem mu z ręki pistolet. Usłyszałem trzask, jaki wydaje pękające mokre drewno. To pękły mu kości. Kopnąłem go w krocze, aż zwinął się w kłębek. I znów go kopnąłem; w tył głowy. Jego stopy zaczęły wybijać o podłogę nieprzytomny rytm. Już wtedy był martwy, ale kopąłem go i kopąłem, kopąłem tak długo, że z głowy została mu i dżem truskawkowy. Nic, po czym można by go rozpoznać, nawet po zębach; po niczym. Kopąłem go tak długo, aż w końcu nie miałem już sił, żeby ponownie zamachnąć się nogą, i nie mogłem ruszać paluchami u stóp.

Uświadomiłem sobie nagle, że wrzeszczę, choć nikt z wyjątkiem martwych mężczyzn nie mógł mnie usłyszeć.

Wytarłem usta i uklękłem obok ciała Jaggera.

Jak się okazało, skłamał na temat swojej ćwiartki mapy. Specjalnie mnie to nie zaskoczyło. Nie. W ogóle mnie to nie zaskoczyło. Mój grat stał tam, gdzie go zostawiłem, za rogiem pierwszej przecznicy od domu Keenana, ale teraz majaczyła w tym miejscu tylko wielka zaspą śniegu. Volkswagena Sierżanta porzuciłem półtora kilometra dalej. Miałem nadzieję, że ogrzewanie w moim samochodzie będzie działać. Byłem przemarznięty do szpiku kości. Otworzyłem drzwi i krzywiąc się lekko z bólu, wsiadłem do kabiny. Krew na karku zakrzepła, ale nadgarstek bolał jak licho.

Długo kręciłem kluczykiem, zanim silnik zaskoczył. Ogrzewanie działało, a wycieraczka odgarnęła śnieg z przedniej szyby po stronie kierowcy. Jagger kłamał na temat swojej ćwiartki mapy. Nie znalazłem jej w niepozornej (i zapewne skradzionej) hondzie civic, którą przyjechał. Ale w jego portfelu wyszperałem adres i jeśli naprawdę będę potrzebował tego kawałka mapy, mam duże szansę go znaleźć. Ale nie sądzę, żeby do tego doszło. Trzy ćwiartki wystarczą, zwłaszcza że na skrawku Sierżanta widniał znaczek X.

Ostrożnie odjechałem od krawężnika. Zamierzałem przez dłuższy czas bardzo na siebie uważać. Sierżant w jednym miał rację: Barney był dupkiem. To, że był jednocześnie moim przyjacielem, nie miało znaczenia. Dług spłaciłem.

A tymczasem pojawiło się wiele powodów, żeby bardzo na siebie uważać.

Sprawa doktora

(The Doctor's Case)

Mam wrażenie, że tylko raz tak naprawdę udało mi się rozwiązać zagadkę zbrodni wcześniej, niż zrobił to mój otoczony już niejaką legendą przyjaciel, pan Sherlock Holmes. Mówię "mam wrażenie", ponieważ odkąd wszedłem w dziewiątą dziesiątkę lat mego życia, pamięć zaczęła mnie zawodzić. Teraz, gdy zbliżam się do setki, wszystko całkowicie spowija mgła. Tak więc może udało mi się go wyprzedzić w jakimś innym jeszcze przypadku, ale tego już żadną miarą nie mogę sobie przypomnieć.

Wątpię, czy kiedykolwiek zapomnę o tej szczególnej sprawie bez względu na to, jaka pomroka spadnie na mój umysł, zaćmiewając myśli oraz wspomnienia, i dlatego uważam, że zanim Bóg na zawsze wytrąci mi z ręki pióro, muszę tę historię przelać na papier. Tylko Bóg wie, iż nie spowoduje to uszczerbku na honorze Holmesa; on już od czterdziestu lat spoczywa w grobie. A to, jak sądzę, jest wystarczająco długi czas, żeby wolno mi było złamać milczenie. Zwłaszcza iż nawet Lestrade, który często korzystał z usług Holmesa, ale za nim nie przepadał, nigdy nie zająknął się słowem o sprawie lorda Hulla. Zresztą, biorąc pod uwagę okoliczności, trudno byłoby mu to uczynić. Ale gdyby nawet okoliczności te były inne, mocno wątpię, czy komisarz cokolwiek by na ten temat powiedział. On i Holmes często wystawiali siebie nawzajem do wiatru i jestem pewien, że choć Holmes żywił w sercu do policjanta głęboką nienawiść (jakkolwiek nigdy nie przyznał się do tak niskich emocji), to Lestrade odnosił się do mego przyjaciela z osobliwą estymą.

Zacząło się to w deszczowe, ponure popołudnie. Zegar wybił właśnie wpół do drugiej. Holmes siedział przy oknie ze skrzypcami w dłoniach, ale nie grał, tylko w milczeniu wpatrywał się w deszcz. Niekiedy, głównie w czasach, gdy wyszedł już z nałogu kokainowego, kiedy niebo przez tydzień albo dłużej pozostawało uporczywie szare i zachmurzone, popadał w ponury nastrój. A tego dnia rozczarowanie było podwójne, ponieważ późnym wieczorem dnia poprzedniego barometr zaczął iść w górę i Holmes nabrał przekonania, że najpóźniej o dziesiątej rano się przejaśni. Zamiast tego, gdy wstałem, wisząca nad miastem mgła przemieniła się w nieustanny deszcz, a jeśli istniało coś, co jeszcze bardziej niż długie okresy pluchy drażniło Holmesa, to to, kiedy mylił się w swoich ocenach.

W pewnej chwili mój przyjaciel wyprostował się, szarpnął paznokciem strunę skrzypiec i uśmiechnął się złośliwie.

- Watsonie! To dopiero widok! Najbardziej zmoknięty pies gończy, jakiego w życiu

widziałem!

Był to, oczywiście, Lestrade. Siedział na tylnym siedzeniu odkrytej bryczki, a strugi wody zalewały jego blisko osadzone, przenikliwe, wścibskie oczy. Gdy tylko pojazd się zatrzymał, Lestrade wyskoczył na chodnik, podał woźnicy monetę i ruszył po Baker Street do domu pod numerem 221 B. Poruszał się tak szybko, że myślałem, iż wyrznie w nasze drzwi, niczym szarżujący tryk.

Usłyszałem głośnie protesty pani Hudson, która złorzeczyła na spływającą z jego ubrania wodę i tłumaczyła, jaki wpływ na dywany, zarówno na dole jak na piętrze, może mieć ten potop. Wtedy też Holmes, który obserwował śpieszącego się niczym zółw Lestrade'a, podbiegł do drzwi i zawołał na dół:

- Proszę go wpuścić na górę, pani H. Jeśli zamierza zostać dłużej, dam mu pod nogi gazety. Podejrzewam jednak... tak, podejrzewam, że...

Lestrade natychmiast ruszył na górę wielkimi susami, zostawiając za sobą pełną wymówek panią Hudson. Miał zaczerwienioną twarz, oczy płonęły mu dziwnym blaskiem, a zęby - zdecydowanie pożółkłe od tytoniu - szczyrzył w wilczym uśmiechu.

- Inspektor Lestrade! - wykrzyknął jowialnie Holmes. - Cóż pana sprowadza w taką...

Nie zdążył dokończyć. Lestrade, ciągle ciężko dysząc od biegu po schodach, wysapał:
_ Znam powiedzenie Cyganek, że diabeł zawsze spełnia życzenia, i teraz w to uwierzyłem. Chodź pan natychmiast ze mną, Holmes, a przekonasz się, że tak dokładnie jest. Zwłoki są świeże, a wszyscy podejrzani na miejscu.

- Przeraza mnie pański zapach, Lestrade! - wykrzyknął Holmes, unosząc szyderczo brwi.

- Człowieku, nie odgrywaj przede mną skromnisia... Przybiegłem, żeby zaproponować panu dokładnie taką sprawę, o jakiej pan w swej pysze myślał przy mnie ze sto albo i więcej razy. Tajemnica idealnie zamkniętego pokoju!

Holmes ruszył do kąta po tę ohydłą laskę o złoconej gałce, którą z jakichś względów uwielbiał w tamtym sezonie. Następnie odwrócił się na pięcie w stronę przemokniętego inspektora i popatrzył nań szeroko rozwartymi oczyma.

- Lestrade! Czy pan mówi poważnie?

- Czy, gdybym żartował, ryzykowałbym zachorowanie na dławiec, jadąc tu w otwartym powozie? - odparł pytaniem Lestrade.

I wtedy, po raz pierwszy w mojej obecności (jakkolwiek wielokrotnie przypisywano mu te słowa), Holmes odwrócił się w moją stronę i zawołał:

- Szybko, Watsonie! Gra się zaczyna!

Podczas drogi Lestrade zauważył cierpko, iż Holmesowi również diabeł sprzyja. Mimo

że inspektor polecił woźnicy odkrytego pojazdu zaczekać, gdy tylko wyszliśmy z domu, zaturkotała po bruku ulicy niezwykła rzadkość: pusta dorożka, która wynurzyła się z lejącego deszczu. Wsiedliśmy do niej i w mgnieniu oka ruszyliśmy. Holmes, jak zwykle, zajął miejsce po lewej stronie i natychmiast zaczął strzelać oczyma, katalogując wszystko w pamięci, jakkolwiek w taki dzień niewiele było do katalogowania... tak w każdym razie sprawa przed-stawiała się dla mnie. Nie miałem jednak wątpliwości, że jemu każdy pusty róg mijanej ulicy i każda zmywana deszczem wystawa sklepowa miały do powiedzenia bardzo wiele.

Lestrade polecił woźnicy jechać na Savile Rów, po czym zapytał Holmesa, czy zna lorda Hulla.

- Słyszałem o nim - odparł Holmes - ale nigdy nie miałem szczęścia poznać go osobiście. A teraz, podejrzewam, nigdy już mnie to szczęście nie spotka. To ten od transportu morskiego, tak?

- Tak, "Hull Shipping" - zgodził się Lestrade. - Ale fortuna jest po pańskiej stronie. Lord Hull, z tego, co mówią ludzie (włączając w to krewnych i... eheu!... najukochańszych), był bardzo dokuczliwym jegomościem; miał fioła jak bohaterowie tych najnowszych, rysunkowych książeczek dziecięcych. Niemniej skończył już z tą swoją dokuczliwością i głupotą. Dzisiejszego ranka, około jedenastej, zaledwie... - odchylił wieczko zegarka kieszonkowego i popatrzył na tarczę - ...za-ledwie dwie godziny i czterdzieści minut temu, ktoś wbił mu w plecy nóż, gdy siedział w gabinecie, a przed sobą, na bibularzu na biurku, miał swój testament.

- A pan twierdzi - powiedział zamyślonym tonem Holmes, zapalając fajkę - że gabinet tego nieprzyjemnego lorda Hulla jest owym hipotetycznym, idealnie zamkniętym pokojem, o jakim marzyłem.

Zza mgiełki niebieskiego dymu unoszącego się z fajki w oczach Holmesa dostrzegłem sceptycyzm.

- Dokładnie tak uważam - odparł cicho Lestrade.

- Drażyliśmy już nieraz z Watsonem podobne doły, ale nigdy nie dokopaliśmy się do wody - zauważył Holmes, rzucił mi przelotne spojrzenie, a następnie wrócił do katalogowania ulic, którymi jechaliśmy. - Watsonie, czy przypominasz sobie sprawę "Nakrapiana przepaska niesie śmierć"?

Nie musiałem mu nawet odpowiadać. To racja, w tamtej sprawie również występował zamknięty pokój, ale występował też wentylator, jadowity wąż oraz na tyle szalony zabójca, żeby wpuścić do przewodu tę gadzinę. Zbrodnia była dziełem genialnego, choć okrutnego umysłu, lecz Holmes prawie natychmiast dotarł do sedna sprawy.

- Jakie są fakty, inspektorze? - zapytał Holmes.

Lestrade zaczął przedstawiać zdarzenia krótkimi zdaniami doświadczonego policjanta. Lord Albert Hull był tyranem w interesach i despotą w domu. Jego żona bała się go jak ognia i najwyraźniej miała ku temu powody. Fakt, że urodziła mu trzech synów, nie łagodził wcale jego dzikiego podejścia do spraw domowych, a w szczególności do żony. Lady Hull

bardzo niechętnie mówiła o tych rzeczach, ale jej synowie nie mieli podobnych skrupułów. Ich papa - oświadczyli - nie pominął żadnej okazji, żeby dopiec ich matce, skrytykować ją albo w okrutny sposób wykpić jakieś jej wydatki... a zawsze robił to w obecności osób trzecich. Gdy byli sami, kompletnie ją ignorował. Z wyjątkiem okazji - dodał Lestrade - gdy ją bił, co było na porządku dziennym.

- William, najstarszy syn, powiedział mi, że jego matka zawsze, ilekroć przy śniadaniu pojawiała się z podbitym okiem lub opuchniętym policzkiem, raczyła synów taką samą historyjką: zapomniała włożyć okularów i wpadła na drzwi. "Wpadała na te drzwi raz albo dwa w tygodniu - oświadczył mi William. - Nawet nie wiedziałem, że mamy w domu aż tyle drzwi".

- Hmm - mruknął Holmes. - Sympatyczny jegomość, nie ma co! Ale czy synowie nigdy nie próbowali stanąć w obronie matki?

- Ona by na to nie pozwoliła - odparł Lestrade.

- Szaleństwo - wtrąciłem. - Mężczyzna, który bije żonę, jest odrażający. Z kolei kobieta, która godzi się na tak odrażające traktowanie, budzi zdumienie.

- W jej szaleństwie była metoda - rzekł Lestrade. - Metoda i, jak byście to panowie określili, "pełna natchnienia cierpliwość". Przede wszystkim lady Hull była o dwadzieścia lat młodsza od swego władcy i pana. A ponadto Hull tego pił i tego jadł. To rekordowy żarłok. Przed pięcioma laty, gdy dobił do siedemdziesiątki, nabawił się chronicznej podagry i anginy.

- Przeczekać do końca burzy i wtedy wreszcie cieszyć się piękną pogodą - stwierdził Holmes.

- Tak - przyznał Lestrade. - Lecz takie postępowanie niejednego już mężczyznę i niejedną kobietę zaprowadziło prosto do piekła. Ręczę, że Hull dokładnie poinformował rodzinę o swym majątku i postanowieniach testamentu. Los jej członków niewiele się różnił od losu niewolników.

- Testament jako umowa obustronna - mruknął Holmes.

- Dokładnie tak, stary przyjacielu. W chwili śmierci Hulla jego majątek wynosił trzysta tysięcy funtów. Nigdy nie żądał od rodziny, żeby wierzyła mu na słowo. Miał swego głównego księgowego, który co kwartał pojawiał się u nich w domu i ze szczegółami prezentował bilans "Hull Shipping". Ale Hull trzymał rękę na kasie domowej i dysponował kapitałem.

- Wcielony diabeł - oznajmiłem, myśląc o okrutnych chłopcach, jakich czasami widywałem na Eastcheap lub na Piccadilly; o chłopcach, którzy wyciągali do wygłodniałych psów smakołyki tylko po to, żeby zobaczyć, jak nieszczęsne zwierzęta tańczą na dwóch łapach... a następnie sami zjadali przysmak, podczas gdy wygłodniałe stworzenia mogły się tylko oblizywać.

Niebawem miałem się przekonać, że porównanie to było znacznie bardziej trafne, niż mógłbym się spodziewać.

- Po jego śmierci lady Rebecca miała otrzymać sto pięćdziesiąt tysięcy funtów. William, najstarszy syn, pięćdziesiąt tysięcy; średni, Jory, czterdzieści; a najmłodszy, Stephen, trzydzieści.

- A pozostałe trzydzieści tysięcy? - zapytałem.

- Drobne legaty, Watsonie. Kuzyn z Walii, ciotka z Brytanii (ale ani grosza krewnym lady Hull), pięć tysięcy dla służby. Aha, i, to ci się, Holmesie, spodoba najbardziej, dziesięć tysięcy funtów na Dom Opieki nad Opuszczonymi Kotami Pani Hemphill.

- Chyba pan żartuje! - zawołałem, lecz jeśli Lestrade oczekiwał podobnej reakcji ze strony Holmesa, srogo się za-wiódł. Sherlock tylko ponownie zapalił wygasłą fajkę i skinął głową, jakby się tego spodziewał... tego albo czegoś w tym rodzaju. - Przecież na East End niemowlęta umierają z głodu, dwunastoletnie dzieci pracują w fabrykach po pięćdziesiąt godzin tygodniowo, a ten jegomość zostawia dziesięć tysięcy funtów na... pensjonat dla kotów?

- Dokładnie tak - odparł z zadowoleniem Lestrade. - A co więcej, zapisałby Opuszczonym Kotkom Pani Hemphill dokładnie dwadzieścia siedem razy tyle, gdyby nie spotkało go to, co spotkało go dziś rano... z ręki tego, kto tego dokonał.

Mogłem mu się tylko przyglądać z rozdziawionymi ustami i rachować w myślach. Gdy już na dobre zaczęło do mnie docierać, że lord Hull zamierzał wydziedziczyć żonę i dzieci na korzyść schroniska dla kotów, Holmes spojrzał kwaśno na Lestrade'a i powiedział coś, co w moich uszach zabrzmiało kompletnie non sequitur.

- Będę kichać, prawda?

Lestrade uśmiechnął się. Był to uśmiech pełen transcendentnej słodyczy.

_ Tak, drogi Holmesie. Obawiam się, że często i z całego serca.

Holmes wyjął z ust fajkę, którą z zadowoleniem ssał (mogłem to wyczytać ze sposobu, w jaki siedział rozparty na ławce dorożki), spoglądał na nią chwilę, a następnie wystawił ją na deszcz. Bardziej osłupiała niż zwykle, obserwowałem, jak wytrząsa mokry, kopający tytoń.

_ Ile? - zapytał Holmes.

- Dziesięć - odparł Lestrade, przybierając minę szaleńca.

- Podejrzewam, że to więcej niż ów pański sławetny zamknięty pokój, który kazał panu wsiąść do odkrytej bryczki w taki deszcz - stwierdził cierpko Holmes.

- Może pan sobie podejrzewać, co pan chce - odparł wesoło Lestrade. - Obawiam się, że muszę już wracać na miejsce zbrodni... rozumie pan, służba wzywa... ale jeśli pan sobie życzy, mogę pana i dobrego doktora wysadzić z dorożki tutaj.

- Jest pan, inspektorze, jedynym człowiekiem, jakiego znam, któremu paskudna pogoda zaostrza dowcip - oświadczył Holmes. - Zastanawiam się, czy nie mówi to czegoś istotnego o pańskim charakterze. Ale nieważne... to zapewne temat na inny dzień. Niech pan powie mi jedno, Lestrade. Kiedy lord Hull nabrał pewności, że umrze?

- Umrze? - zdziwiłem się. - Drogi Holmesie, skąd ci przyszło do głowy, że ten człowiek był przekonany...

- To oczywiste, Watsonie - odrzekł Holmes. - COP, mówiłem ci o tym co najmniej tysiąc razy: Charakter Określa Postępowanie. Bawiło go, że za pomocą zapisów testamentowych trzyma ich w niewoli... - Popatrzył w bok na Lestrade. - Nie istniał żaden układ powierniczy? Nie było żadnego ustanowienia dziedzica dla majoratu?

Lestrade potrząsnął głową.

- Nie.

- Zadziwiająco! - stwierdziłem.

- Wcale nie, Watsonie. Pamiętaj, charakter określa postępowanie. Pragnął, żeby służyli mu w najgłębszym przekonaniu, iż kiedy już wyświadczy im tę grzeczność i umrze, dostaną wszystko. Tak naprawdę ani przez chwilę nie zamierzał im niczego zostawić. Taki postępek byłby czymś przeciwnym jego naturze i charakterowi. Podziela pan mój pogląd, Lestrade?

- Całkowicie - powiedział policjant.

- A więc w tym punkcie jesteśmy zgodni, Watsonie, praw-da? Czy wszystko jasne? Lord Hull uświadamia sobie, że umiera. Czekają... upewnia się, że tym razem to już naprawdę, że to żaden fałszywy alarm... a następnie gromadzi ukochaną rodzinę. Kiedy? Dziś rano, Lestrade?

Lestrade chrząknął potakująco.

Holmes podparł brodę palcami.

- Zbiera ich i oświadcza, że sporządził nowy testament, w którym wszystkich ich wydziedzicza... wszystkich z wyjątkiem służby, kilku dalekich krewnych i, naturalnie, kociątek.

Otworzyłem usta, chcąc coś powiedzieć, ale byłem zbyt oburzony, żeby wyartykułować

choć jedno słowo. I znów na-szło mnie wspomnienie okrutnych chłopców, którzy kazali wygłodniałym kundlom z East End skakać po kawałek wieprzowiny lub skórę od pasztetu. Muszę dodać, że nawet nie wpadło mi na myśl zapytać, czy taki testament jest ważny z punktu widzenia prawa. Obecnie człowiek marnowałby tylko czas, próbując wypisać z testamentu najbliższą rodzinę na korzyść schroniska dla kotów, lecz w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym wola człowieka była wolą człowieka poza przypadkami choroby umysłowej - nie ekscentryczności, ale wyłącznie autentycznej choroby umysłowej - testament taki, odpowiednio poświadczony, traktowany był jak wola Boga.

- Czy ów nowy zapis został sporządzony legalnie i w obecności stosownych świadków?

- Oczywiście - odparł Lestrade. - Wczoraj lord Hull wezwał do swego domu prawnika wraz z asystentem i za-prowadził ich do gabinetu. Przebywali tam około piętnastu minut. Stephen Hull twierdzi, że w pewnej chwili prawnik podniósł głos, protestując przeciw czemuś. Młody Hull nie potrafił powiedzieć, o co chodziło, ale lord natychmiast uciszył prawnika. Jory, średni syn, przebywał na piętrze, gdzie malował, a lady Hull wyszła do przyjaciółki. Ale i Stephen, i William byli świadkami i przybycia prawników, i tego, jak niebawem opuszczali dom. William oświadczył, że wychodzili ze spuszczonej głowami i chociaż zagadnął nawet pana Barnes, prawnika, o zdrowie, a następnie rzucił jakąś uwagę na temat pogody oraz uporczywego deszczu, Barnes nie podjął rozmowy, a jego asystent najwyraźniej się kulił. "Zupełnie jakby obu przepełniał wstyd" - stwierdził William.

No cóż, to tyle, jeśli chodzi o możliwość prawnych wykrętów - pomyślałem.

- Skoro już o tym rozmawiamy, niech pan mi powie coś bliższego o tych chłopcach - poprosił Holmes.

- Proszę bardzo. Nie muszę chyba wspominać, że ich nienawiść do rodzica przewyższała jedynie pogarda, jaką okazy-wał im ojciec... choć z drugiej strony, jak mógł pogardzać Stephenem... no dobrze, nieistotne. Opowiem wszystko po kolei.

- Tak, tak. I proszę, żeby zrobił to pan jak najdokładniej - powiedział sucho Holmes.

- William ma trzydzieści sześć lat. Gdyby ojciec dał mu jakiegokolwiek fundusze, podejrzewam, że zostałby zdrowym bufonem. A tak, skoro niewiele posiada, całe dni spędza w salach gimnastycznych, uprawiając coś, co można nazwać "kulturą fizyczną", i jest rzeczywiście wyjątkowo muskularnie zbudowanym mężczyzną. Wieczory i noce z kolei trwoni przeważnie w tanich klubach. Jeśli zdarza mu się zdobyć trochę gotówki, natychmiast idzie do szulerni, gdzie szybko przegrywa ją w karty. Nie jest to przyjemny człowiek, Holmesie. Człowiek, który nie posiada w życiu celu, pozbawiony jakichkolwiek uzdolnień, zainteresowań i ambicji (z wyjątkiem tej, aby przeżyć ojca), nie może być osobą sympatyczną. Gdy z nim

rozmawiałem, odnosiłem dziwaczne wrażenie, że przesłuchuję nie człowieka, ale pusty dzban, na którym wytłoczono twarz przypominającą nieco oblicze lorda Hulla.

- Dzban, który czeka, aż wypełni się funtami szterlinganii - zauważył Holmes.

- Jory jest zupełnie inny - kontynuował Lestrade. - Lord Hull od najwcześniejszych lat dzieciństwa syna miał go w najgłębszej pogardzie i określał pieszczotliwymi przezwiskami w rodzaju: "Rybi Pysk", "Beczkonogi" czy "Kałduniarz". Nie jest trudno zrozumieć, skąd się te przezwiska brały. Jory Hull ma nie więcej niż sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, a nawet jeszcze mniej, krzywe nogi i wyjątkowo szkaradną twarz. Przypomina trochę tego poetę. Pedzia.

~ Oscara Wilde'a? - zapytałem.

Holmes rzucił mi krótkie, rozbawione spojrzenie.

- Sądzę, że Lestrade ma na myśli Algernona Swinburne'a - powiedział. - A on jest w równej mierze pedziem jak ty, drogi Watsonie.

- Jory Hull urodził się martwy - ciągnął Lestrade. - Gdy przez całą minutę pozostawał siny i nie wykazywał oznak życia, doktor stwierdził zgon, po czym nakrył jego zdeformowane ciało pieluszką. I wtedy lady Hull w przypływie osobliwego, chwilowego heroizmu usiadła na łóżku, zabrała pieluchę i zanurzyła nogi dziecka w gorącej wodzie, niezbędnej przy porodach. Dziecko zaczęło się wic i wrzeszczeć.

Lestrade wyszczerzył zęby i zapalił zapalką cygaretkę.

- Stary Hull twierdził, że to właśnie owo zanurzenie w wodzie sprawiło, że chłopiec ma krzywe nogi. Gdy był wstawiony, nieustannie wypominał to żonie, mówiąc, że nie powinna była tego robić. "Lepiej by się stało, gdyby Jory umarł, niż przeżył i został taki, jaki jest - mawiał przy wielu okazjach. - Pokraczne stworzenie z nogami kraba i twarzą dorsza".

Jedyną reakcją Holmesa na tę zdumiewającą (a dla mnie z czysto lekarskiego punktu widzenia raczej podejrzaną) historię było stwierdzenie, że Lestrade posiada zadziwiający zasób informacji zdobytych w tak zadziwiająco krótkim czasie.

- To właśnie jeden z aspektów sprawy, który przekonał mnie, że przypadek ów przyciągnie pańską uwagę, drogi Holmesie - odparł Lestrade, gdy wjeżdżaliśmy z chlupotem kół w kałużach i w deszczu do Rotten Rów. - Nie musiałem żadnego z nich zmuszać do wyznań. Zmuszanie dałoby od-wrotny skutek. Zbyt długo musieli milczeć. Rozumie pan, nowy zapis zniknął. Radość z tego faktu rozwiązała im języki ponad miarę.

- Zniknął! - wykrzyknąłem, ale Holmes nie zwrócił na mnie uwagi. Myślni był przy Jorym, zdeformowanym, średnim dziecku.

- A zatem jest aż tak paskudny? - zapytał Lestrade'a.

- Trudno go nazwać przystojnym, ale widywałem brzydszych - odparł bez pośpiechu inspektor. - Wydaje mi się, że ojciec lżył go za to, że...

- ...że był jedyną osobą, która nie potrzebowała jego pieniędzy i potrafiła samodzielnie torować sobie drogę w życiu - zakończył za niego Holmes.

Lestrade drgnął.

- Do licha! Skąd pan o tym wie?

- Stąd, że lord Hull lżył Jory'ego jedynie za jego ułomność fizyczną. Jakże musiała drażnić starego diabła konfrontacja z kimś tak dobrze uzbrojonym pod każdym innym względem! Dręczenie człowieka za jego wygląd zewnętrzny przystoi raczej chłopcom w szkole lub pijanym prostakom, ale łajdacy pokroju lorda Hulla niewątpliwie wymagają bardziej wyszukanych sportów. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że wręcz bał się swego syna o kabłąkowatych nogach. Jakim kluczem Jory otwierał drzwi swej celi?

- Nie mówiłem? - zdziwił się Lestrade. - Maluje.

- A!

Jory Hull był, o czym świadczyły płótna porozwieszane w korytarzach na parterze domu Hullów, bardzo uzdolnionym malarzem. Nie, nie wybitnym, wcale tak nie uważam, ale portrety, jakie namalował swej matce i braciom, były wystarczająco wierne, bym po latach, gdy po raz pierwszy ujrzałem ich barwne reprodukcje fotograficzne, natychmiast cofnął się wspomnieniami do tamtego deszczowego listopada tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. A jeden z portretów ojca Jory'ego nosi wszelkie znamiona wybitnego dzieła artystyczne-go. Z całą pewnością zaskakuje (prawie zastrasza) bijąca z płótna niczym powiew ociekającego wilgocią cmentarnego powietrza wrogość. Zapewne to Algernona Swinburne'a przypominał Jory, ale podobieństwo do ojca - a w każdym razie dłonie i oczy średniego syna - przywodziły mi na myśl Oscara Wilde'a; jego nieśmiertelne prawie roue, Doriana Graya.

Tworzył duże obrazy, pracował nad nimi wolno, ale potrafił też robić sztychy tak szybko, że po jednym popołudniu spędzonym w Hyde Parku wracał do domu z dwudziestoma funtami w kieszeni.

Założyłbym się, że to się akurat jego ojcu podobało - odezwał się Holmes. Odruchowo sięgnął po fajkę, ale natychmiast wsunął ją z powrotem do kieszeni. - Syn arystokraty rysujący na kolanie portreciki bogatych amerykańskich turystów i ich ukochanych, dziewcząt z francuskiej bohemy.

Lestrade wybuchnął gromkim śmiechem.

- Na myśl o tym jego ojciec dostawał furii. Ale warsztatik Jory'ego w Hyde Parku, chwala chłopcu za to, prosperował w najlepsze... Jory malował tam tak długo, aż w końcu

ojciec zgodził się wypłacać mu trzydzieści pięć funtów kieszonkowego tygodniowo. Nazywał to obrzydliwym szantażem.

- Serce mi krwawi - stwierdziłem.

- Moje też, Watsonie - odparł Holmes. - A trzeci syn, Lestrade, niech pan mówi szybko... podejrzewam, że jesteśmy już prawie na miejscu.

Lestrade oświadczył, że to właśnie Stephen Hull miał największe powody nienawidzić ojca. Lord Hull, w miarę jak rozwijała się w nim podagra i coraz bardziej plątały się myśli, zaczął wprowadzać w interesy firmy Stephena, który w chwili jego śmierci miał zaledwie dwadzieścia osiem lat. Całą odpowiedzialność za każde niepowodzenie zrzucał na barki najmłodszego syna. Natomiast jeśli chłopak podjął słuszną decyzję, to nie miał z tego żadnych profitów, choć interes ojca kwitł.

Lord Hull powinien był traktować Stephena bardzo życzliwie, gdyż on jedyny z jego dzieci obdarzony był zainteresowaniami handlowymi i talentem do prowadzenia firmy, którą założył jego ojciec. Stephen stanowił idealny przykład człowieka, którego Biblia określa mianem: "dobry syn". Ale stary Hull zamiast okazywać mu miłość i wdzięczność, odpłacał młodzieńcowi za jego przeważnie uwieńczone sukcesem wysiłki jedynie wzgardą, podejrzliwością i zawiścią. W ciągu ostatnich dwóch lat życia starzec zwykł był mawiać miodowym głosem, że Stephen "nawet zmarłemu skradłby pensy, którymi przykryto mu oczy".

- S.....n! - wykrzyknąłem, tracąc nad sobą panowanie.

- Zostawmy chwilowo nowy zapis na boku - odezwał się Holmes i ponownie podparł palcami brodę - i wróćmy do starego. Nawet z powodu tego odrobinę bardziej szczodrego dokumentu Stephen Hull czuł złość i urazę. Mimo wszelkich jego zabiegów, które nie tylko ratowały rodzinną fortunę, ale jeszcze ją pomnażały, pozostawał ciągle najmłodszym synem, ponoszącym winę za wszystkie potknięcia. A tak swoją drogą, jakie były dyspozycje odnośnie do samego przedsiębiorstwa w tym nowym dokumencie, który możemy spokojnie nazwać Kocim Testamentem?

Popatrzyłem czujnie na Holmesa, ale jak zwykle trudno było określić, czy pokusił się tylko o bon mot. Nawet po tylu spędzonych z nim latach, po tylu przygodach, jakie wspólnie przeżyliśmy, poczucie humoru Sherlocka Holmesa ciągle pozostawało łodem nie znanym. Nawet dla mnie.

- Firmą miała się zająć Rada Nadzorcza, a dla Stephena nie została przewidziana żadna prowizja - wyjaśnił Lestrade i wyrzucił cygaretkę przez okno dorożki, skręcającej właśnie na podjazd wiodący do budynku, który od pierwszej chwili poraził mnie swą niebywałą brzydotą. Dom otaczały zbrązowiałe trawniki, błyszczące w zacinającym deszczu. - Ale teraz, kiedy jego

ojciec nie żyje, a nowy testament zniknął, Stephen Hull posiada coś, co Amerykanie określają słówkiem: "wpływy". Zajmie w przedsiębiorstwie stanowisko głównego dyrektora. Rada będzie istnieć w dalszym ciągu, ale na dyktowanych przez niego warunkach.

- Tak - odezwał się Holmes. - Wpływy. Dobre słowo. - Wychylił się i zawołał: - Woźnica, proszę się tu za-trzymać! Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy!

- To pan tak twierdzi, szefie, ale tu jest diabelnie mokro! - odkrzyknął woźnica.

- Odjedziesz stąd z kieszenią na tyle pełną, że opłaca ci się diabelnie zmoknąć, i to zarówno na zewnątrz, jak i od środka - odparł Holmes.

Słowa te zadowolili dorożkarza, który zatrzymał pojazd w odległości trzydziestu metrów od drzwi frontowych budynku. Wsłuchiwałem się w deszcz bębniący w dach dorożki, a Holmes po krótkim zastanowieniu powiedział:

- Pierwotny testament... ten, którym ich mamił... ten dokument nie zaginął, prawda?

- Skądże. Leżał na biurku, obok jego ciała.

- Czterech podejrzanych! Służby nie należy w to plątać... w każdym razie chwilowo. Niech pan szybko powie resztę, Lestrade. Okoliczności, zamknięty pokój...

Inspektor zaczął opowiadać zwięźle, zerkając od czasu do czasu do notatek. Przed miesiącem lord Hull zauważył na prawej nodze, dokładnie za kolaniem, małe, czarne znamię. Natychmiast wezwał domowego lekarza, który stwierdził gangrenę. Przypadek dość niezwykły, ale wcale nie taki rzadki w połączeniu z podagrą i fatalnym krążeniem. Doktor oświadczył, że nogę należy odjąć, i to wysoko nad miejscem infekcji.

Lord Hull wybuchnął takim śmiechem, że po policzkach popłynęły mu strumienie łez. Lekarz, który spodziewał się każdej reakcji, ale nie takiej, po prostu stracił mowę.

Kiedy już włożą mnie do trumny, konowale, to włożą mnie z obiema nogami! - oświadczył Hull. - Serdeczne dzięki, pokorny sługa".

Doktor odparł, że całkowicie rozumie lorda Hulla, który chciałby zachować obie nogi, ale bez amputacji umrze za sześć miesięcy, a przez dwa ostatnie będzie nieprawdopodobnie cierpiał. Lord Hull zapytał z kolei, jakie ma szansę, jeśli podda się zabiegowi. Ciągle ryczał ze śmiechu - dodał Lestrade - zupełnie jakby słyszał najwyborniejszy dowcip. Doktor wił się jak piskorz, ale w końcu wydukał, że trudno powiedzieć, bo szansę są takie same.

- Banialuki - oświadczyłem.

- Dokładnie to samo powiedział lord Hull - odrzekł Lestrade. - Tyle że użył innego słowa, przystającego bardziej do domu noclegowego niż do salonu.

Hull poinformował doktora, że osobiście swoje szanse szacuje nie wyżej niż jeden do pięciu.

“A co do bólu, nie sędzę, by aż do tego doszło - stwierdził. - W każdym razie tak długo, jak długo będę miał w zasięgu ręki tynkturę opium i łyżeczkę, żeby ją zamieszać”.

Następnego dnia Hull ogłosił swą okropną niespodziankę - że zamierza zmienić zapis w testamencie. I że cały czas mamił rodzinę.

- O! - mruknął Holmes i popatrzył przenikliwie na Lestrade swymi zimnymi, szarymi oczyma, które potrafiły tak wiele dostrzec. - A kto, na Boga, był zaskoczony?

- Moim zdaniem nikogo nie powinno to zdziwić. Ale zna pan ludzką naturę, Holmes. Wie pan, jak ludzie lubią się oszukiwać na przekór wszystkiemu.

- I jak, na przekór wszystkiemu, lubią tworzyć plany, które zapobiegą katastrofie - dodał zamyślonym tonem Holmes.

Tego ranka lord Hull wezwał rodzinę do salonu, a gdy już wszyscy pozajmowali miejsca, wyciągnął akt, który wymyślają spadkodawcy, a obrotne języki ich prawników formułują. Słowem, przeczytał nową wersję testamentu, w myśl której lwią część majątku dostawała się kapryśnym kotom pani Hemphill. W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, starzec nie bez trudu dźwignął się z krzesła i obdarzył rodzinę grymasem przypominającym uśmiech trupiej główki. Następnie wsparł się na lasce i złożył następujące oświadczenie, które zarówno dziś, jak

wtedy, kiedy relacjonował nam je Lestrade, uznaję za wyjątkowo nikczemne:

“Wszystko w porządku, prawda? Tak, wszystko jest bardzo w porządku! Ty, kobieto, i wy, chłopcy, służyliście mi całkiem wiernie przez jakieś czterdzieści lat. Tak więc z najczystszym sumieniem, jakie można sobie tylko wyobrazić, zamierzam wygnać was precz. Ale nie upadajcie z tego powodu na duchu! Mogło być gorzej! Faraonowie, jeśli mieli czas, przed śmiercią zabijali wszystkie swoje ukochane zwierzaki - głównie koty - żeby mogły ich przywitać w życiu po życiu, i gdzie mogli je kopać lub pieścić, w zależności od zachcianki wciąż... wciąż... i wciąż”.

Potem się roześmiał. Pochylony nad laską, marszczył w gry-masie swą starczą twarz o ziemistej cerze i ścisnął w szponiastej dłoni nową wersję testamentu; testamentu oficjalnie poświadczonego i podpisanego w obecności świadków, o czym rodzina dobrze wiedziała.

William wstał i powiedział:

“Panie, jesteś może mym ojcem i dawcą życia, ale jesteś również najbardziej odrażającą kreaturą, jaka pełzała po powierzchni ziemi od czasów, kiedy wąż skusił w raj u Ewę”.

“A wcale nie! - odparł ze śmiechem stary potwór. - Znam cztery gorsze. A teraz, jeśli pozwolicie, oddalę się do siebie, ponieważ muszę uporządkować papiery w sejfie... a kilka nie-potrzebnych spalić w piecu”.

- A więc gdy oznajmił im swą wolę, miał jeszcze egzemplarz pierwotnego testamentu? - zapytał Holmes bardziej z ciekawością niż ze zdziwieniem.

- Tak.

- Mógł przecież spalić stary zapis zaraz po tym, jak nowy został sporządzony i podpisany przez świadków - zadumał się Holmes. - Miał do dyspozycji całe poprzednie popołudnie i wieczór, żeby to uczynić. Ale nie zrobił tego, prawda? Dlaczego? Jak by pan odpowiedział na to pytanie, Lestrade?

- Podejrzewam, że chciał jeszcze bardziej zabawić się ich kosztem. Dawał im szansę, kusił, mamił, że wszystko jeszcze zmieni.

- Zapewne liczył na to, że któreś z nich się nie cofnie - Powiedział Holmes. - Czy nie przyszła panu do głowy taka Możliwość? - Odwrócił głowę w moją stronę i obrzucił mnie swym inteligentnym i cokolwiek mrozącym spojrzeniem. - Czy nie przyszło to wam obu do głowy? Czyż nie jest możliwe, że tak czarny charakter zaczął kusić, wiedząc, że jeśli ktoś z jego rodziny ulegnie temu kuszeniu i skróci ojcu cierpienia... z tego, co pan mówił, inspektorze, wynika, że najprawdopodobniej byłby to Stephen... to osoba ta zostanie schwytana... i zadynda za ojcobójstwo?

Popatrzyłem z niemą zgrozą na Holmesa.

- Nieważne - powiedział. - Dalej, inspektorze. Sądzę, że już czas, by na scenie pojawił się zamknięty pokój.

Cała czwórka siedziała jak sparaliżowana, obserwując w milczeniu oddalającego się powoli korytarzem w kierunku swego gabinetu starca. Panowała głucha cisza mącona jedynie stukaniem jego laski, rżącym oddechem, płaczliwym miauczeniem kota w kuchni i miarowym tykaniem zegara w salonie. Później dotarł skrzyp zawiasów, gdy starzec otwierał drzwi gabinetu, do którego po chwili wszedł.

- Chwileczkę! - przerwał ostro Holmes, prostując się na ławce. - Ale nikt nie widział, jak wchodzi do gabinetu, prawda?

- Obawiam się, że to nie tak, mój drogi Holmesie - odparł Lestrade. - Pan Oliver Stanley, służący lorda Hulla, usłyszał, jak jego pan idzie korytarzem. Wyszedł z przebieralni Hulla, podszedł do balustrady galerii i krzyknął na dół, pytając, czy wszystko w porządku. Hull popatrzył w górę; Stanley widział go tak wyraźnie jak ja teraz pana, przyjacielu, i odparł, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Następnie potarł tył głowy, wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Gdy ojciec docierał do drzwi gabinetu (korytarz jest bardzo długi, toteż bez niczyjej pomocy wędrowka zajęła starcowi dobre dwie minuty), Stephen otrząsnął się ze stuporu i stanął

w progu salonu. Był świadkiem wymiany zdań między swym ojcem a służącym. Oczywiście lord Hull stał odwrócony do syna plecami, ale Stephen słyszał przecież jego głos i widział charakterystyczny dla starego Hulla gest: pocieranie tyłu głowy.

- A czy przed przybyciem policji Stephen Hull miał okazję porozumieć się ze Stanleyem? - zapytałem, moim zdaniem bardzo inteligentnie.

- Naturalnie - odparł ze znużeniem Lestrade. - I prawdopodobnie rozmawiał. Ale z całą pewnością w zмовie nie są.

- Jest pan tego pewien? - zapytał bez szczególnego zainteresowania Holmes.

- Tak. Stephen potrafiłby łącać jak z nut, ale Stanley robiłby to bardzo kiepsko. Może mi pan w tej kwestii zaufać albo nie. To już pańska sprawa, Holmes.

- Ufam.

Tak więc lord Hull wszedł do gabinetu, do słynnego zamkniętego pokoju, i wszyscy usłyszeli zgrzyt przekręcanego w zamku klucza; jedynego egzemplarza klucza dającego dostęp do sanctum sanctorum. Później dobiegły stamtąd bardziej nie-codzienne dźwięki: hałas zakładanej na drzwi sztaby.

Następnie zapadła cisza.

Cała czwórka - lady Hull i jej synowie, którzy w jednej chwili zostali nędzarzami o błękitnej krwi - popatrzyła na siebie w milczeniu. W kuchni ponownie miauknął kot i lady Hull powiedziała z roztargnieniem, że jeżeli gospodyni nie da kotu miseczki mleka, to ona to zrobi. Dodała, że jeśli miauczenie potrwa chwilę dłużej, ona zwariuje. Powiedziawszy to, wyszła z salonu. W chwilę później, nie zamieniając ze sobą słowa, trzech bracia również opuścili pokój. William udał się do siebie na górę, Stephen do gabinetu muzycznego, a Jory usiadł na ławie pod schodami, gdzie od najwcześniejszych lat, jak wyznał Lestrade'owi, zawsze się kryje, gdy jest smutny lub ma do przemyślenia jakiś ważny problem.

W niecałe pięć minut później z gabinetu rozległ się wrzask. Stephen wybiegł z pokoju muzycznego, gdzie przebierał palcami po klawiszach pianina. Jory spotkał go pod drzwiami sanktuarium ojca. William był już w połowie schodów prowadzących z piętra, gdy ujrzał, jak dwaj bracia próbują sforsować drzwi. W tej samej chwili z przebieralni wynurzył się lokaj Stanley i po raz drugi podszedł do balustrady galerii. Stanley oświadczył, że widział, jak Stephen wdiera się do gabinetu, widział, jak William dociera do końca schodów, gdzie poślizgnął się na marmurowej posadzce i o mało nie upadł. Widział też, jak z jadalni wychodzi lady Hull, niosąc dzbanek mleka. W kilka chwil później zbiegła się służba.

- Lord Hull leżał połową ciała na biurku, a trzech bracia stali obok niego. Starzec miał rozwarte oczy, które spoglądały na nich... czy ja wiem, ze zdumieniem? I znów możecie mi

ufać lub nie, ale oświadczam, że moim zdaniem malowało się w nich

właśnie zdumienie. W zaciśniętej dłoni trzymał testament... ten pierwotny. Po nowym nie było śladu. A w plecach starca tkwił sztylet.

Powiedziawszy to, Lestrade stuknął na woźnicę, żeby ruszał.

Wejścia do domu strzegło dwóch konstabli o twarzach nie-ruchomych niczym twarze strażników w Buckingham Pałace. Wewnątrz, od drzwi ciągnął się bardzo długi korytarz o posadzce z czarnych i białych marmurowych płytek ułożonych w szachownicę. Wiódł prosto do otwartych drzwi znajdujących się na jego końcu. Tam również trzymało wartę dwóch konstabli. Drzwi prowadziły do owego niesławnego gabinetu. Po lewej stronie znajdowały się schody, po prawej dwoje drzwi. Zgadłem, że prowadzą do salonu i pokoju muzycznego.

- Cała rodzina jest w salonie - poinformował Lestrade.

- Doskonale - odparł pogodnie Holmes. - Ale najpierw chcemy z Watsonem obejrzeć miejsce zbrodni.

- Czy mam panom towarzyszyć?

- Nie trzeba - odrzekł Holmes. - Zabrano już ciało?

- Gdy po was wyjeżdżałem, ciągle jeszcze było na miejscu zbrodni. Ale do teraz z całą pewnością już je usunięto.

- Bardzo dobrze.

Kiedy Sherlock ruszył w stronę gabinetu, a ja za nim, Lestrade zawołał:

- Holmes!

Sherlock odwrócił się z uniesionymi pytająco brwiami.

- Żadnych sekretnych boazerii, żadnych ukrytych drzwi. Po raz trzeci może mi pan ufać lub nie. Jak pan chce.

- Myślę, że poczekam... - mruknął Holmes i nagle zaczął mu się rwać oddech.

Sięgnął gwałtownie do kieszeni, wyciągnął z niej serwetkę, którą zapewne przez roztargnienie zabrał z jakiejś restauracji, gdzie jadł kolację poprzedniego wieczoru, i potężnie kichnął. Popatrzyłem na podłogę i ujrzałem wystraszonego kocura, zupełnie nie na miejscu w tym wielkim holu, podobnie jak nie na miejscu byłiby ulicznicy, o których myślałem wcześniej. Przemykał obok nóg Holmesa. Jedno ucho zwierzęcia leżało, przylegając ściśle do czaszki. Drugiego w ogóle nie było. Za-pewne stracił je w jakiejś ulicznej bójce.

Holmes ponownie kichnął i kopnął kota. Kocisko obrzuciło go pełnym wyrzutem spojrzeniem, ale nie zasyczało gniewnie jak można się było spodziewać po takim starym wojowniku. Holmes z kolei popatrzył z wyrzutem załzawionymi oczyma na Lestrade'a. Inspektor bez śladu zmieszania wysunął do przodu głowę i uśmiechnął się jak małpa.

- Dziesięć, Holmes - powiedział. - Dziesięć. Dom jest pełen kotów. Hull je uwielbiał. Z tymi słowy oddalił się.

- Od kiedy cierpisz na tę przypadłość, przyjacielu? - za-pytałem. Ogarniał mnie lekki niepokój.

- Od zawsze - odparł Holmes i ponownie kichnął. W tamtych latach nie znano jeszcze słowa "alergia", ale mój przyjaciel miał właśnie alergię.

- Czy chcesz stąd wyjść? - zapytałem.

Byłem ongiś świadkiem zdarzenia, że cierpiący na podobną awersję człowiek o mało się nie udusił. Wtedy chodziło wprawdzie nie o kota, lecz o owcę, ale pod każdym względem przypominało to objawy, jakie wykazywał obecnie Holmes.

- On chce wyjść - powiedział Holmes.

Nie musiał wyjaśniać, kogo ma na myśli. Ponownie kichnął (na jego zazwyczaj bladym czole pojawiła się wielka, czerwona plama), przekroczył próg gabinetu, mijając dwóch konstabli i dokładnie zamknął za nami drzwi.

Pokój był długi i stosunkowo wąski. Był położony w końcu jednego ze skrzydeł budynku. Główna część domu zajmowała mniej więcej trzy czwarte całej powierzchni i od niej właśnie rozchodziły się dwa skrzydła. Po obu stronach gabinetu znajdowały się okna i dlatego w pomieszczeniu, mimo że panował szary, deszczowy dzień, było bardzo jasno. Na ścianach wisiały mapy morskich szlaków oprawione w śliczne ramki z lękowego drewna. Dostrzegłem tam również imponujący zbiór instrumentów do badania pogody umieszczony w mosiężnej gablocie o szklanym blacie. Zobaczyłem w niej anemometr (podejrzewam, że Hull miał również na dachu niewielki, obracający się instrument wskazujący kierunek wiatru), dwa termometry (je-den rejestrujący temperaturę na zewnątrz, a drugi w gabinecie) oraz barometr, taki sam jak ten, który zwiódł Holmesa, wskazując odmianę pogody. Widząc, że wskazówka instrumentu ciągle się podnosi, wyjrzałem przez okno. Deszcz lał jeszcze większy, bez względu na wskazania przyrządu. Na ogół ludzie sądzą, że dzięki różnorodnym instrumentom i urządzeniom wiemy więcej, ale ja byłem wystarczająco stary, żeby wiedzieć iż nie znamy nawet połowy tego, co nam się wydaje, a teraz jestem wystarczająco stary, żeby wiedzieć, iż nigdy wszystkiego nie poznamy.

Obaj odwróciliśmy się w stronę drzwi. Sztaba została wy-rwana, ale wyrwana do środka pokoju, tak jak powinno być. W zamku ciągle tkwił przekreślony klucz.

Holmes wodził załzawionymi oczyma po całym pokoju, notując, katalogując, rejestrując w pamięci każdy szczegół.

- Już ci trochę lepiej - stwierdziłem.

- Tak - odparł, opuszczając serwetkę i chowając ją nie-dbale do kieszeni płaszcza. - Może uwielbiał koty, ale ich do gabinetu nie wpuszczał; w każdym razie nie ciągle. No i co o tym wszystkim myślisz, Watsonie?

Jakkolwiek wolniej niż on, ale również wodziłem wzrokiem po całym pomieszczeniu. Podwójne okna były pozamykane na klamki i małe boczne miedziane zasuwki. Żadna szybka nie została wybita. Większość oprawionych map i gabloty z instrumentami znajdowały się między otworami okiennymi. Pozostałe dwie ściany pokoju wypełniały książki. Dostrzegłem również niewielki piecyk na węgiel; piecyk, nie kominek. A zatem morderca nie dostał się tutaj przez komin jak święty Mikołaj, chyba że był tak chudy, iż przecisnął się przez rurę prowadzącą do piecyka, a na dodatek miał na sobie strój z azbestu, ponieważ piec nadal był bardzo gorący.

Biurko znajdowało w końcu długiego, wąskiego, doskonale oświetlonego pomieszczenia. Przeciwny koniec pokoju wypełniały półki ze schludnie ustawionymi książkami, ale nie była to biblioteka. Stały tam dwa wyściełane krzesła o wysokich oparciach, a między nimi mały stolik do kawy. Na stoliku leżało kilka rzuconych niedbale książek. Na podłodze rozciągał się turecki dywanik. Gdyby morderca miał dostać się do gabinetu lorda Hulla drzwiami zapadowymi, musiałby ten dywan wzburzyć. A przecież kilim leżał prosto, bez jednej zmarszczki. Padał na niego cień nóżek stolika i widziałem, że na dywanie nie było najmniejszej fałdki.

- Czy wierzysz w to, Watsonie? - zapytał Holmes, wrywając mnie z hipnotycznego prawie transu. Coś... coś w tym stoliku do kawy...

_ Czy wierzę w co, Holmesie?

- Że cała czwórka na cztery minuty przed morderstwem tak po prostu wyszła z salonu w cztery różne strony? _ Nie wiem - odparłem słabo.

- Bo ja nie wierzę. Nie wierzyłem ani przez chwili... - urwał. - Watsonie! Dobrze się czujesz?

- Nie - odparłem głosem tak słabym, że z trudem sam siebie słyszałem. Opadłem na krzesło przy biblioteczce. Serce biło mi jak oszalałe, oczy zdawały się wychodzić z orbit. Nie potrafiłem oderwać wzroku od cieni nóg stolika do kawy padających na dywan. - Jestem... zdecydowanie nie... no cóż....

W tej samej chwili w progu gabinetu pojawił się Lestrade.

- Jeśli już wszystko obejrzałeś, H... - Urwał. - Co, do licha, stało się Watsonowi?

- Podejrzewam - odparł spokojnym, mierzonym głosem Holmes - że Watson rozwiązał już zagadkę tego morderstwa. Czy tak, Watsonie?

Skinąłem głową. Zapewne nie rozwikłałem jeszcze całej tajemnicy, ale jej większą część tak. Wiedziałem kto; wiedziałem jak.

- Czy z tobą, Holmesie, dzieje się to samo? - zapytałem. Wtedy gdy... wpadasz na trop?

- Tak - powiedział. - Z tym tylko, że w takich chwilach potrafię utrzymać się na nogach.

- Watson rozwiązał zagadkę? - zapytał zniecierpliwiony Lestrade. - Ba! Holmesie, jak sam najlepiej wiesz, Watson oferował już tysiąc rozwiązań w stu sprawach i żadne z nich nie okazało się prawdziwe. To jego betę noire. Cóż, pamiętam, jak zeszłego lata...

- Znam Watsona lepiej, niż pan kiedykolwiek go pozna - odparł Holmes. - I tym razem znalazł właściwe rozwiązanie. Widzę to po nim.

Znów zaczął kichać, gdyż do gabinetu przez drzwi, które Lestrade zostawił otwarte, ponownie wczłapał kot. Zwierzę skierowało się prosto do Holmesa. Paskudny pysk wyrażał bezgraniczną miłość.

- Jeśli za każdym razem czujesz to samo co ja teraz - Powiedziałem - nigdy ci tego, Holmesie, nie wybaczę. Myślałem, że pęknie mi serce.

- Do wszystkiego można nawyknąć, nawet do przebłysków intuicji - odrzekł Holmes bez śladu zarozumiałości w głosie. - Więc o co chodzi... a może, jak w ostatnim rozdziale powieści detektywistycznej, powinniśmy sprowadzić tu wszystkich podejrzanych?

- Nie! - krzyknąłem przerażony. Nie widziałem jeszcze żadnego z nich i wcale się do tego nie śpieszyłem. - Myślę, że najpierw pokażę wam, jak to zostało dokonane. Jeśli tylko ty i inspektor Lestrade wyjdziecie na chwilę na korytarz...

Kot dotarł do Holmesa, wskoczył mu na kolana i zaczął się tam kokosić, mrużąc jak najszcześniejsze stworzenie na świecie.

Holmes eksplodował kanonadą kichnięć. Czerwone plamy na czole, które zaczęły już znikać, ponownie wystąpiły. Odepchnął kota i wstał.

- Pośpiesz się, Watsonie, żebyśmy mogli jak najszybciej opuścić to przeklęte miejsce - powiedział stłumionym głosem i wyszedł z pokoju.

Ramiona miał przygarbione, głowę spuszczoną i ani razu nie spojrzął za siebie.

Uwierzcie, zabrał ze sobą cząsteczkę mego serca.

Lestrade stał oparty o framugę drzwi, jego przemoczony płaszcz lekko parował. Usta inspektora były rozchylone w obmierzłym uśmiechu.

- Czy mogę wziąć nowego wielbiciela Holmesa, Watsonie? - zapytał.

- Zostaw go pan i zamknij za sobą drzwi - odparłem.

- Założę się o pięć funciaków, że tylko zabiera nam pan czas, starcze - oświadczył Lestrade, ale w jego oczach dostrzegłem jakiś nowy wyraz.

Gdybym przyjął jego zakład, z pewnością uczyniłby wszystko, żeby się z niego wykręcić.

- Proszę zamknąć za sobą drzwi - powtórzyłem. - Nie zabiorę wam dużo czasu.

Inspektor posłusznie to uczynił i zostałem w gabinecie Hulla sam... z wyjątkiem oczywiście kota, który usiadł pośrodku dywanu z ogonem starannie owiniętym wokół łap i obserwował mnie zielonymi ślepiami.

Pomacałem kieszenie i znalazłem mój souvenir wyniesiony z kolacji poprzedniego wieczoru. Obawiam się, że samotni mężczyźni bywają raczej niechlujami, ale to, że nosiłem w kieszeniach chleb, brało się z czegoś innego, nie z wrodzonego niechlujstwa. Prawie zawsze w którejś z kieszeni miałem skórki od chleba, ponieważ lubiłem karmić gołębie, często zaglądające do okna, przy którym siedział Holmes w chwili, gdy pojawił się w jego mieszkaniu Lestrade.

- Kotku - powiedziałem, kładąc chleb pod stolikiem; pod stolikiem, do którego lord Hull siedział tyłem w chwili, gdy przeglądał oba testamenty; wstrętny pierwszy i jeszcze wstrętniejszy drugi. - Kici-kici-kici.

Kot wstał, po czym ospale poczłapał pod stół, żeby obwąchać skórkę.

A ja podszedłem do drzwi i otworzyłem je.

- Holmesie! Lestrade! Szybko! Obaj pojawili się w mgnieniu oka.

- Chodźcie tutaj - powiedziałem i zbliżyłem się do stolika do kawy.

Lestrade rozejrzał się i zaczął marszczyć brwi, nie mogąc niczego dostrzec. Holmes, naturalnie, znów zaczął kichać.

- Czy nie można zabrać stąd tego obrzydlistwa? - poskarżył się stłumionym głosem zza serwetki stołowej, która była już kompletnie mokra.

- Oczywiście - odrzekłem. - Ale gdzie jest to obrzydlistwo, Holmesie?

W jego zażawionych oczach pojawiło się zaskoczenie. Lestrade odwrócił się na pięcie, podszedł do biurka Hulla i zajrzał za nie. Holmes jednak zdawał sobie sprawę z tego, iż jego reakcja nie byłaby aż tak silna, gdyby kocisko znajdowało się w odległym końcu pokoju. Pochylił się i zajrzał pod stolik do kawy. Nie dostrzegł niczego poza dywanem i najniższymi półkami dwóch regałów po drugiej stronie. Wyprostował się. Gdyby z oczu nie płynęły mu fontanny łez, zorientowałby się natychmiast. Ostatecznie wszystko miał przed nosem. Ale sprawiedliwość należy oddać zawsze tam, gdzie należy ją oddać, a iluzja była zaiste diabelska. Pusta przestrzeń pod stolikiem do kawy stanowiła majstersztyk Jory'ego Hulla.

~ Nie... - zaczął Holmes i wtedy kot, który doszedł do wniosku, że stanowczo woli mego przyjaciela od skórki chleba, wysunął się spod stolika i zaczął ekstatycznie ocierać się o kostki

Holmesa.

Wrócił Lestrade, a oczy zrobiły mu się tak okrągłe, że myślałem, iż lada chwila wyskoczą z orbit. Chociaż pojąłem, na czym polegała sztuczka, sam byłem zdumiony. Zdawało się, że pokryty bliznami kocur zmaterializował się w powietrzu z niczego: najpierw głowa, później tułów, a na końcu ogon z białą łatką. Mruczając, ocierał się teraz o nogi kichającego nieprzerwanie Holmesa.

- Dosyć - powiedziałem. - Wykonałeś swoje zadanie i teraz wynocha.

Podniosłem zwierzę, zaniósłem je do drzwi (otrzymując w zamian zdrowe drapnięcie) i bezceremonialnie wyrzuciłem kota na korytarz. Zamknąłem dokładnie drzwi.

Holmes usiadł.

- Mój Boże - powiedział nosowym, głuchym tonem.

Lestrade'owi kompletnie odjęło mowę. Nie spuszczał wzroku ze stolika i wytartego tureckiego dywanu; z pustej przestrzeni, z której w jakiś niebywały sposób narodził się kot.

- Powinienem był to zauważyć - mruczał Holmes. - Tak... ale ty... jak pojąłeś to tak szybko?

Wyczułem w jego głosie najdelikatniejszy ton żalu i urazy, a jednocześnie niemą prośbę o wybaczenie.

- To dzięki temu - odparłem, wskazując dywan.

- Naturalnie - prawie jęknął Holmes. Klepnął się w czoło pokryte czerwonymi plamami.

- Idiota! Jestem skończonym idiotą!

- Nonsens - odparłem opryskliwie. - Podejrzewam, że w domu pełnym kotów, z których jeden wybrał cię na osobistego przyjaciela, wszystko ci się troi w oczach.

- O co chodzi z tym dywanikiem? - zapytał poirytowany Lestrade. - Jest bardzo ładny i założę się, że musi być drogi, ale...

- To nie dywanik - odparłem. - To cienie.

- Pokaż inspektorowi, Watsonie - odparł znużonym głosem Holmes, opuszczając serwetkę na kolana.

Schyliłem się i podniosłem jeden z podłogi.

Lestrade, jak człowiek, który nieoczekiwanie zainkasował potężny cios, siadł ciężko na drugim krześle.

- Rozumiecie, nieustannie na nie spoglądałem - powiedziałem wbrew samemu sobie przepraszająco.

Cała sprawa poszła nie tak. To Holmes powinien na zakończenie śledztwa wyjaśnić wszelkie "kto" i "jak". Ale gdy zauważyłem, że wszystko już rozumie, wiedziałem, że nie

zechce zabierać głosu. A jakaś część mnie, część, która wiedziała, iż nigdy już los nie sprezentuje mi szansy dokonania podobnego wyczynu, koniecznie chciała wszystko wyjaśnić osobiście. A muszę przyznać, że posunięcie z kotem było mistrzowskie. Magik nie dokonałby lepiej sztuczki z królikiem i cylindrem.

- Wiedziałem, że coś jest nie tak, lecz zajęło mi chwilę, zanim się w tym połapałem. Pokój jest wyjątkowo jasny, ale dzisiaj za oknem pada. Niech pan się rozejrzy, inspektorze. Żadne przedmioty nie rzucają cienia... z wyjątkiem nóżek tego stolika.

Lestrade zaklął.

- Pada prawie od tygodnia - stwierdziłem. - Ale zarówno barometr Holmesa, jak barometr Hulla... - wskazałem instrument - ... mówią, że dziś będzie słoneczny dzień. W każdym razie wszystko na to wskazywało. Tak więc dodał cienie jako ostatni element.

- Kto?

- Jory Hull - odpowiedział tym samym zmęczonym tonem Holmes. - A któż by inny?

Pochyliłem się i wsunąłem rękę pod prawy skraj stolika. Zniknęła w powietrzu, podobnie jak zniknął kot. Lestrade ponownie zaklął. Postukałem w lewą stronę płótna rozpiętego sztywno między przednimi nogami mebla. Półki z książkami i dywanik wybrzuszyły się, zmarszczyły i całe to wspaniałe złudzenie w jednej chwili zniknęło.

Jory Hull namalował to nic pod stolikiem do kawy swego ojca i ukrył się za tym nic na czas, gdy jego ojciec wchodził do gabinetu, zamykał za sobą drzwi i siadał za biurkiem z dwoma testamentami. Później wyszedł spoza tego nic ze sztyletem w dłoni.

- Tylko on był w stanie stworzyć coś równie realistycznego - wyjaśniłem, przeciągając tym razem dłońią po prawej stronie płótna. Do naszych uszu dobiegł cichy, niski, chrapliwy dźwięk, jak mruczenie bardzo leciwego kota. - Tylko on mógł coś takiego namalować i tylko on mógł się za tym skryć. Tylko Jory Hull ma niecałe sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, pałkowate nogi i przygarbione plecy.

Jak stwierdził Holmes, niespodzianka, którą miał stanowić nowy zapis testamentowy, nie była żadną niespodzianką. Na-wet gdyby starzec utrzymał w ścisłej tajemnicy zamiar wypisania z testamentu rodziny, wyłącznie kiep nie zorientowałby się w jego zamiarach, widząc w domu prawnika, a co ważniejsze, jego asystenta. Najwyższy Sąd Cywilny w Londynie uznaje dokument za ważny tylko w wypadku, gdy jest poświadczony przez dwóch świadków. To, co Holmes powiedział o ludziach, którzy robią wszystko, aby zabezpieczyć się przed nadciągającą katastrofą, okazało się szczerą prawdą. Tak idealnie zrobionego płótna nie dałoby się stworzyć w jeden dzień czy nawet w miesiąc. Zapewniam was, że Jory pracował nad nim przez cały rok...

- Albo i pięć - wtrącił Holmes.

- Możliwe. Podejrzewam, że tak czy owak, gdy Hull oznajmił, że zamierza tego ranka spotkać się z rodziną w salonie, Jory pojął, że nadszedł czas działania. Gdy wczoraj wieczorem jego ojciec udał się na spoczynek, on zszedł na dół i zamontował płótno. Myślę, że wtedy też zrobił te cienie. Ponadto wszedł zapewne ukradkiem do gabinetu również dziś rano, przed zapowiedzianym wcześniej zgromadzeniem w salonie, i zerknął na barometr, żeby się upewnić, że wciąż idzie w górę. W każdym razie ja na miejscu Jory'ego tak właśnie bym postąpił. Gdyby drzwi okazały się zamknięte, wykradłbym z kieszeni ojca klucz, a później niezauważenie wsunąłbym go tam z powrotem.

- Drzwi nie były zamknięte - stwierdził lakonicznie Lestrade. - Stary miał zwyczaj je zamykać, żeby po gabinecie nie włóczyły się koty, ale rzadko zamykał pokój na klucz.

- A jeśli chodzi o same cienie, zrobiono je z pasków filcu, o czym zresztą sami możecie się przekonać. Jory ma dobre oko. Cienie znajdują się dokładnie w tym miejscu, gdzie powinny być o godzinie jedenastej przed południem... gdyby barometr się nie pomylił.

- Skoro spodziewał się słonecznej pogody, po co w ogóle nakładał te cienie? - zapytał opryskliwie Lestrade. - Jak pan wie, rzuciłoby je samo słońce. Mówię to na wypadek, gdyby pan, Watsonie, nigdy nie zauważył własnego cienia.

Tu byłem w kropce. Popatrzyłem na Holmesa, który sprawiał wrażenie, że odczuwa niebывalą wdzięczność za to, że dałem mu możliwość włączenia się do rozwiązywania zagadki.

_ Nie rozumie pan, inspektorze? W tym właśnie tkwi największa ironia! Gdyby, zgodnie ze wskazaniem barometru, świeciło słońce, płótno blokowałoby cienie. A jak pan wie, namalowane nogi nie rzucają cieni. Wpadł na tych cieniach w dzień, kiedy nie było żadnych, ponieważ bał się, że wpadnie na braku tych cieni w dniu, w którym barometr jego ojca twierdził, że w pokoju będzie ich nadmiar.

- Ciągle nie rozumiem, jak Jory dostał się do gabinetu, a Hull go nie zobaczył - stwierdził Lestrade.

- To stanowi zagadkę i dla mnie - przyznał Holmes. Stary, dobry Holmes! Bardzo wątpię, czy rzeczywiście stanowiło to dlań zagadkę, ale tak właśnie powiedział. - Watsonie?

- Z salonu, w którym lord Hull spotkał się z żoną i synami, jedne z drzwi prowadzą do gabinetu muzycznego, prawda?

- Tak - potwierdził Lestrade. - A pokój muzyczny łączy się z kolei z gotownią lady Hull, która jest druga w linii pomieszczeń ciągnących się w głąb domu. Ale z gotowni można już wyjść jedynie na korytarz. Gdyby w gabinecie Hulla było dwoje drzwi, nie pędziłbym z takim pośpiechem po Holmesa.

Ostatnie słowa wypowiedział tonem usprawiedliwienia.

- Ależ Jory wyszedł właśnie na korytarz - powiedziałem. - Ale ojciec go nie widział.

- Bzdura!

- Zademonstruję - zaproponowałem i podszedłem do biurka, o które wciąż jeszcze stała oparta laska zabitego. Sięgnąłem po nią, po czym obejrzałem się w stronę Holmesa i inspektora. - Gdy tylko lord Hull opuścił salon, Jory zerwał się z miejsca i wybiegł z pokoju.

Lestrade popatrzył zaskoczony na Holmesa. Ten oddał mu chłodne i ironiczne spojrzenie. Nie rozumiałem wówczas owej wymiany spojrzeń, ale też i nie poświęciłem jej chwili uwagi, ponieważ chciałem wszystko wyjaśnić sam. Nie rozumiałem jeszcze szerszych implikacji obrazu, jaki im malowałem. Sądzę, że wpadłem w przesadę, chcąc samodzielnie odtworzyć całą sytuację.

- Minął pierwsze drzwi, pokój muzyczny i wszedł do gotowalni lady Hull. Podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. Skoro podagra lorda Hulla osiągnęła już takie stadium, że wywołała gangrenę, starzec zdążył przebyć w tym czasie, licząc bardzo optymistycznie, najwyżej jedną czwartą drogi. A teraz proszę uważnie mnie posłuchać, inspektorze Lestrade, gdyż pokażę, jaką cenę człowiek płaci za nadużywanie w ciągu całego życia jedzenia i mocnych trunków. Kiedy już to zademonstruję, a pan w dalszym ciągu będzie miał wątpliwości, zaprezentuję z tuzin osób chorych na podagrę, a każda z nich przejawiać będzie takie same wykrywalne ambulatoryjne symptomy, jakie zamierzam panu przedstawić tutaj. Proszę przede wszystkim popatrzeć, jak bardzo mam skupioną uwagę... i na czym.

Po tych słowach zacząłem powoli przemierzać na sztywnych nogach pokój, kierując się w stronę inspektora i Holmesa. Obie dłonie zacisnąłem mocno na gałce laski. Unosiłem wysoko nogę, odstawiałem ją z powrotem na podłogę, robiłem przerwę, po czym powtarzałem czynność drugą. Ani razu nie podniosłem wzroku. Spoglądałem jedynie to na laskę, to na wyciągniętą stopę.

- Tak - oświadczył cicho Holmes. - Dobry doktor ma całkowitą rację, inspektorze Lestrade. Najpierw przychodzi podagra, potem zanik równowagi, a na końcu (jeśli chory żyje wystarczająco długo) charakterystyczne przygarbienie sylwetki, co sprawia, że człowiek patrzy tylko pod nogi.

- Jory doskonale wiedział, na czym koncentruje uwagę jego ojciec, gdy przemieszcza się z miejsca na miejsce - ciągnąłem. - W rezultacie to, co wydarzyło się dzisiejszego ranka, było diabelnie proste. Kiedy Jory dotarł do gotowalni, wyjrzał na korytarz, a ujrawszy, że ojciec jak zwykle nie spuszcza wzroku ze stopy i końca laski, poczuł się całkowicie bezpieczny. Wyszedł na korytarz, prosto przed nie widzącego go ojca i wślizgnął się do gabinetu. Drzwi, jak

poinformował nas inspektor Lestrade, nie zostały zamknięte na klucz. Co więc ryzykował? Na korytarzu przebywał trzy sekundy, zapewne krócej. - Na chwilę zamilkłem. - Podłoga tam jest wyłożona marmurem, prawda? Musiał zatem zdjąć buty.

- Na nogach miał domowe bambosze - uzupełnił Lestrade osobliwie spokojnym tonem i na sekundę jego wzrok ponownie spotkał się ze wzrokiem Holmesa.

- A, rozumiem - powiedziałem. - Jory dostał się do gabinetu na długo przed ojcem i skrył się za chytrą dekoracją. Tam wyciągnął sztylet i czekał. Gdy starzec dotarł już do końca korytarza, Jory usłyszał, że Stanley woła z góry do starego Hulla. Słyszał, jak ojciec odpowiada, że wszystko w porządku. Następnie lord Hull wczłapał do gabinetu po raz ostatni w życiu... zamknął za sobą drzwi... przekręcił w zamku klucz.

Obaj spoglądali na mnie z uwagą, a ja pojąłem boskie uczucie, jakie przepełniało Holmesa w momentach takich jak ten, kiedy przekazywał innym to, co tylko on jeden wiedział. A po-nadto muszę powtórzyć, że jest to uczucie, którego nie chciał-bym przeżywać zbyt często. Podejrzewam, iż powtarzające się podobne stany mogą człowieka zdeprawować. Jeśli naturalnie nie posiada tak spiżowego serca jak mój przyjaciel Sherlock Holmes.

- Kiedy ojciec przebył próg, Beczkonogi skulił się najbardziej, jak potrafił. Wiedział (a może tylko przeczuwał), że jego ojciec zechce rozejrzeć się po pokoju, zanim przekręci w zamku klucz i założy sztabę. Starzec cierpiał na podagrę i miał nieco osłabiony umysł, ale nie był przecież ślepy.

- Stanley twierdzi, że lord Hull wzrok miał znakomity - powiedział Lestrade. - Była to pierwsza rzecz, o jaką spytałem służącego.

- A więc rozejrzał się - kontynuowałem i nagle jakbym wszystko to ujrzał na własne oczy; podejrzewam, iż tak samo rzecz miała się z Holmesem. Rekonstrukcja wydarzeń oparta wyłącznie na faktach objawiała się nagle w czymś w rodzaju wizji. - Nie dostrzegł niczego niepokojącego. Zobaczył jedynie gabinet, w którym znajdował się tylko on. Pokój był zadziwiająco prosty, bez żadnych drzwi do ściennych szaf, bez żadnych ciemnych zakamarków i kątków spowitych cieniem nawet w takie dni jak dzisiejszy.

Rad z tego, że jest sam, zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku i zasunął sztabę. Jory słyszał, jak sztywno przemieszcza się w stronę biurka. Usłyszał, że lord ciężko siada w fotelu, usłyszał, że uginają się pod ciężarem jego ciała sprężyny i poduszki - ludzie o zaawansowanej podagrze nie siadają stopniowo, lecz walą się całym ciężarem na siedzenie - i dopiero wtedy Jory odważył się wyrzeć ze swej kryjówki.

Popatrzyłem na Holmesa.

- Mów dalej, stary przyjacielu - powiedział ciepło. - Robisz to wspaniale. Absolutnie

pierwsza klasa. Wiedziałem, że mówi szczerze. Tysiące ludzi mogłoby nazwać go oziębłym i wcale by się nie myliło, bo taki był, ale posiadał również wielkie serce. Tyle że potrafił je ukrywać lepiej niż większość ludzi.

- Dziękuję. Jory ujrzał, jak ojciec odstawia laskę, a następnie kładzie na bibularzu papiery. Dwa pakiety papierów. Nie zabił ojca natychmiast, choć mógł to zrobić; ten właśnie element jest tak złowieszczo patetyczny w całej tej sprawie, że nawet za tysiąc funtów nie wszedłbym do salonu, w którym siedzi rodzina Hullów. Chyba że zawleczenie mnie tam siłą.

- A skąd pan wie, że nie zabił go natychmiast? - zainteresował się Lestrade.

- Lord zaczął krzyczeć dopiero w kilka minut po tym, jak przekręcił klucz w zamku i zarygłował sztabę. Sam przecież pan to powiedział. Zakładam zresztą, że ma pan na to tyle dowodów, iż nie można w to wątpić. Od drzwi dzieli biurko tylko dwanaście dużych kroków i nawet dla chorego na podagrę lorda Hulla wystarczyło trzydzieści sekund, żeby przebyć tę odległość. Czterdzieści sekund razem z zajęciem miejsca w fotelu. Niech pan doda do tego piętnaście sekund na odstawienie laski na miejsce, gdzie ją znaleziono, i na położenie testamentów na bibularzu.

Co zatem działo się dalej? Co działo się przez tę ostatnią minutę czy dwie, przez krótki czas, który, przynajmniej Jory'emu, wydawać się musiał wiecznością? Sądzę, że lord Hull po prostu siedział przy biurku i przeglądał to jeden testament, to drugi. Jory z łatwością zapewne je rozróżniał; rozróżniał je po odmiennym kolorze pergaminu.

Zdawał sobie sprawę z tego, że ojciec zamierza jeden z nich cisnąć w ogień. Sądzę, że czekał, chcąc się przekonać który. Ostatecznie istniała szansa, że wszystko to było tylko psikusem, jaki stary diabeł zrobił rodzinie. Może zamierzał spalić nowy dokument, a stary schować z powrotem do sejfów? Wtedy Jory opuściłby pokój, żeby powiadomić matkę i braci, że nowy zapis już nie istnieje. Czy wie pan, Lestrade, gdzie on jest? Mówię o sejfie.

- Trzeba wyjąć pięć książek z tej półki - odparł Lestrade, wskazując regał.

- Zarówno rodzina jak starzec byliby wtedy usatysfakcjonowani. Rodzina wiedziałaby, że dziedziczy spadek, a starzec poszedłby do grobu ze świadomością, iż splątał najokrutniejszego figla, jaki kiedykolwiek w życiu mu się udał... i odszedłby z woli Boga lub własnej, a nie Jory'ego Hulla.

Po raz trzeci Holmes i Lestrade wymienili owe dziwaczne, na wpół rozbawione, na wpół wyrażające odrazę spojrzenia.

- Osobiście jednak sądzą, że starzec delektował się chwilą w ten sposób, jak człowiek delektuje się perspektywą poobiedniego drinka lub porcji słodczy, których od dawna nie smakował. Tak czy siak, minęła minuta i lord Hull zaczął podnosić się z fotela... ale z

ciemniejszym pergaminem w dłoni. Najwyraźniej kierował się w stronę pieca, nie sejfu. Bez względu na żywione nadzieje Jory się nie zawahał, gdy nadeszła ta chwila. Wysunął się z ukrycia, w jednej chwili przebył odległość między stolikiem do kawy a biurkiem i zanim ojciec zdążył całkowicie wstać, wbił mu w plecy nóż.

Podaję, że sekcja zwłok wykaże, iż cios, przebiwszy płuco, trafił dokładnie w prawą komorę serca, co tłumaczyłoby ilość krwi na biurku. Wyjaśnia to też kwestię, dlaczego lord Hull zdołał jeszcze krzyknąć przed śmiercią, co zresztą mocno pokrzyżowało plany pana Jory'ego Hulla.

- Jak to? - zapytał Lestrade.

- Zamknięty pokój jest najgorszą sprawą, jeśli naturalnie zabójca, popełniając morderstwo, nie pragnie zarazem popełnić samobójstwa - odparłem, spoglądając na Holmesa, który uśmiechnął się i skinął głową, słysząc w moich ustach własną maksymę. - Taki obrót sprawy stanowił ostatnią rzecz, jakiej pragnął Jory... zamknięty pokój, zamknięte okna, człowiek z nożem wbitym w miejsce, gdzie nie zdołałby go sam sobie wbić. Sądzę, że Jory nie przewidział tego, iż jego ojciec umrze z takim wrzaskiem. Planował go zasztyletować, spalić nowy testament, splądrować biurko, otworzyć okno, wymknąć się przez nie, wejść do domu którymś wejściem, usiąść pod schodami, a wtedy, gdy odkryto by ciało, wszystko wskazywałoby na napad rabunkowy.

- Ale nie dla prawnika Hulla - zaznaczył Lestrade.

- On zapewne zachowałby milczenie - powiedział z za-dumą Holmes, po czym dodał raźniejszym tonem: - Założę się że nasz obdarzony artystyczną duszą przyjaciel zamierzał sprokurować jeszcze kilka innych sztuczek. Wiem z doświadczenia, że mordercy reprezentujący wyższą klasę bardzo lubią zostawić kilka fałszywych tropów prowadzących z miejsca zbrodni. - Wydał krótkie, pozbawione wesołości parsknięcie, przypominające bardziej warczenie niż śmiech, po czym spojrzał spod okna znajdującego się najbliżej biurka na Lestrade'a i na mnie. - Myślę, że wszyscy zgodzimy się, iż biorąc pod uwagę okoliczności, było to podejrzanie zręczne morderstwo, ale nawet gdyby prawnik coś napomknął, niczego nie dałoby się udowodnić.

- Swoim krzykiem lord Hull wszystko popsuł - powie-działem. - Podobnie jak wszystko psuł przez całe swe życie. Postawił na nogi cały dom. Jory musiał wpaść w panikę, zupełnie stracić głowę, jak jelen w blasku jaskrawego światła. To Stephen Hull uratował sytuację... a w każdym razie zapewnił Jory'emu alibi, oświadczając, że w czasie, gdy ich ojciec został zamordowany, jego brat siedział pod schodami. Stephen wybiegł z pokoju muzycznego na korytarz, wyłamał drzwi i natychmiast syknął do Jory'ego, żeby podszedł z nim do biurka tak,

aby wyglądało to, że razem wyważy...

Zamilkłem jak rażony gromem. W końcu dotarł do mnie sens spojrzeń, jakie wymieniali ze sobą Holmes i Lestrade. Pojąłem to, co dla nich było oczywiste już od chwili, gdy pokazałem im, na czym polegała sztuczka z kryjówką: tego morderstwa nie można było dokonać w pojedynkę. Zabójstwa, owszem, ale cała reszta...

- Stephen oświadczył, że spotkał się z Jorym przed drzwiami gabinetu - ciągnąłem powoli. - Że wyłamał drzwi, że obaj wkroczyli do środka i obaj znaleźli ciało. Skłamał. Mógł to zrobić, by ochronić brata, ale by tak przekonująco kłamać, nie wiedząc, co się naprawdę wydarzyło w gabinecie, wydaje się... wydaje się...

- Niemożliwością - zakończył za mnie Holmes. - Tego właśnie słowa poszukujesz, Watsonie.

- Tak zatem w morderstwie brali udział Stephen i Jory - oświadczyłem. - Zaplanowali je wspólnie... i w oczach prawa obaj są winni zabójstwa ojca! Mój Boże!

- Nie oni dwaj, mój drogi Watsonie - odezwał się Holmes zadziwiająco łagodnie. - Oni wszyscy. Popatrzyłem nań z rozdziawionymi ustami. Holmes skinął głową.

- Wykazałeś się dzisiaj wyjątkową intuicją, Watsonie; wzniosłeś się na takie poziomy dedukcji, jakich, mogę iść o to o zakład, nigdy już więcej nie osiągniesz. Chylę przed tobą głowę, drogi przyjacielu, podobnie jak uczyniłbym to przed każdym, kto potrafi wzbić się ponad swe naturalne zdolności, niezależnie na jak krótko. Ale na swój sposób pozostałeś sta-rym, poczciwym jegomościem, jakim zawsze byłeś. Wiedząc, jak dobrzy potrafią być ludzie, nie dostrzegasz, jak bardzo mogą być podli. Popatrzyłem nań w milczeniu, prawie z pokorą.

- Z tym, że tutaj nie spotkaliśmy żadnego zła, jeśli choć w połowie wszystko to, czego się dowiedzieliśmy o lordzie Hullu, jest prawdą - oświadczył Holmes. Wstał i zaczął nerwowo przechadzać się po gabinecie. - Kto poświadczy, że Jory był ze Stephenem, gdy ten wyłamywał drzwi? Naturalnie sam Jory. Naturalnie Stephen. Ale na rodzinnym portrecie znajdują się jeszcze dwie twarze. Jedna należy do Williama, trzeciego z braci. Podzielasz moje zdanie, Lestrade?

- W pełni - odparł inspektor. - Mówiąc bez ogródek, William również musiał maczać w tym palce. Powiedział, że był w połowie schodów, gdy zobaczył dwójkę braci, a Jory znajdował się trochę przed nim.

- Interesujące! - stwierdził Holmes z błyskiem w oku. - Stephen wyłamuje drzwi. Jako młodszy i silniejszy musi to zrobić on. A zatem siłą rzeczy impet uderzenia sprawił, że w gabinecie pierwszy znalazł się właśnie Stephen. A jednak znajdujący się w połowie schodów

William twierdzi, że pierwszy był Jory. Jak to możliwe, Watsonie?

Mogłem tylko tępo potrząsnąć głową.

- Zapytaj samego siebie, w czyje świadectwo, i tylko w czyje, możemy wierzyć. Odpowiedź brzmi: świadka, który nie należy do rodziny. Służącego lorda Hulla, Olivera Stanleya. Podeszedł do balustrady galerii i ujrzał, że Stephen wdziera się do pokoju. Ale przecież William, który widział wszystko ze schodów pod korzystniejszym kątem, twierdzi, że pierwszy do gabinetu dostał się Jory. William tak właśnie zeznał, ponieważ widział Stanleya i zdał sobie sprawę, co musi powiedzieć. Rzecz sprowadza się do tego, Watsonie: wiemy, że Jory znajdował się w gabinecie. A skoro obaj bracia utrzymują, że go tam nie było, mamy do czynienia ze zмовą. Ale sposób, w jaki tak twardo trzymają ze sobą, sugeruje coś znacznie poważniejszego.

- Konspiracja - odparłem.

- Właśnie. Czy pamiętasz, jak zapytałem cię, Watsonie, czy wierzysz, iż cała czwórka tak po prostu i bez słowa wyszła z salonu, każde w swoją stronę, po tym gdy usłyszeli, że za starcem zamknęły się drzwi gabinetu?

- Naturalnie, pamiętam.

- Cała czwórka. - Holmes popatrzył przelotnie na Lestrade'a, który skinął głową, po czym znów odwrócił twarz w moją stronę. - Wiemy, że Jory musiał wstać i wyjść w chwili, gdy jego ojciec opuścił salon. Wszak miał dotrzeć do gabinetu przed starcem, a jednak reszta rodziny, w tym również lady Hull, twierdzi, że nikt nie ruszył się z miejsca do czasu, aż usłyszeli trzask zamykanych drzwi gabinetu. Tak więc w morderstwie lorda Hulla brała udział cała rodzina, Watsonie.

Byłem zbyt wytrącony z równowagi, żeby cokolwiek odrzec. Spojrzałem na Lestrade'a. Na jego twarzy ujrzałem wyraz, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem, nie zanotowałem go też już nigdy później; rodzaj pełnej znużenia i odrazy powagi.

- Czego mogą się spodziewać? - zapytał prawie wesoło Holmes.

- Jory z pewnością zawisnie - odparł Lestrade. - Stephen dostanie dożywocie. Williama Hulla również czeka dożywotnie więzienie, ale najprawdopodobniej wyląduje na dwadzieścia lat w Wormwood Scrubs. A to rodzaj śmierci za życia.

Holmes pochylił się i przeciągnął dłonią po rozpiętym między nogami stolika płótnie. Rozległ się dziwaczny szelest przypominający pomruk kota.

- Lady Hull natomiast - kontynuował Lestrade - może się spodziewać, że najbliższe pięć lat spędzi w Beechwood Manor, znanym bardziej wśród więźniarek pod nazwą Pałacu Syfilisa... Jakkolwiek po jedynym spotkaniu z tą damą skłonny jestem sądzić, że znajdzie

raczej inne rozwiązanie. Stawiam na tynkturę opium należącą do jej męża.

- A wszystko przez to, że Jory nie zadał celnego ciosu - zauważył Holmes i westchnął. - Gdyby starzec postępował zgodnie z nakazami przyzwoitości, umarłby bez jęku i wszystko byłoby dobrze. Jory mógłby, jak powiedział Watson, opuścić gabinet oknem, zabrawszy, naturalnie, ze sobą płótno... nie wspominając o cieniach. Ale staruch swym wrzaskiem postawił cały dom na nogi. Zbiegła się służba, krzycząc o śmierci swego pana. Rodzina znalazła się w kłopotliwym położeniu. Ależ los z niej zakpił. Lestrade, jak blisko znajdował się konstabl, kiedy wezwał go Stanley?

- Blżej, niż mógłby pan sądzić - odparł inspektor. - Śpieszył właśnie podjazdem do wejściowych drzwi. Przechodził akurat obok domu i usłyszał ów straszny krzyk. Tak, los bardzo z nich zakpił.

- Holmesie, skąd wiedziałeś, że konstabl był w pobliżu? - zapytałem, czując się dużo pewniej w starej roli.

- To proste, Watsonie. Gdyby go w pobliżu nie było, Hullowie przepędziliby służbę na wystarczająco długi czas, żeby ukryć płótno i "cienie".

- Przecież mogli usunąć płótno i cienie - odezwałem się nieoczekiwanie. Holmes odwrócił się w moją stronę.

- Tak.

Lestrade uniósł brwi.

- Wszystko sprowadzało się do wyboru - wyjaśniłem mu. - Czasu wystarczało albo na spalenie nowej wersji testamentu, albo na zlikwidowanie całego bałaganu... tego mogli dokonać Stephen i Jory zaraz po tym, jak Stephen wdarł się do gabinetu. Oni, jeśli jest pan znawcą ludzkich charakterów, a jest nim pan, więc pan wie, że konkretnie Stephen, zdecydował się spalić testament, licząc na to, że sprawa się nie wyda. Jestem przekonany, że mieli wystarczająco dużo czasu, żeby wrzucić dokument w ogień.

Lestrade odwrócił się, popatrzył na płótno i znów spojrział na nas.

- Jedynie tak podły człowiek jak Hull mógł wykrzesać w sobie tyle sił, żeby umrzeć z wrzaskiem - stwierdził.

Znów wymienił z Holmesem spojrzenia i znów jakby się porozumieli. Milczące porozumienie, z którego ja byłem wyłączony.

- Czy kiedykolwiek coś takiego pan zrobił? - zapytał Holmes, jakby podejmował przerwana rozmowę.

Lestrade potrząsnął głową.

- Raz byłem diabło bliski takiego postępku - powiedział. - w sprawie zamieszana została

dziewczyna; i to nie ze swej winy. Może mi pan wierzyć. Byłem bardzo bliski. Ale ona była jedna.

- A tutaj mamy cztery osoby - odpowiedział Holmes, doskonale go rozumiejąc. - Czworo ludzi zmalretowanych przez łajdaka, który i tak miał umrzeć w ciągu najbliższych sześciu miesięcy.

I w końcu oświeciło mnie, o czym rozmawiają.

Holmes utkwiał we mnie spojrzenie swych stalowych oczu.

- Co powiesz, Lestrade? Tę sprawę rozwiązał Watson, choć nie znał wszystkich wątków intrygi. Czy pozwolimy, żeby to Watson podjął decyzję?

- W porządku - burknął Lestrade. - Tylko szybko. Chcę jak najprędzej opuścić ten przeklęty pokój.

Nie wysilając się nawet na jakikolwiek komentarz, pochyliłem się, podniosłem filcowe cienie, zwinąłem je w kulę i schowałem do kieszeni płaszcza. Robiąc to, czułem się bardzo osobliwie. Czułem się jak w Indiach, gdy zachorowałem na febrę, która o mało co nie pozbawiła mnie życia.

- Znakomita decyzja, Watsonie! - wykrzyknął Holmes. - Rozwiązałeś swą pierwszą sprawę, stałeś się współwinnym zbrodni, a tu jeszcze nie nadeszła nawet pora popołudniowej herbaty! To będzie prezent dla mnie: oryginalny Jory Hull. Wątpię, czy jest podpisany, ale należy dziękować Opatrzności za wszystko, co zesłała nam w tak deszczowy dzień.

Za pomocą scyzoryka oderwał przyklejone przez artystę do nóg stolika płótno. Uporał się ze wszystkim błyskawicznie. W niecałą minutę później chował już do wewnętrznej kieszeni swego obszernego, grubego palta zwinięte ciasno malowidło.

- To paskudny kawałek roboty - oświadczył Lestrade. Podeszedł do okna i po chwili wahania otworzył je na szerokość mniej więcej trzech centymetrów.

- Powiedzmy, że paskudna praca została wykonana - stwierdził Holmes z hektyczną prawie radością. - Wychodzimy, panowie?

Podeszliśmy do drzwi i Lestrade je otworzył. Jeden z konstabli zapytał, czy poczyniliśmy jakieś postępy w śledztwie.

W innych okolicznościach Lestrade srogo zbeształby policjanta za to pytanie. Tym razem jednak odparł krótko:

- Wygląda na to, że próba rabunku zakończyła się fatalnie. Ja dostrzegłem to natychmiast, Holmes w chwilę później.

- Fatalnie - odważył się powtórzyć drugi konstabl.

- przyznał Lestrade. - Ale przynajmniej krzyk starca wypłoszył złodziejską szajkę.

Chodźmy.

Opuściliśmy gabinet. Drzwi do salonu były otwarte, lecz kiedy je mijaliśmy, trzymałem głowę nisko spuszczoną. Holmes zerknął jednak do środka; po prostu zawsze tak czynił. Tyle tylko mógł zrobić. Jeśli chodzi o mnie, nigdy nie zobaczyłem tej rodziny. I nie chciałem zobaczyć.

Holmes znów zaczął kichać. O nogi ocierał się mu jego nowy przyjaciel i błogo mruczał.

- Wynośmy się stąd - powiedział Holmes, po czym popędził przed siebie.

W godzinę później siedzieliśmy już w mieszkaniu w domu numer 221 B na Baker Street. Siedzieliśmy w tych samych pozycjach, jak wtedy, gdy przed dom zajechał Lestrade. Holmes przy oknie, ja na kanapce.

- No cóż, Watsonie - odezwał się Holmes. - Czy sądzisz, że zaśniesz dzisiejszej nocy?

- Jak kamień - odparłem. - A ty?

- Jestem pewien, że ja też - stwierdził. - Mogę ci tylko powiedzieć, iż cieszę się, że jestem już z daleka od tych przeklętych kotów.

- A jak, twoim zdaniem, będzie spał Lestrade? Holmes popatrzył na mnie z uśmiechem.

- Dzisiejszej nocy kiepsko. Zapewne kiepsko przez cały tydzień. Ale później wróci do normy. Wśród wielu zalet Lestrade posiada wielki talent do twórczego zapominania.

Wybuchnąłem śmiechem.

- Popatrz, Watsonie! - odezwał się nieoczekiwanie Holmes. - To dopiero widok!

Podniosłem się z kanapki i podszedłem do okna, w jakiś sposób przekonany, że ponownie ujrzę jadącego w odkrytej bryczce Lestrade'a. Zamiast tego dostrzegłem przezierające przez chmury słońce, które zaczynało zalewać Londyn wspaniałym, późnopołudniowym blaskiem.

- I w końcu się przejaśniło - stwierdził Holmes. - Cudownie, Watsonie! Jak pięknie jest żyć!

Sięgnął po skrzypce i zaczął grać. Na twarz padały mu promienie słońca.

Popatrzyłem na barometr i skonstatowałem, że opada. Na ten widok wybuchnąłem takim śmiechem, że aż musiałem usiąść. Gdy lekko poirytowany Holmes zapytał o przyczynę mej wesołości, mogłem jedynie potrząsnąć głową. Prawdę mówiąc, nie byłem pewien, czy mój przyjaciel by to zrozumiał. Jego umysł pracował w inny sposób.

Ostatnia sprawa Umneya

(Umney's Last Case)

Deszcze się skończyły. Wzgórza wciąż jeszcze się ziele-nią, a z doliny po drugiej stronie wzniesień Hollywood widać śnieg na górskich szczytach. Sklepy futrzarskie ogłaszają doroczną wyprzedaż. Przedsiębiorstwa wyspecjalizowane w szesnastoletnich dziewicach robią kokosy. A w Beverly Hills drzewa jacarandy zaczynają kwitnąć.

Raymond Chandler "Siostrzyczka"⁷

I. Wieści od Peorii

Był to jeden z tych wiosennych poranków, gdy Los Angeles wydaje się tak idealne, że człowiek w każdej chwili spodziewa się ujrzeć wydrukowany gdziekolwiek znaczek firmowy (§) . Spaliny przejeżdżających po Sunset pojazdów pachniały lekko oleandrem, oleandry delikatnie spalinami, a niebo było czyste niczym sumienie niezłomnego baptysty. Peoria Smith, niewidomy gazeciarz, stał na swym zwykłym miejscu u zbiegu Sunset i Laurel i jeśli nie znaczyło to, że Bóg ciągle panuje w Niebiosach, a ze światem wszystko jest w jak najlepszym porządku, to sam już nie wiem, co by to miało oznaczać.

Od chwili jednak, gdy tego ranka zsunąłem z łóżka nogi o niezwykłej dla mnie godzinie siódmej trzydzieści, wszystko wydawało mi się jakoś nie takie; lekko zwichrowane i chwiejne. Dopiero przy goleniu - czy raczej usilnych próbach zdrapania tego cholernego zarostu - częściowo zrozumiałem przyczynę. Mimo że aż do drugiej w nocy czytałem, nie usłyszałem, jak do swego domu wtaczali się Demmickowie. Naprani jak szopy wymieniali zwykle owe zgryźliwe, kostyczne powarkiwania, które najwyraźniej stanowiły podstawę ich małżeństwa.

Nie słyszałem też Bustera, co zapewne było jeszcze dziwniejsze. Buster należał do Demmicków, był psem rasy Welsh Corgi i ujadął w tak wysokich tonacjach, że człowiek odnosił wrażenie, iż w mózg wbijają mu się szklane igły, a na dodatek zwierzę używało sobie do woli z tym szczekaniem. Było poza tym bardzo zazdrosne. Za każdym razem, gdy George i Gloria gliglali się w łóżku, psiak zanosił się straszliwym, przenikliwym ujadaniem; kiedy

⁷ W. Raymond Chandler: "Siostrzyczka". Warszawa, Iskry 1983. tłum.: Piotr Kamiński.

Demmickowie nie miotali się po mieszkaniu niczym małżeństwo z wodewilu, to przeważnie się gliglali. Nieraz gdy już leżałem w pościeli, słyszałem ich chichoty, podczas gdy pies harcował po domu, szczekając jak opętany, a ja zastanawiałem się, czy trudno byłoby udusić takie muskularne, średniej wielkości zwierzę o długości struny od pianina. Ostatniej nocy jednak w mieszkaniu Demmicków panowała grobowa cisza. Było to dziwne, ale nie tak zaskakujące jak trzęsienie ziemi; Demmickowie nie stanowili małżeństwa pro-wadzącego życie z zegarkiem w ręku.

Ale Peoria Smith był w porządku - jak zwykle wesoły niczym wiewiórka, rozpoznał mnie po krokach, choć pojawiłem się co najmniej o godzinę wcześniej niż zwykle. Miał na sobie rozciągnięty podkoszulek z nadrukiem kalifornijskiej politechniki, który sięgał mu do połowy ud, oraz sztruksowe, krótkie spodnie dochodzące do pokrytych strupami kolan. Obok, oparta o składany stolik, gdzie prowadził swój interes, stała znienawidzona, biała laska.

- Witam, panie Umney! Jak dzieciak?

Ciemne okulary Peorii załśniły w słońcu, gdy gazeciarz od-wrócił się w stronę, skąd dobiegały moje kroki. Trzymał przed sobą egzemplarz gazety Los Angeles Times, bo zawsze ją u nie-go kupowałem. Na widok jego skrytych za okularami oczu

zrodziło się we mnie nieprzyjemne skojarzenie: zupełnie jakby ktoś wyborował mu w twarzy dwie wielkie, czarne dziury. Zadrzałem na tę myśl i pomyślałem, że zapewne nadszedł czas, żeby skończyć ze zwyczajem picia porcji żytniówki przed pójściem do łóżka. Albo skończyć z tym obyczajem, albo też podwoić dawkę.

Na pierwszej stronie Timesa widniało zdjęcie Hitlera; w ostatnich czasach zresztą często się tam pojawiał. Tym razem był to jakiś artykuł o Austrii. Nie pierwszy raz zastanowiłem się, jak ta blada twarz z loczkiem nad czołem wyglądałaby na tablicy ogłoszeniowej na poczcie.

- Dzieciak już prawie w porządku, Peoria - odparłem. - Tak naprawdę jest w porządku jak świeża farba na zewnętrznej ścianie domu.

Do puszek po cygarach Corona stojącej na pliku gazet wrzuciłem dziesięć centów. Times wprawdzie kosztował trzy i prze-płaciłem, ale od dawna zawsze tyle wrzucałem do puszek Peorii. Był dobrym dzieckiem i świetnie się uczył w szkole. W zeszłym roku osobiście się tą sprawą zainteresowałem zaraz po tym, jak pomógł mi w sprawie Weld. Gdyby Peoria nie pojawił się w łodzi mieszkalnej Harrisa Brunnera, do dzisiaj tkwiłbym na dnie morza, gdzieś w okolicach Malibu, z nogami zatopionymi w cemencie wlanym do beczki po nafcie. Twierdzenie, że wiele zawdzięczam Peorii, jest określeniem stanowczo za słabym.

W trakcie tego konkretnego śledztwa (dotyczącego Peorii Smitha, nie Harrisa Brunnera

i Mavis Weld) poznałem nawet prawdziwe imię dzieciaka, choć koźmi nikt by ze mnie tego nie wyciągnął. Ojciec Peorii w Czarny Piątek⁸ udał się na permanentny lunch przez okno na dziewiątym piętrze biurowca, a matka chłopaka pracuje w nędznej, chińskiej pralni na La Punta. Sam dzieciak jest ślepy. Czy przy takim bagażu, jaki mały dźwiga, świat musi wiedzieć, że na chrzcie, kiedy Peoria był jeszcze zbyt młody, żeby się temu sprzeciwić, dano mu na imię Francis? Zapuśćmy na to zasłonę miłosierdzia.

Jeśli tylko poprzedniego wieczoru wydarzyło się coś rzeczy-wiście soczystego, prawie zawsze można było przeczytać o tym na pierwszej stronie Timesa na lewej szpalcie, tuż pod miejscem, gdzie gazeta się składa. Odwróciłem dziennik i przeczytałem, że główny baletmistrz zespołu kubańskiego podczas tańca z wokalistką w trakcie występów w The Carousel w Burbank dostał zawału serca. W godzinę później zmarł w szpitalu miejskim w Los Angeles. Współczułem żonie artysty, ale jemu ani trochę. Moim zdaniem, ktoś, kto tańczy w Burbank, zasługuje na każdy los, jaki go spotyka.

Otworzyłem na rubryce sportowej, ciekaw, jak poradziła sobie poprzedniego dnia drużyna Brooklynu z Cardsami, rozgrywając z nimi dwa mecze tego samego dnia.

- A ty, Peoria? Jak trzyma się twój zamek? Czy fosy i blanki murów obronnych są w dobrym stanie?

- Powiem panu, panie Umney! Świetnie!

Coś w jego głosie przykuło moją uwagę, więc opuściłem gazetę i uważnie przyjrzałem się chłopakowi. Zobaczyłem to, co taki niezawodny, prywatny detektyw jak ja powinien dostrzec natychmiast: dzieciak promieniał szczęściem.

- Wyglądasz, jakby ktoś podarował ci sześć biletów na pierwszą rozgrywkę World Series - stwierdziłem. - Co za afera, Peoria?

- Moja mama wygrała na loterii w Tijuana! - odrzekł. - Czterdzieści tysięcy dolców! Jesteśmy bogaci, bracie! Bogaci!

Przesłałem mu uśmiech, którego nie mógł zobaczyć, i rozwichrzyłem chłopakowi włosy. Na głowie pozostały mu sterczące koguty, ale co to miało za znaczenie?

- Hola, zaczekaj! Ile ty masz lat, Peoria?

- W maju skończyłem dwanaście. Przecież pan o tym wie, panie Umney. Sam podarował mi na urodziny koszulkę polo. Ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z...

- Dwanaście lat to wiek wystarczająco dojrzały, by pojąć, że czasami to, co ludzie chcą,

⁸ Black Friday. Załamanie się giełdy papierów wartościowych w 1929 roku.

żeby się stało, miesza się z tym, co dzieje się naprawdę. To tyle.

- Jeśli mówi pan o marzeniach, to ma pan rację... znam się na tym - odparł Peoria, pocierając dłonią tył głowy, by przygładzić włosy. - Ale to wcale nie jest sen na jawie, panie Umney. To rzeczywistość! Wczoraj po południu mój wujek Fred odebrał pieniądze. Przyniósł je do domu w skórzanej torbie przypiętej do bagażnika jego Yinnie! Wąchałem je! Do licha, tarzałem się w nich! Były rozrzucone po całym łóżku mojej mamy! Mówię panu, najbogatsze uczucie, jakiego doznałem w życiu: czterdzieści-cholernych-tysięcy-dolców!

- Dwanaście lat to wiek wystarczająco dojrzały, żeby od-różnić marzenia od rzeczywistości, ale stanowczo za młody dla takich tekstów - odparłem.

Zabrzmiało to dobrze - jestem przekonany, że Zastępy Obyczajnych przyznałyby mi dwa tysiące procent racji - ale moimi ustami kierował automatyczny pilot i niewiele słyszałem z tego, co z nich wychodziło. Zanadto zaabsorbowany byłem przetrawieniem wiadomości, którą Peoria mi przekazał. Jednego byłem pewien: popełnił omyłkę. Musiał się pomylić, ponieważ gdyby to, co mi powiedział, było prawdą, nie stałby już ani chwili dłużej na ulicy, po której ja szedłem do swego biura w Fulwider Building. To po prostu nie mogła być prawda.

Wróciłem myślą do Demmicków, którzy po raz pierwszy w notowanej historii nie puszczali przed snem na cały regulator jednej ze swych płyt z nagraniami bigbandów. Pomyślałem o Busterze, który po raz pierwszy w notowanej historii nie witał zgrzytu obracanego w zamku klucza George'a nawałą oszalałego ujadania. Powróciło uczucie, że coś jest nie w porządku; tym razem z dużo większą mocą.

Peoria stał obok mnie z miną, jakiej nigdy dotąd nie widziałem na jego szczerej, otwartej twarzy; ponura irytacja mieszała się z rozbawieniem. W taki sam sposób dziecko patrzy na wujka gadułę, który trzeci czy czwarty raz z rzędu opowiada te same najnudniejsze historyjki.

- Czy nie dociera do pana, panie Umney, ta wielka wieść? Jesteśmy bogaci! Moja mama nie będzie musiała już dłużej prasować koszul dla tego starego, przeklętego Lee Ho, a ja nie będę musiał już dłużej sprzedawać gazet na rogu, drżąc z zimna, gdy przychodzi deszcz lub wiatr, i płaszczyć się przed tymi zwariowanymi starymi babami pracującymi u Bildera. Nie muszę już zachowywać się jak umarły i iść ze szczęścia do nieba, kiedy jakiś jelop da mi pięć centów napiwku.

Drgnąłem słysząc ostatnie słowa, ale w końcu o co chodziło - nie byłem pięciocentowym człowiekiem. Rano i wieczorem zostawiałem Peorii po siedem centów. Chyba że akurat znajdowałem się w takiej kondycji finansowej, iż nie mogłem sobie na to pozwolić, ale w moim fachu sporadyczne okresy posuchy zależały od terenu, w jakim akurat pracowałem.

- Może przejdziemy się do "Blondie's" na kawę - za proponowałem. - Tam sobie o wszystkim pogadamy.

- Nie da rady. Zamknięty.

- "Blondie's"? Co ty wygadujesz? Ale Peoria nie zawracał sobie głowy tak przyziemnymi sprawami jak kawiarnia.

- Nie słyszał pan jeszcze najlepszej nowiny, panie Umney! Mój wuj Fred zna lekarza we Frisco, specjalistę, który sądzi, że może zrobić coś z moimi oczami. - Odwrócił głowę w moją stronę. Pod maską chytrości i zbyt cienkim nosem drżały mu usta. - Ten doktor twierdzi, że to wcale nie musi być uszkodzenie nerwu wzrokowego, a w takim razie operacja... Nie znam się na sprawach technicznych, ale znów będę widział, panie Umney! - Sięgnął w moją stronę na ślepo... cóż, oczy-wiście, że na ślepo. Jakże inaczej mógł? - Znów będę widział.

Chwycił mnie, a ja ująłem jego dłonie, szybko uściśnąłem, po czym delikatnie odsunąłem je od siebie. Miał na palcach ślady atramentu i ucieszyłem się, że gdy się ubierałem, wy-brałem garnitur z ciemnej wełny. Był wprawdzie zbyt ciepły jak na letnie upały, ale teraz w mieście wszystkie domy są klimatyzowane, a ponadto z natury jestem odporny na gorąco.

A zresztą w tej chwili wcale nie było mi chłodno. Peoria odwrócił głowę w moją stronę, a na jego twarzy malowała się rozpacz. Delikatny wiatr - niosący zapach oleandru i spalin - burzył mu włosy, a ja nagle uświadomiłem sobie, że dzieciak nie ma na głowie swej tweedowej czapki. Wyglądał bez niej tak jakoś goło. Jasne, każdy gazeciarz powinien nosić tweedową czapkę, podobnie jak pucybut nakrycie głowy z od-wróconym do tyłu daszkiem.

- O co chodzi, panie Umney? Myślałem, że się pan ucieszy. Chryste, wcale nie musiałem już dziś przychodzić na ten wszawy róg, ale, wie pan, przyszedłem; pojawiłem się nawet wcześniej, ponieważ wyczułem, że pan również pojawi się wcześniej. Myślałem, że uraduje pana wieść, że moja mama wygrała na loterii i mam szansę na operację. Ale pan wcale nie jest z tego zadowolony. - Głos zadrżał mu z urazy i żalu. - Nie jest.

- Ależ jestem - odparłem i naprawdę chciałem się cieszyć, przynajmniej jakaś część mnie chciała, ale cały szkopuł tkwił w tym, że chłopak generalnie miał rację.

Widzicie, to oznaczało, że wszystko się zmieni, a nic nie powinno się zmieniać. Peoria Smith powinien być tutaj, na początku roku i pod koniec, w tej swojej czapeczce przesuniętej w upalne dni na tył głowy i naciągniętej głęboko na oczy, kiedy pada deszcz, tak żeby krople wody spływały z daszka kaszkietu i nie ciekły mu do oczu. Powinien zawsze się uśmiechać, nie powinien nigdy używać słów "do diabła" i "cholernie", a przede wszystkim na zawsze powinien zostać niewidomy.

- Wcale się pan nie cieszy - powiedział chłopiec i zrobił coś, co mną wstrząsnęło.

Pchnął z całych sił swój składany stolik, który przewrócił się na chodnik. Wokół pofrunęły gazety. Biała laska potoczyła się do rynsztoku. Peoria usłyszał to i pochylił się, żeby ją namacać i podnieść. Widziałem, że spod ciemnych okularów płyną mu łzy, ściekając po bladych, kościstych policzkach. Zaczął macać w poszukiwaniu laski, ale ona upadła tuż obok moich nóg i chłopiec szukał jej w złym miejscu. Poczułem nagle straszną ochotę wymierzyć szczeniakowi kopniaka w tyłek.

Ale zamiast tego pochyliłem się, podniosłem laskę i lekko poklepałem jej końcem Peorię w biodro.

Peoria odwrócił się, błyskawicznie jak wąż, i chwycił laskę. Dostrzegłem zdjęcia Hitlera i zmarłego tancerza kubańskiego rozrzucone po całym Sunset Boulevard. Zmierzający do Van Ness autobus przejechał po nich niczym po cienkich, białych zaspach, zostawiając za sobą smugę spalin. Nie podobał mi się widok tych porozrzucanych, trzepoczących na lekkim wietrze gazet. Były pobrudzone. Były nie na miejscu. Kompletnie i okropnie nie na miejscu. I znów poczułem straszną chęć, równie silną jak przed chwilą, żeby chwycić Peorię i nim potrząsnąć. Powiedzieć mu, że przez cały ranek będzie zbierał te gazety, że nie puszcze go do domu tak długo, dopóki nie podniesie ostatniej.

Dotarło do mnie, że jeszcze niecałe dziesięć minut temu sądziłem, iż jest to cudowny poranek w Los Angeles - tak idealny, że zasługiwał na znaczek firmowy. Faktycznie było tak, do ciężkiej cholery. Gdzież więc podział się ten wspaniały nastrój? I jak mógł minąć tak szybko?

Nie przyszło mi do głowy żadne wytłumaczenie. Jedyne jakiś irracjonalny, ale potężny głos mówił we mnie, że matka Peorii nie mogła wygrać na loterii, dzieciak nie może przestać sprzedawać gazet, a przede wszystkim nie może odzyskać wzroku. Peoria Smith powinien pozostać już do końca życia ślepy.

Cóż, będzie to wyłącznie eksperyment - pomyślałem. - Nawet jeśli doktor z Frisco nie jest szarlatanem, a prawdopodobnie jest, operacja i tak się nie uda.

Ta myśl, choć może zabrzmiała to dziwacznie, uspokoiła mnie.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Obaj wstaliśmy dzisiaj lewą nogą. Musimy się pogodzić. Chodźmy teraz do "Blondie's", zafunduję ci śniadanie. Co ty na to, Peoria? Zjesz jajka na bekonie i opowiesz mi wszystko o...

- Pieprz się! - krzyknął takim głosem, że po krzyżu przeszedł mi zimny dreszcz. - Pieprz się ze swoją kobyłą, na której jeździsz, ty szpiclu! Myślisz, że niewidomi nie potrafią poznać, gdy tacy jak ty łąą w żywe oczy? Pieprz się! I trzymaj swoje łapy z daleka ode mnie! Jesteś glistą!

To było to. Nikt nie śmiał nazwać mnie glistą, a potem bezkarnie odejść, nawet ślepy gazeciarz. W jednej chwili zapomniałem o tym, że Peoria uratował mi życie, kiedy prowadziłem sprawę Mavis Weld. Wyciągnąłem rękę, żeby wyszarpnąć laskę i przyłożyć mu kilka razy w tyłek.

Zanim jednak zdążyłem uczynić ruch, Peoria rzucił się w moją stronę i wyrzucił mnie końcem laski w dolne partie brzucha; w pierwszej chwili pomyślałem nawet, że niżej. Zgiąłem się wpół z bólu i mimo że z najwyższym trudem powstrzymywałem krzyk, dziękowałem losowi. Pięć centymetrów niżej i mógłbym zmienić zawód, zatrudniając się jako sopran w Pałacu Dożów.

Odruchowo wyciągnąłem rękę, żeby chwycić Peorię, ale on przyrzucił mi z kolei laską w kark. Bardzo mocno. Laska się nie złamała, choć usłyszałem, jak trzaska gdzieś w środku. Doszedłem do wniosku, że powinienem jednak wyrwać mu ten kij, a potem zdrowo przyłożyć w ucho. Pokazałbym mu, kto tu jest glistą.

Odwrocił się ode mnie, jakby odczytał moje myśli, i cisnął laskę na środek jezdni.

- Peoria... - zacząłem. Może nie było jeszcze za późno, żeby złapać zdrowy rozsądek za poły kapoty? - Peoria, co się, do diabła, dzieje...

- I nie nazywaj mnie tak! - wrzasnął dzieciak. - Nazywam się Francis! Frank! To ty zacząłeś mówić na mnie Peoria! To ty zacząłeś i teraz wszyscy tak na mnie wołają. A ja tego nie znoszę!

Załawionymi oczyma widziałem podwójnie jego sylwetkę, kiedy niepomny na ruch uliczny biegł przez jezdnię (na szczęście w tej chwili nie przejeżdżał żaden samochód) z wyciągniętymi przed siebie rękami. Pomyślałem, że potknie się o krawężnik po przeciwnej stronie i upadnie - tak naprawdę, to byłem najświęciej przekonany, iż tak się właśnie stanie - ale podejrzewam, że niewidomi mają w głowach jakieś doskonałe mapy odwzorowań topograficznych. Zwinnie niczym kozica przeskoczył krawężnik, a potem odwrócił twarz w ciemnych okularach w moją stronę. Po policzkach płynęły strumienie łez, na twarzy widniał wyraz dziwnego, pełnego szaleństwa triumfu, czarne szkła zaś jeszcze bardziej przypominały wyborowane w głowie czarne dziury. Ogromne, jakby ktoś strzelił do niego dwoma wielkokalibrowymi pociskami.

- "Blondie's" nie ma, mówiłem ci! - wrzasnął. - Mama twierdzi, że właściciel zamknął interes i wyjechał z tą rudowłosą flama, którą zatrudnił przed miesiącem. Ciesz się, ty ciulu!

Odwrocił się i pobiegł Sunset w ten swój dziwaczny sposób, z wyciągniętymi przed siebie ramionami i rozcapierzonymi palcami. Po obu stronach stały grupki przechodniów, którzy obserwowali Peorię, obserwowali poniewierające się na ulicy gazety, obserwowali

mnie.

Odnosiłem wrażenie, że głównie obserwowali mnie.

Peoria - zgoda, Francis - który dotarł już do "Derringer's Bar", odwrócił się ponownie w moją stronę i wrzasnął po raz ostatni pod moim adresem:

- Pieprz się, panie Umney!

Po czym odwrócił się i pobiegnął przed siebie.

II. Kaszel Vernona

Wyprostowałem się i przeszedłem ulicę. Peoria, inaczej Francis Smith, dawno już zniknął mi z oczu, a ja chciałem zostawić za sobą porzucane gazety. Ich widok sprawiał mi większy ból niż stłuczone krocze.

Po drugiej stronie przystanąłem przed sklepem papierniczym Felta i zacząłem gapić się na wystawiony w witrynie nowy typ długopisu Parkera, jakby była to najbardziej fascynująca rzecz, jaką spotkałem w życiu (a może gapiłem się na oprawione w imitację skóry notesy o bardzo erotycznym wyglądzie?). Po upływie jakichś pięciu minut - wystarczający czas, żeby za-konotować w pamięci wszystkie wystawione w zakurzonej witrynie przedmioty - byłem w stanie bez szczególnie widocznego przechyłu na lewą burtę podjąć przerwana wędrowkę w górę Sunset.

Pod czaszką krążyły mi pytania niczym natrętne komary wokół głowy w restauracji dla zmotoryzowanych w San Pedro, gdy człowiek zapomni zabrać ze sobą lep na muchy. Większość z tych pytań potrafiłem zignorować, ale dwa nie dawały mi spokoju. Pierwsze: co wstąpiło w Peorię? I drugie: co wstąpiło we mnie? Borykałem się z tym problemem aż do chwili, gdy dotarłem do "»Blondie's«, Otwarte 24 godziny, Skosztuj Naszych Obwarzanków" na rogu Sunset i Traveraii. Tam zaczęło mnie dręczyć kolejne pytanie. Odkąd sięgałem pamięcią, "Blondie's" zawsze znajdował się na tym rogu. Pojawiali się w nim i znikali wszelkiego autoramentu cwaniacy, prostytutki, kryminaliści, dziwacy, narkomani, nie wspominając już o pedałach i lesbijkach. Pewnego dnia aresztowano tu mordercę słynnego gwiazdora kina niemego, kiedy wychodził z lokalu. Ja osobiście również zakończyłem tam nie tak dawno paskudną sprawę, zabijając naćpanego kokainą modnisią nazwiskiem Dunninger, który po przyjęciu narkotycznym w Hollywood zamordował trzech innych narkomanów. Tam również rozstałem się ze srebrnowłosą, fiołkooką Ardis McGill. Resztę tej okropnej nocy spędziłem, włączając się w rzadkiej mgiełce Los Angeles, która mogła brać się wyłącz-nie z mych załzawionych oczu... i ocierając mokre policzki, gdy już wzeszło słońce.

"Blondie's" zamknięty? "Blondie's" już nie istnieje? To niemożliwe... to tak, jakby

nagle Statua Wolności zniknęła ze swej wyniosłej skały na nabrzeżu Nowego Jorku.

Nieprawdopodobne, ale prawdziwe. Witryna, gdzie zawsze widniały specjały, na których widok ciekła do ust ślinka, została niezbyt dokładnie zamalowana wapnem tak, że za szybą mogłem dostrzec prawie puste pomieszczenie. Linoleum było brudne i pomarszczone, pociemniałe od tłuszczu ramiona wiat-raków pod sufitem zwisały niczym śmigła rozbitych samolotów. Zostało kilka stolików oraz z sześć czy osiem tak dobrze mi znanych, obitych na czerwono krzeseł, ustawionych na blatach tych stolików do góry nogami. I to wszystko... oprócz dwóch ciśniętych w kąt cukiernic.

Stałem przed witryną i starałem się jakoś sobie wszystko poukładać w głowie, lecz bardziej przypominało to transport wielkiej kanapy po wąskich, krętych schodach. Całe wypełniające to miejsce życie, panujący tu zgiełk, cała ta trwająca okrągłą noc krzątanina i rwetes, wszystkie niespodzianki... jakże to mogło odejść w niepamięć? To nie wyglądało na pomyłkę, to zakrawało na bluźnierstwo. Dla mnie "Blondie's" stanowił olśniewającą sprzeczność, negację mrocznego, pozbawionego z natury wszelkich uczuć serca Los Angeles. Czasami w moim odczuciu "Blondie's" stawał się pomniejszoną repliką całego Los Angeles. Gdzie indziej człowiek mógł spotkać o dziewiątej rano gangstera jedzącego śniadanie w towarzystwie księdza albo przystrojoną diamentami, przepiękną kobietę siedzącą na barowym stołku obok ubrudzonego smarami me-chanika, celebrującego filiżanką kawy koniec pracy na nocnej zmianie? Nagle z dużo większą sympatią pomyślałem o kubańskim baletmistrzu i jego zawale serca.

Całe to bajkowe, olśniewające życie Miasta Upadłych Aniołów⁹ - kapujesz to, koleś? Kapujesz, o co chodzi?

Na drzwiach wisiała wprawdzie kartka z napisem: RE-MONT - NIEDŁUGO ZNÓW OTWIERAMY, ale nie wierzyłem w to zapewnienie. Moim zdaniem puste cukiernice leżące w kącie nie zapowiadały remontu. Peoria miał rację: "Blondie's" przeszedł do historii. Odwróciłem się i ruszyłem powoli ulicą. Cały czas musiałem się pilnować, żeby trzymać głowę wysoko. Kiedy podchodziłem już do Fulwider Building, gdzie wynajmowałem biuro od tak dawna, że nie lubię o tym myśleć, ogarnęła mnie osobliwa pewność. Gałki podwójnych drzwi zastanę obwiązane spiętym kłódką łańcuchem, szyby zamalowane niedbale wapnem, a na szkle widnieć będzie napis: REMONT - NIEDŁUGO ZNÓW OTWIERAMY.

Myśl ta zawładnęła mną z taką mocą i tak całkowicie, że nawet widok wchodzącego do

⁹ Gra stów. W oryg.: City of Lost Angeles.

budynku Billa Tuggle'a, zapijaczonego licencjonowanego księgowego z trzeciego piętra, nie od razu rozwiązał moje wątpliwości. Ale jak to się mawia, zobaczyć to uwierzyć, i gdy już dotarłem do drzwi oznaczonych

numerem dwa tysiące dwieście dwadzieścia jeden, nie dostrzegłem żadnego łańcucha, żadnych napisów czy zamalowanych wapnem szyb. Był to po prostu Fulwider, taki sam jak zawsze. Wszedłem do głównego holu. Przywitał mnie widok tych samych palm zwieszających się nad wyłożoną czerwonymi kafelkami posadzką, a w nozdrza uderzył znajomy zapach, przypominający woń różowych kostek wkładanych w tamtych czasach do pisuarów w szaletach.

Bili stał obok Vernona Kleina, najstarszego na świecie operatora windy, obsługującego szyb numer dwa. W postrzępionym, czerwonym uniformie i w staroświeckiej, okrągłej, sztywnej czapeczce bez daszka Vernon wyglądał jak skrzyżowanie gońca hotelowego z Philip Morrisa i rezusa, przepuszczonego przez przemysłową pralkę parową. Windziarz łypnął na mnie ponuro wzrokiem baseta. Oczy łzawiły mu od dymu camela, który tkwił między wargami pośrodku ust. Jego oczy powinny były już przed laty przyzwyczaić się do dymu; nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział Vernona bez camela, którego palił dokładnie tak samo.

Bili troszeczkę się cofnął, ale nie za daleko. W kabinie było wystarczająco dużo miejsca, żeby mógł wsunąć się głębiej, lecz nie sądzę, by w całym Rhode Island starczyło mu miejsca, żeby cofnąć się wystarczająco. Może w Delaware? Śmierdział jak kiełbasa bologna marynowana latami w tanim bourbonie. I kiedy już myślałem, że nie może mnie spotkać nic gorszego, on czknął.

- Przepraszam, Clyde.

- Też uważam, że masz za co przeproszać - odparłem, wachlując się otwartą dłonią, podczas gdy Vernon zamykał drzwi, żeby zawieźć nas na księżyc... a przynajmniej na siódme piętro. - Bili, w jakim kanale spędziłeś dzisiejszą noc?

Niemniej w bijącym od niego smrodzie znalazłem coś kojącego; skłamałbym twierdząc, że jest inaczej. Był to znajomy zapach. Był to Bili Tuggle. Cuchnący, stojący w windzie na lekko ugiętych kolanach, jakby ktoś wrzucił mu w gacie porcję sałatki z kurczaka, a on właśnie to poczuł. Nie było to wcale miłe. Poranne jazdy windą nigdy nie były miłe, ale przynajmniej były znajome.

Bili przesłał mi krzywy uśmiezek, nie odezwał się jednak ani słowem. Winda z klekotem zaczęła swą podróż w górę.

Odwróciłem głowę w kierunku Vernona, głównie po to, żeby uniknąć bijącego od księgowego odoru, ale choć zamierzałem zagadnąć coś do windziarza, wszelkie słowa uwięzły

mi w gardle. Dwa obrazki, które od narodzin czasu wisały nad jego taboret, zniknęły. Na jednym widniał Jezus spacerujący po Morzu Galilejskim i jego uczniowie, zgromadzeni na łodzi, gapiący się na mistrza. Drugi obrazek, a właściwie fotografia, przedstawiał żonę Verna w stroju z cielej skóry ozdobionym suto frędzlami, jaki wkłada się na rodeo. Wyglądała w nim jak typowa ślicznotka z prowincji. Obrazek, który zastąpił dwa poprzednie, nie powinien był nikogo dziwić, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę wiek windziarza. Lecz widok ten podziałał na mnie jak spadająca na łeb barka rzeczna wyładowana cegłami.

Była to pocztówka. Zwykła pocztówka przedstawiająca sylwetkę mężczyzny łowiącego ryby o zachodzie słońca. Ale to widniejący pod kanoe podpis sprawił, że ugięły się pode mną kolana: SZCZĘŚLIWEJ EMERYTURY!

Ogarnęło mnie takie samo uczucie jak w chwili, gdy Peoria powiedział, że odzyska wzrok. Przez głowę z szybkością kart przesiewanych między palcami zawodowego gracza na wytwornym rzeczonym parostatku zaczęły mi przelatywać wspomnienia. To Vernon wdarł się do sąsiedniego biura, żeby za-dzwonić po ambulans, gdy ta zwariowana baba, Agnes Sternwood, najpierw wyrwała ze ściany przewody mego telefonu, a następnie połknęła środek do czyszczenia rur kanalizacyjnych. "Środek do czyszczenia rur kanalizacyjnych" okazał się gruboziarnistym cukrem, a biuro, do którego włamał się Vernon, wysokiej klasy biurem bookmacherskim do przyjmowania zakładów na wyścigi konne. Z tego, co się orientuję, facio, który wynajął to pomieszczenie biurowe i przybił na nim tabliczkę z napisem "MacKenzie Imports", siedzi teraz w San Quentin, ale ciągle dostaje tam katalogi wysyłkowe Sears Roe-buck. Był też facet, którego Vern uciszył swoim taboret, zanim tamten zdążył przewentylować mi flaki. No i oczywiście ponownie sprawa Mavis Weld. Nie wspominając już o tym, jak przyprowadził do mnie swoją córkę - ależ to była dziewczyna - która uwikłała się w aferę ze świńskimi zdjęciami.

Vern przechodzi na emeryturę.

To niemożliwe. To być nie może.

- Vernon, czy to jakiś żart? - zapytałem.

- Żaden żart, panie Umney - odparł, zatrzymał windę na trzecim piętrze, po czym wstrząsnął nim taki kaszel, jakiego przez wszystkie te lata u niego nie słyszałem.

Brzmiało to tak, jakby wyłożoną brukiem aleją toczyły się marmurowe kule do kręgli. Wyjął z ust camela, a ja z przerażeniem ujrzałem, że końcówka papierosa jest różowa; i nie były to bynajmniej ślady szminki. Spoglądał przez chwilę na koniec papierosa, skrzywił się, włożył go z powrotem do ust, po czym odsunął harmonijkową kratę.

- Cze...cie, panie Tuggle - wychrypiał.

- Dzięki, Vern - powiedział Bili.

- Proszę nie zapomnieć o przyjęciu w piątek - przypomniał stłumionym głosem Vernon. Wyciągnął z tylnej kieszeni popstrzoną brązowymi plamami chusteczkę i otarł nią usta. - Będzie mi bardzo miło, jeśli pan przyjdzie. - Po-patrzył na mnie kaprawymi oczyma i to, co w nich zobaczyłem, wystraszyło mnie śmiertelnie. Za najbliższym zakrętem drogi coś już czekało na Vernona Kleina, a wyraz jego oczu powiedział mi, że on dobrze wie, co to takiego. - Pana też to dotyczy, panie Umney... spędziliśmy tutaj razem kupę czasu i korci mnie, żeby sobie strzelić z panem po jednym.

- Chwileczkę! - krzyknąłem, chwytając za ramię Billa, który właśnie wychodził z windy. - Zaczekaj moment; obaj zaczekajcie! Jakie przyjęcie? Co tu się dzieje?

- Emerytura - wyjaśnił Bili. - Tak przeważnie bywa, gdy człowiekowi kompletnie już posiwieją włosy. Mówię to na wypadek, gdybyś był zbyt zajęty, żeby to zauważyć. W podziemiach, w piątek po południu, Vernon wydaje pożegnalne przyjęcie. Wybierają się na nie wszyscy pracujący w tym budynku, a ja przygotowuję swój Dynamitowy Poncz. Co z tobą, Clyde? Przecież już od miesiąca wiesz, że Vernon ma pracować tylko do trzydziestego maja.

Poczułem gniew, taki sam jak wtedy, gdy Peoria nazwał mnie glistą. Chwyciłem Billa za ramię jego wywatowanej, dwurzędowej marynarki i potrząsałem.

- O czym ty gadasz?

Przesłał mi nikły, smutny uśmiech.

- O niczym, Clyde. Jeśli nie chcesz przyjść, w porządku.

Nie przychodź. Tak czy owak, przez ostatnich sześć miesięcy zachowujesz się jak huju-muju. Ponownie nim potrząsałem.

- Jakie znów huju-muju?

- Miotasz się jak jeleń w rui, świrujesz jak mała, dwoma kołami jedziesz po poboczu, grasz niepełną talią kart... czy to ci coś mówi? Ale zanim mi odpowiesz, pozwól, że cię poinformuję, iż jeśli jeszcze raz mną potrząsniesz, nawet leciutko, wyrzygam się na ciebie, i to tak, że żadna pralnia nie poradzi sobie z twoim garniturkiem.

Nie zdążyłbym nim potrząsnąć, nawet gdybym miał na to ochotę, ponieważ wyrwał mi się i ruszył korytarzem. Krok jego spodni, jak zwykle, znajdował się mniej więcej na wysokości kolan. Obejrzał się przez ramię akurat w chwili, gdy Vernon zasuwiał miedziane drzwi windy.

- Przydałoby ci się trochę urlopu, Clyde! - zawołał. - I to od zeszłego tygodnia poczynając!

- Co cię napadło? - krzyknąłem za nim. - Co was wszystkich napadło?

Ale wtedy wewnętrzne drzwi windy zamknęły się i kabina ruszyła do góry; tym razem

na siódme piętro. Do mego skrawka nieba. Vern wrzucił niedopałek papierosa do stojącego w kącie windy kubelka z piaskiem i natychmiast wsunął do ust następnego camela. Wyjął zapalniczkę, zapalił ją o paznokciec kciuka, odpalił papierosa, po czym natychmiast znów zaniósł się kaszlem. Tym razem dostrzegłem drobniutkie kropelczki krwi, które wydostały się z jego lekko rozchylonych warg. Był to bardzo posępny widok. Vernon skierował pusty wzrok w kąt windy; nic tam nie widział; niczego się tam nie spodziewał zobaczyć. Smród ciała Billa Tuggle'a wisiał między nami niczym Upiór Minionych Czasów.

- W porządku, Yern - powiedziałem. - O co chodzi i dokąd się wybierasz?

Vernon nigdy nie nadużywał języka angielskiego i przynajmniej to nie uległo zmianie.

- Rak - wyjaśnił. - W sobotę jadę liniami Dessert Blossom. Do Arizony. Zamieszkam u mojej siostry. Nie nadużyję zbyt długo jej gościny. Zapewne zdąży mi ze dwa razy zmienić pościel. - Winda stanęła i Vernon otworzył drzwi, które rozsunęły się ze zgrzytem. - Siódme, panie Umney. Pański kawałeczek nieba.

Uśmiechnął się tak, jak robił to zawsze. Ale tym razem był to uśmiech, w jakim krzywią się cukrowe trupie czaszki w Tijuana na Zaduszki.

Drzwi windy otworzyły się na oścież. W swoim kawałeczku nieba natychmiast wyczułem osobliwy zapach, jakiego nigdy tam nie było. Po chwili dopiero zorientowałem się, że to zapach świeżej farby. Gdy tylko rozpoznałem woń, przestałem o niej myśleć. Miałem coś innego na głowie.

- To nie w porządku - oświadczyłem. - Wiesz o tym, że nie jest to w porządku, Vern.

Przeniósł na mnie ten swój przerażająco pusty wzrok. Była w nim śmierć; tuż pod wyblakłym błękitem źrenic trzepotał się i drżał mroczny cień.

- Co jest nie w porządku, panie Umney?

- Do licha, tutaj jest twoje miejsce! Dokładnie tutaj! Na tym taborecie, pod obrazkiem z Jezusem i fotografią twojej żony. Nie pod tym!

Wyciągnąłem rękę, zerwałem pocztówkę przedstawiającą mężczyznę łowiącego w jeziorze ryby, przedarłem ją na pół, następnie połówkę złożyłem, rozdarłem je jeszcze na pół, a potem wypuściłem z dłoni. Spłynęły niczym konfetti na splowiały dywan, którym wyłożona była podłoga windy.

- Moje miejsce zapewne jest tutaj - zgodził się Vernon, nie spuszczać ze mnie ani na chwilę straszliwego wzroku.

Z korytarza popatrzyło na nas dwóch mężczyzn w pochlapanych farbą kombinezonach.

- No właśnie.

- Ale na jak długo, panie Umney? Ponieważ pan wie wszystko, to proszę mnie oświecić.

Jak długo obsługiwałbym jeszcze tę przeklętą windę?

- Cóż... zawsze - odparłem i słowa te zawisły między nami jak kolejny upiór w tej wypełnionej papierosowym dymem windzie. Gdybym miał do wyboru upiory, podejrzewam, że wybrałbym smród nie mytego ciała Billa Tuggle'a... ale nie miałem wyboru. Powtórzyłem więc tylko: - Zawsze, Vern.

Zaciągnął się camelem, wykaszłał z siebie dym i najdelikatniejsze drobinki krwi, ale nie spuszczał ze mnie oczu.

- Panie Umney, nie moją rzeczą jest dawanie pracującym tu ludziom rad, ale panu dam; ostatecznie to mój ostatni tydzień w robocie. Powinien pan rozważyć pomysł pójścia do lekarza. Takiego, co to pokazuje panu plamy z atramentu, a pan mu mówi, co pan w nich widzi.

- Nie możesz iść na emeryturę, Vern. - Serce biło mi mocniej niż zwykle, ale mówiłem normalnym tonem. - Po prostu, nie możesz.

— Nie? - Wyjął z ust papierosa, którego koniuszek znów zabarwiony był krwią, i popatrzył na mnie. - Na moje oko nie mam wielkiego wyboru, panie Umney - powiedział z upiornym uśmiechem.

III. O malarzach i pesos

Zapach świeżej farby uderzył mnie w nozdrza, tłumiąc zapach papierosów Vernona i potu spod pach Billa Tuggle'a. Mężczyźni w kombinezonach pracowali teraz niedaleko drzwi wiodących do mego biura. Podłogę dokładnie zakryto brezentem, na którym poniewierały się narzędzia pracy - puszki z farbą, pędzle, pojemniki z terpentyną. Dostrzec też było można dwa drewniane podwyższenia o dwóch stopniach otaczające malarzy niczym podpórki na książki. Zapragnąłem nagle ruszyć w ich stronę, kopniakami poroztrącać narzędzia, a samych malarzy rozpędzić na cztery wiatry. Czyż mieli prawo pokryć te pociemniałe ściany lśniąca, świętokradczą bielą?

Zamiast tego podszedłem do jednego z robotników, którego poziom IQ wyrażałby się zapewne liczbą dwucyfrową, i uprzejmie zapytałem, czy on i jego tępy koleżka zastanowili się, co robią. Malarz popatrzył na mnie.

- A jak pan myślisz? Ja pokazuję Miss Ameryki pośliniony palec, a ten tam Chick robi na czerwono tyłek Betty Grabie.

Miałem dosyć. Dosyć ich, dosyć wszystkiego. Chwyciłem mądralę pod pachę i nacisnąłem jeden ze szczególnie parszywych nerwów, które się tam znajdują. Malarz wrzasnął i upuścił pędzel. Biała farba polalała się mu na buty. Jego kolega rzucił na mnie bojaźliwe, sarnie spojrzenie i cofnął się.

- Jeśli zamierzasz stąd zwać, zanim z wami skończę - warknąłem - to tak głęboko wsadzę ci w dupsko rączkę od pędzla, że będziesz potrzebował bosaka, żeby dosięgnąć do jego włosów. Chcesz spróbować i zobaczyć, czy kłamię?

Zamarł, stał bez ruchu na skraju rozłożonego na podłodze

brezentu i strzelał oczyma, jakby szukał pomocy. Ale nikogo nie było. Spodziewałem się, że z drzwi mego biura wyjrzy Candy, żeby sprawdzić, co to za awantura wybuchła na korytarzu. Ale drzwi pozostawały zamknięte. Skupiłem uwagę na dowcipnisiu, któremu ciągle jeszcze trzymałem dłoń pod pachą.

- Pytanie chyba było jasne, koleś: co tu robicie? Odpowiedz mi, czy mam cię jeszcze podrajcować?

Znów wykonałem obrót palcami i znów malarz wrzasnął.

- Malujemy korytarz! Jezu, nie widzisz pan?

Widziałem, a nawet gdybym był ślepy, to bym poczuł. Nie podobało mi się to, co mi oba odpowiedzialne za to zmysły mówiły. Korytarz nie powinien być malowany; a już na pewno nie taką lśniąca bielą. Powinien pozostać mroczny i ciemny, powinno w nim pachnieć kurzem i wspomnieniami. Cokolwiek zaczęło się od Demmicków, niezwyčajna cisza stawała się coraz gorsza. Byłem wściekły jak wszyscy diabli, zresztą ów nieszczęsny facet odczuł to na własnej skórze. Byłem również wystraszony, ale ktoś taki jak ja, ktoś, kto chcąc przeżyć, nosi w kaburze pod pachą kopyto, potrafi to dobrze skrywać.

- A kto was tutaj, patalachy, przysłał?

- Nasz szef - oświadczył malarz, spoglądając na mnie jak na człowieka niespełna rozumu. - Pracujemy w firmie Challis Gustom Painters na Van Nuys. Szef nazywa się Hap Corrigan. Jeśli chcesz pan wiedzieć, kto wynajął naszą firmę, powinieneś pan za...

- Właściciel - wtrącił cicho drugi malarz. - Właściciel tego budynku. Facet nazywa się Samuel Landry.

Pogrzebałem w pamięci, próbując połączyć imię i nazwisko Samuela Landry'ego z biurowcem Fulwider Building, ale nie udało mi się ta sztuka. Tak naprawdę Samuel Landry nie kojarzył mi się z niczym... mimo to owo imię i nazwisko dźwięczało mi pod czaszką niczym kościelny dzwon, jaki można usłyszeć z oddali w mglisty poranek.

- Kłamiesz - burknąłem, ale bez przekonania. Odezwałem się, żeby powiedzieć cokolwiek.

- Niech pan zadzwoni do szefa - poradził drugi malarz.

Wygląd zewnętrzny często bywa mylący, ale ten facet najwyraźniej był bardziej rozgarnięty z tej dwójki. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni brudnego, pochłapanego farbą

kombinezonu i wyjął niewielką wizytówkę.

Ogarnęło mnie nagle znużenie i machnąłem tylko obojętnie ręką.

- Kto, na Boga, chciałby malować takie miejsce? Pytania wcale nie kierowałem do nich, ale malarz, który wyciągnął z zanadru wizytówkę, odpowiedział.

- Cóż, będzie tu dużo jaśniej - odparł ostrożnie. - Sam musi pan to przyznać.

- Synu, czy twoja matka ma jakieś dzieciaki, które prze-żyły, czy tylko wydała od czasu do czasu takie łożyska płodowe jak ty? - zapytałem.

- Zaraz, zaraz - powiedział, cofając się o krok. Powędrowałem za jego pełnym niepokojem spojrzeniem skierowanym na moje zaciśnięte pięści i siłą woli rozprostowałem palce. Nie wyglądało na to, żeby gest ten go uspokoił, ale wcale mu się nie dziwiłem. - Nie podoba się panu nasza robota... przychodzi pan tu i robi nam straszną awanturę. Ale ja z kolei robię to, co każe mi mój szef, prawda? W Ameryce wszyscy tak robią.

Zerknął na swego kolegę, a następnie znów przeniósł wzrok na mnie. Było to bardzo ukradkowe zerknięcie, ale w moim zawodzie zetknąłem się z nim już nieraz i dobrze wiedziałem, co ono oznacza: "Nie denerwuj tego typu - mówiło owo spojrzenie. - Nie sprzeciwiaj się, nie wyklócaj się z nim. To świrus!"

- Rozumie pan, mam żonę i małe dziecko, o których muszę dbać - ciągnął. - Wie pan, Wielki Kryzys.

Zmieszałem się. Zmieszanie ugasiło mój gniew, jak ulewa gasi niewielkie ognisko. Naprawdę nadchodził Wielki Kryzys? Naprawdę?

- Wiem - odparłem, nic już nie wiedząc. - Zapomnijmy o całej sprawie, dobra?

- Jasne - zgodzili się malarze tak skwapliwie, jakby stanowili połowę kwartetu wokalnego.

Ten, którego niewłaściwie oceniłem jako półgłówka, wsunął lewą dłoń pod prawą pachę i zaczął się masować, próbując ukoić ból. Mogłem mu powiedzieć, że czeka go jeszcze godzina takiego masowania, może i dłużej, ale nie chciało mi się otwierać ust. Nie chciało mi się z nikim rozmawiać ani nikogo widzieć; nawet rozkosznej Candy Kane, której wilgotne jak u łani oczy oraz wspaniałe, tropikalne kształty sprawiały, że nawet zahartowanym, ulicznym awanturnikom miękły na jej widok kolana. Jediną rzeczą, jakiej pragnąłem, to przejść i przez sekretariat i zaszyć się w zaciszu mego gabinetu. W dolnej lewej szufladzie biurka miałem butelkę robb's rye; koniecznie i musiałem wziąć tęgiego łyka.

Ruszyłem w stronę drzwi z matowym szkłem, na którym widniał napis: CLYDE UMNEY, PRYWATNY DETEKTYW. Znów naszła mnie ochota, żeby kopniakiem wyrzucić przez okno puszkę z farbą Dutch Boy Oyster White, a następnie czmychnąć wyjściem

przeciwpożarowym. Sięgałem właśnie do gałki przy drzwiach, gdy przysła mi do głowy pewna myśl. Odwróciłem się w stronę malarzy... ale powoli, tak żeby nie pomyśleli, że dostałem nowego napadu. Wiedziałem również, że gdybym odwrócił się zbyt szybko, dostrzegłbym szydercze spojrzenia robotników, którzy kręciliby palcami przy czołach - gest, który każdy zna aż za dobrze jeszcze ze szkolnych czasów.

Nie kręcili palcami, ale też nie spuszczała za mnie wzroku. Ten mniej rozgarnięty zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od drzwi opatrzonego napisem: SCHODY. Nagle naszała mnie ochota, żeby im wyjaśnić, że przy bliższym poznaniu wcale nie jestem takim wstrętnym typem. Tak naprawdę kilku klientów oraz co najmniej jedna z moich byłych żon uważała mnie za bohatera. Ale trudno o samym sobie opowiadać tego rodzaju historie; a już na pewno nie takim dwóm głupkom jak ci malarze.

- Spokojnie - powiedziałem. - Nie zamierzam was ugryźć. Chcę tylko zadać jedno pytanie. Trochę się rozluźnili. Ale tylko trochę.

- Pytaj pan - odezwał się Malarz Numer Dwa.

- Czy któryś z was grywał kiedykolwiek w totka w Tijuana?

- La loteria? - zapytał Numer Jeden.

- Twoja znajomość hiszpańskiego mnie zadziwia. Tak. La loteria. Numer Jeden potrząsnął głową.

- Meksykańskie totki i meksykańskie burdele z dziewczkami na telefon są tylko dla naiwniaków.

- A jak myślisz, dlaczego pytam? Nic przecież nie powiedziałem.

- Poza tym - ciągnął - możesz pan tam wygrać dziesięć albo dwadzieścia tysięcy pesos. Też mi interes! I to ma być forsa? Pięćdziesiąt dolców? Osiemdziesiąt?

"Moja mama wygrała na loterii w Tijuana - oświadczył Peoria, a ja już wtedy wiedziałem, że coś jest w tym nie w porządku. - Czterdzieści tysięcy dolców... Wczoraj po południu mój wujek Fred odebrał pieniądze. Przyniósł je do domu w skórzanej torbie przymocowanej do bagażnika jego Yinnie!"

- Tak - odrzekłem. - Tak samo i ja myślałem. Zawsze tak wypłacają? W pesos?

Znów popatrzył na mnie, jakbym miał nierówno pod sufitem, ale natychmiast przypomniał sobie, że tak dokładnie jest, i przybrał miły wyraz twarzy.

- Cóż, pewnie. Wie pan, to meksykańska loteria. Trudno byłoby im wypłacać w dolarach.

- Racja - mruknąłem i oczyma duszy ujrzałem kościstą, pełną entuzjazmu twarz Peorii.

W uszach ponownie zadźwięczały mi jego słowa: "Były rozrzucone po całym łóżku

mojej mamy! Czterdzieści-cholernych-tysięcy-dolców!"

Poza tym jak ślepy dzieciak mógł określić dokładnie sumę pieniędzy... a nawet to, czy to naprawdę pieniądze rozrzucone są na łóżku? Odpowiedź była prosta: nie mógł. Ale nawet ślepy gazeciarz powinien wiedzieć, że w la loteria wygrane wypłacane są w pesos, nie w dolarach, i nawet ślepy gazeciarz wiedziałby, że meksykańska sałata wartości czterdziestu tysięcy dolarów nie weszłaby do torby przytroczonej do bagażnika motocykla typu Yincen. Wujek Peorii potrzebowałby wywrotki z Los Angeles, żeby przewieźć taką kupę szmalu.

Chaos, chaos - nic, tylko czarne, skłębione tumany chaosu.

- Dzięki - powiedziałem i ruszyłem do biura. Podejrzewam, że cała nasza trójka odczuła ulgę.

IV. Ostatni klient Umneya

- Candy, słoneczko. Nie chcę nikogo przyjmować ani odbierać żadnych tele...

Urwałem. Sekretariat był pusty. Stojące w rogu biurko Candy również prezentowało się nienaturalnie pusto. Tekturowa teczka, w której trzymała papiery do podpisania oraz dokumenty już załatwione, leżała w koszu na śmieci, a stojące zawsze na biurku fotografie Errola Flynna i Williama Powella zniknęły. Podobnie jak przybory do pisania. Niewielki niebieski taboret, skąd Candy stenografując miała zwyczaj prezentować mi swe olśniewające nogi, był nie zajęty.

Wróciłem spojrzeniem do sterczącej z kosza na śmieci niczym dziób tonącego okrętu tekturowej teczki na dokumenty i na chwilę serce mi zamarło. Może ktoś tu przyszedł, prze-wrócił biuro do góry nogami, a następnie uprowadził Candy? Innymi słowy, mogła to być sprawa. W tym momencie chętnie podjąłbym się jakiegś, nawet jeśli miałoby to oznaczać, że bandzior w tej właśnie chwili wiąże Candy... i wyjątkowo pieczołowicie poprawia linkę na jej jędrnych, sterczących piersiach. Poczulem, że zaczynam wikłać się w jakąś pajęczynę.

Cały szkopuł tkwił jednak w tym, że pokój nie został wy-wrócony do góry nogami. Teczka na dokumenty tkwiła w koszu na śmieci, to fakt, ale nie było żadnych śladów walki. Tak naprawdę wszystko wskazywało na to, że...

Na biurku znajdowała się tylko jedna rzecz, położona dokładnie pośrodku bibularza. Biała koperta. Już na sam jej widok targnął mną niepokój. Nogi same poniosły mnie przez sekretariat. Sięgnąłem po kopertę. Nie zdziwiło mnie wcale wypisane okrągłym pismem Candy moje nazwisko. Po prostu kolejna, paskudna część tego długiego, paskudnego poranka.

Rozerwałem kopertę i na dłoń wypadła mi niewielka kartka z notatnika.

Miły Clyde!

Dosyć już miałam twojego szamotania się i szyderstw. Jestem zmęczona twymi głupawymi, dziecinnymi dowcipami na temat mego imienia i nazwiska. Życie jest zbyt krótkie, żeby oblał mnie rozwiedziony detektyw w średnim wieku, mający na dodatek paskudny oddech. Clyde, masz swoje dobre strony, ale te złe zdecydowanie przeważają, szczególnie od czasu, gdy zacząłeś nieustannie pić.

Wyświadczyć sobie tę uprzejmość i spoważnij.

Oddana Ci Arlene Cain

PS: Wracam do matki w Idaho. Nie próbuj się ze mną kontaktować.

Trzymałem list jeszcze przez kilka chwil, spoglądając na niego z niedowierzaniem, a następnie wyrzuciłem go do kosza na śmieci. Kiedy kartka, kolebiąc się w powietrzu, leniwie spływała do pojemnika, przypomniało mi się jedno zdanie: "Jestem zmęczona twoimi głupawymi, dziecinnymi dowcipami na temat mego imienia i nazwiska". Ale czy wiedziałem, że nie nazywa się Candy Kane? Gdy list powoli spływał do kosza - co zdawało się trwać w nieskończoność - grzebałem w pamięci, bo musiałem sobie szczerze i uczciwie odpowiedzieć na to pytanie. Zawsze nazywała się Candy Kane, wiele razy żartowaliśmy na ten temat, a co z tego, że mieliśmy też za sobą kilka sprzeczek? Zawsze jej się to podobało. Nam obojgu.

Czy naprawdę jej się to podobało? - zapytał we mnie jakiś głos. - Naprawdę? A może to kolejna bajeczka, jaką raczyłem się przez te wszystkie lata?

Po kilku próbach stłumiłem ten mówiący mi pod czaszką głos, ale zastąpił go inny, jeszcze gorszy. Głos należący do samego Peorii Smitha. "Nie muszę już zachowywać się jak umarły i iść ze szczęścia do nieba, kiedy jakiś jełop da mi pięć centów napiwku. Czy nie dociera do pana, panie Umney, ta wielka wieść?"

- Zamknij się, dziecko - powiedziałem do pustego pokoju. - Gabriel Heater to ty nie jesteś.

Odwrociłem się od biurka Candy. W trakcie tej czynności maszerowały mi przed oczyma duszy, niczym w jakimś opętanczym, piekielnym korowodzie, twarze George'a i Glorii Demmicków, Peorii Smitha, Billa Tuggle'a, Vernona Kleina, wartej milion dolarów blondynki występującej pod imieniem i nazwiskiem Arlene Cain... znalazły się tam również oblicza dwóch malarzy.

Chaos, chaos, nic, tylko chaos.

Ze zwieszoną nisko głową powlokłem się do mego gabinetu, zamknąłem za sobą drzwi

i usiadłem za biurkiem. Zza okna dobiegał stłumiony szum ruchu ulicznego na Sunset. Podejrzywałem, że dla każdego normalnego człowieka wciąż jest to ten sam wiosenny poranek w tak perfekcyjnym Los Angeles, że w każdej chwili można się spodziewać umieszczonego w ja-kimkolwiek miejscu znaczka firmowego. Dla mnie jednak całe światło tego dnia już gdzieś zniknęło ... zarówno to światło we mnie, jak to poza mną. Myślałem o flasce gorzały w dolnej szufladzie biurka, ale nagle stwierdziłem, że proste schylenie się, żeby tam sięgnąć, to wysiłek zbyt wielki. Taki sam jak wspinaczka na Mount Everest w tenisówkach.

Woń świeżej farby docierała aż do mego gabinetu. Zazwyczaj bardzo lubiłem ten zapach, ale nie w tej chwili. W tej chwili zapach ów niósł ze sobą wszystko, co było nie tak, odkąd Demmickowie nie wrócili do swego domu w Hollywood, nie przerzucali się sympatycznymi złośliwościami niczym piłeczkami z kauczuku, nie puszczały płyt na cały regulator oraz nie wprowadzili swego psa w histeryczne skowoty zalotami i słodkim gaworzeniem. Dotarło do mnie z całą jaskrawością i prostotą - w sposób, w jaki zawsze, moim zdaniem, objawiają się ludziom wielkie prawdy - że gdyby jakiś lekarz potrafił po-wstrzymać rozwój raka, który zabijał windziarza w Fulwider Building, rak okazałby się biały. I pachniałby jak świeża farba Dutch Boy.

Myśl ta była tak uciążliwa, że pochyliłem głowę i kantami dłoni mocno ścisnąłem skronie, żeby nie opadła na biurko... a może chciałem w ten sposób zapobiec eksplozji tego, co miałem w głowie, a co by zachlapało ściany. Nawet gdy otworzyły się cicho drzwi i w pokoju rozległ się odgłos czyichś kroków, nie podniosłem głowy; w tej konkretnej chwili byłby to dla mnie także zbyt wielki wysiłek.

Poza wszystkim innym w dziwny sposób wiedziałem, kto wszedł do mego biura. Nie potrafiłbym wymienić imienia i nazwiska gościa, ale kroki brzmiały znajomo. To samo dotyczyło zapachu wody kolońskiej. Znałem tę woń, jakkolwiek, nawet pod groźbą przystawionego do skroni pistoletu, nie umiałbym wymienić jej marki. A to z prostego powodu: z tym zapachem zetknąłem się po raz pierwszy w życiu. Zapytacie, w jaki sposób mogłem go rozpoznać, skoro nigdy wcześniej się z nim nie spotkałem. Kolego, nie umiem ci na to pytanie odpowiedzieć, ale tak właśnie było.

Istniało jednak jeszcze coś, coś nieporównanie gorszego: ogarnął mnie śmiertelny lęk. Stałem już twarzą w twarz z rozwścieczonymi mężczyznami celującymi we mnie z pistoletu, co było sprawą paskudną; miałem do czynienia z rozwścieczonymi kobietami uzbrojonymi w sztylety, co było sprawą tysiącokrotnie paskudniejszą. Raz nawet siedziałem przykuty do kierownicy packarda ustawionego na torach, którymi bardzo często przejeżdżały pociągi towarowe. Wypchnięto mnie również przez okno z drugiego piętra. Niewątpliwie prowadziłem

burzliwe życie, ale nic nie wystraszyło mnie tak, jak ów zapach wody kolońskiej i ciche kroki.

Odniosłem nagle wrażenie, że moja głowa waży co najmniej trzysta kilogramów.

- Clyde - rozległ się głos, którego nigdy przedtem nie słyszałem, a jednocześnie znałem go równie dobrze jak własny.

To jedno słowo sprawiło, że moja głowa nagle zaczęła ważyć równiutką tonę.

- Kimkolwiek jesteś, opuść moje biuro - odezwałem się, nie podnosząc wzroku. - Firma nie działa. - I coś kazało mi dodać: - Remont.

- Paskudny dzień, co, Clyde?

Czyżbym wyczuł w tonie głosu współczucie? Być może, ale to tylko sprawę pogarszało. Kimkolwiek był ten facet, nie potrzebowałem jego współczucia. Coś mi mówiło, że lepiej by się stało, gdyby ział do mnie nienawiścią, zamiast okazywać współczucie.

- Nie tak bardzo paskudny - odparłem, wspierając bolącą głowę na kantach dłoni i wpatrując się tępo w bibularz na blacie biurka.

W górnym, lewym rogu widniał numer telefonu Mavis Weld. Gapiłem się na litery i cyfry: BEverly 6-4214. Wlepianie wzroku w bibularz wydawało mi się najlepszym rozwiązaniem. Nie wiedziałem, kim jest mój gość, ale wiedziałem, że nie chcę go oglądać. Wiedziałem tylko to.

- Sądzę, że jesteś troszeczkę... powiedzmy, nieszczerzy, prawda? - zapytał głos współczująco, a ja poczułem, że żołądek wypełnia mi pięść ociekająca kwasem.

Rozległo się skrzypienia krzesła - to przybysz siadał.

- Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale powiedzmy, że tak - zgodziłem się. - A więc skorośmy to już ustalili, Moggins, proszę wstać i opuścić moje biuro. Zamierzam dziś pójść na chorobowe, a mogę to uczynić bez najmniejszych przeszkód, ponieważ to ja jestem swoim szefem. Czasami sprawy układają się bardzo pomyślnie, prawda?

- Chyba tak. Spójrz na mnie, Clyde. Serce mi załopotało, ale nie poruszyłem głową i tylko tępo wpatrywałem się w napis Beverly 6-4214. Jakaś część mnie zastanawiała się, czy w piekle jest wystarczająca ilość płonącej siarki dla Mavis Weld. Dziękowałem losowi, że kiedy się odezwałem, głos miałem pewny i normalny.

- Tak naprawdę, to mogę sobie wziąć chorobowe na cały rok. Może wybrałbym się do Carmel. Siedziałbym na pokładzie z American Mercury na kolanach i obserwował płynące z Hawajów wielkie statki.

- Spójrz na mnie.

Nie chciałem wcale tego robić, ale mimowolnie uniosłem głowę. Siedział na krześle, na którym siedziała ongiś Mavis i Ardis McGill, i Big Tom Hatfield. Siedział na nim raz nawet

Vernon Klein, gdy przyniósł mi fotografie swej córki przy-branej jedynie w ogłupiały uśmiezek i strój, w jakim przyszła na świat. Na oblicze mego gościa padał taki sam promień kalifornijskiego słońca - na twarz o rysach, które już z całą pewnością gdzieś widziałem. Ostatni raz tę twarz obserwowałem niecałą godzinę wcześniej w lustrze we własnej łazience, gdy skrobałem zarost żyletką Gillette Blue.

Współczucie w jego oczach - w moich oczach - stanowiło najbardziej odrażającą rzecz, z jaką zetknąłem się w życiu, a kiedy wyciągnął rękę - moją rękę - poczułem nieodpartą chęć, by odkręcić się wraz z krzesłem, zerwać na nogi i wy-skoczyć przez okno z siódmego piętra. Podejrzewam, że nawet bym to uczynił, gdybym nie był tak kompletnie oszołomiony i zagubiony. Wielokrotnie czytałem słowo "strwożony", ulubiony zwrot twórców brukowców oraz ich egzaltowanych, płaczliwych czytelniczek, ale po raz pierwszy w życiu naprawdę doświadczyłem tego uczucia.

Nieoczekiwanie w biurze pociemniało. Za oknami panował piękny, słoneczny dzień, mogłem to przysiąc, a jednak jakaś chmura przysłoniła słońce. Mężczyzna po drugiej stronie biurka był co najmniej o dziesięć lat ode mnie starszy, może nawet o piętnaście, włosy miał prawie zupełnie siwe, podczas gdy moje zachowały jeszcze nieskalaną czerń, lecz nic nie zmieniało oczywistego faktu, że bez względu na to, jak się nazywał i w jakim był wieku, był mną. Czy jego głos zabrzmiał w moich uszach znajomo? Jasne. Podobnie znajomo, choć nieco odmiennie niż brzmi własny głos nagrany na taśmę.

Gość uniósł moją bezwładną rękę, potrząsnął nią z energią agenta firmy handlującej nieruchomościami, a następnie rozluźnił uścisk. Dłoń opadła z plaśnięciem na bibularz, lądując dokładnie na numerze telefonu Mavis Weld. Gdy skurczyłem palce, spostrzegłem, że numer Mavis zniknął. Tak naprawdę, to zniknęły wszystkie numery, jakie naskrobałem na bibularzu w ciągu minionych lat. Bibularz był czysty jak... cóż, czysty niczym sumienie niezłomnego baptysty.

- Jezu - wychrypiałem. - Jezu Chryste.

- Wcale nie - odparła starsza wersja mnie siedząca na krześle dla klientów po drugiej stronie biurka. - Landry. Samuel D. Landry, do usług.

V. Spotkanie z Bogiem

Mimo że byłem tak wstrząśnięty, potrzebowałem zaledwie sekundy lub dwóch, żeby umiejscowić sobie w pamięci to imię i nazwisko. Mogłem to zrobić dzięki temu, że usłyszałem je bardzo niedawno. Według słów Malarza Numer Dwa, to Samuel Landry zdecydował, iż już niebawem ściany długiego, mrocznego korytarza wiodącego do mego biura staną się

perłowobiałe. Landry był właścicielem Fulwider Building.

Przyszedł mi do głowy wariacki pomysł, ale jego wariactwo nie potrafiło przyćmić ogromnej nadziei, jaka we mnie wstąpiła. Oni - bez względu na to, kim ci oni są - twierdzą, że każdy człowiek na ziemi ma swego sobowtóra. Może Landry jest właśnie moim sobowtorem? Może jesteśmy wyłącznie nie po-wiązanymi rodzinnie bliźniakami, które przyszły na świat w od-stępie piętnastoletnim z różnych rodziców? Pomysł nie wyjaśniał wprawdzie całej osobliwej dziwaczności tego dnia, ale miałem przynajmniej, do licha, jakiś punkt zaczepienia.

- Czym mogę panu służyć, panie Landry? - zapytałem. Staralem się mówić pewnie, ale wcale mi to nie wyszło. - Jeśli chodzi panu o wynajem lokalu, to proszę mi dać dzień lub dwa na uporządkowanie rachunków. Wygląda na to, że moja sekretarka musiała koniecznie wrócić do domu w Armpit w Idaho.

Landry całkowicie zignorował moją niemrawą próbę zmiany tematu.

- No cóż - odrzekł zadumany tonem. - Podejrzewam, że od początku wszystko poszło nie tak... i to z mojej winy.

Przykro mi z tego powodu, Clyde; naprawdę. Osobiste spotkanie z tobą okazało się... cóż, nie takie, jak się spodziewałem. Ani trochę. Po pierwsze, lubię cię znacznie bardziej, niż myślałem. Ale niestety nie ma już odwrotu. Głęboko westchnął. Bardzo mi się to nie spodobało.

- O czym właściwie pan mówi? - zapytałem, nie próbując już powstrzymać drżenia głosu.

Opuściła mnie nawet tamta wariacka nadzieja. Odnosiłem wrażenie, że spowodował to brak tlenu w otchłannej przestrzeni, jaką nagle okazał się mój mózg.

Odpowiedział nie od razu. Pochylił się i sięgnął po cienką, skórzaną teczkę opartą o przednią nogę krzesła, na którym siedział. Widniały na niej inicjały S.D.L.; wydedukowałem z tego, iż mój niesamowity gość przyniósł ją ze sobą. Sami widzicie, że nie za darmo zdobyłem w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym i piątym tytuł detektywa roku.

Ale nigdy w życiu takiej teczki nie widziałem. Była za mała, za delikatna jak na normalną teczkę i nie zapinała się na zamki i pasek, lecz na suwak. Nigdy też nie spotkałem takiego suwaka. Ząbki miał drobniutkie, lecz nie wykonano ich z metalu.

Teczka stanowiła zaledwie początek całej dziwaczności. Pomijając już niezwykle podobieństwo tego gościa do mnie - zupełnie jakby był moim starszym bratem - to wcale nie sprawiał on wrażenia człowieka interesów, a już na pewno nie wyglądał na kogoś, komu powodzi się na tyle dobrze, aby być właścicielem Fulwider Building. To prawda, budynek w niczym nie przypominał Ritza, ale ostatecznie znajdował się w samym centrum Los Angeles,

mój klient natomiast (jeśli miał zostać moim klientem) przypominał raczej okiego¹⁰, który wykapał się i ogolił.

Po pierwsze miał na sobie dzinsy, a na nogach trampki... z tym tylko, że trampki te w niczym nie przypominały tramppek, z jakimi spotykałem się na co dzień. Było to wielkie i bryłowate obuwie. Tak naprawdę, to przypominało buty, jakie nosił Boris Karloff, gdy grał potwora Frankenstein, i gotów byłem zjeść swą ulubioną fedorę, jeśli wykonano je z brezentu. Słowo wypisane czerwonymi literami na boku każdego z nich kojarzyło mi się raczej z nazwą jakiejś chińskiej potrawy na wynos: REEBOK.

Spojrzałem na bibularz, popstrzony niegdyś numerami telefonów, i nagle uświadomiłem sobie, że nie pamiętam numeru Mavis Weld, jakkolwiek zaledwie ostatniej zimy musiałem do niej dzwonić z milion razy. Ogarnęło mnie jeszcze większe przerażenie.

- Proszę pana - powiedziałem. - Proszę wyłożyć swoją sprawę i wyjść stąd. Przestańmy kołować. Od razu przejdźmy do rzeczy, a później już pan sobie pójdzie.

Uśmiechnął się... ze znużeniem - pomyślałem. Twarz nad białą, rozpiętą pod szyją koszulą sprawiała wrażenie straszliwie zmęczonej. I przeraźliwie smutnej. Mówiła, że jego właściciel doświadczył w życiu rzeczy, o jakich mi się nawet nie śniło. Poczulem do gościa przyływ współczucia, ale nade wszystko przepęłniał mnie strach. I gniew. Przecież ta twarz należała również do mnie, a ten skurwiel długo pracował nad tym, żeby ją tak wyniszczyć.

- Przykro mi, Clyde - odparł. - Ale tego nie da się zrobić.

Położył dłoń na cieniutkim, pomysłowym suwaku, a do mnie dotarło nagle, że ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest to, by Landry otworzył swą teczkę. Żeby temu zapobiec, powiedziałem:

- Czy pan zawsze odwiedza swoich dzierżawców ubrany jak robotnik rolny pracujący przy zbiorach kapusty? Kim pan jest, jednym z tych ekscentrycznych milionerów?

- Zgadza się, jestem ekscentrykiem - przyznał. - I nie przyniesie ci nic dobrego, Clyde, jeśli zechcesz drażnić tę sprawę.

- Skąd przyszedł panu do głowy po... I wtedy powiedział coś, czego najbardziej się bałem i co odebrało mi resztkę nadziei.

- Znam wszystkie twoje myśli, Clyde. Ostatecznie jestem tobą.

Oblizałem usta i próbowałem coś powiedzieć, cokolwiek, żeby powstrzymać go przed rozsunięciem suwaka. Cokolwiek. Z gardła wprawdzie wydobył mi się tylko ochrypy szept, ale ostatecznie się wydobył.

¹⁰ Okie - najemny robotnik rolny, pierwotnie z Oklahomy. W latach trzydziestych, w czasie

- Tak, zauważyłem podobieństwo. Ale ja używam innej wody kolońskiej. Używam old spice'a.

Jego kciuk i palec wskazujący ciągle spoczywały na suwaku, ale nie otwierał teczki. W każdym razie jeszcze nie.

- Niemniej zapach ten ci się podoba - odparł z całkowitym przekonaniem. - I mógłbyś używać tej wody, gdybyś; poszedł do sklepu Rexall na rogu. Niestety nie możesz tego uczynić. Ta woda kolońska nosi nazwę Aramis i zaczną ją produkować dopiero za jakieś czterdzieści lat.
- Popatrzył na swoje dziwaczne, paskudne, koszykarskie buty. - Podobnie jak moje trampki.

- O czym, do diabła, pan mówisz?

- Cóż, myślę, że może nawet gdzieś w tym wszystkim tkwi sam diabeł - odparł bez uśmiechu Landry.

- Skąd jesteś?

- Myślałem, że wiesz.

Landry otworzył zamek teczki. W środku dostrzegłem prostokątne urządzenie wykonane z jakiegoś gładkiego plastiku. Miało barwę ściany korytarza na siódmym piętrze po zachodzie słońca. Nigdy czegoś podobnego w życiu nie widziałem. Urządzenie nie nosiło żadnej firmowej nazwy. Zobaczyłem jedynie coś, co mogło być numerem seryjnym: T1000. Landry wyciągnął urządzenie z teczki, kciukami otworzył zapięcia po bokach i uniósł zamontowane na zawiasach wieczko. W środku znajdowało się coś, co przypominało teleekran z filmów "Buck Rogers".

- Przybyłem z przyszłości - oświadczył Landry. - Zupełnie jak w opowiadaniu z brukowego czasopisma.

- Raczej z domu wariatów "Rozkoszna Kraina" - odparłem ochryple.

- Ale niezupełnie jak z brukowej science fiction - ciągnął nie zrażony moją uwagą. - Tak, niezupełnie.

Nacisnął guzik z boku plastikowego pudełka. Ze środka urządzenia dobiegł cichy szum, a po nim krótki, przenikliwy pisk. Spoczywający na jego kolanach przedmiot przypominał stenograf... i przyszło mi do głowy, że nie jestem daleki od prawdy.

Landry popatrzył na mnie i powiedział:

- Clyde, jak twój ojciec miał na imię?

Chwilę na niego spoglądałem. Siłą woli powstrzymałem się, żeby ponownie nie oblizać ust. W pokoju panował półmrok. Słońce ciągle zakrywała chmura, której, gdy wchodziłem z

ulicy do budynku, na niebie nie było. W półmroku twarz Landry'ego unosiła się w powietrzu niczym stary, zwiotczały balon.

- A co to ma wspólnego z ceną ogórków w Morovii? - odpowiedziałem pytaniem.

- Naprawdę nie wiesz?

- Oczywiście, że wiem - odparłem, ponieważ wiedziałem.

Nie mogłem tylko sobie przypomnieć. Miałem to imię na końcu języka; podobnie jak numer telefonu Mavis Weld, który był... jakoś tak... BAyshore.

- A imię matki?

- Przestań robić ze mnie wariata!

- Zatem pytanie łatwiejsze. Jakie gimnazjum ukończyłeś? Każdy prawdziwy Amerykanin pamięta nazwę szkoły, do której uczęszczał, prawda? Albo swoją pierwszą dziewczynę. Albo miasteczko, w którym wyrósł. Czy pochodzisz z San Luis Obispo?

Otworzyłem usta, ale nie popłynął z nich żaden dźwięk.

- Carmel?

To wydawało się prawdziwe... ale po chwili znów wszystko było źle. W głowie mi wirowało.

- A może z Dusty Bottom w Nowym Meksyku?

- Dość tych bzdur! - krzyknąłem.

- Czy wiesz? Wiesz?

- Tak. Nazywało się...

Pochylił się i zaklekotał klawiszami swej maszyny do stenografowania.

- San Diego. Tam urodzony i wychowany.

Ustawił swoją maszynę na biurku i odwrócił ją w moją stronę tak, że mogłem odczytać słowa widniejące w okienku nad klawiaturą.

San Diego. Tam urodzony i wychowany.

Powędrowałem wzrokiem z okienka na słowo wytłoczone na plastikowej ramce otaczającej to okienko.

- Co to takiego Toshiba? - zapytałem. - Coś, co podają razem z posiłkiem Reebok?

- To japońskie przedsiębiorstwo elektroniczne. Parsknąłem suchym śmiechem.

- Żarty sobie stroisz? Bez włożenia odwrotnie sprężyny Japońce nie potrafią zrobić nawet nakręcanej zabawki.

- Teraz nie - zgodził się. - A skoro jesteśmy już przy "teraz", Clyde, jakie jest to "teraz"?
Który mamy rok?

- Tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy - odrzekłem, a następnie podniosłem na wpół

zdrętwiała dłoń do twarzy i potarłem usta. - Zaczekaj chwilę... tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty.

- A może nawet tysiąc dziewięćset czterdziesty. Mam rację? Nic nie odpowiedziałem, ale poczułem, że twarz robi mi się gorąca.

- Nie masz się czym przejmować, Clyde. Nie wiesz tego, ponieważ i ja nie wiem. Zawsze pozostawiałem ten szczegół niejasny. Moje ramy czasowe tak naprawdę były raczej sprawą i wycucia... jeśli chcesz, nazwij to Amerykańskim Czasem Chandlera. Działa bardzo skutecznie na moich czytelników, jak też ułatwia lekturę, ponieważ trudno ustalić dokładnie upływ czasu. Czy nigdy nie zauważyłeś, jak często używasz zwrotów "nie pamiętam już od ilu lat", "od tak dawna, że nie lubię o tym myśleć" czy też "od czasu, gdy Hektor nosił pieluchy"?

- Wcale nie... wcale tak nie jest.

Ale już w chwili gdy on to mówił, zauważyłem ten szczegół i ja. Natychmiast pomyślałem o Los Angeles Times. Czytałem tę gazetę codziennie, ale dokładnie w jakie dni? Nie można było się tego dowiedzieć z samej gazety, ponieważ w nagłówku nigdy nie podawano daty dziennej. Widniał tam jedynie slogan: "Najuczciwsza Gazeta Ameryki w Najuczciwszym Mieście Ameryki".

- Możesz tak mówić, ponieważ w tym świecie tak naprawdę czas nie płynie. Stanowi to... - Urwał i uśmiechnął się. Strasznie było patrzeć na ten uśmiech pełen tęsknoty i jakiejś osobliwej zachłanności. - Stanowi to jeden z uroków tego świata - zakończył.

Bąłem się, ale zawsze, ilekroć zachodziła taka potrzeba, potrafiłem zjeść żabę i jakoś z tym żyć. Teraz właśnie znalazłem się w jednej z takich sytuacji.

- Powiedz mi, co się, do licha, tutaj wyprawia?

- Dobrze... ale sam już zaczynasz wszystko rozumieć, Clyde. Prawda?

- Może. Nie znam imion ani mego ojca, ani mojej matki, nie znam imienia mojej pierwszej dziewczyny, z którą poszedłem do łóżka, bo ty tego nie wiesz. Czy tak?

Skinął głową i uśmiechnął się jak nauczyciel do ucznia, który pomijając wszelkie prawa logiki, na przekór okolicznościom dał właściwą odpowiedź. Ale w jego oczach ciągle malowało się owo okropne współczucie.

- I kiedy na tym swoim urządzeniu napisałeś "San Diego", mnie natychmiast przyszło do głowy to samo... Znów skinął głową, jakby dodawał mi odwagi.

- Jesteś właścicielem nie tylko Fulwider Building, prawda? - Przełknąłem ślinę, starając się bez powodzenia usunąć z gardła coś, co nie pozwalało mi mówić. - Jesteś właścicielem wszystkiego.

Ale Landry potrząsnął przecząco głową.

- Nie wszystkiego. Tylko Los Angeles i najbliższej okolicy. W tej wersji Los Angeles występują od czasu do czasu załamania ciągłości i teatralne charakteryzacje.

- Nonsensy - powiedziałem, ale tylko szeptem.

- Czy widzisz ten obrazek na ścianie na lewo od drzwi, Clyde?

Popatrzyłem w tamtą stronę, choć wcale nie musiałem tego robić. Przedstawił Waszyngtona przekraczającego Delaware i wisiał tam od... no cóż, "od czasu, gdy Hektor nosił pieluchy".

Landry poprawił na kolanach plastikowe urządzenie do stenografowania rodem z fantastycznonaukowych filmów "Buck Rogers" i pochylił się nad klawiaturą.

- Nie rób tego! - wrzasnąłem i próbowałem mu przeszkodzić.

Nie byłem w stanie wykonać ruchu. Ręka odmówiła mi posłuszeństwa i nie mogłem temu zaradzić. Czuję się tak, jakbym popadał w letarg, jakbym został kompletnie wydrenowany, jakbym stracił już ze dwa litry krwi i tracił jej coraz więcej.

Zaklekotał klawiszami. Odwrócił maszynę w moją stronę tak, że mogłem odczytać słowa w okienku. Było tam napisane: Na ścianie, na lewo od drzwi wyprowadzających do Candyland, wisi portret Naszego Czcigodnego Przywódcy... ale zawsze lekko przekrzywiony. To mój sposób, żeby zachowywał właściwe proporcje.

Odwróciłem się i spojrzałem na obraz. Jerzy Waszyngton zniknął, a jego miejsce zajęła fotografia Franklina Delano Roosevelta. Oblicze F.D.R. było uśmiechnięte, a z ust sterczała w górę cygarniczka pod takim kątem, który jego zwolennicy uważali za zabawny, a przeciwnicy za przejaw arogancji. Fotografia była nieco przekrzywiona.

- Wcale nie potrzebuję laptopa, żeby tego dokonać odezwał się lekko zakłopotanym tonem, jakbym go o coś oskarżał. - Jeśli się odpowiednio skoncentruję, potrafię to robić również w myślach, jak sam się przekonałeś na przykładzie numerów telefonicznych, które zniknęły z twego bibularza, ale laptop bardzo ułatwia sprawę. Zapewne z tego względu, że mam zwyczaj pisać, a dopiero później redagować. Na swój sposób redakcja i modyfikacje są rzeczą najbardziej fascynującą, ponieważ wtedy wprowadzam ostateczne zmiany, przeważnie drobne, ale niebywale istotne, toteż dopiero wtedy obraz staje się naprawdę klarowny i nabiera ostrości.

Odwróciłem się do Landry'ego i powiedziałem głucho:

- Wymyśliłeś mnie, prawda?

Skinął głową. Sprawiał wrażenie osobliwie zawstydzonego, zupełnie jakby popełnił jakieś świństwo.

- Kiedy? - Roześmiałem się dziwnie chrapliwie. - Czy w ogóle jest to pytanie właściwe?

- Nie wiem, czy jest właściwe, czy nie - odrzekł. - Sądzę, że każdy autor odpowiedzialby ci tak samo. Jestem tylko pewien, że nie dzieje się to w jednej chwili. To proces postępujący stopniowo. Po raz pierwszy pojawiłeś się w "Szkarałatnym miasteczku", ale w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym przerobiłem tę powieść i od tego czasu bardzo się zmieniłeś.

Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy. Z całą pewnością rok Bucka Rogersa. Nie mieściło mi się w głowie, że wszystko to dzieje się naprawdę. Chciałem wierzyć, że tylko śnię. Zastanawiająca rzecz, ale to zapach tej wody kolońskiej sprawił, że nie mogłem jednak traktować tego jak snu. Ów znajomy zapach, którego wcześniej nie spotkałem. Zresztą jak mógłbym? Woda kolońska Aramis, nazwa równie dla mnie obca jak Toshiba.

A on mówił dalej.

- Stałeś się bardziej skomplikowany, bardziej interesujący. Na początku byłeś naprawdę jednowymiarowy.

Chrząknął, spuścił wzrok na dłonie i przez chwilę się uśmiechał.

- Masz mnie w dupie.

Skrzywił się lekko, słysząc w moim głosie gniew, ale spojrzał mi w oczy.

- Ostatnią książką o tobie była powieść "Jak upadły anioł". Zacząłem ją pisać w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym, ale udało mi się ją skończyć dopiero w dziewięćdziesiątym trzecim. W ciągu tych trzech lat miałem pewne problemy. Moje życie było... interesujące. - Słowo to wypowiedział z paskudnym grymasem. - W interesujących czasach pisarze nie tworzą najlepszych książek, Clyde. Uwierz mi na słowo.

Popatrzyłem na jego workowate ubranie, dokładnie takie samo, jakie noszą sezonowi robale i włóczędzy. Pomyślałem, że trafił w dziesiątkę.

- Może dlatego tak spieprzyłeś tę ostatnią - zauważyłem. - Te rewelacje o loterii i czterdziestu tysiącach dolarów okazały się kompletną głupotą. Na południe od granicy wypłacają w pesos.

- Wiem o tym - oparł łagodnie. - Nie twierdzą, że od czasu do czasu czegoś nie schrzanię. Może jestem Bogiem w tym świecie lub dla tego świata, ale w moim własnym jestem wyłącznie zwykłym człowiekiem. Lecz jeśli nawet coś pochrzanię, to ty, Clyde, i twoi znajomi, nigdy się o tym nie dowiedziecie, gdyż moje pomyłki i przerwy w ciągłości dla was stanowią rzeczywistość. Nie, Peoria kłamał. Wiem o tym i chciałem, żebyś ty też o tym wiedział.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami i ponownie popatrzył na mnie z niepokojem i lekkim

zawstyżeniem.

- Myślę, że dlatego, aby cię przygotować nieco na moją wizytę. Po to to wszystko było, poczynając od Demmicków. Ale nie chciałem cię straszyć bardziej, niż musiałem.

Każdy prywatny detektyw z prawdziwego zdarzenia dobrze wie, kiedy osoba siedząca na krześle przeznaczonym dla klientów kłamie, a kiedy mówi prawdę. Znacznie trudniej się zorientować, kiedy klient mówi prawdę, lecz niektóre rzeczy celowo pomija, i wątpię, czy nawet geniusze w naszym fachu potrafią to zawsze bezbłędnie wyczuć. W tej chwili ja to wyczułem, ale zapewne tylko dlatego, że moje myśli i myśli Landry'ego podążały tym samym torem. Lecz wyczułem bez pudła. Pewnych rzeczy nie chciał mi mówić. Pytanie brzmiało: czy powinienem o to zapytać wprost. Powstrzymało mnie od tego jedynie nagle, przerażające przeczucie, jakie spłynęło znikąd, jak upiór, który nieoczekiwanie wynurza się ze ściany w nawiedzonym domu. Miało to związek z Demmickami. Ubiegłego wieczoru zachowywali się cicho z tego względu, że martwi ludzie nie wszczynają awantur. Było to jedno z tych praw, których człowiek może być absolutnie! pewien, na przykład że gówno zawsze spada, a nie się unosi. Prawie od pierwszej chwili gdy ujrzałem George'a, podejrzewałem, że pod powłóczką elegancji i wytworności kryje się w nim brutal, a w Glorii Demmick, w cieniu pięknej twarzyczki i pod płaszczykiem głupkowatego zachowania drzemie kawał drapieżnej dziwki. Szczerze mówiąc, było w tym trochę z Cole'a Portera, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. I teraz w jakiś sposób nabrałem przekonania, że w końcu George dorwał żonę i zabił... zapewne również tego wrzaskliwie ujadającego welsh corgiego. Może Gloria siedzi wyprostowana w łazience, wciśnięta między prysznic a sedes, twarz ma czarną, oczy wybałuszone i białe jak stary marmur, z sinych ust zwiesza się jej język. Pies leży z łbem na jej podolku, na szyi ma zaciśnięty druciany wieszak na ubrania i nigdy już nie zaszczecka. A George? Martwy w łóżku, a na nocnym stoliku stoi buteleczka - teraz już pusta - po weronalu Glorii. Koniec z przyjęciami, koniec z jitterbugiem w "Al Arif", koniec z morderstwami w wyższych sferach w Palm Desert lub w Beverly Glen. Teraz już stygli, przyciągali roje much, ich opalone na basenach twarze bladły.

Gloria i George Demmickowie, którzy umarli w maszynie tego człowieka. Którzy umarli w głowie tego człowieka.

- Nie udało ci się mnie nie wystraszyć - oświadczyłem i nagle zacząłem wątpić, czy w ogóle mógłby to wszystko zorganizować w taki sposób, żebym się nie wystraszył.

Zadajcie sobie sami pytanie: jak przygotować człowieka na spotkanie z Bogiem? Założę się, że nawet Mojżesz nieco spociał się pod swą suknią, gdy ujrzał krzak gorejący, a ja przecież jestem tylko zwykłym łapsem, który pracuje za czterdzieści dolarów dziennie plus

wydatki.

- "Jak upadły anioł" była książką o Mavis Weld. Owo imię i nazwisko, Mavis Weld, pochodzi z książki zatytułowanej "Siostrzyczka". Napisał ją Raymond Chandler. - Landry spojrzał na mnie niepewnie i z zakłopotaniem; odnosiłem wrażenie, że czuje się odrobinę winny. - To hommage. - Pierwszą sylabę wymówił tak, że rymowała się ze słowem "dom".

- Dla ciebie może to kumpel, ale mnie imię i nazwisko tego faceta nic nie mówią - oświadczyłem.

- Oczywiście, że nic. W twoim świecie, który jest moją wersją Los Angeles, Chandler nigdy nie istniał. Niemniej do swej książki wprowadziłem wszystkie nazwy i nazwiska z jego powieści. Philip Marlowe, detektyw wymyślony przez Chandlera, ma swoje biuro w Fulwider Building. Oczywiście, występują u niego inni... Vernon Klein... Peoria Smith... no i naturalnie Clyde Umney. W powieści zatytułowanej "Playback", był prawnikiem.

- I wszystko to nazywasz hommage

- Tak.

- Może tak się to nazywa, ale dla mnie jest to wyłącznie wdzięczne określenie plagiatu.

Mimo wszystko czułem się trochę dziwnie wiedząc, że moje imię i nazwisko wymyślił człowiek, o którym nigdy nie słyszałem i który żył w świecie, o jakim nawet nie śniłem.

Landry miał na tyle przyzwoitości, że trochę się zaczerwienił, ale wzroku nie spuścił.

- No cóż, może popełniłem niewielkie złodziejstwo. Z całą pewnością przyswoiłem sobie i zaadaptowałem styl Chandlera, ale nie ja pierwszy. To samo robił w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Ross Macdonald, a w siedemdziesiątych i osiemdziesiątych Robert Parker. A jednak wszyscy krytycy wieńczyli ich za to laurowymi wieńcami. Poza tym sam Chandler wziął wiele z Hammetta i Hemingwaya, nie wspominając już o pisarzach brukowych, takich jak...

Podniosłem rękę.

- Skończmy może ten wykład z literatury i zejdźmy na ziemię. To wszystko jest szalone, ale... - Powędrowałem wzrokiem do fotografii Roosevelta, następnie popatrzyłem na czysty bibularz, a na końcu znów spojrzałem w wymizerowaną twarz siedzącego po drugiej stronie biurka człowieka. - ...ale powiedzmy, że ci wierzę. Co zatem tu robisz? Po co tu przybyłeś?

Ale już wiedziałem. Wyczułem to, choć odpowiedź podyktowało mi raczej serce niż rozum.

- Przybyłem po ciebie.

- Po mnie?

- Przykro mi, ale tak. Obawiam się, że będziesz musiał zacząć myśleć o swym życiu w

inny sposób, Clyde. Jak... eee, powiedzmy... jak o parze butów. Ty je zdejmujesz, a ja wkładam. Jak już je zasznuuję, odejdę.

Oczywiście. Oczywiście, że tak postąpi. I nagle wiedziałem już, co muszę zrobić... jedyną rzecz, jaką mogłem zrobić.

Musiałem się go pozbyć.

Na twarzy pojawił mi się szeroki uśmiech. Uśmiech w stylu I powiedz-mi-więcej. Jednocześnie zgiąłem nogi, gotów w każdej chwili skoczyć na niego przez biurko. Mój gabinet mógł opuścić tylko jeden z nas, to było oczywiste. I to ja zamierzałem być tym kimś.

- Och, naprawdę? - odezwał się. - To fascynujące. A co się stanie ze mną, Sammy? Co stanie się z prywatnym detektywem pozbawionym butów? Co stanie się z Clyde'em...

...Umneyem; to słowo miało być moim ostatnim nazwiskiem i ostatnim słowem, jakie ten intruz i złodziej usłyszy w życiu. Kiedy ono padnie z mych ust, skoczę. Cały kłopot jednak polegał na tym, że telepatia działała w obie strony. Zobaczyłem, że w jego oczach zaczyna pojawiać się trwoga. Przymknął powieki, ściągnął usta. Nie fatygował się już z maszyną Bucka Rogersa. Podejrzewam, że wiedział, iż nie ma na to czasu.

- "Jego rewelacje podziałały na mnie niczym potężny narkotyk - odezwał się niskim, ale równym głosem, bardziej jakby recytował niż mówił. - Poczulem, że siła opuszcza me mięśnie, nogi mam jak dwa al dente spaghetti, i byłem w stanie tylko bezwładnie rozepnąć się na krześle i gapić się w niego".

Rozparłem się bezwładnie na krześle, wyprostowałem nogi i nie byłem w stanie robić nic innego, jak w niego się gapić.

- Nie najlepiej - powiedział z nutą usprawiedliwienia Landry - ale szybkie kompozycje nigdy nie były moją mocną stroną.

- Bydlaku - powiedziałem chrapliwym, słabym głosem. - Ty skurwysynu.

- Tak - zgodził się. - Chyba nim jestem.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego kradniesz mi życie?

Na dźwięk tych słów w oczach zapaliły mu się iskierki złości.

- Twoje życie? Clyde, przecież sam najlepiej wiesz, jaka jest prawda, choć nie chcesz się do tego przyznać. To wcale nie twoje życie. To ja je wymyśliłem pewnego deszczowego, styczniowego dnia w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym i wymyślałem je aż do dzisiaj. To ja dałem ci życie, i moją rzeczą jest ci je odebrać.

- Bardzo zacnie - zakpiłem. - Gdyby w tej chwili pojawił się tutaj twój Bóg i zaczął rozrywać twoje życie jak stare ściegi na chuście, łatwiej przyszedłoby ci zrozumieć mój sposób widzenia.

- Zgadza się - odparł. - Punkt dla ciebie. Ale dlaczego się spierasz? Spieranie się z samym sobą to jak gra ze sobą w szachy. Za każdym razem doprowadzasz sprawę do martwego punktu, do pata. Powiedzmy, że robię to dlatego, że mogę to zrobić.

Nagle spłynął na mnie spokój. Byłem już kiedyś w tej uliczce. Kiedy na człowieka napadają, trzeba ich zagadywać, sprawić, że też będą gadali. Postępowanie takie sprawdziło się w przypadku Mavis Weld i powinno sprawdzić się teraz. Zazwyczaj mówią rzeczy w stylu: "Cóż, nie pogorszy to twojej sytuacji, jeśli się dowiesz" albo: "Co to komu zaszkodzi?"

Wersja Mavis była szczerą, stanowczą i elegancką. "Chcę, żebyś to wiedział, Umney. Chcę, żebyś zabrał prawdę ze sobą do piekła. Będziesz miał o czym rozmawiać z diabłami nad kawą i ciasteczkami". Naprawdę nie jest ważne, o czym mówią. Ważne jest to, że dopóki mówią, to nie strzelają.

Sprowokować ich do mówienia; o to w tym wszystkim chodziło. Podtrzymywać rozmowę w nadziei, że skądś przybędzie kawaleria z odsieczą.

- Cały problem sprowadza się do pytania: dlaczego chcesz to zrobić? - powiedziałem. - Bo to niezwykle, prawda? Chodzi mi o to, że wy, pisarze, jesteście ludźmi, którzy bardzo lubią odbierać wysyłane do was czeki i dbając o własny interes. Czy nie tak?

- Próbujesz mnie zagadać, Clyde?

Jego słowa były niczym straszliwy cios w splot słoneczny. Ale nie miałem innego wyjścia i musiałem rozegrać tę partię do końca. Wyszczrzyłem zęby i wzruszyłem ramionami.

- Może tak, może nie. Ale jak by nie było, naprawdę chcę to wiedzieć.

W tym momencie wcale nie kłamałem.

Przez dłuższą chwilę się wahał, a następnie pochylił, dotknął klawiatury w plastikowej obudowie (widząc, jak przesuwają palce po klawiszach, poczułem skurcze w nogach, w żołądku i w piersi), po czym znów się wyprostował.

- Cóż, nie pogorszy to twojej sytuacji, jeśli się dowiesz - powiedział w końcu. - Co to komu zaszkodzi?

- Nikomu.

- Jesteś bystry, Clyde - oświadczył. - Masz całkowitą rację. Pisarze bardzo rzadko pogrążają się bez reszty w świecie, który stworzyli, ale kiedy już to robią, sędzę, że robią to jedynie w swym umyśle, podczas gdy ich ciała wegetują w jakimś zakładzie dla obłąkanych. Większości z nas wystarcza bycie turystami w krainach własnej wyobraźni. Tak działo się i w moim przypadku. Nie potrafię pisać szybko; chyba już ci wspominałem, że kompozycja zawsze stanowiła dla mnie najgorszą torturę. Ale w ciągu dziesięciu lat zdołałem napisać pięć powieści o Umneyu, każda kolejna zdobywała większy rozgłos, i w roku tysiąc dziewięćset

osiemdziesiątym trzecim porzuciłem pracę kierownika prowincjonalnej filii wielkiego przedsiębiorstwa ubezpieczeniowego i przeszedłem na pisarstwo zawodowe. Miałem żonę, którą kochałem, i chłopca, którego rano budziło słońce, a nadchodząca noc kładła do łóżka - tak ja to w każdym razie widziałem - i sądziłem, że lepiej już mi w życiu być nie może.

Poruszył się na miękkim krześle, przesunął rękę, a ja zobaczyłem, że wypalona papierosem przez Ardis McGill dziura w materiale, którym obita była poręcz krzesła, również zniknęła. Parsknął krótkim, gorzkim, zimnym śmiechem.

- I miałem rację - ciągnął po chwili. - Nie mogło być lepiej, ale za to mogło być dużo, dużo gorzej. I tak też się stało. Mniej więcej w trzy miesiące po tym, jak rozpocząłem pracę nad powieścią "Jak upadły anioł", Danny, nasz synek, spadł w parku z huśtawki i uderzył się w głowę. Rąbnął się fest, używając twojego języka.

Uśmiechnął się przelotnie. Był to również zimny i gorzki uśmiech. Pojawił się i zniknął jak żal.

- Bardzo krwawił. Widziałeś wiele rozbitych głów, Clyde, i wiesz, jak to wygląda. Linda śmiertelnie się przeraziła, ale lekarze okazali się bardzo dobrzy, a chłopak doznał jedynie wstrząsu mózgu. Szybko opanowano sytuację, wtłoczono mu do żył pół litra krwi, żeby zrekompensować utratę jego własnej. Być może wcale nie musiano tego robić... to mnie właśnie cały czas dręczy... ale zrobiono tę transfuzję. Widzisz, cały problem wyniknął nie z rozbitej głowy, ale z tego pół litra krwi, którą w niego wtłoczono. Była zakażona AIDS.

- Powtórz?

- Jest to coś, za co możesz być wdzięczny swemu Bogu, że nie kazał ci tego poznać - odparł Landry. - W twoich czasach AIDS jeszcze nie istnieje. Pojawi się dopiero w połowie lat siedemdziesiątych. Podobnie jak woda kolońska Aramis.

- Ale co to jest?

- Choroba, która niszczy twój system immunologiczny do tego stopnia, że w końcu kompletnie się rozpada, niczym wytworna, jednokonna bryczka. I wtedy każde świństwo, od raka do wietrznej ospy, wyprawia sobie na organizmie ucztę.

- Jezu Chryste!

Po twarzy Landry'ego przebiegł uśmiech, szybki jak skurcz.

- Tak. AIDS jest przenoszony głównie drogą płciową, ale zdarza się, że wirus dostaje się do banków krwi. Można powiedzieć, że mój dzieciak wygrał główny los w wersji bardzo niefortunnej la loteria.

- Przykro mi - powiedziałem, i jakkolwiek straszliwie bałem się tego człowieka o zmęczonej twarzy, naprawdę mu współczułem.

W taki sposób stracić dziecko... czyż może człowieka spotkać coś gorszego? Zapewne tak. Zawsze trafi się coś gorszego, ale i ta tragedia każe usiąść i solidnie się nad nią zastanowić, prawda?

- Dzięki - powiedział Landry. - Dzięki, Clyde. Przynajmniej trwało to krótko. Z huśtawki spadł w maju. Pierwsze czerwone krosty, mięsak Kaposiego, wystąpiły na jego urodziny, we wrześniu. Umarł osiemnastego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. I zapewne nie cierpiał tak bardzo jak niektórzy, ale cierpiał. O tak, cierpiał!

Nie miałem zielonego pojęcia, co to jest mięsak Kaposiego, ale doszedłem do wniosku, że nie chcę o to pytać. Wiedziałem już więcej, niż chciałem.

- Zapewne zrozumiesz teraz, dlaczego tak powoli pisałem tę książkę o tobie, prawda, Clyde? Skinąłem głową.

- Ale się nie poddałem. Głównie dlatego, że uważałem, iż udawanie jest najlepszym lekarzem. Może musiałem w to wierzyć. Próbowałem też zrobić coś ze swoim życiem, ale wszystko ciągle układało się źle. Zupełnie jakby książka "Jak upadły anioł" rzuciła na mnie dziwny, zły urok i zmieniła w Hioba. Po śmierci Danny'ego moja żona wpadła w głęboką depresję i tak się o nią niepokoiłem, że nie spostrzegłem nawet czerwonych krost, jakie pojawiły mi się na piersi, nogach i brzuchu. Okropnie swędziały. Wiedziałem, że nie jest to AIDS, i chwilowo przeszedłem nad tym do porządku dziennego. Ale z biegiem czasu sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót... czy miałeś kiedyś półpasiec, Clyde?

Landry roześmiał się i rąbnął w czoło kantem dłoni w geście ależ-ze-mnie-osioł, a ja mogłem jedynie potrząsnąć głową.

- Oczywiście, że nie... tyś nigdy nie cierpiał na nic poważniejszego niż kac. Półpasiec, mój miły detektywie, to dziwna nazwa dla strasznej, chronicznej dolegliwości. W mojej wersji Los Angeles istnieją skuteczne leki, aby łagodzić skutki tej choroby, ale mnie niewiele pomagały. Pod koniec dziewięćdziesiątego pierwszego potwornie cierpiałem. Częściowo, oczywiście, z powodu tego, co przytrafiło się Danny'emu, ale głównie z powodu fizycznego bólu i swędzenia. Nie sądzisz, że można by wymyślić powieść o cierpieniach pisarza pod bardzo interesującym tytułem? Na przykład: "Ból i swędzenie, czyli Thomas Hardy w okresie pokwitania".

Wybuchnął krótkim, ochrypłym śmiechem.

- Zawsze coś wymyślisz.

- Powiadam ci, przeżyłem piekło. Wiem, teraz łatwo jest o tym mówić, ale tamtego roku, w Święto Dziękczynienia, wcale nie było mi do śmiechu. Sypiałem najwyżej trzy godziny na dobę, a w dzień czułem, że cała skóra zamierza ze mnie zleźć i odpełznąć jak w dziecięcej

mieszaniu berka i chowanego. Z tego też powodu nie zauważyłem w porę, w jak fatalnym stanie jest Linda.

Nie wiedziałem, nie mogłem wiedzieć... a jednak wiedziałem.

- Popęłniła samobójstwo. Skinął głową.

- W marcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, w rocznicę śmierci Daniela. Ponad dwa lata temu.

Po pomarszczonym, przedwcześnie postarzałym policzku spłynęła mu łza, a ja pojąłem, że Landry postarzał się błyskawicznie. Paskudnie się poczułem, uświadamiając sobie, że wymyśliła mnie wersja takiego Boga z trzeciej ligi. Ale jednocześnie fakt ten wiele wyjaśniał. Głównie moje wady.

- Ale tyle starczy - odezwał się tonem, w którym wy-czuwałem gniew i bezbrzeżną żalność. - Wracajmy do rzeczy, jak byś powiedział. W moim czasie mówi się "zaczynajmy rozmawiać o konkretnych", ale to wychodzi na jedno. Tego dnia, gdy znalazłem w łóżku martwą Lindę... podobnie jak dzisiaj policja znajdzie Glorię Demmick... ukończyłem sto dziewięćdziesiątą stronicę tekstu. Zbliżałem się do punktu, w którym wyłowisz z jeziora Tahoe brata Mavis. Trzy dni później, kiedy wróciłem z pogrzebu, włączyłem komputer i zacząłem pisać stronę sto dziewięćdziesiątą pierwszą. Czy to cię dziwi?

- Nie - odparłem.

Chciałem zapytać, co to takiego ów komputer, ale zdecydowałem, że nie muszę. To, co trzymał na kolanach, było właśnie tym komputerem. Musiało nim być.

- Należysz do zdecydowanej mniejszości - stwierdził Landry. - Ponieważ nielicznymi przyjaciółmi, jacy mi zostali, wstrząsnęło to okropnie. Rodzina Lindy oświadczyła, że mam w sobie tyle uczuć co dzika świnia. Nie miałem siły im wyjaśniać, że próbuję w ten sposób ratować samego siebie. Olałem ich, jak powiedziałaby Peoria. Uchwyciłem się tej książki jak tonący koła ratunkowego. Uchwyciłem się ciebie, Clyde. Ciągle cierpiałem na półpasiec, co bardzo spowolniało tempo mojej pracy, w pewien sposób trzymało mnie z daleka, gdyż w przeciwnym razie pojawiłbym się tutaj znacznie wcześniej... ale mnie nie powstrzymało. Mniej więcej w czasie, gdy ukończyłem pisanie książki, nastąpiła poprawa; przynajmniej w sensie fizycznym. Ale kiedy już ją ukończyłem, popadłem w stan, który mógłbym określić mianem depresji. Redakcję robiłem w jakimś otumanieniu. Przejmował mnie jakiś żal... miałem świadomość straty... - Popatrzył mi prosto w oczy. - Czy to co mówię, ma dla ciebie jakikolwiek sens?

- Ma - odparłem.

I rzeczywiście miało. Na swój wariacki sposób.

- W domu zostało wiele tabletek - ciągnął Landry. - Linda i ja pod wieloma względami byliśmy tacy sami jak Demmickowie. Wierzyliśmy w chemię i dwukrotnie byłem bliski tego, żeby zażyć dwie garście pastylek. Nie rozważałem tego w kategoriach samobójstwa. Traktowałem to jako sposób na połączenie się z Lindą i Dannym. Połączenie się z nimi, dopóki nie będzie za późno.

Skinąłem głowę. To samo pomyślałem o Ardis McGill, kiedy w trzy dni po tym, jak w "Blondie's" powiedzieliśmy sobie "pa", znalazłem ją na zagraconym strychu z małą, niebieską dziurką w środku czoła. Z tym tylko, że jej prawdziwym zabójcą okazał się Sam Landry, a dokonał tego czynu za pomocą elastycznej kuli swego mózgu. Oczywiście, że tak było. Sam Landry, ten sprawiający wrażenie wyczerpanego człowieka w ubraniu robotnika sezonowego, był odpowiedzialny za wszystko, co działo się w moim świecie. Pomysł powinien wydawać się zwariowany i taki rzeczywiście był... ale w miarę upływu czasu nabierał coraz większego sensu.

Wykrzesalem jeszcze z siebie tyle energii, że odwróciłem się z obrotowym krzesłem w stronę okna i wyjrzałem na ulicę. To, co tam ujrzałem, wcale mnie nie zaskoczyło. Sunset Bou-levard i jego otoczenie zamarło. Samochody, autobusy, przechodnie; wszystko zatrzymało się w pół ruchu. Jak na fotografii kodaka. Dlaczego nie? Ich stwórca, pogrążony w odmętach własnego bólu i żalości, nie był szczególnie zainteresowany ożywieniem swych tworów; w każdym razie chwilowo. Do licha, cieszyłem się, że przynajmniej ja jeszcze oddycham.

- I co było dalej? - zapytałem. - Jak się tu dostałeś, Sam? Czy mogę prosić, żebyś mi to wyjaśnił? Nie masz nic przeciwko temu?

- Jasne, że nie. Ale nie dam ci pełnej odpowiedzi, ponieważ sam dobrze nie wiem, jak to się stało. Wiem tylko to, że ilekroć myślałem o pastylkach, moje myśli schodziły na ciebie. Myślałem wtedy konkretnie: "Clyde Umney by tego nie zrobił i wykpiłby każdego, kto chce coś podobnego uczynić. Nazwałby to tchórzostwem".

Rozważałem przez chwilę jego słowa, doszedłem do wniosku, że ma całkowitą rację, i skinąłem głowę. Kogoś, kto ma na twarzy wymalowane takie cierpienie - rak Vernona czy kosz-marny przypadek, który zabił temu człowiekowi dziecko - może bym zrozumiał, ale palnąć sobie w łeb tylko z powodu depresji? To dobre dla pederastów.

- Ale wtedy też pomyślałem: "Tak, ale to jest Clyde Umney, a Clyde jest zmyślony... to fikcja, wytwór mej wyobraźni". Lecz taki pomysł mi nie odpowiadał. To jedynie bałwany tego świata, głównie politycy i prawnicy, sztydzą z wyobraźni i uważają, że rzecz nie istnieje, jeśli nie da się jej zapalić, szturchnąć, poczuć albo wypierdolić. A uważają tak, ponieważ sami są pozbawieni wyobraźni i nie mają zielonego pojęcia o jej potędze. Ja wiedziałem lepiej. Do

diabła, musiałem wiedzieć lepiej. W końcu to moja wyobraźnia przez ostatnich dziesięć lat kupowała mi jedzenie i spłacała długi hipoteczne.

Ale jednocześnie wiedziałem, że nie mógłbym żyć w czymś, co miałem zwyczaj nazywać "rzeczywistym światem", przez który, jak sądzę, rozumiemy "jedyne świat". Wtedy właśnie zacząłem pojmować, że istnieje tylko jedno miejsce, dokąd mogę się udać i czuć się jak u siebie, i że kiedy już się tam dostanę, istnieje tylko jedna osoba, którą mogę się stać. To miejsce to Los Angeles w latach trzydziestych. A ta osoba to ty.

Znów usłyszałem cichy szum z urządzenia, ale się nie odwróciłem.

Częściowo ze strachu.

Częściowo dlatego, że nie wiedziałem, czy zdołam jeszcze się poruszyć.

VI. Ostatnia sprawa Umneya

Na ulicy, siedem pięter niżej, zmarł w bezruchu z lekko przekreśloną głową mężczyzna przyglądający się kobiecie, która wsiadając na rogu do autobusu numer osiemset pięćdziesiąt jadącego do centrum odsłoniła na chwilę smukłą, kształtną nogę. Na tę nogę właśnie mężczyzna patrzył. Kawalek dalej chłopiec wyciągał rękę w zniszczonej rękawicy baseballowej, żeby chwycić zatrzymaną w locie piłkę, znajdującą się tuż nad jego głową. A dwa metry nad ulicą unosiła się, niczym duch wezwany przez widmo trzeciej kategorii na karnawałowym seansie spirytystycznym, jedna z gazet z przewróconego stolika Peorii. Dostrzegłem nawet obie fotografie, Hitlera na górze strony oraz zmarłego kubańskiego baletmistrza na dole.

Głos Landry'ego dobiegał jakby z oddali.

- Początkowo sądziłem, iż oznaczać to będzie, że resztę życia spędzę w jakimś zakładzie dla obłąkanych, uważając, że ja to ty, ale wcale mi to nie przeszkadzało, ponieważ to wyłącznie moja fizyczna powłoka miała trafić do wariatkowa. I wtedy stopniowo zacząłem dochodzić do przekonania, że może w tym być coś więcej... że być może istnieje sposób, żebym naprawdę... cóż... naprawdę prześlizgnął się tu cały. A wiesz, co stanowiło do tego klucz.

- Wiem - odparłem, nie odwracając się w jego stronę.

Znów rozległ się szum, w urządzeniu coś się obróciło i w mgnieniu oka wisząca w powietrzu gazeta opadła na znieruchomiałe Sunset Boulevard. W chwilę później na skrzyżowaniu Sunset i Fernando pojawił się nieoczekiwanie stary deSoto. Uderzył w chłopca w baseballowej rękawicy, po czym pojazd i dziecko zniknęli. Ale piłka nie. Piłka spadła na ulicę, potoczyła się do rynsztoka i tam ponownie zmarła w bezruchu.

- Naprawdę? - zapytał ze zdziwieniem.

- Tak. Kluczem był Peoria.

- Racja. - Roześmiał się nerwowo, a następnie równie nerwowo chrząknął. - Ciągle zapominam, że ty to ja. To już był luksus, którego ja nie miałem.

- Traciłem czas nad nową książką, ale to do niczego nie prowadziło. Do niedzieli próbowałem napisać rozdział pierwszy na sześć sposobów, aż w końcu dotarł do mej świadomości nader interesujący szczegół: Peoria Smith cię nie lubił.

Słowa te sprawiły, że gwałtownie odwróciłem się w jego stronę.

- Głupstwa opowiadasz.

- Nie sądziłem, że w to uwierzysz, ale to prawda i w jakiś sposób cały czas o tym wiedziałem. Nie chcę, Clyde, zaczynać znów wykładu o literaturze, ale powiem ci jedną rzecz o moim zawodzie. Pisanie w pierwszej osobie jest sprawą osobliwą i dziwaczną. Zupełnie jakby wszystko, co pisarz wie, pochodziło od jego głównego bohatera, jak seria listów czy doniesień z jakiegoś odległego pola bitwy. Rzadko zdarza się pisarzowi zachować jakiegokolwiek sekrety, lecz w moim przypadku ta sztuka się udała. Twoja malutka cząstka Sunset Boulevard stanowiła Rajski Ogród...

- Nigdy o tym nie słyszałem - przerwałem mu.

- ...gdzie znajdował się również wąż, którego ja widziałem, a ty nie. Wąż nazywał się Peoria Smith. Na zewnątrz, w zneruchomiałym świecie, który nazwał moim Rajskim Ogrodem, ciągle ściemniało się, choć niebo było bezchmurne. "The Red Door", nocny klub rzekomo należący do Lucky'ego Luciana, zniknął. Przez chwilę widniała w tym miejscu dziura, po czym pojawił się inny budynek - z restauracją "Petit Dejeuner" o witrynach ozdobionych paprociami. Popatrzyłem w perspektywę ulicy i dostrzegłem kolejne zachodzące na niej zmiany. Na miejscu starych budynków w ciszy, z upiorną szybkością pojawiały się nowe. Znaczyło to, że cofam się w czasie; wiedziałem o tym. Niestety, wiedziałem również jeszcze jedno: w tym czasie zapewne nie będzie żadnej szczeliny. Kiedy do twego biura wkracza Bóg i oświadcza, że doszedł do wniosku, iż twe życie podoba mu się bardziej niż Jego własne, czy masz jakikolwiek wybór?

- Odrzuciłem wszystkie szkice powieści, którą zacząłem pisać w dwa miesiące po śmierci żony - powiedział Landry. - Odrzuciłem je z lekkim sercem, ponieważ były to marne pomysły. I zacząłem pisać nową książkę. Zatytułowałem ją... czy wiesz, Clyde, jak ją zatytułowałem?

- Jasne - powiedziałem i odwróciłem się w jego stronę. Wiele kosztowało mnie to wysiłku, ale ten potwór z pewnością zrozumiał moją "motywację". Sunset Strip nie był ani Criamps Elysees ani Hyde Parkiem, ale był to mój świat. I nie chciałem patrzeć, jak go rozbija,

tworząc inny, wedle własnej zachcianki. - Sądzę, że zatytułowałaś ją "Ostatnia sprawa Umneya". Spojrzał na mnie z lekkim zdziwieniem.

- Masz rację.

Machnąłem ręką. Znow kosztowało mnie to wiele trudu, ale jakoś mi to wyszło.

- Jak wiesz, nie za darmo zdobyłem tytuł detektywa roku za lata tysiąc dziewięćset trzydzieści cztery i trzydzieści pięć. Uśmiechnął się.

- Tak, zawsze lubiłem ten tekst.

I nagle go znenawidziłem - znenawidziłem go jak truciznę. Gdybym tylko zdołał zebrać w sobie tyle sił, żeby rzucić się na niego i go udusić, uczyniłbym to z największą ochotą. On też to zrozumiał. Uśmiech zniknął mu z twarzy.

- Nawet o tym nie myśl, Clyde... nie masz najmniejszych szans.

- Dlaczego stąd nie wyjdiesz? - wycodziłem przez zęby. - Dlaczego po prostu nie wyjdiesz stąd i gdzieś indziej nie zrobisz tego, co masz zrobić?

- Bo nie mogę. Nie mógłbym, nawet gdybym chciał... i nie chcę. - Popatrzył na mnie wzrokiem pełnym gniewu, a zarazem niemej prośby. - Clyde, spróbuj spojrzeć na to z mojego punktu widzenia...

- A czy mam jakikolwiek wybór? Czy kiedykolwiek go miałem? Puścił moje pytanie mimo uszu.

- To jest świat, w którym nigdy się nie zestarzeję, jest to rok, w którym na osiemnaście miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej stanęły wszystkie zegary, świat, gdzie gazeta ciągle kosztuje trzy centy, gdzie mogę jeść do woli jajka i mięso i nie przejmować się poziomem cholesterolu.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. Energicznie pochylił się w moją stronę.

- Oczywiście, że nie masz pojęcia! I o to właśnie chodzi, Clyde! Jest to świat, gdzie naprawdę mogę robić to wszystko, o czym marzyłem jako mały chłopiec. Mogę zostać prywatnym detektywem. Mogę o drugiej nad ranem pędzić szybkim samochodem i strzelać do gangsterów, wiedząc, że oni zginą, a ja nie, a w osiem godzin później obudzić się obok ślicznej chanteuse, gdy za oknem sypialni śpiewać będą mi na drzewach ptaki i świecić słońce. Cudowne, czyste słońce Kalifornii.

- Okna mej sypialni wychodzą na zachód - wyjaśniłem.

- Już nie - odrzekł spokojnie, a ja poczułem, że bezsilnie zaciskam dłonie na poręczach krzesła. - Czyż nie widzisz, jakie to piękne? Jakie doskonałe? W tym świecie ludzie nie wariują od swędzenia powodowanego głupią, pozbawiającą człowieka wszelkiej godności chorobą zwaną półpaścem. W tym świecie ludzie nie siwieją, najwyżej mogą łysieć.

Spojrzał na mnie z powagą. Jego wzrok odbierał mi wszelką nadzieję. Wszelką.

- W tym świecie ukochani synowie nie umierają na AIDS, a ukochane żony nie przedawkowują tabletek nasennych. A poza tym to ty zawsze byłeś tutaj obcy, nie ja, bez względu na to, jak się w tym miejscu czuleś. To mój świat, zrodzony z mojej wyobraźni i utrzymywany moim staraniem i ambicjami. Ja ci go tylko na chwilę wypożyczyłem... a teraz domagam się zwrotu.

- Zrób dla mnie choć tyle i powiedz, w jaki sposób się tutaj dostałeś. Naprawdę chciałbym to wiedzieć.

- To proste. Zniszczyłem ten świat, zaczynając od Demmicków, którzy nie byli niczym więcej niż nędzną imitacją Nicka i Nory Charlesów, a następnie odbudowałem go w swej wyobraźni. Zniszczyłem wszystkich ulubionych bohaterów, a teraz usuwam stare znaki orientacyjne. Wyciągam spod ciebie dywanik, innymi słowy twój kawałek czasu, i choć wcale nie jestem z siebie z tego powodu dumny, to jestem dumny ze swej nieugiętej woli, że jednak to robię.

- A co stało się z tobą w twoim własnym świecie? - Ciągle starałem się go zagadywać, lecz teraz to już niczemu nie służyło; robiłem to wyłącznie z nawyku, jak w śnieżny poranek stara dorożkarska szkapka zawsze znajduje drogę do domu.

Wzruszył ramionami.

- Może nie żyję. A może naprawdę opuściłem swą fizyczną powłokę... łupinę, która pozostała w śnie katatonicznym w ja-kimś zakładzie dla umysłowo chorych. Ale nie sądzę, żeby tak właśnie było. Zbyt mocno czuję się sobą. Nie! Uważam, że prześlizgnąłem się tu w fizycznym kształcie, Clyde. Jestem pewien, że tam, w moim świecie, poszukują zaginionego pisarza... nie mając pojęcia, że zniknął w banku pamięci własnego komputera. Ale tak naprawdę, nic mnie to nie obchodzi.

- A ja? Co będzie ze mną?

- Clyde, ty również mnie nie obchodzisz. Znów pochylił się nad urządzeniem.

- Nie! - krzyknąłem ostro. Uniósł głowę.

- Ja... - Usłyszałem, że głos mi drży, chciałem nad nim zapanować, ale nie byłem w stanie. - Proszę, boję się. Proszę, zostaw mnie samego. Wiem, że tamten świat nie jest już moim światem... do licha, ten świat... ale to jedyny świat, który jako tako poznałem. Pozwól mi zostać w tym, co z niego przetrwało.

Proszę.

- Za późno, Clyde. - Znów wyczułem w jego głosie owo pozbawione litości współczucie. - Zamknij oczy. Zrobię to najszybciej, jak zdołam.

Próbowałem skoczyć w jego stronę; próbowałem z wszystkich sił. Ale nie potrafiłem nawet drgnąć. Nie musiałem też wcale zamykać oczu. Całe światło dnia zniknęło i w biurze zapadła ciemność jak o północy w worku z węglem.

Raczej wyczułem, niż zobaczyłem, że Landry przechyla się; nad biurkiem w moją stronę. Chciałem się cofnąć, ale nie; zdołałem uczynić nawet tego. Mojej dłoni dotknęło coś suchego" i szeleszczącego. Wrzasnąłem.

- Uspokój się, Clyde - dobiegł mnie z ciemności jego głos. Dobiegł nie z przodu, ale ze wszystkich stron.

Oczywiście - pomyślałem. - Ostatecznie jestem wyłącznie wytworem jego wyobraźni.

- To tylko czek.

- Czczek?

- Tak. Na pięć tysięcy dolarów. Sprzedałeś mi swój interes. Jeszcze dziś wieczorem, zanim pójda do domu, malarze zdrapią z drzwi twoje imię i nazwisko i namalują moje. "Samuel D. Landry. Prywatny detektyw". Czyż nie brzmi to wspaniale?

Chciałem go błagać, ale z ust nie wydobyło mi się żadne słowo. Zawodził mnie nawet głos.

- Przygotuj się - powiedział. - Sam dobrze nie wiem, co się wydarzy, Clyde, ale to już nadchodzi. Nie sądzę, żebyś cierpiał.

Ale i tak niewiele mnie to obchodzi - tych słów nie wypowiedział już głośno.

Z ciemności dobiegł szum. Poczułem, że krzesło, na którym siedziałem, rozplywa się pode mną i nagle zacząłem spadać. Wraz ze mną spadał głos Landry'ego, recytującego przy wtórze klekotu i trzasków jego bajkowej, futurystycznej maszyny stenograficznej dwa końcowe zdania powieści zatytułowanej "Ostatnia sprawa Umneya".

- "Tak więc opuściłem miasto, a tam, dokąd pojechałem... No cóż, proszę pana, sądzę, że to jest już tylko moja sprawa. Nieprawdaż?"

Pode mną pojawiło się zielone światło i spadałem prosto w tę jasność. Niebawem mnie pochłonie, a ja czułem jedynie ulgę.

- KONIEC - zadudnił głos Landry'ego i runąłem w zielone światło, które weszło we mnie, przeniknęło mnie i nie było już Clyde'a Umneya.

Żegnaj, detektywie.

VII. Druga strona światła

Wszystko to zdarzyło się przed sześcioma miesiącami.

Znalazłem się na podłodze w mrocznym pokoju, w uszach mi szumiało. Podniosłem się

na kolana, potrząsnąłem głową, żeby pozbierać myśli, i popatrzyłem do góry, na pałające blaskiem zielone światło, przez które przeleciałem jak Alicja przez lustro. Ujrzałem urządzenie Bucka Rogersa. Było większym bratem maszyny, jaką Landry przydzwigał do mego biura. Lśniły na nim zielone litery. Zerwałem się na nogi i odruchowo drapiąc się po przedramieniu, przeczytałem słowa:

Tak więc opuściłem miasto, a tam, dokąd pojechałem... No cóż, proszę pana, sądzę, że to jest już tylko moja sprawa. Nie-prawdaż?

A poniżej, wypisane pośrodku drukowanymi literami, widniało słowo:

KONIEC

Przeczytałem zdanie ponownie, tym razem masując się po brzuchu. Robiłem to, ponieważ coś było nie w porządku z moją skórą, coś, co właściwie nie sprawiało mi bólu, ale bardzo doskwierało. I nagle uświadomiłem sobie, że odczucie to dręczy mnie wszędzie - na karku, po wewnętrznych stronach ud, w kroku.

Półpasiec - pomyślałem nieoczekiwanie. - Przejąłem po Landrym półpasiec. Swędzi mnie, a że nie zorientowałem się natychmiast, o co w tym chodzi, wynika z prostego faktu...

- Że nigdy mnie nic nie swędziało - powiedziałem na głos i nagle wszystko poukładało mi się w głowie.

Poukładało tak nagle i tak gwałtownie, że ugięły się pode mną kolana. Starając się jak najmniej drapać po dziwacznie swędzącej skórze, zbliżyłem się powoli do wiszącego na ścianie lustra. Wiedziałem, że ujrzę w nim postarzałą wersję mej twarzy, oblicze pomarszczone jak stara, zeschnięta farba, a nad nim strzechę pozbawionych połysku, siwych włosów.

Teraz już wiedziałem, co się dzieje, gdy pisarze w jakiś sposób przejmują życie bohaterów, których sami stworzyli. Nie była to wcale kradzież.

Bardziej wymiana.

Stałem i gapiłem się w twarz Landry'ego - we własną twarz, ale postarzałą o piętnaście lat - czując, jak mnie mrowi i swędzi skóra. Czy nie wspomniał, że półpasiec trochę się; uspokoił? Jeśli to była poprawa, to nie wiem, jak był w stanie znieść gorsze stadium choroby i nie zwariować.

Byłem, naturalnie, w domu Landry'ego - teraz już w moim domu - i w znajdującej się obok gabinetu łazienki natknąłem się na lekarstwa na półpasiec. W niecałą godzinę po tym, jak znalazłem się na podłodze pod jego biurkiem, na którym stała szumiąca maszyna, zażyłem po raz pierwszy leki i było to tak, jakbym wchłonął w siebie wcale nie medykamenty, ale całe jego życie.

Jakbym wchłonął w siebie całe jego życie. Z radością muszę stwierdzić, że obecnie

półpasiec należy już do przeszłości. Być może jeszcze spokojnie egzystuje w moim ciele, ale lubię krzepić się myślą, że to duch starego Clyde'a Umneya miał w tej sprawie wiele do powiedzenia. Wiecie, Clyde za swoich czasów nigdy nie chorował i jakkolwiek jestem już na zawsze przykuty do wyniszczonego ciała Sama Landry'ego, to niech mnie szlag trafi, jeśli poddam się chorobom... czy kiedykolwiek zmienię owo pozytywne myślenie? Podejrzewam, że właściwa odpowiedź brzmi: "Nigdy".

Niemniej mam za sobą trudne dni. Pierwszy przyszedł w nie-całe dwadzieścia cztery godziny po moim pojawieniu się w tym niewiarygodnym roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym. Przeglądałem właśnie lodówkę Landry'ego w poszukiwaniu czegoś do jedzenia (poprzedniego wieczoru wlałem w siebie całe jego piwo Black Horse i czułem, że przekąska nie wyrządzi większej krzywdy kacowi, jaki mnie dręczył), gdy nagle wnętrzości przeszył mi straszliwy ból. Myślałem, że konam. Ból stawał się coraz gorszy i wiedziałem, że konam. Upadłem w kuchni na podłogę, starając się ze wszystkich sił nie krzyczeć. Po chwili jednak coś się stało i ból ustał.

Przez większość życia często używałem zwrotu: "Nie dam się, do kurwy nędzy". I poczynając od tego ranka, wszystko się zmieniło. Wykąpałem się, po czym wszedłem po schodach na piętro, wiedząc, co zastanę w sypialni: zmoczone prześcieradła w łóżku Landry'ego.

Pierwszy tydzień w jego świecie spędziłem na przyzwyczajaniu się do robienia toalety. W moim świecie, oczywiście, nikt nigdy nie chodził do łazienki. Ani, naturalnie, do dentysty. Pierwsza wizyta u dentysty, którego adres znalazłem w leżącym na biurku kołonoatniku, okazała się czymś, o czym wolę nie myśleć, więc ten temat zostawmy na boku.

Ale były również i jaśniejsze chwile w moim przedzieraniu się przez ten zbity gąszcz kolczastych chaszczki. Przede wszystkim nie musiałem szukać pracy w skomplikowanym, odrzutowym świecie Landry'ego. Jego książki wspaniale się sprzedawały, więc nie miałem kłopotu z realizacją czeków, które nadchodziły pocztą. Mój podpis był oczywiście identyczny z jego. A jeśli chodzi o jakiegokolwiek skrupuły moralne, nie rozśmieszajcie mnie; nie miałem żadnych. Czeka te były za powieści o mnie. Landry tylko je pisał. Żyłem w tych historiach. Do licha, zasłużyłem na pięćdziesiąt tysięcy dolców i zastrzyk przeciw wściekłości za to, że trafiłem w zasięg pazurów Mavis Weld.

Obawiałem się niejakich kłopotów z tak zwanymi przyjaciółmi Landry'ego, ale szybko pojąłem, że taki twardy i doświadczony detektyw jak ja powinien był wiedzieć lepiej. Czy typek, który posiada prawdziwych przyjaciół, chciałby zniknąć w świecie, jaki stworzył na planie swej wyobraźni? Na pewno nie. Jedynymi przyjaciółmi Landry'ego była jego żona i

synek, ale oboje już nie żyli. Istnieli znajomi i sąsiedzi, ale najwyraźniej wzięli mnie za niego. Mieszkająca naprzeciwko kobieta rzucała mi od czasu do czasu zagadkowe spojrzenia, a jej mała córeczka, mimo że kilka razy zajmowałem się nią pod nieobecność rodziców, gdy podchodziłem do niej, wybuchała głośnym płaczem (ta kobieta twierdzi, że kilkakrotnie zajmowałem się tym dzieckiem, a nie widzę powodów, dla których miałaby kłamać), ale niewiele mnie to obchodzi.

Odbyłem rozmowę z agentem Landry'ego, facetem z Nowego Jorku nazwiskiem Verrill. Koniecznie chce wiedzieć, kiedy przystąpię do pisania kolejnej powieści.

Niebawem - oświadczyłem mu. - Niebawem.

Większość czasu spędzam w domu. Nie mam szczególnej ochoty poznawać świata, w który wepchnął mnie Landry, wyrzucając przy tym z mego. Podczas cotygodniowych wypraw do banku i sklepu spożywczego widzę więcej, niż mi potrzeba, a po tym, jak zgłębiłem wreszcie tajniki działania jego okropnego telewizora, oglądam program niecałe dwie godziny dziennie. Już mnie nie dziwi, że Landry pragnął porzucić ten udreńczony świat z jego nieprzerwanym ciągiem chorób i bezsensowną przemocą; świat, gdzie w witrynach nocnych klubów tańczą nagie kobiety, z którymi uprawianie seksu może człowieka zabić.

Tak, większość czasu spędzam w domu. Kilka razy przeczytałem wszystkie napisane przez Landry'ego powieści. Przy każdej z nich czułem się tak, jakbym kartkował ukochany pamiętnik. Poza tym, oczywiście, nauczyłem się obsługiwać komputer. To zupełnie coś innego niż maszyna telewizyjna. Ekrany są podobne, ale w komputerze możesz wywoływać obrazy, jakie chcesz, ponieważ pochodzą one z twojej głowy.

Bardzo mi się to podoba.

Wiecie, przygotowywałem się: budowałem i rozkładałem, zdania niczym elementy puzzle'a. A tego ranka napisałem! kilka wersów, które całkowicie przypadły mi do gustu... albo f prawie całkowicie. Chcecie posłuchać? Proszę:

Kiedy popatrzyłem w stronę drzwi, w progu ujrzałem bardzo skruszonego i zdeprymowanego Peorię Smitha.

- Chyba ostatnim razem paskudnie zachowałem się względem pana, panie Umney - powiedział. - Przyszedłem pana przeprosić.

Od naszego ostatniego spotkania minęło sześć miesięcy, ale chłopak wcale się nie zmienił.

- Ciąglenosisz ciemne okulary - stwierdziłem.

- Tak. Miałem operację, ale się nie powiodła. - tchnął, uśmiechnął się, po czym wzruszył ramionami. W tej chwili wyglądał dokładnie jak Peoria, którego znałem. - Ale o co w

końcu chodzi, panie Umney. Los niewidomego nie jest wcale taki straszny.

Ale idealny też nie, to pewne. Wiem o tym. Zaczynałem jako detektyw, nie jako pisarz. A jednak uważam, że jeśli tylko człowiek chce sprawę pogorszyć, stać go prawie na wszystko. Jeśli już dobierze się komuś do dupy, jest to czymś w rodzaju podglądania przez dziurkę od klucza. W komputerze kształt i rozmiar tej dziurki od klucza są trochę inne, ale można przez nie podglądać życie innych, a następnie mówić klientowi, co zobaczyłeś.

Uczę się tego z jednego tylko względu: nie chcę tu zostać. Los Angeles z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego możecie nazywać sobie, jak wam się żywnie podoba; dla mnie to piekło. Odrażające, mrożone potrawy odgrzewane w czymś, co nazywa się "mikrofalówką", buty przypominające trzewiki potwora stworzonego przez Frankenstein, muzyka płynąca z radia i rycząca jak krowy włożone żywcem do szybkowara, te...

No cóż, wszystko.

Pragnę mego dawnego życia, pragnę, żeby wszystko było tak jak kiedyś, i podejrzewam, że już wiem, jak tego dokonać.

Jesteś nędznym, skurwiałym złodziejem, Sam... czy mogę cię jeszcze tak nazywać?... i bardzo mi ciebie żal... ale moje współczucie jest wyjątkowo ograniczone, ponieważ jedyne adekwatne określenie twego postępku to "kradzież". Moja pierwsza opinia w tym względzie nic się nie zmieniła. Ciągle uważam, iż zdolności twórcze nie dają prawa do złodziejstwa.

Złodzieju, co w tej chwili robisz? Jesz kolację w restauracji "Petit Dejeuner", którą wymyśliłeś? A może leżysz obok jakiejś wspaniałej kochanki z cudownie sterczącymi piersiami i miętosisz jej negliż? A może beztriosko mkniesz samochodem do Malibu? Odrzucasz kopniakiem stare krzesło w biurze, radując się bezbolesnym, pozbawionym wszelkiego zapachu, beztrioskim życiem? Co porabiasz?

Nauczyłem się pisać; to właśnie zrobiłem. I znalazłem sposób, żeby z powrotem tam wrócić. Sądzę, że powinienem się pośpieszyć. Już prawie cię widzę.

Jutro rano Clyde i Peoria zamierzają udać się do "Blondie's", który wznowił działalność. Tym razem to Peoria chce zaprosić Clyde'a na śniadanie. To będzie drugi krok.

Tak, prawie cię widzę, Sam, a niebawem ujrzę naprawdę. Ale nie sądzą, żebyś ty mnie zobaczył. Ujrzysz mnie dopiero wtedy, gdy wynurzę się zza drzwi mego biura i zacisnę ci dłonie na krtani.

Tym razem nikt nie wróci do domu.

Pałka niżej!

(Head Down)

OD AUTORA: Tutaj przerywam, Wierny Czytelniku, by Ci powiedzieć, że masz przed sobą nie kolejne opowiadanie, lecz esej - prawie pamiętnik. Pierwszy raz opublikowałem go na łamach New Yorkera wiosną 1990 roku.

S.K.

OD TŁUMACZA: Obawiam się, że dla większości polskich czytelników poniższy tekst będzie nie całkiem zrozumiały. Ci jednak, którzy choć trochę lubią baseball, z pewnością docenią sztukę, z jakim King opisuje wydarzenia na boisku, tak iż każda sytuacja niemal jak żywa staje nam przed oczami. Język polskiego baseballu jest nieco uboższy od amerykańskiego (stąd w tłumaczeniu brak rozróżnienia np. między "wild pitch" a "passed ball"), lecz nie chciałem się wdawać w obszerne wyjaśnienia, gdyż to rozbiłoby tok narracji i zagubiło gdzieś urok pisanych na gorąco notatek.

W.N.

- Pałka niżej! Koniec pałki niżej!

Nie jest to może najtrudniejsza rzecz w sporcie, lecz każdy, kto tego próbował, powie wam, że wystarczająco trudna: trafić okrągłą pałką w okrągłą piłkę, i to dokładnie w sam środek. Na tyle trudna, że paru facetów, którzy opanowali tę sztukę, poznało smak bogactwa, sławy i uwielbienia: Jose Canseco, Mikę Greenwell, Kevin Mitchell. Dla rzeszy chłopców (i wcale pokąźnej liczby dziewcząt) to właśnie oni, a nie Axl Rose czy Bobby Brown, są prawdziwymi idolami; plakaty z ich wizerunkami zajmują honorowe miejsca na ścianach dziecięcych pokoi lub drzwiczkach szkolnych szafek. Dziś kilku z takich chłopców trenuje pod okiem Rona St Pierre'a - jako reprezentacja Bangor West Side chcą wziąć udział w turnieju grupy trzeciej Małej Ligi i uczą się walić okrągłą pałką w okrągłą piłkę. St Pierre szkoli niejakiego Freda Moore'a, a mój syn, Owen, stoi w pobliżu, uważnie słuchając słów trenera. Za chwilę przyjdzie kolej na niego. Owen jest barczysty i mocno zbudowany, jak jego stary; Fred wygląda cherlawo w jasnozielonym dresie. I nie bardzo mu idzie.

- Niżej koniec pałki, Fred! - drze się St Pierre. Stoi w połowie drogi między wzgórzem miotacza a bazą domową, na jednym z dwóch boisk Małej Ligi położonych za rozlewnią coca-coli w Bangor; Fred cofnął się już prawie do metalowej zasłony, od której odbijają się rzucane piłki. Dzień jest upalny, lecz Fred i St Pierre najwyraźniej tego nie odczuwają. Są zbyt zajęci.

- Trzymaj niżej! - znów wrzeszczy St Pierre i wykonuje płaski, twardy narzut.

Fred muska piłkę wierzchem bijaka. Słychać charakterystyczny stuk skóry uderzającej o aluminium - jakby ktoś puknął łyżeczką w cynowy kubek. Piłka odbija się od prze-grody, wraca, o parę cali mija hełm Freda. Trener i Fred wybuchają śmiechem, po czym St Pierre wyciąga kolejną piłkę ze stojącego przy nim plastikowego czerwonego kubła.

- Szykuj się, Fred! - woła. - Pałka niżej!

Grupa trzecia, obejmująca Maine, jest tak duża, że podzielono ją na dwie mniejsze. Drużyny z hrabstwa Penobscot tworzą jedną podgrupę; zespoły z Aroostook i Washington - drugą. Do reprezentacji hrabstwa wybiera się najlepsze dzieciaki ze wszystkich klubów Małej Ligi. Dwanaście drużyn grupy trzeciej rozgrywa równoległe turnieje. Pod koniec lipca nadchodzi playoff, dwa najlepsze zespoły grają trzy mecze, a dwa zwycięstwa decydują o mistrzostwie grupy. Czempion grupy trzeciej przechodzi do mistrzostw stanowych i wiele czasu minęło - osiemnaście lat - gdy Bangor po raz ostatni dotarło do tego etapu.

W bieżącym roku gospodarzem mistrzostw stanowych będzie

Old Town, gdzie produkują kajaki i kanadyjki. Cztery z pięciu grających tam drużyn powrócą do domu. Piąta będzie reprezentować stan Maine w turnieju Okręgu Wschodniego, rozgrywanym tym razem w Bristolu, w Connecticut. Dopiero potem jest Williamsport w Pensylwanii, gdzie odbywają się Mistrzostwa Małej Ligi. Gracze z Bangor West nie myślą o takich zaszczytach; będą szczęśliwi, jeśli zdołają pokonać pierwszego przeciwnika w eliminacjach hrabstwa Penobscot, drużynę z Millinocket. Trenerom, rzecz jasna, wolno marzyć - więcej, marzenia są ich obowiązkiem.

Tym razem Fred, pełniący rolę czołowego wesołka drużyny, naprawdę nisko macha pałką. Piłka ląduje na ziemi dobre sześć stóp za linią biegnącą do pierwszej bazy.

- Spójrz - mówi St Pierre, biorąc następną piłkę. Trzyma ją w górze. Jest mocno poobijana, brudna i poplamiona trawą, lecz mimo wszystko to piłka, więc Fred patrzy na nią z należnym szacunkiem. - Pokażę ci sztuczkę. Gdzie jest teraz?

- W pana dłoni - odpowiada Fred. Święty, jak nazywa St Pierre'a szef wyszkolenia, Dave Mansfield, chowa piłkę do rękawicy.

- A teraz?

- W rękawicy.

Święty staje bokiem i wsuwa wolną dłoń do rękawicy.

- Teraz?

- Pewnie znów w rękę.

- Masz rację. Więc patrz na moją rękę. Na rękę, Fred, i czekaj, aż zobaczysz piłkę. Patrzysz na piłkę. Na nic innego. Tylko na piłkę. To jedyne, co widzisz. Po co masz patrzeć na mnie? Chcesz widzieć mój uśmiech? Nie. Próbujesz wyczuć, jak rzucę: pełnym zamachem, trzy czwarte, czy z góry. Czekasz?

Fred kiwa głową.

- Patrzysz?

Fred znów potakuje.

- Okay - mówi St Pierre i rutynowym, krótkim ruchem ramienia wznawia przerwany trening.

Fred trafia pewnie i mocno; piłka szybkim, płaskim lotem szybkuje na prawą stronę boiska.

- Tak jest! - woła Święty. - O to chodzi, Fred! - Ociera pot z czoła. - Następny pałkarz!

Dave Mansfield, ciężki, brodaty mężczyzna, wchodzący na boisko w lotniczych ciemnych okularach i rozpiętej pod szyją koszulce z emblematem College World Series (co zastępuje króliczą łapkę), przynosi na mecz Bangor West - Millinocket dużą papierową torbę. W środku jest szesnaście różnobarwnych proporczyków. Na wszystkich, prócz napisu BANGOR, widnieje wizerunek homara i sosny. Gdy megafony, zawieszane na wysokiej drucianej siatce oddzielającej z jednej strony boisko od trybun, wywołują kolejne nazwisko, każdy zawodnik z Bangor sięga do torby trzymanej przez Dave'a, biegnie przez plac gry i wręcza proporczyk swemu przeciwnikowi, noszącemu ten sam numer.

Dave jest hałaśliwym, niezmordowanym facetem, który uwielbia baseball i wszystkie grające dzieciaki. Wierzy, że Mała Liga istnieje z dwóch powodów: by mogły się bawić i wygrywać. Obie przyczyny są ważne, twierdzi, lecz przede wszystkim trzeba zachować właściwe proporcje. Nie przyniósł proporczyków po to, by tą chytrą zagrywką zdenerwować rywali, lecz by dostarczyć im lepszej zabawy. Wie, iż mecz na długo zapadnie w pamięć obu drużyn i chciałby zostawić malcom z Millinocket jakąś pamiątkę. Proste, prawda?

Zawodnicy Millinocket są szczerze zaskoczeni tym gestem, a gdy ktoś włącza magnetofon z "Gwiazdzistym Sztandarem" w wykonaniu Anity Bryant, nie bardzo wiedzą, co zrobić z proporczykami. Łapacz Millinocket, ledwo widoczny zza ochraniaczy, potrafi sobie poradzić we wzruszający sposób: przyciska proporczyk do serca.

Po wszystkich wstępnych grzecznościach Bangor odnosi błyskotliwe i zdecydowane zwycięstwo - końcowy wynik brzmi: Bangor West 18, Millinocket 7. Przegrana w niczym nie umniejsza wartości pamiątek; gdy zawodnicy Millinocket znikają w autokarze, pod ich ławką zostaje tylko parę papierowych kubków i patyków po lizakach. Proporczyki - co do jednego - zostały zabrane.

- Autuj drugą! - krzyczy Neil Waterman, drugi trener drużyny Bangor. - Drugą! Autuj drugą!

Jest dzień po meczu z Millinocket. Wszyscy zawodnicy uczestniczą w treningu, lecz to jeszcze normalne. Zwolnienia zaczną się później. Zwykle tak bywa: rodzice niezbyt chętnie rezygnują z wakacyjnych planów, by pozwolić swym pociechom grać w Małej Lidze po zakończeniu przypadającej w maju i czerwcu głównej części sezonu. Czasem same dzieciaki są już zmęczone reżimem treningów i wolą pojeździć na rowerze, lawirować na deskorolce lub po prostu powłóczyć się nad brzegiem miejskiego basenu i pooglądać dziewczyny.

- Autuj drugą! - wydziera się Waterman, mały, żylasty, krótko ostrzyżony człowieczek w szortach koloru khaki. W prywatnym życiu jest nauczycielem i szkolnym trenerem koszykówki, lecz tego lata chce udowodnić młodym ludziom, że baseball ma więcej wspólnego z partią szachów, niżby to się zdawało. "Znaj zagrywkę - powtarza bezustannie. - Patrz, kogo kryjesz. Co więcej, w każdej sytuacji pamiętaj, kto może cię wyautować, i nie pozwól, by to zrobił". Z niezmaconą cierpliwością ukazuje im prawdę, leżącą u podstaw każdej gry zespołowej: że częściej używa się głowy niż mięśni.

Ryan Larrobino, środkowy pola, ciska piłką do Caseya Kinneya z drugiej bazy. Casey autuje niewidzialnego biegacza, obraca się na pięcie i rzuca na domową, gdzie czeka J.J. Fiddler. Po chwili piłka wraca do Watermana.

- Podwójny aut! - krzyczy Waterman i posyła piłkę do Matta Kinneya (przypadkowa zbieżność nazwisk z Caseyem).

Matt stoi dziś na pozycji stopera. Piłka kozłuje i leci na lewe skrzydło. Matt zbija ją na ziemię, chwyta, podaje do Caseya na drugą; Casey okręca się i rzuca do Mike'a Arnolda z pierwszej. Potem dostaje ją J.J.

- Nieźle! - woła Waterman. - Dobra robota! Zwłaszcza Matt Kinney! Jeden-dwa-jeden! Mikę Pelkey! Kryjesz!

Imię i nazwisko. Zawsze wymienia imię i nazwisko, by uniknąć nieporozumień. W zespole jest mnóstwo Mattów, Mike'ów i facetów nazwiskiem Kinney.

Akcja wychodzi bezbłędnie. Mikę Pelkey, drugi miotacz drużyny, jest na właściwym miejscu, kryjąc pierwszą bazę. Nie zawsze pamięta o tym manewrze, lecz teraz mu się udało.

Szczerząc zęby, truchtem wraca na wzgórek, a Neil Waterman szykuje się do kolejnej zagrywki.

- To najlepsza drużyna Małej Ligi, jaką widziałem w ciągu ostatnich dwóch lat - powie Dave Mansfield w parę dni po zwycięstwie zespołu Bangor nad Millinocket. Wciska do ust garść ziaren słonecznika i zaczyna przeżuwać. Gdy mówi, od czasu do czasu wypluwa łupiny. - Myślę, że nikt ich nie pokona. Przynajmniej nie w trzeciej grupie.

Przerywa i patrzy, jak Mikę Arnold rzuca się z pierwszej bazy w stronę bazy domowej, chwytając skrócone odbicie i robi szybki obrót. Zamach - lecz piłka zostaje w dłoni. Mikę Pelkey wciąż stoi na wzgórku; tym razem nie pamiętał o kryciu i baza jest nie chroniona. Spłoszonym wzrokiem zerka na Dave'a. Potem uśmiecha się promiennie i jest gotów do następnej akcji. W powtórce da sobie radę, lecz co będzie, jeśli się zapomni podczas meczu?

- Rzecz jasna, możemy przegrać na własną prośbę - mruczy Dave. - Tak to zwykle wygląda. - Później, podnosząc głos, huczy: - Mikę Pelkey! Gdzie się podziewasz? Miałeś kryć pierwszą!

Mikę kiwa głową i biegnie we wskazanym kierunku - lepiej późno niż wcale.

- Brewer - mówi Dave i potrząsa głową. - Na ich boisku. To będzie ciężki mecz. Ci z Brewer zawsze są dobrzy.

Zawodnicy Bangor West nie rozgromili "tych z Brewer", ale wygrali pierwszy mecz wyjazdowy bez większego wysiłku. Główny miotacz, Matt Kinney, jest w dobrej formie. Nie rzuca z przesadną siłą, lecz jego szybkie piłki podstępnie zmieniają tor lotu, a podkręcane - choć na pozór całkiem przeciętne - też są skuteczne. Roñ St Pierre lubi powtarzać, że w całej Ameryce każdy miotacz Małej Ligi jest przekonany, iż potrafi zabójczo podkręcać.

- W rzeczywistości to nie żadna rotacja tylko zwykłe spadanie - mówi. - Pałkarz z odrobiną wyczucia wymiata taką piłkę z boiska.

Matt Kinney jednak umie podkręcać, a dziś wieczór dobrze wyczuwa odległość i autuje ośmiu pałkarzy. Co pewnie ważniejsze, tylko czterem daje bazę darmo. Błędy miotaczy są prawdziwą zmorą trenerów Małej Ligi.

- Zabójstwo - powiada Neil Waterman. - Za każdym razem zabójstwo. Bez wyjątku. W turniejach Małej Ligi sześćdziesiąt procent punktów jest zdobywanych po uporczywych błędach miotacza.

W tym meczu dzieje się inaczej: dwaj pałkarze puszczeni przez Kinney a są zatrzymani na drugiej; dwaj pozostali schodzą z boiska po trzech autach. Zawodnikom z Brewer tylko raz się udaje odbić: Denise Hewes, w obronie grająca na środkowym zapolu, w piątej zmianie zalicza pierwszą bazę przy jednym wyautowanym, lecz spada z drugiej.

Gdy spotkanie z wolna przechodzi do historii, Matt Kinney, zwykle poważny i zamknięty w sobie, zdobywa się na uśmiech w stronę Dave'a, błyskając aparatem na zębach.

- Mogła wałnąć mocniej! - mówi niemal nabożnie.

- Zaczekaj, aż przyjadą z Hampden - kwaśno odpowiada Dave. - Tam wszyscy wałają.

Siedemnastego lipca, podczas wizyty zespołu z Hampden na boisku Bangor West, na tyłach rozlewni coca-coli, szybko się okazuje, że Dave miał rację. Mikę Pelkey jest nieco lepszy i bardziej opanowany niż w meczu z Millinocket, lecz nie potrafi niczym zaskoczyć graczy z Hampden. Mikę Tardif, silny chłopak, obdarzony niesłychanie szybkim odbiciem, wymiata trzeci narzut Pelkeya na lewe zapole, za ogrodzenie, na dobre dwieście jardów. Home run w pierwszej zmianie. W drugiej Hampden zdobywa jeszcze dwa punkty i obejmuje prowadzenie 3-0.

W trzeciej Bangor West zaczyna odzyskiwać formę. Hampden dobrze rzuca, zadziwiająco dobrze odbija, lecz gra w obronie, szczególnie w polu wewnętrznym, pozostawia nieco do życzenia. Bangor ma trzy dobre odbicia, wykorzystuje pięć błędów i dwukrotnie zalicza bazę darmo, gromadząc dzięki temu siedem punktów. Tak zwykle gra się w Małej Lidze i wspomniany wynik powinien starczyć do zwycięstwa, lecz przeciwnik uparcie brnie dalej, zgarnia dwa punkty w swojej połowie trzeciej zmiany i jeszcze dwa w piątej. Gdy stają na palce w drugiej połowie szóstej, jest 10-7 dla Bangor.

Kyle King, dwunastolatek, który rozpoczął mecz jako miotacz drużyny Hampden, a w piątej zmianie zastąpił łapacza, na odbiciu od razu zalicza drugą bazę. Potem Mikę Pelkey trzema strajkami autuje Mike'a Tardifa. Mikę Wentworth, nowy miotacz Hampden, po krótkim odbiciu zdobywa pierwszą. Obaj, King i Wentworth, idą do przodu przy źle wymierzonym narzucie, lecz muszą stanąć, gdy Jeff Carson odbija piłkę po ziemi wprost do miotacza. Na odbicie wychodzi Josh Jamieson, jeden z pięciu graczy Hampden zdolnych wybić piłkę na home run. Dwóch biegaczy na bazach, dwa auty. Josh ma szansę zamknąć ostatnią wolną bazę. Mikę, choć wyraźnie zmęczony, potrafi jeszcze coś z siebie wykrzesać i przy stanie jeden-dwa autuje pałkarza. Gra skończona.

Dzieciaki stają w szeregu i uświęconym zwyczajem klepią się w wysoko uniesione dłonie, lecz dobrze widać, iż nie tylko Mikę odczuwa trudy meczu; obwisłe ramiona i ciężko zwieszona głowa nie pasują do wizerunku zwycięzców. Bangor West prowadzi trzema punktami w tabeli rozgrywek, lecz w ostatnim spotkaniu wygrana przyszła fuksem. To jedna z cech, jakie czynią z meczy Małej Ligi ekscytujące widowisko, które szarpie nerwy widzów, trenerów i samych zawodników. Zwykle dobra obrona drużyny Bangor popełniła dziś wieczór około dziewięciu błędów.

- Nie spałem całą noc - mruczy Dave podczas treningu dzień później. - Do diaska, górowali nad nami. Mogliśmy przegrać.

Po dwóch dniach znajduje nowy powód do zmartwień. On i St Pierre jadą sześć mil do Hampden, by popatrzeć, jak Kyle King i jego koledzy radzą sobie z zespołem z Brewer. Nie chodzi o zwiad; Bangor grał już z obydwoma klubami i trenerzy poczynili wystarczającą ilość notatek. Dave przyznaje, że w duchu oczekiwał, iż Brewer złapie wiatr w żagle i wygra z Hampden. Nic z tego. To, na co patrzą, nie przypomina gry w baseball, lecz ćwiczenia strzeleckie.

Josh Jamieson, wystrajkowany niedawno przez Mike'a Pelkeya, wali home run nad wszystkim, aż na boisko treningowe. Nie koniec na tym. Carson zalicza jeden, Wentworth jeden, Tardif dwa. Ostateczny wynik: Hampden 21, Brewer 9.

W drodze powrotnej do Bangor Dave Mansfield wciąż żuje słonecznik i prawie się nie odzywa. Odrywa oczy od szosy dopiero wówczas, gdy jego stary zielony chevrolet wjeżdża na parking na tyłach rozlewni coca-coli.

- We wtorek mieliśmy kupę szczęścia - mówi. - Wiedzą o tym. Gdy pojedziemy tam w czwartek, będą czekali.

Boiska, na których drużyny trzeciej grupy rozgrywają swe małe dramaty w sześciu odsłonach, mają mniej więcej te same wymiary, różniące się tu i ówdzie może o stopę. Każdy trener nosi w tylnej kieszeni spodni zbiór przepisów i nie waha się z niego korzystać. Dave lubi powtarzać, że nigdy nie zaszkodzi sprawdzić. Pole wewnętrzne to kwadrat o boku sześćdziesięciu stóp, a przy jednym z jego narożników mieści się baza domowa. Zgodnie z przepisami siatka ochronna musi być ustawiona co najmniej dwadzieścia stóp za nią, by w razie złego narzutu dać równą szansę łapaczowi i biegaczowi z trzeciej. Ogrodzenie zewnętrzne powinno być oddalone o dwieście stóp od miejsca wybiecia. Na boisku Bangor West wspomniany wymiar wynosi dwieście dziesięć. W Hampden, gdzie grają tacy mocarze jak Tardif i Jamieson, tylko sto osiemdziesiąt.

Jedyna nienaruszalna odległość jest jednocześnie najważniejszą: chodzi o dystans od deski miotacza do miejsca wybiecia. Czterdzieści sześć stóp - ni mniej, ni więcej. Podczas mierzenia nikt nie powie: "No, starczy. Może tak zostać". Dla wielu drużyn Małej Ligi owe czterdzieści sześć stóp stanowi o życiu lub śmierci.

Poza tym boiska trzeciej grupy bardzo się różnią i już na pierwszy rzut oka widać, czy społeczność danego miasteczka interesuje się rozgrywkami. Boisko w Bangor West jest w kiepskim stanie - wciąż pomijane przez radę miejską przy planowaniu wydatków na rekreację. W czasie deszczu gliniaste pod-łoże zmienia się w grząską zupę, latem, zwłaszcza tak upalnym

jak tegoroczne, staje się twarde jak beton. Częste spryskiwanie pozwala zachować trawę na zapole, choć pole wewnętrzne przyprawia o rozpacz. Skąpa zieleń porasta linie boczne, lecz przestrzeń między wzgórkami miotacza i bazą domową jest całkiem łąsa. Z tyłu zwisa zardzewiała siatka; źle narzucane piłki często wypadają poza plac gry, gdyż tuż nad ziemią zieleń szeroka dziura. Dwie spore, pomarszczone sterty piachu ciągną się przez środek i prawą część placu. To zresztą w czasie

spotkań działa na korzyść gospodarzy. Drużyna Bangor West nauczyła się grać na wertepach równie dobrze jak skrzydłowi Red Soxów na nierównościach Green Monster. Goście z reguły biegną za kozłującą piłką pod samo ogrodzenie.

Boisko w Brewer, wciśnięte między miejscowy sklep IGA i komis Mardena, dzieli plac z czymś, co pretenduje do miana najstarszego i najbardziej zardzewiałego ogródka jordanowskiego w Nowej Anglii; młodszy bracia i siostry obserwują mecze, zwisając z rozmaitych drabinek, z głowami przy ziemi i nogami wycelowanymi w niebo.

Bob Beal Field, w Machias, z polem wewnętrznym upstrzonym drobnymi kamieniami, jest bez wątpienia najgorszym boiskiem, na jakim w tym roku przyszło grać drużynie z Bangor; Hampden, z wypieszczonym zapolem i miękką nawierzchnią pola wewnętrznego - najlepszym. Za ogrodzeniem ma znakomite miejsce na piknik, obok pobudowano snackbar oferujący chwilę odpoczynku, słowem - prawdziwy stadion, chociaż na tyłach VFW. Ktoś mógłby sądzić, że grają tam tylko dzieciaki z zamożnych rodzin. Nic bardziej mylnego. Część zawodników dojeżdża z Newburgh, z wioski, gdzie wciąż nie brak małych gospodarstw utrzymujących się z uprawy roli. Przyjeżdżają na mecze starymi, rozklekotanymi samochodami, z których niejedni ma zaciągniętą minią blachę wokół reflektorów i powiązane drutem chlapacze. Chłopcy opaleni od pracy w polu, nie podczas zabaw na miejscowym basenie. Dzieciaki z miasta, dzieciaki ze wsi. Z chwilą, gdy włożą dresy, przestaje być ważne, skąd pochodzą.

Dave ma rację: kibice Hampden-Newburgh już czekają. Bangor West po raz ostatni wygrało grupę trzecią Małej Ligi w 1971; drużyna z Hampden nigdy nie dotarła na szczyt tabeli i wielu wciąż ma nadzieję, że mimo wcześniejszej porażki do-kona tego w tym roku. Zawodnicy z Bangor naprawdę czują, że przyjdzie im grać na wyjeździe; na boisko przybywa duża i hałaśliwa grupa miejscowych fanów.

Mecz rozpoczyna Matt Kinney. Hampden wystawia Kyle'a Kinga i spotkanie dość szybko przekształca się w niezwykle rzadki w rozgrywkach Małej Ligi, fascynujący pojedynek miotaczy. Pod koniec trzeciej zmiany wynik brzmi (>-0).

W drugiej połowie czwartej Bangor zdobywa dwie bazy, gdyż Hampden znów zaczyna

się sypać w defensywie. Owen King, w obronie Bangor grający na pierwszej, staje na palce. Dwóch biegaczy na bazach, jeden aut. Dwaj Kingowie, Kyle z Hampden i Owen z Bangor West nie są krewniakami. Widać to zresztą na pierwszy rzut oka. Kyle King mierzy nie więcej niż pięć stóp i trzy cale. Owen, sześć stóp, dwa cale, wygląda przy nim jak wieża. Różnice wzrostu wśród zawodników Małej Ligi są tak znaczne, że można dostać oczopląsu.

King z Bangor bije piłką po ziemi w stronę stopera. Sytuacja wprost wymarzona na podwójne autowanie, lecz stoper Hampden ma kłopoty z łapaniem, a King wprawia w ruch swe dwustufuntowe ciało i dobiega do pierwszej bazy. Mikę Pelkey i Mikę Arnold zaliczają punkty.

Później, w pierwszej połowie piątej zmiany, zmęczony Matt Kinney trafia piłką Chrisa Witcomba, ósmego pałkarza z Hampden. Jako dziewiąty wychodzi Brett Johnson. Odbija w stronę stojącego na drugiej bazie Caseya Kinneya. Znow okazja do podwójnego autowania, lecz Casey nie daje rady. Odruchowo opuszcza ręce, lecz zamiera w bezruchu, nie dotykając ziemi, i obraca w bok głowę, by uchronić twarz przed koziolkującą piłką. To najczęstszy błąd zawodników pola Małej Ligi, choć jednocześnie łatwy do zrozumienia: typowy odruch samoobrony. Casey rzuca zbolale spojrzenie na Dave'a i Neila, a piłka kończy swój balet w środku zapola.

- W porządku, Casey! Następnym razem będzie lepiej! - huczy Dave swym głębokim basem urodzonego jankesa,

- Nowy pałkarz! - krzyczy Neil, całkiem nie zwracając uwagi na minę Caseya. - Nowy pałkarz! Wiecie, co robić! Wciąż prowadzimy! Autować! Skupcie się na autowaniu!

Casey, nieco uspokojony, wraca do gry, lecz w tej samej chwili, za ogrodzeniem, zaczynają wycie Klaksony Hampden. Na parkingu jest tylko kilka nowoczesnych samochodów - toyoty, hondy i jakiś mały, kłapiący dodge colt z naklejonymi na zderzaki napisami USA PRECZ Z AMERYKI ŚROD-KOWEJ i ROZŁUPUJCIE DREWNO NIE ATOM. Reszta Klaksonów to stare auta i półciężarówki. Niejedna z nich ma mocno zardzewiałe drzwiczki, tranzystor podłączony pod deską rozdzielczą i kempingową nadbudówkę nad szoferką. Kto siedzi w środku i hałasuje? Nie wiadomo. Na pewno nie rodzice i krewni graczy z Hampden; ci (plus szerokie grono umazanych lodami młodszych sióstr i braci) są na trybunach, zwłaszcza od strony trzeciej bazy, gdzie ustawiono ławkę rezerwowych. Może jacyś faceci, którzy po wyjściu z pracy po-stanowili popatrzeć na mecz przed wychyleniem paru piwek w sąsiednim lokalu VFW? A może duchy dawnych graczy Małej Ligi, spragnione by Hampden wywalczyło w końcu tytuł mistrza stanu? To możliwe: w jazgocie Klaksonów jest coś dziwnego i niesamowitego. Jęczą na zmianę - to wysoko, to nisko, czasem wycie zamiera, gdyż akumulatorom nie starcza prądu. Zawodnicy Bangor z niepokojem spoglądają na parking.

Tuż za siatką ekipa lokalnej stacji telewizyjnej rozkłada sprzęt, by nakręcić migawkę do sportowej części dziennika o jedenastej. To powoduje lekkie poruszenie wśród widzów, lecz zawodnicy Hampden na ogół nie patrzą w tę stronę. Matt Kinney jest zainteresowany czymś innym. Całą uwagę skupił na kolejnym pałkarzu. Matt Knaide stuka końcem aluminiowej pałki w podeszwę buta i zajmuje miejsce w polu wybiecia.

Klaksony zamilkły. Matt Kinney windupem przygotowuje się do narzutu. Casey Kinney staje na prawo od drugiej bazy i nisko opuszcza rękawicę. Z jego miny wyraźnie widać, że tym razem nie będzie krył twarzy przed nadlatującą piłką. Biegacze Hampden z napięciem stoją na pierwszej i drugiej. (W meczach Małej Ligi nie wolno skracać wybiegu). Widzowie usadowieni po obu stronach boiska z napięciem patrzą na pole gry. Cichną rozmowy. Baseball w najlepszym wydaniu (a to naprawdę dobry mecz, wart wszystkie pieniądze) jest grą, w której długie chwile wypoczynku przerywane są nagłym ostrym wdechem. Kibice wiedzą, że zaraz nadejdzie ten moment. Matt Kinney unosi rękę i rzuca.

Knaide odbija pierwszy narzut nad drugą bazą, zalicza bieg i wynik brzmi 2-1. Miotacz Hampden, Kyle King, staje na pałce i odsyła piłkę niskim, świszczącym lotem z powrotem na wzgórek. Trafia Kinneya w prawą gołęń. Chłopak instynktownie próbuje złapać piłkę, lecz ta umyka w dziurę między stoperem i trzecią bazą, a Matt, który dopiero teraz poczuł ból w nodze, zaczyna się zwijać. Wszystkie bazy zajęte, lecz nikt o tym nie myśli; w chwili gdy sędzia unosi rękę, sygnalizując przerwę, wszyscy zawodnicy Bangor biegną do Kinneya. W dali, za boiskiem, słychać triumfalne wycie klaksonów.

Kinney jest bardzo blady; na pewno go boli. Z apteczki przechowywanej w snackbarze przynoszą kompres. Po chwili Matt może już wstać i wsparty na ramionach Dave'a i Neila kuśtyka na skraj placu. Kibice żegnają go głośnym i współ-czującym aplauzem.

Owen King, do tej pory stojący na pierwszej bazie, staje się nowym miotaczem zespołu i od razu musi się zmierzyć z Tardifem. Wchodzącego pałkarza wita krótki, wyczekujący ryk Klaksonów. Trzeci rzut Kinga mija łapacza i piłka grzęźnie w siatce. Brett Johnson rzuca się w stronę bazy domowej. King, jak go uczono, biegnie ze wzgóрка w tę samą stronę. Stojący przy ławce Neil Waterman, wciąż ściskający ramiona Matta Kinneya, krzyczy:

- Krycie! Krycie! Krycie!

Joe Wilcox, łapacz Bangor, jest stopę niższy od Kinga, lecz nie zbywa mu na szybkości. Na początku sezonu nie bardzo chciał być łapaczem. Wciąż nie jest zadowolony, choć zdołał już do tego przywyknąć i trwa na pozycji, na której gracze słabszej postury nie wytrzymują zbyt długo; nawet w Małej Lidze przeciętny łapacz przypomina wyglądem słoik Wecka. Joe nieco wcześniej wykonał zadziwiającą sztuczkę, wyłapując z powietrza złe odbicie. Teraz skacze w

- Głowy w górę - powtarza Waterman. Mówi ciut głośniej, lecz bez gniewu, i wreszcie ściąga uwagę wszystkich zawodników. - Rozegraliście bardzo dobre spotkanie - oświadcza miękko. - Fakt, było trochę zamieszania i przeciwnicy umieli to wykorzystać. Zdarza się. Nie znaczy to jednak, że są lepsi, choć naprawdę poznamy ich dopiero w sobotę. Dziś przegraliście tylko mecz baseballu. Jutro znów będzie świecić słońce.

Na ławce zaczyna się drobne poruszenie; stare kazanie nic nie straciło ze swej kojącej siły.

- Daliście dziś z siebie wszystko, a tego właśnie oczekiwaliśmy. Jestem z was dumny i wy także macie powód do dumy. Nie stało się nic takiego, czym moglibyście zaprzętać sobie głowy.

Schodzi w bok, by zrobić miejsce Mansfieldowi. Dave spogląda na drużynę. Gdy zaczyna mówić, jego zwykle donośny głos staje się jeszcze cichszy niż głos Watermana.

- Jadąc tu, wiedzieliśmy, że muszą nas pokonać, prawda? - pyta. Cedzi słowa z zadumą, jakby mówił do siebie. - Przegrana odbierała im wszelkie szansę. W sobotę przyjadą do nas. W tym dniu to właśnie my musimy zwyciężyć. Chcecie?

Wszystkie głowy zwrócone są w jego stronę.

- Dobrze zapamiętajcie słowa Neila - ciągnie Dave tym samym refleksyjnym tonem, tak różnym od tubalnego pokrzykiwania na treningach. - Jesteście drużyną. To znaczy, że macie się kochać. Kochać, gdy wygrywacie i gdy staniecie w obliczu porażki. To stanowi o sile drużyny.

Gdy pierwszy raz ktoś powiedział tym chłopcom, że na boisku mają się kochać, rozległ się zduszony chichot. Teraz nikt się nie śmieje. Po doświadczeniach z Klaksonami coś zrozumieli. Przynajmniej trochę.

Dave jeszcze raz na nich patrzy, po czym kiwa głową.

- No dobrze. Zbieramy manele.

Podnoszą pałki, kaski, ochraniacze i rękawice, i upychają wszystko do płóciennych worków. Nim cały sprzęt zniknie w starej zielonej półciężarówce Dave'a, wraca dawna wesołość.

Dave żartuje wraz z nimi, choć w drodze powrotnej wcale mu nie jest do śmiechu. Czas wlecze się niemiłosiernie.

- Nie wiem, czy pokonamy ich w sobotę - mówi Dave tym samym zamyślnym tonem co na boisku. - Chcę wygrać, ale oni też chcą. Nie wiem. Mo przeszło na stronę Hampden.

"Mo" to oczywiście momentum, rozpęd - owa tajemnicza siła, która potrafi uskrzydlić drużynę nie tylko w jednym meczu, lecz nawet podczas całego sezonu. Wszyscy baseballiści, niezależnie od wieku i klasy, są przesądni, a drużyna z Bangor z sobie tylko wiadomych

powodów obrała za swój talizman plastikowy bucik dla lalki - prezent od jednego z najmłodszych kibiców. Maskotkę nazwali Mo. Na meczu wtykają ją w siatkę w pobliżu ławki rezerwowych, a każdy pałkarz nabożnie muska ją palcem przed wyjściem na boisko. Na co dzień opiekuje się nią Nick Trzaskos, lewoskrzydłowy zapola. Dziś po raz pierwszy zapomniał zabrać talizman.

- Nick, pamiętaj wziąć Mo w sobotę - ponuro mruczy Dave. - Choć nawet wówczas... - Kręci głową. - Po prostu nie wiem.

Na mecze Małej Ligi nie obowiązują bilety wstępu; zabraniają tego przepisy. Ale za to w czasie czwartej zmiany jeden z graczy chodzi wśród widzów z czapką, zbierając datki na zakup sprzętu i utrzymanie boiska. W sobotę, podczas spotkania Bangor West-Hampden, kończącego tegoroczny sezon rozgrywek hrabstwa Penobscot, widać wyraźny wzrost zainteresowania rozwojem Małej Ligi. Na meczu Bangor-Millinocket zebrano piętnaście dolarów i czterdzieści pięć centów; w sobotę przed rozpoczęciem piątej zmiany czapka jest pełna monet i pogniecionych banknotów. Dziewięćdziesiąt cztery dolary i dwadzieścia pięć centów. Trybuny są pełne, tłum stoi przy ogrodzeniu, na parkingu nie ma wolnego miejsca. Mała Liga pod jednym względem ma wiele wspólnego z amerykańskim sportem zawodowym oraz biznesem: najlepszą drogą do sukcesu jest sukces.

Bangor zaczyna dobrze - po trzeciej zmianie prowadzi 7-3 - lecz później znów zaczyna się gubić. W czwartej Hampden zdobywa sześć punktów, przeważnie wskutek uprzejmości obrońców. Gracze z Bangor nie pękają, by użyć wyrażenia Neila Watermana, lecz gdy wchodzą na pałkę w drugiej połowie szóstej zmiany, przegrywają 14-12. Porażka jest bardzo blisko, a to oznacza eliminację z dalszej części mistrzostw. Mo tkwi na zwykłym miejscu, ale drużynę z Bangor dzielą zaledwie trzy auty od definitywnego końca sezonu.

Jednym z chłopców, którzy nie opuścili smętnie głowy po przegranej 9-2 w Hampden, był Ryan Larrobino. Na wybiciu stawał trzykrotnie, dwa razy odbił, grał dobrze i zbiegł z boiska w poczuciu niezle spełnionego obowiązku. Małomówny, o szerokich ramionach i gęstej ciemnej czuprynie. Jeden z dwóch urodzonych sportowców w drużynie Bangor. Drugi to Matt Kinney. Choć fizycznie bardzo się różnią - Kinney jest szczupły i dość niski, a Larrobino wysoki i muskularny - posiadają cechę nieczęsto spotykaną u chłopców w ich wieku: zaufanie do własnego ciała. Inni zawodnicy, nawet najbardziej utalentowani, wciąż traktują swe stopy, ręce i dłonie jak szpiegów i potencjalnych zdrajców.

Larrobino należy do tych, którzy w dresie i na boisku są po prostu u siebie. Wkłada kask pałkarza bez obawy, że będzie wyglądał niczym przygłup w matczynym rondlu. Matt Kinney czekający na wzgórkach i gotów do rzutu piłką zadziwiająco pasuje do danego miejsca i czasu.

Larrobino, gdy staje w miejscu wybicia i na moment wskazuje miotacza końcem pałki, nim zastygnie w wyczekującej pozycji, dzierząc bijak nad prawym ramieniem, też odnajduje swe powołanie. Już przed pierwszym narzutem wygląda jak wrośnięty w ziemię; można by przeciągnąć idealnie prostą linię od jego ramienia do biodra, a potem aż do kolana. Matt Kinney został stworzony, by rzucać piłką. Ryan Larrobino - po to, by ją odbijać.

Ostatnia szansa dla Bangor West. Jeff Carson z Hampden, którego home run w czwartej zmianie odwrócił koleje meczu, i który zmienił Mike'a Wentwortha na wzgórkę miotacza, schodzi, zastąpiony przez Mike'a Tardifa. W polu wybicia staje Owen King. Ma trzy bolę i dwa strajki (raz niepotrzebnie machnął pałką, gdy piłka szorowała po ziemi), lecz czwarty, minimalny boi daje mu bazę darmo. Po nim wchodzi Roger Fisher, grający w ataku zamiast Freda Moore'a, który zdecydowanie nie lubi walczyć samotnie. Roger to drobny chłopiec, o hinduskich ciemnych oczach i czarnych włosach. Wygląda niewinnie, lecz nie należy ufać pozorom; potrafi mocno uderzyć. Dziś jednak nie daje rady i spada po trzech strajkach.

Obrońcy Hampden wiercą się po boisku i spoglądają po sobie. Wiedzą już, że zwycięstwo mają w zasięgu ręki. Parking jest zbyt daleko, by zabrzmiał koncert Klaksonów, ale kibice gości zdzierają gardła do bólu. Dwie panie w szkarłatnych czapkach drużyny, stojące za ławką rezerwowych, ściskają się z entuzjazmem. Inni przypominają sprinterów pochylonych nad bieżnią w oczekiwaniu na strzał startera; na pewno rzucą się na boisko, kiedy ich chłopcy rozgromią Bangor.

Joe Wilcox, ten, który kiedyś nie chciał być łapaczem, lecz do dziś gra w obronie na tej pozycji, odbija krótko, przez środek, na lewą część zapola i dochodzi do pierwszej. King zatrzymuje się na drugiej. Na pałce staje Arthur Dorr, prawo-skrzydłowy Bangor i właściciel najstarszych trampków na świecie. Dziś jeszcze nie zdołał odbić żadnego rzutu. Teraz mu się udaje, lecz piłka leci wprost na stopera, który nawet nie musi się zbytnio ruszać z miejsca, by ją złapać. Stoper podaje na drugą w nadziei, że zdoła przyłapać Kinga za bazą, lecz nie ma szczęścia. Tak czy inaczej, dwa auty.

Kibice z Hampden wrzeszczą coraz głośniejsze. Panie zza ławki podskakują z uciechy. Gdzieś z daleka dochodzi porykiwanie paru Klaksonów, chyba nieco przedwczesne, o czym wie każdy, kto widzi twarz Tardifa. Miotacz ociera czoło i zaciska piłkę w rękawicy.

W polu wybicia pojawia się Ryan Larrobino. Umie odbijać szybkim, naturalnym i precyzyjnym ruchem; nawet Ron St Pierre rzadko go musi poprawiać.

Za pierwszym razem nie trafia. To najmocniejszy narzut Tardifa w tym meczu - piłka ląduje w rękawicy Kyle'a Kinga z trzaskiem przypominającym strzał z karabinu. Druga próba kończy się bólem. King oddaje piłkę; Tardif medytuje przez chwilę, potem rzuca nisko i

szybko. Ryan stoi bez ruchu, a sędzia ogłasza drugi strajk. Być może przeleciała nad zewnętrzną krawędzią bazy. Decyzja arbitra i tak jest ostateczna.

Wśród kibiców obu drużyn zapada cisza. Milczą trenerzy. Nie ma nikogo, prócz Tardifa i Larrobino, balansującego przed ostatnim strajkiem i ostatnim autem, w ostatnim meczu dla jednej z drużyn. Twarze chłopców dzieli odległość czterdziestu sześciu stóp. Lecz Larrobino nie patrzy na twarz Tardifa. Obserwuje jego rękawicę, a ja słyszę Rona St Pierre'a udzielającego lekcji Fredowi: "Próbujesz wyczuć, jak rzucę - pełnym zamachem, trzy czwarte, czy z góry".

Larrobino wciąż czeka. Gdy Tardif przygotowuje się do narzutu, słychać cichutkie puk-puk-puk piłeczek tenisowych na pobliskim korcie, lecz tu panuje głucho milczenie. Cienie graczy kładą się na boisku niczym sylwetki wycięte z czarnej tektury. Larrobino czeka.

Rzut idzie z góry. Nagle Larrobino jest w pełnym ruchu, kolana i lewy łokieć lekko ugięte, metalowa pałka błyska w słońcu. Charakterystyczny stuk skóry uderzającej o aluminium - jakby ktoś puknął łyżeczką w cynowy kubek - brzmi tym razem inaczej. Zupełnie inaczej. Nie "brzdęk", lecz "trzask" i piłka szybuje w niebo, nad lewą częścią zapola - dalekie odbicie, wysokie, długie i piękne w blasku późnego popołudnia. Piłkę wyjęto potem spod samochodu stojącego o dwieście siedemdziesiąt pięć stóp od bazy domowej.

Dwunastoletni Mike Tardif jest zdumiony i zaszokowany. Rzuca okiem na rękawicę, jakby wiedziony nadzieją, że wciąż trzyma piłkę i że niewiarygodne odbicie Ryana przy dwóch strajkach i dwóch autach okaże się tylko strasznym, ulotnym snem. Kobiety stojące za ławką spoglądają na siebie z niedowierzaniem. Przez chwilę nikt się nie odzywa. Potem następuje wybuch dzikiej radości i wszyscy gracze Bangor zrywają się z miejsc, by przy bazie domowej czekać na biegnącego Ryana. Tylko dwóch zawodników ma pełną świadomość tego, co się stało. Jednym jest Ryan. Gdy dociera do pierwszej bazy, unosi ręce do ramion, w krótkim lecz wyrazistym geście triumfu. A kiedy Owen King, jako pierwszy z trzech biegaczy wpada na bazę domową, co jest początkiem końca marzeń drużyny Hampden o grze w mistrzostwach stanu, gorzka prawda dociera do Mike'a Tardifa. Po raz ostatni stojąc na wzgórku miotacza jako zawodnik Małej Ligi, wybucha płaczem.

- Trzeba pamiętać, że mamy do czynienia z dwunastolatkami - powtarza od czasu do czasu jeden z trzech trenerów i za każdym razem słuchacze wiedzą, że każdy z nich - Mansfield, Waterman, czy St Pierre - mówi to przede wszystkim do siebie.

- Kochamy was, gdy jesteście na boisku, i wy także musicie się kochać - wciąż tłumaczy swym podopiecznym Waterman. Po upragnionym zwycięstwie 15-14 nad Hampden, gdy wszyscy poznali prawdziwe znaczenie wyrazu "miłość", jego słowa nie budzą już sztubackiej

wesołości.

- Od dziś - ciągnie - będę dla was twardy. Bardzo twardy. Gdy gracie, możecie być pewni, że całym sercem jestem z wami, lecz podczas treningów niejeden pozna, jak głośno potrafię krzyknąć. Jeśli któryś coś spaprze, z miejsca powędruje na ławkę. Jeśli ktoś nie wykona moich poleceń, też czeka go posiedzenie. Koniec laby, panowie. Zaczynamy prawdziwą robotę.

Kilka dni później, w czasie wieczornych ćwiczeń strzela piłką na prawo. Arthur Dorr omal nie traci nosa. Pewnie sprawdzał, czy ma zapięty rozporek lub dobrze zawiązane sznurowadła. Albo wymyślił jeszcze coś innego.

- Arthur! - wrzeszczy Waterman, a Dorr na dźwięk jego głosu podskakuje jeszcze wyżej niż przed chwilą, gdy piłka śmignęła mu koło twarzy. - Do mnie! Na ławkę! Natychmiast!

- Ale... - próbuje chłopak.

- Do mnie! - nie ustępuje Neil. - Grzejesz ławę!

Arthur ze spuszczoną głową potulnie schodzi z boiska, a jego miejsce zajmuje J.J. Fiddler. Parę dni potem Nick Trzaskos traci swoją szansę, gdyż w pięciu próbach nie potrafi wykonać dobrego skrót. Czerwony jak burak zajmuje miejsce na ławce.

Kolejnym przeciwnikiem drużyny z Bangor będzie Machias, zwycięzca grupy obejmującej hrabstwa Aroostook i Washington. W tej fazie rozgrywek liczą się dwa wygrane z trzech meczów, a najlepszy zespół zdobywa miano mistrza grupy trzeciej. Pierwsze spotkanie odbędzie się w Bangor, na tyłach rozlewni coca-coli, drugie - w Machias na Bob Beal Field. Ostatni mecz, jeśli okaże się potrzebny, zostanie rozegrany na neutralnym terenie, gdzieś między obydwoma miastami.

Jak obiecał Waterman, nastawienie trenerów zmienia się radykalnie, gdy odegrano hymn i sędzia ogłasza początek pierwszego meczu.

- Nic się nie stało! Grać dalej! - krzyczy Dave Mansfield, gdy Arthur Dorr nie wyłapuje odbicia na prawo i piłka ląduje za nim. - Autować! Grać z brzucha! Po prostu autować! - Nikt nie wie dokładnie, co znaczy "grać z brzucha", lecz wszyscy pilnie słuchają, skoro to ma zapewnić zwycięstwo.

Trzeci mecz z Machias nie będzie potrzebny. W pierwszym Matt Kinney rzuca jak automat i ustala wynik na 17-5 dla Bangor. Wygrać drugi jest nieco trudniej, głównie ze względu na kiepską pogodę. Letnia ulewa powoduje przełożenie spotkania, a to oznacza, że zawodnicy z Bangor jeszcze raz muszą odbyć podróż do Machias, by walczyć o tytuł. Mecz rozgrywają dwudziestego dziewiątego lipca. Drugi miotacz, Mikę Pelkey wyjeżdża wraz z rodzicami do Orlando, do Disney Worldu, przez co drużyna traci trzeciego zawodnika, lecz

Owen King spokojnie zajmuje jego miejsce i pozwala rywalom odbić zaledwie pięć razy, autując ośmiu pałkarzy. Zmęczony, w szóstej zmianie wpuszcza Mike'a Arnolda. Bangor wygrywa 12-1 i jest nowym mistrzem grupy trzeciej.

W takich chwilach zawodowcy wracają do klimatyzowanej szatni i leją sobie na głowy strugi szampana. Gracze Bangor jadą do "Helen's", najlepszej (a może jedynej) restauracji w Machias, by uczcić zwycięstwo hot dogami, hamburgerami, galonami pepsi-coli i górą frytek. Patrząc na roześmianą i hałaśliwą gromadkę, strzelającą przez słomki kulkami ze zwiniętych papierowych serwetek, nie sposób się oprzeć refleksji, iż może już wkrótce odkryją mniej beztraskie sposoby świętowania.

Na razie wszystko jest w porządku - wręcz cudownie. Nikt niepotrzebnie nie chełpi się sukcesem, wszyscy są po prostu szczęśliwi, niewiarygodnie szczęśliwi i... razem. Nawet jeżeli tego lata zostali zaczarowani, nic nie wiedzą i nikt jak dotąd nie był na tyle okrutny, by im o tym powiedzieć. Na razie mają świadomość, że mogą do woli korzystać ze smażonych przysmaków kuchni "Helen's". To wystarczy. Wygrali grupę; mistrzostwa stanu, podczas których bogatsze i lepsze drużyny z gęściej zaludnionych obszarów na pewno im dadzą popalić, rozpoczynają się dopiero za tydzień.

Ryan Larrobino zmienił się w cysterne. Arthur Dorr wysmarował keczupem cały policzek. A Owen King, który siał popłoch wśród pałkarzy z Machias, potężnym zamachem ramienia rzucając szybkie piłki przy stanie 2-0, bulgocze słomką w kubku pepsi. Nick Trzaskos, najniezwyklejszy chłopak świata, gdy rzeczy dzieją się nie po jego myśli, dziś promienieje niekłamaną radością. Czemu nie? Jest ich przecież dwunastu i wszyscy są zwycięzcami.

Czasem nie dają o sobie zapomnieć. Za pierwszym razem, po odwołaniu meczu z powodu deszczu, gdzieś w połów drogi powrotnej J.J. Fiddler zaczyna się wiercić na tylnym siedzeniu samochodu.

- Muszę wysiąść - mówi. Przyciska ręce do podołka i dodaje rozpaczliwie: - Naprawdę muszę. Tym razem to poważna sprawa.

- J.J. zaraz to zrobi! - ze śmiechem woła Joe Wilcox. - Patrzcie! Zatopi samochód!

- Zamknij się, Joey - mruczy J.J. i dalej się wierci.

Wybrał najmniej odpowiedni moment na swą deklarację. Między Machias i Bangor ciągną się osiemdziesiąt cztery mile pustkowia. Brak nawet kępy drzew, wśród których mógłby zniknąć za potrzebą. Po obu stronach prostej jak drut szosy 1A rozpościerają się płaskie łąki.

W chwili gdy pęcherz J.J. jest gotów do ogłoszenia DEF-CON 1, w polu widzenia pojawia się stacja paliw. Pomocnik trenera zjeżdża pod dystrybutor, a J.J. wpada do toalety.

- Kurczę! - mówi, odgarniając włosy z oczu, gdy wraca do samochodu. - Niewiele brakowało!

- Masz mokre spodnie - niedbale odpowiada Joe Wilcox i wszyscy skręcają się ze śmiechu, kiedy J.J. pochyla głowę, by to sprawdzić.

Dzień później, podczas kolejnej podróży do Machias, Matt Kinney odkrywa główną atrakcję, jaką magazyn People przygotował dla graczy Małej Ligi.

- Na pewno jest - mówi i powoli kartkuje egzemplarz znaleziony na tylnym siedzeniu. - Drukują to w prawie każdym numerze.

- Co? Czego szukasz? - pyta Kevin Rochefort, z trzeciej bazy, zaglądając koledze przez ramię. Matt obojętnie mija zdjęcia polityków i artystów.

- Reklamy środków na większy biust - wyjaśnia. - Nie widać wszystkiego, ale wystarczy. O, jest! - Z triumfem unosi czasopismo.

Cztery głowy w czerwonych baseballowych czapkach natychmiast pochylają się nad zdjęciem. Przez kilka chwil żaden z chłopców nie myśli o meczu.

W osiemdziesiątym dziewiątym roku stanowe mistrzostwa Małej Ligi rozpoczynają się w Maine trzeciego sierpnia, miesiąc po pierwszych eliminacjach. Pięć drużyn, z pięciu części stanu, zjeżdża do Old Town, gdzie odbędą się wszystkie mecze. Wspomniana piątka to Yarmouth, Belfast, Lewiston, York i Bangor West. Wszystkie kluby, z wyjątkiem Belfastu, są większe od Bangor, a i Belfast podobno dysponuje tajną bronią. Ich główny miotacz ma być "cudownym dzieckiem" turnieju.

Nadanie tytułu "cudownego dziecka" wiąże się z całym ceremoniałem, twardo opierającym się wszelkim próbom zrezygnowania z tej tradycji. Chłopak, który chcąc nie chcąc jest nazywany odtąd "Kid Baseball", nagle wpada w wir ogólnego zainteresowania i jest obiektem dyskusji, ocen i oczywiście porównań. Musi się także pogodzić z uczestnictwem w przed-turniejowych imprezach. Mistrzostwa Małej Ligi są stresujące dla wszystkich młodocianych zawodników; ten, który po przybyciu na miejsce zawodów odkrywa, że w tajemniczy sposób stał się chodzącą legendą, z reguły nie wytrzymuje obciążenia.

W tym roku głównym tematem rozmów i plotek jest lewo-ręczny miotacz Belfastu, Stanley Sturgis. W dwóch spotkaniach zaliczył trzydzieści strajkautów - czternaście w pierwszym, szesnaście w drugim. Zdumiewający wynik w każdej lidze, lecz dla pełnego zrozumienia niezwykłych wyczynów Sturgisa warto przypomnieć, że mecze Małej Ligi mają jedynie po sześć zmian. To znaczy, iż osiemdziesiąt trzy procent autów drużyny Belfastu było zasługą miotacza.

Kolej na York. Wszystkie drużyny przyjeżdżające na stadion Knights of Columbus w

Old Town mogą poszczycić się znakomitymi osiągnięciami, lecz York, wciąż bez porażki, dla wielu jest głównym kandydatem na awans do turnieju Okręgu Wschodniego. Żaden z graczy nie góruje posturą, lecz kilku ma ponad pięć stóp i dziesięć cali wzrostu, a ich najlepszy miotacz, Phil Tarbox, potrafi cisnąć piłkę z szybkością siedem-dziesięciu mil na godzinę - rzadkość w Małej Lidze. Ci z Yarmouth, Belfastu i Yorku noszą jednolite, specjalnie na tę okazję zakupione dresy i korki, przez co przypominają prawdziwych zawodowców.

Gracze z Bangor i Lewistonu są muflami - ubrani w stroje różnego koloru i kroju, upstrzone naszywkami sponsorów. Owen King chodzi w pomarańczowym dresie z napisem

“Elks”, Ryan Larrobino i Nick Trzaskos na czerwono reklamują Bangor Hydro, Roger Fisher i Fred Moore połyskują zielenią Lions, i tak dalej. Zespół Lewistonu wygląda podobnie, choć ktoś przynajmniej dał im jednakowe buty i getry. W porównaniu z nimi zawodnicy Bangor, wystrojeni w różnorakie, grube skarpety i znoszone trampki, prezentują się dość ekscentrycznie. Na tle innych drużyn przypominają ubogich krewnych. Nikt, z wyjątkiem własnych trenerów, nie traktuje ich zbyt poważnie. W artykułach lokalnej prasy więcej miejsca zajmują Sturgis i Belfast niż cały Bangor.

Dave, Neil i Święty, dziwny, ale zdumiewająco efektywny trust mózgow, który dowiózł drużynę tak wysoko, w milczeniu obserwuje trening chłopców z Belfastu. Dzieciaki wyglądają buńczucznie w nowych, czerwono-białych dresach - dopiero dziś brudzonych piaskiem pokrywającym wewnętrzne pole gry. W końcu Dave mówi:

- Dotarliśmy aż tutaj. To dużo. I nikt nam tego nie odbierze.

Bangor West jako zespół z tego samego regionu co tegoroczny gospodarz turnieju nie bierze udziału w rozgrywkach, póki dwie najsłabsze drużyny nie wrócą do domu. To tak zwana “runda pierwszych pożegnań”, a dla graczy z Bangor największa, może jedyna szansa na osiągnięcie lepszego miejsca. We własnej grupie spisywali się bez zarzutu (z wyjątkiem słabego meczu w Hampden), lecz Dave, Neil i Święty mają wystarczająco wiele rozsądku, by wiedzieć, iż tym razem patrzą na całkiem inny baseball. Potwierdza to ich milczenie, gdy stoją za siatką, przypatrując się trenującym zawodnikom z Belfastu.

Dla kontrastu York już od razu zamówił komplet odznak z symbolem grupy czwartej. Wymiana proporczyków, breloczków i znaczków należy do tradycji mistrzostw okręgu, więc decyzja trenerów Yorku wyraźnie zdradza ich oczekiwania. Są pewni, że ich drużyna zagra w Bristolu wśród najlepszych zespołów Wschodniego Wybrzeża. Są pewni, że nie powstrzyma ich Yarmouth ani Belfast z cudownym mańkutem, ani Lewiston, który zwyciężył w drugiej grupie po wyjściu z dołka, w jaki wpadł w pierwszym meczu przegranym 15-12. A najmniej obawiają się czternastu przebierańców z zachodniej części Bangor.

- Przynajmniej mamy szansę zagrać - mówi Dave. - Zrobimy wszystko, by zapamiętali, że tu byliśmy.

Lecz najpierw Belfast i Lewiston mają swoją szansę. Boston Pops wyśpiewują z płyty słowa hymnu, miejscowy pisarz o pewnej sławie rzuca obowiązkową pierwszą piłkę (która po długim i nierównym locie grzęźnie w siatce) i mecz może się zacząć.

Dziennikarze sportowi lokalnych gazet zużyli beczkę atramentu na rozważania o możliwościach Stanleya Sturgisa, lecz nie wolno im wejść na boisko po rozpoczęciu spotkania (wielu nadal uważa, że to niedopatrzenie wynika z błędu w przepisach). Z chwilą gdy sędzia główny wzywa drużyny do gry, Sturgis jest zdany wyłącznie na siebie. Fachowcy, uczeni w piśmie i cała rozgrzana do czerwoności liga Belfastu zostaje po drugiej stronie ogrodzenia.

Baseball należy do gier zespołowych, lecz w środku każdego boiska staje samotny zawodnik z piłką, a przed nim - rywal z pałką. Ten z pałką co chwila się zmienia, lecz miotacz musi wytrwać do końca - chyba, że już nie ma siły rzucać. Dziś Stan Sturgis odkrywa gorzką prawdę każdego turnieju: nawet "cudowne dziecko" wcześniej czy później musi znaleźć pogromcę.

Sturgis w ostatnich dwóch meczach wystrajkował trzydziestu pałkarzy, lecz to miało miejsce w grupie drugiej. Teraz przychodzi mu stawić czoło twardzielom z okolic Lewistońskiej Elliot Avenue, a to całkiem odmienny gatunek graczy. Nie tak wysocy jak chłopcy z Yorku i mniej wyszkoleni technicznie od Yarmouth, ale waleczni i uparci. Już pierwszy pałkarz, Carlton Gagnon, odzwierciedla zadziorność drużyny. Odbija na środek, zdobywa pierwszą bazę, kradnie drugą, po skróconym odbiciu kolejnego pałkarza dobija do trzeciej i na hasło rzucone z ławki kradnie domową. W trzeciej zmianie, gdy wynik brzmi 1-0, Gagnon znów jest na pierwszej, tym razem po błędzie obrońców. Na pałkę wchodzi Randy Gervais, spada wystrajkowany, lecz przedtem, gdy łapacz nie chwyta piłki, Gagnon biegnie do drugiej i kradnie trzecią. Zdobywa kolejny punkt po krótkim, autowanym odbiciu Billa Paradisa.

Belfast na krótko budzi się w czwartej zmianie, zalicza punkt, lecz końcówka należy do graczy Lewistonu, którzy w piątej mają dwa pełne obiegi, a w szóstej - cztery. Wynik ostateczny - 9-1. Sturgis wystrajkował jedenastu, lecz także pozwolił pałkarzom siedem razy odbijać, a miotacz Lewistonu, Carlton Gagnon, wystrajkował ośmiu przy trzech odbiciach.

Sturgis schodzi z boiska smutny, choć odprężony. Koniec związanej z nim histerycznej euforii. Może spokojnie porzucić łamy gazet i stać się ponownie dzieckiem. Z jego miny wyraźnie widać, że zna dobrą stronę tej sytuacji.

Później, w prawdziwym starciu gigantów, mocno faworyzowany York wygrywa z

Yarmouth. Wszyscy wracają do domów (a w przypadku przyjezdnych drużyn do moteli i zaprzyjaźnionych rodzin). Bangor West gra jutro, w piątek, a zwycięzca meczu spotka się z Yorkiem.

Piątek jest upalny, zamglony i zachmurzony. Deszcz wisi w powietrzu od świtu, a na godzinę przed zaplanowanym początkiem spotkania drużyn z Bangor i Lewistonu rzeczywiście zaczyna padać. Strugi wody wałą o ziemię. Gdy coś takiego zdarzyło się w Machias, mecz został natychmiast odwołany. Tu nie. Odmienne boisko - wewnętrzne pole gry pokrywa trawa, nie piasek - lecz prawdziwy powód jest całkiem inny. Chodzi o telewizję. W tym roku, po raz pierwszy w historii rozgrywek, dwie stacje chcą wspólnymi siłami nadać obszerną relację z turnieju w sobotnich wiadomościach sportowych transmitowanych na obszar całego stanu. Jeśli półfinał między Bangor i Lewistonem uległby przesunięciu, zepsułoby to cały harmonogram, a nawet w Maine i w najbardziej amatorskim sporcie nikt nie neguje potęgi mediów.

Gracze obu drużyn gromadzą się pod stadionem. Siedzą w samochodach lub chodzą w małych grupach po obszernym pasiastym namiocie, gdzie mieści się centrum informacyjne. Czeka na zmianę pogody. Czeka. Czeka. Rzecz jasna, nie potrafią opanować niecierpliwości. Niektórzy, nim przejdą na sportową emeryturę, zdążą zagrać w wielu ważniejszych meczach, lecz teraz są u szczytu dotychczasowej kariery; na-pompowani do maksimum.

Ktoś w końcu idzie po rozum do głowy i po kilku szybkich telefonach dwa szkolne autokary, połyskujące żółto w kroplach deszczu, zajeżdżają na dziedziniec pobliskiego Elks Club, by zabrać całą dzieciarnię na wycieczkę do Old Town Canoe Company i do miejscowej papierni Jamesa Rivera. (The James River Corporation wykupiło najwięcej czasu reklamowego w przewidywanej transmisji telewizyjnej). Gracze nie wyglądają na zbyt szczęśliwych, gdy przychodzi im zająć miejsca w auto-karach; kiedy wracają, też nie są wcale weselsi. Każdy ściska maleńkie wiosło wielkości dobrze zbudowanego elfa. Pamiątka z wytwórni łódek. Chłopcy nie bardzo wiedzą, co zrobić z podarunkami, lecz kiedy sprawdzam później, autokary są puste. Wioselka zniknęły, podobnie jak proporczyki na meczu Bangor - Millinocket. Darmowy prezent - dobry interes.

Wszystko wskazuje na to, że mecz jednak się zacznie. W pewnej chwili - w czasie gdy zawodnicy Małej Ligi podziwiali sprawność ludzi i maszyn przerabiających drzewa na papier toaletowy - przestało padać. Osuszono boisko, na wzgórkach miotacza i w miejscu wybiecia rozsypano quickdry, a koło trzeciej po południu zza chmur wyrzało zamglone słońce.

Gracze z Bangor wracają z wycieczki posępni i oklapnięci. Nikt jeszcze nie rzucił piłką, nie machnął pałką ani nie dobiegł do bazy, lecz wszyscy sprawiają wrażenie mocno

zmęczonych. Smętnie człapią w stronę boiska; rękawice dyndają im na końcach palców. Idą niczym straceńcy i zachowują się jak straceńcy.

Zamiast wykładu Dave zbiera całą grupę i zaczyna swobodną rozgrzewkę. Po chwili słysząc śmiechy, kocią muzykę, ktoś próbuje sięgnąć do dziwnie rzuconej piłki, rozległy się jęki i głośne pohukiwania, gdy Dave krzyczy "błąd!" i kolejnego gracza odsyła na koniec kolejki. Tuż przed końcem zabawy, gdy Dave chce oddać chłopców w ręce Świętego i Neila, by poćwiczyli odbicia, Roger Fisher wybiega z szeregu i pochyla się nisko z rękawicą przyciśniętą do brzucha. Dave z zatroskaną miną podbiega do niego. Pyta, czy coś się stało.

- Nie - odpowiada Roger. W jego ciemnych oczach wyraźnie widać napięcie. - Po prostu chciałem to zerwać.

Pochyla się jeszcze niżej, gmera palcami w trawie, po czym wyciąga dłoń w stronę Dave'a. Trzyma czterolistną koniczynę.

W turniejach Małej Ligi "gospodarza" spotkania losuje się przez rzut monetą. Dave w takich chwilach miewa niesamowite szczęście, lecz tym razem przegrywa i zawodnicy z Bangor wchodzą na boisko jako "goście". Czasem pech wychodzi na dobre i tak właśnie dzieje się dzisiaj. Głównie za sprawą Nicka Trzaskosa.

Umiejętności wszystkich graczy znacznie wzrosły w ciągu minionych sześciu tygodni, lecz w paru przypadkach można mówić o zmianie cech charakteru. Nick zwykle zajmował dość odległe miejsce w porządku startowym, choć potrafił dość niezłe grać w obronie i niezłe spisywał się jako pałkarz; strach przed przegraną paraliżował mu ruchy. Krok po kroku zdobywał coraz więcej pewności siebie, aż w końcu Dave uznał, że dziś może jako pierwszy stanąć na pałce.

- Chłopak wreszcie zrozumiał, że koledzy z zespołu nie będą mu dokuczać, jeśli zgubi piłkę lub zostanie wyautowany - mówi St Pierre.

U dzieciaka takiego jak Nick to ogromna przemiana.

Przy trzecim narzucie Nick odbija głęboko w zapole. Piłka leci szybko, coraz wyżej, i niknie za ogrodzeniem, nim środkowy obrońca ma szansę dogonić ją wzrokiem, nie mówiąc o złapaniu. Nick mija drugą bazę, zwalnia i biegnie truchtem, tak dobrze znanym z telewizji. Kibice zgromadzeni za siatką mają okazję podziwiać rzadki widok: chłopak się śmieje. Gdy dociera do bazy domowej i wpada w ramiona uszczęśliwionych kolegów, wybucha niepowstrzymanym chichotem. Wraca na ławkę, gdzie Neil wita go serdecznym klepinięciem w plecy, a Dave - krótkim, gorącym uściskiem.

W pełni osiągnął to, co Dave próbował zrobić podczas rozgrzewki; gracze przestali przysypiać i są gotowi do walki. Matt Kinney pozwala odbić Carlowi Gagnonowi, temu, który

wydatnie przyczynił się do porażki Stanleya Sturgisa. Gagnon przechodzi na drugą po skróconym odbiciu Ryana Strettona, zdobywa trzecią przy złym narzucie, a przy kolejnym wpada na domową. Powtórka sytuacji z meczu z Belfastem. Kinney ma nieco kłopotów z celnością, lecz rzuca na tyle dobrze, by nie pozwolić przeciwnikom na zyskanie kolejnych punktów. Drużyna z Lewistonu jest w niewygodnej sytuacji, gdyż w drugiej zmianie pierwsi na pałkę wchodzi gracze Bangor.

Owen King zalicza pierwszą bazę; Arthur Dorr idzie za jego przykładem. Mikę Arnold rusza do ataku po skrócie, łapacz Lewistonu, Jason Auger, podnosi piłkę z ziemi i rzuca na oślep w stronę bazy. Niecelnie. King korzysta z błędu obrońców, zdobywa punkt i Bangor znów jest na prowadzeniu: 2-1. Joe Wilcox odbija w pole wewnętrzne; wszystkie bazy zajęte. Nick Trzaskos po raz drugi staje naprzeciw Matta Noyesa, lecz spada wystrajkowany. Następny jest Ryan Larrobino. W poprzednim wejściu nie odbił, lecz teraz spisuje się znacznie lepiej. Przy pierwszym narzucie trafia w piłkę, co daje grandslam home run. Nim mija półtorej zmiany, Bangor West prowadzi 6-1.

Czterolistna koniczyna pomaga zawodnikom Bangor do szóstej zmiany. Gdy Lewiston wchodzi na pałkę - po raz ostatni, jak myślą widzowie - wynik brzmi 9-1. Zaczyna Carlton Gagnon. Po błędzie obrony zdobywa bazę. Następny pałkarz, Ryan Stretton, po błędzie obrony zdobywa bazę. Rozradowani do tej pory kibice Bangor zaczynają się niepokoić. Trudno przegrać przy ośmiopunktowym prowadzeniu, lecz czasem się udaje. Ci z północnych rejonów Nowej Anglii widzieli to nawet dość często, na meczach Red Soxów.

Bili Paradis dolewa oliwy do ognia, odbijając na środek zapola. Gagnon i Stretton zaliczają punkty. Jest 9-3, biegacz na pierwszej, bez autów. Kibice Bangor wiercą się niecierpliwie i spoglądają po sobie. "To chyba niemożliwe, żeby spaskudzić tak dobry mecz w ostatniej zmianie?" - pytają wzrokiem. Odpowiedź brzmi: "Możliwe, a jakże". W Małej Lidze wszystko może się zdarzyć, i zazwyczaj zdarza.

Lecz nie tym razem. Lewiston zdobywa czwarty punkt i koniec. Noyes, który trzykrotnie spadał wystrajkowany przez Sturgisa, gdyż machał pałką niemal przy każdym narzucie, teraz robi to samo. Pierwszy aut. Łapacz Lewistonu, Auger, odbija pierwszą piłkę wprost do stopera, Rogera Fishera. Roger nieco wcześniej nie wylapał odbicia Carla Gagnona, lecz tym razem chwyta bez trudu, podaje do Mike'a Arnolda, a ten z kolei do Owena Kinga na pierwszej. Auger biegnie powoli, a Owen ma długi zasięg ramion. Podwójny aut 6-4-3 kończy spotkanie. Rzadko można oglądać taką zagrywkę w miniaturowym świecie Małej Ligi, gdzie odległości między bazami nie przekraczają sześćdziesięciu stóp, lecz trzeba pamiętać, że Roger właśnie dziś znalazł czterolistną koniczynę. Jeśli ktoś szuka zadowalającego wyjaśnienia, to

takie będzie chyba najlepsze. W każdym razie, Bangor West wygrywa mecz 9-4.

Jutro nadciągną giganci z Yorku.

Piątego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku już tylko dwudziestu dziewięciu chłopców ze stanu Maine uczestniczy w rozgrywkach Małej Ligi - czternastu z Bangor West i piętnastu z Yorku. Dzień jest dokładnym powtórzeniem poprzedniego: upalny, zamglony i mokry. Mecz zaplanowano na wpół do pierwszej, lecz o jedenastej wszystko wskazuje na to, że początek meczu ulegnie - musi ulec - przesunięciu. Z nieba płyną na ziemię kaskady wody.

Dave, Neil i Święty nie chcą kusić losu. Żaden z nich nie był zadowolony z nastroju, w jakim drużyna wracała z wczorajszej zaimprovizowanej wycieczki, i nie mają ochoty na powtórkę. Nikt też nie zamierza ufać w dobroczynną moc rozgrzewki lub czterolistnej koniczyny. Skoro mecz będzie - a telewizja po-trafi postawić na swoim, niezależnie od pogody - gra pójdzie o wysoką stawkę. Zwycięzcy pojedą do Bristolu; przegrani wrócą do domu.

Zebrana naprędce kawalkada samochodów i mikrobusów, pod dowództwem trenerów i paru rodziców, wiezie drużynę dziesięć mil na północ, do przypominającej oborę letniej hali treningowej uniwersytetu Maine. Neil oraz Święty wyciskają z chłopców siódme poty. Dave załatwił, by zespół Yorku także mógł potrenować, więc w chwili, gdy gracze z Bangor znikają w deszczu, na halę wkraczają ich przeciwnicy, ubrani w nieskazitelnie czyste, niebieskie dresy.

Okolo trzeciej ulewa zmienia się w drobną mżawkę, a obsługa boiska dokłada wszelkich starań, by doprowadzić murawę do porządku. Wokół wzniesiono kilka prowizorycznych platform, na których mają stanąć kamery. Na pobliski parking wjeżdża olbrzymi wóz transmisyjny z wymalowanym na boku napisem MAINE BROADCASTING LIVE REMOTE. W je-go wnętrzu nikną grube pęki kabli oraz przewodów biegnących od kamer i stanowiska spikera. Za otwartymi drzwiami widać migoczącą ścianę monitorów.

York jeszcze nie wrócił z treningu. Po lewej stronie boiska gracze Bangor bawią się przerzucaniem piłki, bardziej po to, by mieć co robić, niż z rzeczywistej potrzeby; po ciężkiej godzinie spędzonej w uniwersyteckiej hali są dostatecznie rozgrzani. Kamerzyści stoją na platformach i obserwują krzątanie porządkowych.

Zapole jest w niezłym stanie, quickdry pokrywa równo zgrabioną część pola wewnętrznego. Najgorzej wygląda część między wzgórkami miotacza i bazą domową. Zaorano ją i obsiano tuż przed turniejem, więc trawa nie miała dość czasu, by dobrze zapuścić korzenie i zapewnić naturalny drenaż. W efekcie tuż przed miejscem wybicia utworzyło się błotniste bajoro, sięgające mackami w stronę trzeciej bazy.

Ktoś wpada na pomysł - dobry, jak się okazuje - by usunąć dużą połać rozmięklej darni.

Gdy to zostaje zrobione, ciężarówka z liceum w Old Town przywozi dwa przemysłowe dreny typu Rinsenvac. Pięć minut później porządkowi do-słownie "odkurzają" z wody podłoże boiska. Pomaga. O trzeciej dwadzieścia pięć kawałki darni zostają ułożone z powrotem niczym fragmenty ogromnej zielonej łamigłówki. O trzeciej trzydzieści pięć miejscowa nauczycielka muzyki, z akompaniamentem gitary akustycznej, porywająco śpiewa "Gwiazdzisty Sztandar". O trzeciej trzydzieści siedem Roger Fisher nieoczekiwanie dla wszystkich zastępujący nieobecnego Mike'a Pelkeya wchodzi na wzgórek miotacza, by wykonać kilka próbnych narzutów. Czemu nie King lub Arnold? Może jego wczorajszy występ zaważył na decyzji Dave'a? Dave tylko przykłada palec do nosa i uśmiecha się tajemniczo.

O trzeciej czterdzieści wchodzi sędzia.

- Piłka w obieg - mówi do łapacza.

Joey posłusznie spełnia polecenie. Mikę Arnold autuje rękawicą wyimaginowanego biegacza, po czym podaje dalej. Piłka wędruje w szybką podróż po bazach. Widzowie, siedzący przed telewizorami od New Hampshire po nadmorskie prowincje Kanady, patrzą, jak Roger nerwowo obciąża rękawy zielonej bluzy i grubego szarego podkoszulka. Owen King rzuca mu piłkę z pierwszej bazy. Fisher chwytą ją i opiera rękawicę o biodro.

- Gramy! - oświadcza sędzia.

Już od półwiecza podobna komenda rozbrzmiewa na boiskach Małej Ligi. Dań Bouchard, łapacz Yorku i rozpoczynający pałkarz, staje w polu wybicia. Roger za chwilę rzuci pierwszą piłkę w meczu o tytuł mistrza stanu za rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewięć.

Pięć dni wcześniej.

Dave i ja zabieramy wszystkich miotaczy Bangor do Old Town. Dave chce ich zapoznać z warunkami panującymi na

tamtejszym boisku. Bez Mike'a Pekleya jadą: Matt Kinney (dopiero za cztery dni odniesie triumf w meczu z Lewistonem), Owen King, Roger Fisher i Mikę Arnold. Jest z nami też łapacz, J.J. Fiddler. Na miejsce dobijamy dość późno i w czasie gdy cała czwórka ćwiczy narzuty, siadam obok Dave'a na ławce rezerwowych i patrzę na murawę błyszczącą w wolno gasnących promieniach letniego słońca.

Na wzgórkach Matt Kinney szerokim łukiem ciska jedną piłkę za drugą. Po przeciwnej stronie boiska przysiedli trzej pozostali. Skończyli swoją turę i gawędzą z kilkoma innymi graczami, którzy postanowili towarzyszyć nam w wycieczce. Choć docierają do mnie tylko urywki zdań, wiem, że mówią przede wszystkim o szkole - ów temat powraca coraz częściej w ostatnim miesiącu letnich wakacji. Rozprawiają o starych i nowych sprawach, wracają

wspomnieniami do zdarzeń, które stanowią istotną część ich młodego życia: opowiadają o nauczycielce, która na kilka tygodni przed końcem roku szkolnego stała się mniej surowa, gdyż jej najstarszy syn został ranny w wypadku samochodowym; o zwariowanym wykładowcy gramatyki (z opisu wynika, że jest złowrogą kombinacją Jasona, Freddy'ego i Leatherface'a); o fizyku, który podobno kiedyś tak mocno pchnął jednego z uczniów o szafkę, że chłopak stracił przytomność, i o świetliczance, która zawsze daje na lunch, jeśli ktoś zapomni wziąć forsy z domu lub powie, że zapomniał. Mity piątoklasistów obdarzone przemożną siłą i z lubością przywoływane w zapadającym zmierzchu.

Mknąca środkiem boiska piłka przypomina białą smugę. Matt porusza się w hipnotycznym rytmie: zamach, wykrok, narzut. Zamach, wykrok, narzut. Zamach, wykrok, narzut. Piłka z trzaskiem ląduje w rękawicy Fiddlera.

- Co będą z tego mieli? - pytam Dave'a. - Co zabrają ze sobą do domu, gdy rozgrywki dobiegną końca? Zastanawiałeś się kiedyś, czy odczują jakąś różnicę?

Na twarzy Dave'a pojawia się zaskoczenie. Milczy przez chwilę, po czym spogląda na Matta i mówi z uśmiechem:

- Zabiorą siebie. Nawzajem.

Nie oczekiwałem takiej odpowiedzi. W dzisiejszej gazecie czytałem artykuł o Małej Lidze - jedno z tych "problemowych" rozważań wciśniętych w śmietnik ogłoszeń, gdzieś między nekrologami a horoskopem. Chodziło w nim o wyniki badań socjologicznych, prowadzonych wśród graczy w ciągu całego sezonu. Autor testu chciał ustalić, czy Mała Liga na-prawdę spełnia swe zasadnicze zamierzenia; czy uczy dawnych amerykańskich wartości, takich jak szczerowość, pracowitość i współdziałanie. Badania wykazały, że po części tak jest istotnie. Lecz jednocześnie, w prywatnym życiu każdego z graczy zmieniło się bardzo niewiele. Najgorszy uczeń nadal sobie nie radził z nauką po rozpoczęciu roku szkolnego; prymus zostawał prymusem; klasowy błazen (czytaj: Fred Moore), który w czerwcu i lipcu rozegrał kilka poważnych meczów, wciąż płatał głupie figle po Dniu Pracy. Oczywiście, zdarzały się odstępstwa od tej reguły: wyjątkowa gra powodowała wyjątkowe zmiany. Lecz trzon pozostawał nie ruszony; z boiska wracali ci sami chłopcy, co przed meczem.

Myszę, że zaskoczenie, z jakim przyjąłem odpowiedź Dave'a, wynikało częściowo z naszej znajomości. Mansfield jest fanatycznym miłośnikiem Małej Ligi. Na pewno czytał wspomniany artykuł i sądziłem, że skorzysta z okazji, by zaprzeczyć opiniom socjologa. Zamiast tego usłyszałem jeden z najbardziej wyświechtanych sportowych banałów.

Matt rzuca coraz mocniej. Odnalazł owo mityczne miejsce przez wszystkich miotaczy zwane "szablonem" i nie ma zamiaru przestać, choć zdaje sobie sprawę, iż jest to tylko

nieformalny trening dla oswojenia się z boiskiem.

Proszę Dave'a, by udzielił mi dodatkowych wyjaśnień, lecz robię to bardzo ostrożnie w obawie, że znów padnie jakiś frazes, w rodzaju: "Sowa nie lata w dzień; zwycięzcy się nie poddają" lub "Gra toczy się do samego końca". Może nawet, uchowaj Boże, jakiś pomruk typu "Hmmmmm, stary".

- Spójrz na nich - z uśmiechem powiada Dave. Z jego miny wnioskuję, że przejrzał moje myśli. - Dobrze się przy-patrz.

Patrzę. Na ławce siedzi sześciu roześmianych i rozgadanych chłopaków, wciąż opowiadających sobie wojenne historie z życia szkoły. Jeden przerywa rozmowę i woła do Kinneya, by mocniej podkręcał. Matt rzeczywiście to robi i piłka szybuje paskudnym, pijanym lotem. Z ławki dobiega głośny wybuch śmiechu.

- Spójrz na tych dwóch. - Dave wskazuje palcem. - Ten pochodzi z dobrej rodziny. Ten nie. - Wpycha do ust kilka

ziaren słonecznika i pokazuje innego. - Albo ten. Urodził się w najgorszej dzielnicy Bostonu. Myślisz, że gdyby nie grał w Małej Lidze, poznałby takich jak Matt Kinney lub Kevin Rochefort? Nie byłby z nimi w tej samej klasie, na przerwach rozmawiałby z kim innym i pewnie w ogóle nie miałby pojęcia, że istnieją.

Matt znów podkręca, tym razem tak ostro, że J.J. nie może złapać. Piłka toczy się aż do siatki, a gdy J.J. rzuca się w pogoń, z ławki dobiegają wesole okrzyki.

- Tu wszystko się zmienia - ciągnie Dave. - Chłopcy trenują razem i razem wygrali eliminacje. Jeden ma bogatych rodziców, inny jest biedny jak mysz kościelna, lecz gdy obaj włożą dresy i przekroczą linię boiska, to wszystko gdzieś zostaje. Podczas meczu nie liczą się stopnie ani to, co robią twoi starzy. Jesteś zdany na siebie i kolegów z drużyny. I wiesz o tym. Cała reszta - Dave macha ręką, jakby odpędzał uprzykrzoną muchę - nie ma żadnego znaczenia. O tym też wiedzą. Jeśli mi nie wierzysz, spójrz na nich, tam znajdziesz najlepszy dowód.

Zerkam na drugą stronę boiska. Mój syn siedzi ramię w ramię z jednym z chłopców, o których wspominał Dave, i rozmawiają o czymś półgłosem. Patrzą na siebie z rozbawieniem, po czym wybuchają donośnym śmiechem.

- Grali razem - powtarza Dave. - Dzień w dzień chodzili na wspólne treningi, a to czasem ważniejsze od meczu. Teraz wystąpią w mistrzostwach stanu. Nawet mają szansę wygrać. Co prawda nie bardzo wierzę, że im się uda, ale to nieważne. Liczy się udział. Nawet jeśli Lewiston znokautuje ich w pierwszej rundzie. Dlaczego? Dlatego, że jest coś, co ich łączy. Boisko. Będą o tym pamiętać. Zapamiętają to uczucie.

- Boisko - powtarzam i nagle, jak za dotknięciem różdżki, wszystko pojmuję.

Dave Mansfield wierzy w ten wyświechtany frazes. Mało tego, on się przyznaje, że wierzy. Wśród zawodowców zakrawałoby to na kpiny, gdyż tam co tydzień któryś z graczy zostaje zdyskwalifikowany ze względu na pozytywny wynik testu antydopingowego, a "naborca" jest równy Bogu. Na szczęście nie mamy do czynienia z główną ligą. Tu Anita Bryant śpiewa hymn przez poobijane głośniki połączone z magnetofonem stojącym przy ławce rezerwowych. Tu, zamiast płacić za wejście na stadion, rzucasz, gdy przyjdzie na ciebie kolej, nieco drobnych do czapki. Rzecz jasna, jeśli masz na to ochotę. Kiedy sezon rozgrywek dobiegnie końca, żaden z tych chłopców nie wyjedzie na Florydę, by grać pokazowe mecze z ociężałymi biznesmenami, nie będzie podpisywał zdjęć na jakimś konwencie fanów ani pokazywał się tu i ówdzie, zgarniając dwa tysiące baksów za jeden wieczór. Uśmiech Dave'a podpowiada wyraźnie, że gdy odrzucić to wszystko, można na nowo uwierzyć w stare sportowe banały. Jak żywi wracają: Red Barber, John Tunis i Kid z Tomkinsville. Dave Mansfield może mówić, że na boisku wszyscy są równi, gdyż wraz z Neilem i Świętym zaszczerpił tę świadomość wśród swoich podopiecznych. Chłopcy są o tym przekonani; widziałem to na ich twarzach, gdy patrzyłem, jak rozmawiają po treningu w Old Town. Chyba właśnie dlatego każdy Dave Mansfield w tym kraju rok po roku wraca do pracy. Łapie darmowy przejazd. Nie do czasów dzieciństwa - to byłoby niemożliwe - lecz do krainy utraconych marzeń.

Dave milczy przez chwilę, myśli, przesypuje przez palce ziarna słonecznika.

- Nie chodzi o zwycięstwo lub porażkę - mówi w końcu. - To przyjdzie później. Teraz liczy się sposób, w jaki będą na siebie patrzeć na szkolnym korytarzu lub w drodze do liceum. Patrzeć i pamiętać. W pewnym sensie wciąż będą drużyną, która w osiemdziesiątym dziewiątym roku wygrała eliminacje mistrzostw stanu. - Patrzy na skrytą w półmroku ławkę, skąd dobiega śmiech Freda Moore'a i Mike'a Arnolda. Owen King też szczerzy zęby, wodząc wzrokiem po twarzach kolegów. - Chodzi o to, byś wiedział, kto jest twoim kumplem z zespołu. Na kim możesz i musisz polegać, nawet gdy nie masz na to ochoty.

Spogląda przez chwilę na rozbawionych chłopców, po czym donośnym głosem woła do Matta, by rzucił jeszcze cztery, pięć razy i kończył trening.

Nie wszyscy trenerzy, którzy wygrywają rzut monetą - co piątego sierpnia po raz szósty w ostatnich dziewięciu meczach stało się udziałem Dave'a Mansfielda - chcą być "gospodarzami" spotkania. Wielu (na przykład trener zespołu z Brewer)

uważa, iż przewaga tak zwanych "gospodarzy" jest czystą fikcją, zwłaszcza podczas finałów, gdzie żadna z drużyn nie gra na własnym, dobrze znanym boisku. Ich zdaniem rola "gości" daje niezaprzeczalną korzyść: na początku każdego meczu dzieciaki są mocno zdenerwowane, więc zespół atakujący dość szybko może osiągnąć przewagę po błędach

miotacza i reszty obrońców. Teoria głosi, że jeśli staniesz na pałce i w ciągu pierwszej zmiany zdobędziesz cztery punkty, zwycięstwo masz w garści, nim gra się zacznie rozkręcać. Quod erat demonstrandum. Dave nigdy nie był zwolennikiem tego poglądu.

- Chcę grać drugi - powiada i koniec dyskusji.

Dziś jednak jest nieco inaczej. Idzie nie tylko o mecz finałowy, lecz także o finał mistrzostw - co więcej, o finał transmitowany przez telewizję. A kiedy Roger Fisher przy pierwszym narzucie długim zamachem wali jakiegoś łamańca i sędzia ogłasza boi, Dave robi minę, jakby nagle zwątpił w słuszność swej decyzji. Roger wie doskonale, że nie powinien zaczynać spotkania - na jego miejscu stałby Mikę Pelkey, gdyby właśnie w tej chwili nie witał Goofy'ego u bram Disney Worldu - lecz w sumie przez całą zmianę rzuca całkiem nieźle; nawet lepiej, niż można się było spodziewać. Cofa się nieco, gdy łapacz, Joe Wilcox, zwraca mu piłkę, obserwuje pałkarza, obciąża rękawy i umiejętnie korzysta z każdej chwili przerwy. Co najważniejsze, pamięta, by piłka lądowała w najniższej części strefy dobrego narzutu. Pałkarze Yorku są napompowani siłą. Jeśli Roger popełni błąd i rzuci na wysokości oczu - zwłaszcza gdy trafi na Tarboxa, który potrafi równie mocno odbijać jak miotać - spotkanie nie potrwa długo.

Z pierwszym pałkarzem przegrywa. Bouchard drobnym truchtem zalicza bazę darmo przy histerycznych wiwatach kibiców Yorku. Następny jest stoper, Philbrick. Odbija po ziemi wprost do Fishera. Roger nie waha się przed decyzją, która może zmienić obraz całego meczu, i podaje na drugą, by wyautować biegacza. W Małej Lidze ta próba najczęściej zawodzi, gdyż źle rzucona piłka leci na środek zapola i biegacz ma otwartą drogę do trzeciej lub stoper przegapia sprawę i zapomina o kryciu. Nie tym razem. St Pierre dobrze wyszkolił chłopców w obronie. Dzisiejszy stoper Bangor, Matt Kinney, jest na właściwym miejscu. Roger rzuca. Philbrick dochodzi do pierwszej, lecz Bouchard spada wyautowany. Tym razem kibice Bangor wrzeszczą z uciechy.

Gra toczy się wartko, co powoduje, że Roger wreszcie zaczyna wierzyć we własne umiejętności. Phil Tarbox, najlepszy pałkarz i niekoronowany król miotaczy w drużynie Yorku, macha pałką nad nisko rzuconym strajkiem i nad ewidentnym bólem.

- Zaraz go dorwiesz, Phil! - krzyczą jego koledzy z ławki. - Nie przywykłeś do tak ślamazarnych narzutów!

Lecz to nie szybkość lecącej piłki sprawia najwięcej kłopotów graczom Yorku; chodzi o tor lotu. Roń St Pierre przez cały sezon piał pean na cześć niskich narzutów, a Roger Fisher - Fish, jak nazywają go chłopcy - okazał się cichym, lecz bardzo pojętym uczniem. Decyzja

Dave'a, by rozpoczął spotkanie, okazuje się trafna, gdy mija połowa pierwszej zmiany i zawodnicy Bangor wchodzą na odbicie. Widzę, że niektórzy, opuszczając murawę, lekko dotykają plastikowego sandałka o niecodziennym imieniu Mo.

Wiarę - kibiców, trenerów, drużyny - można mierzyć na różne sposoby, lecz niezależnie od wyboru skali zwolennicy Yorku mają jej spory zapas. Kibice zawiesili pod tablicą wyników ręcznie wymalowany transparent z ogromnym napisem: YORK JEDZIE DO BRISTOLU, a o przygotowanych i przy-wieszonych plakietkach z symbolem czwartej grupy eliminacyjnej wspominałem już wcześniej. Lecz najlepszym probierzem zaufania, jakim trener Yorku darzy swych podopiecznych, jest wybór miotacza. We wszystkich innych klubach, nie wyłączając Bangor West, panuje zasada, że na pierwszy ogień idzie najlepszy. W myśl starej maksymy: jak nie znajdziesz partnerki, nie wpadniesz na potańcówkę. Jak nie wygrasz eliminacji, nie musisz się martwić o finał. Tylko trener Yorku, dufny w swą mądrość, w meczu z Yarmouth wystawił miotacza numer dwa, Ryana Fernalda. Wygrał o włos, 9-8, lecz wygrał. Pokerowe rozdanie, które dziś może przynieść efekty. Zachował Tarboxa na finał i choć Phil nie jest tak dobry technicznie jak Stanley Sturgis, ma coś, czego brakowało miotaczowi z Belfastu. Po-trafi przestraszyć.

Nolan Ryan, chyba najlepszy miotacz w historii młodzieżowego baseballu, lubi opowiadać o meczu, jaki rozegrał podczas turnieju w Lidze Babe'a Rutha. Pierwszego pałkarza trafił piłką w ramię, łamiąc mu rękę. Drugiemu rozłupał hełm i na kilka sekund pozbawił przytomności. Gdy lekarz zajmował się zamroczonym chłopcem, trzeci pałkarz, błąd jak ściana, podbiegł do swego trenera prosząc, by go skreślono z listy zawodników.

- I wcale go za to nie ganię - dodaje Ryan.

Tarboxowi daleko do Ryana, lecz rzuca mocno i jest w pełni świadom, że brutalność stanowi tajną broń każdego miotacza. Sturgis też jest dość silny, lecz mierzy w dół i na zewnątrz. Gra łagodnie. Tarbox celuje ciasno w górę. Tam właśnie muszą szukać jego piłek zawodnicy z Bangor. Jeśli zdoła ich zdominować, stracą skuteczność i będą mogli z wolna pakować manatki.

Nick Trzaskos nie potrafi powtórzyć odbicia z poprzedniego meczu. Tarbox strajkuje go tak szybką piłką, że Nick aż kuca w polu wybiecia. Z osłupieniem spogląda na sędziego i otwiera usta, by zaprotestować.

- Ani słowa, Nick! - krzyczy z ławki Dave. - Stawaj na miejscu!

Nick milczy posłusznie, lecz jego twarz nabiera dawnego posępnego wyrazu. Gdy w końcu wraca do swoich, z niechęcią wpycha hełm pod ławkę.

Tarbox próbuje z każdym swych sztuczek, więcej respektu ma tylko dla Ryana

Larrobino. Ten ostatni cieszy się zasłużoną sławą, więc miotacz Yorku, choć dumny z własnych umiejętności, woli nie ryzykować. Rzuca dość nisko, po zewnętrznej i w końcu oddaje bazę darmo. Zaczyna celować wyżej, lecz mimo to puszcza Matta Kinneya, który wszedł po Ryanie. Matt, obdarzony znakomitym refleksem, zręcznie unika twardych uderzeń. Nim zostanie nagrodzony pierwszą bazą, Larrobino jest już na drugiej, gdyż jedna z piłek, która ocale minęła nos Kinneya, nie została schwytana przez łapacza. Tarbox na nowo łapie formę i trzema strajkami autuje Kevina Rocheforta oraz Rogera Fishera, co kończy pierwszą zmianę.

Fisher wraca do wolnej i metodycznej pracy, przed każdym narzutem starannie obciąża rękawy, rozgląda się po bazach lub patrzy w niebo, jakby chciał zobaczyć nadlatujące UFO. Przy dwóch zajętych bazach i jednym aucie dobrze rzucona piłka wyskakuje z rękawicy Wilcoxa i ląduje mu pod stopami. Estes, który z początku miał bazę darmo, próbuje się przedrzeć na trzecią. Joe szybko podnosi zgubę i celnie podaje do Kevina Rocheforta. Estes truchtem zbiega z boiska. Dwa auty; w czasie ostatniej akcji Fernald przeszedł na drugą.

Ósmy pałkarz Yorku, Wyatt, odbija w prawo. Piłka toczy się wolno po wilgotnej nawierzchni. Fisher usiłuje ją złapać, King z pierwszej robi to samo. Roger jest szybszy, lecz chwilę później ślizga się po trawie, pada i z piłką w dłoni pełźnie w stronę bazy. Wyatt wyprzedza go bez trudu. Fernald dobiega do domowej po pierwszy punkt meczu.

Zachodzi obawa, że Roger zacznie się łamać. Patrzy na kolegów, po czym starannie ogląda piłkę. Już, już ma rzucać, lecz nagle schodzi z deski. Wyraźnie nie jest zadowolony ze stanu swoich rękawów. Poprawia je, a pałkarz Yorku, Matt Francke, powoli wrasta w pole wybicia. W końcu piłka szybuje w powietrzu. Francke odbija lekko, o ziemię, na trzecią bazę, w kierunku Rocheforta. Kevin podaje do Kinneya, który autuje Wyatta. Jednak to York utoczył pierwszej krwi i po pierwszej połowie drugiej zmiany prowadzi 1-0.

Bangor West nie zdobywa żadnego punktu, lecz Phil Tarbox też nie ma powodów do dumy. Po pierwszej zmianie zbiegał ze wzgórek z wysoko uniesioną głową. Po drugiej schodzi powoli, zasępiony, odprowadzany niespokojnymi spojrzeniami kolegów.

Owen King, który w drugiej zmianie jako pierwszy z drużyny Bangor staje w polu wybicia, nie daje się zastraszyć Tarboxowi, lecz jest większy i znacznie wolniejszy od Matta Kinneya. Po trzech bólach i dwóch strajkach miotacz próbuje zaskoczyć go po wewnętrznej. Piłka sunie w górę i skręca - zbyt mocno. King, trafiony pod pachę, pada na ziemię i przyciska dłoń do stłuczonego miejsca. Jest jeszcze zbyt oszołomiony, by płakać, lecz widać, że go boli. Łzy napływają mu do oczu, choć usiłuje zachować dzielną minę. Przy wzroście sześciu stóp, dwóch cali i wadze ponad dwustu funtów sprawia wrażenie dorosłego, lecz tak naprawdę ma zaledwie dwanaście lat i nie zdołał przywyknąć, by twarda jak kamień piłka tłukła w niego z

prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę. Zmieszany i zaniepokojony Tarbox biegnie ze wzgórką, lecz sędzia, wciąż pochylony nad leżącym zawodnikiem, odgania go niecierpliwym gestem. Śpieszący z boku sanitariusz nawet nie patrzy w stronę miotacza. Co innego kibice. Ci wszystko widzą dokładnie.

- Zdjąć go, nim trafi jeszcze kogoś! - słychać z trybun.

- Może naprawdę zrobić krzywdę! - dobiega z innej strony, jakby trafienie piłką w zębra nie było niczym szczególnym.

- Sędzia, daj mu ostrzeżenie! - pada trzeci okrzyk. - Potraktował chłopaka umyślnie! Niech wie, co za to grozi!

Tarbox spogląda na widzów i choć niedawno w jego oczach malowała się nieugiętość, teraz wygląda jak mocno wystraszony malec. Przypomina Stanleya Sturgisa przed końcem meczu Belfastu z Lewistonem. Wraca na wzgórek i nerwowo stuka piłką o rękawicę.

King tymczasem zdołał już wstać. Zapewnia Watermana, sanitariusza i sędziego, że chce grać dalej, i wolnym truchtem zmierza na pierwszą bazę. Kibice obu drużyn nagradzają go szczerym aplauzem.

Phil Tarbox, który w rzeczywistości nie chciał trafić pierwszego wychodzącego pałkarza, zwłaszcza przy zaledwie jednopunktowej przewadze, jest mocno przejęty i łatwym narzutem częstuje Arthura Dorra. Arthur, jeden z najmniejszych zawodników Bangor, z radością przyjmuje ów nieoczekiwany prezent i odbija głęboko w prawo.

Na trzask odbijanej piłki King rusza z bazy. Biegnie do trzeciej. Wie, że nie zdoła zaliczyć punktu, lecz ma nadzieję, że dzięki tej akcji Arthur dotrze na drugą. Zamiar jest dobry, lecz znów daje o sobie znać rozmiękłe podłoże. Grunt wokół trzeciej bazy wciąż jest mokry. Gdy King próbuje hamować, nogi uciekają spod niego i klapie na tyłek. Piłka trafia do Tarboxa, który nie ryzykuje rzutu; biegnie w kierunku bezradnego Kinga. Najwyższy gracz Bangor bezskutecznie usiłuje dźwignąć się z ziemi, po czym unosi ręce w wyrazistym, wzruszającym geście: "Poddam się". Dzięki śliskiej murawie Bangor ma biegacza na drugiej i jeden aut zamiast biegaczy na drugiej i trzeciej, bez autów. Spora różnica, więc Tarbox odzyskuje nieco pewności siebie i strajkuje Mike'a Arnolda.

Nieco później, przy trzecim narzucie na kolejnego pałkarza, znów zawodzi. Joe Wilcox zostaje trafiony prosto w łokieć. Tym razem gniewne okrzyki kibiców brzmią głośniejsz i natarczywiej. Wielu kieruje swą złość na sędziego, domagając się zdjęcia Tarboxa z boiska. Arbiter, który doskonale rozumie sytuację, nie kwapi się nawet z ostrzeżeniem. Wystarczy mu jeden rzut oka na zbolałą minę miotacza, gdy Wilcox kolebie się do pierwszej bazy, by wiedzieć, że to niepotrzebne. Trener Yorku wychodzi na boisko, chcąc uspokoić Tarboxa i

wyjaśnić mu sytuację: "Miałeś dwa auty oraz otwartą pierwszą bazę. Nie ma sprawy".

Dla Tarboxa jest sprawa. W tej zmianie zdążył już poturbować dwóch chłopców, i to wystarczająco mocno, by zmusić ich do płaczu. Gdyby się tym nie przejął, potrzebowałby chyba pomocy psychologa,

W trzeciej York po trzech udanych odbiciach zdobywa dwa punkty i obejmuje prowadzenie 3-0. Gdyby to wydarzyło się w pierwszej, Bangor byłoby w poważnych tarapatach, lecz teraz gracze są już dobrze rozgrzani i podnieceni rozgrywką. Ani przez chwilę nie dopuszczają myśli o porażce.

Ryan Larrobino wychodzi jako pierwszy pałkarz Bangor. Tarbox jest bardzo ostrożny - zbyt ostrożny. Zaczyna bólem i nietrudno przewidzieć rezultat. Przy stanie dwa-jeden trafia Ryana w ramię. Larrobino robi szybki obrót i wali pałką w ziemię; z bólu, frustracji czy gniewu - nie wiadomo. Pewnie ze wszystkich trzech powodów naraz. Łatwiej odczytać reakcję publiczności. Kibice Bangor zrywają się z miejsc wśród głośnych okrzyków pod adresem Tarboxa oraz sędziego. Po stronie Yorku panuje zdumione milczenie: oczekiwano całkiem innego spotkania. Ryan biegnie do pierwszej bazy i zerka przez ramię na miotacza. Patrzy na niego jedynie krótką chwilę, lecz z jego wzroku można wyczytać wyraźne przesłanie: "Trzeci raz, pysiu. Lepiej, żeby był to ostatni".

Tarbox przez chwilę konferuje ze swym trenerem, potem staje naprzeciw Matta Kinneya. Jego buńczuczność całkiem legła w gruzach, a pierwszy narzut, wykonany niemal na oślep, jest niezbitym dowodem, że ma tyle ochoty na dalszy udział w meczu, co kot na kąpiel w mydlinach. Larrobino bez trudu zdobywa drugą, choć łapacz Yorku, Dan Bouchard, długim podaniem próbuje go wyautować. Tarbox oddaje Kinneyowi bazę darmo. Następnym pałkarzem jest Kevin Rochefort. Po dwóch nieudanych próbach skróconego odbicia zwiera szyki i nie pozwala miotaczowi na dalsze popisy. Znowu baza darmo. Tarbox w ciągu niecałych trzech zmian wykonał już ponad sześćdziesiąt narzutów.

Roger Fisher też doprowadza do stanu trzy-dwa, a Tarbox zaczyna rzucać coraz słabiej; chyba doszedł do wniosku, że nawet jeśli trafi w pałkarza, nie powinien mu zrobić żadnej krzywdy. Fish nie ma dokąd wędrować; wszystkie bazy zajęte. Tarbox wie o tym i z rozmysłem podejmuje ryzyko. Sądzi, że nawet przy mocniejszej piłce Roger będzie stał nieruchomo, spodziewając się kolejnego bola. Nie. Fisher z miną wygłodniałego wilka odbija między pierwszą a drugą bazę. Larrobino dobiega do domowej, zdobywając pierwszy punkt dla Bangor.

Następny jest Owen King, ten, od którego zaczęła się gehenna Phila Tarboxa. Trener drużyny Yorku uważa, iż jego pupil tym razem będzie miał jeszcze mniej szczęścia i decyduje

się go zastąpić. Matt Francke wbiega na wzgórek, a Tarbox zajmuje miejsce łapacza. Z rezygnacją i ulgą kuca za bazą domową, by przyjąć kilka próbnych narzutów. Francke nikogo nie bije, lecz nie potrafi też zatamować krwawienia. Gdy kończy się trzecia zmiana, Bangor West, po zaledwie dwóch dobrych odbiciach, wychodzi na prowadzenie 5-3.

Piąta zmiana. Powietrze staje się szare od wszechobecnej wilgoci, a transparent z napisem YORK JEDZIE DO BRISTOLU ciężko zwisa pod tablicą wyników. Kibice także są ociężali i wyraźnie zaniepokojeni. York jedzie? "Przecież powinien - mówią twarze kibiców - lecz mamy już piątą zmianę i wciąż przegrywamy dwoma punktami. Boże, jak to się stało, że mecz minął tak szybko?"

Roger Fisher wciąż nieźle rzuca, a pod koniec zmiany wszystko wskazuje na to, że Bangor wbije ostatni gwóźdź w trumnę Yorku. Matt Arnold zalicza pierwszą bazę, gdzie zastępuje go wyznaczony na biegacza Fred Moore. Joe Wilcox po skróconym odbiciu wpuszcza Moore'a na drugą. Larrobino posyła piłkę daleko w zapole, Moore zdobywa punkt. Na pałkę wchodzi Matt Kinney. Niecelny narzut pozwala Ryanowi przejść na trzecią, Kinney odbija w ziemię, lecz stoper gubi piłkę i Larrobino dociera do bazy domowej.

Bangor West niepodzielnie włada boiskiem, prowadzi 7-3 i potrzebuje zaledwie trzech autów, by wygrać.

Z początkiem szóstej zmiany Roger Fisher wraca na wzgórek. Wykonał już dziewięćdziesiąt siedem narzutów i jest mocno zmęczony. Widać to zresztą od razu, gdy przy stanie trzy-dwa oddaje bazę darmo wyznaczonemu pałkarzowi Yorku, Timowi Pollackowi. Dave i Neil są zdania, że to wystarczy. Fisher wędruje na drugą bazę, a nowym miotaczem jest Mikę Arnold, który zdążył odbyć krótką rozgrzewkę między zmianami. Na ogół spisuje się nieźle na tej pozycji, lecz dziś ma zły dzień. Napięcie, a może rozmiękły grunt na wzgórku powoduje, że rzuca całkiem inaczej. Co prawda Francke zostaje wyautowany z powietrza, lecz potem Bouchard dostaje bazę darmo, Philbrick odbija za dwie, a Pollack, który zdążył już ruszyć na Fisha, zdobywa punkt. Bouchard staje na trzeciej. Punkt Pol-lacka miałby niewielkie znaczenie, gdyby nie fakt, że biegacze Yorku zajmują drugą i trzecią bazę. Remis wisi w powietrzu. Co więcej, na pałkę wchodzi ktoś, komu bardzo zależy na poprawieniu opinii, gdyż dzięki niemu drużynę Yorku dzielą zaledwie dwa auty od porażki. To oczywiście Phil Tarbox.

Mikę doprowadza do stanu jeden-jeden, po czym ciska szybko, gasnącą piłkę na środek strefy narzutu. Dave Mansfield krzywi twarz i zrozpaczonym ruchem przykładą rękę do czoła, choć Tarbox dopiero zaczyna odbijać. Słysząc ostry trzask towarzyszący najtrudniejszej z baseballowych sztuczek: okrągła pałka trafia w sam środek okrągłej piłki.

Ryan Larrobino pędzi na skraj zapola, lecz robi to całkiem niepotrzebnie. Piłka szybkuje

dobrze dwadzieścia stóp nad ogrodzeniem, uderza w kamerę i wraca na boisko. Ryan patrzy smutno, jak kibice Yorku szaleją z radości, a zawodnicy zrywają się z ławki, by przy bazie domowej powitać Tarboxa. Chłopak w spektakularny sposób odzyskał ich zaufanie. Home run za trzy punkty. Tarbox nie wbiega, lecz skacze na bazę. Na jego twarzy maluje się uduchowiona satysfakcja. Na ramionach kolegów, z rzadka tylko dotykając nogami ziemi, wraca na ławkę.

Kibice Bangor siedzą w milczeniu, oszołomieni nagłą odmianą losu. Wczoraj, podczas spotkania z Lewistonem, przegrana wisiała w powietrzu; dziś zbliża się olbrzymimi krokami. Mo znów przeszło na stronę przeciwników i niektórzy podejrzewają, że na dobre. Dave i Neil rozmawiają z Arnoldem. Mówią mu, żeby grał dalej, rzucał mocniej, i że na razie jest tylko remis, lecz Mikę wciąż wygląda jak kupa nieszczęścia.

Następny pałkarz, Hutchins, odbija kozłem po ziemi w stronę Matta Kinneya i wówczas wyraźnie widać, iż nie tylko Mike jest mocno zdenerwowany. Kinney gubi łatwą piłkę, a Hutchins dobija do bazy. Andy Estes zostaje wyautowany z powietrza przez Rocheforta z trzeciej, lecz Hutchins przechodzi na drugą przy niecelnym narzucie. King wyłapuje odbicie Matta Hoyta; jest trzeci aut i zawodnicy Bangor na razie wychodzą z kłopotów.

W drugiej połowie szóstej zmiany bezskutecznie próbują odzyskać utraconą przewagę. Matt Francke strajkuje jeden- dwa-trzy; wynik nadal brzmi 7-7 i sędzia zarządza dogrywkę.

Mecz z Lewistonem zaczął się przy padającej mżawce, lecz skończył w promieniach słońca. Dziś jest całkiem inaczej. Gdy na początku siódmej zmiany gracze Bangor stają na obronie, niebo robi się coraz ciemniejsze. Dochodzi dopiero szósta po południu, więc mimo wszystko powinno być jasno, lecz na boisko wpełza mgła. Ktoś, kto nie będąc na meczu, znałby jedynie relację telewizyjną, mógłby pomyśleć, że zawiodły kamery; wszystko jest szare, ciężkie i bez wyrazu. Po drugiej stronie boiska mającą pozbawione ciało ręce i głowy kibiców; na zapolu Trzaskos, Larrobino i Arthur Dorr są widoczni jedynie dzięki kolorowym dresom.

Mikę właśnie zamierza wykonać pierwszy narzut w siódmej zmianie, gdy Neil trąca łokciem Dave'a i wskazuje na prawą część zapola. Dave natychmiast prosi o czas i biegnie, by sprawdzić, co jest z Dorrem, który zwiesił głowę tak nisko, że trzyma ją niemal między kolanami.

Arthur z niejakim zdziwieniem spogląda na nadbiegającego trenera.

- Wszystko w porządku - odpowiada na nieme pytanie.

- Więc co, u diabła, wyprawiasz? - nie ustępuje Dave.

- Próbuję znaleźć czterolistną koniczynę - mamrocze Arthur.

Dave ze zdumienia lub z rozbawienia zapomina zmyć mu głowę. Radzi po prostu, żeby

botaniką zajął się po zakończeniu meczu.

Arthur przez chwilę patrzy na gęstniejącą mgłę, po czym wlepia wzrok w Dave'a.

- Potem będzie zbyt ciemno - mówi.

W końcu dochodzą do zgody, mecz może toczyć się dalej, a Mikę Arnold wykonuje niezłą robotę - pewnie dlatego, że trafia na mniej doświadczonych pałkarzy z końca listy. York nie zdobywa żadnego punktu i zawodnicy Bangor, przechodząc do ataku, znów stają przed szansą zwycięstwa.

Prawie im się udaje. Przy dwóch autach i obsadzonych bazach Roger Fisher mocno odbija w prawo, wzdłuż bocznej linii boiska. Jednak Matt Hoyt łapie piłkę i na tym kończy się siódma zmiana.

Z początkiem ósmej Nick Trzaskos z powietrza autuje Philbricka i na pałkę wychodzi Phil Tarbox. Jeszcze nie skończył porachunków z graczami Bangor. Odzyskał pewność siebie; z zawziętą miną patrzy, jak pierwszy narzut Mike'a kończy się strajkiem. W drugiej próbie macha nad zgrabnie podkręconą piłką, która uderza w nagolennik Wilcoxa. Chłopak schodzi na bok, kuca trzymając pałkę między kolanami, i próbuje się skoncentrować. Trener Yorku wyuczył swych chłopców kilku sposobów medytacji przejętych z Dalekiego Wschodu - Francke postępował podobnie, gdy nie wiodło mu się na wzgórkach. Tarbox, z niewielką pomocą Mike'a Arnolda, udowadnia, że to niezła metoda.

Piłka rzucona przez Arnolda skręca ku górze i leci na wysokości oczu pałkarza, dokładnie tam, gdzie nie chcieli jej widzieć Neil i Dave. Tarbox nie marnuje okazji. Mocnym odbiciem posyła ją na lewą stronę środkowej części zapola, daleko za ogrodzenie. Tu nie ma kamer; szary pocisk niknie wśród drzew, a kibice Yorku skandują radośnie:

- Phil! Phil! Phil!

Tarbox okrąża trzecią bazę, biegnie dalej i wyskakuje wysoko w powietrze. Nie staje na domowej - po prostu wgniata ją w ziemię.

Przez chwilę zanoszą się, że to nie koniec. Hutchins zdobywa pierwszą bazę i po błędzie obrońców przechodzi na drugą. Estes sunie za nim, odbijając w stronę trzeciej, a Rochefort, choć łapie piłkę, niecelnie podaje na drugą. Na szczęście Roger Fisher, wspomagany przez Arthura Dorra, ratuje zespół przed utratą kolejnego punktu, lecz York ma biegaczy na pierwszej i drugiej, przy jednym wyautowanym.

Dave woła Owena Kinga, by zajął miejsce miotacza, a Mikę Arnold wędruje na pierwszą. Niecelny narzut pozwala biegaczom przesunąć się na drugą i trzecią. Matt Hoyt odbija po ziemi w stronę Kevina Rocheforta. W przegranej meczu Bangor z Hampdenem Casey Kinney potrafił wrócić do gry po popełnionym błędzie. Rochefort robi to samo w

dobrym stylu. Chwyta piłkę, trzyma ją przez chwilę, by się upewnić, że Hutchins nie ruszył w stronę domowej, po czym podaje w poprzek boiska do Mike'a, autując wolno biegnącego Hoyta dwa kroki przed bazą. To kawałek naprawdę dobrego baseballu. Chłopcy odzyskują chęć walki, a King starannie obrabia Ryana Fernalda - tego, który przy dwóch zajętych bazach miał home run w meczu z drużyną z Yarmouth. Miota po rogach, płaskim zamachem ramienia, co wychodzi mu znacznie lepiej niż szybki narzut z góry. Fernald słabo odbija na pierwszą piłkę i pierwsza połowa ósmej zmiany dobiega końca. York prowadzi z Bangor 8-7. Sześć odbić, po których padły punkty dla Yorku, jest dziełem Philipa Tarboxa.

Miotacz Yorku, Matt Francke, jest równie zmęczony jak Fisher, w chwili gdy Dave zdecydował się go zastąpić Arnoldem. Różnica polega na tym, że Dave miał Mike'a Arnolda, a po nim jeszcze Owena Kinga. Trener Yorku nie ma nikogo; Ryan Fernald rzucał w meczu z Yarmouth i dziś jest bez formy, więc Francke musi wytrwać do końca.

Zaczyna całkiem nieźle, strajkując Kinga. Następny jest Arthur Dorr, z jednym udanym odbiciem na cztery wejścia (zaliczył dwie bazy po narzucie Tarboxa). Francke, wyraźnie walczący z osłabieniem, lecz zdeterminowany, by grać dalej, doprowadza do stanu trzy-dwa, po czym rzuca górną piłkę daleko po zewnętrznej. Arthur truchta na pierwszą bazę.

Kolej na Mike'a Arnolda. Na wzgórkę szło mu kiepsko, lecz na wybiciu radzi sobie znacznie lepiej, popisując się precyzyjnym skróconym odbiciem. Nie jest to "poświęcenie"; Mike chciał naprawdę zdobyć bazę i prawie mu się udało. Niestety, piłka nie gaśnie na grząskiej ścieżce między wzgórką miotacza a miejscem wybicia. Francke chwyta ją, spogląda na drugą bazę, po czym rzuca na pierwszą. Dwa auty, biegacz na drugiej. Jeden aut dzieli zespół Bangor od przegranej.

Następnym pałkarzem jest łapacz, Joe Wilcox. Przy stanie dwa-jeden bije wzdłuż linii wiodącej do pierwszej bazy. Matt Hoyt chwyta piłkę ułamek sekundy za późno; wysuwa rękę o pół stopy za skraj boiska, co nie uchodzi uwagi sędziego. Hoyt, gotów biec na wzgórek i radośnie uściskać miotacza, oddaje piłkę.

Dwa-dwa. Francke schodzi z deski, spogląda w niebo i usiłuje się skoncentrować. Wraca na wzgórek, miota wysoko, ponad strefą narzutu. Joey na oślep macha pałką, jakby w samoobronie. Cudem trafia w piłkę, bije na faul. Francke znów medytuje przez chwilę, rzuca... na zewnątrz. Trzeci boi.

Czas na rozstrzygający rzut. Wygląda na dobry, wysoki strajk kończący całe spotkanie, lecz sędzia ogłasza czwarty boi. Zdziwiony i ucieszony Joe Wilcox biegnie do pierwszej bazy. Dopiero później, po odtworzeniu tej sceny w zwolnionym tempie na telewizyjnym ekranie, każdy może zobaczyć, że sędzia miał całkowitą rację. Joe, tak podniecony, że trzymał pałkę

niczym kij golfowy, w chwili narzutu wspiął się na czubki palców i stąd wszystkim się wydawało, że piłka weszła w strefę strajku. Nieruchomy jak skała sędzia nie zwracał uwagi na nerwowe łamańce Wilcoxa i zachował się jak prawdziwy arbiter pierwszej ligi. Przepisy mówią, że nie wolno zmniejszać strefy narzutu przez niskie pochylenie głowy i ramion; tak samo nie wolno jej zwiększać przez wyciąganie szyi. Gdyby Joe nie stanął na palcach, miałby piłkę na wysokości brody, nie piersi. I tak, zamiast trzeciego, finałowego autu, mamy dwóch biegaczy.

Jedna z kamer była naczelniana wprost na Matta Francke'a i zarejestrowała dokładny obraz jego zachowania w chwili narzutu. Matt wypuszcza piłkę zbyt późno, by zaliczyć strajk. Unosi pięść w geście triumfu i skacze w prawo, w stronę ławki. W tej chwili sędzia przesłania obiektyw. Gdy Francke ponownie pojawia się w polu widzenia, na jego twarzy maluje się smutek i niedowierzanie. Nie kwestionuje decyzji - trenerzy wciąż powtarzają, że nie wolno tego robić nawet na meczach eliminacyjnych, a już nigdy, nigdy, przenigdy podczas mistrzostw - lecz z cichym szlochem przygotowuje się do kolejnego narzutu.

Gracze Bangor oddychają z ulgą, a kiedy w polu wybiecia staje Nick Trzaskos, z głośnym okrzykiem zrywają się z ławki. Nick ma nadzieję, że dostanie darmowy przejazd, i tak jest rzeczywiście. Francke puszcza go po pięciu narzutach. Już jedenasty raz w ciągu całego meczu oddaje bazę darmo. Nick biegnie na pierwszą, wszystkie bazy zajęte, na pałkę wchodzi Ryan Larrobino. Jak on to robi, że zawsze pojawia się w takich sytuacjach? Kibice Bangor z wrzawą podnoszą się z miejsc, zawodnicy zaciskają pięści i z napięciem wpatrują się w kolebę.

- Nie wierzę - mówi jeden z komentatorów telewizyjnych. - Nie potrafię uwierzyć w scenariusz tego meczu.

- Mam wrażenie, że obie drużyny chcą już jak najszybciej skończyć spotkanie - dodaje drugi.

W chwili gdy padają te słowa, kamera pokazuje napiętą, zmęczoną twarz Matta Francke'a. Jego mina wyraźnie świadczy o tym, że jest inaczej. Czemu nie? Larrobino dwukrotnie odbił za dwie bazy, dwukrotnie miał bazę darmo i raz został trafiony piłką. Francke rzuca wysoko, na zewnątrz, potem zbyt nisko. To jego sto trzydziesty piąty i sto trzydziesty szósty narzut. Jest wyczerpany. Menedżer Yorku, Chuck Bittner, woła go na krótką rozmowę. Larrobino czeka na koniec narady, po czym wraca na miejsce.

Matt Francke odchyła głowę i zamyka oczy; przez chwilę wygląda jak pisklę czekające robaka. Potem robi zamach i ciska ostatnią piłkę w ostatnim meczu sezonu Małej Ligi w Maine.

Larrobino nie zwraca uwagi na medytacje miotacza. Nisko trzyma głowę; patrzy, co zrobi Francke, i ani na chwilę nie spuszcza oczu z piłki. Narzut jest szybki, niski, mierzony w

zewnątrzny róg strefy strajku. Ryan ugina kolana. Pałka świszcze w powietrzu. Suchy trzask uderzenia, piłka szybuje wysoko ponad prawą częścią zapola, a Larrobino radośnie wyrzuca ręce nad głowę i zaczyna stepować wzdłuż linii wiodącej do pierwszej bazy.

Stojący na wzgórku Matt Francke, który dziś już dwukrotnie był od włos od wygranej, wbija wzrok w ziemię. Dopiero gdy Ryan mija drugą bazę i z wolna zmierza w stronę domowej, dociera do niego co się stało i zaczyna płakać.

Kibice wrzeszczą jak opętani; spikerzy są bliscy hysterii; nawet Dave i Neil biegną szaleńczo w stronę bazy, by powitać Ryana. Larrobino tymczasem mija trzecią, gdzie sędzia wciąż miesza palcem przesiąknięte wilgocią powietrze, sygnalizując home run.

Phil Tarbox zdejmuje maskę i odchodzi, by nie przeszkadzać świętującym. Z gniewu tupie nogą w ziemię. Znika sprzed kamer i rozgrywek Małej Ligi. W przyszłym roku wystąpi w turnieju Babe'a Rutha i pewnie zagra całkiem dobrze, lecz taki mecz jak dzisiejszy na pewno się nie powtórzy. Dla żadnego z tych chłopców. Spotkanie, jak powiadają, które przechodzi do historii.

Ryan Larrobino śmieje się, płacze, jedną ręką przytrzymuje kask na głowie, drugą wskazuje bure niebo, skacze w górę, spada na bazę domową, skacze powtórnie i ląduje w ramionach rozradowanych kolegów. Spotkanie skończone; Bangor West wygrywa 11-8. Jest mistrzem Małej Ligi stanu Maine za rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty.

Patrzę na trybuny za pierwszą bazą i oglądam niezapomniany widok: rozkołysany las rąk. Rodzice zawodników przechylają się przez drucianą siatkę, by pozdrowić swych synów. Wielu płacze. Twarze chłopców wyrażają radosne zdumienie, a ręce - setki rąk - wyciągają się w ich stronę, by dotknąć, pogratulować, przytulić, poczuć.

Gracze Bangor nie zwracają na to uwagi. Czas na uściski i wiwaty przyjdzie później. Najpierw trzeba pożegnać przeciwników. Zawodnicy stają na liniach bocznych i zgodnie z uświęconym ceremoniałem, mijając bazę domową, pozdrawiają się klepieniem w dłonie. Niektórzy są tak zapłakani, że z trudem idą.

Nim drużyna Bangor podbiegnie do siatki, gdzie wciąż kołysze się gąszcz dłoni, chcą mieć chwilę dla siebie i dla trenerów. Wygrali wszyscy - Ryan i Matt, Owen i Arthur, Mike i Roger Fisher, znalazca czterolistnej koniczyny. Cieszą się, a reszta musi poczekać. Dopiero potem pędzą do ogrodzenia, do zapłakanych, uradowanych i wiwatujących rodziców, a świat powoli odzyskuje normalny oddech.

- Jak długo będziemy grali, trenerze? - spytał J.J. Fiddler, patrząc na Neila Watermana po zwycięskim meczu Bangor z Machiasem.

- Póki ktoś nas nie zastopuje, J.J. - odparł Neil.

Stoperem okazał się zespół z Westfield z Massachusetts. Było to piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, w Bristol, w Connecticut, w drugiej rundzie mistrzostw Małej Ligi okręgu wschodniego. Miotaczem Bangor był Matt Kinney, który rozegrał mecz swego życia, strajkując dziewięciu pałkarzy, pięć razy oddając bazę darmo (raz z rozmysłem) i pozwalając jedynie na trzy odbicia. Miotacz Westfield, Tim Laurita, dokonał jednak lepszej sztuki, gdyż tylko raz przegrał z pałkarzem. Tym, który mu nie uległ, był oczywiście Ryan Larrobino. Wynik ostateczny brzmiał 2-1 dla Westfield. Punkt dla Bangor padł w chwili, gdy King dostał bazę darmo przy pełnej obsadzie. Zwycięstwo Westfield, w podobnej sytuacji, przypieczętował Laurita. Mecz okazał się ciężki i mocno denerwujący, lecz nie tak pamiętny jak spotkanie z Yorkiem.

W świecie wielkiego sportu był to zły rok dla baseballu. Główny kandydat do Galerii Sławy został dożywotnio zdyskwalifikowany; były miotacz zastrzelił żonę, po czym popełnił samobójstwo; prezes związku zmarł na atak serca; pierwszy mecz World Series, jaki po z górą dwudziestu latach miał być rozegrany w Candlestick Park, został odwołany ze względu na trzęsienie ziemi, które nawiedziło północną Kalifornię. Lecz główna liga to tylko mała część baseballu. W innych miejscach, wśród innych graczy - na przykład w Małej Lidze, gdzie nie ma naganiaczy, zarobków i biletów - ów rok okazał się całkiem udany. Tytuł mistrza okręgu wschodniego wywalczyła drużyna z Trumbull, z Connecticut. Dwudziestego szóstego sierpnia Trumbull pokonało Tajwan w finale światowego czempionatu Małej Ligi. Od osiemdziesiątego trzeciego roku był to pierwszy triumf Amerykanów w tych mistrzostwach i pierwsze od czternastu lat zwycięstwo zespołu wywodzącego się z tego samego rejonu, co drużyna Bangor.

We wrześniu stanowa komisja Amerykańskiej Federacji Baseballu wybrała Dave'a Mansfielda trenerem roku w kategorii amatorów.

TLUMACZENIE: WITOLD NOWAKOWSKI

Brooklyński sierpień

(Brooklyn August)

(Tłumaczenie: Witold Nowakowski)

Jimowi Bishopowi

Na Ebbets Field rośnie trawa
(gdzie władał Alston)
nad rzędem rząd
kiedy oś dnia przechodzi w zmierzch
wciąż ich widzę, czuję ciężką, zieloną woń
świeżo skoszonej trawy:
w gasnącym blasku dnia
z prawego zapola
zalanym nagle strumieniem światła
reflektorów otoczonych wirującymi batalionami
chrząszczy z nocnej zmiany.
Na miejscach po siedemdziesiąt pięć centów starcy i
taksówkarze,
co swoją zmianę już odrobili,
z kartonowych kubków piją piwo.
To Flatbush jest tak prawdziwe i aksamitne jak ulice
Harlemu w czerwcu pięćdziesiątego szóstego,
gdy w każdej grającej szafie królował jive.
Ebbets Field rozmyte deszczem
i ławki puste, nad rzędem rząd.
Hodges pochylony nad pierwszą, rękawica w przedzie,
sięga piłki z trzeciej, skąd cisnął ją Robinson,
pole wybicia spowite upiornym światłem,
co sączy się z nieba piątkowego zmierzchu
(Musiał trafił od razu, Flatbush przywalił 2).
Newcombe ciężko wlecze się pod prysznic
w prysznicu popcornu i nagłówków gazet.
Teraz Carl Erskine próbuje rzucić mocno, ale

Johnny Podres oraz Ciem Labine już się grzeją -
może nie wypali? -
(choć, jak wiesz, każdy z nich walnąć tak potrafi).
Na Ebbets Field przychodzą i odchodzą,
biorą punkt za punktem, ślą za ciosem cios,
ktoś prosi o czas w drugiej połowie piątej zmiany,
ktoś z prawej rzuca pusty kubek,
Sandy Amoros gniecie go i bez słowa
wręcza porządkowemu, co żuje Mał Pouch,
a z tłumu bezimiennych kibiców ku obu
zespołom lecą brooklyńskie, soczyste wyzwiska.
Na lewo od drugiej bazy Pee Wee Rees zgina kolana,
Campanella daje znak.
Widzę to wszystko przez zamknięte oczy.
Czuję zapach smażonych frankfurterów.
Widzę śmieci na polu o ósmej wieczorem
i niebiańskie cienie idącego zmierzchu,
jak płyną nad misą stadionu razem z aniołami.
A Erskine staje, bierze zamach i rzuca nisko w strefie
strajku.

Noty

Wkrótce po opublikowaniu Skeleton Crew, mego poprzedniego zbioru opowiadań, odbyłem rozmowę z czytelniczką, która mówiła mi o tym, jak bardzo podobała się jej ta książka. Czytała opowiadania po jednym każdego wieczoru przez blisko trzy tygodnie. "Ale noty na końcu książki opuściłam - oświadczyła, patrząc mi bacznie w oczy (podejrzewam, iż spodziewała się, że wybuchnę gniewem na taki afront). - Należę do osób, które nie chcą wiedzieć, w jaki sposób magicy dokonują swych sztuczek".

Ale ja skinąłem tylko głową i przyznałem jej całkowitą rację, nie chcąc wszczynać długiej, zawilej rozmowy na ten temat w chwili, gdy czekało mnie jeszcze wiele innych, ważnych spraw do załatwienia. Teraz jednak rano nie muszę ni-czego załatwiać i pragnę, jak ma zwyczaj mawiać nasz stary kumpel z San Clemente, całkowicie jasno postawić dwie sprawy. Po pierwsze: nie obchodzi mnie, czy będziesz czytał po-niższe noty, czy też nie. To twoja książka i jeśli chodzi o mnie, możesz nawet przykrywać sobie nią głowę na wyścigach konnych. Po drugie: nie jestem magikiem, a moje opowiadania nie są sztuczkami.

Nie jest nigdzie powiedziane, iż z pisaniem nie wiąże się magia. Przeciwnie, wierzę najgłębiej, że tkwi w nim ogromna ilość czarów. Cały paradoks polega na tym, że magicy nie robią niczego, co w jakikolwiek sposób łączyłoby się z czarami. Większość z nich wręcz przyznaje się do tego bez najmniejszych oporów. Dokonywane przez nich bezsprzeczne cuda - gołębie wyfruwające z chusteczek do nosa, monety wysypujące się z próżnych dzbanków, jedwabne szarfy materializujące się w pustych dłoniach - biorą się z ciężkiej, wyczerpującej pracy, wieloletniej praktyki, z umiejętnego odwracania uwagi widzów oraz z kuglarskich sztuczek. Ich przemowy na temat "starodawnych sekretów Orientu" i "zapomnianej wiedzy Atlantydy" * są wyłącznie głędzeniem. Ogólnie biorąc, uważam, że estradowi czarodzieje mogą się całkowicie identyfikować ze starym dowcipem o przybyszu do Nowego Jorku, który zapytał miejscowego beatnika, jak dostać się do Carnegie Hali. "Ćwicz, człowieku, ćwicz" - odpowiedział beatnik.

To samo dotyczy autorów literackich. Po dwudziestu latach spędzonych na pisaniu popularnej beletrystyki, okrzyknięty przez krytyków literackich mianem pisarzyny (intelektualna definicja słowa "pisarzyna" moim zdaniem brzmi: "Artysta, którego prace doceniane są przez zbyt wiele osób"), zaświadczam wszem i wobec, że opanowanie rzemiosła jest sprawą niebywale istotną, a częste i nudne przerabianie, ponowne przerabianie i znów przerabianie tekstu okazuje się warunkiem niezbędnym do osiągnięcia dobrych wyników i

właśnie ta ciężka, monotonna praca jest jedynym ćwiczeniem dla tych z nas, którzy posiadają jakiś tam talent, ale niewiele, lub zgoła wcale, geniuszu.

A jednak jest w tym zajęciu sporo magii, a pojawia się ona w tej samej chwili, gdy w głowie pisarza rodzi się pomysł opowiadania. Zazwyczaj tylko jego fragment, ale bywa, że i całe (w takich razach przypomina to bezpośrednio trafienie taktyczną rakieta jądrową). Niejednokrotnie autor potrafi później odtworzyć okoliczności i miejsce, w których pomysł przy-szedł mu do głowy, i wyliczyć elementy, jakie sprawiły, że taki właśnie nawiedził go koncept, ale pomysł sam w sobie jest rzeczą nową i przewyższa sumę elementów składowych. Jest czymś, co powstało z niczego. To, parafrazując Marienne Moore, prawdziwa ropucha w fikcyjnym ogrodzie. Tak więc nie musisz się obawiać, że lektura poniższych not zniweczy całą magię i wyjaśni, na czym polegają triki. W prawdziwej magii nie ma miejsca na triki. Kiedy mowa o magii, jest nią tylko historia powstania utworu.

Możliwe, że lektura notki zepsuje opowiadanie, którego jeszcze nie czytałeś, więc jeśli należysz do tych osób (do tych wstrętnych osób), które czują przymus czytania zakończenia książki przed jej lekturą, jak uparte dziecko, które musi zjeść budyń czekoladowy, zanim zje kotlet, chcę cię z tych stron wygonić do wszystkich diabłów, chroniąc w ten sposób przed najgorszym przekleństwem: przed rozczarowaniem. Dla pozostających czytelników będzie to błyskawiczna podróż, w której zobaczycie, jak to się stało, że niektóre opowiadania zamieszczone w "Marzeniach i koszmarach" w ogóle powstały.

CADILLAC DOLANA *

Podaję, że ciąg myśli, który doprowadził mnie do napisania tej historii jest oczywisty. Posuwałem się w żółtym tempie przez jeden z tych, zdawałoby się nie mających końca, odcinków autostrady, na której prowadzono roboty drogowe. Wdychałem kurz, w powietrzu wisiał zapach gorącego asfaltu i spalin, a przed nosem miałem nieustannie tył ciągle tego samego samochodu z nalepką na zderzaku głoszącą: HAMUJĘ PRZED ZWIERZĘTAMI. Wydawało się, że jazda trwa prawie dziewięć lat... samochód przede mną był wielkim, zielonym cadillakiem sedanem deYille. Kiedy tak się posuwaliśmy centymetr po centymetrze, mijając wykop, w którym układano olbrzymie rury, pamiętam, że pomyślałem: "Zmieściłby się w nim nawet tak wielki samochód jak ten cadillac". W chwilę później miałem już gotowy, w pełni rozwinięty pomysł "Cadil-laca Dolana" i kiedy pracowałem nad tym opowiadaniem, nie zmieniłem go na jotę.

Nie chcę przez to powiedzieć, że napisanie tej opowieści przyszło mi łatwo; nie, zdecydowanie nie. Nigdy jeszcze nie byłem tak zniechęcony - szczerze mówiąc, załamany -

szczegółami technicznymi. Chcę teraz przedstawić to, co Reader's Digest określa terminem "osobisty wgląd": jakkolwiek lubię myśleć o sobie jak o literackim odpowiedniku Jamesa Browna (samozwańczego Najciężej Pracującego Człowieka w Branży Rozrywkowej), jestem odrażająco wręcz leniwym bęcwałem, gdy przychodzi do własnych studiów i dopracowywania szczegółów technicznych. Raz po raz czytelnicy i krytycy nie zostawiają na mnie suchej nitki (najśluszniej i najbardziej upokarzająco pisuje o mnie w Chicago Tribune i magazynie Fantasy and Science Fiction Avram Davidson) za niedociągnięcia w tej dziedzinie. Pracując nad "Cadillakiem Dolana", uświadomiłem sobie, że tym razem nie wolno mi sprawy spartaczyć, gdyż całe opowiadanie zasadza się właśnie na szczegółach naukowych, formułach matematycznych i założeniach fizyki.

Gdybym tę niemiłą prawdę uświadomił sobie wcześniej, jeszcze przed napisaniem około piętnastu tysięcy słów, opowiadania o Dolanie, Elizabeth i jej Poetycznym mężu, z całą pewnością "Cadillac Dolana" odesłałbym do lamusa, do Departamentu Opowiadań Nie Ukończonych. Ale nie zorientowałem się w porę, a później już nie chciałem przerywać pisania. Uczyliłem zatem jedyną rzecz, jaka przyszła mi do głowy. Wezwałem na pomoc swego starszego brata.

Dave King jest typem człowieka, którego my, rodowici mieszkańcy Nowej Anglii, określamy mianem "kawału solidnej roboty", cudownym dzieckiem o IQ przekraczającym sto pięćdziesiąt (odbicie Dave'a znajdziecie w postaci genialnego brata Bow Wow Fornoja w "Końcu całego bałaganu"*), który z prędkością sań raketowych ukończył szkołę, w wieku osiemnastu lat wyższą uczelnię i natychmiast rozpoczął pracę jako wykładowca matematyki na Uniwersytecie Brunswick, gdzie wielu jego studentów, którym wykładał algebrę, było od niego o wiele starszych. Dave jest najmłodszym w historii człowiekiem wybranym w stanie Maine do Rady Miejskiej, a gdy ukończył dwadzieścia pięć lat, został przewodniczącym tej rady. Jest polihistorem, człowiekiem, który zasadniczo zna się po trosze na wszystkim.

Przedstawiłem mu przez telefon swój problem. W tydzień później pocztą nadeszła przesyłka w manilowej kopercie. Otwierałem ją z zamierającym sercem. Byłem pewien, że przysłał mi wszystkie informacje, jakich potrzebowałem, ale byłem też pewien, że nie przydadzą mi się na nic. Pismo mego brata jest absolutnie nie do odczytania.

Ku swej radości w przesyłce znalazłem kasetę wideo. Kiedy wsunąłem ją do magnetowidu i uruchomiłem urządzenie, ujrzałem Dave'a siedzącego przy zawalonym papierami biurku. Za pomocą kilku matchboxów wyjaśnił mi wszystko, co chciałem

wiedzieć, łącznie z tym cudownie złowieszczym hakiem spadania. Ponadto brat dodał, że mój protagonista musiałby użyć ciężkiego sprzętu drogowego, żeby pogrzebać cadillaca

Dolana (w pierwotnej wersji uczynił to rękami), a następnie dokładnie mi wyjaśnił, jak bez kluczyków uruchamiać poszczególne ma-szyny, które lokalne Wydziały Dróg i Autostrad mają zwyczaj zostawiać na weekendy w miejscach, gdzie prowadzone są roboty drogowe. Była to szczególnie użyteczna informacja... tak naprawdę, to odrobinę zbyt użyteczna. Pozmieniałem więc szczegóły na tyle, że gdyby ktoś próbował w opisany przeze mnie sposób uruchomić którąś z tych maszyn, to i tak mu się to nie uda.

I jeszcze jedna uwaga dotycząca tej historii. Gdy już ukończyłem jej pisanie, zniechęciłem ją. Po prostu czułem do niej odrazę i dlatego nigdy nie ukazała się drukiem w czasopiśmie. Po prostu wrzuciłem ją do jednego z kartonowych pudeł oznaczonych hasłem "Stary, Zły Fajans", które trzymam w korytarzyku za moją pracownią. Kilka lat później Herb Yellin, szef wydawnictwa Lord John Press publikującego cudowne utwory w ograniczonym nakładzie, napisał do mnie list z pytaniem, czy nie zechciałbym wydać w stosunkowo niewielkiej liczbie egzemplarzy któregoś z opowiadań; najlepiej dotąd nie publikowane-go. Ponieważ uwielbiam jego książki, które są małe, starannie dopracowane i często w najwyższym stopniu ekscentryczne, udałem się do pomieszczenia, które określam mianem "Korytarza Losu", i zacząłem przetrząsać pudła w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się do uratowania przed zagładą.

Trafiłem na "Cadillac Dolana" i okazało się, że czas ponownie zrobił swoje. Opowiadanie czytało się znacznie lepiej, niż pamiętałem, a kiedy przesłałem je Herbowi, przyjął je z entuzjazmem. Później dokonałem kilku poprawek i utwór ukazał się w Lord John Press w maleńkim nakładzie pięciuset egzemplarzy. Po kolejnych przeróbkach zdecydowałem się włączyć go do niniejszego zbioru. Zmieniłem o nim zdanie do tego stopnia, że umieściłem go jako pierwszy utwór w tej książce. Nie bawiąc się w szczegółowe wyliczanie, powiem, że tekst ten stanowi oparte na archetypach opowiadanie z gatunku horror, z szalonym narratorem i wyliczeniami, jak dokonać na pustyni przedwczesnego pogrzebu. Lecz tak naprawdę utwór ten nie należy już do mnie; należy do Dave'a Kinga i Herba Yellina. Dzięki, chłopcy.

UDRĘKA MAŁYCH DZIECI*

Opowiadanie to napisałem w czasach, gdy tworzyłem większość utworów zamieszczonych w "Nocnej zmianie", i pierwotnie ukazało się drukiem na łamach Cavaliera, jak większość opowiadań ze zbioru z siedemdziesiątego ósmego roku. Nie znalazło się w tamtej książce z tego względu, że mój wydawca, Bili Thompson, uznał, iż książka robi się "nieporęczna". W taki właśnie sposób wydawcy często mówią autorowi, że należy nieco książkę skrócić, gdyż cena zanadto kłuje w oczy. Ja optowałem za usunięciem z "Nocnej

zmiany" "Szarej materii". Bili za "Udręką małych dzieci". Ustąpiłem, lecz ostatnio przeczytałem uważnie jeszcze raz ten tekst i ostatecznie zdecydowałem się pomieścić go w niniejszym zbiorze. Darzę to opowiadanie dużą sympatią. Ma klimat i przypomina troszeczkę utwory Bradbury'ego z końca lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych; sztańskiego Bradbury'ego, który lubował się w dzieciach-zabójcach, wiarołomnych i zdrażliwych, w przedsiębiorcach pogrzebowych oraz opowiadaniach, które polubić mógł jedynie stróż cmentarny. Innymi słowy, "Udręka małych dzieci" stanowi okropny, chory żart nie mający żadnych odniesień do sytuacji społecznej. To właśnie w tej historii lubię.

POPSY*

Czy dziadek małego chłopca jest tym samym stworzeniem, które kazało Richardowi Deesowi w "Nocnym Latawcu" otworzyć aparat filmowy i prześwietlić kliszę? Wiecie, ja myślę, że chyba tak.

NOCNY LATAWIEC*

Czasami któryś z drugoplanowych bohaterów powieści przykuwa uwagę swego twórcy i wcale nie chce go opuścić, dowodząc, że ma do powiedzenia i do zrobienia o wiele więcej. Taką właśnie postacią jest Richard Dees, protagonista "Nocnego Latawca". Pierwotnie pojawił się w "Strefie śmierci" (1979), gdzie zaproponował Johnny'emu Smithowi, skazanemu przez los bohaterowi tej powieści, pracę w charakterze jasno-widza w paskudnej, sprzedawanej w supermarketach gazecie Inside View. Johnny zrzuca go po schodkach werandy domu swego ojca. I to miało być wszystko, jeśli chodzi o Deesa. A jednak znów się pojawił.

Jak większość moich opowiadań, "Nocny Latawiec" miał stanowić żart - wampir z licencją prywatnego pilota; czyż nie jest to zabawnie nowoczesne? - ale historia rosła, w miarę jak rósł Dees. Rzadko mi się zdarza, bym rozumiał moich bohaterów, podobnie jak nie rozumiem życia i serc ludzi, których spotykam na co dzień. Lecz często można wciągnąć ich w akcję, naszkicować intrygę podobnie jak kartograf - on czy ona - szkicuje mapy. Gdy podjąłem pracę nad "Nocnym Latawcem", Dees zaczął mi się jawić jako jednostka kompletnie wyobcowana, jako ktoś, kto w pewien sposób sumuje w sobie nie-które z paskudnych i wstydlivych rzeczy w naszym, podobno otwartym społeczeństwie; zjawiska, które pojawiły się w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat naszego stulecia. Dees jest zasadniczo niedowiarkiem, a konfrontacja z Nocnym Latawcem pod koniec opowiadania przypomina mi kwestię, którą włożyłem w usta George'a Seferisa w "Miasteczku Salem" - tę o kolumnie prawdy, która ma w środku dziurę. W ostatnich latach dwudziestego wieku kolumna ta wydaje

się być aż na-zbyt prawdziwa, a "Nocny Latawiec" opowiada przede wszystkim historię człowieka, który tę dziurę odkrywa.

TO ROŚNIE W NAS*

Pierwotną wersję tego opowiadania opublikowałem na początku lat siedemdziesiątych w magazynie literackim Uniwersytetu w Maine zatytułowanym Marshroots. Wersja tu prezentowana całkowicie jednak różni się od tamtej. Podczas lektury oryginalnego opowiadania zaczęło do mnie docierać, że ci starcy tak naprawdę stanowią niedobitki z pogromu opisanego w "Sklepiku z marzeniami". Powieść ta to czarna komedia traktująca o zachłanności i obsesji; opowiadanie natomiast mówi znacznie poważniej o tajemnicach i chorobie. Odnoszę wrażenie, że pasuje do epilogu tamtej powieści... a poza tym z ogromną radością chciałem po raz ostatni jeszcze trochę poobserwować starych przyjaciół z Castle Rock.

DEDYKACJA*

Od lat, od chwili gdy poznałem pewną nieżyjącą już sławną pisarkę, która mnie przeraziła, a której imienia i nazwiska nie chcę wymieniać, nęka mnie problem niektórych niebywale utalentowanych ludzi, jacy w życiu prywatnym okazują się straszną kupą gnoju; problem obłąkających kobiety erotomanów, rasistów, zadzierających nosa, szyderczych zarozumiałców, osób płatających innym okrutne figle. Nie twierdzę, że tacy są wszyscy utalentowani i sławni ludzie, ale niestety spotkałem ich zbyt wielu - w tym ową niewąpliwie wybitną pisarkę - żeby nie zastanowić się nad problemem, dlaczego tak jest. Niniejsze opowiadanie stanowić miało, dokonaną dla własnej satysfakcji, próbę odpowiedzi na to pytanie. Odpowiedzi nie znalazłem, ale przynajmniej miałem okazję wyrazić osobisty niepokój i w tym kontekście wydaje mi się to wystarczające.

Nie jest to opowiadanie zbyt polityczne i sędzę, że wielu czytelników - tych, którzy chcą być straszni przez te same, stare dobre potwory i demony z pałaców grozy w wesołych miasteczkach - bardzo się na to za mnie rozgniewa. Mam zresztą taką nadzieję. Wykonuję swój zawód od dobrych kilku lat, ale cały czas krzepię się myślą, że nie nadeszła jeszcze dla mnie pora na stary, bujany fotel. Opowiadania w "Marzeniach i koszmarach" są w większości utworami, które krytycy zaliczają (i dlatego stanowczo zbyt często je ignorują) do gatunku horror. W ich przekonaniu opowiadania horror stanowią rodzaj złego psa łańcuchowego, który ugryzie, gdy człowiek zanadto się do niego zbliży. Ta historia, moim zdaniem, gryzie. Czy mam za to przeproszać? Naprawdę uważacie, że powinienem? Czyż to przede wszystkim nie

dlatego właśnie - dlatego, że chcecie zostać pogryzieni - sięgacie po tę książkę? Ja uważam, że tak. A jeśli myślicie o mnie jak o starym, dobrym wujciu Stefcu, o kimś w rodzaju narratora telewizyjnej "Strefy mroku", Roda Serlinga końca wieku, postaram się pogryźć was jeszcze dotkliwiej. Innymi słowy chcę, żebyście wkraczając do mego salonu, za każdym razem bali się odrobinę bardziej. Chcę utrzymywać was w niepewności co do tego, jak daleko się posunę i co zrobię następnym razem.

Teraz, kiedy już wyjaśniliśmy sobie ten szczegół, pozwólcie mi dodać, że gdybym naprawdę uważał, iż "Dedykacja" wymaga obrony, nigdy nie zdecydowałbym się jej opublikować. Opowiadanie, które nie jest w stanie obronić się samo, nie zasługuje na druk. To Martha Rosewall, skromna sprzątaczką, a nie Peter Jefferies, pisarz wielkiej klasy, wygrywa bitwę i to powinno powiedzieć czytelnikowi lub czytelniczce, po czyjej stronie jest moja sympatia.

A, i jeszcze jedno. Teraz wydaje mi się, że opowiadanie to, wydrukowane pierwotnie w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym, stanowiło pierwszą próbę mej powieści "Dolores Claiborne" (1992).

PALEC*

Moim ulubionym typem opowiadania zawsze było takie, gdzie różne rzeczy dzieją się dlatego, że po prostu się dzieją. W powieściach i filmach (z wyjątkiem filmów, w których występują Sylvester Stallone i Arnold Schwarzenegger) czytelnik albo widz ma prawo spodziewać się wyjaśnienia, dlaczego to taka a taka rzecz miała miejsce. Pozwólcie, że coś wam powiem, moi przyjaciele i sąsiedzi. Nie cierpię wyjaśniać, dlaczego coś się dzieje, i dlatego wszelkie moje wysiłki, by w jakikolwiek sposób racjonalnie wszystko umotywować (na przykład nafaszerowanie organizmu LSD i wynikłe stąd zmiany w DNA spowodowały rozwój talentu pirokinetycznego u Charliego McGee w "Firestarter"), dają raczej mierne rezultaty. Ale prawdziwe życie rzadko ma coś wspólnego z tym, co w danym roku producenci filmowi nazywają "warstwą motywacyjną"... Zauważyliście to? Nic o was nie wiem, ale nikt nie dał mi nigdy instrukcji naprawy. Usiłuję zatem tylko narobić jak najmniej bigosu i wiem, że nigdy z tego z życiem nie ujdę. Staram się zatem po prostu wszystkiego zanadto nie popieprzyć.

Autor opowiadań ma prawo czasami powiedzieć: "Stało się. Ale nie pytaj mnie dlaczego". Historia nieszczęsnego Howarda Mitli należy do tej właśnie kategorii tekstów i sądzę, że wysiłki naszego bohatera, żeby jakoś uporać się z palcem wylazącym z otworu odpływowego umywalki w jego łazience, podczas gdy w telewizji nadają teleturniej, stanowią idealną, istotną metaforę tego, jak my sami użeramy się z okropnymi niespodziankami, jakich

tak wiele trzyma dla nas w zanadru życie: nowotwory, wypadki, od czasu do czasu jakiś koszmarny zbieg okoliczności. To jest właśnie unikalna dziedzina opowiadań fantasy, gdzie na pytanie: "Dlaczego złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom?" można odpowiedzieć: "Ba... nie pytaj". W utworze fantasy taka mętna odpowiedź zwykle nas zadowala. Na koniec rodzaj głównej przesłanki moralnej: najlepsze opowiadania tego typu otwierają okno (albo kratkę w konfesjonale) na egzystencjalne aspekty naszego śmiertelnego życia. Nie jest to może perpetuum mobile... ale też i nie jest złe.

MAMY TU KAPELĘ JAK WSZYSCY DIABLI*

Pojawiły się w tej książce co najmniej dwa opowiadania o czymś, co bohaterki określają mianem "dziwaczego maleńkiego miasteczka". To jest właśnie takie opowiadanie; a następne to "Pora deszczowa". Być może znajdą się czytelnicy, którzy będą uważać, że o raz czy o dwa razy za dużo odwiedziłem "dziwaczne maleńkie miasteczko", a niektórzy za-pewne dostrzegą podobieństwo tych dwóch opowiadań do jeszcze dawniejszego noszącego tytuł "Dzieci kukurydzy"*. Podobieństwa istnieją, ale czy to znaczy, że "Mamy tu kapelę..." i "Pora deszczowa" są autopowielaniem? To sprawa delikatna i każdy czytelnik czy czytelniczka sam musi dać sobie odpowiedź; ale moja brzmi: nie (to oczywiste, cóż innego mógłbym powiedzieć?).

Wydaje się, że istnieje wielka różnica między tradycyjnymi formami a autopowielaniem. Weźmy na przykład bluesa. Tak naprawdę w bluesie występują dwie konwencje akordowe i w sumie obie są takie same. Więc powiedzcie mi teraz: czy tylko dlatego, że John Lee Hooker gra prawie wszystko, co komponuje w tonacji E albo A, oznacza, że równo jedzie na autopilocie, robiąc na okrągło dokładnie to samo? Wielu fanów Johna Lee Hookera (nie wspominając już fanów Bo Diddleya, Muddy'ego Watersa, Furry'ego Lewisa i innych wielkich) zdecydowanie by się temu stwierdzeniu sprzeciwiło. "Nie grasz w żadnej tonacji - oświadczyliby ci aficionados bluesa. - To ci w duszy gra".

Tak samo tutaj. Istnieją pewne archetypowe opowiadania gatunku horror, które ciągle tkwią na wielkich, samotnych wzniesieniach na pustyni. Opowiadanie o nawiedzonym domu; opowiadanie o powrocie zza grobu; opowiadanie o dziwaczno-maleńkim-miasteczku. Jeśli się dobrze w taki utwór wniknie, nie traktuje on wcale o tym, o czym traktuje: jest, ogólnie mówiąc, literaturą zakończeń nerwowych i receptorów mięśniowych i w tym sensie traktuje o tym, co czytelnik czuje. Ja osobiście czułem... impuls do napisania tej historii... Skóra mi cierpnie na myśl o tym, jak wielu rockmenów umarło młodo lub w paskudnych okolicznościach; to koszmar rzeczoznawców od ubezpieczeń. Dla wielu młodszych fanów tak

wysoki poziom śmiertelności ma w sobie ogromny ładunek romantyzmu, ale gdy człowiek, tak jak ja, przetańczy od The Platters do rapowego Ice T, zaczyna dostrzegać ciemniejszą stronę, stronę, w której czai się olbrzymi wąż. To właśnie starałem się w tym opowiadaniu wyrazić, ale nie sądzę, żeby historia ta naprawdę wbiła się w pamięć, powodowała gęsią skórkę; może dopiero na ostatnich sześciu czy ośmiu stronach.

URODZI SIĘ W DOMU*

To zapewne jedyne opowiadanie w tej książce napisane na zamówienie. John Skipp i Craig Spector (The Light at the End, The Bridge plus kilka innych dobrych powieści z gatunku splatterpunk) wystąpili z pomysłem stworzenia antologii opowiadań na temat tego, co by było, gdyby zombie z trylogii George'a Romero "Umarli" ("Noc żywych trupów", "Świt umarłych", "Dzień umarłych") przejęły władzę nad światem. Pomysł wypalił z mego umysłu niczym raca "rzymskich ogni", a opowiadanie, którego akcja rozgrywa się na przybrzeżnych wyspach w Maine, jest tego wynikiem.

MÓJ ŚLICZNY KUCYK

Na początku lat osiemdziesiątych Richard Bachman mozolił się nad powieścią zatytułowaną (tak w każdym razie uważam) "Mój śliczny kucyk". Powieść traktowała o niezależnym płatnym zabójcy, Clivie Banningu, który dostaje zlecenie wynajęcia podobnych sobie psychopatów i zabicia na przyjęciu weselnym pewnej liczby osób, bardzo wysoko postawionych w światku przestępczyni. Banning i jego ludzie wykonują zadanie, zamieniając wesele w krwawą łaźnię, a następnie są wyłapywani

przez swych mocodawców i po kolei likwidowani. Powieść miała stanowić kronikę wysiłków Banninga próbującego uniknąć skutków kataklizmu, który sam wywołał.

Książka była kawałem źle wykonanej roboty. Pisałem ją w złym okresie życia, które do tamtej chwili układało mi się bardzo pomyślnie; i nagle wszystko to zawaliło się z donośnym łoskotem. Wtedy też Richard Bachman zmarł, zostawiając po sobie dwa fragmenty: prawie ukończoną powieść zatytułowaną Machine's Way, pisaną pod pseudonimem George Stark, oraz sześć rozdziałów "Mojego ślicznego kuczka". Jako literacki wykonawca testamentu Richarda, dokończyłem powieść Machine's Way i opublikowałem ją pod własnym nazwiskiem (przyznałem się jednocześnie do Bachmana), opatrując nowym tytułem "Mroczna połowa". "Mojego ślicznego kuczka" wyrzuciłem do śmieci... z wyjątkiem krótkiego fragmentu, w którym Banning, gdy czeka na rozpoczęcie masakry na weselu, przypomina sobie instrukcje dziadka o plastycznej naturze czasu. Kiedy natknąłem się na ten kawałek - absolutnie cudowne,

prawie gotowe opowiadanie - było to jak znalezienie róży rosnącej na wysypisku śmieci. Natychmiast ją zerwałem; uczyniłem to z najwyższą wdzięcznością. Historia ta okazuje się jedną z niewielu dobrych rzeczy, które napisałem w ciągu tamtego naprawdę okropnego dla mnie roku.

“Mój śliczny kucyk” pierwotnie światło dzienne ujrzał w wydaniu zbyt drogim (i zbyt ozdobnym, moim skromnym zdaniem) opublikowanym przez Whitney Museum. Później ukazał się w formie nieco bardziej dostępnej (choć również zbyt drogiej i zbyt ozdobnej, moim skromnym zdaniem) wydanej przez Alfreda A. Knopfa. I oto wreszcie z radością pomieszczam to opowiadanie tutaj, wygładzone i nieco uproszczone, co z pewnością powinno zostać już zrobione dużo wcześniej. Po prostu kolejne opowiadanko, trochę lepsze niż niektóre, a trochę gorsze od innych.

PRZEPRASZAM, TO NIE POMYŁKA

Czy pamiętacie, jak mniej więcej milion stron wcześniej zaczynałem opowiadać o “Wierzcie w to, lub nie!” Ripleya? “Przepraszam, to nie pomyłka” należy prawie do tej samej kategorii. Pomysł owej “sztuczki telewizyjnej” przyszedł mi do głowy pewnego wieczoru, kiedy wracałem do domu po zakupie pary butów. Koncepcja pojawiła mi się w formie “obrazu”, jak to zawsze bywa w przypadku sztuk telewizyjnych. W ciągu dwóch posiedzeń przelałem pomysł na papier w takiej formie, jaką macie przed sobą. Mój agent z Zachodniego Wybrzeża - ten, który zajmuje się też filmami - dostał ode mnie utwór pod koniec tygodnia. Na początku następnego czytał go już Steven Spielberg, który zamierzał stworzyć program telewizyjny pod tytułem Amazing Stories (do dzisiaj żaden z tych programów nie pojawił się na antenie).

Spielberg odrzucił tekst. “Szukamy do Amazing Stories trochę bardziej ożywczych rzeczy” - oświadczył, więc zaniósłem swoją historyjkę do mego długoletniego współpracownika i bardzo bliskiego przyjaciela, Richarda Rubinsteina, który był wówczas producentem innej serii, zatytułowanej Tales from the Darkside. Nie powiem, że Richard kręcił nosem na szczęśliwe zakończenia - lubił happy endy, podobnie chyba jak każdy - ale nie deprecjonował kompletnie zakończeń tragicznych. To on w końcu zrobił “Smętarz dla zwierzaków” (wydaje mi się, że “Smętarz dla zwierzaków” oraz “Thelma i Lousie” od końca lat siedemdziesiątych były jedynymi wyprodukowanymi w Hollywood wybitnymi filmami, których główny bohater, lub bohaterowie, na końcu umiera).

Richard kupił “Przepraszam, to nie pomyłka” tego samego dnia, gdy utwór przeczytał, a w tydzień czy dwa później skierował go do produkcji. Po miesiącu sztuka pojawiła się na

antenie... jako premiera sezonu, jeśli mnie pamięć nie myli. Z tego, co wiem, utwór ten najszybciej przebył drogę od-pomysłu-w-głowie do realizacji-na-ekranie. Niniejsza wersja stanowi wersję pierwotną, nieco dłuższą i bardziej skomplikowaną niż scenariusz, na podstawie którego zrobiono przedstawienie. Widowisko telewizyjne ze względów budżetowych przygotowano w dwóch tylko dekoracjach. Zamieściłem ten utwór w niniejszym zbiorze jako przykład odmiennej formy opowiadania... odmiennej, ale równie ważnej jak inne.

LUDZIE GODZINY DZIESIĄTEJ

Latem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku błądziłem po centrum Bostonu, próbując trafić pod pewien adres, pod który żadną miarą nie umiałem trafić. W końcu odnalazłem to miejsce, ale wcześniej znalazłem tę historię. Wałęsałem się po mieście około godziny dziesiątej rano. Krążąc po ulicach, zauważyłem grupki ludzi gromadzących się przed frontem wszystkich niebywale wytwornych i drogich biurowców. Skład tych grupek pod względem socjologicznym był zupełnie pozbawiony sensu. Widziałem tam stolarzy za pan brat z biznesmenami, dozorców wydmuchujących chmurki tytoniowego dymu w towarzystwie elegancko uczesanych kobiet ubranych w powalające z nóg kreacje, gońców w towarzystwie członków rad nadzorczych.

Przez pół godziny zastanawiałem się nad tymi ludźmi - zbieraniną, o jakiej nie śniło się nawet Kurtowi Yonnegutowi - i w końcu mnie oświeciło. Pewna grupa uzależnionych mieszkańców amerykańskich miast zamienia przerwę w pracy na kawę czy lunch w przerwę na papieroska. W drogich, wytwornych wieżowcach wprowadzono ostatnio kategoryczny zakaz palenia tytoniu; jeden z największych i najbardziej zdumiewających zwrotów, które niezauważalnie nastąpiły w amerykańskim społeczeństwie w dwudziestym wieku. Bez wtóru triumfalnych fanfar porzuciliśmy jedno z naszych najgorszych przyzwyczajzeń. W wyniku tego powstał cały szereg bardzo dziwacznych pod względem socjologicznym zachowań. Ci, którzy nie zmienili starych złych nawyków - tytułowi Ludzie Godziny Dziesiątej - prezentują właśnie jedno z nich. Opowiadanie to ma stanowić jedynie zabawną historyjką, ale żywię też nadzieję, iż powie coś ciekawego o fali zmian, które, przy-najmniej na jakiś czas, odtworzyły pewne instytucje istniejące w myśl doktryny separate-but-equal w latach czterdziestych i pięćdziesiątych.

DOM NA MAPLE STREET

Czy pamiętacie Richarda Rubinsteina, mego producenta i przyjaciela? To on pierwszy przesłał mi egzemplarz *The Mysteries of Harris Burdick* Chrisa Van Allsburga. Dołączył do

tego liścik napisany ostrym charakterem pisma. Notka zawierała tylko kilka słów: "To ci się spodoba". I faktycznie, więcej nie musiał pisać. Spodobało mi się.

Książka składała się z szeregu rysunków, tytułów i podpisów pod obrazkami wykonanymi przez tytułowego pana Burdicka. Samych opowiadań w książeczce nie było. Każda kombinacja rysunku, tytułu i podpisu stanowiła rodzaj testu Rorschacha, dający zapewne czytelnikowi/obserwatorowi więcej wskazówek niż to, co zakładał pan Van Allsburg. Jedną z moich ulubionych ilustracji przedstawiała człowieka trzymającego w ręce krzesło - człowiek ten najwyraźniej jest zdecydowany użyć go w charakterze maczugi - i spoglądającego na dziwne i w jakiś sposób organiczne wybrzuszenie, widniejące pod dywanem w salonie. "Minęły dwa tygodnie i oto znów się to wydarzyło" - głosił napis pod ilustracją.

Biorąc pod uwagę moje motywacje, staje się oczywiste, dlaczego ta książka aż tak przyciągnęła moją uwagę. Co się wydarzyło znowu po dwóch tygodniach? Nie sądzę, żeby miało to większe znaczenie. W naszych najgorszych sennych koszmarach istnieją jedynie zaimki mogące wyrazić trapiące nas zmory, które jeszcze po przebudzeniu potrafią nas dręczyć, sprawiać, że oblewamy się zimnym potem i drżymy ze zgrozy a zarazem ulgi, że koszmar już się skończył.

Moją żonę, Tabithę, również mocno wzięły The Mysteries of Harris Burdick. I to ona właśnie zasugerowała, żeby każdy członek naszej rodziny napisał opowiadanie oparte na którejś z rycin. Napisała; napisał również nasz młodszy syn Owen (wówczas dwunastolatek). Tabby wybrała pierwszy obrazek z książki, Owen któryś ze środka, a ja ostatni. Swoją próbę, za pewnego rodzaju przyzwoleniem Chrisa Van Allsburga, prezentuję tutaj. Nie mam nic więcej do dodania, oprócz może tego, iż kilkakrotnie w ciągu ostatnich trzech czy czterech lat czytałem nieco okrojone fragmenty niniejszego opowiadania czwarto- i piątklasistom. Odniosłem wrażenie, że opowiedziana przeze mnie historyjka bardzo się im podoba. Podejrzewam, że naprawdę ujął ich pomysł z wysłaniem Niegodziwego Ojczyrna w Wielką Przestrzeń. Opowiadania nie publikowałem dotąd, głównie ze względu na pogmatwane antecedencje, i cieszę się, że mogę ten utwór zaprezentować teraz.

Moim marzeniem jest też przedstawić opowiadania napisane przez moją żonę i syna.

PIĄTA ĆWIARTKA

Znów Bachman. A może George Stark.

OSTATNIA SPRAWA UMNEYA

Pastisz niewątpliwie i dlatego w jakiś sposób podobny do "Sprawy doktora", ale ten

utwór jest troszeczkę ambitniejszy. W gimnazjum, gdy odkryłem książki Raymonda Chandlera i Rossa Macdonalda, bez pamięci zakochałem się w ich autorach (jakkolwiek zauważyłem znaczący, choć trochę niepokojący fakt, że o ile Chandlera ciągle się czyta i dyskutuje o jego twórczości, to wysoko cenione książki Macdonalda o Lewie Archerze poza wąskim kręgiem miłośników *livre noir* są już mniej popularne) i po dziś dzień uważani, iż to język tych powieści tak rozpałił moją wyobraźnię. Teksty te pozwoliły mi w całkowicie odmienny sposób spojrzeć na świat, który niebywale przypadł do serca młodemu, samotnemu człowiekowi, jakim wówczas byłem.

Istniał też styl, tak zabójczo łatwy do naśladowania, co w ciągu ostatnich dwudziestu czy trzydziestu lat odkryło z pół setki powieściopisarzy. Bardzo długo trzymałem się z daleka od chandlerowskiego stylu, ponieważ nie znajdowałem dla niego zastosowania... nie miałem nic do powiedzenia tonem Philipa Marlowe'a.

I pewnego dnia napisałem. "Pisz, co wiesz" - przekazują nam starzy profesorowie, referując Sterne'a, Dickensa, Defoe czy Melville'a, co w moim przypadku znaczyło nauczanie, pisanie i grę na gitarze... choć niekoniecznie w tej kolejności. Jeśli chodzi o moją karierę-w-karierze-pisania-o-pisaniu, pamiętam kwestię, jaką wygłosił Chet Atkins w Austin City Limits. Po minucie czy dwóch bezowocnych prób nastrojenia gitary popatrzył na widownię i oświadczył: "Zabrało mi dwadzieścia pięć lat, żeby odkryć, że w tym nie jestem dobry, a kiedy już to odkryłem, byłem zbyt bogaty, by z tym skończyć".

To samo mnie się przytrafiło. Chyba jest moim przeznaczeniem wracanie do dziwnego, maleńkiego miasteczka - nie-ważne, jak się nazywa: Niebo Rock and Roila w Oregonie; Gatlin w Nebrasce czy Willow w Maine - jak też powroty do tego, co robię. Nieustannie dręczy mnie i ściga pytanie, na które jeszcze nie znalazłem właściwej odpowiedzi: Kim jestem, gdy piszę? Kim ty jesteś? Co się dokładnie dzieje, dlaczego to się dzieje, i czy ma to jakiegokolwiek znaczenie?

Tak zatem, z tymi pytaniami w umyśle, włożyłem na głowę fedorę od Sama Spade'a, zapaliłem *lucky strike'a* (w tych dniach już tylko metaforycznie) i zacząłem pisać. Rezultatem mej pracy jest "Ostatnia sprawa Umneya", moje ulubione opowiadanie w tym zbiorze. To pierwsza publikacja tej historii.

PAŁKA NIŻEJ!

Pierwsze teksty, za które dostawałem pieniądze, dotyczyły sportu (przez jakiś czas stanowiłem całą redakcję sportową tygodnika *Lisbon Enterprise*), lecz to w niczym nie ułatwiło mi pracy. Mój bliski związek z zespołem *Bangor West AllStar*, gdy ten rozpoczął swą

oszałamiającą szarżę w mistrzostwach stanowych, był wynikiem zwykłego zbiegu okoliczności lub też zrzędzenia losu; to zależy od tego, jak potraktować problem istnienia siły wyższej. Ja optuję za teorią siły wyższej, ale tak czy siak, znalazłem się tam dlatego, że w zespole tym grał mój syn. Niemniej szybko sobie uświadomiłem - myślę, że szybciej niż Dave Mansfield, Roñ St Pierre czy Neil Waterman - że wydarzy się coś nadzwyczajnego, a w każdym razie będzie próbowało się wydarzyć. Nie chciałem o tym pisać, ale coś we mnie mówiło, że muszę ten temat podjąć...

Mój sposób działania, kiedy już czuję nieprzeparty przymus, żeby coś zrobić, jest brutalnie prosty: pochylam głowę, zakasuję rękawy i robię to najszybciej, jak potrafię. Tak samo było z tym utworem. Jak oszalały gromadziłem nikomu niepotrzebną dokumentację i starałem się jak najwięcej przebywać z drużyną. Przez mniej więcej miesiąc czułem się tak, jakbym wszedł na stronicę jednej z tych staromodnych powieści sportowych, które wielu z nas, kiedy byliśmy chłopcami, czytywało z zapartym tchem w deszczowe popołudnia: Go Up for Glory, Power Forward, czy historie wybitnych błyskotliwych sportowców, jak The Kid from Tomkinsville Johna R. Tunisa.

Z łatwością czy z trudem, nieważne. Napisałem. Esej "Pałka niżej!" okazał się moją życiową okazją i zanim go ukończyłem, Chip McGrath z The New Yorker przymilając się, wycygał ode mnie najlepsze niebeletrystyczne dziełko, jakie popełniłem w życiu. Chwała mu za to, ale największe podziękowania z mej strony należą się Owenowi i jego drużynie. To oni przede wszystkim sprawili, że ta historia się wydarzyła, a następnie pozwolili mi o niej napisać i utwór ten opublikować.

BROOKLYŃSKI SIERPIEŃ

To dziełko idzie oczywiście w parze z "Pałką niżej!", ale istnieje inna, ważniejsza przyczyna, dla której zdecydowałem się je zamieścić prawie na samym końcu tej długiej książki. Utworek ten wymknął się z nudnej klatki wątpliwej reputacji jego twórcy i zaczął, już poza mną, prowadzić własny, pogodny żywot. Kilkakrotnie doczekał się wznowień w różnorodnych antologiach baseballowych osobliwości i wybierany był wielokrotnie przez wydawców, którzy skądinąd nie mieli zielonego pojęcia, kim jestem ani co robię. I to mi się naprawdę spodobało.

W porządku; postaw tę książkę na półce i trzymaj się ciepło do naszego kolejnego spotkania. Przeczytaj trochę dobrych książek, a jeśli któregoś z twych braci czy sióstr przewróci się w twojej obecności, pomóż jemu czy jej wstać. Ostatecznie, następnym razem być może to ty właśnie będziesz potrzebował pomocnej dłoni... albo, na przykład, pomocy przy pozbyciu

się tego wstrętnego palca wyłającego z rur w łazience.

Bangor, Maine 16 września 1992

Żebrak i diament

(The Beggar and the Diamond)

UWAGA AUTORA: Tę króciutką historyjkę - w swej oryginalnej formie hinduską przypowieść - po raz pierwszy opowiedział mi pan Surendra Patel z Nowego Jorku. Przerobiłem ją bardzo swobodnie i przepraszam za to wszystkich, którzy znają jej formę oryginalną, gdzie głównymi bohaterami jest Bóg Sziwa i jego małżonka, Parvati.

Pewnego dnia pojawił się przed Bogiem archanioł Uriel z zatroskaną twarzą.

- Co cię trapi? - zapytał Bóg.

- Widziałem coś bardzo smutnego - odpowiedział Uriel i wskazał pod stopy. - Tam, na dole.

- Na ziemi? - zapytał z uśmiechem Bóg. - Och! Tam smutku nie brakuje! Ale zobaczymy.

Pochylili się. Daleko w dole dostrzegli obszarpaną postać, która wlokła się powoli wiejską drogą na przedmieściach Chandrapuru. Mężczyzna był bardzo chudy, a nogi i ręce pokrywały mu rany. Nieustannie gonili go z ujadaniem psy, ale człowiek ani razu się nie odwrócił w ich stronę, żeby odgonić je kijem; nawet wtedy, gdy chwyciły go już za pięty. Po prostu włożył się przed siebie, wspierając się głównie na prawej nodze. W pewnym miejscu z dużego domu wybiegła gromadka ślicznych, dobrze odżywionych dzieci. Na ich twarzach malowały się wstrętne uśmiechy. Kiedy obdarty mężczyzna wyciągnął w ich stronę pustą, żebraczą miskę, zaczęły ciskać w niego kamieniami.

- Idź stąd, paskudniku! - zawołało jedno z dzieci. - Idź stąd na pola i tam sobie umieraj!

W tym momencie archanioł Uriel zapłakał.

- Dobrze, dobrze - powiedział Bóg i poklepał go po ramieniu. - Myślałem, że jesteś twardszy.

- Bez wątplenia - odparł Uriel, wycierając oczy. - Ale ten człowiek na dole uosabia wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na synów i córki ziemi.

- Oczywiście, że tak - powiedział Bóg. - To jest Ramu i na tym właśnie polega jego rola. Kiedy umrze, ktoś inny przejmie po nim to zadanie. To bardzo zaszczytne zajęcie.

- Być może - przyznał Uriel, zasłaniając ramieniem twarz. - Ale nie mogę znieść tego widoku. Jego cierpienie wypełnia mi serce mrokiem.

- Tutaj mrok jest niedozwolony - odparł Bóg - zatem muszę przedsięwziąć stosowne

środku i zmienić to, co sprowadziło na ciebie ten mrok. Popatrz, mój miły archaniele.

Uriel popatrzył na Boga i ujrzał, że ten trzyma w dłoni diament wielkości pawiego jaja.

- Kamień tak czysty i tej wielkości zapewni mu pożywienie do końca życia; jemu i jeszcze siedmiu pokoleniom jego potomków - zauważył Bóg. - Tak naprawdę, będzie to najpiękniejszy klejnot na ziemi. A teraz... popatrzmy...

Opadł na czworaka, wyciągnął rękę z diamentem, wsunął dłoń między dwie niewielkie chmurki i rzucił klejnot na dół. Razem z Urielem bacznie obserwowali lot kamienia, patrzyli, jak spada na środek drogi, którą szedł Ramu.

Diament był tak duży i ciężki, że Ramu, gdyby tylko był młodszym człowiekiem, niewątpliwie usłyszałby, że klejnot uderza w ziemię. Ale w ostatnich latach słuch bardzo mu stępsiał, podobnie jak odmawiać mu zaczynały posłuszeństwa płuca, krzyż i nerki. Tylko wzrok miał ciągle bystry jak w czasach młodości, gdy liczył sobie dwadzieścia jeden lat.

Włókł się drogą, pokonując niewielkie wzniesienie, nieświadom tego, że po drugiej stronie pagórka leży połyskliwy, lśniący w promieniach słońca diament. Ramu ciężko westchnął... po czym przystanął, pochylił się wsparty na kiju, a jego westchnienie przeszło w kaszel. Stał opierając się obiema rękami na kosturze i czekał, aż atak minie. Kiedy kaszel prawie się uspokajał, kij - stary, suchy i prawie tak samo zużyty jak Ramu - pękł z głośnym trzaskiem, a Ramu upadł na pokrytą kurzem drogę.

Leżał, spoglądając w niebo i zastanawiał się, dlaczego Bóg jest tak okrutny. "Przeżyłem wszystkich, których kochałem - myślał - ale nie tych, których nienawidzę. Stałem się tak stary i brzydki, że obszczekują mnie psy, a dzieci rzucają we mnie kamieniami. Od trzech miesięcy żywię się najędzniejszymi ochłapami, a od dziesięciu lat, albo i więcej, nie jadłem przyzwoitego posiłku w otoczeniu rodziny i przyjaciół. Jestem włóczęgą deptającym oblicze ziemi, bez domu, który mógłbym nazwać swoim. Tej nocy będę spał pod drzewem albo pod żywopłotem, bez dachu nad głową, który zapewniłby mi ochronę przed deszczem. Ciało mam pokryte ranami, bolą mnie plecy, a kiedy przekraczam wodę, widzę krew tam, gdzie nie powinno jej być. Moje serce jest puste jak ta żebracza miska".

Ramu powoli dźwignął się z ziemi i znów popatrzył w niebo, nieświadom tego, że niecałe dwadzieścia metrów przed nim, po drugiej stronie suchego pagórka leży skryty jeszcze przed jego bystrym wzrokiem największy diament na świecie.

- Boże, jestem nieszczęśliwy - powiedział. - Nie nienawidzę Cię, ale się obawiam, że nie jesteś przyjacielem ani moim, ani żadnego człowieka.

Powiedziawszy to, poczuł się trochę lepiej i podjął wędrówkę. Na chwilę tylko pochylił się i podniósł z ziemi dłuższy kawałek złamanego kija. Idąc wymawiał sobie owo rozżalenie się

nad sobą i niewdzięczną modlitwę.

“Bo przecież istnieje kilka rzeczy, za które powinienem być wdzięczny - rozumował. - Dzień jest wyjątkowo piękny, to raz, i jakkolwiek ciało pod wieloma względami mnie zawodzi, to przynajmniej zachowałem ostry wzrok. Pomyśl, jakie by to było okropne, gdybyś oślepl”.

Żeby udowodnić samemu sobie, jak okropna byłaby ślepotą, Ramu zacisnął powieki i szedł, macając przed sobą drogę ułomkiem kija; jak robią to ślepycy za pomocą laski. Ciemność okazała się straszliwa, zapierająca w piersi dech, zupełnie odbierała wyczucie kierunku. Wkrótce Ramu nie wiedział, czy posuwa się jeszcze środkiem drogi, czy też znalazł się już na jednym z jej skrajów i lada chwila wpadnie do przydrożnego rowu. Sama myśl o tym, co taki upadek znaczyłby dla jego starych, kruchych kości, budziła w nim dreszcz przerażenia. Mimo to nie otwierał oczu i szedł dalej na ślepo.

- To cię oduczy niewdzięczności, staruszku - mruknął do siebie. - Do końca swych dni zapamiętasz, że może i jesteś żebrakiem, ale przynajmniej nie ślepym żebrakiem, i będziesz z tego czerpał radość.

Ramu nie wpadł do przydrożnego rowu ani po lewej, ani po prawej stronie traktu. Zboczył jedynie trochę na prawo, dotarł na szczyt wzniesienia i zaczął schodzić łagodnym stokiem, mijając olbrzymi diament, który lśniąco spoczywał w pyle drogi. Lewa stopa Ramu była już o niecałe pięć centymetrów od klejnotu.

Przeszedłszy jeszcze trzydzieści metrów, Ramu rozchylił powieki. Oczy zalało mu jaskrawe, słoneczne światło; zdawało się, że światłość zalewa również jego umysł. Popatrzył z zadowoleniem po przymglonym leciutko, niebieskim niebie, po zakurzonych żółtych polach, po srebrzystej wstędze ubitej drogi. Na widok przelatującego z drzewa na drzewo ptaka roześmiał się i jakkolwiek nie obejrzał się za siebie, i nie zobaczył wielkiego diamentu leżącego nie opodal za jego plecami, zapomniał o ranach i bolących plecach.

- Dzięki ci, Boże, za wzrok! - wykrzyknął. - Dziękuję ci przynajmniej za to! Może zobaczę na drodze coś wartościowego; starą butelkę, którą sprzedam na bazarze, a może jakiś pieniążek. Ale jeśli nawet niczego nie znajdę, pozostanie mi wzrok. Dzięki ci Boże za oczy! Na Boga, dzięki ci Boże!

I zadowolony ruszył przed siebie, zostawiając za plecami diament. Wtedy Bóg wyciągnął rękę po klejnot i z powrotem umieścił go w zboczu góry w Afryce, skąd był go uprzednio zabrał. I prawie natychmiast, tknięty nową myślą (jeśli można o Bogu powiedzieć, że tknęła go nowa myśl), ułamał z rosnącego na veldzie drzewa solidny kij i zrzucił go na drogę Chandrapur, podobnie jak poprzednio zrzucił diament.

- Różnica polega na tym - powiedział Bóg do Uriela - że nasz przyjaciel Ramu znajdzie

ten kij, który do końca życia służyć mu będzie za łaskę.

Uriel popatrzył niepewnie na Boga (choć był archaniołem, popatrzył tak samo niepewnie jak każdy, kto popatrzyłby w to płomienne oblicze).

- Czy dałeś mi lekcję, Panie?

- Nie wiem - odparł dobrotliwie Bóg. - Może?